

Chuck Hogan



Świat Książki

Miasto złodziei

Napięcie rośnie z każdą minutą
Stephen King

Chuck Hogan

Miasto złodziei

Prince of Thieves

Tłumaczenie

Jacek Manicki

Patryk Gołębiowski

Mojej matce:
Jakże wielka to ciemność.

Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce
twoje.

Mateusz 6,21

Charlestown w stanie Massachusetts naprawdę ma reputację wylęgarni przestępców wyspecjalizowanych w napadach na banki i opancerzone furgony do przewozu pieniędzy, tak zwane bankowozy. Powieść niniejsza, choć wierna w opisach topografii i charakterystycznych miejsc Town, jakby to potwierdza, a przecież mieszkają tu również i zawsze mieszkali uczciwi, praworzadni obywatele stanowiący, jak niemal wszędzie, zdecydowaną większość.

Z Charlestown pochodzi sporo przyzwoitych obywateli Bostonu, co nie przeszkadza, by dzielnicę tę kojarzono głównie z przestępczym półświatkiem, który z upodobaniem napada na banki i bankowozy.

„Boston Globe”, 3 marca 1995

...społeczność, z której – jak wynika ze statystyk FBI – wywodzi się większa liczba sprawców napadów na bankowozy niż z jakiegokolwiek innej w kraju.

„Boston Globe”, 19 marca 1995

Pewien rodowity towniak spytany, jak ocenia swoją młodość spędzoną w Charlestown, zastrzegając sobie anonimowość, powiedział: „Duma mnie

rozpiera, że się tam urodziłem i wychowałem. Town zrujnowało mi życie, i to dosłownie, a jednak dumny jestem, że stamtąd pochodzę”.

„Boston Globe”, 19 marca 1995

Najpierw toast. W górę serca. A teraz na poważnie:

Za Town.

Za Charlestown, tę naszą milę kwadratową cegły i kocich łbów. Bądź co bądź, dzielnicę Bostonu, a przecież wyretuszowywaną wstydliwie z każdego planu miasta, jak bękart z sielskiej rodzinnej fotografii, bo nie komponuje się w kadrze.

To serce „Starej Jedenastki”, okręgu wyborczego, który pierwszy wydelegował młodego Kennedy’ego do Kongresu. Jedna mila kwadratowa Ameryki, która wysłała na drugą wojnę światową więcej chłopców niż którakolwiek z pozostałych. Tu stoczono bitwę o Bunker Hill, krew rewolucji zrasza naszą glebę i nasze dusze jak woda święcona. Rewir, Zgrana Paka i Honor Towniaka – to nasza święta trójca.

Ale spójrzmy teraz na tych przybłędów rozdrapujących między sobą nasze kamienice i trójkątowce. Rugujących nas z domów naszych matek. Tych japiszonów w swoich volvach i ze swoją azjatycką kuchnią, ze swoimi krociowymi dochodami i pogardą dla Kościoła – zwyciężają tam, gdzie nie dała rady brytyjska armia, wypierają nas z naszego rewiru.

Ale niedoczekanie, z nami tak łatwo im nie pójdzie. „Nie strzelać, dopóki nie zobaczycie białek ich oczu!” – to byliśmy my, pamiętajcie. Ten goździk

*tutaj zbrązował może trochę po brzegach – ale
widzicie go wciąż wpiętego w tweedową klapę na
moim bijącym, sercu towniaka.*

*Nie pękaj, brachu, w górę szklanice. Zakąsimy
jajem na twardo, zobaczysz, jak wejdzie. Czapki z
głów, panowie. Za tę iglicę na wzgórzu, granitowy
monument bitwy, który przetrwa nas wszystkich:
największy, kurde, środkowy palec na świecie,
pokazywany grzecznemu braciszкови Bostonowi i
dwudziestemu pierwszemu stuleciu za jego plecami.*

Za Town. Do dna.

Część I

DUMA

1

SKOK NA BANK

Doug MacRay stał na zapleczu banku i oddychał głęboko przez maskę. Ziewnięcie... i prawidłowo. Organizm się dotlenia. Pora z powrotem wejść na obroty. Włamali się tu w nocy, toteż czasu do zabicia mieli od groma. Rozsiedli się, posilili kanapkami, pożartowali jeden z drugiego i poczuli się jak w gościach, a to niedobrze podczas roboty. Z Douga uszła cała para – akcja, napięcie i szwung, to był koktajl gangsterki. *Wchodź, zgarniaj szmal i chodu.* Ulubiona formułka ojca, ale pod tym jednym względem stary menel miał, kurwa, rację. Douga wcale by nie zdziwiło, gdyby się im dzisiaj noga powinęła.

Zatoczył głową parę kółek, ale sztywność karku nie ustępowała. Spojrzał na swoją czarną trzydziestkęósemkę, lecz ściskanie naładowanego pistoletu w garści już dawno przestało go rajcować. Nie przyszedł tu dla rozrywki. Nie przyszedł tu nawet dla pieniędzy, chociaż bez nich nie wyjdzie. Przyszedł na robotę. Robotę nad robotami. Działali w zgranym kwartecie – on, Jem, Dez i Gloansy – jak za szczeniaka, tylko że teraz już na poważnie. Napadali na banki i z tego żyli.

Na tę myśl krew żwawiej popłynęła mu w żyłach, a po krzyżu przebiegły mrówki. Postukał lufą pistoletu w twarde plastikowe czoło swojej maski bramkarza, żeby odpędzić resztki senności, i odwrócił się do drzwi. Zawodnik przed wyjściem na boisko. Był w szczytowej formie.

Jem stał naprzeciwko i przypominał jego odbicie w lustrze: wypłowiały, zapinany na suwak, granatowy kombinezon naciągnięty na kamizelkę kuloodporną, rękawiczki, pistolet w dłoni, biała maska bramkarza ze zszytymi czarną nicią bliznami, oczy jak dwie czarne dziury.

Zbliżające się, stłumione, wesołe głosy. Klucze przekręcane w zamkach, cofające się rygle.

Snop dziennego światła. Kobięca dłoń na gałce, kopnięcie czarnym czółenkiem... i ten szelest czarnej spódnicy w kwiaty wkraczający w życie Douga.

Chwycił kierowniczkę oddziału za rękę, obrócił twarzą do siebie i pokazał pistolet. Szeroko otwarte jasnozielone oczy kobiety omal nie wyszły z orbit, ale to nie widok pistoletu, lecz maski tak ją przeraził – nie była nawet w stanie krzyknąć.

Jem zatrzasnął kopniakiem drzwi za zastępcą kierowniczką i wytrącił facetowi z ręki kartonową tackę. Na ścianę chlusnęła parująca kawa z dwóch kubków, pozostawiając na niej mokrą brązową plamę.

Doug wyjął oniemiałej kierownicze komplet bankowych kluczy z ręki i słaniającą się na nogach poprowadził krótkim korytarzykiem do sali operacyjnej, gdzie za szeregiem stanowisk kasowych czekał już identycznie ubrany, zamaskowany i pogrubiony przez kevlarową kamizelkę Gloansy. Na jego widok kierowniczka oddziału wzdrygnęła się i chyba znowu chciała krzyknąć, ale ze ściśniętej krtani wydobył się tylko zduszony jęk. Doug przekazał ją Gloansy'emu, a ten kazał się położyć kierownicze i jej zastępcy twarzą do wykładziny pokrywającej podłogę za boksami kasowymi, i przystąpił do ściągania obojgu butów. Spod maski dobiegał jego pogrubiony, przytłumiony głos:

– Leżeć tu plackiem. Zamknąć oczy. Nikomu nic się nie stanie.

Doug z Jemem przeszli do holu przez otwarte drzwi dla personelu. Dez stał przy drzwiach wejściowych, niewidoczny z Kenmore Square dzięki opuszczonym roletom. Odchylił roletę, wyjrzał i kiedy zasygnalizował uniesionym kciukiem w granatowej rękawiczce, że droga wolna, Doug z Jemem przebiegli przez jedyny fragment holu widoczny z przedsionka, w którym zainstalowany był bankomat.

Jem rozłożył na posadzce brezentową torbę hokeisty. Doug znalazł na kółku z kluczami odebranymi kierownicze najkrótszy i najgrubszy,

wsunął go w zamek szafki na nocne depozyty i przekręcił. Na podłogę, jak łososie z przeciętej sieci, posypały się srebrzyste plastikowe torebki z depozytami. Pokłosie świątecznego weekendu. Doug zbierał je po pięć, sześć naraz – miękkie paczuszki z gotówką i czekami oklejone paskami depozytowymi – i wrzucał do otwartej torby Jema.

Uporawszy się z tym, podszedł do drzwiczek serwisowych w tylnej ścianie bankomatu. Dopasował klucz do zamka i obejrzał się na boksy kasowe, gdzie Jem podniósł już z podłogi kierowniczkę oddziału. Boso, ze zwieszoną głową i włosami opadającymi na twarz nie wyglądała już tak oficjalnie.

– Jeszcze raz – warknął do niej Jem. – Głośniej.

– Cztery. Pięć. Siedem. Osiem – powtórzyła zdławionym głosem, wpatrzona w podłogę.

Doug wprowadził kod z klawiatury numerycznej nad kluczem. Drzwiczki bankomatu otworzyły się, Doug odpiął zaczep podajnika i wysunął kasetę z banknotami. Po długim weekendzie była w ponad połowie opróżniona. Niewiele myśląc, wygarnął jeszcze arkusze znaczków pocztowych i wrzucił je razem z dyszkami i dwudziestkami do torby. Potem przestawił przełącznik serwisowy, wsunął pustą kasetę na miejsce, chwycił torbę i wrócił biegiem do boksów kasowych za otwartymi drzwiami dla personelu.

Z szuflady w boksie głównego kasjera wyjął

małą kasetkę ogniotrwałą. Na jej dnie, pod jakimiś niewypełnionymi formularzami i stosikiem tandetnych, nieaktualnych już kalendarzyków biurkowych z 1996 roku leżała brązowa koperta na bilon, a w niej cylindryczny klucz do skarbca.

Gdyby nie pistolet, można by ich wziąć za parę czekającą na windę: Jem i kierowniczka stali przed szerokimi drzwiami skarbca. Jem trzymał ją od tyłu, lufą swojej czterdziestkiąpiątki wodził przez spódnicę po krągłym pośladku i szeptał coś do ucha. Słyszając zbliżającego się Douga, przesunął lufę na jej biodro.

– Mówi, że zamek czasowy jest nastawiony na ósmą osiemnaście – powiedział.

Cyfrowy zegar wbudowany w drzwi skarbca wskazywał 8.17. Odczekali brakującą minutę w milczeniu. Doug, stojący za kierowniczką, słuchał jej oddechu. Z rąk, którymi się obejmowała, widział tylko dłonie zaciśnięte na talii.

Wskazanie zegara przeskoczyło na 8.18. Doug wsunął klucz w dziurkę nad grubym czarnym pokrętłem ze skalą.

– Wiemy wszystko o kodach alarmowych – uprzedził kierowniczkę Jem. – Żadnych zagrywek przy otwieraniu.

Wyciągnęła niepewnie rękę, zachwiała się i oparła na moment o zimne stalowe drzwi, pozostawiając tam odcisk spoconej dłoni, który

szybko wyparował, kiedy sięgała do skalowanego pokrętła. Przy drugim obrocie zawahała się i Doug już wiedział, że się pomyliła.

– Nie graj, kurwa, na czas – warknął Jem.

Otarła drżące dłonie o spódnicę. Za drugim podejściem nerwy zawiodły ją przy ustawianiu trzeciej cyfry kombinacji i przekręciła skalę za daleko.

– Chryste! – wściekł się Jem.

– Przepraszam! – pisnęła na wpół ze złością, na wpół z przerażeniem.

Jem przystawił jej pistolet do ucha.

– Masz dzieci?

Odskoczyła od niego jak oparzona.

– Nie – wykrztusiła.

– Męża? Kochasia?

– Nie.

– Jezu! No to może rodziców? Masz? Kim, do kurwy nędzy, mam cię zaszantażować?

Tu wkroczył Doug, odsuwając pistolet Jema od jej twarzy.

– Po której próbie włącza się blokada zamka?

Przełknęła z trudem.

– Po trzeciej.

– Ile czasu musi potem upłynąć, żeby dało się go znowu otworzyć? – dociekał Doug.

– Chyba... piętnaście minut.

– Zapisz mi kombinację – warknął Jem – sam to

zrobię.

Doug spojrzał na przejętą twarz kobiety z profilu. Wyczuwał jej strach.

– Chyba nie chcesz z nami spędzić tych dodatkowych piętnastu minut?

Po chwili zastanowienia podjęła męską decyzję i jej ręka śmignęła ku pokrętlu jak ptak wypuszczony z klatki. Doug chwycił ją za nadgarstek i ścisnął mocno.

– Spoko – mruknął. – To nie piekarnia. Jak już zaczniesz, to nie przerywaj.

Zacisnęła dłoń w piąstkę. Kiedy ją puścił, już spokojnie sięgnęła do pokrętła. Tym razem palce były jej posłuszne, zadrżały ponownie dopiero przy ustawianiu ostatniej cyfry. Z wnętrza dobiegło wyraźne kliknięcie.

Jem obrócił koło zwalniania blokady i drzwi zaczęły się otwierać na masywnych zawiasach. Skarbiec, budząc się z długiego weekendowego snu, wypuszczał ze swego wnętrza chłodne, zastałe powietrze.

Doug wziął kierowniczkę za rękę i odprowadził do sali operacyjnej. W połowie drogi stanęła jak wryta na widok zawalonego gruzem biurka w swoim gabinecie. Tędy dostali się do środka, wykuwając dziurę w suficie.

– Dziś są moje urodziny – wyszeptała.

Doug pociągnął ją bez słowa dalej i przekazał

Gloansy'emu. Po chwili leżała znowu twarzą do podłogi obok swojego zastępcy. Nieopodal stał Dez w masce, z głową przekrzywioną pod dziwacznym kątem. Prowadził nasłuch radiowy za pośrednictwem miniaturowego odbiornika z niewidoczną antenką wszytą w kołnierz kombinezonu.

– Nic – powiedział. Na policyjnych częstotliwościach nic się nie działo.

Pod względem wystroju wnętrza bankowych skarbców zawsze Douga rozczarowywały. Strefy dostępne dla klientów, na przykład te ze skrytkami depozytowymi, wprost lśniły wypucowaną na glans czystością salonów wystawowych, za to pomieszczenia, w których przechowywano prawdziwe pieniądze, wyglądały jak zwyczajne piwnice.

Ten skarbiec nie stanowił wyjątku. Drzwi głównej szafy z rezerwą gotówki wykonane były z cienkiej blachy i zamknięte na tandetną kłódkę, którą Doug zerwał jednym zdecydowanym szarpnięciem. Do skarbcza trudno się było dostać, ale jak już się tam weszło, to się było. Na ciężkie stojaki z wałeczkami bilonu nie zwrócił nawet uwagi i przystąpił od razu do wybierania ułożonych w stosy paczuszek z używanymi banknotami. Wystarczał mu rzut oka na kolor papierowego paska kodowego, którym każda była oklejona, by rozpoznać, jakie nominały zawiera:

czerwony – piątki, żółty – dziesiątki, fioletowy – dwudziestki, brązowy – pięćdziesiątki, no i miły dla oka musztardowy – setki. Zrywał te paski i wertował pod kciukiem luźne już harmonijki papierowych środków płatniczych, sprawdzając na miejscu, czy nie ma między nimi saszetek z substancją barwiącą albo czegoś znakującego banknoty w inny sposób.

Pod ścianą skarbcza, naprzeciwko drzwi, stały cztery kontenery kasowe na kółkach. W górnych Szufladach każdego znajdowało się po blisko dwa i pół tysiąca dolarów i Doug wygarnął z nich całą zawartość, z wyjątkiem lipnej gotówki – cienkich, oklejonych papierowym paskiem plików dwudziestek pozostawionych na wabia na dnie każdej przegródki. Do takiej szuflady kasjer sięgał przy rutynowych transakcjach i z niej czerpał w pierwszej kolejności w razie napadu.

Druga szuflada była głębsza od pierwszej i zawierała wyższe nominały do transakcji komercyjnych oraz wypłat z zamykanych rachunków, i znajdowało się w niej ponad cztery razy więcej pieniędzy. Te szuflady Doug również opróżnił aż do paczek z lipną gotówką.

Do sali ze skrytkami depozytowymi nawet nie zajrzeli. Ich otwieranie wiązałoby się z koniecznością przewiercenia drzwiczek każdej – po dziesięć minut na zamek, po dwa zamki na skrytkę. I nawet gdyby mieli na to cały dzień, to szkoda było fatygi, bo

oddział BayBanks przy Kenmore Square obsługiwał głównie cienko przędącą studenterię z Uniwersytetu Bostońskiego i zwyczajnych zjadaczy chleba. W zamożniejszej okolicy skrytki bankowe stanowiłyby ich główny cel, bo oddziały, których klientami są ludzie lepiej sytuowani, żywej gotówki przechowują tyle co kot napłakał. Klienci rzadko wpadają tam, żeby zrealizować czek z wypłatą, za to częściej korzystają ze skrytek, a za zakupy płacą plastikiem, nie papierem.

Kiedy wchodzili z powrotem do holu, Dez dał im znak dłonią w granatowej rękawiczce, żeby się zatrzymali.

– Jakiś fagas przy bankomacie.

Doug odchylił ostrożnie roletę i wyjrzał. Przed bankomatem stał student w bluzie od dresu i próbował pewnie wypłacić kieszonkowe przelane mu na konto przez starych. Dopiero kiedy maszyna po raz drugi wypluła jego kartę, raczył zauważyć wyświetlony na ekranie komunikat o przerwie serwisowej. Spojrzał na drzwi, zapoznał się z wyszczególnionymi tam godzinami otwarcia banku i sięgnął po słuchawkę telefonu obsługi klienta.

– Nic z tego – mruknął Dez.

Tymczasem Doug przyglądał się kierownicze leżącej za drugim boksem kasowym. Wiedział o niej coś niecoś. Nazywała się Claire Keeseey. Jeździła śliwkowym saturnem coupe ze szpanerskim tylnym

spojlerem i nalepką na zderzaku przedstawiającą uśmiechniętą gębę nad zachęcającą propozycją: Sztachnij się! Mieszkała sama i kiedy pogoda na to pozwalała, spędzała przerwę na lunch w parku przy Back Bay Fens. Wiedział to wszystko, bo od kilku tygodni śledził ją od czasu do czasu.

Teraz, z bliska, widział u niej troszeczkę ciemniejsze odrosty – przefarbowała sobie włosy z jasnobrązowych na miodowy blond. Długa, czarna spódnica okrywała jej nogi aż po stopy koronkowych pończoch. W poprzek lewej pięty biegł nierówny ścieg – efekt byle jakiego cerowania, którego nie miało nigdy ujrzyć postronne oko.

Przekręciła nieznacznie głowę wspartą na zgiętym ramieniu, żeby widzieć Gloansy’ego, który przykucnął i obserwował chłopaka przy bankomacie. Jej lewa noga zaczęła się przesuwać wolniutko w stronę krzesła kasjera. Stopa wsunęła się pod biurko, znikając Dougowi z oczu, pogmerała tam, potem wróciła szybko na swoje dawne miejsce, oczy też znikły w zgięciu przedramienia.

Doug wypuścił powoli powietrze z płuc. Miał teraz problem.

Chłopak przy bankomacie dał sobie spokój z głuchym telefonem, kopnął ścianę i wkurzony wyszedł z przedsionka we wczesny poranek.

Jem zwałił torbę z łupem na podłogę obok torby z narzędziami i torby roboczej.

– Zacieramy – powiedział, wyjmując to Dougowi z ust.

Gloansy sięgnął do kieszeni po plastikowe opaski do krępowania, Jem z Dezem wyciągnęli z torby roboczej pojemniki z ultra chloroksem, a Doug wyszedł na zaplecze i pomaszerował korytarzem do świetlicy dla personelu. Na drewnianych półkach stała tam aparatura instalacji alarmowej. System coś wyzwoliło – kamery działały i rejestrowały, nad drzwiami pulsowało czerwone światełko. Doug zastopował wszystkie trzy rejestratory wideo, wyjął z nich kasety i dla pewności porozłączał cały system.

Wrócił z kasetami do sali operacyjnej i wrzucił je niepostrzeżenie do torby roboczej. Zastępca kierowniczkę siedział już na jednym z krzeseł kasjera, a Gloansy krępował mu ręce w nadgarstkach za oparciem. Krwawy gil zwisał zastępcy z nosa, ściekając na wargi i brodę. Jem, prowadząc tutaj gościa, musiał mu rozkwasić kinola.

Dez postawił swoje pojemniki na posadzce. Doug przekonany, że tamten rozchlapał już cały wybielacz, zarzucił sobie na ramię ciężką torbę narzędziową.

– Moment! – zawołał Dez, unosząc palec do ucha.

Ze skarbca, z pojemnikami w rękach, wyszedł Jem. Gloansy, który posadził właśnie kierowniczkę na krzesło tyłem do zastępcy i zabierał się do

krępowania jej rąk w nadgarstkach, znieruchomił z plastikową opaską w rękę. Wszyscy spojrzeli na Deza, wszyscy z wyjątkiem Douga, który patrzył na kierowniczkę, i kierowniczkę, która wbiła wzrok w podłogę.

– Dostali cichy alarm – powiedział Dez. – Spod tego adresu.

Jem spojrział na Douga.

– Co jest, kurwa? – warknął, też odstawiając pojemniki z wybielaczem.

– I tak już tu skończyliśmy – powiedział Doug. – Spadamy. Zbierajcie się.

Jem wyciągnął pistolet i trzymając go nisko, przy biodrze, podszedł do siedzących bankowców.

– Które to zrobiło?

Kierowniczka wciąż wpatrywała się w podłogę. Jej zastępca spojrział na Jema. Pukiel czarnych potarganych włosów opadał mu smętnie na oczy.

– Nas tutaj nie było – powiedział Jem, wskazując pistoletem wylot korytarza prowadzącego na zaplecze. – Byliśmy za tamtymi pierdzielonymi drzwiami.

Zastępca kierowniczkę, odczuwający wciąż skutki łomotu, jaki mu przed chwilą za tamtymi pierdzielonymi drzwiami spuszczone, zezował na Jema zza wystrzępionej grzywki łzawiącymi od oparów wybielacza oczami.

Jem wbił wzrok w faceta. Zbolało-wyzywające

spojrzenie było najgorszą z możliwych grą, jaką zastępca kierowniczkki mógł z nim podjąć.

Dez podniósł swoje pojemniki i zaczął chlustać wybielaczem gdzie popadnie.

– Zmywamy się – rzucił.

– Pora na nas – powiedział Doug do Jema.

Jeszcze parę sekund pojedynku na spojrzenia i basta. Jem cofnął się, wsuwając gnata za pasek. Kiedy się odwracał, zastępca kierowniczkki powiedział:

– Słuchaj, żadne z nas nie zrobiło niczego, co...

Jem w mgnieniu oku był przy nim. Chrzęst knykci w zderzeniu ze skronią przywodził na myśl pęknięcie lodowej tafli. Jem nie oszczędzał pięści.

Głowa zastępcy kierowniczkki odskoczyła w bok jak na sprężynie. Nieszczęśnik zwił na chwilę bezwładnie nad lewą poręczą, potem krzesło przechyliło się i przewróciło razem z nim.

Zastępca kierowniczkki znieruchomiał z rękami skrępowanymi za oparciem krzesła. Jem przykleknął na jedno kolano i grzmotnął go kilka razy pięścią w policzek i szczękę. Potem wstał i wrócił po swój pojemnik. Gdyby Doug go nie powstrzymał, oblałby facetowi wybielaczem zmasakrowaną facjatę.

Przytrzymując Jema, Doug widział jego jasne, błękitnawobiałe źrenice, jarzące się w szparach maski bramkarza jak płatki śniegu w nocy. Wyszarpnął mu pojemnik z wybielaczem z garści i kazał pakować

torby. Ku jego zaskoczeniu, Jem posłuchał bez szemrania.

Doug spryskał wybielaczem szafkę na nocne depozyty w holu. Spryskał wykładzinę w miejscu, gdzie pakowali łup do torby, z duszą na ramieniu, nasłuchując wycia syren, przemknął pod oknami. To, co zostało jeszcze na dnie pojemnika, wytrząsnął na kasetę bankomatu i wrócił do sali operacyjnej.

Zastępca kierowniczkę leżał nadal nieprzytomny, razem z krzesłem, na podłodze. Gdyby nie świszający oddech, można by pomyśleć, że gościu nie żyje.

Toreb już nie było. Kierowniczkę też.

Doug przeszedł na zaplecze, opary wybielacza wyciskały mu łzy z oczu. Torby leżały przy tylnych drzwiach zwalone jedna na drugą i czekały na załadunek, przy nich stali Dez z Jemem, obaj już bez masek. Jem ścisnął kierowniczkę za kark, tak żeby nie mogła się obejrzeć i zobaczyć ich twarzy. Dez, podnosząc z ziemi jej brązową torebkę, którą wchodząc tutaj, upuściła, rzucił Dougowi ostrzegawcze spojrzenie.

Doug ściągnął maskę bramkarza i został w masce narciarskiej, którą miał pod spodem.

– Po chuj nam ona?

– A jak już nas otoczyli? – odpowiedział pytaniem na pytanie Jem. – Przyda się.

Na utwardzonym tłuczniem placyku na zewnątrz

zatrzymała się z piskiem opon furgonetka. Gloansy, już bez maski, wyskoczył zza kierownicy i odsunął boczne drzwi wozu.

Dez wytaszczył oburącz pierwszą z toreb, rozhuśtał ją i wrzucił do środka.

– Puść ją – warknął Doug. Ale Jem popychał już kierowniczkę przed sobą do stojącej za progiem furgonetki.

Doug, przy akompaniamencie trzasków wyładowań elektrostatycznych, zerwał z głowy narciarską maskę. Tu liczyła się każda sekunda. Wyniósł torbę roboczą w blask słonecznego poranka i wrzucił ją z rozmachem do furgonetki. Obok Jem zastanawiał się jeszcze, jak wpakować do środka kierowniczkę, tak żeby nie zobaczyła jego twarzy. Doug, niewiele myśląc, chwycił kobietę wpół, podsadził i wskoczył za nią. Jem wrócił po ostatnią torbę.

Doug popchnął dziewczynę w drugi koniec miękkiej kanapy i przyparł do ściany, tej bez okien.

– Zamknij oczy – mruknął, przyginając jej głowę do kolan. – Ani mru-mru.

Na podłogę spadła ciężko ostatnia torba, drzwi się zatrzasnęły, furgonetka ruszyła z kopyta pod stromą pochyłość, podskoczyła, zjeżdżając z krawężnika, i skręciła w ulicę.

Doug dobył z pochwy przy pasku swojego leathermana. Otworzył go, wybierając największe

ostrze, i naprężył kraj czarnego żakietu kierowniczkii. Naciął scyzorykiem materiał, schował ostrze i oddarł od żakietu długi pas. Skrzywiła się, słysząc odgłos prucia. Drżała teraz na całym ciele, ale w sumie siedziała spokojnie.

Doug wyjrzał przez okno. Dojeżdżali okrężną drogą do Kenmore Square, u wylotu Brookline Avenue paliło się czerwone światło. Bank mieli po prawej. Napierając całym ciężarem ciała na plecy zgiętej wół kierowniczkii, oceniał wzrokowo sytuację. Na razie żadnych radiowozów na placu, spokój.

– Co z przesiadką? – spytał Gloansy.

– Później – syknął przez zaciśnięte zęby Doug, chowając leathermana do pochwy u paska.

Światło zmieniło się na zielone i samochody przed nimi ruszyły. Skręcili w Commonwealth Avenue na wschód. Gloansy prowadził pewnie, już ochłonał.

Z przeciwka nadjeżdżał radiowóz z wyłączonym kogutem. Kiedy mijał przystanek autobusowy pośrodku placu, kogut na jego dachu nagle ożył. Kierowcy innych pojazdów zwolnili, a on zawrócił szerokim łukiem, przeciął za ich furgonetką jezdnię i zahamował przy krawężniku przed bankiem.

Minęli spokojnie przystanek autobusowy, kierując się ku wiaduktom na Sorrow Drive. Doug owinał kierownicze głowę raz i drugi pasem

materiału i mocno związał na potylicy końce tej prowizorycznej opaski na oczy. Podciągnął ją do pozycji pólśiedzącej, pomachał dłonią przed samą twarzą, i dla pewności zasymulował jeszcze cios, zatrzymując pięść przed samym jej nosem. Nie drgnęła nawet. Uspokojony, pozwolił jej usiąść prosto, a sam się odsunął jak najdalej od niej i zaczął ściągać gorączkowo kombinezon, tak jakby była to jego druga, przestępcza, skóra, którą jak najszybciej pragnie z siebie zrzucić.

MIEJSCE PRZESTĘPSTWA

Adam Frawley zaparkował służbowy wóz w ukośnym cieniu słynnej ściany „Green Monster” stadionu Fenway Park i z kartonową teczką oraz notatnikiem pod pachą przebiegł przez kładkę nad Massachusetts Turnpike, naciągając po drodze lateksowe rękawiczki. Ogrodzenie po jednej stronie kładki było wysokie i zakrzywione na szczycie, żeby utrudnić zdesperowanym kibicom Red Soksów rzucanie się z niej każdego września. Za żółtą taśmą na samym końcu Newbury Street krzątały się dwie postacie w wiatrówkach z laboratorium kryminalistycznego bostońskiej policji. Jedna mozolnie pędzlowała pomazane graffiti metalowe drzwi, druga zbierała do plastikowych torebek śmieci walające się po placyku wokół śliwkowego saturna coupe.

Newbury Street to elegancka promenada wymieniana w każdym przewodniku po Bostonie. Bierze swój początek w śródmieściu i od Public Garden biegnie na zachód, przecinając kolejno przecznice o nazwach zachowujących konsekwentnie porządek alfabetyczny – Arlington Street, Berkeley Street, Clarendon Street, i tak aż do Herford Street,

gdzie traci nagle cierpliwość i przeskakuje od razu do M, czyli do Massachusetts Avenue stanowiącej nieoficjalną zachodnią granicę dzielnicy Back Bay. Za tą linią podziału Newbury Street ciągnie się dalej, ale traci zupełnie swój klimat i zmuszona bieć równolegle do Commonwealth Avenue, staje się siłą rzeczy ubogą krewną tej wstrętnej drogi szybkiego ruchu. Jej upokorzenie kończy się na kładce samobójców.

Frawley dobiegł do końca kwartału budynków mieszkalnych z murowanymi frontami i sklepikiem albo barem na parterze każdego i skręcił za róg, w stronę wejścia do banku. Kenmore Square jest wąskim gardłem, w którym zbiegają się trzy główne ulice – Brookline, Beacon i Commonwealth – i od którego zaczyna się właściwy bulwar Comm z jezdniami przedzielonymi pasem zieleni. Przejazd do jednego pasa ruchu zawężyły tłoczące się przy krawężniku radiowozy policyjne, wozy strażackie i minivany stacji telewizyjnych.

Wielka przemysłowa dmuchawa ustawiona w otwartych drzwiach banku wywiewała na zewnątrz zawiesisty smród oparów wybielacza. Napisana odręcznie wywieszka w oknie informowała, że oddział jest tego dnia nieczynny, i kierowała klientów do okolicznych bankomatów, ewentualnie najbliższego oddziału u zbiegu Boylston i Mass.

Frawley przyłożył otwarte etui ze swoją

legitymacją oraz małą złotą odznakę FBI do szyby, obok nalepki FDIC – Federalnej Korporacji Ubezpieczeń Depozytów. Korporacja ta gwarantowała bezpieczeństwo wszystkich wkładów do wysokości stu tysięcy dolarów, w związku z czym każde przestępstwo bankowe popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych uznawane było za naruszenie prawa federalnego. Funkcjonariusz bostońskiej policji, zasłaniając chusteczką usta, wyszedł do przedsiionka bankomatowego i wyłączył dmuchawę, żeby wpuścić Frawleya do środka.

– No, nareszcie – powiedział Dino, witając go z notesem w ręku przy pulpicie do wypisywania czeków. Odór wybielacza nie był tam aż tak silny jak przy drzwiach.

– Byłbym szybciej, ale licho mnie podkusiło, żeby wracać drogą ekspresową – wyjaśnił Frawley.

Bostońska grupa zadaniowa do spraw napadów na banki nie wchodziła w skład struktur śródmiejskiego oddziału terenowego FBI, lecz działała jako lokalna agencja z siedzibą w Lakeville, małym osiedlu sypialni trzydzieści mil na południe od miasta. Frawley zjeżdżał tam właśnie do bazy, kiedy przyszło wezwanie.

Dino podał mu dwa papierowe kaptcie. Dean Drysler służył w bostońskiej policji, miał dwadzieścia siedem lat, stopień porucznika detektywa i stały przydział do grupy zadaniowej. Tu

się urodził, był wysoki, szczupły, pewny siebie. Nigdzie w kraju nie dochodziło do tylu napadów na banki i bankowozy co w Bostonie i znający teren Dino był dla Frawleya wymarzonym partnerem.

Frawley miał trzydzieści trzy lata, był krępy, sporo biegał i miał doskonały wzrok. W FBI pracował od ośmiu lat, w tym od niespełna dwóch w bostońskim oddziale terenowym, po zaliczeniu wcześniej oddziałów w Miami, Seattle i Nowym Jorku. Był najmłodszym z agentów zajmujących się napadami na banki, jednym z pięciu przydzielonych do bostońskiej grupy zadaniowej, która prowadziła dochodzenia w sprawie przestępstw bankowych popełnianych w stanach Massachusetts, Rhode Island, New Hampshire oraz Maine. Jego służbowe stosunki z Dinem nosiły w zasadzie cechy relacji mistrzuczeń, tyle że potrafili wymieniać się rolami z dnia na dzień, a bywało, że i z godziny na godzinę.

Frawley naciągnął kapcie na buty i przygotował osobisty zestaw do przesłuchań: kartonową teczkę, notatnik i magnetofon. Rozejrzał się po mrowiu krzątających się po oddziale mundurowych mężczyzn w wiatrówkach z dumnymi akronimami na plecach.

– Gdzie ona teraz jest?

– W pokoju dla personelu na zapleczu. Wypuścili ją w Orient Heights, na północ od lotniska. Doszła pieszo do jakiegoś bazarku i stamtąd zadzwoniła. Wysłaliśmy po nią jeden z radiowozów,

które się tu zjechały na ciche wezwanie.

– Skąd było?

– Z boksu kasowego numer dwa. – Przeszli drzwiami dla personelu za boksy, gdzie opary były gęstsze, a biurowa wykładzina miejscami jaśniejsza. Dino pokazał notatnikiem pod biurko. – Przycisk alarmowy. Zastępcę kierowniczkę odstawiliśmy do Beth Israel, facet solidnie oberwał.

– Jego pobili, a ją zabrali na przejażdżkę i wypuścili?

– Całą i zdrową. – Brwi Dina powędrowały znacząco w górę.

Frawley odłożył na później weryfikację nasuwającego się wniosku. Po kolei.

– Wiadomo już coś o pojeździe?

– Przypuszczalnie furgonetka.

– Rozmawiałeś już z tą kierowniczką?

– Wolałem posłać do niej najpierw policjantkę.

Frawley spojrział ponad ramieniem Dina na skarbiec. Drzwi, z bolcami ryglującymi zamka wycofanymi do pozycji spoczynkowej, stały otworem. W środku dwaj technicy w kombinezonach i kapciach prowadzili oględziny ścian niebieskimi laserami. Proszek daktyloskopijny ujawnił piękny odcisk dłoni – ale małej, prawdopodobnie dłoni kierowniczkę – na zewnętrznej płycie drzwi, obok pokręta.

– Chwała o Poranku.

– Tak, z kinderniespodzianką do kompletu. Wyłączyli instalację alarmową i przebili się tu w nocy. Telefony w całym oddziale głuche. Po odebraniu cichego alarmu centrala ochrony BayBanks próbowała się tu dodzwonić, a kiedy się to nie udało, wysłali patrol. Szef ochrony już tu jedzie z kodami i technikami, ale jak sam zdążyłem ustalić, oddział jest podpięty pod dwie linie stacjonarne, a jakby co, to mają jeszcze komórkę. Nasi kolesie musieli zrobić z tą komórką jakiś szachermacher, bo przestała działać, no i odcięli jedną linię Nyneksu.

– Tylko jedną?

– Ekipa z Nyneksu jeszcze to sprawdza. Przypuszczam też, że skarbiec ma osobną instalację alarmową z bezpośrednim wyprowadzeniem do centrali ochrony, tak samo jak przyciski cichego alarmu przy kasach. Nasze chytruski o tym wiedziały, zaczekały na wyłączenie się blokady czasowej i dopiero wtedy kazały kierownicze otworzyć sezam.

– Pod przymusem.

– Tak zakładam.

Frawley zanotował to sobie.

– Mniej zachodu niż z wtaszczeniem tu sprzętu spawalniczego i butli z tlenem, i z przecinaniem ściany skarbcza.

Dino wzruszył kościstymi ramionami.

– Niezależnie od tego, czy się potrafi obejść

alarm skarbca, czy nie.

Frawley się zastanowił.

– Zdradzając, że potrafią zneutralizować zabezpieczenia skarbca, mogliby się za bardzo odkryć.

– Chociaż trafiają się w tym towarzystwie i tacy, którzy – jak sam wiesz – pozostawienie wizytówki poczytują sobie za punkt honoru.

Frawley kiwnął głową.

– A dzień, w którym nie obrobiją kogoś na żywca, uważają za stracony.

– Podsumowując, znajdują się na liniach telefonicznych i w ogóle na telekomunikacji.

Frawley kiwnął głową i rozejrzał się po zasmrodzonym banku, stojąc przy stanowisku kasowym numer dwa. Oczy zaczynały go szczypać.

– To nasi starzy znajomi, Dino.

– I ciskają nam teraz podkreconą piłkę. Rzuć okiem na to.

W bankowości detalicznej panuje zwyczaj sytuowania gabinetu kierownika oddziału od frontu, za szklanymi ścianami, przez które widać jak na dłoni, co się dzieje w środku. Ma to stwarzać iluzję przystępności i nadawać przyjazne, swojskie oblicze korporacji, która obciąża człowieka opłatami za to, że raczy mu oddać jego własne pieniądze. Kenmore Square to świetne miejsce – duży ruch pieszy,

zatrzęsienie studentów, nocne kluby, pobliska kręgielnia – ale sam lokal, głębszy niż szerszy za sprawą ciasnego zakrętu, którym kończy się tu ulica, na bank specjalnie się nie nadawał. Gabinet kierowniczkę upchnięto w korytarzu za kasami, w sąsiedztwie pokoju dla personelu i toalet.

W środku pracował policyjny fotograf, w błyskach jego flesza pokrywający biurko gruz z przebitego sufitu rzucał ostre cienie. Tak samo roztrzaskany telefon i monitor komputerowy. Przewody od nich oraz klawiatura zwisały nad podłogą jak wnętrzności. Na blacie, pomiędzy okruchami tynku, korkowej płyty izolacyjnej, betonu i szarymi cętkowanymi płatkami nie wiadomo czego, leżały równo przecięty pręt zbrojeniowy i fragment stalowej siatki.

Frawley spojrział na sufit. Przez wycięty w nim kwadratowy otwór widać było umywalkę, nad którą wisiała plansza z przekrojem oka. Złodzieje włamali się w nocy do gabinetu okulistycznego na piętrze i przebili stamtąd do banku. Oto uboczne skutki prowadzenia działalności gospodarczej w mieście takim starym jak Boston i powód, dla którego banki wolą otwierać swoje oddziały w budynkach wolno stojących.

W otworze pojawił się czerwony kask. Strażak udał zaskoczenie.

– Aleście mnie przestraszyli. Myślałem, że to

kasiarze!

Dino uśmiechnął się i kiwnął mu głową.

– Już na nogach, Spack?

– Właśnie przecieram oczy. To ten twój łąbski gościu?

– Agencie specjalny Frawley, przedstawiam wam kapitana Jimmy’ego.

Frawley pomachał do sufitu wolną ręką.

– Idealny kwadrat, sześćdziesiąt na sześćdziesiąt

– rzekł z uznaniem kapitan Jimmy. – Piękna robota.

Dino kiwnął głową.

– Nie da się ukryć.

– Mam nadzieję, że dorwiecie tych geniuszy, zanim rak ich załatwi. – Pokazał przez otwór palcem.

– Te szare farfocle to azbest.

– Są tam na górze jakieś narzędzia? – spytał Frawley.

– Nie. Żadnego.

Frawley przesunął wzrokiem po gładkich krawędziach otworu.

– Profesjonalna piła do betonu – ocenił, zwracając się do Dina.

– Tak, a pręt zbrojeniowy przecięty palnikiem. Żadna filozofia. Nasi kołesie to troglodyci bez polotu. Zwyczajne prymitywy.

– Prymitywy potrafiące obchodzić instalacje alarmowe – mruknął Frawley.

– Zostawmy Spacka nad tą dziurą – powiedział

Dino, odwracając się do wyjścia. – Hej, Spacky, tylko się tam nie przepracuj, bo przeforsujesz sobie członki, pójdziesz na chorobowe i będę miał wyrzuty sumienia!

Z góry dobiegł chichot strażaka.

– Spokojna głowa o moje członki, Dino! – zawołał kapitan Jimmy. – Jest tylko jeden, którego nie zawahałbym się dla ciebie przeforsować.

Wyszli tylnymi drzwiami na zewnątrz. Niewielki placyk poniżej poziomu ulicy, z miejscami parkingowymi i śmietnikami na łańcuchach, odpływ melioracyjny zapchany piaskiem, ziemią i odpadkami. Monotonny szum pojazdów pędzących w obie strony pobliską wylotówką.

Z metod napadania na banki Chwała o Poranku jest najpewniejsza i przynosi zazwyczaj największy połów. Zaskoczenie pracowników przed otwarciem placówki to mniej ludzi do upilnowania. Cała gotówka, jaką dysponuje oddział, znajduje się nadal w skarbcu, bo nie rozdysponowano jej jeszcze na kasy i nie porozmieszczano w sejfach przejściowych ani w szufladach na rezerwę, dzięki czemu wystarczy ją tylko zgarnąć i szybko wynieść. Typowa Chwała o Poranku to sterroryzowanie bronią, jeszcze na parkingu, osoby, która przyjechała z kluczami, żeby otworzyć oddział. Włamanie się pod osłoną nocy do środka, żeby tam czekać na przybycie kierowniczkę –

tak zwana kinderniespodzianka – sugerowało większą finezję w planowaniu skoku oraz niezwykłą u znanych z lenistwa sprawców napadów na banki gotowość do ciężkiej pracy.

Frawley patrzył na fotografkę przykładając miarkę do śladów opon na piasku. Chciał już do niej zawołać, żeby dała sobie z tym spokój. Skradziona furgonetka użyta w napadzie zostanie za kilka godzin odnaleziona na jakimś ustronnym parkingu, spalona.

Wyobraził sobie załadunek łupu. Robią to w pośpiechu, ale bez paniki, cichy alarm wyje tylko w ich głowach. Po co tracili czas na pobicie zastępcy kierowniczkii? Wyczyścili skarbiec i byli już właściwie na wylocie. No i to zgarńnięcie kierowniczkii, bez sensu. Ten element nie pasował zupełnie do całości i jako taki stanowił dla Frawleya punkt zaczepienia.

Plama krwi, która wsiąkła w wykładzinę za boksami kasowymi, przypominała kształtem kontynent afrykański. Technik z laboratorium pobierał z niej próbki i umieszczał włókna w brązowej kopercie.

– Był tym przypięty do krzesła. – Dino pokazał torebkę na dowody, w której znajdowała się przecięta plastikowa opaska zaciskowa z ząbkami. – Złamali mu szczękę, kość policzkowa i kości wokół oka też chyba zgruchotane.

Frawley kiwnął głową, śmierdziało tu jak nigdzie. Wybielacz skutecznie rozkładał DNA. W laboratorium kryminalistycznym FBI używano go do czyszczenia powierzchni roboczych, żeby ustrzec się przed ewentualnym wzajemnym zanieczyszczeniem badanych próbek. Słyszał, że wybielaczem niszczą pozostawiony na ciele ofiary materiał genetyczny gwałciciela, ale po raz pierwszy spotykał się z użyciem go podczas napadu na bank.

– Wybielacz, tak?

– Lekka przesada. Ale z drugiej strony ostrożności nigdy za wiele, jeśli koczowało się tutaj pół nocy.

– Panicznie boją się wpadki. Niejedno muszą mieć na sumieniu. – Frawley przesunął pager na biodro i przykucnął za trzecim boksem kasowym. Na blaknącej wykładzinie leżały jasne okruszki rozpuszczone częściowo przez wybielacz. – Piknik tu sobie urządzili.

Dino zatknął automatyczny ołówek za ucho i też przykucnął.

– W robocie człowiek głodnieje, Frawl. Mówiłem ci, że to prymitywy. Jajka na twardo, termos z kawą. Bandziory z wałówką.

Gino podniósł się z kucek, ale Frawley pozostał jeszcze w tej pozycji. Wyobrażał sobie przestępców, jak czekają tutaj na wschód słońca, a cały bank mają dla siebie. Wstał w końcu i spojrzał ponad boksem

kasowym na okna od frontu i plac za nimi. Coś mu się mgliście przypominało, że chyba przebiegał tamtędy wczoraj – ten ciąg budynków, bolesne skurcze w łydkach, doping tłumu.

– Czy tędy nie przebiega czasem trasa maratonu?

– O, kurza stopa, Frawl, zupełnie zapomniałem. No popatrz tylko. Dwadzieścia sześć i dwie dziesiąte mili w nogach, a ty na chodzie jak gdyby nigdy nic.

Frawley przesunął przywieszony do paska pager z powrotem na brzuch.

– W niecałe trzy i pół godziny – powiedział. – Jestem z siebie dumny.

– Moje gratulacje, wyczynowcu. To jedyna dyscyplina sportu, jaką uprawiasz. O czym rozmyślasz, kiedy tak biegniesz i biegniesz?

– O finiszu – mruknął Frawley, przenosząc wzrok na otwartą kasetę stojącą na pulpicie kasy. – Czyli gabinet okulistyczny był wczoraj nieczynny.

– Siłownia na ostatnim piętrze też, ale kilku pracowników przyszło, żeby popatrzeć z góry na bieg – panoramiczne okna, dobry widok. O szóstej wyszli. Policja przestała kierować ruchem o ósmej wieczorem, chociaż na trasie byli jeszcze biegacze. Nasze ptaszki miały sporo czasu na to, żeby dostać się do budynku, wyciąć dziurę w suficie i zeskoczyć przez nią tutaj.

– Są młodzi. Opuścili się z otworu sześćdziesiąt na sześćdziesiąt.

– Fakt, stara gwardia to nie była. Ci ze starszego pokolenia nie skakaliby z sufitu na twardą podłogę.

– Jak dostali się do budynku?

– Drugimi tylnymi drzwiami. Oddzielnym wejściem dla pracowników firm z wyższych pięter.

– Zewnętrzne kamery monitoringu?

– Bank ich chyba nie ma. Ale sprawdzimy. Chociaż jeśli to ci, o których myślimy...

– Tak, to nawet gdyby były, są już obsłużone. – Frawley wziął się pod boki, uda i łydki wciąż go piekły. – He według ciebie mogli tu zgarnąć?

– Tak na oko? – Dino odetchnął głęboko i idąc za przykładem Frawleya, rozejrzał się. – Pula do wzięcia była tu niewąska. Święto, setki uczestników maratonu. Ładna pogoda, plac pełen głodnych kibiców biegu. Księgarnia, butiki po drugiej stronie ulicy – chociaż tam płaci się głównie kartami kredytowymi. Ale jest jeszcze sklep spożywczy, McDonald, ta kawiarnia Espresso Royale. No i Soksi są w mieście, a to znaczy, że okoliczne restauracje i bary przeżywały przez trzy dni oblężenie i zarabiały krocie. Plus – Jezu – te nocne kluby przy Landsdowne Street. Ich łączny utarg z soboty i niedzieli? – Dino wypchnął językiem policzek. – Będę strzelał. Skarbiec, nocne depozyty, bankomat. Powiedzmy... trzydzieści dwa. Plus minus dziesięć procent, tak, dobre trzydzieści dwa.

– Podbijam do trzydziestu pięciu – powiedział

Frawley, odwracając się twarzą do otwartego skarbca. – Kurwa, muszę dorwać tych gości.

*

Frawley czuł, że musi nawiązać jakąś emocjonalną więź z tym skarbcem. Dla niego to skarbiec był ofiarą. Nie korporacja, do której należał bank, nie władze federalne, które bank ubezpieczały i zatrudniały jego, Frawleya. Ofiarą był skarbiec: splądrowany, upokorzony, pohańbiony. Musiał nawiązać z nim jakąś więź, by – tak samo jak detektywi od zabójstw wzbudzający w sobie współczucie dla trupa – naładować akumulatory przed wyruszeniem na łów.

Salka ze skrytkami depozytowymi pozostała nietknięta. Przewiercanie każdej po kolei, kiedy szansa na to, że zawiera coś wartościowego, co nie jest ubezpieczone ani namierzalne, była jak jeden do stu, wymagało cierpliwości ślepcy i samozaparcia grającego na loterii.

Wszedł przez otwarte drzwi do dobrze utrzymanego skarbca. Zdarzało mu się znajdować w takich miejscach marynarki albo parasole pozostawione przez kasjerów. Widział skarbcę wykorzystywane w charakterze pokoju śniadaniowego.

Szafki i drzwiczki pokrywał proszek

daktyloskopijny. W największej sforsowanej szafie zostały tylko чеки podróżne, stosy poprzedzianych papierowych banderol z kolorowym kodem oraz karty kontrolne kierowniczkі. Frawley spróbował zamknąć wygięte drzwi, dopychając je łokciem, ale otworzyły się z powrotem, popiskując na zawiasach.

Na szafkach z szufladami na gotówkę piętrzył się równy stosik sześciu odłożonych na bok i pozostawionych paczek trefnych banknotów. Frawley rozchylił jedną z tych wzgardzonych paczuszek i znalazł w niej saszetkę z barwnikiem. Rozpoznał znak firmowy SecurityPac. Saszetki barwiące, po wyniesieniu ich z siedziby banku, uaktywniają się na sygnał z elektronicznego nadajnika ukrytego w pobliżu drzwi. Urządzenia wyposażone są w zapalnik nastawiony na dwadzieścia lub więcej sekund, po których upływie saszetka staje w ogniu i płonie w temperaturze dwustu stopni Celsjusza, za wysokiej, by złodziej mógł ją chwycić i wyrzucić. Uwalniana przy tym chmura niedającego się wywabić czerwonego proszku barwiącego w aerozolu plami nieodwracalnie banknoty, spowija delikwenta i farbuje mu skórę nalotem, którego przez wiele dni nie można zmyć. Nie wszystkim wiadomo, że wiele z tych saszetek wypuszcza również obłoczek obozwiądniającego gazu łzawiącego.

Frawley zajrzał do wysuniętych szuflad. Na dnie każdej przegródki zostały tylko paczuszki lipnej

gotówki na przynętę. Lipna gotówka to w złodziejskim żargonie banknoty dziesięcio – lub dwudziestodolarowe, których nominały, rok emisji i numery seryjne są zapisane i przechowywane przez bank zobligowany do tego przez federalne przepisy ubezpieczenia wkładów bankowych. Stanowią one papierowy ślad łączący podejrzanego i gotówkę, którą miał w kieszeni, z miejscem przestępstwa.

Wiele paczek tej gotówki zawiera również czujnik w postaci wąskiego paska magnetycznego, który po znalezieniu się poza szufladą wyzwala sygnał cichego alarmu przesyłany do policyjnego centrum dowodzenia. Czujniki te działają na tej samej zasadzie co lokalizatory w skradzionych samochodach. Niejeden drobny złodziejasek, aresztowany we własnym domu parę godzin po na pozór udanym podprowadzeniu tysiąca dwustu dolarów z bankowej kasy, dopiero na sali sądowej dowiadyuje się, jakim cudem FBI go wytropiło.

W skarbcu nie było wykładziny, która wchłonęłaby wybielacz, i smród oparów wprost zatykał, ale Frawley pozostał w środku tyle, ile mógł. Żałował, że skarbiec nie może go poprosić o pomszczenie krzywdy, jaką mu wyrządzono. Że to nie ktoś, komu mógłby uścisnąć dłoń w uspokajającym geście i zaproponować układ gliniarz-ofiara. Wtedy nie musiałby się tak przekonywać do tego pustego, bądź co bądź, magazynu.

Technik pobierał wacikiem na patyczku wymaz do badania DNA z wewnętrznej strony policzka kierowniczkii oddziału i zdejmował odciski palców, a Frawley odbijał tymczasem na bankowej kserokopiarce kwestionariusz z danymi personalnymi kierowniczkii.

Claire G. Keesey. Data urodzenia 4/16/66. Zaraz, zaraz... Przeczytał to jeszcze raz. A więc dzisiaj są jej trzydzieste urodziny.

Dino poszedł obejrzeć górne piętra budynku, przesłuchanie świadka pozostawiając jemu. Kiedy się przedstawiał, wycierała właśnie poplamione tuszem palce i zwyczajowy uścisk dłoni wyszedł im jakoś niezgrabnie. Podał jej odkapslowaną butelkę poland springa. Podziękowała, upiła łyk i odstawiła na stół, na którym stała już puszka po dietetycznej coli.

Frawley posadził ją plecami do drzwi, żeby nie rozpraszali jej przechodzący za nimi policjanci, sam usiadł naprzeciwko, w kącie. Odór wybielacza był tu prawie niewyczuwalny. Poprawiła się na krześle i uśmiechnęła niepewnie, przygotowując do przesłuchania. Zacierała złożone na podołku dłonie, tak jakby było jej zimno. Ramiona miała obnażone.

– Bez żakietu dzisiaj? – zagaił Frawley.

– Ktoś go zabrał – odparła, oglądając się na drzwi. – Jako dowód. Oni tam... oni spruli go na opaskę na oczy dla mnie.

– To może...? – Rozchylił z pytaniem w oczach poły marynarki. Kiwnęła głową. Wstał i zarzucił jej marynarkę na ramiona. Zanim zdążył z powrotem usiąść, wsunęła ręce w rękawy. Były trochę za długie. Gdyby wiedział, że wypadnie mu dzisiaj użyć marynarki kobiecie, wybrałby nowszą. – Na pewno nic pani nie jest, nie chce się pani poddać obdukcji?

– Zesztywniałam tylko – powiedziała.

– Żadnych stłuczeń, sińców?

– Żadnych – powiedziała, uzmysławiając sobie dopiero teraz, jakie to dziwne.

Frawley pokazał jej magnetofon mikrokasetowy, po czym włączył go i położył na stole.

– Panno Keesey, zacznijmy może od porwania, a potem wrócimy do samego napadu.

Na słowo „porwanie” zamrugła i przełknęła z trudem linę. Ta trauma miała wiele warstw, a ona była w niej zanurzona dopiero na głębokość drugiej, może trzeciej.

– Nieczęsto się zdarza, żeby uprowadzano pracownika banku po udanym napadzie. No ale zdarzyło się, spędziła pani sporo czasu w towarzystwie bandytów i być może ma jakieś ważne dla śledztwa informacje. Jestem lokalnym koordynatorem FBI do spraw napadów na banki i tym się właśnie zajmuję, przestępstwami bankowymi, tak więc interesuje mnie wszystko, co pani wiadomo,

każdy szczegół, nawet to, co pani może się wydawać nieistotne.

– A czy... nie mogę się od nikogo dowiedzieć, co z Davisem.

– Pani zastępcą? – mruknął Frawley. – Jest w szpitalu, ale nic mu nie będzie. Poturbowany, lecz wyjdzie z tego. To chciała pani wiedzieć?

Kiwnęła głową i potarła dłonią policzek, zaschnięty tusz na palcach nie pozostawił na nim żadnych smug.

– Widziała pani, jak go biją? – spytał Frawley.

Spuściła wzrok i kiwnęła głową.

– Brutalne to było – stwierdził.

– Tak... wolałam nie patrzeć.

– Ale po kolei. Zakładam, że uwalniając panią, bandyci czymś pani grozili. Zakazali jakiegokolwiek współpracy z policją, z FBI, tak było?

– Tak.

– Mhm. A może mi pani powiedzieć, czego dotyczyły te pogróżki?

– To było, kiedy się zatrzymaliśmy. Jeden z tych, co siedzieli z przodu – ten, który prowadził mnie do skarbcza – miał moją torebkę.

– Zaraz, chwileczkę. Przez całą drogę oczy miała pani zawiązane, tak?

– No... tak, ale on nią potrząsnął. Nazywam ją torebką, ale tak naprawdę to duża sportowa torba. A ja znam odgłos, jaki wydają rzeczy, które w niej

noszę, przy potrząśnięciu. Otworzył moją saszetkę i powiedział, że wyjmuję z niej moje prawo jazdy. Odczytał mi z niego na głos moje dane. A potem powiedział, że je zatrzymuje, znaczy prawo jazdy, i jeśli...

– Jego słowami, jeśli pani pamięta.

Przekrzywiła głowę, spuściła wzrok i powtórzyła cicho słowo w słowo:

– Jak chłapiesz coś o nas FBI, to wrócimy po ciebie, wydymamy i ukatrupimy.

– Mhm. – Frawley udał, że to zapisuje, po czym spojrzał na nią znowu z neutralnym uśmiechem. – Zastraszanie, jak powszechnie wiadomo, należy do żelaznego repertuaru bankowych bandytów. Niech się pani nie przejmuje. Mają swoje pieniądze, wydaje im się, że są już bezpieczni, i mogą panią zapewnić, że ani im w głowie się teraz wychylać. Za żadne skarby nie zaryzykowałiby niczego, co mogłoby nas naprowadzić na ich ślad.

– Ja... wierzę panu.

Kazał sobie opowiedzieć ze szczegółami, jak wyprowadzano ją z banku do czekającego na zewnątrz pojazdu.

– Jest pani pewna, że to była furgonetka?

– Tak. Drzwi się przesuwają jak w furgonetce. Trzęsło, kiedy jechaliśmy.

– Przypomina pani sobie, czy rano, po przyjeździe do pracy, zauważyła pani na zewnątrz jakąś

furgonetkę?

Ściągnęła brwi, pokręciła głową.

– Czy ja wiem... Chyba jakąś białą.

Opisała mu wrażenia z jazdy.

– I nie widziała pani niczego przez tę opaskę?

Albo pod nią?

– Od czasu do czasu wąski pasek światła. Swoje uda na siedzeniu. Siedzenie było białe albo jasnokremowe.

– Żadnych rozbłysków mijanych świateł? Tam z tyłu, gdzie pani siedziała, były okna?

– Czy ja... nie. Trudno powiedzieć. Nie pamiętam.

– To była furgonetka osobowa.

– Chyba tak. Tak.

– Nie jest pani pewna?

– Nie wiem, co to „furgonetka osobowa”. Jeśli chodzi o minivana, to owszem, jestem pewna. Tej zimy wybraliśmy się z kilkorgiem znajomych na narty do Maine wynajętym minivanem. Nazywał się villager, zapamiętałam, bo to dziwna nazwa dla samochodu. Nie wiem, czy ten był taki sam, w każdym razie podobny.

– Tak, rozumiem. Pod jakim względem podobny?

– Miał dwa dzielone siedzenia z przodu. Za nimi była kanapa, na której ja siedziałam, a za nią jeszcze jedna kanapa. – Znowu się skrzywiła. – Może za

bardzo się nad tym rozwodzę, ale sam pan prosił.

– Wiem, wszystko w porządku. – Chciał ją jakoś ośmielić, ale bez uciekania się do pochlebstw, bo to mogłoby wypaczyć jej relację. – Gdzie pani siedziała?

– Na środkowej kanapie. Tak, na środkowej.

– Ile jeszcze osób na niej siedziało?

– Oprócz mnie tylko jedna.

– Po pani...?

– Po mojej prawej.

– Od strony drzwi. Pani siedziała pod ścianą. I myśli pani, że okien tam nie było. Ilu siedziało z przodu?

– Dwaj mężczyźni.

– A za panią siedział ktoś jeszcze?

– Tak.

– Dwóch mężczyzn z przodu, jeden obok pani i jeden za panią.

– Chyba... tak.

– I w furgonetce byli bez masek.

– Nie wiem, czy na pewno. Nie mam pewności.

Frawley był zły sam na siebie, że koncentruje się na tej furgonetce. I tak znajdą ją spaloną.

– Jak się między sobą komunikowali? Dużo mówili?

– Bardzo mało. „W prawo”. „W lewo”. „Nie”. „Tak”. Takie mruknięcia. – Spojrzała na niego. – Ale stąd wiem, że zdjęli maski.

- Zmienione głosy.
 - W banku wyglądali w nich strasznie. Tacy wykrzywieni i... jak nie ludzie. Jak potwory. Mogę... mam opisać te maski?
 - Poproszę.
 - Wszystkie były takie same. Takie, jaką nosił Jason w Piątku trzynastego.
 - Ma pani na myśli maski hokejowe.
 - Tak, ale... z narysowanymi bliznami. Zszytymi czarną nicią.
 - Zszyte blizny? – podchwycił Frawley.
 - Coś jak te naszywki na rękawie wojskowego munduru. Sznyty. – W jej wpatrzonych w przestrzeń oczach pojawił się lęk. – Po co? Co te blizny miały symbolizować?
- Frawley pokręcił głową. Dziwny szczegół, a takie w dochodzeniu, które rozpoczynał, były mile widziane.
- Czyli w furgonetce niewiele się odzywali. Z niechęcią wróciła tam wspomnieniami.
 - Niewiele.
 - Odnosiła pani wrażenie, że wiedzą, dokąd jadą?
 - Tak, raczej wiedzieli.
 - Powiedzieli pani, dokąd?
 - Nie.
 - Zapowiedzieli, że panią uwolnią?
 - Nie.

- Spodziewała się pani, że to zrobią?
- Ja... – Patrzyła w przestrzeń, jak w transie. –
Nie.
- Czy furgonetka zatrzymywała się po drodze?
- Tak.
- W jakim celu?
- Chyba na światłach.
- Rozumiem. Drzwi się nie otwierały, nikt nie wsiadał ani nie wysiadał?
- Nie.
- I nie próbowała pani uciekać?
- Mrugnięcie.
- Nie.
- Jechaliście drogą szybkiego ruchu?
- Tak, przez jakiś czas.
- Pas bezpieczeństwa miała pani zapięty?
- Przesunęła dłonią w poprzek piersi, przywołując wspomnienia.
- Tak. – Wlepiała w niego zielone oczy. – Nie próbowałam uciekać, bo oni mieli pistolety.
- Mhm. – Nie chciał wyrywać jej z tego transu. –
Nie zadawała im pani żadnych pytań?
- Pokręciła głową.
- A oni coś do pani mówili?
- Nie.
- Nic nie mówili. Czyli w zasadzie siedziała pani na tej tylnej kanapie zapomniana.
- Na środkowej kanapie.

- Fakt.
- Tak. Tyle że...
- Słucham, słucham.

Znowu była myślami gdzieś daleko.

– ...że ten, który siedział ze mną. Nie przy mnie... na tym samym siedzeniu, na tej kanapie co ja. Ten, który zawiązywał mi oczy. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że... że on na mnie patrzy.

- Patrzył na panią.
- Nie żeby tak sobie. Nie wiem... jak to określić.

Może mi się tylko wydawało.

- A jak sobie?
- No... wie pan, nie tak zwyczajnie, dla samego patrzenia. Sama nie wiem. Przyglądał mi się.
- Przyglądał się pani natarczywie. Co dalej?

Łzy napłynęły jej do oczu na to wspomnienie.

– Jechaliśmy i jechaliśmy. Odnosiłam wrażenie, że już całe godziny jesteśmy w drodze. Chyba popadłam w coś w rodzaju... wydawało mi się wtedy, że to trwa całą wieczność, ale teraz podejrzewam, że chwilami traciłam poczucie czasu. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że zjechaliśmy z głównej drogi i pokonujemy zakręt za zakrętem. Modliłam się, żeby się zatrzymali, żeby to się już skończyło – a kiedy się w końcu zatrzymali, zaczęłam ich błagać w duchu, żeby ruszyli i jechali dalej, niczego bardziej nie pragnęłam. Silnik wciąż pracował, ale ja czułam, że to koniec trasy. Właśnie

wtedy potrząsnęli moją torbą. – Przeniosła wzrok na twarz Frawleya. – A moje karty kredytowe, moje kluczyki od samochodu...?

– Jeśli się znajdują, dostanie je pani z powrotem. Czy groził pani ten siedzący obok?

– Nie. Nie, głos dobiegał z przodu, należał do tego agresywnego. Tego, który zaciągnął mnie do skarbcza. – Spojrzała na swoje poplamione tuszem palce i poruszyła nimi. – Miałam kłopoty z kombinacją.

– To on prowadził?

– Nie... nie, nie sądzę. Nie on, bo ja siedziałam po lewej, a jego głos dochodził z prawego przedniego fotela.

– On im przewodził?

– Nie wiem. Wiem tylko, że to on wtedy mówił.

– A ten siedzący obok pani?

Podciągnęła spódnicę, żeby założyć nogę na nogę, i Frawley zauważył jej brudne stopy w koronkowych pończochach. Była bez butów.

– Wyczuwałam jakieś napięcie.

– Między nimi? Czym się to objawiało?

– Ten agresywny uparł się, żeby mnie zabrać.

– Z banku. A tamci?

– Jeden się sprzeciwiał... Nie jestem pewna który, to się tak szybko działo. Chyba ten, który siedział ze mną.

– Tak więc ten agresywny, jak go pani określa,

zatrzymuje pani prawo jazdy.

– A potem usłyszałam, jak otwierają się boczne drzwi. I ten, który siedział obok mnie, pomógł mi wysiąść.

– To były drzwi przesuwne czy na zawiasach?

– Chyba... Nie pamiętam.

– I mówi pani, że ten, który przez całą drogę siedział obok, pomógł pani wysiąść?

– No, tak... Bałam się, że upadnę. Wszystkiego się bałam. On chyba to zauważył, bo mi pomógł.

– Czyli nie wywłókł pani z furgonetki siłą?

– Nie. Wziął mnie pod rękę, a ja przesunęłam się do wyjścia. Nie miałam innego wyboru.

– Zsadził panią, biorąc na rękę, czy tylko asekurował przy wysiadaniu?

– Nie byłam w stanie... to znaczy, byłam, oczywiście, przestraszona, bardzo przestraszona, przerażona. – Poprawiła się na krześle. – Ale to nie było... nie powiedziałabym, żeby on... może byłam naiwna. Gdyby na jego miejscu był ten agresywny, to na pewno nie obesłoby się bez szarpaniny. On by się ze mną nie ceregielił.

– Rozumiem, proszę się uspokoić. Potrafi pani określić jego posturę.

– Tak. Był duży.

– Duży w znaczeniu silny?

– Silny, wysoki.

– W pani odczuciu odnosił się do pani

przyjaźnie?

Zrozumiała sugestię Frawleya.

– Nie. Bezosobowo. Po prostu nie zachowywał się agresywnie.

– Rozumiem. A więc jest już pani na zewnątrz furgonetki?

– Jestem na zewnątrz i idziemy szybko. On trzymał mnie pod rękę. Od oceanu zalaływało brzydkim zapachem, śmierdziało, i wiał silny wiatr. Z początku myślałam, że jestem na lotnisku – słyszałam samoloty – ale to nie mógł być pas startowy, bo szliśmy po piasku. To była plaża. Kazał mi iść przed siebie i nie ściągać z oczu opaski, dopóki nie poczuję pod stopami wody. Strasznie wiało, w powietrzu unosił się piasek, nad nami przelatywały z rykiem samoloty – ledwie go słyszałam. Poczułam nagle, że nie trzyma mnie już pod rękę, że mnie puścił. Pamiętam, że stałam jak idiotka dobrą minutę, zanim dotarło do mnie, że mam iść. Ruszyłam drobnymi kroczkami – właściwie to nie były nawet kroczki, tylko powłóczenie nogami po zimnym piasku, bo ubzdurało mi się, że przede mną może być urwisko, a ja nie chciałam z niego spaść. To trwało dosłownie wieczność. Najdłuższy spacer w moim życiu. Górą przelatywał z narastającym rykiem któryś z rzędu samolot. Huk był straszny, miałam wrażenie, że zabiera ze sobą całe powietrze – i kiedy przeleciał, uświadomiłam sobie, że piasek już nie jest taki sypki,

a zaraz potem poczułam, jak woda omywa mi pięty. Ściągnęłam z oczu opaskę i okazało się, że jestem sama. I że uszłam co najwyżej dziesięć metrów. – Spojrzała na swoje zniszczone pończochy i potarła palcami jednej stopy piętę drugiej. – Dlaczego oni zabrali mi buty?

– Żeby nie mogła pani kopać ani uciekać, nie sądzi pani?

Sięgnęła po wodę i upiła łyk. Ręka drżała jej teraz bardziej.

– Kiedy mama zaprowadziła mnie po raz pierwszy do przedszkola i chciała wyjść, dostałam spazmów, a wtedy pani Webly zabrała mi za karę moje nowiutkie buciki ze skóry. Spazmy przeszły mi jak ręką odjął. – Potarła poplamione palce.

Frawley zaczekał, aż dopalą się w niej resztki adrenaliny, i przeszedł do samego napadu. Odpowiadała na jego pytania trochę nieskładnie, raz po raz wracając do tych rzucających się w oczy czarnych szwów na maskach przestępców. Kiedy opowiadała, jak tamten „agresywny” bił Davisa Bearnsa, łzy napłynęły jej do oczu.

– Leżał już razem z krzesłem na ziemi... związany, bezbronny... a on dalej okładał go pięścią.

– Widziała pani, jak pan Bearns uruchamia alarm?

Sięgnęła po poland spring, ale nie otwierała butelki, wpatrywała się tylko w kołyszącą się w

środku wodę. Oczywiście ofiary wypadku samochodowego. Coś tu było na rzeczy, ale nie potrafił określić, czy nieświadomie dotknął czułego punktu, czy po prostu dawała o sobie znać trauma.

– Nie – odparła cicho.

Odgłosy krzątania za drzwiami pokoju dla personelu przycichły.

– Pani Keeseey, jest pani pewna, że nie chce się poddać obdukcji?

– Jestem pewna. Nic mi nie jest.

– To była długa podróż. I sama pani powiedziała, że nie wszystko z niej pamięta.

– Po prostu... traciłam poczucie czasu. Popadałam w odrętwienie, i tyle.

– Proszę się dobrze zastanowić. To nie zaszkodzi.

Spojrzała na niego znowu, tym razem chłodniej, asertywnie.

– Do niczego nie doszło.

Frawley kiwnął głową.

– Okay.

– Ale tak sobie właśnie wszyscy pomyślą, prawda?

Spróbował zmienić temat.

– Czy ktoś tu przychodzi, żeby...

– On wodził lufą pistoletu po moim pośladku. – Zamrugnęła, walcząc ze łzami i zmęczeniem. – Ten agresywny. Kiedy staliśmy przed skarbcem. I szeptał

mi do ucha, co by miał chęć ze mną robić. To wszystko.

Frawley zaczął od potrząśnięcia głową, potem wzruszył ramionami, w końcu odchrząknął i wydusił z siebie:

– Byłaby pani skłonna mi powtórzyć, co szeptał?

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Nie byłabym – ucięła.

– No nic – bąknął Frawley. – Okay.

– Patrzy pan teraz na mnie jak na jakąś głupią...

– Nie, nie, nie.

– Na taką, co bzyka się w furgonetkach z kim popadnie.

– Nie. Proszę posłuchać...

Sięgnął na wpół machinalnie do swojego magnetofonu. Tak naprawdę nie miał jej nic do powiedzenia i uczynił to w nadziei, że naciśnięcie klawisza STOP zostanie przez nią odebrane jako propozycja porzucenia tego krępującego tematu.

Siedziała zatopiona w myślach, oddychała głęboko.

– Kiedy szłam przez plażę... o niczym nie myślałam.

O niczym ani o nikim. Ale tam, w pędzącej furgonetce, gdy siedziałam z zawiązanymi oczami, zobaczyłam całe swoje życie. Zobaczyłam siebie, jaka byłam, jaka jestem, całe swoje życie aż do dzisiaj. Dziś... są moje urodziny.

– Rozumiem – mruknął Frawley.

– Wielkie mi coś. Dzień jak co dzień. Nie widzę w nim nic szczególnego. – Założyła ręce na piersi, bosa noga w pończosze podrygiwała jej nerwowo. – Nic a nic.

Zdawkowe dziękuję i uścisk dłoni mogłyby to szybko zakończyć, ale ona miała wciąż na sobie jego marynarkę.

– Wyobraźmy sobie następującą sytuację – odezwał się Frawley – w kolejce do bankowego okienka stoją klienci z czekami do zrealizowania, nagle do banku wpada jakiś popapraniec i oznajmia, że to napad. Panuje powszechna opinia, że napad na bank to przestępstwo niepociągające za sobą ofiar, przestępstwo niegroźne. Ale widywałem ludzi, dla których po podobnym doświadczeniu życie już nigdy nie wyglądało tak samo. Weźmy na przykład kasjerkę, która patrzy w lufę pistoletu wycelowanego w jej twarz – to może zmienić czyjeś życie na zawsze. Mówię to, żeby mogła się pani przygotować.

– Jeszcze się nawet nie rozplakałam...

– Poziom adrenaliny opadnie i przez jakiś czas będzie pani pewnie odczuwała przygnębienie. Tak jak podczas żałoby – po prostu trzeba przez to przejść. To normalna reakcja. Jedni szybko odbijają się od dna, inni dochodzą do siebie powoli, stopniowo, aż w końcu nastaje taki dzień, kiedy budząc się, nie myślą już, co ich spotkało. Przez jakiś

czas będzie pani widziała tych gości za każdymi zamkniętymi drzwiami. Ale to nie potrwa długo.

Wpatrywała się w niego z przejęciem, zupełnie jakby odkrywał przed nią karty tarota. Wiedział, że musi się mieć na baczności. Ładna, poszkodowana, wystraszona dziewczyna. Wykorzystanie tego byłoby jak zabranie lipnej gotówki ze skarbca. Ona była teraz jego skarbcem, jego świadkiem.

– I proszę odstawić dietetyczną colę – dodał. – Żadnej kofeiny ani alkoholu, to podstawa. Tylko woda. W wewnętrznej kieszeni marynarki znajdzie pani moją wizytówkę.

Wyłowiła ją, kiedy wstawał.

– A co z moim samochodem?

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go pani zabrała. Ale usunięcie całego proszku daktyloskopijnego z karoserii będzie wymagało ręcznego szorowania. Jeśli nie ma pani zapasowych kluczyków, to niech się pani zgłosi do diler. Powinien mieć rezerwowany komplet.

Podkurczyła palce u nóg.

– A moje buty?

– Buty będziemy musieli na jakiś czas zatrzymać. Ci z laboratorium kryminalistycznego tacy już są. Gdyby mogli zapakować panią w papierową torbę i potrzymać parę tygodni na półce, zrobiliby to jak nic.

– Może i dobrze by było. – Podniosła się z

krzesła, zdjęła marynarkę i przed oddaniem mu jej wygładziła rękawy. – Dziękuję. – Rzuciła okiem na jego wizytówkę. – Agencie Frawley.

– Nie ma za co. – Zarzucił marynarkę na ramię. Promieniowała kuszącym ciepłem. – I proszę się nie przejmować tymi pogroźkami. Niech się pani skoncentruje na sobie.

Kiwnęła głową i spojrzała na drzwi, ale nie ruszała jeszcze w ich kierunku.

– Zresztą na moim prawie jazdy... i tak jest stary adres.

Nie miał serca jej dobijać i przypuszczenie, że była przez przestępców śledzona, i to najprawdopodobniej od kilku tygodni, zachował dla siebie. Obmacał marynarkę w poszukiwaniu długopisu.

– Proszę mi podać aktualny.

Frawley przyglądał się zamyślony, jak kierowniczka oddziału ściska siwowłosego mężczyznę o rumianej twarzy, w garniturze w jodełkę, który czekał na nią w przedsionku, przy dmuchawie.

– Obiecująco się zapowiadała – zauważył Dino. – Nie streścisz mi w dwóch zdaniach, co z niej wyciągnąłeś?

Frawley, patrząc wciąż na parę w przedsionku, pokręcił głową.

– Muszę wypełnić czterysta trzydziesty formularz wszczęcia dochodzenia dla Waszyngtonu.

– O, ho, ho – powiedział Dino, przysuwając się do niego. – Ten błysk w oku.

Frawley, odprowadzając wzrokiem córkę i ojca wychodzących pod rękę z banku, znowu pokręcił głową.

– Byłem już gotów ostatecznie uznać, że ona nie ma z tym nic wspólnego, a tu...

– Wal. Jakoś to zniosę.

– Okazuje się, że przed rokiem się przeprowadziła. Adres, który mieliśmy, jest nieaktualny.

– No to ma teraz nowy. I co z tego?

Frawley spojrzał wymownie na Dina i patrzył tak bez słowa, dopóki na znudzonej twarzy partnera nie zaczął zakwitać uśmiezek zrozumienia.

– Nie – stęknął Dino z udawanym niedowierzaniem. – Nie może być.

Frawley kiwnął głową.

– Charlestown.

ROZLICZENIE

Doug wyniósł zapiekanekę z szynką i serem z Foodmastera, przeciął Austin Street i pomaszerował odbiegającą od niej Old Rutherford Avenue w kierunku krytego lodowiska imienia O’Neila.

– Czołem, skarbie – powitała go zza lady wypożyczalni łyżew czerstwa kobieta z papierosem. Doug odpowiedział wesołym machnięciem ręki i szerokim uśmiechem, które nijak się miały do podłego nastroju, w jakim się znajdował. Za plecami kobiety, przypięte pinezką do ściany, wisiało wycięte z gazety zdjęcie przedstawiające jego w stroju drużyny hokejowej Charlestown High, które z całą premedytacją zignorował.

Lodowisko oświetlone było tylko na pół gwizdka. Pod zwisającymi spod dachu flagami klubowymi Boston Bruins i Charlestown Youth Hockey grupka przedszkolaków, pchając przed sobą skrzynki po butelkach na mleko i kuśtykając za nimi na czubkach łyżew, orbitowała w spowolnionym tempie wokół zażywnego instruktora. Dwie stojące przed bandami wychowawczynie, rozlazłe dziewczyny z dzielnicy w długich koszulach i

legginsach opinających słoniowate nogi, obrzuciły taksującymi spojrzeniami Douga zmierzającego w stronę pokieroszowanej łyżwami ławki kar.

Jem i Gloansy siedzieli w połowie wysokości trybun, pośrodku lodowiska, nad ławką kar, i pałaszowali na spólkę pizzę z kiełbasą i hamburgerem, popijając z papierowych torebek, w których sprytnie ukryli butle piwa wielkości artyleryjskich łusek.

– A wy tu co, pedofile? – zagaił Doug, przybijając z nimi po żółwiku i siadając rząd wyżej.

Freddy „Gloansy” Magloan z Magloanów z Mead Street był, podobnie zresztą jak siedmioro jego braci i sióstr, mocno piegowaty, i było to u nich rodzinne. Twarz miał dobroduszną i tępą, szczękę końską, a uszy tak pokryte piegami, że prawie brązowe. Ten sam nalot słonecznej rdzy powlekał mu również blade dłonie.

Jimmy „Jem” Coughlin z Coughlinów z Pearl Street był barczysty i muskularny, głowę miał wielkości małej dyni, a zaczesane do tyłu włosy gęste i brązowe jak stary miedziak. Jeszcze większej wyrazistości dodawały jego fizjonomii głęboka pionowa bruzda pod nosem, no i te błękitnobiałe jak płatki śniegu oczy. Jemowa maszyna funkcjonowała wyłącznie w jednym z dwóch trybów: Dusza Towarzystwa albo Gbur. Knykcie, ta jego banda czworga skupiona wokół złotego,

wysadzanego szmaragdzikami pierścienia z Claddagh, były jeszcze czerwone i spuchnięte po wycisku, jaki zgotował zastępcy kierowniczkii.

– Nasz mózg od szemranych interesów się zjawił – burknął Jem. – Gdzie Monsinior?

– Zaraz tu będzie – odburknął Doug, odkładając torebkę z zapiekanką na krzeselko upstrzone starymi, wydrapanymi nożem rasistowskimi sloganami.

– W mordę jeża, ta Cheryl – westchnął z rozmarzeniem Gloansy, przekrzywiając głowę i pożerając wzrokiem przedszkolankę o ciemnych kędzierzawych włosach wymykających się spod opaski w lamparcie cętki. – Jak ją tylko zobaczę, to zaraz mi się przypomina tamto grupowe zdjęcie z trzeciej klasy podstawówki – no nie, Douggy? Pośrodku pierwszego rzędu. Sukieneczka z falbankami z Domku na prerii, różowe plastikowe buciki. Rączki złożone, nóżki złączone i skrzyżowane w kostkach.

– Chyba ostatni raz to wtedy było – wymamrotał z pełnymi ustami Jem.

Doug pamiętał jeden dzień z czwartej klasy. Wychodzi po lekcjach z budy, a tam Cheryl na niego czeka. Żeby go pocałować, wyjaśniła, co też zaraz uczyniła – a potem odepchnęła go od siebie i uciekła z chichotem do domu, zostawiając go pod szkołą zbaraniałego i jeszcze przez kilka następnych lat zachodzącego w głowę, co z tymi dziewczynami.

Mieszkała do tej pory na osiedlu Bunker Hill, w tym mieście, ceglanym labiryncie pudełkowatych domków, których projektanci chyba za bardzo wzięli sobie do serca słowo „bunkier”. Przed dwoma laty jej młodszy brat, znany w Town pod ksywką Dingo, przeholował z prochami, skoczył z mostu nad Mystic River i zniesiony wiatrem od morza dosłownie odleciał. Jeszcze dwa domy, a spadłby na dach swojej matce. Któryś z tych czarnych szkrabów kuśtykających teraz po lodowisku był Cheryl.

– Pomyśleć tylko, gdzie też bywały te jej usteczka – wymruczał Jem.

– Zbastuj – fuknął z pełnymi ustami Gloansy.

– Od tej dziewczyny nawet plastikowa łyżka do zupy złapałaby trypra.

Gloansy przestał żuć.

– Daj przełknąć, do kurwy nędzy – wykrztusił.

– A słyszałeś, że jak raz dmuchnęła w alkomat, to jej wyszło, że jest w sztok w ciąży? – Jem nabrał w usta piwa i z gulgotem przepłukał nim sobie gardło. – Strach pomyśleć, jak musi wyglądać syfon odpływu, kiedy Gloansy wychodzi spod prysznic, pewnie cały obślimaczony i oblepiony włosami – wypisz, wymaluj migdałki Cheryl.

Gloansy, który właśnie przełykał, o mało się nie udławił.

– Jezu! – zaprotestował zduszonym głosem.

Na lodowisko wkroczył Desmond Elden. Był dobrze zbudowany, chociaż nie aż tak dobrze jak Jem czy Doug, braki w posturze nadrabiał jednak wyglądem intelektualisty, którego przydawały mu okulary Buddy Holly w grubych oprawkach. Był w butach montera, wypłowiałych džinsach i denimowej koszuli roboczej z logo Nyneksu na kieszonce, włosy miał przyklapnięte do głowy od noszenia przez cały poranek kasku firmy telefonicznej.

Dez pozdrowił w przelocie Cheryl i jej stadko uprzejmym „Siemata”, a potem z impregnowaną saszetką na lunch w ręku wspiał się na trybuny.

– Powinienem ci potrącić za to mizdrzenie – burknął Jem.

Dez usiadł rząd niżej.

– Co, nawet cześć już nie można powiedzieć?

– Kulturant obesrany – wycedził z pogardą Jem.

– Do nówek padam, rączki całuję.

– Gdzie zostawiłeś pikapa? – spytał Deza Doug.

– Na parkingu pod Foodmasterem. Jakiś radiowóz tam stał, i na wszelki wypadek szedłem tu okrężną drogą. – Dez, przytrzymując nylonową saszetkę między kolanami, odsunął zamek błyskawiczny i z uśmiechem wyjął grubą kanapkę owiniętą w papier śniadaniowy. – Mama nasmażyła wczoraj wieczorem kotletów – powiedział i odgryzł solidny kęs. – Musimy się spręzać. Najdalej za czterdzieści minut mam być na Belmont. Instaluję

tam linię ISDN.

Jem pociągnął sążnisty łyk piwa i wycelował w Deza palec.

– I właśnie dlatego za cholereę się nie wezmę do uczciwej roboty. Zagonię człowieka na śmierć.

– Amen, bracie – poparł go Gloansy, wznosząc toast.

Doug odpieczętował puszkę mountain dew.

– No to jedźmy z tym koksem.

Jem beknął donośnie, ale żadne z dzieci na lodowisku nawet się nie obejrzało. Doug upodobał sobie tę halę, bo miała fatalną akustykę. Od dłuższego czasu podejrzewał, że Town jest inwigilowane, ale przy tych dudniących zamrażarkach żadna pluskwa nie miałaby szans.

– Co tu dużo gadać – zagaił Jem. – Wygląda na to, że możemy spać spokojnie. Gazety wszystko pokiełbasiły, jak to one. Szło jak w zegarku prawie do samego końca, a na sam koniec się posypało.

– Duggy – odezwał się Gloansy – a mówiłeś, kurde, że bank wbija swoim ludziom do łbów, by włączali alarm dopiero, jak już jest po wszystkim.

– I wbija. Tak jest bezpieczniej. Poza tym bank jest ubezpieczony od uprowadzeń i wymuszeń, a podobne numery unieważniają to ubezpieczenie.

Jem wzruszył ramionami.

– Znaczy ten cwel narobił sobie koło pióra. Inna sprawa, że nie powinno do tego dojść. Mogło się,

kurwa, źle skończyć. No, pora się rozliczyć, a jak już o rozliczaniu mowa, to ktoś tu nie dopełnił swoich obowiązków i musi za to beknąć. Tak, tak, Gloansy, przyjacielu, konsekwencje trzeba ponosić. Masz potrącone.

Gloansy'emu szczęka opadła i z otwartymi ustami pełnymi przeżuwanej właśnie pizzy zagapił się na Jema.

– Co ty pierdolisz?

– To była twoja broszka. Wiedziałeś, że Monsinior Dez nie chciał, ale musiał zostawić alarm w kasach włączony.

– Ja mam mieć potrącone? Ja?

– Tylko to jedno miałeś na głowie. Pilnować, żeby delikwenci leżeli na podłodze i niczego nie kombinowali.

– Gówno prawda. – Gloansy był tak wzburzony, że zbierało mu się na płacz. – Gówno prawda, że tylko to. A kto podprowadził furgonetkę? Może mi powiesz, kutasie... może powiesz, że piechtą szłeś na robotę i piechtą wracałeś? A kto podpalał brykę, jak się przesiadaliśmy?

– A kto się gapił na tamtego szczyła przy bankomacie, zamiast pilnować bankowców?

– Kurwa... a przez kogo opóźniła się przesiadka? To ty się uparłeś, żeby zabrać tę kierowniczkę. Czemu sobie nie potrącis?

– Zamierzam. Tyle samo co tobie. Po sto

dolarów od łebka.

– Po stówie... – Twarz Gloansy’ego wypogodziła się, zniknęło nadąsanie. Dał Jemowi kuksańca w lewy biceps. – Ty skurczybyku, ty.

Jem uśmiechnął się szelmowsko i poklepał Gloansy’ego po policzku.

– W dupę mnie pocałuj, Shirley Temple.

– A ty mnie – odparował Gloansy i już całkiem uspokojony wepchnął sobie kawał pizzy do piegowatej gęby.

Doug zatopił zęby w zapiekance. Męczyła go już cała ta męska wymiana uprzejmości.

– A teraz szczęśliwy numerek – powiedział Jem, rozrywając torebeczki z solą i rozsypując ich zawartość po zamkniętym pudełku po pizzy. – Zysk na czysto, po odliczeniu kosztów własnych, wynosi... – nakreślił palcem w soli pięciocyfrową liczbę: 76 750.

Gloansy’emu, który ze swojego miejsca widział cyfry do góry nogami, oczy wyszły z orbit, kiedy wreszcie rozpracował sumę, jaką reprezentowały.

Dez kiwnął głową i z błakającym się po twarzy uśmiezkim zerknął na Douga.

Doug przełknął przeżuty kęs, schylił się i zdmuchnął solną liczbę.

– To po odjęciu tego – ciągnął Jem – co wrzuciłem do świnki na następny raz, na nowe narzędzia, bo stare wypieprzyłem. I tych paru paczek

nówek z kolejnymi numerami, które skremowałem, nie ma czego żałować. No i dziesięciu procent z tego, co zostało, dla Kwiciarza. W sumie niewąska wziętka. Aha... bym zapomniał. – Sięgnął do tylnej kieszeni. – Z bankomatu. Znaczki dla wszystkich.

– Te dziesięć procent dla Kwiciarza to z jakiej racji? – spytał Doug.

Jem rozdawał arkusze znaczków.

– Jego dola.

– A niby za co mu ją odpalasz?

– Bo nie ma się co oszukiwać, gościu wie, co jest grane. Tak trzeba.

– Skąd miałby wiedzieć? – Doug odłożył zapiekankę na papier rozpostarty na krzeselku obok. – Ja mu nic nie mówiłem. Nikomu nie mówiłem. Chyba że ktoś z was się przed kimś wygadał.

– Duggy. Ludzie wiedzą. W Town nic się nie ukryje.

– Niby skąd wiedzą, wytłumacz mi.

– Wiedzą i już.

– Co wiedzą? No co? Owszem, może im się wydaje, że coś wiedzą. Ale myśleć, że się wie, a rzeczywiście wiedzieć to zupełnie inna para kaloszy. Gliniarzom i tym z FBI też może się wydawać, że coś wiedzą. Ale tylko się im wydaje, bo inaczej nie siedzielibyśmy teraz tutaj, tylko zupełnie gdzie indziej, wyłączeni z gry.

– Fergie zna od groma tajemnic, Duggy.

– A teraz doszła mu do kolekcji jeszcze jedna, nasza. Moim zdaniem nie ma sensu topić w tym forsy.

– Jak mu nie odpalimy, mogą być kłopoty.

– Jakie? – Douga ponosiło i nawet nie próbował nad tym zapanować. – Jakie kłopoty? No, wyjaśnij mi. Weź tę sprawę „zmowy milczenia”, każdy w mieście to teraz gwiazda operowa. Miętoszą w rękach chusteczki i śpiewają policji i gazetom jak z nut. A ta gruba najgłośniej. Przysięgnij mi, że nie odwiedzasz go w sklepie.

– Spotykamy się na nabrzeżu. To kuzyn mojej matki, Duggy.

– Tak, kuzyn, piąta woda po kisielu. Nie jesteśmy Włochami, Jem. Dla nas taki pociotek to może czasem kartka z życzeniami na Boże Narodzenie, ale nie członek rodziny, za którego dasz się posiekać. Fedzie mają jego sklepik pod obserwacją, to, kurwa, pewne jak dwa i dwa cztery.

– Nawet jak ma, to myślisz, że on o tym nie wie?

Tu wtrącił się Dez:

– A te trzydzieści pięć tauzenów, czy ile tam mu dałeś, to on wypierze przed wysłaniem tej IRA?

Jem prychnął drwiąco.

– Ploty. Sam je rozpuszcza, żeby wyrobić sobie szacun na mieście.

– Dezowi się wydaje – powiedział Doug – że Fergie kwestuje dla IRA. A tak naprawdę tego nie

wie. Za to wie, bo to żadna tajemnica, że Fergie handluje prochami, nie wspominając już, że sam ma do nich pociąg. Jem, chłopie, spotykasz się na nabrzeżu z sześćdziesięcioletnim dziadygą naćpanym anielskim pyłem. Gawędzisz z nim o tym i owym, wręczasz pieniądze z banku.

– Słuchaj, z Fergiem warto trzymać sztamę, on tu pociąga za sznurki. Wiem, rozglądasz się za następną partaninką, ale on powiedział, tak tam napomknął, że ma na widoku parę tłustych kąsków, które by nam pasowały. Ze w ogóle moglibyśmy u niego kupować.

Doug o mało nie uniósł się z krzeselka w powietrze.

– Mielibyśmy pracować dla kogoś? Dlaczego? Podaj mi jeden dobry powód.

– Można się zdrowo obłowić.

– Zdrowo obłowić! – Doug pokazał na pudełko po pizzy, z którego zdmuchnął przed chwilą rozsypaną sól. – Alimenty z ciebie ściągają czy co, że tego ci jeszcze mało? Zgarnęliśmy więcej, niż daje się bez obciachu wyprać. Im większy skok, tym większa się z tego robi chryja, Jemmy. Fergie szuka teraz nowych frajerów, bo Booza kibluje ze swoją ferajną w New Hampshire, a ten porąbany synalek Booza, Jackie Szakal, zastrzelił uzbrojonego strażnika. I smród po tym wciąż wisi nad Town. Ile ten Jackie ma lat, jest w naszym wieku? Młodszy? I zgnije teraz w pierdłu. I tak by tam długo nie pożył,

bo głupi i pyskaty, a gdyby nawet jakoś się uchował, to osiemdziesięciu lat nie przetrzyma. A tyle mu przyfastrygowali, chociaż się wybronił z zarzutu morderstwa – za same tylko wymuszenia, plus nielegalne posiadanie broni. To już nie przelewki. Wszyscy, oprócz Monsiniora, jesteśmy na indeksie. Dwadzieścia lat można zarobić za sam napad z bronią w rękę. Jakby nas teraz posadzili, to umarł w butach. Dociera? Mam ci to wydrukować czarno na białym?

– Ja się już na żadne odsiadki nie piszę – odezwał się Gloansy.

– A ja jeszcze mniej. – Doug jeszcze nie skończył. – Prawo nie lubi profesjonalnych przestępców, a jeszcze bardziej przestępców brutalnych. Tym z FBI nie podoba się, że napadasz na banki, i wcale się z tym nie kryją. No i gites. Tak było, jest i będzie. Ale dorzuć do tego uprowadzenie i użycie siły, a łapy zaczynają ich, kurwa, świerzbić. Poczytują to sobie za osobistą zniewagę. Nagle robota zaczyna im się palić w rękach – pełna mobilizacja. Potrzebują wyników. A my nie możemy z nimi wygrać, kiedy wpadają w taki amok. Ten durny numer z Cagneyem, który wyciąłeś, wywabił ich z nory. W każdej robocie zdarza się popełniać błędy. Wic polega na tym, żeby się na nich, kurwa, uczyć, a nie naprawiać jeden drugim.

W ciszy, jaka zapadła, Doug uświadomił sobie, że jak na swoje stoickie usposobienie, wygłosił istną

tyradę. Tylko on mógł zwracać się do Jema w ten sposób, a i to na własną odpowiedzialność. Gloansy, a zwłaszcza Dez leżeliby już na ziemi z kolanem Jema na krtani.

Jem z ostentacją wydłubywał sobie językiem resztki jedzenia spomiędzy zębów. Dougowi było nieswojo, że tak długo się na ten temat rozwodził. Właściwie to nie wiedział, co go tak wytrąciło z równowagi. Te ich niewybredne żarciki, ten piwny chuch, pora dnia? Wspomnienia z młodości zataczające kółka na lodzie tam, na dole?

– A zresztą – fuknął, machając zrezygnowany ręką. – Chcesz odpalać dołę Kwiciarzowi, dobra, odpalaj. Włazić mu w dupę? Włóż. Ale ja pracować dla niego nie będę. Jesteśmy profesjonalistami, nie kowbojami z westernowej rewii. Tym się wyróżniamy. Dzięki temu jesteśmy górami w tej zabawie w kotka i myszkę. A jako wolni strzelcy musimy przez cały czas mieć się na baczności, bo inaczej dupa blada. Prędzej się wycofam, niż zostanę osobistym bankomatem jakiegoś gangstera. Gdybym miał chociaż cień przeczucia, że tak mogę skończyć, zrobiłbym to już teraz.

– Chrzanisz. – Jem się uśmiechnął. – Ty się nigdy nie wycofasz.

– Kiedyś muszę – mruknął Doug.

– Żeby nie ten twój kurewski nos do interesów, byłaby z ciebie prawdziwa stara baba. Tylko ty

mogłeś się tak wściec na tę chałturę.

Doug, żując zapiekanke, obserwował dzieci ni to zjeżdżające, ni schodzące na łyżwach z lodu.

– Działkę Duggy’ego mam na chacie – powiedział Jem, tak jakby nic się nie stało. Wręczył Gloansy’emu i Dezowi po kluczu z pomarańczową główką. – Wasze dole są w szafkach w szatni. Tylko pamiętajcie, że to wszystko brudy i trzeba je najpierw wyprać. A teraz ostatnia sprawa – kierowniczką.

Spojrzał na Douga. Doug wzruszył ramionami.

– No co?

– Zabrałeś mi jej prawko. Po co ci ono?

– Po nic.

– Mówiłeś chyba, że ona mieszka teraz w Town.

– Nie wróciła jeszcze do domu. Myślę, że możemy ją sobie odpuścić. Jeśli pozbyłeś się masek, nic na nas nie ma.

– Pewnie, że się pozbyłem.

– Widziałem, jak ci się żal rozstawać z tymi swoimi rękodzielami, więc wolałem się upewnić.

– Maski, narzędzia, wszystko zutylizowane.

Doug wzruszył ramionami.

– Może mi się wydawało.

– W wiadomościach pokazywali, jak ojciec po nią tam przyszedł – wtrącił Gloansy. – Taka spietrana jest, że gównem się od niej dowiedzą.

– Też tak myślę – mruknął Doug, wycierając nos. Sztucznie wytwarzane zimno robiło swoje.

– No, to by było na tyle – orzekł Jem. – Jesteśmy czyści. Na tym kończę nasze walne zgromadzenie akcjonariuszy.

Dez spakował do saszetki papier po kanapce.

– To ja spadam.

– Zaczekaj, idę z tobą. – Doug też posprzątał po sobie.

– Zaraz, a ty gdzie? – zachnął się Jem. – Przypiliło cię?

– Mam coś do załatwienia – mruknął Doug.

– Olej to. Całe lodowisko nasze. Zamiarujemy z Gloansym pośmigać sobie na łyżwach.

– Nie mogę. – Doug wstał. Dez przybił już żółwika i zbierał się do odejścia.

Jem spochmurniał.

– Mieszka facet u mnie, a ja go wcale nie widuję – poskarżył się Gloansy’emu.

– No nic, to ja lecę. – Doug nie dał się przekonać. – Wiesz, jak ze mną jest w przerwach między fuchami.

– Zostań. Mamy ze sobą kije, poprzytkamy sobie, rozerwiesz się. Gloansy przyniósł swoje rękawice bramkarskie, powyżywamy się na nim.

– Wal się – warknął Gloansy, unosząc do ust ostatni cienki plasterk pizzy.

– Idę – powiedział Doug, zstępując już po obdrapanych schodkach z trybuny. – A jak myślisz, że nie mam nic do roboty, to się mylisz. Trzymać

was, homosie, za twarz to nie w kij dmuchał.

– O, choroba, przepraszam – zakpił Jem. – Z tym to faktycznie roboty od groma.

Doug czekał przy drzwiach na Deza, który skręcił jeszcze do szatni po swoją działkę. Była zapakowana w szary papier i miała gabaryty dwóch grubych książek telefonicznych. Dez wsunął paczkę do płóciennej torby na zakupy, którą Jem zostawił w szafce, owinął ją ciasno nadmiarem materiału i wsadził sobie pod pachę, jak futbolista piłkę. Wyszli z hali w jasne światło dnia.

– Mama suszy mi głowę, żebym cię znowu przyprowadził na obiad – powiedział Dez.

– Dobra, na dniach wpadnę. – Stożące wysoko słońce przygrzewało. Wyziębionemu Dougowi zakręciło się w nosie, kichnął potężnie, jak z armaty.

– Szczęść Boże – powiedział Monsinior Dez.

Doug zerknął na niego spod oka.

– I co, od razu idziesz dać połowę na tacę?

– Nie mam teraz czasu. Po pracy.

– To święty Franek będzie musiał wstawić do konfesjonału wannę z gorącą wodą.

Dez spojrział poważnie na Douga.

– Podzielić łatwo – powiedział. – Nie?

Doug przetarł oczy.

– A, pieprzę to.

– Dlaczego? Dlaczego pozwalasz mu grać

pierwsze skrzypce? Przecież ty jesteś szefem. No i te spotkania w porcie, podejrzana sprawa.

Doug wzruszył ramionami, miał to w nosie.

– Słuchaj, co to jest ta linia ISDN?

– ISDN – skorygował Dez. – Szybki, szerokopasmowy internet. To tak, jakby hydraulik podłączył ci zamiast starej rury wodociągowej nową, o dużo większej średnicy. Światłowody. Z nimi surfowanie po sieci to jak przełączanie kanałów w telewizorze.

– Co ty powiesz? To nas w przyszłości czeka?

– To już jest. A jutro, kto wie? Niedługo kable przestaną być w ogóle potrzebne, to tylko kwestia czasu. A co za tym idzie, przestaną być potrzebni monterzy.

– To ty się może już teraz zacznij przekwalifikowywać.

Dez uśmiechnął się, spoglądając w kierunku drogi ekspresowej.

– To ja lecę. – Przybili żółwika i Dez, ściskając pod pachą zawiniątko z pieniędzmi, pomaszerował ulicą w dół.

Doug odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, w górę Old Rutherford, typując po drodze z przyzwyczajenia, w którym z zaparkowanych przy krawężniku samochodów można by ewentualnie upatrywać nieoznakowanego radiowozu. Skręcił w prawo w Devens i doszedł nią do Packard,

jednokierunkowej uliczki, jednej z niewielu w gęsto zabudowanym Town z zaułkiem od zaplecza. Od strony wąskiego zaułka domy miały łukowate okna z balkonikami Julii i maleńkie miejsca parkingowe oddzielone od siebie ceglanymi murkami. Na każdym brukowanym podwórczku stał pusty baniak na śmieci, brakowało takiego jedynie na placyku za domem Claire Keesey. Śliwkowy saturn też tam nadal nie parkował. Za siatkowe drzwi zatknięta była talia reklamówek garkuchni oferujących dania na wynos.

Nie przystawaj, upomniał się Doug w duchu, zaciskając pięści w kieszeniach ocieplanej kurtki i wmawiając sobie, że jest usatysfakcjonowany tym, co zobaczył. Ocalił ją tylko przed pobiciem, nic więcej. Spuścił głowę i jak zwyczajny przechodzień szedł dalej, nie zwalniając kroku.

PLAYSTATION

Z tyłu wzgórza znajdowało się Charlestown, gdzie nie stały latarnie gazowe. Był to rząd drewnianych szeregowców o spadzistych dachach, z drzwiami wychodzącymi na trotuary opadające pod kątem czterdziestu pięciu stopni ku morzu. Podczas pamiętnej zimy 1978 roku dzieciarnia z okolicy zjeżdżała stromiznami Mystic, Belmont i North Mead z zawrotną szybkością ponad dwudziestu mil na godzinę na plastikowych supersaucerach i złożonych kartonowych pudłach, tak zwanych bidasankach, by lądować twardo na przebiegającej dołem Medford Street.

Prace renowacyjne, które przywróciły dziewictwo takim chlubom Town, jak Monument Square, City Square i Heights, objęły również zdekapitalizowaną starą damę zwaną po prostu „tyłem wzgórza”, ale nie przekształciły jej jeszcze do końca. Przy tutejszych krawężnikach parkowały teraz na co dzień nawet audi i acury, w niektórych pojemnikach na odpady surowcowe leżały designerskie butelki po wodzie mineralnej, a większość frontowych elewacji po umyciu pod ciśnieniem ładnie odmalowano. W niektórych jednak

oknach wciąż wisiały irlandzkie koronkowe firaneczki i mieszkało tu nadal sporo bostońskich strażaków oraz pracowników służb miejskich.

Doug stał na szczycie Sackville Street i jadł kukurydzianą bułkę z masłem, którą wyjął z papierowej torby. Na dachu jego napoczętego przez rdzę caprice classica rocznik 1968 parował wysoki kartonowy kubek od LoriAnn z gęstą od mleka i cukru herbatą.

Jadał tu śniadania regularnie. W domu po drugiej stronie ulicy, na który teraz patrzył, wyłożonym soczyście czerwonym sidingiem ze śnieżnobiałymi listwami wykończeniowymi na krawędziach – dawniej gołębia szarość z łuszczącą się czernią – upłynęła mu młodość. Nadal uważał go za dom swojej matki, chociaż ta porzuciła zarówno dom, jak i jego, kiedy miał sześć lat. Ojciec zdołał go utrzymać jeszcze przez dziesięć lat, co znaczyło, że Doug, nie do wiary, przeżył już poza nim połowę swojego życia. Ten dom do tej pory rządził jego snami: potworny piec olejowy w kamiennej piwnicy; wyłożony ciemną boazerią salon z szafkowymi grzejnikami i musztardową tapetą; jego narożna sypialnia na piętrze przemiatana nocą światłami reflektorów przejeżdżających samochodów.

Przychodził tutaj, żeby się pozbierać. Spartaczona robota – a tę ostatnią tak oceniał, chociaż przyniosła im spory zysk – zawsze

wprawiała go w podły nastrój, chociaż nigdy z takim mentalnym podtekstem. Po wielekroć analizował w pamięci ten skok, starając się wychwycić popełnione błędy, i na koniec stawała mu za każdym razem przed oczami kierowniczką oddziału z zawiązanymi oczami, siedząca obok niego w furgonetce. Prześladowała go ta wizja. Kobieta wyglądała na taką bezbronną, a jednocześnie zachowywała taki spokój. Płakała bez łez – wyczuwał, jak drży, patrzył na jej ręce spoczywające bezwładnie na kolanach – była jak posąg płaczącej kobiety z opaską na oczach. Chodził za nią przez jakiś czas i teraz czuł, jak wsysa go tajemnica jej istnienia.

Dzisiaj zrywał z tą rutyną. Był kwiecień i trotuarami Town przelewały się tłumy takich Claire Keeseey zwabionych tutaj niskimi czynszami i bezpiecznymi ulicami, odsłaniających ramiona i nogi po długiej zimowej hibernacji. Town było w sezonie jak jezioro pełne rybek, tylko wędkę zarzucać. Ta mgła, czy jak to nazwać, która spowiła go na początku bankowej roboty i utrzymywała się przez kilka następnych dni, w końcu się unosiła.

Pokręcił głową i zmiął torebkę po bułeczkach. Nie będzie już się gryzł tym, czy dobrze zrobił, nie mówiąc chłopakom, że to ona uruchomiła alarm. Koniec. Historia. Karawana idzie dalej.

– Przejrzyj sobie – powiedział Jem.

Doug odstawił litrową butelkę mountain dew i wziął od niego wyświechtany wiosenny katalog Victoria's Secret. Strona po stronie, Jem pracowicie nakapał po kropelce wody na każdą pierś każdej z modelek prezentujących bieliznę, w wyniku czego cienki papier napuchł w tych miejscach, unosząc prężące się sutki.

Doug, przewracając kartki, kiwnął głową.

– To mówisz, że przez połowę poranka miałeś pełne ręce roboty?

– Zdarzają się takie dni, no wiesz. Budzi się człowiek napalony, z suchostojem. Tyle mam w sobie tej pierdzielonej energii, że już dwa razy dzisiaj ćwiczyłem, ramiona i łydki. A ty co robisz w te dni, kiedy nie możesz się na niczym skupić, bo się z kutasem na rozum wymieniałeś?

– Niektórzy nazywają to „hippiką na sprzęcie własnym”.

– Nie, nie. – Jem pokręcił głową. – Ja już z tym skończyłem.

– Że co proszę? – Doug uśmiechnął się. – Skończyłeś z tym?

– Mówią, że fajki wyciągają z człowieka ambicję? A ja mówię, że walenie konia to robi. Wyciąga z ciebie energię. Wymiękasz, i nie tylko pod tym jednym względem. Ja zawsze jestem po tym wymagany, oklapnięty. Poważnie.

– Schodź po trzy razy dziennie ćwiczyć do

piwnicy, a skutek będzie taki, że wszystkie plemniki odpłyną ci z powrotem do organizmu i przerobią cię na geja. Widziałem już takie przypadki, stary. Tragedia.

– Ekspert się znalazł.

– Właśnie wpadł mi do głowy pomysł radykalnego rozwiązania twojego problemu. Może byś się tak rozejrzył za jakąś dziewczyną na stałe i z jej pomocą sobie ulżył?

– Po mojemu dobrze jest, jak jest. A będzie jeszcze lepiej. Od abstynencji fiut charakternieje. Zaczyna kojarzyć, że sroce spod ogona nie wypadł. Po moim panu na jajach już to widać.

Doug sięgnął po pilota leżącego na stoliczku ze szklanym blatem i otworzył menu kablówki, które przysłoniło scenkę z jakiegoś erotycznego filmiku rozgrywającą się na ogromnym ekranie telewizora Jema ustawionego na Spice Channel. Wybrał spiratowaną usługę payperview, a z jej oferty film o kungfu.

– Wzrok też ci się poprawi. Mógłbyś już pomyśleć o wymianie telewizora na mniejszy.

– Ty, a może wytniemy taki numerek? Dziś wieczorem, co? Mówią, że od brandzłowania dłonie porastają włosami, nie? Ze skoku na Watertown zostało nam trochę tego klajstru, no tego, którym przyklejaliśmy sobie sztuczne brody i policzki. Bierzemy go, smarujemy sobie dłonie i oblepiamy je

kłakami z jakiejś wyskubanej peruki. Wchodzimy z fasonem do Szpunta, japiszony rozdziawiają gęby, a my przybijamy z barmanem piątki naszymi włochatymi grabami.

Doug uśmiechnął się.

– Ty wchodzisz, czytając swój katalog.

– Przed wejściem zmoczę sobie jeszcze rozporek, taka nieduża okrągła plamka. Niby że się spuściłem w spodnie. – Zademonstrował przed Dougiem swoje wejście do baru: dłonie w górze, biodra podane do przodu, szeroki irlandzki uśmiech. – Siemanko, wiara!

– Macie tu, jak na dłoni, jak się nam udaje obywać bez dziewczyn – dorzucił Doug.

– Jezu, czyli to działa. – Jem wskoczył w stylu Fonziego na swoją kanapę obitą zieloną skórą i chwycił PlayStation. – Bruinsi! – zawołał.

Zagrali na trinitronie Jema w NHL '96. Na początek dwa zwyczajne spotkania z ogłuszającym dopingiem rzesz kibiców w stereo, potem porzucili krążek i zaczęli ślizgać swoich zawodników po lodowisku w poszukiwaniu guza, doprowadzając do brutalnych czołowych zderzeń i bezpardonowych bodiczków, aż wreszcie kaski poleciały z głów, kamera zrobiła najazd, komputerowe ludziki pościągały rękawice i komentator ryknął z przestrzennym efektem: MŁOCKA!

W pewnej chwili rozgrzany grą Jem spojrzał na

Douga z ogniem w oczach.

– Rozpierducha jak za dawnych, dobrych czasów, stary! Możesz mi, kurwa, powiedzieć, czemu na co dzień takiej nie robimy?

Po jakimś czasie Doug poczuł parcie na pęcherz i omijając kolumny głośnikowe, poszedł się odlać. Zapuszczona, wyłożona kafelkami w szachownicę łazienka, zbutwiała zasłonka prysznicowa, zaśniedziałe rury biegnące przez sufit do jego łazienki na drugim piętrze: wszystko to wydawało mu się wirtualne, rozmigotane, rozbite na piksele. Odnosił teraz wrażenie, że bardziej realne od domu matki Jema jest tamto generowane komputerowo lodowisko z idealnym lodem.

Wyszedł z powrotem do wąskiego korytarzyka o rozfalowanych ścianach i migocących narożnikach, świat ze szwami, spojrzął na oprawione w ramki zdjęcie kardynała Cushinga nad dawno wyschniętą kropielnicą, rozmazane jak kiepska grafika.

Dolatujący z dołu brzęk obluzowanej szyby w drzwiach wejściowych zelektryzował Douga, wraz ze skutkami działania kofeiny i otumanieniem wyciekającym z jego alternatywnego świata opadła wywołana grą euforia.

– Krista już w domu – powiedział, wracając do Jema.

– Wyluzuj, stary, nie wejdzie nam w paradę.

– Daj mi moją działkę, miejmy to już z głowy.

Jem uśmiechnął się lodowato.

– Co, zmywasz się?

– Nie. Zaniosę to tylko do siebie i zaraz schodzę.

Jem wstał nieprzekonany i podszedł do framugi drzwi między salonem a zapyziałą kuchnią. Podważył listwę i szarpnął. Odeszła w jednym długim kawałku, odsłaniając półki ze sklejki wpasowane między ściany niczym rząd przegródek na poczcie. Wyjął paczkę z działką Douga. W skrytce zostało jeszcze sporo mniejszych, poowijanych w gazety paczuszek, niektóre były rozerwane i wysypywały się z nich banknoty.

– Tutaj to trzymasz? – zdziwił się Doug.

– A czemu nie?

Doug wskazał ruchem głowy na pełen zabawek pokój Jema.

– Jak tu przyjdą z nakazem przeszukania i zobaczą cały ten sprzęt, a potem będą chcieli zajrzeć do twojego zeznania podatkowego, do rachunków za prąd, który podkradasz, za kablówkę, do której jesteś po piracku podłączony, a ty powiesz, że nie masz, to myślisz, że nie opukają ścian?

Jem wzruszył ramionami, wcisnął listwę na dawne miejsce i dobił ją nasadą dłoni.

– Ale z ciebie kurewski cykor. A ty gdzie trzymasz szmal? Przecież wiem, że go nie wydajesz.

– Nie u siebie. – Doug zważył paczkę w rękach.

– A skoro już mowa o szmalu, to jak stoisz z czystą

pościelą?

– Paru sztuk nie zawadziłoby wyprać.

Doug kiwnął głową, dobry humor, w jaki wprawiła go gra, jeszcze całkiem nie wyparował.

– Moglibyśmy dzisiaj zabalować u tubylców.

– Niech będą tubylcy. Ale pod warunkiem, że coś tam na miejscu przekąsimy. Tym razem zaszalejemy, Duggy, jak Bozia przykazała, a nie tylko tam i z powrotem jak do bankomatu.

Doug nie miał nic przeciwko.

– To ja skoczę z tym na górę. A ty obdzwoń tych dwóch homosiów.

Doug wrócił na dół w zamszowej marynarce timberland z ośmioma tysiącami dolarów w dwudziestkach i pięćdziesiątkach upchniętymi pod podszewkę.

Dom matki Jema był klasycznym charlestownowskim trzykondygnacyjnym budynkiem z identycznymi, ciasnymi mieszkankami. Cukrzyca po kawałku wyniszczała ciało matki Jema – na pierwszy ogień poszły palce u stóp i stopy, potem palce u rąk, kolana, nerka i na koniec serce. Wykończywszy swoją nosicielkę, choroba rozprzestrzeniła się na jej dom, by go toczyć pokój po pokoju.

Doug za całe drugie piętro płacił dwa tysiące rocznie podatku od nieruchomości. Jem, zajmujący

pierwsze piętro, sprawował pieczę nad wszystkimi fantami z kradzieży. Na parterze mieszkała Krista.

Kristina Coughlin, siostra Jema, była młodsza od brata o jedenaście miesięcy i jedenaście dni. Darli ze sobą koty jak stare małżeństwo, ona mu prała i od czasu do czasu coś upichciła – jej specjalnością był rozlazły kurczak a la king według przepisu matki – on dawał jej pieniądze i przeważnie byczył się przed telewizorem.

Krista, podobnie jak brat, miała w sobie coś dzikiego. Wypalała do samego filtra dwadzieścia papierosów dziennie, właśnie teraz objawiały się tego oplakane skutki, ale po ciąży powróciła do dawnej figury błyskawicznie jak gumka recepturka. Wychodziło na to, że merity longi nie tylko jej szkodzą. Miała błękitnobiałe oczy Coughlinów, może nie takie złe jak jej brat, ale kiedy sobie popiła, jarzyły się niczym demoniczne klejnoty. Jakiś zabieg przy użyciu brzytwy, który aplikowała swoim brudnoblond włosom, utrzymywał je w nastroszonym, postrzępionym stanie. Fryzura ta, podobnie jak jej dusza imprezowiczki, za dnia zmatowiała i smętna, każdego wieczoru nabierała blasku i wigoru. Biust miała karygodnie mały, nogi długie, odziane zazwyczaj w marmurkowe denimy i buty na obcasie, co skutecznie uwypuklało jej dumny tyłeczek w kształcie serca.

Praktycznie byli wszyscy troje jak rodzeństwo.

Gdy byli dziećmi, Doug od Coughlinów prawie nie wychodził, kiedy więc po zapuszkowaniu ojca przygarnęła go matka Jema, niewiele to w jego życiu zmieniło. Krista i Doug długo ze sobą kręcili, to się rozchodząc, to z powrotem schodząc, ale tak naprawdę jedno do drugiego zupełnie nie pasowało, a łączył ich tylko hulaszczy tryb życia oraz seks. Jednak teraz Krista się zaparła. Próbowwała ratować związek z Dougiem, kiedy ten kilka tygodni po śmierci jej matki wyszedł z więzienia, ale po paru miesiącach sielanki znowu ze sobą zerwali, i to w dość dramatycznych okolicznościach. Doug w skrytości ducha odetchnął z ulgą. Była mu najcięższym z kamieni u szyi, jakie dźwigał. Dwa miesiące później była już w drugim miesiącu ciąży i chodziła po Town, rozpowiadając na prawo i lewo, że ojcem jest Doug.

Teraz Krista siedziała przy stole i przyglądała się, jak Jem opróżnia duszkiem do połowy butelkę high life'u.

– I ty się dziwisz, że on nie schodzi już do nas na dół? – odezwała się ochryple.

– Duggy'ego to nie rusza... nie, Duggy? Jego wola jest silna. – Jem z ironicznym uśmieszkiem wydudlił resztę piwa. – Może nawet za silna. – Zadzwoił leżący na stole telefon bezprzewodowy i Jem podniósł go do ucha. – Gloansy, ty fajfusie wyskubany. – Wstał i wyszedł do wąskiego

korytarza.

Od śmierci matki Jema upłynęły już trzy lata, a na parterze i piętrze nic się nie zmieniło. Siedzieli teraz na parterze, w salonie z tyłu domu, dokładnie pod pokojem gier Jema. Między aksamitną, kiedyś mlecznobiałą, teraz pożółkłą od nikotyny zmywalną tapetą a ścianą z jasnego drewna biegła ozdobna klonowa listwa. Nowe były tu tylko pusty chodzik lepiący się od rozmazanego na nim soczku oraz plastikowe, wyściełane krzeselko na wysokich nogach z przytroczoną do niego dziewiętnastomiesięczną dziewczynką.

Shyne w jednej ręczce ścisnęła nadgryzionego grahamowego krakersa, w drugiej różową wstążkę od sflaczałego balonika w kształcie serca z napisem Mylar. Wbrew skojarzeniu, jakie mogłoby się nasunąć w związku z tym imieniem oraz jego nowatorskim wymawianiem, Shyne była białym dzieckiem, alabastrową laleczką o puszystych jak babie lato rudych włoskach i smutnych, małych coughlinowsko jasnych oczętach. Do Douga nie była ani trochę podobna, co ucinało definitywnie wszelkie spekulacje na temat ojcostwa, jakie ktoś – choćby on – mógł jeszcze snuć, słuchając Kristy.

Shyne skubała swoje ciasteczko i patrzyła na niego ponad stołem. Ta mała była jak spóźniający się zegar. Na pierwszy rzut oka nie zauważało się, że coś tu jest nie tak, ale wystarczyło pobyc z nią trochę

dłużej, a stawało się jasne, że szkrab nie maszeruje w nogę z resztą świata. Doug już kilka razy zwracał na to uwagę Jemowi, ale ten wyjeżdżał zawsze z jakąś zasłyszaną z telewizji teorią, jakoby każde dziecko rozwijało się w innym tempie. Z Kristą wolał tego tematu nie poruszać, bo uznałaby to zaraz za znak, że sumienie go ruszyło i jest gotowy się do brzdąca przyznać.

Teraz, kiedy zostali sam na sam, Krista usiadła w starym fotelu bez poręczy. Jakaś mała i zmęczona życiem się w nim wydawała.

– Nie prosiłam go o to.

Doug patrzył na idealnie nieruchomy, niedodmuchany czerwony balonik, czekając, aż półtoraroczniczka nim potrząśnie, szarpnie, cokolwiek.

– O co?

– Żeby nas zostawił samych. Wkurzające jest to jego stręczycielstwo. Czasami dałabym sobie głowę uciąć, że zależy mu na tym bardziej niż mnie. Jakby od tego zależała wasza przyjaźń.

– Skąd te myśli?

Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste.

– Nie schodzisz do nas na dół. Wiem, że dupek z niego, ale przecież jesteście jak bracia. – Przeczesła palcami włosy, uniosła je nad uszy, puściła. – Chyba że to przeze mnie. Zrobiłam się dla ciebie taka radioaktywna, że wolisz się nie zbliżać.

Doug odchylił się z westchnieniem na oparcie krzesła.

– A to ty jesteś radioaktywny – ciągnęła. – Twoje promieniowanie wniknęło we mnie i na zawsze odmieniło. – Skubała pomarszczoną podkładkę pod talerz w kształcie koniczyny, do której przyschły resztki jedzenia. – Późno wczoraj wróciłeś z tego swojego mityngu.

– Jezu – jęknął Doug. – Znowu to zakichane brzękadło w drzwiach.

Do pokoju wpadł Jem.

– Gloansy w to wchodzi – oznajmił, kucając przed Shyne i trącając sznurek balonika, żeby ściągnąć na siebie jej uwagę. Spojrzała w górę na flaczejące, kołyszące się ospale serce. – Wy znowu o tych twoich mityngach? – spytał. – Chodzisz na nie, kurwa, jak do kościoła.

– Bo odbywają się w kościele – mruknął Doug.

Jem dał spokój siostrzenicy, odwrócił się do brudnego stołu i zaczął bawić zapalniczką Zippo z irlandzką flagą.

– Ty, ja też robię sobie przerwy. Dobrze się od czasu do czasu przemęczyć te parę dni, wyzerować licznik. Na zdrowie człowiekowi wychodzi. Ale u ciebie to... właśnie, ile ty już tak o suchym pysku? Rok? Dłużej? Rachubę, kurwa, straciłem, biedaczyno.

– Za miesiąc będą dwa lata.

– Jezuniu nazareński. Niezagrożone pierwsze miejsce w tej dyscyplinie. Ale pamiętam, że raz sobie pofolgowaleś – na weselu Deardena.

Krista się uśmiechnęła. Doug ciekaw był, kiedy wreszcie przestaną to wyciągać.

– I źle zrobiłem.

– Źle zrobił! Mało chałupy nie rozwaliłeś, chłopie. Niezapomniana noc.

– Prawie rok nie miałem kropli w ustach przed tą obsuwą.

– Obsuwą? Ty to nazywasz obsuwą? To była masakra, sajgon. Ale zgoda, Duggy – wróciłeś na drogę cnoty. Aż miło teraz popatrzeć. Nie telepie tobą. Lepiej się czujesz, silniejszy jesteś, szybszy. Tylko co by ci, kurwa, szkodziło odpuścić sobie raz na jakiś czas i pobalować ze swoimi biednymi, zbłąkanymi, spragnionymi kumplami?

Znowu zadzwonił telefon i Jem znowu poderwał go do ucha.

– A, Monsinior Pedzio, no i jak? – Zerwał się z krzesła i wyszedł.

Krista siedziała z założonymi na piersi rękami i zamyślona obserwowowała córeczkę.

– Nie jesteś księdzem – odezwała się.

Doug odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Jak mam to, cholera, rozumieć?

– Nawet Monsinior, Desmond Krótkowzroczny – Papież Zapomnianej Wioski – nawet on zniża się

czasem łaskawie do poziomu kolegów, żeby się z nimi napić.

– On potrafi się kontrolować. Ja nie.

– Bo jesteś alkoholikiem.

– Właśnie. Bo jestem alkoholikiem.

– Ale dumnym. Dumnym ze swojej choroby.

– Jezu, Kris – mruknął Doug. – I ty pytałaś, dlaczego nie schodzę już na dół?

– To co cię teraz kręci? Tylko banki? Bycie księciem tych złodziei?

Doug ściągnął brwi. Nigdy z nią o tym nie rozmawiał i wiedziała, że nie lubi, jak ona porusza ten temat.

– Chcesz mnie jeszcze zastrzelić jakimś pytaniem, zanim sobie pójdę?

Krista otarła okruszki krakersa z ust córeczki i spojrzała na niego.

– Owszem. Czego trzeba, żeby cię obudzić z tego snu, w który zapadłeś?

Kiedy nie odpowiadał, wstała i przeszła do kuchni, zostawiając go na pastwę wlepionych weń oczek Shyne.

Jechali na wschód, przez Rhode Island do Connecticut, odpicowanym monte SS rocznik '84 Gloansy'ego, czarnym z pomarańczowym paskiem. Na Gloansym nie można było polegać, że mając trzech charakterniaków i kupę szmalu na pokładzie

nie przekroczy swoim halloweenowym wehikułem dozwolonej szybkości, więc kierownicę powierzyli Dezowi. Doug siedział obok niego z przodu, majstrując przy radiu i zerkając od czasu do czasu w boczne lustro, czy nie wloką za sobą ogona, Jem z Gloansym rozpijali z tyłu sześciopaka.

W dwie godziny byli na miejscu, w Foxwoods. Ostrożności nigdy za wiele, nawet używany banknot mógł być znaczony, w związku z czym pranie pieniędzy było jedną z obsesji Douga. Hołdowanie jej miało dodatkowo tę dobrą stronę, że wpływało hamująco na skłonnych do rozrzutności Jema i Gloansy ego.

Jem lubił ruletkę i zwykle, popijając sevenupy na koszt kasyna i szarżując przy obstawianiu jak piętnastolatek na pierwszej randce, przepuszczał w nią połowę tego, co przyszedł wyprać.

Gloansy kupił sobie cygaro za dwanaście dolarów i przysiadł się do stolika pokerowego, by poprzegrywać.

Deza, który miał paranoję na punkcie świdrujących oczu szefów sal i kierowników pięter, nosiło między pokojami.

Doug pracował systematycznie przy stolikach do black-jacka. Zaczął od wyłożenia sześćdziesięciu dwudziestek na sukno stolika pięćdziesięciodolarowego i patrzył, jak brudne banknoty idą do wspólnego worka, a ku niemu sunie

czterdzieści osiem dwudziestopięciodolarowych żetonów. Popijał colę bez lodu i grał tak, żeby nie wygrać, ale i nie przegrać, co nie jest takie proste. Nie przegrywać, znaczy pozostawać w każdym rozdaniu najdłużej jak się da, dociągając najwyżej do piętnastki, góra szesnastki, i dawać szansę krupierowi. Kiedy po półgodzinie kończył, był tylko o sześć żetonów do tyłu. Schował czyste tysiąc pięćdziesiąt dolarów do zapinanej na suwak kieszeni i przeniósł się do stolika studolarowego, przy którym wyprał szybko kolejne tysiąc trzysta dolarów, wymienił je na gotówkę i znowu się przeniósł.

W niecałe trzy godziny przemielił tak całe osiem patyków, wychodząc praktycznie na swoje, bo czymże jest te marne trzysta dwadzieścia dolarów w gotówce i żetonach, te niewarte nawet wzmianki cztery procent przeputane na rzecz kasyna zaliczanego przez gazety do najbardziej dochodowych w kraju.

Z Dezem spotkał się znowu przy lśniącym czerwonym infinity i ruszyli na obchód piętra. Kiedy kończyli drugie okrążenie, dobiegł ich indiański okrzyk wojenny Jema. Znaleźli go odstawiającego taniec deszczu wokół pięćdziesięciodolarowego stołu do ruletki. Udało mu się w końcu trafić podwójne zero. Skasowali go i odciągnęli.

Jem chciał jeszcze wpaść na kwadransik do któregoś z salonów masażu sąsiadujących z kasynem,

ale Gloansy stanął okoniem.

– Indiańce wybrandzlowali mnie przed chwilą na tysiąc dziewięćset dolców, ani myślę bulić jeszcze pięćdziesiątki za to samo jakiejś tłustej raszpli.

Zamiast tego Doug zawiózł ich parę zjazdów z autostrady na północ do ustronnego steakhouseu, gdzie zajęli boks pod oknem z widokiem na zaparkowanego tyłem do budynku monte. Na ich stoliku pojawiły się szybko steki, high life'y i duża mountain dew bez lodu dla Douga.

– No, to co będzie następne, Duggy? – spytał Gloansy.

– Klubik ze striptizem – wymamrotał z pełnymi ustami Jem.

– Ja pytam o nas. O robotę dla drużyny.

– Nie wiem – przyznał Doug. – Myślę, że przydałoby się trochę urozmaicenia. Chodzi mi po głowie parę pomysłów.

– Coś tam kiedyś gęgałeś o rozdupczeniu świnki – podchwycił Jem.

– Niewykluczone. Ale może najpierw coś łatwiejszego.

Jem skwitował tę sugestię pogardliwym machnięciem ręki.

– Pieprzyć łatwiznę.

– Patroszenie świnki to robota na biały dzień. Uzbrojeni konwojenci, tłumy ludzi, korki. Porywanie się na coś takiego... czy ja wiem. Jak już coś robić, to

na pewniaka.

Jem wycelował w niego nóż do steku.

– Wymiękasz, DigDug. Kapcaniec zaczynasz. Kiedyś byłeś pierwszy do ściągania rękawic i młócki na gołę.

– Kiedyś to mi stawał co rano, sąsiedzie. Ale teraz mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty, skończyłem trzydzieści dwa lata i czas się już ustatkować.

– Wszystko jedno, co to będzie, ja wchodzę – zadeklarował się Gloansy. – Wystarczy jedno twoje słówko, Duggy.

Jem nadział na widelec najróżowszy z kasków Gloansy’ego i wepchnął go sobie do ust.

– Moje jedno słówko, dupku żołądny – sprostował.

Gloansy odprowadził tęsknym wzrokiem kawałek swojego steku i polał keczupem to, co mu zostało na talerzu.

– To właśnie chciałem powiedzieć.

Jedli, pili, głośno się zachowywali i pajacowali jak zwykle. Doug próbował przywoływać ich do porządku jak nauczyciel rozdokazywane dzieci podczas szkolnej wycieczki za miasto.

– Gdybym musiał się zająć czymś na sto procent legalnym... – Gloansy zastanowił się. – Otworzyłbym knajpę. Konsumpcja na miejscu i proste dania na wynos. Żeby w dołku nie ssało i srać się czym miało.

Town potrzebuje czegoś takiego. A ty, Jem?

– Ja bym siebie widział w sklepie z alkoholem. Takim, co to i szlugi można kupić, i los na loterię, i pornosy. Wszystko, czego trza do rozpusty, pod jednym dachem.

– Duggy się kiedyś do czegoś takiego przymierzał – zauważył Gloansy.

– Duggy już nie pije. Znakiem czego ten pomysł na kokosowy interes przechodzi na mnie.

– Można by tam jeszcze wstawić kabinę autofoto – podsunął Dez.

Jem spojrzał na niego. Dez wytrzymał to spojrzenie przez kilka sekund, a potem parsknął śmiechem. Doug mu zawtórował. Zrywali obaj boki.

– A po kiego? – fuknął Jem. – Po chuj mi „kabina autofoto”? Ja tu na poważnie, a ten jaja se robi. Dowcipas się znalazł. To się kupy nie trzyma.

Wściekłość Jema jeszcze bardziej ich rozśmieszyła, sąsiednie stoliki zaczynały się denerwować. Doug wyszedł do kibelka i wracając, zobaczył to samo, co widzieli konsumenci z boku obok: Gloansy z Dezem grali kostką masła w słupki, Jem popijał z butelki i wyglądał przez okno, poruszając głową w takt jakiejś bliżej nieokreślonej melodii. Wspaniałe życie przestępcy; majestat bycia księciem tych złodziei.

Kiedy siadał z powrotem przy stoliku, zjawiała się kelnerka z rachunkiem.

– Zrzutka – zarządził.

– W drodze powrotnej musimy zrobić jeszcze jeden przystanek – powiedział z obleśnym uśmiechem Gloansy, kiedy wsiadali do samochodu. – W Providence.

Doug był zmęczony, chciał już wracać do domu.

– Palanty.

– Powiem więcej – dorzucił Gloansy. – Napalone palanty.

Siedzący obok Douga Jem ciamkał głośno, przezuwając rachunek.

Długowłosa Portugalka o piersiach w kształcie łoż uraczyła Douga tańcem na jego kolanach. Pieszcząc małymi dłońmi mięśnie jego ramion, nachyliła się bezwstydnie ku jego twarzy, i uległ hipnotyzującej mocy dwudzielnej, rozkołysanej kobiecości. Kiedy odwróciła się i kręcąc uwodzicielsko biodrami, siadała mu na kolanach, wzbierająca w dzinsach nabrzmiałość przypomniła mu, że pości już czwarty miesiąc w tym roku.

Patrząc potem, jak dziewczyna ubiera się na krzeselku obok, Doug czuł się zgnojony i samotny. Nawet facet bez dziewczyny musi przyznać, że chodzić do klubu ze striptizem to jakby zdradzać cały ród niewieści. Z poczuciem winy, jakie go dręczyło, szły pod rękę skrucha i silne postanowienie poprawy godne niewiernego męża. Inkasując z uśmiechem

dwadzieścia dolarów, dziewczyna puściła do niego oko, potem zawahała się i ściągnęła z z troskaniem brwi. Z buzią w ciup dotknęła delikatnie blizny, która została Dougowi po rozcięciu łuku brwiowego, złożyła na niej czuły pocałunek i odeszła szukać następnego partnera do tańca.

Siepnął go ten darmowy pocałunek. Dwadzieścia dolców za cycki i ocieranie, a potem gratisowy moment autentycznego zbliżenia? Mogła sobie darować taniec. Dałby jej te dwie dychy za samo tylko okazanie współczucia.

Znalazłszy się na chodniku przed Foxy Lady, Doug odniósł wrażenie, że wypadł z PlayStation. Grawitacja wzięła go z powrotem w swoje posiadanie, poczuł na karku zimną łapę nocnego powietrza. Gdzieś w okolicach granicy Massachusetts śmichychichy i przekomarzania zaczęła stopniowo wypierać kakofonia donośnych pochrapywań. W pędzącym do domu monte wisiał duszący zapach drakkar noir striptizerki zmieszany z wonią jej potu. Umysł siedzącego za kierownicą Douga po raz nie wiadomo który podsunął mu obraz Claire Keeseey siedzącej z zawiązanymi oczami w furgonetce. Wjechał do Town i zaraz za mostem skręcił w stronę Packard Street. Nakładał trochę drogi, żeby – zanim porozwozi swoich zmęczonych towniaków po domach – chociaż w przelocie rzucić okiem na jej drzwi i ciemne okna.

PRZESŁUCHANIE

– Nie wiem – ciągnęła Claire Keeseey, wzruszając ramionami – ale od tamtego poranka wszystko wydaje mi się jakieś nierealne.

Siedziała z podkulonymi nogami na poduszkach uczelnianego bujanego fotela, nad jej głową, niczym małe słońce, widniał emblemat Boston College. Domowy gabinet jej ojca – prosta mahoniowa biurkopółka za dwuskrzydłowymi przeszklonymi drzwiami zaopatrzonymi w mosiężne gałki – zajmował połowę salonu. Matka Claire – wymuszony uśmiech, drżące nerwowo dłonie – postawiła przed Frawleyem szklankę wody na blaszanej podstawce z literami BC, pod którą podłożyła jeszcze złożony we czworo papierowy ręcznik w charakterze dodatkowej warstwy ochronnej. Ojciec – siwy jak gołębek, cera jak niedosmażony befsztyk – przyjechał tu pierwszym piątkowym pociągiem specjalnie po to, żeby osobiście otworzyć drzwi temu agentowi FBI i dobrze mu się przyjrzeć.

Frawley zerknął na swojego olympusa pearlcardera stojącego na półce w bezpośrednim sąsiedztwie oparcia bujanego fotela. Dostał ten przenośny magnetofon od matki z okazji ukończenia

Quantico i od tamtego czasu do prezentu, który przysyłała mu rok w rok pod choinkę – swetra, golfa, spodni od L.L.Beana, raz były to bębny bongo – dołączała czteropak czystych mikrokaset panasonic MC-60. Do kolekcji!

Magnetofon kliknął, maleńkie szpule zaczęły się obracać w przeciwnym kierunku. Upłynęło trzydzieści minut. Claire siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami i rękami złożonymi na podołku, dłonie miała skryte w rękawach. BOSTON COLLEGE – krzyczał kasztanowozłoty lampas biegnący wzdłuż nogawki beżowych spodni od dresu, BayBanks – szeptał znad piersi rozciągnięty zielony podkoszulek. Wyglądała w tym stroju na osobę, którą choroba zatrzymała tego dnia w domu, chociaż włosy miała uczesane i pachnące wanilią, a twarz przypudrowaną.

– Mama nie chce, żebym dalej pracowała w banku. A najchętniej to w ogóle nie wypuszczałaby mnie z domu. Wczoraj wieczorem, gdzieś po trzeciej wódce z tonikiem, poinformowała mnie, że zawsze wiedziała, że coś złego mi się przytrafi. A ojciec? Doradza mi, żebym sobie wyrobiła pozwolenie na broń. Znajomy policjant powiedział mi, że pieprz w sprayu jest do niczego, nadaje się co najwyżej do przyprawiania jajecznic. Obserwuję tę ich nadopiekuńczość i dziwnie się czuję. Zupełnie jakbym cofnęła się w czasie, zachowując swoje

trzydzieści lat, a mimo to w ich oczach tam, w przeszłości nadal pozostawała dzieckiem. A to najgorsze? Czasami wcale nie wydaje mi się takie straszne. Czasami, Boże, chciałabym to jeszcze raz przeżyć. – Wzdrygnęła się. – A tak nawiasem mówiąc, oni też mi nie wierzą.

– W co nie wierzą? Kto nie wierzy?

– Ze nic tam nie zaszło. Mama traktuje mnie jak ducha swojej córki, który wrócił z zaświatów. A ojciec... lepiej nie mówić...

W pierwszym odruchu Frawley chciał coś doradzić. W porę jednak przypomniał sobie, że nie przyszedł tu pomagać ani pocieszać, że zbiera informacje.

– Dlaczego sądzi pani, że jej nie wierzą?

– Wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem. Jeśli ludzie chcą we mnie widzieć kruchą istotkę, niech uważają, bo potrafię być bardzo krucha, no problemo. – Wyrzuciła w górę rękę w geście poddania. – Ale głupia, dać się tak potulnie wsadzić do tej furgonetki. Prawda? Jak sześciolatka na różowym rowerku, nie krzycząc nawet, nie kopiąc. To ci dopiero ofiara losu.

– Myślałem, że nie miała pani wyboru.

– Mogłam się opierać – zauważyła. – Mogłam dać się im, sama nie wiem, zastrzelić.

– Albo skończyć jak pani zastępca.

Potrząsnęła głową. Chciała się uspokoić, ale nie

była w stanie.

– Odwiedziłem pana Bearnsa – powiedział Frawley. – Podobno pani jeszcze u niego nie była.

Kiwnęła głową wpatrzona w podłogę.

– To prawda. Muszę się tam w końcu wybrać.

– Co panią powstrzymuje?

Zbyła to pytanie wzruszeniem ramion pod workowatym podkoszulkiem.

– Na szkoleniach mówią nam, że mamy pomagać przestępcom – zmieniła temat. – Wie pan o tym, prawda? Mamy autentycznie współpracować z bandytami i nawet nie myśleć o stawianiu oporu. Powtarzać głośno polecenia, jakie nam wydają, żeby nie mieli wątpliwości, że do nas dotarły i że się do nich zastosujemy.

– Żeby bandyci poczuli się pewniej. Wtedy szybciej opuszczą bank i przestaną zagrażać klientom oraz wam.

– Tak, zgoda, ale... pomagać złodziejowi? Ustępować mu? Nie sądzi pan, że to lekka przesada?

– Zdecydowanej większości napadów na banki dokonują osoby uzależnione od narkotyków na gwałt potrzebujące gotówki. Desparacja, strach, że za chwilę dopadnie ich głód, czyni tych ludzi nieobliczalnymi.

– Ale cały ten instruktaż sprowadza się do zaleceń w stylu: Rób, co ci każe napastnik. Nie wydawaj mu paczek z saszetkami barwiącymi, jes'li

mówi, że sobie tego nie życzy. Jak to? To po co je mamy? I jeszcze: Odnoś się do niego uprzejmie. Zapomniano chyba tylko o formułce: „Dziękujemy za skorzystanie z naszych usług, bankowy złodzieju, życzymy ci miłego dnia”, na pożegnanie.

Frawley obserwował przez boczne okno dwóch chłopców kilka podwórek dalej, którzy w to późne piątkowe popołudnie rzucali do siebie piłeczkę tenisową i łapali ją widowiskowo.

– Skoro już mowa o szkoleniu – powiedział. – W swoich wytycznych BayBanks zobowiązuje otwierających do wchodzenia pojedynczo. Pierwszy sprawdza, czy w środku jest bezpiecznie, i powiadamia o tym drugiego umówionym sygnałem.

Skruszona kiwnęła głową.

– Tak. Wiem.

– Ale wy tego nie przestrzegaliście.

– Nie.

– Dlaczego?

Wzruszenie ramion.

– Lenistwo? Beztroska? Ale dla kasjerów mieliśmy sygnał, że wszystko w porządku.

– Tak, żaluzje w oknach. Tylko że kasjerzy przychodzą dopiero pół godziny po was. A co do cichego alarmu... jesteście instruowani, żeby wstrzymywać się z jego uruchomieniem do czasu, kiedy nie będzie to już niczym groziło.

– I znowu to samo: jaki sens ma włączanie

alarmu, kiedy jest już po napadzie? No jaki?

– Pan Beams naraził was oboje.

– O tym się w takich sytuacjach nie myśli – odparła z nagłą irytacją, rozszarpując go wzrokiem. – Byli w środku, czekali tam na nas, mieli przewagę liczebną, śmiertelnie nas przestraszyli. Myślałam, że już stamtąd nie wyjdę.

– Ja nikogo nie obwiniam, szukam tylko powodu...

– Dla którego nie odwiedziłam jeszcze Davisa? Bo wstyd by mi było spojrzeć mu w oczy. On w szpitalu, a ja, mała podmiejska ja, nawet nie draśnięta, cała, zdrowa i bezpieczna, ukrywam się... u rodziców. – Odgarnęła z czoła włosy, których tam wcale nie było, i odwróciła wzrok. – A co, pytał o mnie?

– Tak.

Przygarbiła się.

– Przez telefon szpital nic mi nie powie.

– Prawie całkowicie straci wzrok w jednym oku.

Poderwała do twarzy skrywający wciąż dłoń rękaw. Odwróciła się do okna, do chłopców ćwiczących łapanie piłki. Frawley kontynuował, siedł za ciosem:

– Złamana szczęka. Wybite zęby. I, niestety, żadnych wspomnień z tamtego dnia. Nie pamięta nawet, jak wstał rano z łóżka.

Nie odsłaniała twarzy.

– Czyli pozostają tylko ja?
– Tak, jest pani jedynym świadkiem. I dlatego liczę na panią, że się tak wyrażę.

Patrzyła nieobecny wzrokiem w okno.

– Czy w gronie swoich podwładnych – ciągnął Frawley – potrafi pani wskazać kogoś, kto mógłby się czuć niedoceniany, niedowartościowany, albo był w pani odczuciu zdolny do przekazania komuś z zewnątrz poufnych informacji o obowiązujących w oddziale zasadach, procedurach dostępu do skarbca...

Już kręciła głową.

– Nawet nieświadomie? Kogoś, kto lubi dużo mówić. Kogoś z niską samooceną, kto może starał się zyskać w ten sposób w czyichś oczach albo chciał się komuś przypodobać.

Nadal energicznie kręcenie głową.

– A kogoś, kogo być może zaszantażowano albo w inny sposób nakłoniono do wyjawienia tych informacji?

Oderwała rękaw od twarzy i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek oczyma smutnymi, ale suchymi.

– Pyta pan o Davisa?

– Pytam o każdego.

– Davis sądzi, że będąc gejem... bzdura, ale on uważa, że to mu będzie przeszkadzało w karierze. Rozejrzyj się, ja mu na to, połowa z mężczyzn zatrudnionych w bankowości mieszka w South

Endzie. W te walentynki zapytał mnie, jakie mam plany. Odparłam, że właściwie żadnych. Ze wypożyczę sobie chyba Za wcześnie umierać i obejrzę w samotności. On też nic nie planował, poszliśmy więc razem na cosmos do The Good Life i dobrze się bawiliśmy. Poratowaliśmy się nawzajem.

– Czy w życiu pana Bearnsa pojawił się ostatnio ktoś nowy? Może coś się w tym związku popsło?

– Nawet gdyby, tobym o tym nie wiedziała. Nie znałam jego przyjaciół. Nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy osobiste. Był po prostu przesympatyczny. Miło, kiedy facet zauważa, że kobieta była u fryzjera.

– A więc nie może pani z ręką na sercu powiedzieć, że nie działał na dwa fronty?

– Proszę pana... oni go pobili, zapomniał pan? Jest nie-winny.

Przełknął jej wybuch bez zmrużenia oka, ale z niejasnym przeczuciem, że może się za nim coś kryć. Ten silny akcent, jaki położyła na słowo niewinny.

– Krótko mówiąc, był ambitny, chciał piąć się w górę?

– Dokszałcał się w wieczorowej szkole biznesu.
– Defensywnie teraz, zdecydowanie po stronie Bearnsa.

– Ale pani nie.

– Ja? Nieee.

– Dlaczego?

– Szkoła biznesu? – fuknęła pogardliwie.

– Czemu nie? Podwyżki. Awanse. Czworo byłych pani zastępców już panią przeskoczyło, poszło wyżej, a pani wciąż w bankowości detalicznej.

– Proponowano mi. – Mały przejaw urażonej dumy. – W ramach programu podyplomowego szkolenia kadry kierowniczej i menedżerskiej.

– No i?

Claire wzruszyła ramionami.

– Chyba nie powie mi pani, że uwielbia być kierowniczką oddziału – nie odpuszczał Frawley.

– Nienawidzę.

– A więc?

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

– To praca. Do tego dobrze płatna, naprawdę dobrze. Nikt z moich znajomych tyle nie zarabia. Wolne wieczory i niedziele. Nie trzeba zostawać po godzinach. Mój ojciec – on jest bankowcem. Ja nie. Nigdy nie zamierzałam robić kariery w bankowości. Jak by to ująć... od kariery ważniejsze było dla mnie być młodą. Młodą i bezpretensjonalną.

– A już nie jest?

Poprawiła się na fotelu.

– Może wyjaśnię na przykładzie moich koleżanek, dobrze? Miały mnie tamtego dnia wieczorem gdzieś zabrać. Urodziny, trzydziestka, grzech tego nie uczcić. Wynajęły limuzynę – miały fantazję, prawda? Wykręcą się, jak mogę, bo jestem

jeszcze w szoku po porannych przeżyciach. Limuzynę już macie, mówię im, kontynuujcie beze mnie. Na drugi dzień dzwonią i opowiadają o kolacji, o przystojnym kelnerze z wytatuowanymi knykciami, o facetach, którzy stawiali im drinki, i o tym, jak jechały później Tremont Street wychylone przez odsunięty dach i śpiewały piosenki Alanis Morissette, i jak Gretchen obściskiwiała się pod Mercury Bar z policjantem po służbie – i ja jestem taka sama. Boże. Taka jestem? Taka byłam?

Frawley uśmiechnął się do siebie. Do twarzy jej było z tą bezbronnością. Zagubiona dziewczyna z obnażoną duszą, próbująca dojść do ładu z wynikami swojej introspekcji. Ale dosyć tych zachwyków. Nie przyszedł tu na randkę z Claire Keeseey, ściga bandytów chadzających na robotę z wałówką.

– Powinnam czuć się gorzej, prawda? – spytała.
– Ludzie, którym to opowiadam, dziwnie na mnie patrzą. O mój Boże, czytam z ich twarzy. Zupełnie jakby nie mogli uwierzyć, że nie leżę jeszcze na oddziale intensywnej opieki czy gdzie tam.

Wstał i wyłączył magnetofon. Na razie starczy.

– To był napad. A pani, chcąc nie chcąc, brała w nim udział. Dwuznacznie to zabrzmiało, ale proszę nie doszukiwać się w tych słowach żadnego podtekstu.

Usiadła prosto, ożywiona jego przygotowaniami do wyjścia.

– Jakie dziwne stało się nagle moje życie. Odwiedzają mnie agenci FBI. Wie pan, że ledwo pana poznałam, kiedy pan tu dzisiaj wszedł? Taka byłam wyłączona podczas naszej ostatniej rozmowy. Mało co z niej pamiętam.

– Mówiłem już, że to normalna reakcja. Kac po napadzie. Dobrze pani sypia?

– Dobrze, tylko te sny. Boże. Śniła mi się na przykład babcia, która zmarła trzy lata temu. Siedziała na skraju mojego łóżka z pistoletem na kolanach i płakała.

– To przez kofeinę – orzekł Frawley. – Mówiłem, żeby ją pani odstawiła.

– Nikogo jeszcze nie aresztowaliście?

Znieruchomiał z ręką na klamce. Zatrzymuje go, bo chce coś z niego wyciągnąć? Czy może jest nim zainteresowana? Albo po prostu nie chce zostać sama z rodzicami?

– Jak dotąd nikogo.

– A macie jakiś trop?

– Na razie niczego wartego wzmianki.

– Czytałam o spalonej furgonetce.

Frawley kiwnął głową.

– Tak, znaleźliśmy spaloną furgonetkę.

– Były w niej pieniądze?

– Przykro mi, naprawdę nie mogę pani tego wyjawić.

Kiwnęła z uśmiechem głową, dała za wygraną.

– Ja po prostu... szukam wyjaśnienia. Chcę wiedzieć dlaczego. Ale nie mam żadnego dlaczego, prawda?

– Pieniądze. Ot dlaczego. Wyłącznie. Z panią nie miało to nic wspólnego. – Upchnął sobie swój zestaw pod pachę. – Zostaje tu pani jeszcze jakiś czas?

– Żartuje pan? Jeśli teraz się stąd nie wyniosę, to utknę już na zawsze.

– Wraca pani do Charlestown?

– Dziś wieczorem. Liczę już minuty.

Frawleyowi cisnęła się na usta uwaga, że paradoksalnie przenosi się do matecznika bankowych bandziorów, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie chciał dziewczyny straszyć.

Frawley kluczył służbowym matowoczerwonym chevy cavalierem po uliczkach Round Table Estates, szukając drogi wyjazdowej z tego osiedla minirezydencji z zadbanymi, pagórkowatymi trawnikami, które tu i ówdzie przypominały preżące się dumnie biusty.

– Na pozór jest czysta jak łza – rzucił do pokładowego telefonu głośnomówiącego. – Ale odnoszę wrażenie, że coś przed nami zataja.

– Mhmmm – mruknął Dino. – I to jedyny powód, dla którego się jej naprzykrzasz?

– Nikomu się nie naprzykrzam – obruszył się Frawley, mając w pamięci, jak próbowała go

zatrzymywać.

– To co tam porabiasz w piątek po szóstej?

– Wracam do domu, a Canton miałem po drodze.

– Po drodze masz każdą jedną miejscinę na South Shore, Frawl. To kursowanie tam i z powrotem między Charlestown a Lakeville zabiera ci trzy godziny dziennie. Podziwiam cię, że tak się poświęcasz i mieszkasz między przestępcami, Frawl, ale to mi zaczyna powoli przypominać uzależnienie.

– Tak myślisz, Dean?

– Wiosna w rozkwicie. Wiesz, co to oznacza?

– Młodzi mężczyźni nabierają ochoty do...

– Napadania na banki. I naprzykrzania się ładnym kwiatuszkom. Masz przed sobą około sześćdziesięciu godzin wolnego. To twój weekend, federalnie usankcjonowany i egzekwowany. Ściągnij krawat i legnij sobie brzuchem do góry. Zapomnij o tym telepaniu się dziesięć mil w jedną i dziesięć w drugą stronę z krótkim przystankiem na ziewnięcie.

Frawley dojechał do końca Excalibur Street i zatrzymał się przed skretem w lewo.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

6

SPONSOR

Rozmawiali na tyłach kościoła Świętego Serca jak spowiednik z grzesznikiem: mężczyzna w średnim wieku był rozluźniony, lewą dłoń położył na oparciu ławki przed sobą, w blasku świec połyskiwała złota obrączka; młodszy, siedzący bokiem w ławce przed nim, obserwował postacie w płaszczach wynurzające się z podziemi niczym duchy zmarłych z krypty. Dzbanek z kawą tam na dole został już opróżniony i wypłukany, wszystkie przekąski skonsumowane, łyżeczki i niewykorzystane kostki cukru zapakowane z powrotem do pudełek, śmieci zebrane do torby i wyniesione.

– Udany mityng – odezwał się Frank G., ten w średnim wieku, bębniąc palcami po szerniałym drewnie. – Sporo wiary dzisiaj przyszło.

– Jak to w weekendy – mruknął Doug M., tak się tutaj do niego zwracano.

Frank G. był strażakiem, mieszkał w Malden, miał dwóch małych synków i był po raz drugi żonaty. Tyle tylko o swoim sponsorze wiedział Doug, chociaż znali się już trzy lata. Frank G. nie pił dziewiąty rok i przestrzegał rygorystycznie zasad

programu, ze szczególnym uwzględnieniem tej anonimowości w nazwie, pomimo – a może właśnie dlatego – że Święte Serce było jego parafią. Doug, żeby uniknąć wywnętrzania się przed znajomymi, co w jego odczuciu byłoby równoznaczne z wypróżnianiem się co wieczór na własnym progu, dojeżdżał na mityngi z odległego o piętnaście minut drogi Charlestown.

– Krótko mówiąc, duch w narodzie nie ginie. A co tam u ciebie?

Doug kiwnął głową.

– Jakoś leci.

– Dobre wystąpienie dzisiaj miałeś. Zresztą zawsze masz dobre.

Doug wzruszył ramionami.

– Mam co opowiadać.

– Masz, masz – przyznał Frank G. – Wszyscy mamy.

– Za każdym razem, kiedy przychodzi moja kolej, mówię sobie: wstań, powiedz swoje w dwóch, trzech zdaniach i siadaj. A kończy się zawsze na tym, że nawijam przez pięć minut. To chyba przez to, że mityngi są jedną z tych rzadkich okazji, kiedy rozumiem sam siebie.

Frank G. kiwnął głową, co u niego mogło znaczyć To prawda, albo Ze mną to samo, jak również Nic dodać, nic ująć i czasami Słucham, słucham. Miał surową, pospolitą twarz niewyspanego

faceta, jaką widuje się w reklamach medykamentów na katar, albo może zrezygnowanego tatusia, gdy dzieci co rano marudzą, żeby je odwiózł do szkoły.

– To szczęście mieć takie miejsce na spotkania. Na poukładanie sobie wszystkiego, skupienie się. Niektórych to uzależnia. Wielkie szczęście.

– Zauważyłeś – mruknął Doug.

– Taki, dajmy na to, Smutnooki Billy T. Jak ten chłopina się wstydzi. Każdy wieczór z nim to jak premiera. Wstaje śpiewać swoją pieśń i zalewa się łzami, dopóki nie opuszczą kurtyny. To mu teraz zastępuje libacje.

– Ale ten wstyd dobrze jest odczuwać. A ja – ja nie mam nikogo, kogo mógłbym zawieść, z wyjątkiem samego siebie. Nikogo, kto by mnie mobilizował do wytrwania. Ja u siebie, w Town... – na którymś mityngu Frank G. wspomniał, że pochodzi z Charlestown, ale przed Dougiem nigdy nie powołał się na te wspólne korzenie – ...go nie odczuwam.

– Piętno.

– Mówię tam komuś, że siedziałem za pobicie jednego takiego w barze, i słyszę: „Stary, każdemu może się przytrafić. Trzeba było usadzić faceta, to go usadziłeś, swoje odsiedziłeś, masz to już za sobą” – tak jakby odsiadka była czymś, przez co każdy musi przejść. Jakbym odsłużył swoje dwa lata w wojsku. A ludzie tu, w podziemiach? Napomknę coś o

więzieniu, a im oczy wychodzą z orbit, sprawdzają, czy mają jeszcze portfele. A to przecież Malden, nie jakieś wymiękłe osiedle – ale to mi uświadamia, że nie zawsze żyję w realnym świecie, przypomina, gdzie się znajduję.

– Nikt nie szuka sobie tutaj przyjaciół – powiedział Frank G. – To, co jest między tobą a mną, to nie przyjaźń. To partnerstwo. Łączy nas niepisana umowa. I prawie nic o tobie nie wiem.

– No i prawidłowo.

– Jestem w tym związku twoją żoną. Jestem twoimi dziećmi. Twoimi rodzicami i twoim księdzem. Zawiedziesz sam siebie, zawiedziesz nas wszystkich, cały system się wali. A co do tych, którzy ciebie wysłuchują – hej, oni nie oczekują, że będziesz im wszystko o sobie ze szczegółami opowiadał. Dla nich najważniejsze są postępy. A ty je robisz. Wytrzymać dwa lata? To jest coś.

Przejdziem między ławkami włókł się noga za nogą starszy mężczyzna, zapinając po drodze płaszcz. Zasalutował im i pchnął drzwi.

– Billy T. – mruknął Frank G., zegnając mężczyznę ruchem ręki i patrząc na zamykające się za nim drzwi. – Zastanawiam się, co on musi przechodzić w domu, nie? Przecież nie ma się tam przed kim wypłakać. – Pokręcił głową nad charakterem tego człowieka i wyrzucił go z myśli. – Ale w jednym cię nie rozumiem. Dlaczego sam sobie

utrudniasz sprawę? Mimo wszystko czegoś się tutaj nauczyłeś – między innymi tego, że nie wolno ci przestawać z ludźmi, którzy piją.

Doug odchrząknął niecierpliwie. Wiedział, że Frank G. ma rację, ale wiedział również, że on, Doug, się nie zmienia.

– Przyjaciół się wybiera, prawda? Ale rodziny już nie. A moi przyjaciele są dla mnie jak rodzina. Jesteśmy zżyci i nierozłączni.

– Ludzie dorastają i opuszczają swoje rodziny. Ruszają własną drogą.

– Tak, ale jak by tu... dzięki nim zachowuję trzeźwość.

O to chodzi. Ich przykład mnie motywuje. Kiedy patrzę na nich, jak zalewają pały... to na mnie działa.

– Rozumiem. Czyli w towarzystwie durniów czujesz się mądrzejszy.

– To jak podnoszenie ciężarów. Ćwiczenie wytrzymałości. Kusi człowieka, żeby odpuścić, darować sobie to ostatnie podejście, skrócić trening, bo mięśnie rwą. Ja te pokusy od siebie odpędzam, kończę sesję. Przebywanie z kumplami dodaje mi sił. Przypomina, o co idzie gra. Bez tego mógłbym się rozleniwzić.

– Okay, Doug. Ale słucham tak ciebie i słucham, i dochodzę do wniosku, że jak miałeś nasrane w głowie, tak dalej masz. Mam wujka. Żona mu umarła i wujek wybiera się do domu starców, a ja mu

pomagam załatwić tam miejsce. Przyzwoite warunki, wszystkie wygody. Jakiś miesiąc temu siedzimy sobie we Friendly's nad serem z grilla. I ten dusza człowiek mówi mi, że jak ogląda się teraz wstecz, to myśli: Kurczę, gdybym to ja wiedział kiedyś to, co teraz wiem. No wiesz, nie jakieś tam pretensje do losu, tylko takie sobie gdybanie. Taka odmiana refleksji Młody byłem i głupi. Nie odzywam się, popijam przez słomkę swoją fribble, ale patrzę na niego, tego wujka, jak nie może trafić do ust tym żółtym plastrem, i myślę – gówna prawda. Nawet gdyby wiedział wtedy to, co wie teraz, przeżyłby swoje życie dokładnie tak samo. Przenieść go do czasów, kiedy miał dwadzieścia jeden, dwadzieścia pięć lat? Od razu by wpadł w stare koleiny, popełniał te same błędy. Bo taki już jest. – Frank G. nachylił się do ławki Douga, złożył przedramiona na oparciu, splótł palce. – A ty jaki jesteś?

– Ja?

– Skąd u Douga M. przekonanie, że jest inny od wszystkich?

– Chyba... stąd, że jestem inny.

– Aha, świetnie. A więc tu mamy problem, zmierzmy się z nim. – Dłonie Franka G. wdały się w zapasy z powietrzem. – Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś swoimi przyjaciółmi. Tym właśnie jesteś – ludźmi, których do siebie przyciągasz, którymi się otaczasz. Ja też jestem częścią ciebie,

tak? Może takim małym pryszczikiem, szczęściarzu. Większa część ciebie to przeklęty nowotwór. O twoich durnowatych koleżkach mówię. Jesteś z nimi dzisiaj umówiony?

– Tak.

– Okay. Zrób coś dla mnie. Rozejrzyj się tam dobrze. Bo te gęby, które wokół siebie zobaczysz – to ty.

Doug chciał coś na to odpowiedzieć, wyartykułować swój protest. Chciał zakomunikować Frankowi G., że jest kimś więcej niż sumą swoich przyjaciół.

Z zakrystii wyszedł ksiądz w czarnym garniturze i koloratce. Otaczał kolejno dłonią płomyk każdej świecy na ołtarzu i jednym dmuchnięciem zmieniał go w smuzkę dymu.

– Chyba czas już na nas – zauważył Frank G.

– Wydaje mi się, że poznałem kogoś.

Frank G. milczał przez chwilę. To milczenie miało swoją wymowę, nie było zwyczajną przerwą na szukanie słów. Doug czekał z duszą na ramieniu. Zależało mu bardzo na aprobachie Franka G. i miał nadzieję, że ją uzyska.

– Kobieta... – odezwał się w końcu Frank G. – Jest w programie?

– Nie – mruknął Doug zdziwiony tym pytaniem.

Frank G. kiwnął zadowolony głową.

– Co to dla ciebie oznacza, że kogoś poznałeś?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, co oznacza.

Frank G. cicho postukał zgiętym palcem w oparciu ławki Douga.

– Nie śpiesz się z tym. Z zawieraniem nowych znajomości trzeba bardzo uważać. Zresztą pierwsze zauroczenie o niczym jeszcze nie przesądza. Nie chcę łamać twojego wrażliwego serca, chłopcze, ale z dziesięciu romansów dziewięć przynosi więcej szkody niż pożytku. – Brwi Franka G. powędrowały w górę i pozostawały wysoko nad jego od dawna trzeźwymi oczami. – To, przyjacielu, obok decyzji o omijaniu szerokim łukiem barów, najważniejszy z wyborów, jakich w życiu dokonujesz.

GORĄCZKA SOBOTNIEJ NOCY

Doug poszedł tego wieczoru do Szpunta, bo obiecał chłopakom, że przyjdzie. Góra pełna była rozgrzanych ciał tłoczących się na obwodzie kolistego szklanego baru pod jakimiś fikuśnymi oprawami oświetleniowymi. Śmiechy, pobrękiwanie szkła i ogólny gwar, towarzyszące ludziom, którzy pracują nad wprawianiem się w weekendowy nastrój. Z salki w głębi, gdzie na oświetlonej reflektorkiem scenie stał jeden stołek, dolatywały rzewne dźwięki gitary. Wszyscy młodzi profesjonaliści, którzy nie dostali się w sobotnią noc do Warren Tavern, w ramach planu B ściągali tutaj.

Doug skręcił zaraz za drzwiami wejściowymi na wąskie schody prowadzące w dół, w opary papierosowego dymu. Dołek, śmierdząca szczynami i piwem mordownia o nieotynkowanych ceglanych ścianach i niskim suficie, nawiązywał atmosferą do starego Town. Szklany bar nie przetrwałby tu jednego wieczoru, poszedłby na stłuczkę. Za ławy służyły skrzynki pustych butelek stojące pod ścianami, z kąta łupała rytmem bijącego serca szafa grająca na płyty CD. Zapuszczone, ale przeważnie wolne toalety przyciągały ośmielone alkoholem

damy z Górki, które z przepaszającymi minkami przeciskały się przez tłum miejscowych by walców jak debiutantki na konwencie kanalarzy, pokazując otipsowanymi paluszkami na drzwi zapyziałych kibelków.

– MacRaaay! – zawył od baru Gloansy, zrywając się na równe nogi na metalowej rurze służącej za podnózek. W jego zielonych oczach płonął ogień szaleństwa wieszczący, że ten-wieczórtrwaćbędziwiecznie.

Doug przepchnął się tam i pozwolił rozochoczonemu Gloansy’emu uścisnąć się i poklepać po plecach.

– Siadasz?

– Zaraz wracam. Ty zdrów?

Chlapacz, barman o permanentnie mokrych dłoniach, dostrzegł Douga, krzyknął coś, chyba: „Kopę lat!”, i podstawił szklankę pod automatyczny dozownik wody sodowej z limonką. Chlapacz rozchlapywał każdego drinka, który serwował. Doug wrócił ze szklanką do Gloansy’ego, siorbnał wody sodowej i rozejrzał się po sali.

Gloansy dał już wcześniej znak Jemowi i ten, odłączywszy się od dwóch ponurych młodzieńców, których Doug nie znał, zmierzał właśnie w stronę baru przez rozstępujący się przed nim tłum. Po drodze, myśląc, że Doug go nie widzi, skinął na Kristę rozmawiającą w kącie z Joanie Lawler.

Zaczynało się dziać jak na zatłoczonej, lepkiej szachownicy, podpite główne figury budziły się do życia i wchodziły do gry. Krista przerwała mieszanie bourbona z colą i położyła dłoń na przedramieniu Joanie. Joanie – postawna, żabólica dziewczyna z osiedla mieszkaniowego, długoletnia narzeczona Gloansy’ego i matka jego synka, Nicky’ego – pchnęła ją lekko w stronę baru, żegnając jakimiś słowami zachęty.

Dez wsunął jednodolarowy banknot do szafy grającej i z głośników popłynęło Linger The Cranberries, od jakiegoś czasu numer jeden na liście czysto irlandzkiego Dołka.

Jeszcze godzinka i Dez zakotwiczy przy szafie na dobre jako samozwańczy didżej, narzucając nastrój wieczoru i na początek wypłaszając ewentualnych japiszonów, jacy mogli się tu zaplatać, końską dawką Clancy Brothers i skocznych akordeonowych kawałków. Potem spoważnieje i przejdzie na późnowieczorną składankę Uz.

Jem był już przy barze i wyprowadzał w spowolnionym tempie prawy sierpowy. Doug podjął grę i odrzucił głowę w tył, niby to obrywając w szczękę, a potem zrewanżował się symulowanym prawym prostym w nos, po którym Jem zatoczył się po hollywoodzku, opryskując pianą ze smukłej butelki high life’u dwie zblazowane dziewczyny z wielkimi kolcami w uszach.

– Czołem, mistrzuniu – zapał Jem.

– Cześć, masturbator – rzucił Doug i przybili żółwika.

– Już nie – przypomniał mu Jem, dopił duszkiem high life i pokazał Chlapaczowi pustą butelkę. – Cztery chuj łaje.

Gloansy uśmiechnął się, wciąż go bawił ten grubiański żarcik.

– Jemuś, chyba się spuściłeś piwkiem na te panie za tobą.

Jem się odwrócił. Dziewczyny z dzielnicy patrzyły na swoje bluzki tak, jakby ochlapano je krwią. Były urażone, ale bez przesady, i najdrobniejszy gest – przeprosiny, serwetka, postawienie drinka – mógłby otworzyć drzwi prowadzące między ich nogi. Ale Jem potraktował je wrednym uśmiechem. Dziś wieczorem będzie całował tylko butelki z piwem.

– Kurewski młyn na Górcie, nie? – powiedział, beknąwszy. – Przydałoby się otworzyć własny bar. Trzeba by o tym pomyśleć. Skombinować tylko licencję na wyszynk. Alkohol i szmal, moje dwie miłości w jednym.

– Nie wiem, czy bar dla gejów miałby tutaj rację bytu – mruknął Doug.

Gloansy zawył i zeskoczył ze stołka, Jem uśmiechał się jak seryjny morderca noszący się z zamiarem uśmiercenia tysiąca ludzi. Doug przejrzał

się w barowym lustrze. Krista stała już obok niego, ale się nie odzywała.

– U Bully’ego gites była, kurwa, speluna – ciągnął Jem. – Tam zaczynaliśmy. Sprzedaje na dzbanki. I zero w dupę rżniętych turystów.

– Bully tnie na jakieś dwadzieścia centów na każdym piwie – zauważył Doug. – I nie zajrzy tam żadna szanująca się kobieta, chyba że z własnym aparatem tlenowym.

Chłopacz krzyknął coś do nich z końca baru, pokazał na migi, że idzie na górę, i tak też zrobił.

– Przez starego McDonougha już tam nie chodzimy – ciągnął Jem. – Snuł się po sali, wymachiwał tą pierdoloną laską i lamentował nad Town. Płakliwy, kulawy dziadyga.

– Mieszka całe życie trzy ulice ode mnie – odezwał się Gloansy, markując cios i zatrzymując pięść przed samym nosem Jema. – To jak to jest, że z roku na rok coraz bardziej zaciąga z irlandzka?

– Pierdzieli mu się coś w tej obtłuczonej łepetynie – orzekł Jem. – Gościu się kwalifikuje do humanitarnego uśpienia. Nieraz oberwał dzbankiem po łbie za to swoje mendzenie. Za te toasty. Za biadolenie, że dawne Town już odeszło, odeszło, odeszło...

Doug poczuł, jak Krista przywiera do niego i trąca biodrem, tak jakby chciała powiedzieć: Hej, jestem tutaj. Z Dołkiem Szpunta łączyło go wiele, ale

ona najbardziej. Kiedyś, kiedy wieczory Douga nigdy się nie kończyły, rządząli we dwoje tą piwnicą. Dołek był jego, ona też. Teraz porzucił stare zwyczaje, ale one wciąż mu o sobie przypominały. Całe szczęście, że butelki piwa nie potrafią zeskoczyć z półki i zalotnie się o niego otrzeć.

Podjął bez większego przekonania próbę zajęcia myśli czymś innym.

– A co, nie jest tak? Nie odeszło?

Jem rozciął powietrze zamaszystym bekhendem.

– Takiego chuja.

– Czyli nie odeszło? Hibernuje tylko? Zrobiło sobie małą przerwę?

– Te rzeczy są cyk... cykliczne – powiedział Jem, potykając się o to ostatnie słowo jak o krawężnik.

– Cyklicznepiczne – burknął Doug. – Myślisz, że te banany z góry po to ładują forszę w nieruchomości tutaj, żeby któregoś pięknego dnia stąd odejść?

– Nie odejść, tylko wiać z podkulonymi ogonami – skorygował Jem. – Mam taki jeden plan.

– Aha, masz plan – mruknął Doug. Spojrzał na Gloansy'ego. – On ma plan.

– A mam – powiedział Jem. – Czasami, wiecie, czuję się jak ostatni, kurwa, cieć, co tu jeszcze pilnuje. Jak ten jeden, co mu jeszcze, kurwa, zależy na starym Town.

Podszedł do nich Dez i nucąc Here he is among us!, przybił żółwika z Dougiem.

Doug poinformował go z udawaną powagą:

– Jem ma plan.

– O! – Dez pociągnął łyk high life'a, oczy mu zabłyśły za szklami okularów. – Znowu chce wysadzać w powietrze synagogi?

Jem zarechotał i puknął Deza pięścią w lewą pierś.

– Nie, odbić miasto – wyjaśnił Doug. – Cofnąć czas. Zostać drugim Martym McFlyem z Powrotu do przyszłości, i w ogóle.

– Ho, ho, nooo, to jest myśl – powiedział Dez, rozcierając sobie klatkę piersiową, ale nie wypadając z roli. – Niczego mi tak nie brakuje jak tych zadym na ulicach i nożowników za każdym winkiem.

Jem zamierzył się znowu na Deza, ale odpuścił. Przekazał im tylko swoją pobliznioną piąchą znak pokoju i w pijanym widzie pewny swego podjął:

– Są dwie opcje.

– Dwie opcje – powtórzył Doug, kiwając głową i rozglądając się po twarzach pozostałych.

– Na ten przykład luknijcie na te dwie cipy. – Schodziły razem po wyłożonym linoleumowym dywanem schodach – we dwie różniej – jak dziewice ze świeczkami do pieczary z horroru. Jedna była w bezkształtnej czarnej bluzce, druga w miętowozielonym kaszmirowym sweterku zarzuconym na ramiona, z rękawami związanymi w osłaniającą biust kokardę. – W gazetach dobrze piszą

– to samotne baby zalewają Town. Okolica bezpieczna, na ulicach pustki, mają gdzie stawiać te swoje pieprzone hondy i volkswageny, i w ogóle. A teraz ja się pytam: widzimy, co się święci? – Pokazał palcem na sufit. – Bo ja myślę, że nie widzimy. Jeszcze trochę, a będziemy siedzieć razem z tamtymi golfiarzami na Górcie, obwiązani swetrami w pasie, i chłeptać chablis.

– Chłeptać chablis – powtórzył z rozmarzeniem Gloansy.

– Trzeba ich wszystkich wykurzyć z Town. Jak? Już mówię. Najpierw jakiś chemiczny wyciek. Skażenie środowiska, spaskudzone powietrze. Zaczną się bać o swoje jajniki i takie tam. Tak się trzęsą o to swoje zdrowie, że rzygać się chce. Potem? Powiedzmy, seryjny gwałciciel.

Doug pokiwał z uznaniem głową.

– Tę część planu zamierzasz oczywiście wziąć na siebie?

– Wystarczy rozpuścić plotkę. Bo co ich tu ściąga całymi tabunami? To pieprzenie o „bezpiecznej okolicy”. Przepicować ją na niebezpieczną. Dostaną cykora i – fffft! Tak lecą ceny chałup w całym Town.

– Czyli podsumowując – odezwał się Dez po chwili namysłu – gotów jesteś nasrać we własne gniazdo, byle tylko się ludzie z dala do niego trzymali.

– Moim zdaniem plan jest super – orzekł Doug.
– Co tam super, kurwa, genialny jest – rzucił Gloansy. Wrócił Chlapacz z czterema nieotwartymi butelkami high life’a powtykanymi między palce.

– Macie dzisiaj spust, chłopaki. Musiałem dymać na Górkę po schłodzone, bo mnie już wszystkie wyszły.

– To dymaj po jeszcze cztery – poradził mu Jem, rozdając browarki i stawiając jeden na barze przed Dougiem.

Miller high life zawsze najlepiej im wchodził. Złocistobrazowy, zimny nektar w kryształowo przezroczystej butelce o wysmukłej szyjce. Szampan wśród piw. Etykieta przypominała Dougowi banknot, wygodna zakrętka ząbkowaną srebrną monetę.

Jem postawił przed nim naładowany pistolet – butelka czekała, zachodząc rosą.

Krista wychyliła się zza Douga.

– Jezu, Jimmy.

– Masz coś, kurwa, do mnie? – warknął Jem, otwierając swoją.

– Mam.

– Do mnie? Znalazła se, kurwa, frajera, co jej stawia, i jeszcze jej źle.

– Nie zachowuj się jak zalany palant. Zdecyduj się, albo zalany, albo palant, ale nie rób z siebie obu naraz.

– Dopóki za moje pijesz, gęba na kłódkę.

Patrzyła na niego, mrużąc oczy, tak jakby był daleko od niej.

– Tak cię to rajcuje? Mamie też podtykałeś te zasrane słodycze.

Oczy Jema pobielwały. Gdyby chciał teraz uderzyć Kristę, Doug zostałby w to wciągnięty, a nie miał zamiaru ratować jej z jakiegokolwiek opresji. Prawda była taka, że Krista też wołała Douga wstawionego i pijącego po równo, ale w tej chwili brat był dla niej wygodnym, wspólnym wrogiem.

Trwało to tylko moment, potem do oczu Jema wlało się z powrotem nieco błękitu. Uśmiechnął się, mniejsza z tym, że tylko do siebie, i nachylił do łokcia Douga.

– Ty mnie rozumiesz, nie?

– Jak nikt – zapewnił go Doug.

– Zawsze mówiliśmy, no nie, że jak któryś z nas zalicza wpadkę, to reszta dalej dzieli wszystko na cztery, odkłada jego działkę. I to jest właśnie to. Stawiam kolejkę? Kupuję cztery, zawsze cztery. Umierasz jutro, a ja stawiam wieczorem kolejkę? Kupuję cztery. Jesteś zawsze na tego czwartego. Tak było nawet wtedy, gdy siedziałeś w tym swoim pierdłu, gdy garowałeś na własne życzenie. Przez całe te dwa lata uz-uwględniałem ciebie zawsze w głowie przy podziale.

– Uzuwględniałeś?

– No... kurwa... uwzględniałem i uzbierało się

tego od chuja pana. Jak lody ruszą, brachu, to tankujesz za friko i długo – na moje konto. To jest mój brat! – wrzasnął na cały bar, stając na rurowym podnóżku, kiedy pojawiły się cztery nowe piwa. – To moja siostra, a to mój, kurwa, brat!

Wszystkie głowy obróciły się, ale wiwatów ani niczego w tym stylu nie było, Dołek przywykł do jego wyskoków. Jem dopił piwo, wymienił pustą butelkę na pełną i niesiony falą euforii, która go nagle ogarnęła, podryfował na salę. Dez wyciągnął od Douga przyrzeczenie, że da sobie później skopać tytek przy stole do gry w hokeja, i też się zmył, potem zniknął Gloansy i Doug został przy barze z Kristą.

Odsunęła od siebie niedopitego bourbona z colą i sięgnęła po nietknięte piwo Douga. Starał się nie patrzeć, jak opróżnia butelkę duszkiem do połowy.

– Jestem z ciebie dumna – powiedziała.

– Mhm. – Błady uśmieszek.

– Poważnie mówię. Najsilniejszy facet, jakiego znałam. Silniejszy od każdego z tych...

– Tak, tak. – Doug ściągnął na siebie uwagę Chlapacza i poprosił na migi o jeszcze jedną wodę.

Krista, przeciągając kolanem po udzie Douga, wzięła kolejny łyk.

– Co się z nami porobiło? Nie dosyć już czasem całej tej dziecinady? Znaczący... jesteśmy tutaj, oboje. Wciąż.

– Wciąż.

– Jak się tak dobrze zastanowić – ciągnęła, wystrzępione brudnoblond włosy opadały jej strąkami na uszy – to czy któreś z nas ma szansę na znalezienie sobie kogoś innego do pary? Z taką przeszłością jak nasza.

Odchylone od ściany lustro za barem zapewniało Dougowi dobry przegląd sali. Dez był już z powrotem przy konfesjonale swojej szafy grającej. Joanie siedziała na stosie skrzynek po becku z butelką buda w rękę i sięgała drugą, wolną ręką do tylnej kieszeni Gloansy’ego, korzystając z tego, że jej podpity narzeczony zaabsorbowany jest właśnie składaniem jakichś niewybrednych propozycji mijającej ich kobiecie. Jem rozmawiał znowu z tamtymi dwoma nieznanymi młodymi, krzepkimi szczyłami z Town – racząc ich swoimi historyjkami. Ręce miał szeroko rozstawione jak motocyklista grzejący na harleyu. Szczyłe słuchały go z wypiekami na twarzy jak uczniowie mistrza, wybuchając co chwila śmiechem, i Doug poczuł niesmak.

„Te gęby, które wokół siebie zobaczysz, to ty”, powiedział Frank G. Zadymiona sala i bliskość Kristy wywoływały u niego coś w rodzaju deja vu.

– Nie chcę spędzić reszty życia w tej speluncie – ciągnęła Krista. – Naprawdę nie chcę.

Doug jej nie uwierzył. Właściwie to nie wierzył

w nic, co mówiła Krista, nawet jeśli wiedział, że nie kłamie.

– Mogę ci zdradzić sekret, którego kobieta nie powinna nigdy wyjawiać mężczyźnie? – Nachyliła się bliżej, jej ciepły oddech łaskotał go w ucho. – Zaczynam czuć się tutaj staro.

Zawiesiła głos i czekała na reakcję Douga.

– Ja też się czuję, jakbym miał ze sto pieprzonych lat – przyznał.

– Chyba wypierają nas już nowsze modele.

Doug kiwnął głową i wzruszając ramionami, umaczał plasterki limonki w wodzie sodowej.

– Może to i dobrze.

Jej butelka była już pusta.

– Pod warunkiem, że masz się gdzie przenieść. Ze masz z kim być.

Obecność dłoni Kristy między udami tak mu spowszedniała, że poczuł ją tam dopiero, kiedy sunęła już palcami po szwie spodni w kroku.

– Długo już pościsz? – spytała.

Powiadają, że tonący, zanim zniknie pod powierzchnią, odnosi wrażenie, że woda zrobiła się cieplejsza. Poufałość, której teraz doświadczał, była jak letnia kąpiel we śnie. „Tym właśnie jesteś – ludźmi, których do siebie przyciągasz, którymi się otaczasz”.

– Bo ja za długo. – Miała tę magiczną umiejętność nawijania mu do ucha, podczas gdy jej

wprawna dłoń robiła swoje. Opływała go teraz całą sobą jak duchota na sali. – Wiesz, czego mi brakuje? Tej twojej sofy z dużym przebiegiem. Tego, jak ściskałam zawsze jej oparcie. Lubię sobie fantazjować, że codziennie, przechodząc obok niej, widzisz tam ślady po moich paznokciach.

Doug nie odrywał oczu od jej zapomnianego bourbona z colą. Spomiędzy rozpuszczających się kostek lodu sterczała pałeczka do mieszania z obgryzionym czubkiem. Sam czuł się mieszany.

W jej oddechu i na jej ustach czuł zapach lisiego uśmiechu i high life'u.

– Najsilniejszy mężczyzna, jakiego znam...

Z pierwszymi akordami Mother Macree Doug wstał, dłoń Kristy zsunęła się po jego nodze.

– Zaraz wracam – mruknął. Ruszył w kierunku kibelka, ale wmieszawszy się w podchmielony tłum, zawrócił, prześliznął przez drzwi i biorąc po dwa stopnie naraz, pomknął wyłożonymi linoleum schodami na górę.

Z Dołka na Górkę wychodziło się jak z zatłoczonej stacji metra w sam środek cocktail-party. Sala pełna spodni z mankietami, obracanych w palcach naszyjników i rozbieganych, niespokojnych oczu. Gówniarzy z drinkami w ręku małpujących swoich rodziców, starających się za wszelką cenę przyćmić jeden drugiego. Facetów udających, że im

zależy, dziewczyn udających, że im zwisa. Wielka szarada.

Bramkarz przy drzwiach spytał Douga, czy wszystko w porządku, czyli musiał wyczytać z jego twarzy coś niepokojącego, tylko co? Wściekłość alkoholika, poczucie wyobcowania?

Kolejka czekających na wpuszczenie ciągnęła się prawie do samego narożnika. Doug, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie, żeby komuś nie przylutować, szedł szybko na południe, w kierunku Main.

Przed samym Thompson Square kończyły się cementowe płyty chodnikowe, a zaczynała czerwona cegła. Zaparowane szyby wystawowe kwiaciarni Fergiego po drugiej stronie ulicy podświetlała od wewnątrz wątła poświata tłąca się tak samo blado jak dogasająca władza starej gwardii, która jeszcze kilka lat temu rządziła niepodzielnie w Town. Doug już dawno się zorientował, że Fergie wie o kwiatkach tyle samo co on, czyli zero. Poświata za szybą zamigotała, drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich postawny, siwy Irlandczyk w dresie: Rusty, dawniej podobno cyngiel IRA, teraz człowiek Fergiego. Rusty spojrział w lewo, potem w prawo i trochę dłużej zatrzymał znudzony wzrok na postaci przechodzącego drugą stroną ulicy Douga. Po chwili z za jego pleców wychynął Fergie, niższy o głowę, z łapskami boksera wepchniętymi w kieszeń na

przodzie bluzy od dresu i małym jak czepek kapturkiem naciągniętym na głowę. Stary gangster całkiem nieźle wypełniał swoją osobą dres, ale Doug pamiętał jeszcze, jak ojciec mówił mu kiedyś, że Fergie nosi damskie dresy, bo ich krój lepiej uwydatnia jego kształty.

Doug szybko przeniósł wzrok na oświetlony czubek monumentu. Gangsterowi lepiej było nie przyglądać się ze zbytnim zainteresowaniem, zwłaszcza nocą w ciemnej ulicy i zwłaszcza takiemu paranoikowi i porąbańcowi jak Fergie. Poza tym, kiedy człowiek już jest z jakiegoś powodu wściekły na cały świat, rasowi mordercy potrafią wyczuć ten nastrój na odległość i nigdy nie wiadomo, jak zareagują. Często kończy się na tym, że świszczą kule i podejrzany osobnik, zanim się obejrzy, pada z podziurawioną piersią. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek samochodu i warkot zapuszczanego silnika – to żywy duch starego Town zajął miejsce w swoim czarnym, karawanowatym continentalu i odjechał.

Gdyby założyć, że Bunker Hill Monument to igła zegara słonecznego, którego cyferblatem jest Charlestown – potraktujmy tu Town jako nieforemny okrąg rozlewający się niczym żółtko jajka ku północnemu zachodowi – Doug pozostawił Szpunta mniej więcej na dziewiątej i kierował się teraz ku ósmej. Dom jego matki stał przy Sackville, na

jedenastej z minutami, dom matki Jema przy Pearl, bliżej północy.

Claire Keesey mieszkała przy Packard Street, mniej więcej na szóstej trzydzieści.

Poprzedniego wieczoru odkrył, że jej śliwkowy saturn wrócił na swoje miejsce parkingowe między ceglanymi murkami. Nie dało się ukryć – sportowe coupe stało przodem do budynku, od strony uliczki można było podziwiać bajerancki spojler i nalepkę Sztachnij się! ze śmieszkiem na zderzaku. Siedział w swoim samochodzie, patrząc w jej słabo oświetlone okna na piętrze, a po głowie tłukło mu się pytanie: Co dalej? Marnował tylko czas, koczując pod domem nieznajomej, czekając... właśnie, na co?

W końcu duma go stamtąd przegnała. Popędził swoim caprice wąską Monument Avenue – wawozem między ceglanymi szeregowcami wznoszącym się ku oświetlonemu paradnie granitowemu fiutowi. Po powrocie do domu wyjął jej prawo jazdy ze skrytki za parapetem okna kuchennego. Dokument był często używany, laminat wystrzępił się po brzegach, pomarszczył od długich nocy w ciasnych kieszeniach. Na nieretuszowanej fotografii wyglądała na wystraszoną, tak jakby ktoś wpadł na nią od tyłu, kiedy uśmiechała się do obiektywu.

Plastik poczerniał i pofałdował się, zanim jeszcze zajął się płomieniem, jej wizerunek, topiąc się, ronił łzy, torturowane w popielniczce prawko

zwinęło się w końcu i wypuściło kłęb czarnego oleistego dymu. Prosta ceremonia położenia kresu temu źle ukierunkowanemu zauroczeniu dobiegła końca.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy po drodze na mityng do Malden zatrzymał się pod Bunker Hill Mall, żeby kupić sobie mountain dew, zobaczył go. Stał zaparkowany przy krawężniku pod Foodmasterem jak bomba, która lada chwila może wybuchnąć. Nalepka na zderzaku wrzeszczała: Sztachnij się!

Zaparkował rząd dalej i z dłońmi spoczywającymi luźno na kierownicy obserwował w lusterku wstecznym tykającego saturna. Po jakimś czasie, przeklinając siebie w duchu, wysiadł z caprice, przeciął parking, wszedł do środka i alejka po alejce zaczął przeczesywać sklep.

Zauważył ją w połowie działu „pielęgnacja włosów”. Była w czerwonym podkoszulku, szarych spodniach od dresu, czapeczce bejsbolowej Avia, tenisówkach i bursztynowych okularach. Powszechny w Town widok – wyluzowana weekendowa dziewczyna, japiszonki załatwiające swoje sprawy w bejsbolówkach, okularach przeciwsłonecznych i workowatych ubraniach, wychodzące z założenia, że w Town nie warto robić się na bóstwo, bo nie ma dla kogo.

On, stojąc na końcu alejki, udawał, że ogląda

talie kart do gry, ona w drugim końcu przebierała w odżywkach do włosów. Bejsbolówki na głowach kobiet wyglądają często nieautentycznie, żałośnie, ni przypiął, ni przyłatał – ale tę kobietę Doug widział oczyma wyobraźni, jak po odbiciu niskiej piłki pędzi do pierwszej bazy, jak w biegu majta jej się po plecach ten słonecznoblond koński ogon. Wybrała tubkę farby w kolorze toffi i przeszła dwie alejki w bok do stelażu z czasopismami, z którego wzięła „People”. Nagle jakby coś ją zaniepokoiło, bo wycofała się szybkim krokiem do centralnej alejki i chwytając po drodze karton mleka, skierowała się do kas.

Doug wziął z kosza wyprzedazowego czekoladowe jajo Cadbury i stanął za nią w kolejce. Czuł zapach wanilii, prawdopodobnie z jej włosów nie zdążyła jeszcze do końca wywietrzeć odżywka, której ostatnio używała, przed oczyma miał jej z lekka nakrapiany piegami kark. Bał się, że jakimś samozachowawczym szóstym zmysłem strachu wyczuje jego obecność, ale ona patrzyła tylko na swoją małą czerwoną saszetkę z łańcuszkiem do przywieszenia kluczy i pustym plastikowym okienkiem na prawo jazdy.

Kiedy odeszła od kasy, sypnął drobniakami należność za swoje jajo i czekając, aż kasjerka je przeliczy, patrzył, jak Claire pomaga jakiejś starowince wytaszczyć na zewnątrz przez składane

drzwi czubaty wózek bezfirmowego papieru toaletowego. Wyszedł za nią jak duch i patrzył, jak wsiada do swojego samochodu, spogląda w lusterko wsteczne, a potem cofa i odjeżdża.

Widzisz? Nic specjalnego, orzekło jego taksujące ja. Fakt, nic, przyznał zagnieżdżony w nim trzydziestodwuletni kawaler.

Do tej pory nie miał pojęcia, dlaczego mimo wszystko powiedział potem Frankowi G., że chyba kogoś poznał.

A teraz jest tutaj z powrotem, tym razem pieszo, i gapi się w jej okno. Poranki pod domem matki, wieczory pod jej domem. Od kiedy to zrobił się z niego taki żalosny smętas. Czy po to rzucał picie? Żeby w sobotnie wieczory wystawać w bocznych uliczkach jak podszyty tchórzem złodziejaszek?

Tylko to mu pozostawało. Nie dało się tego nawet nazwać pięknym snem. To było przeciwieństwo pięknego snu, a przeciwieństwo pięknego snu to nie senny koszmar, lecz nicość. Sen wieczny nieboszczyka. Town było jedną wielką lodówką, a jej okno tam na górze, jarzące się na żółto, ostatnim schłodzonym piwem na półce. Butelką, której nie jest w stanie otworzyć; której nigdy nie będzie mu dane nawet dotknąć.

Przerzucał bezmyślnie kartki magazynu „Vette”, zerkając jednym okiem na nadawaną na kablówce

retransmisję popołudniowego spotkania Soksów, kiedy gdzieś po pierwszej w nocy rozległo się pukanie do drzwi.

Począpał boso, w samych tylko bokserkach i Tshircie, przez salon, którego odpowiednik piętro niżej był jaskinią gry Jema, a jeszcze niżej, na parterze, dawną jadalnię matki Jema zajmowaną teraz przez Kristę i Shyne.

Pobył w więzieniu zaszczepił w Dougu rygorystyczną, wojskową wręcz dbałość o porządek – Jem nazywał to odchyłką – i w mieszkaniu było to widać. Czyste mieszkanie, czyste życie, czysty umysł. Z zasady nie zapraszał już gości.

Zatrzymał się przed zaryglowanymi drzwiami na korytarz i cieniem na pasku światła pod nimi.

– Duggy.

Krista. Schrypnięty, przyciszony głos bywalczyń barów i amatorki bourbona. Pukanie przeszło w leciutkie drapanie, wiedział, że przywiera teraz całym ciałem do drzwi po tamtej stronie i przykładą do nich ucho tak jak kiedyś do jego piersi, żeby posłuchać bicia serca. Ze z dłonią przy ustach zdradza drzwicom tajemnicę.

– Wiem, że tam jesteś.

Oto przyszły za nim wszystkie drinki, których dzisiejszego wieczoru nie wypił, wszystkie błędy, jakie mógł popełnić, ale nie popełnił. Skrobały do jego drzwi, szukając swojej ostatniej szansy.

– Powiedz mi, co mam zrobić – poprosiła. – Powiedz, dlaczego samo to, że cię pragnę, nie wystarcza.

Przyłożył dłoń na płask do drzwi w nadziei, że przepłyną między nimi jakiegoś rodzaju prądy zrozumienia. Potem pogasił wszystkie światła i powlókł się do łóżka, mijając po drodze sofę ze śladami po jej paznokciach na oparciu.

FRAWLEY W SZPUNCIE

– Gdzie byłaś? – spytał Frawley.

– W toalecie na dole – odparła June, zawieszając torebkę na oparciu barowego stołka. Odsunęła ręką jego kolano i wspięła się z powrotem na swoje miejsce. – Tam nie ma kolejek.

Siedzieli przy stoliku z czarnym laminowanym blatem wielkości małego koła sterowego. Mijali ich wciąż ci sami ludzie.

– To tutaj jest jakiś dół?

– No pewnie. Wszystkie dziewczyny to wiedzą.

Sporo zainwestowała w słowo „dziewczyny” ta June, trzydziestosześcioletnia agentka obrotu nieruchomościami, którą Frawley poznał któregoś wieczoru w Store 24, gdzie ona kupowała kremowy serek, a on baterie do magnetofonu. Mieszkali oboje w porcie – ona w kondominium z widokiem na wodę, szklanymi sprzętami i pośrednim oświetleniem, on w wynajętym pokoju z dwoma oknami wychodzącymi na drogę szybkiego ruchu, półkami na książki ze skrzynek po mleku i większością garderoby wciąż w kartonowych pudłach. Z jakiegoś powodu bycie i pozostawanie dziewczyną było dla niej niezmiernie ważne, o czym mogły świadczyć blond włosy z

ciemniejszymi pasemkami opadające na policzki, by ukrywać – niczym straszną rodzinną tajemnicę – miejsca, gdzie zaczynały się już formować zmarszczki i fałdki.

– Nie byłeś tu jeszcze? – spytała z błyskiem rozbawienia w oku, zawsze w humorze.

Frawley pokręcił głową, rozglądając się za jakimiś schodami, które prowadziłyby na dół.

– Ale u Warrena byłeś?

– Nie.

– A w Olives? Tylko mi nie mów, że w Figs też nie.

– Obok tych dwóch przechodziłem.

– Boże mój, Adamie. – Położyła mu dłoń na nadgarstku, jeszcze trochę, a zaproponuje wspólną modlitwę w intencji jak najszybszego nadrobienia tych kompromitujących zaległości. – Czy uwierzysz, że w zeszłym tygodniu miałam zarezerwowany na dziewiątą stolik w Olives, a i tak musiałam czekać czterdzieści minut? Kiedy sprowadzałam się tutaj w dziewięćdziesiątym drugim – długo przed główną falą, nawiasem mówiąc – jedynymi restauracjami, których próg byłabym jeszcze skłonna przekroczyć, były Warren i Tavern on the Water. A teraz popatrz. – Zatoczyła ręką łuk obejmujący całą salę. – Wszystko, co tu widzisz, dzieje się na naszych oczach. Ta dzielnica jest teraz trendy, to taki South End sprzed kilku lat. Z tą różnicą, że nie geje, lecz

samotne dziewczyny przypuszczają na nią szturm. – Znowu te „dziewczyny”, pomyślał Frawley. – Jedyłą ujemną stroną jest piętno zła, jakie odcisnęli tutaj ci gangsterzy, dokerzy i tak dalej – ale ono, nawiasem mówiąc, blaknie z każdym tygodniem. Ta okolica przeżywa teraz boom, odbieram dzień w dzień z tuzin telefonów od dziewczyn poszukujących mieszkań. – Pociągnęła łyżeczkę nowej margarity i koniuszkiem języka zlizwała sól z wargi, a Frawleyowi rozbrzmiewał w głowie przebój Girls, Girls, Girls Motley Criie. – Są tu już nawet tajskie knajpki. To mówi samo za siebie. Tajska kuchnia w Charlestown? Pora wywieszać białą flagę.

Frawley kiwał głową, zastanawiając się, gdzie też mogą się znajdować te schody prowadzące na dół.

– W przyszłym miesiącu otwierają nowe bistro i winiarnię – tam gdzie dawniej była Cornelia. Lokal stał pusty prawie rok. Będziemy musieli tam zajrzeć.

– Tak, będziemy – mruknął, a w duchu jęknął: O, nie.

– I będziesz mnie musiał zabierać od czasu do czasu na te swoje przebieżki. Podobno taki trening poprawia samopoczucie.

Trening zamiast gimnastyki, ho, ho coś nowego. Frawley dotknął margarity „fun”, którą doradziła mu zamówić. Przykre doświadczenie, jakie z nią miał na pierwszym roku w Syracuse – nigdy wcześniej ani później nie wymiotował na czerwono – nauczyło go

nigdy, przenigdy nie ufać tequili.

– A co cię właściwie skłoniło do przeprowadzenia się tutaj w dziewięćdziesiątym drugim? – spytał.

– Szczerze? Parkowanie. A teraz wyrosło wokół mnie całe to nowe osiedle. Zanim kupiłam apartament w porcie, wynajmowałyśmy na Adams Street pokój z dziewczyną, która pracowała jako telefonistka w centralce Harvard Health. Całe weekendy snuła się po domu w piżamie, a w każdy poniedziałek rano, przed wyjściem do pracy, płakała. Zupełny obłąd, z malowaniem ścian do trzeciej nad ranem włącznie. Miała straszny, beznadziejny romans z jednym z nieciekawych typków mieszkających nad nami – zaszła z nim w ciążę i całe szczęście, że tylko na tym się skończyło – i poprosiła mnie, żebym z nią poszła, no wiesz, zrobić z tym porządek, i musiałam przedzierać się z nią przez kordony protestujących przed kliniką, przez te watachy oszołomów... za czym się tak rozglądasz?

– Co? Nie, za niczym. Za naszym kelnerem.

– Wróci – zapewniła go, bawiąc się kosmykiem farbowanych w pasemka włosów. – A wy dlaczego tu mieszkacie, agencie specjalny Frawley? – Uwielbiała go tak tytułować. – Te codzienne dojazdy do pracy to przecież makabra. Nie poświęcasz się tak chyba przez wzgląd na tych bankowych rabusiów, prawda?

– A jednak.

– Czyli jesteś taką drugą Sigourney Weaver, no tą, która obserwowała małpy, żyjąc wśród nich?

No i zasłużenie mu się oberwało, a wszystko przez to, że tak bardzo chciał zrobić na niej wrażenie na pierwszej randce.

– Tak jakby – mruknął.

– Przecież to wszystko przechodzi już do historii. Tak jak kiedyś meteoryt uderzył w Ziemię i zmiotł z jej powierzchni dinozaury, tak teraz ta dzielnica zmienia się pod damskimi butami na wysokim obcasie. W dziewczynach siła. – Coś zaćwierkało ledwie dosłyszalnie. – Ojej. – Potrząsnęła z uśmiechem głową, sięgnęła po wiszącą na oparciu stołka torebkę i wygrzebała z niej telefon komórkowy. – Tego się obawiałam. – Odebrała, zasłaniając sobie dłonią drugie ucho. – Cześć, Marie. – Przewróciła oczami. – Słabo cię... zaczekaj... – Zakryła mikrofon. – Klientka. Podpisała dzisiaj umowę kupna-sprzedaży, dwie sypialnie z tarasem na Harvard, miejsce parkingowe, na moją wyłączność. Bardzo to przeżywa. – Założyła okulary w matowych oprawkach. – Dwie minutki, przysięgam. – I podjęła przerwana rozmowę: – Okay, Marie, June jest już z tobą...

Frawley przeprosił i spacerując po zatłoczonej sali, znalazł wreszcie przy samym wejściu te prowadzące na dół schody.

Nieoznakowane, wyłożone lepiącym się od

rozchlapanego piwa linoleum. Odnosił wrażenie, że schodzi do piwniczki Szpunta, do czasu, kiedy za zakrętem przyciszony gwar rozmów z Górki nie utonął we wrzawie śmiechów, wrzasków i muzyki dolatującej z dołu.

Schody zaprowadziły go do lochu o nieotynkowanych ceglanych ścianach i lepkiej kamiennej posadzce. Zapyziałe lustro nad krótkim barem, gryzący w oczy papierosowy dym, dudniąca szafa grająca w przeciwległym kącie, stopy pustych skrzynek pod ścianami, stół do gry w hokeja pod plastikową kopułą i duchota przesycona odorem potu. Hipnotyzujący puls muzyki przypomina bicie serca, wprawia tłum w trans. Frawley zna ten kawałek – Bullet the Blue Sky – kojarzy mu się ze studiami: ostatni rok prawa, pora koktajlowa, jedzie swoim zielonym rabblem dieslem na rozmowę kwalifikacyjną z FBI. Album Joshua Tree? Czy raczej Rattle and Hum?

Jasnowłose typek w okularach z komicznie grubymi oprawkami szaleje przy szafie grającej, rapuje za Bono:

– Reelin' off those dollar bills / Slappin' 'em down...

Tutaj włącza się sala, skanduje jak jeden mąż:

One hundred!

Two hundred!

Frawley czuje teraz działanie tequili, jej smak w pocie zbierającym się nad górną wargą. Tu jego miejsce, nie na Górze z frajerstwem, tylko tutaj, na dole, w kotłowni, gdzie wieczorami posila się bestia – tu jest prawdziwe Charlestown, autentyczne Charlestown – Bono warczy: Outside it's America...

Silne potrącenie przywołało go do rzeczywistości. Było to profesjonalne potrącenie, prawie gliniarskie, pozwalające wyczuć służbowego gnata Frawleya w kaburze skrytych pod marynarką szelek.

Frawley podniósł wzrok i napotkał oczy potrącacza. Osadzone blisko siebie, nabiegłe krwią, źrenice zamglone, jasnobłękitne, niemal białe. Te oczy i głęboka bruzda pod nosem wydały się Frawleyowi dziwnie znajome: gdzieś już widział tę gębę... tabliczka z numerem pod nią... Tak, w Lakeville, na jednym ze zdjęć z opasłej kartoteki notowanych charlestowniaków.

Kontakt wzrokowy się przeciągał. Frawley, przetrawiający wciąż to profesjonalne potrącenie, mając przed sobą tę facjatę, oszołomiony tym wszystkim, z najwyższym trudem wytrzymywał spojrzenie większego od siebie draba, kojarzące się nieodparcie z więziennym spacerakiem. Niecałe dwie minuty na dole, a już rozpracowany.

– Jem, twoje! – wrzasnął ktoś... barman, chyba

do potrącacza, bo ten się obejrzał i kiwnął głową.

Potem z wymuszonym, złowróżbnym uśmiechem spojrział znowu na Frawleya.

– Kibel masz tam – warknął i przepychając się przez tłum, ruszył w kierunku czterech otwartych piw czekających na barze.

OGRÓDEK W FENS

Po spożyciu śniadania pod domem matki na Sackville Street Doug wsiadł do swojego caprice i wjechał przez most do miasta. Kupił „Herald” i „Globe” u trzęsącego się siwego gazeciarza pod przytułkiem dla weteranów na Causeway, a potem skręcił w drogę ekspresową na południe, czyli w kierunku przeciwnym do tego, w którym o tej porze dnia poruszała się zdecydowana większość użytkowników arterii.

Przez prawie cały poranek objeżdżał podmiejskie banki, usiłując wykrzesać w sobie minimum entuzjazmu dla przedsięwzięcia, które bez wątpienia nie przyniesie kokosów. Szukał czegoś pewnego, czegoś, co dałoby się zaliczyć praktycznie z marszu, a jednocześnie gwarantowało przynajmniej zwrot nakładów czasu i energii – na dobrą sprawę taki plan minimum ma w swoich kalkulacjach każdy złodziej. Obniżenie poprzeczki miało zapewnić powodzenie, a to z kolei przywrócić im pewność siebie podkopaną nieco po skoku na Kenmore Square, który nie poszedł tak gładko, jak powinien. Sukcesu potrzebowali teraz jak powietrza, nawet za cenę skromniejszego połowu, żeby podbudować swoje

morale, a miejskie banki stawały się coraz trudniejsze do obrobienia.

Obejrzał filię banku spółdzielczego na East Milton Square, Bank of Boston na trasie Baintree–Quincy, siedzibę spółdzielni kredytowej w Randolph, ale żadna z tych placówek jakoś mu nie leżała. Sam nie wiedział, czy powodem są marne widoki na godziwy zysk, czy nastrój, w jakim się znajdował. Forsa była wszędzie, gdzie tylko spojrzeć: cały problem leżał w wytypowaniu miejsca, w którym gromadzi się jej, choćby na krótko, tyle, żeby opłacało się podjąć ryzyko.

Bankomaty mnożyły się jak króliki, były już w barach, na stacjach benzynowych, w całodobowych sklepikach. Doładowujący je kurierzy poruszający się w opancerzonych furgonetkach obsługiwali do pięćdziesięciu maszyn dziennie, rozprowadzając gotówkę po całym Bostonie niczym umundurowani Johnny'owie Appleseedowie. [Johnny Appleseed – John Chapman, 1774-1847, legendarny ekscentryk z czasów amerykańskich pionierów. Ubrany jak żebrak przemierzał przez 40 lat stany Ohio, Indiana i Pensylwania, sadząc jabłonie. W 1840 roku zamieszkał w chacie z drewnianych bali w pobliżu Mansfield w Ohio i rozdawał albo sprzedawał sadzonki jabłoni udającym się na Zachód osadnikom. Jego życzliwość i zrozumienie dla zwierząt przeszły do legendy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).] W odróżnieniu od służb wyspecjalizowanych w obsłudze banków jako takich, kurierzy bankomatowi nie odbierali nigdy gotówki, oni ją tylko dostarczali. Zaczynali dzień z pełnym

kufrem i w każdej z maszyn, jakie mieli odwiedzić, zostawiali od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu kawałków, następnie wracali pod wieczór do bazy z samymi tylko wydrukami i pokwitowaniami. Kurierów tych trzeba więc było dopaść jak najwcześniej, gdzieś między kilkoma pierwszymi bankomatami, jakie mieli na dany dzień w rozpisce, i Dougowi wychodziły już kiedyś takie numery, ale nauczeni doświadczeniem dostawcy ostatnio się wycwanili. Ruszając w trasę, stosowali zwiększone środki ostrożności – jeździli po dwóch, utrzymywali stały kontakt radiowy z bazą, czasem nawet prosili o eskortę policyjną – i dopiero po lunchu trochę się odkrywali.

Sklepiki spożywcze i podobna drobnica życzyły sobie tylko dwudziestek i korzystały zazwyczaj z usług komercyjnych firm kurierskich, takich jak Loomis, Fargo & Co. albo Dunbar – ale informacji o zmieniających się za każdym razem terminach dostaw i trasach mógł dostarczyć tylko ktoś z wewnątrz, innego sposobu nie było. Banki brały zarówno dwudziestki, jak i dziesiątki, niektóre śródmiejskie nawet setki, a zaopatrywane były zazwyczaj przez nieoznakowane bankowozy ze specjalnie opancerzonymi wnętrzami i kuloodpornymi szybami. Ale bankowe banknoty były przeważnie nowe i ułożone seriami – a co za tym idzie, trefne.

Doszło do tego, że Doug był już skłonny machnąć ręką na banki i rozejrzeć się za innymi źródłami dochodu, niestety coraz trudniej znaleźć teraz placówkę, gdzie przynajmniej połowa transakcji przeprowadzana jest w gotówce. Warunek ten spełniają nocne kluby, ale tam krążą często podejrzane pieniądze, a poza tym o wiele bezpieczniej okradać rząd, niż nadepnąć na odcisk mafii. Podczas przygotowań do skoku na Kenmore jego uwagę przyciągnął stadion Fenway Park, zaczął nawet obmyślać szkic planu, doszedł jednak do wniosku, że byłaby to zbytnia zuchwałość – wprost świętokradztwo – i przyniosłaby im więcej szkody niż pożytku. Czasami lepiej poprzestać na stwierdzeniu, że coś jest do obrobienia.

Coraz większe zainteresowanie wzbudzały w nim kina. Te duże, multipleksy. Tylko część biletów sprzedawano na karty kredytowe, a wszelkie opłaty koncesyjne uiszczane były nadal wyłącznie gotówką. Podobnie jak w przypadku stadionów, dochody kin nie pochodziły jedynie ze sprzedaży biletów. Największą kasę tłukło się tam na fast foodach i napojach, innymi słowy na karmieniu i zaspokajaniu pragnienia zwabionej na seans widowni, a wielkie przeboje kinowe przyciągały masy znudzonej młodzieży niemającej nic lepszego do roboty niż wydawanie pieniędzy. Multipleksy żyły z weekendowych premier i w poniedziałek rano ich

kasy pękały w szwach jak te bankowe w piątek. Zasadzić się na konserwę, która przyjeżdża po utarg, i można by uszczknąć z tego coś dla siebie.

Ale na razie były to tylko luźne przymiarki. Wracał do miasta, porządkując sobie w głowie pomysły i szacując okiem fachowca mijane po drodze kina. Sam nie wiedział, czy zrzucił tak przypadek, czy też świadomie wybrał trasę prowadzącą przez Fenway. Przejechał wiaduktem nad wylotówką i skręcił w kierunku Kenmore Square.

Saturn stał na tym co zawsze miejscu parkingowym, na tyłach banku. Od razu rzucił mu się w oczy, tak jakby naprawdę ciśnięto mu czymś w przednią szybę. To samo żgnięcie w piersiach odczuwał w dzieciństwie, ilekroć wydało mu się, że dostrzegł w tłumie matkę. Po jej zniknięciu przez rok, albo i dłużej, opisywał sumiennie w zeszycie wypadki każdego mijającego dnia przekonany, że kiedy wróci, będzie ciekawa, co się z nim działo pod jej nieobecność.

Zawrócił ostro wokół przystanku autobusowego i skręcił na parking pod charakterystycznym znakiem Cirgo, ten sam, z którego niedawno prowadził obserwację banku. Ciekawe, czy wirus, którego podłapał, ma jakąś nazwę. Posiedzi tam chwilę, pogapi się na bank z drugiej strony placu.

Minutę później, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki

caprice, przechodził przez ulicę. Stamtąd będzie lepszy widok, tłumaczył sobie. Nogi same zaniósły go na chodnik po drugiej stronie Brookline Avenue, przed bank.

Postanowił, że przejdzie tylko szybkim krokiem przed witryną. Kiedy zbliżał się do drzwi banku, te się otworzyły. Przytrzymał je odruchowo przed czarną kobietą wyjeżdżającą ze środka na wózku inwalidzkim i... ani się obejrzał, a sam był już w środku, zapowiadając sobie, że zatrzyma się tylko na momencik przy pulpicie, uda, że wypełnia jakiś druczek, a potem w tył zwrot i spada stamtąd.

Po chwili stał już nie wiadomo po co w kolejce do kasy, uderzając się po udzie zwiniętym w trąbkę „Heraldem”. Zachowywał się jak złoczyńca, który wraca na miejsce przestępstwa. Nozdrza łaskotała mu ledwie wyczuwalna woń wybielacza, chociaż może mu się tylko wydawało.

– O, witam. – Jezus, Maria, z miejsca go rozpoznała, ta uśmiechnięta czarna kasjerka o chudej szyi, z fryzurą jak worek mąki dźwigany na głowie. – Dawno pana nie widziałam. Drobne do parkometru, prawda?

– Tak, dzięki. – Wygrzebał spoconymi palcami banknot dolarowy i przepchnął go przez otwór w szybie kasy. Widział stąd pod kątem korytarzyk za kasami i drzwi gabinetu kierowniczkii. Ktoś się tam kręcił.

Kasjerka nachyliła się do perforowanej, kuloodpornej szyby działowej.

– Słyszał pan, że nas obrabowali?

– Was, znaczy ten oddział? – Kamery zamontowane na ścianie za jej plecami przywodziły mu na myśl jednookie ptaszki. Stał ze spuszczoną głową, przez co widział tylko jej dłonie. – Nikomu nic się nie stało?

– Mnie nie, nie było mnie tu w tym czasie. – Delikatnymi, brązowymi palcami ułożyła stosik z czterech ćwierćdolarówek i pchnęła go jak krupier zetony w kasynie. – Ale pobili zastępcę naszej kierowniczkii – ciągnęła, zniżając głos. –

Ciężko... leży w szpitalu. Kierowniczka miała dzisiaj wrócić do pracy... wie pan, ta blondynka z kluczami na szyi?

– Chyba wiem.

– Nie żeby otworzyć, żeby się tu tylko pokręcić – jej pierwszy dzień po urlopie. Ale jak dotąd się nie pokazała.

W ostatniej chwili ugryzł się w język. Mało brakowało, a poinformowałby ją, że śliwkowy saturn stoi przecież na parkingu dla personelu. Nic, tylko jakiś wirus atakujący mózg. Dławiąc się, przełknął z powrotem cisnące się na usta słowa, zgarnął swoje ćwierćdolarówki i otumaniony, bez uprzejmego „Dziękuję”, bo nie miał zaufania do własnego głosu, odszedł od kasy.

Siedział już bezpieczny w caprice, kiedy nagle przyszło mu coś do głowy, pewna teoria, i od razu zdał sobie sprawę, że nie zmruży oka, dopóki nie dowiedzie jej słuszności albo jej nie odrzuci. Z tą myślą wrócił przez krótki wiadukt nad Turnpike do Fenway, zaparkował tam, a potem w przygrzewającym słońcu przebiegł całą przecznicę do Boylston Street, przeciął Park Drive i wpadł do Back Bay Fens.

Fens to park wokół stawu powstałego w korycie wyschniętej rzeki, miejska oaza jarząca się szmaragdowo rozkwitającą wiosną. Między ścieżkami rowerowymi wzdłuż Park Drive ciągną się Ogródki Fenwayowskie, pięćset ogrodzonych działek i krętych żwirowych alejek. Na początku kwietnia dwukrotnie zawędrował tu za Claire Keeseey, śledząc ją w przerwach na lunch, i obserwował siedzącą pod bladozielonymi warkoczami wierzby na kruszącej się kamiennej ławeczce i jedzącą sałatkę z plastikowego pojemniczka. Siedziała przepięknie, zupełnie jakby pozowała do któregoś ze zdjęć z grubego magazynu mody, który leżał otwarty obok.

Zwykle przedłużała sobie o kilka minut tę przysługującą jej godzinną przerwę.

Jej działkę rozpoznał po strachu na wróble w kapeluszu na końcu alejki – wiklinowy koszyk nasadzony na bakier na krzyż zbity z pozostałości

połamanej drabinki. Wszystko inne wydawało mu się tutaj nie takie, jak zapamiętał. Wiosna była już w pełnym rozkwicie i ogródki zmieniły się nie do poznania.

Zobaczył ją z daleka. Klęczała, orząc zawzięcie ziemię ogrodniczymi pazurkami, drapiąc ją nimi jak wspomnienie, które nie daje się zatrzeć. Kiedy przerwała na chwilę i podniosła się, żeby napić się wody, stwierdził, że jest ubrana do pracy, ale bynajmniej nie tej w ogródku – jasnoróżowy sweterekbluzka wypuszczony na długą ubłoconą spódnicę, jedno i drugie w ruinie. Sięgnęła po graczę, podciągnęła ubabrane rękawy i podjęła zaciekły szturm na glebę.

Przejeżdżający rowerzyści i ludzie spacerujący z psami zwalniali na jej widok, jakiś mops obszczekiwał ją wystraszony. Claire Keesey nie zwracała na to uwagi. Mężczyzna bez koszuli z trzeciej działki dalej przyglądał się Dougowi, który posłał mu złe spojrzenie i zawrócił do samochodu. Tajemnica Claire Keesey zamulała mu umysł.

ZAFARBOWANY

Czy to za sprawą geografii, czy jakiegoś niedopatrzenia w planowaniu miasta odnoga C Zielonej Linii metra MBTA [MBTA – Massachusetts Bay Transportation Authority] ma aż dwanaście przystanków na trzymilowym prostym jak strzeł odcinku trasy między bostońskim Kenmore Square a bostońskim Cleveland Circle – wszystkie w dzielnicy Brookline. Górą, po szynach ułożonych na tym odcinku Beacon Street, kursują zabytkowe tramwaje. Nieopodal przystanku St. Paul stoi długi na pół przecznicy, dwupiętrowy hotel Holliday Inn z dużym przeszklonym atrium, w którym cztery razy do roku, zawsze we wtorek, spotykają się na wspólnym śniadaniu Grupa Zadaniowa do spraw Napadów na Banki (BRTF) i współpracujące z nią agencje.

BRTF utworzono pod koniec 1985 roku, w okresie kiedy zespoły powoływane doraźnie spośród federalnych, stanowych i lokalnych organów ścigania, tocząc spory kompetencyjne i dając upust wzajemnym animozjom, regularnie kładły śledztwo za śledztwem. Decyzję tę wymusiła pogarszająca się w zastraszającym tempie sytuacja: tamtego roku w całym kraju doszło w sumie do sześćdziesięciu pięciu

napadów na opancerzone bankowozy, w tym do piętnastu w samym tylko regionie Massachusetts. Powstanie grupy zadaniowej zaowocowało spadkiem ich liczby w tym regionie o połowę już na początku lat dziewięćdziesiątych – znaczna poprawa, ale nie aż taka, by zdjąć z Bostonu odium lidera Ameryki w napadach na bankowozy. Spadła też do poniżej dwustu rocznie liczba napadów na banki w regionie, a wskaźnik wykrywalności podskoczył do 73 procent, podczas gdy średnia na terenie całego kraju wynosiła 49 procent.

Personel wydziału dochodzeniowego BRTF z centralą w Lakeville składał się z pięciu agentów FBI, dwóch detektywów z policji bostońskiej oraz trzech funkcjonariuszy policji stanowej. W dzisiejszym spotkaniu informacyjnym uczestniczyli przedstawiciele Departamentu Więziennictwa, komendy policji w Cambridge, Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami – DEA, wszystkich większych sieci banków oraz firm transportu chronionego i bostońskiego banku rezerwy federalnej – wymieniali informacje i ustalali strategie na przyszłość, racząc się rogalikami i sokiem żurawinowym.

Frawley od samego rana był jakiś nie w sosie. Cały poprzedni dzień spędził z Dinem w swoim cavalierze, jeżdżąc za opancerzoną furgonetką jednej z firm transportu chronionego w związku z cynkiem,

jaki dostali z wydziału przestępczości zorganizowanej. Pięćdziesiąt cztery przystanki pod supermarketami, sklepami wielobranżowymi i nocnymi klubami w okręgach Saugus i Revere, a jutro powtórka. Niewiele pozostawało mu czasu na tropienie Wałówkowych Bandytów ze skoku na Kenmore Square.

Frawley był nasiadówkowym bazgraczem, i to niezłym. Kiedy delegat banku rezerwy federalnej referował swoje zaniepokojenie Wielkimi Wykopkami – projektem rekonstrukcji Arterii Centralnej przewidującym, w ramach zakrojonego na dziesięć lat remontu kapitalnego dziurawych miejskich jezdni i grożących zawaleniem mostów, drażnienie tunelu kilkadziesiąt kroków od wypełnionych sztabami złota skarbców jego instytucji – Frawley zapełniał rysunkami wyłupiastookich hokejowych masek marginesy swojego notatnika. Szkicował je w dwóch rzutach, en face i z profilu: dwie małe jak fasolki dziurki na nozdrza, prosta, niewyrażająca niczego szpara na usta i bliźniacze trójkąty w zagłębieniach policzków. Trop masek okazał się drogą donikąd: w sklepie z kostiumami w Chinatown natrafił na całą ścianę obwieszoną dziesiątkami najrozmaitszych masek rodem z horroru, które łatwo było dostosować do swoich potrzeb.

Polowanie na zdyscyplinowaną bandę

bankowych rabusiów było bardzo trudne, bo tacy z reguły nie popełniają błędów wynikających z głupoty lub chciwości. Nie można było liczyć na to, że w pośpiechu albo z braku doświadczenia odstawią jakąś fuszerkę, która ułatwi potem ich ujęcie.

Frawley wrócił pamięcią do splądrowanego skarbcza. Otwarta na oścież szafa, opróżnione szuflady kas: spróbował wczuć się znowu w atmosferę gwałtu, jaka się tam unosiła. Wzgardzili lewymi pieniędzmi i paczkami banknotów ze środkiem barwiącym, nie tknęli ich nawet. Profesjonalni bankowi bandyci, podobnie jak przedstawiciele każdego hermetycznego rzemiosła, są przesądni. Jak na reprezentanta ginącej sztuki przystało, Frawley też był na swój sposób przesądny i też ich nie dotknął. Był ostatnim z długiej dynastii detektywów bankowych wywodzącej się w prostej linii od pierwszych dyliżansowych Pinkertonów. Skoro nie dane mu było znaleźć się wśród tych, którzy dawali jej początek, to przynajmniej zapisze się w annałach jako ten, który ją zakończy. Karty kredytowe, karty debetowe, karty chipowe, internet: wraz z nastaniem społeczeństwa bezgotówkowego na scenę wkraczał współczesny bankowy bandyta, rodziła się nowa kasta. Przyszłością przestępczości finansowej była kradzież danych osobowych i malwersacja elektroniczna. Adama Frawleya wyposażonego w olympusa pearlordera i niebieski

formularz FD-430 zastąpi wkrótce wymoczkowaty, przykuty do biurka sieciarz polujący na cyberzłodziei myszką i klawiaturą. Adam Frawley odejdzie do lamusa. Metody, doświadczenie zawodowe, wszystko, co wie o bankach, skarbcach i ludziach, którzy je okradają, i wszystko, czego musi się jeszcze o nich nauczyć – odejdzie tam razem z nim, ostatnim agentem tropiącym rabusiów bankowych.

Pod ostatnią maską naszkicował słuchawkę telefonu i połączył oba rysunki zwiniętym w spiralę przewodem. Ten przewód był teraz jego jedynym punktem zaczepienia. Wałówkowi Bandydzi znali się na technice telekomunikacyjnej. Wykorzystywali tę wiedzę w skoku na Kenmore Square, jak również w innych napadach, które grupa zadaniowa im teraz przypisywała: spółdzielnie kredytowe w Winchester i Dedham; lombard przy Milk Street; włamania do bankomatów w Cambridge i Burlington; bank spółdzielczy w Watertown; dwa banki przy samej granicy z New Hampshire; obrobienie w Ostatni weekend września trzech magazynów w Providence, gdzie wyłączyli sieć systemu ochrony ADT prawie na całym wschodnim obszarze stanu Rhode Island; plus trzy niewymagające już wiedzy technicznej napady na bankowozy, które na Frawleya wyczucie też były ich sprawką, w Melrose, Weymouth i Braintree. Wszystkich dokonała trzy-, czteroosobowa banda, do wszystkich doszło w okresie mniej więcej

trzydziestu ostatnich miesięcy.

Niedaleko oddziału BayBanks, na słupie telefonicznym za rogiem, Frawley wykrył świeże dzioby po monterskich rakach. Ekipa Nyneksu, która przyjechała wiśniowym pikapem, przez trzy godziny nie mogła dojść do ładu z galimatiasem pozamienianych połączeń w skrzynce przyłączowej.

Nikt z tej gry w Monopol, jaką stał się kwitnący przemysł telekomunikacyjny, nie potrafił wyjaśnić Frawleyowi, jakim sposobem złodziej zdołał zlokalizować i zdezaktywować właśnie tę, zainstalowaną na dachu odległego o półtorej mili szpitala dla weteranów, antenę telefonii komórkowej, za której pośrednictwem pomocniczy sygnał alarmowy z banku przekazywany jest do posterunku policji w strefie D-4.

Naszkiecował maszt sieci komórkowej z antenami, potem pogrubiał go i przerobił na Bunker Hill Monument.

Zlane wybielaczem miejsce przestępstwa, skradzione taśmy z kamer monitoringu i spalona furgonetka użyta do napadu – ślady dokumentnie zatarte. Jedyna nadzieja w tym, że przejrzanie teczek personalnych pracowników Nyneksu podsunie jakiś trop. Frawley był zdecydowany prześwietlić dokładnie wszystkich zatrudnionych w tej firmie telekomunikacyjnej, którzy mieszkają w Town. Narazi się być może na zarzut, że rozpętuje

polowanie na czarownice w Charlestown, ale w tej chwili innego wyjścia nie widział.

Flamaster nie ustawał w pracy, natłok myśli kłębiących się w głowie Frawleya przekładał się na machinalne bazgranie: dłonie w rękawiczkach trzymające pistolety z kreskówek – BANG!; wielkie flachy bimbru opatrzone etykietą WYBIELACZ; symbole dolara przekreślone zszytymi szramami w miejsce pionowych kresiek.

Całą siłą woli powstrzymywał się od zerkania na zegarek, kiedy agentka DEA w mocno zaawansowanej ciąży roztaczała z przejęciem wizję, w której spadek cen heroiny pociąga za sobą wysyp grafomanów – bankowych rabusiów podsuwających kasjerom kartki z wyszczególnieniem gróźb i żądań. Wszystko wskazywało na to, że kolumbijskie kartele narkotykowe i tradycyjni azjatyccy producenci heroiny toczą między sobą zażartą wojnę cenowo jakościową, przy czym Kolumbijczycy podbijają rynek Wschodniego Wybrzeża, stawiając na żywiących awersję do zastrzyków palaczy i wachaczy. Hera po pięć dolców za torebkę wielkości paznokcia u kciuka była teraz mocniejsza od koki i tańsza od piwa.

Spożycie heroiny rosło również w Charlestown, ale jak przystało na uświęconą tradycją zapóźnienie tej dzielnicy, uzależnieni od narkotyków towniaczy pozostawali wierni popularnemu pod koniec lat

siedemdziesiątych anielskiemu pyłowi. Pył – proszek sprzedawany w małych paczuszkach, tak zwanych tea bagach – miał działanie znieczulające, pobudzające, uspokajające i halucynogenne zarazem. Na ogół mówili na niego kurz. Jedną z ważniejszych przyczyn, dla których Town przy nim obstawało, był niewątpliwie jego status nielegalnej używki nad używkami.

Ale Frawley znowu błdził myślami gdzieś daleko. Koncentrował się na obrusach, których jasny, koralowy róż odbijał się w szklankach z wodą, upodabniając je do pływających lilii. Za oknami po prawej przebiegała narysowana węglem krecha ponurej ulicy rozmywana przez siąpiącą od rana mżawkę.

Odezwały się równocześnie pagery Frawleya i Dina. Frawley odchylił się na oparcie krzesła, żeby odczytać komunikat z wyświetlacza przy pasku: numer telefonu biura w Lakeville, a pod nim kod 91A. Kodem alarmowym FBI dla napadu na bank było 091. „A” oznaczało armed – z bronią w ręku.

Dino sięgał już po swoją komórkę, Frawley też podnosił się z krzesła. Obaj, ubrani specjalnie na to zebranie w garnitury, odeszli od stołów. Dino trzymał telefon przy uchu, unosząc wysoko łokieć, tak jakby rozmowa przez komórkę wymagała przyjęcia pozy bardziej wystudiowanej niż ta nieformalna, gdy rozmawia się z aparatów stacjonarnych.

– Tak, Ginny – mówił. – Dean Drysler z tej strony... Aha, aha... Jasne. Kiedy to było? – Podeszedł do zapłakanego okna i spojrzał wzdłuż Beacon Street na zachód. – Przyjąłem. – Przerwał połączenie i odwrócił się do Frawleya. – Grafoman. Przed momentem. Groził, że ma broń, ale jej nie pokazał.

– Mhm. – Marny pretekst do wyrwania się z tej nasiadówki. – Gdzie?

– BayBanks na Coolidge Corner, róg Beacon i Harvard. – Pokazał za okno. – Dwie przecznice stąd, po tamtej stronie.

Frawley stężał, zerknął na drzwi prowadzące do holu.

– Przelecę się tam.

Wybiegł z sali, ślizgając się w nowych butach na gładkim dywanie, przemknął jak wichher obok portiera w idiotycznej kamizelce i wypadł w szarą mgiełkę. Stromym kolistym podjazdem w dół, bez czekania na zmianę świateł przez ruchliwą Beacon, potem odcinek prostej wzdłuż niskiego płotka odgradzającego tory tramwajowe, znowu przez śliską Beacon przed maskami ruszających spod świateł samochodów, i pod górkę wznoszącym się trotuarem – Kinko, poczta, bazarek...

Pokonał te ćwierć mili w mgnieniu oka i dobiegając do banku, sięgnął do kabury pod marynarką. Widok elegancko ubranego faceta z kluczami w rękę, miotającego się tam i z powrotem

po chodniku, zaglądnącego przechodniom pod kaptury, powiedział mu, że złodziej już się zmył. Machnął legitymacją.

– Boże, jaki pan szybki – zdumiał się kierownik oddziału, poprawiając na nosie okulary w srebrnej oprawce.

– Bardzo się spóźniłem? – spytał Frawley.

– Minutę, może dwie. Wybiegłem zaraz za nim.

Frawley rozejrzał się dookoła. Na moknącym w deszczu skrzyżowaniu było spokojnie, nie dostrzegł nikogo biegnącego, roztrącającego przechodniów, żadnych samochodów ruszających z piskiem opon spod krawężnika.

– Widzi go pan gdzieś?

Kierownik wyciągnął szyję, ale kropelki mżawki osiadające na szklach okularów zmusiły go szybko do wycofania się pod daszek.

– Nie.

– Coś charakterystycznego, czapka? Ciemne okulary?

– Tak. Szalik, upchnięty pod kurtkę, zawiązany pod brodą. Wyszywany karmelowobrazowym kordonkiem.

– Rękawiczki?

– Nie widziałem. Możemy wrócić do środka?

Frawley dostrzegł w oddali niebieskie błyski koguta nadjeżdżającego radiowozu, samochody ustępowały mu z drogi.

– Pan przodem – mruknął.

Był to ładny stary bank o stylowo urządzonej, dyskretnie oświetlonej wnętrze. Pośrodku znajdowały się stanowiska obsługi klienta otoczone niską drewnianą balustradą z wejściem przez wahadłową bramkę. Na biurkach bankierskie lampy z zielonymi abażurami oświetlały pudełkowate monitory komputerów. W głębi sali biegł rząd kas, a na jego przedłużeniu umiejscowiono okienko wymiany walut.

Gwar rozmów ścichł, oczy wszystkich klientów i doradców zwróciły się na kierownika wracającego z pościgu w towarzystwie odświeżnie ubranego agenta FBI. Kasjerzy w głębi sali opuścili swoje boksy i zgromadzili się wokół koleżanki ze skrajnego okienka po prawej.

– Oświadczenie – mruknął Frawley.

– A, tak, właśnie. – Kierownik przestąpił z nogi na nogę. – Hmm, tego... proszę wszystkich o uwagę. Z przykrością informuję, że przed chwilą doszło tutaj do napadu i...

Zbiorowy pomruk niedowierzania.

– Tak, bardzo mi przykro, i w związku z tym jesteśmy zmuszeni zawiesić nasze operacje co najmniej na godzinę... – pytające spojrzenie rzucone Frawleyowi – ...no, może na dwie, albo i na dłużej, a więc proszę państwa o jeszcze parę minut cierpliwości i będą państwo wolni.

Wezwanie do podniesienia ręki, jakie Frawley skierował do osób, które widziały opuszczającego bank bandytę, pozostało bez echa. Klienci banków uświadamiają sobie zwykle, że obok nich doszło do kartkowego napadu, dopiero po fakcie, kiedy kierownik zamyka na klucz drzwi wejściowe.

Dino przybył na miejsce jednocześnie z policją. Kiedy wymieniał z funkcjonariuszami uściski dłoni, Frawley przeszedł za kierownikiem na zaplecze, do kasjerów.

– Płynna czy skokowa?

– Słucham? – zmieszał się kierownik.

– Pytam o monitoring. Rejestracja odbywa się w czasie rzeczywistym czy... – Frawley spojrzał w górę i już miał odpowiedź na swoje pytanie. Kamery wideo na ścianie zamontowane były za wysoko. – One nawet nie zajrzałyby mu pod daszek czapki – stwierdził, pokazując palcem. – Maksymalna wysokość montażu to siedem i pół stopy – dajcie je niżej. Częstość po uruchomieniu alarmu spada do sześćdziesięciu klatek?

– N...nie wiem.

Reszta personelu otaczała kasjerkę ze skrajnego prawego boksu, pocieszając ją poklepywaniem po ramionach i plecach. Była to Azjatka po trzydziestce, chyba Wietnamka, łyzy skapywały jej z okrągłej bródki na jedwabną łososiową bluzkę, kolana klockowatych nóg w nylonowych rajstopach

dygotały niekontrolowanie.

Górna szuflada jej kasy była wysunięta, przegródki pełne banknotów.

– Ile zgarnął? – spytał Frawley.

– Nic – pośpieszyła z odpowiedzią kobieta o długich szpakowatych włosach zaplecionych w warkocz.

– Nic? – powtórzył za nią Frawley.

– Sparaliżowało ją. Jest u nas na praktyce, dopiero drugi dzień. Zauważyłam, że coś z nią nie tak, i zobaczyłam kartkę. Od razu nacisnęłam alarm.

Karteczka, a właściwie biała papierowa serwetka z odręcznym tekstem, wygnieciona jak miłosny liścik zbyt długo miętoszony w spoconej dłoni, leżała nadal tuż za szybą kasy.

– Dotykała pani tego?

– Nie – chlipnęła wietnamska kasjerka. – Tak... w pierwszym odruchu, jak mi ją podsuwał.

– Był w rękawiczkach?

– Nie – odpowiedziała za nią główna kasjerka.

– Ktoś z państwa widział pistolet?

Wietnamka pokręciła głową.

– Powiedział, że ma bombę.

– Bombę? – powtórzył Frawley.

– Tak, bombę – potwierdziła główna kasjerka. – Miał torbę przewieszoną przez ramię.

Na kartce koślawymi literami, nerwowym, pochylonym charakterem pisma skreślono: „Mam

BOMBĘ! WŁÓŻ WSZYSTKIE PIENIĄDZE do torby”, a dalej, jeszcze większymi literami: „ŻADNYCH ALARMÓW ANI NIC PROSZĘ!!!”.

Frawleyowi rzuciło się w oczy słowo „proszę”.

– Jaka to była torba?

– Taka nieduża, plecakowata. Zwyczajna. Szara.

Frawley przewrócił karteczkę flamastrem z nasadzoną skuwką. Na odwrocie widniało znajome różowopomarańczowe logo Dunkin’ Donuts. Za szybą kasy, od strony klienta, pojawił się Dino.

– Czuć ją jeszcze kawą – powiedział Frawley. – Jest tu kafejka po drugiej stronie ulicy, prawda, proszę pań? I widać z niej bank, zgadza się?

„Tak, mmhmm”, wszystkie pokiwały głowami.

– Zaszedł tam – kontynuował Frawley – napisał ten tekst na serwetce, przeciął ulicę, trzymając serwetkę w ręku, a rękę w kieszeni...

– To raczej spontaniczne działanie – wpadł mu w słowo Dino. – Wcześniej tego nie planował.

– Bomby też pewnie nie miał. – Frawley zwrócił się znowu do wietnamskiej kasjerki: – Napisał, że ma pani włożyć pieniądze do torby. Tej z bombą?

Pociągała teraz nosem.

– Nie, do takiej białej, na śmieci. Zabrał ją ze sobą.

– I wyszedł tak po prostu? Odwrócił się i poszedł sobie?

Kobieta spojrzała błagalnie na główną kasjerkę.

– Muszę do łazienki.

– Nerwy mu puściły – zwróciła się główna kasjerka do Frawleya. – Chyba się zorientował, że zauważyłam, co się święci. Zrobił w tył zwrot i już go nie było.

Frawley spojrzał na Dina.

– Wygląda na to, że facet na gwałt potrzebuje forsy.

Dino kiwnął głową.

– Od tego przystanku poczynając, przejazd tramwajem aż do pętli jest bezpłatny.

Frawley przeniósł wzrok na główną kasjerkę.

– Jaki jest następny bank na tym końcowym odcinku trasy?

– Eee... też oddział BayBanks. Na Washington Square.

– Numer telefonu do nich – ożywił się Dino. – Pronto.

Frawley ominął już główną kasjerkę i zmierzał ku otwartym drzwiom dla personelu.

– Co miał na głowie? Jaką nosił kurtkę? – rzucił przez ramię do kasjerki.

– Miał taki szary wędkarski kapelusz – odparła.

– No wie pan, taki grzybek z oklapniętym rondem. A kurtka była krótka, dopasowana. Za ciepła jak na wiosnę, ale nie byle jaka. Zieleń myśliwska – był porządnie ubrany.

– Dino, idziesz?! – zawołał Frawley, zatrzymując

się w prog.

Dino dał mu ręką znak, żeby na niego nie czekał, i sięgnął po telefon.

– Dogonię cię.

Frawley wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się na mokrym chodniku. Taurus Dina stał przy krawężniku z błyskającymi wciąż niebieskimi migaczami pod kratką chłodnicy i zapalonymi światłami. Zaparkowane równolegle, od strony jezdni, policyjne radiowozy blokowały ruch we wszystkich czterech kierunkach.

Jedyne, co się w zasięgu wzroku ruszało, to tramwaj pokonujący właśnie wzniesienie. Frawley przebiegł przez jezdnię, dogonił go i wskoczył do wagonu przez otwierające się drzwi.

– Pruj pan prosto na Washington Square – rzucił do żującego wykałaczkę motorniczego.

Facet spojrzał krytycznie na odznakę podetkniętą mu pod nos przez Frawleya.

– Mała jakaś.

– Ale prawdziwa. – Frawley po raz pierwszy w swojej karierze rekwirował jakiś pojazd. – Jazda.

Motorniczy zawahał się, ale zaraz wzruszył ramionami i zamknął drzwi.

– Mnie tam wszystko jedno.

Tramwaj wyrwał z kopyta i przemknął między trąbiącymi samochodami przez skrzyżowanie. Za oknami przesuwały się butiki, cukiernia, salon

RadioShack, budynki mieszkalne.

– Ile wy tam wyciągacie? – spytał motorniczy.

– Co? – warknął stojący przy nim Frawley. Serce mu waliło, w rękę ścisnął wciąż odznakę. – Podejrzewam, że mniej niż wy.

– Jakieś nadgodziny?

– Obligatoryjny dziesięciogodzinny dzień pracy.

– A mówią, że nie jesteście palcem robieni.

Motorniczy zadzwonił wesoło do gromadki prochowców i parasoli czekających na następnym przystanku, na którym się nie zatrzymał.

– Halo, proszę pana! – zaprotestowała jakaś kobieta za Frawleyem. Na podłodze obok niej leżały jak drzemiące psy siatki z zakupami.

– Tym pojazdem dowodzi teraz FBI, kochana – poinformował ją motorniczy.

Minęli, nawet nie zwalniając, kolejny przystanek odprowadzani lasem środkowych palców. Potem jezdnia po prawej odbiegła nagle od torów i wspięła się na wzgórze.

– Hej! A ona dokąd?

– Bez obawy, zaraz do nas wróci – uspokoił Frawleya motorniczy. – Słuchaj pan. Musicie założyć związek. To prawo każdego Amerykanina.

– Tak, zapamiętam – mruknął Frawley, wypatrując powrotu jezdni. – Gdzie, u diabła, ten Washington Square?

– Następny przystanek Washington Square! –

ogłosił śpiewnie motorniczy.

Jezdnia spłynęła ze wzgórza, dołączyła do nich z powrotem i już razem dotarli do skrzyżowania. Frawley z daleka zobaczył zielonobiałe logo BayBanks na bliższym rogu po prawej. Tramwaj zahamował, koła poszorowały z przeraźliwym zgrzytem po szynach i nie było na placu człowieka, który nie zareagowałby odruchowo na ten świdrujący w uszach hałas – ale dramatycznością reakcji przebił wszystkich mężczyzna w zielonej kurtce, beżowym szaliku oraz w grzybku na głowie wychodzący właśnie z banku z podróżną torbą na ramieniu i białym plastikowym workiem na śmieci w rękę.

Z racji charakteru wykonywanej pracy Frawley zwykle jako jeden z pierwszych zjawiał się na miejscu przestępstwa, ale chociaż już od ośmiu lat ścigał rabusiów bankowych, to jeszcze nigdy nie dane mu było widzieć żadnego z nich w akcji.

– Otwieraj pan! – krzyknął teraz, bębniąc pięścią w drzwi. Motorniczy otworzył je, pomimo że się jeszcze nie zatrzymali, Frawley wyskoczył w biegu i w rozwianej marynarce pognał slalomem między przejeżdżającymi przez skrzyżowanie samochodami.

Podejrzany przechodził wyciągniętym krokiem przez jezdnię jakby nieświadomy, że ktoś za nim biegnie ani że to do niego skierowane są te ochryple okrzyki „Hej!” wyrzaskiwane z regularnością zacinającej się płyty. Jeszcze jeden zwód dla

uniknięcia potrącenia i Frawley dopadł podejrzanego przed samym krawężnikiem.

Z bliska facet wyglądał całkiem niepozornie, zupełnie niegroźnie. Nos i usta skryte pod szarym kapelusikiem, wielkie okulary przeciwsłoneczne, beżowy szalik. Buty marki L.L.Bean, sztruksy koloru mchu, szara torba podróżna... Zaraz, zaraz, coś tu nie gra. Tak nie ubiera się typowy grafoman na karteluszkową robotę. Frawley widział teraz wyraźnie luźne pięćdziesiątki przywierające od wewnątrz do jednowarstwowego, prześwitującego worka na śmieci, który podejrzany trzymał w lewym ręku.

– Stać! – wysapał, unosząc otwartą dłoń, a drugą ręką sięgając do kolby tkwiącego w kaburze pistoletu. Kurtka podejrzanego zapięta była na zamek błyskawiczny po samą szyję, gdyby miał pod nią broń, nie zdążyłby jej wyszarpnąć. – FBI – przedstawił się Frawley i od razu raźniej mu się zrobiło na duszy. Podejrzany zatrzymał się i znieruchomiał na mżawce.

Dał się słyszeć odgłos przypominający trzask przepalającego się bezpiecznika. Dobiegł gdzieś z bezpośredniego otoczenia podejrzanego i przypomniał Frawleyowi o bombie, którą ten groził – chodnik pod ich nogami nagle poczerwieniał.

Frawley, przekonany, że rozerwało gościa na strzępy, odskoczył i pośliznął się. Padł twardo na

trotuar... w gardle go drapało, oczy szczypały i łzawiły. Poderwał do nich dłoń – cała czerwona.

Leżąc na trotuarze, usiłował pozbierać myśli, zatykało go. Spod zmrużonych powiek widział podejrzanego w jednym kawałku, zataczającego się w tył, potykającego o krawężnik. Coś sfrunęło Frawleyowi na twarz, jakiś zakrwawiony motyl, odegnał go ręką, ale nadleciał następny i jeszcze jeden, czwarty przylgnął mu do dłoni. Szarozielonoczerwony. Uniósł tę dłoń do opuchniętych oczu, spróbował wyostrzyć wzrok.

Pięćdziesięciodolarowy banknot, nadpalony i poplamiony.

Saszetka barwiąca. Żadna bomba, tylko pół uncji barwnika i gazu łzawiącego rozpylone pod ciśnieniem z małego pojemniczka ze sprężonym dwutlenkiem węgla ukrytym w wydrążonej paczce wycofanych z obiegu banknotów.

Frawley dźwignął się na kolano i z trudem otworzył przekrwione oczy. Po całym placu, niczym liście opadające z piątnego drzewa, fruwały nakrapiane banknoty. Wiatr spychał sennie pusty zachlapany na czerwono worek na śmieci w kierunku stojącego tramwaju Zielonej Linii.

Frawley wstał i zszedł na jezdnię. Z każdym krokiem czuł się pewniej na nogach i przyśpieszał, krzycząc i za podejrzanym, żeby się zatrzymał, i do ludzi, żeby schodzili mu z drogi.

Za umykającą przed nim postacią furkotał długi szalik. Coś małego leżało na ziemi – porzucona torba podróżna. Frawley przeskoczył przez nią i wpadł za uciekającym między dwa zaparkowane samochody. Facet skręcił w prawo tam, gdzie kończyło się ogrodzenie, szalik z frędzlami pofrunął za nim.

Za rogiem powitał Frawleya chóralny pisk. Boisko podstawówki. Na widok Frawleya dzieciarnia w popłochu, z przeraźliwym wrzaskiem, rzuciła się w kierunku budynku szkoły.

Ta erupcja wrzawy zdeprymowała chyba podejrzanego, bo zwolnił nieco i to wystarczyło, żeby Frawley, rzucając się szczupakiem, zdołał uchwycić koniec szalika. Szarpnął mocno, osadzając faceta w miejscu jak schwytanego na lasso mustanga, doskoczył, obalił go na ziemię. Ukląkł na nim, wykręcił mu ręce do tyłu i wdusił w błoto twarz złodzieja.

Nie miał przy sobie kajdanek. Od czasu swojego pierwszego biurowego zadania nie skuł już nikogo bez nakazu aresztowania. Ściągnął gościowi rękawiczki z dłoni, złączył je kciukami i uniósł wysoko ramiona, unieruchamiając go bólem.

Zatrzymany wybełkotał coś w błocko.

– Co? – sapnął Frawley nabuzowany adrenaliną. W uszach mu dzwoniło, ciekło z nosa.

– Zastrzel mnie – wychlipał głośniej facet.

Frawley dopiero teraz uświadomił sobie, że

zatrzymany wcale nie próbuje się wyrwać, tylko szlocha.

Nadjeżdżały już radiowozy na sygnale. Dzieci wciąż dokazywały na drabinkach, Frawley wydzierał się do nauczycieli, żeby zabrali je z boiska. Pomógł zatrzymanemu się podnieść, odwinął mu ubłocony szalik z szyi. Facet wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był załamany i zawstydzony.

– Hipoteka czy chore dziecko? – spytał Frawley.

– Słucham? – gość pociągnął nosem.

– Hipoteka czy chore dziecko?

Pełne rezygnacji, drżące westchnienie przerwało szloch.

– Hipoteka.

Nieopodal hamowały już z piskiem opon radiowozy. Frawley ponownie wygrzebał z kieszeni etui ze złotą odznaką i uniósł ją wysoko.

– To jakbyś ją już spłacił.

Nadbiegali hurmem dyszący żądzą krwi policjanci z wyciągniętą bronią.

– W porządku, stać! – ryknął do nich Frawley, zasłaniając przestępcę własnym ciałem.

Zatrzymali się bez przekonania, z ociąganiem chowali pistolety do kabur. Rozwścieczony ich agresywnością Frawley wyrwał najbliższemu z gliniarzy kajdanki i własnoręcznie skuł zatrzymanego. Potem odszedł pod ogrodzenie opustoszałego już boiska, otarł rękawem marynarki

łzawiące oczy i ciekący nos, a następnie obejrzał się dokładnie. Garnitur jak psu z gardła wyciągnięty, buty, pasek i krawat, wszystko zafarbowane. Potarł lewą jasnoczerwoną dłoń. Kleisty proszek w aerozolu zdążył już wnikać w skórę. Podniósł wzrok, zamrugał. W oknach szkoły dostrzegł jedną przy drugiej przyklejone do szyb twarzyczki dzieci głuchych na apele nauczycieli o powrót do ławek. Niepewnie, przygotowany na najgorsze, dotknął własnej twarzy.

Dino wyskakiwał właśnie z taurusa. Nie zatrzaszkując za sobą drzwiczek, ruszył sprintem w stronę partnera, ale po paru susach, gdy zobaczył go całego i zdrowego, zwolnił.

– No nie – powiedział, stając przed Frawleyem i szczerząc w uśmiechu idealny garnitur białych zębów – tego jeszcze nie było.

Frawley trzymał ręce daleko od siebie jak ktoś przemoknięty do suchej nitki.

– A ty już się dobrze czujesz, Dean? – wychrypiał. – Bo wyskakiwałeś z tego wozu jak za nagłą potrzebą, bałem się, że nie zdążysz.

Dino zmierzył go od stóp do głów krytycznym spojrzeniem.

– Brakuje tylko kubelka po farbie na głowie. Zrobisz coś dla mnie? Unieś swoją złotą odznakę wysoko, o tak, i powiedz: „Jerry Lewis, FBI”. [Jerry Lewis – popularny amerykański komik]

Frawley pokazał mu jasnoczerwony środkowy palec. Spojrzał znowu na przestępcę. Delikwent poddawany rewizji osobistej stał pochylony, z uchem przyłożonym do maski radiowozu, jakby ta opowiadała mu szeptem o przyszłości jego dzieci. Po chwili policjanci oderwali go od maski i wepchnęli szlochającego na tył wozu.

– Ubaw po pachy, no nie? – mruknął Dino, podchodząc do Frawleya.

11

U JAYA NA ROGU

W całym Town wyrastały jak grzyby po deszczu nowe pralnie chemiczne. Nowoczesnym pracującym kobietom, które się tu ostatnio sprowadzały, potrzebny był przede wszystkim zaufany lokalny zakład pralniczy. Konkurencja doprowadziła do tego, że nawet takie staroświeckie samoobsługowe pralniesuszarnie jak U Jaya Na Rogu instalowały u siebie czarne lakierowane kontuary, wprowadzały całodobową usługę odstawiania klientowi do domu wysuszonego prania, zapewniały oprawę muzyczną złożoną ze „złotych przebojów”, i w ogóle zaczynały o siebie dbać: przecierały codziennie szyby w oknach, polewały z węża chodnik przed wejściem, odświeżały szyldy, zmywały pod ciśnieniem oporną cegłę frontonów.

Wychodziło na to, że siła odradzania się kapitalizmu ma w sobie coś z pierwszego zauroczenia. Żadna inna siła we wszechświecie nie zmusiłaby starego Charlestown do przejechania brzytwą po policzkach, podciągnięcia poluzowanego krawata, nabrania ogłady, spryskania się wodą kolońską. W całym Town wiosna w rozkwicie, a wolny rynek usług to ładna dziewczyna w letniej

sukience i butach na obcasach.

Pralnia U Jaya była długa i wąska jak trafika, nowotownowska od frontu – chromowane okucia kontuaru, darmowa kawa – i nadal starotownowska w głębi – ściany z płyt korkowych obwieszane wizytówkami i ogłoszeniami o lekcjach gry na gitarze, staroświecka mydlarka i połamany stół do gry w mechaniczny bilard dla dzieci. Pralki stały w dwuszeregu, plecami do siebie, pod przebiegającą środkiem pomieszczenia półką, naprzeciwko nich, wzdłuż obu długich ścian, ciągnęły się piętrowe rzędy suszarek. Nowsze maszyny na jednodolarowe banknoty stały od frontu; rozklekotane gruchoty z tacką na bilon dudniły w głębi.

Doug siedział w połowie lewego rzędu pralek, na ostatniej z tych nowszych, nienapoczętych jeszcze przez rdzę, i udając pogrążonego w lekturze darmowego „Boston Phoenix”, czekał, aż maszyna upora się z jego brudami. W suszarce prawie bezpośrednio za nim kotłował się wsad Claire Keesey. Claire przebywała tu już od dłuższego czasu – na tyle długo, że Doug zdążył pognać do domu, spakować trochę brudnej garderoby, wrócić i wejść za nią do środka. Na podłodze leżała jego pusta, brezentowa torba, jedna z nielicznych pamiątek po ojcu, jakie zachował: ściągany rzemieniem wojskowy worek z wypłowiałymi czarnymi literami MACRAY, D.

I co teraz? Wyczuł okazję i zadziałał pod wpływem impulsu, bez zastanowienia, a teraz nie wiedział, jak to dalej rozegrać. Dzielilo go od niej kilka kroków i byli tu praktycznie sami – facet za kontuarem gładził się po łysej jak kolano głowie i rozmawiał po grecku przez telefon – a on nie miał żadnego dobrego pomysłu na wykończenie całej akcji. Pożyczyć mydła? Nie za prostackie? Przepraszam, często pani tu pierze? No pewnie, czemu jej na dobre nie spłoszyć?

Nawet gdyby teraz na niego spojrzęła i nie odwróciła natychmiast wzroku – nawet gdyby się przy tym uśmiechnęła – to przecież nie było jeszcze południa: bez względu na wszystko zobaczyłaby w nim towniackiego obiboka, któremu zebrało się na prymitywne zaloty.

Przepraszam, czy ja pani nie widziałem w Foodmasterze?

Genialny, bezbłędny plan. Gdyby nie to, że na otarcie łez będzie miał chociaż z głowy przepierkę, cała ta impreza byłaby karygodną stratą czasu. Tego by jeszcze tylko brakowało, żeby weszły tu teraz chłopaki i zobaczyły, jak zbiera się na odwagę, żeby zagadać do kierowniczkę banku, który niedawno obrobili.

Siedział tak, bijąc się z myślami, a tymczasem dobiegł końca cykl suszenia jej pierwszego wsadu. Zaczęła wyciągać jedną po drugiej ciepłe rzeczy,

składać je i pakować do musztardowożółtego kosza na pranie. Druga suszarka z jej garderobą też już kończyła, z trzeciej, międlącej samotną parą tenisówek, dochodziło miarowe łomotanie bumbumbum, przywodzące na myśl bicie w tarabany.

Zamknął gazetę i rzucił ją na podłogę. Raz kozie śmierć. Zeskoczył z pralki i energicznie przetarł dłońmi twarz, żeby dodać sobie animuszu. Jak tu zagaić, żeby nie wyjść na pospolitego erotomana?

Jakimś stosownym do miejsca i okoliczności pytaniem. Na przykład jak odróżnić białe od kolorów. Nie – to wie każdy, kurwa, kretyn. Albo zapytać, co się daje na gotowanie, a co pierze w niższej temperaturze. O coś prostego.

Szybko oszacował ten swój gambit pod względem poprawności: Czy nie ma czasem czegoś antyfeministycznego w założeniu, że kobieta zna się na praniu lepiej od mężczyzny? I nagle uświadomił sobie, że przecież tak właśnie myśli, a jak ją wkurzy takie pytanie, to też dobrze, przynajmniej będzie wiedział, co z niej za jedna, i wybije ją sobie z głowy.

Rozprostował palce u rąk zaciśnięte dotąd w pięści, zatoczył parę kółek głową, żeby pozbyć się sztywności z karku – ale czuł, że odwaga znowu go opuszcza. Weź się, kurwa, w garść! Pomyślał o katuszach, jakie będzie przeżywał, jeśli teraz skrewi,

i to dodało mu skrzydeł – tylko to go ku niej pchnęło.

Z rękami w kieszeniach ruszył przejściem w rzędzie pralek na drugą stronę. Stała tyłem do niego z białą bluzką w rękach, ale jej nie składała.

– Hmmm... tego... można?

Odwróciła się na pięcie zaskoczona.

– Dzień dobry... eee... orientuje się pani może...

Był tak skoncentrowany na dobieraniu słów, że dopiero po chwili dostrzegł w jej oczach łzy. Otarła je pośpiesznie, zawstydzona i zła, że dała się tak podejść – potem spróbowała pokryć rozdrażnienie wymuszonym uśmiechem.

– Chciałem... no... – dukał dalej Doug.

Łzy znowu się pojawiły i znowu spróbowała odprawić go uśmiechem, a kiedy to nie poskutkowało, dała za wygraną i odwróciła się. Ze zniecierpliwieniem odrzuciła w tył głowę, wznosząc na chwilę oczy do obracających się u sufitu wentylatorów – tak jakby chciała jęknąć: „O Boże” – po czym podjęła składanie. Robiła to teraz szybciej, jakby zapominając o jego istnieniu.

– Stało się coś? – spytał Doug. Jakoś niestosownie to zabrzmiało.

Odwróciła się profilem do niego i mrugała przez chwilę, siląc się na spokój. Potem dokończyła ten półobrót i spojrzała na niego błagalnie: Proszę dać mi spokój.

Co też powinien był uczynić. Jego obecność

jeszcze bardziej ją dołowała. Ale zaparł się. Jeśli odpuści teraz, to drugi raz już się nie odważy.

Sterczał za nią, kiedy wygarniała z suszarki resztę wsadu. Wrzuciła to wszystko bez składania do kosza na pranie, tenisowe skarpety i liliowe majteczki opadły bezgłośnie na podłogę. Chciała czym prędzej skończyć i wyjść. Ściągnęła kosz z ciepłymi jeszcze rzeczami z pralki, ominęła Douga i ze spuszczoną głową ruszyła szybkim krokiem w kierunku wyjścia – jej drugi wsad kotłował się nadal w sąsiedniej suszarce.

– Hej – zawołał za nią – zapomniała pani...

Ale ona była już na zewnątrz i znikła mu z oczu. Łysy facet za kontuarem wyciągał szyję, przyciskając telefon do piersi. Jakiś klient z książeczką czekową w ręku też spojrzął na drzwi, a jego dziewczyna w przeciwną stronę, oskarżycielsko, na Douga.

Doug odwrócił się plecami do wirujących suszarek i łomocących w jednej z nich tenisówek, zachodząc w głowę, co to wszystko miało, u diabła, znaczyć.

Do leżącego na północ od Town Everett wjeżdżało się przez most Malden przerzucony nad rzeką Mystic. Pod przestworem nieba rozpościerał się tu przygnębiający przemysłowy krajobraz oświetlony jak w filmie o Batmanie, w ten ponury koloryt

wpisywały się też nazwy ulic na tabliczkach – Factory Street, Chemical Lane. Wzdłuż Main Street w West Everett, niczym gapie znudzeni oczekiwaniem na przyobiecana pół wieku temu paradę, ciągnęły się smętne wielorodzinne budynki.

Doug zaparkował caprice pod poczerniałym domem pogrzebowym i z kanapką od DAngelo w jednym ręku, plastikową torbą True Value Hardware w drugim oraz kartonem valvoline wielkości dwóch magnetowidów pod pachą przewędrował pieszo do trzeciej przecznicy.

Jednorodzinne domki z kwadratowymi podwórkami od frontu i od tyłu na jej końcu wybudowano po wojnie. Drzwi, przed którymi się zatrzymał, były nieoświetlone. Postawił swoje pakunki na schodku, zapukał lekko, po czym sięgnął do lampy nad drzwiami, odkręcił szklany klosz i przetaił go z martwych owadów.

– Jestem, jestem, Douglasie – zaszczebotała pani Seavey, odryglowując drzwi i otwierając je szeroko przed gościem. Była w zapinanym na guziki irlandzkim swetrze naciągniętym na czerwony flanelowy szlafrok, jej uśmiechnięta szara twarz jaśniała jak księżyc w pełni. Już dawno temu, kiedy uczyła go w trzeciej klasie, wydawała się Dougowi stara.

– Trochę się spóźniłem – powiedział Doug. Z głębi domu dobiegał charakterystyczny temat

przewodni Koła Fortuny. – Jak tam noga?
Pielęgniarka dziś była?

– A, tak. Chyba była.

– I jak się chodzi?

Pani Seavey z na wpół figlarnym, na wpół rozmarzonym uśmiechem puściła się balkonika, rozpostarła szeroko ramiona dla utrzymania równowagi i podśpiewując „Dadaadii-da..podreptała w piankowych laczkach kilka kroczków w tył, a potem w przód.

Pani Seavey, bezpośrednio przed przejściem na emeryturę, była wychowawczynią klasy Douga. W ostatnim tygodniu roku szkolnego wysprzątała dokładnie swoją legendarną szafkę w szatni i wszystko, co w niej trzymała, rozdała na pamiątkę uczniom. Doug tak chciał mieć w domu coś, co by mu ją przypominało, że wziął tyle podręczników, pomocy dydaktycznych, plansz poglądowych i wyschniętych markerów, ile zdołał unieść. Ale Forneyowie – rodzina zastępcza, u której mieszkał kątem – kazali mu wyrzucić większą część tego skarbu. Matka dwa lata wcześniej odeszła w siną dal, a ojciec odsiadywał jeszcze dwudziestojednomiesięczny wyrok w zakładzie karnym Concord.

Doug sięgnął do torby ze sklepu przemysłowego i wyjął pudełko spiralnych świetlówek.

– Zamiast zwyczajnych żarówek kupiłem pani

takie fikuśne, bo mi panią przypominały.

– Aha – mruknęła bez przekonania. – A wkręcane?

– Wkręcane. – Odczytał tekst z pudełka: – „Niskowatowe, energooszczędne, o przedłużonej trwałości”. Tak tu napisano. „Lata nieprzerwanego świecenia”.

Pokiwała głową, a potem przyglądała się przez siatkowe drzwi, jak wymienia przepaloną, pobrzękującą żarówkę na tę nową, spiralną. Kiedy skończył, nacisnęła od wewnątrz wyłącznik. Światło emitowane przez wypełniający rurkę gaz było miękkie, ale jasne.

– Coś jeszcze do naprawienia? – spytał.

– Nie, Douglasie, Bóg zapłać. Wszystko inne działa, chwalić Boga.

Otworzył siatkowe drzwi i wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów. Nana Seavey lubiła niskie nominały, piątki i dziesiątki, którymi mogła płacić za sprawunki w sklepiku na rogu.

– Tu jest dziewięćset – powiedział. – Za wynajem na następne trzy miesiące.

Wzięła pieniądze, potrząsnęła nimi lekko.

– Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze – powiedziała, chowając zwitek do kieszeni swetra.

– Chyba posiedzę tam dzisiaj do późna.

– A siedź sobie, jak długo zechcesz. – Machnęła lekceważąco ręką i dostrzegł to obtarcie na jej

nadgarstku, brązowosine, wciąż niezagojone. – Idę się położyć.

Chwyliła go znowu za rękę i ścisnęła. Skórę miała jak papier i chłodną, kostki dłoni jak kredki w piórniku. Doug nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Spokojnych snów. Będzie dobrze.

– Spróbowałyby nie – powiedziała, cofając się z uśmiechem od drzwi – moja już w tym głowa.

Zaczekał, aż szczęknie zasuwą i zgaśnie światło nad drzwiami, po czym ruszył ścieżką w kierunku garażu. Świętej pamięci pan Seavey pracował przez całe życie w Goodyearze przy produkcji gumy, ale wieczorami i w weekendy dorabiał sobie do spółki z bratem świadczeniem prywatnych usług taksówkowych i limuzynowych. Doug pamiętał do tej pory tamten dzień rozdania świadectw trzeciej klasy. Stał zagapiony przed szkołą, a pani Seavey posyłała mu całusa zza srebrnej firanki w oknie lśniącego czarnego oldsmobila.

Pan Seavey miał właściwą każdemu Irlandczykowi słabość do automobili, kochał je jak myśliwy swoje psy, i z pomocą kumpli od butelki wybudował sobie kiedyś stodołowaty garaż na dwa samochody z otwierającą się na zewnątrz bramą. Od czasu gdy Doug, z błogosławieństwem pani Seavey, skasował zewnętrzne klamki, bramę można było otworzyć tylko od środka. Do garażu wchodziło się teraz przez małe boczne drzwi tuż przy niskim płotku

ze sztachet wytyczającym granicę posiadłości pani Seavey. W blasku bijącym z sąsiedniego podwórka od podświetlanej plastikowej figury Dziewicy Maryi otworzył kłódkę, odsunął górny i dolny rygiel, wszedł, zamknął za sobą drzwi i zapalił światło.

Halogenowe lampy przyłączone do krokwi oświetliły szmaragdowozieloną corvetę ZR-1 stojącą pośrodku cementowej posadzki. Klejnotem podwajających cenę rozwiązań technicznych zastosowanych w tej sportowej wersji wozu był całkowicie aluminiowy, czterystapięciokonny silnik Lotus LT5. ZRjedyńka Douga była ostatnią z czterysta czterdziestu ośmiu sztuk, jakie zeszły z taśmy montażowej do 1995 roku, kiedy to zakończono produkcję tego modelu. Doug kupił ją za 69 553 dolary gotówką, na Kristę, żeby uniknąć odprowadzenia podatku federalnego.

Kładziony na zamówienie szmaragdowy lakier był tak jedwabisty, że sunąc dłonią po długiej masce opadającej łagodnie od przyciemnianej przedniej szyby do chowanych reflektorów, można było odnieść wrażenie, że gładzi się pupcię noworodka. Doug kończył instalowanie nowego układu wydechowego ze stali nierdzewnej i wóz stał jeszcze na klockach.

Położył kanapkę na warsztacie obok podręcznika napraw Chilton's, pod wieszakiem z szerokim asortymentem starych narzędzi pana Seaveya. Garaż

był długi, budowany z myślą o pomieszczeniu oldów, ale cementowa posadzka urywała się, nie dochodząc do jego końca, i dalej ciągnęło się głębokie na cztery stopy, oblicowane kamieniami zagłębienie, którego podłogę stanowiło klepisko. Była to przestrzeń magazynowa zastawiona starymi rowerami z trójbiegową przerzutką, mechaniczną kosiarką trawy i monstrualną elektryczną dmuchawą do odśnieżania z pordzewiałymi łopatkami przypominającymi wyszczerzone, pokryte zakrzepłą posoką zębiska.

Doug postawił karton po valvoline na krawędzi zagłębienia, zeskoczył na klepisko, dźwignął za rączki dmuchawę do odśnieżania i odstawił ją od kamiennej ściany. Kamulec, do którego chciał się dostać, był wielkości strusiego jaja i obluzowany, łatwo wyszedł z pokruszonej zaprawy, odsłaniając wnękę. Doug natrafił kiedyś na tę skrytkę przypadkiem i znalazł w niej, za rzędem pustych flaszek po whisky Dewar's, zakurzony list ze stemplem z 1973 roku i naklejką poczty lotniczej, napisany łamaną angielszczyzną przez jakąś Francuzkę poszukującą amerykańskiego żołnierza nazwiskiem Seavey, który zimą 1945 roku przechodził ze swoim oddziałem przez wioskę jej matki.

Doug wyjął z kartonu po valvoline poowijane w gazetę paczuszki, dołożył swoją działkę ze skoku na BayBanks do różnej wysokości stosów gotówki

piętrzących się już w skrytce i popatrzył na swój zamrożony skarb, który w tej jamie był gównem wart: kolekcja ponumerowanych odcinków płótnowanego papieru składającego się w siedemdziesięciu pięciu procentach z bawełny i w dwudziestu pięciu procentach z lnu, pokrytych zieloną i czarną farbą drukarską. Z tą masą małych, prostokątnych świstków, których nie można było puścić w obieg, robił się problem. Dougowi zaczynało brakować zarówno miejsca – jamy nie dało się bardziej poszerzyć – jak i czasu – Nana Seavey była już o jedno potknięcie od domu opieki. Uiszczając dzisiaj ratę za wynajem garażu, mógł mieć tylko nadzieję, że przez te trzy najbliższe miesiące szczęście nadal będzie im obojgu sprzyjało, bo nie miał żadnego pomysłu, gdzie by tu w razie czego przeflancować swój łup i swoją vetę.

Wziął zimną, grubą na cal paczkę z równego stosu wypranych już banknotów, zarzucił na resztę grubą folię ochronną, wpasował kamień na miejsce, dostawił dmuchawę z powrotem do ściany i wylazł z zagłębienia na górę. Ciepło emitowane przez lampy zaczynało ogrzewać garaż. Odwinął z papieru śniadaniowego kanapkę z wołowiną, wyjął puszkę mountain dew z minilodówki, którą tu trzymał, i włączył przenośne radio nastawione na stację WZLX. Zazwyczaj sama myśl, że z narzędziami w ręku znajdzie się zaraz pod podwoziem ZX-1, wystarczała,

by ulotniły się troski świata zewnętrznego. Położył się na wznak na starej wyszmelcowanej palecie pana Seaveya i wjechał na niej pod uniesiony samochód. Doug nigdy nie tracił tak do końca kontaktu z rzeczywistością, ale teraz dał się unieść fali lecącej z radia Immigrant Song Zeppelinów i przynajmniej na tych kilka godzin odpłynął.

*

Już z ulicy słyszeć było, że Jem jest u siebie i daje czadu. Doug wszedł do wypełnionego muzyką domu i ruszył schodami na górę. Na piętrze ogłuszył go łomot dochodzący zza zamkniętych drzwi, które jakimś cudem nie wyleciały jeszcze z zawiasów. W jego mieszkaniu na drugim piętrze było nie lepiej. Cienkie ściany dygotały, podłoga drżała jak skóra na bębnie. Leżące na szafce w kuchni łyżeczki wibrowały, a drzwiczki szafki w pewnym momencie same się otworzyły. To był cały Jem: basy na maksa, tony wysokie wycięte.

Doug rozłożył sofę, usiadł na brzegu z miską apple jacksów i jedząc, debatował sam ze sobą, czy dać odpór tej nawale decybeli, rozkręcając na cały regulator telewizor, czy po prostu cierpliwie ją przeczekać. Nie czuł się na siłach, żeby zejść i zabębnić pięścią w drzwi Jema, dodatkowo powstrzymywała go obawa, że zostanie wciągnięty

do środka. Zresztą istniała jeszcze nadzieja, że ciszę nocną przywróci walący się im wszystkim na głowy dach.

Kim jest Doug MacRay? Oto pytania, jakie zadają sobie trzeźwi ludzie nad miską płatków o trzeciej nad ranem.

Poskładał za nią jej rzeczy i zostawił je na kontuarze: gruby błąd. Zniewieściale to jakieś było, w stylu przymilnego szczeniaczka, co to merda ogonkiem, liże rękę, siusia sumiennie na gazetkę i ogólnie stara się przypodobać. Wyszedł na mięczaka.

Wyciągnął się na wznak na materacu i czekał, aż sufit na niego runie.

Doug wszedł różnym krokiem do Jaya Na Rogu.

– Cześć, Virgil – rzucił od progu, pukając w przelocie w kontuar i pozdrawiając skinieniem głowy siedzącego za nim łysego faceta w Tshircie z Rolling Stonesami na piersi, z którym zawarł niedawno, znajomość i którego przekonał pięćdziesięciodolarowym banknotem do przystąpienia do spisku.

Maszerując wzdłuż lewego rzędu pralek, czuł na sobie jej spojrzenie, ale się z tym nie zdradzał. Stała w jednej trzeciej długości prawego rzędu wyraźnie zaskoczona, że znowu go tutaj widzi, i chyba zaczynało jej świtać, że to raczej nie przypadek.

Otworzył drzwiczki suszarki i wyciągnął z niej

naręcze zimnych już rzeczy. Przeleżały w bębnie dwa dni, czekając, aż po nie wróci, ale wiedział o tym tylko Virgil.

Udając zatopionego w myślach, zaczął składać z namaszczeniem części swojej garderoby, najpierw dżinsy, potem koszule. Kiedy tracił już nadzieję, że do niego podejdzie, usłyszał za sobą cichy głos:

– Przepraszam? Dzień dobry.

Odwrócił się jak pchnięty sprężyną. Uśmiechała się do niego niepewnie ponad dwuszeregiem pralek.

– Dzień dobry – powtórzyła.

Patrzył na nią błędnie jeszcze przez chwilę, potem twarz mu się ożywiła.

– A, to pani... Jak samopoczucie?

– Fatalnie. – Złożyła dłonie, wykręciła je. – Było mi tak wstyd. Myślałam, że więcej się tu nie pokażę. Ale sumienie nie dawało mi spokoju i w końcu przyszłam, żeby panu podziękować...

– Nie, nie, nie.

– Miałam bardzo zły... miesiąc. I nie wiem dlaczego, ale wszystko naraz zważyło mi się na głowę. Niestety, właśnie tutaj. – Wymuszony, zboląły uśmiech, jak w Dexterze.

– Głowa do góry. Grunt, że się już pani lepiej czuje.

– Tak, o wiele – przyznała, wciąż sztucznie skrępowana, może z grzeczności zniżając się do jego poziomu. – W każdym razie... dziękuję za wyjęcie

mojego prania. Wierzyć mi się nie chce, że je tak zostawiłam. A pan je nawet poskładał, Virgil mi powiedział, że to pan.

– A tak, Virgil. No... – Zawieszenie głosu sugerujące, że nie tak się z Virgilem umawiali. – Nie ma o czym mówić. Chyba że pani wolała sama to zrobić. Głupio tak składać nie swoje pranie.

– Wyobrażam sobie. – Uśmiech, ale jakiś usztywniony. – Chyba głupio. – Poklepała otwartą dłonią pokrywę pralki, odwróciła wzrok. – W każdym razie... naprawdę ładnie z pana strony, że tak się zachował, jest pan bardzo miły. I przepraszam, że tak stąd wybiegłam, przepraszam, że nie byłam wobec pana tak samo miła. – Kończyła już z nim, formalne kiwnięcie głową mające zaakcentować jej wdzięczność. – Tak czy inaczej jeszcze raz dziękuję. Dzięki. – To powiedziawszy, wycofała się z powrotem do swojej maszyny.

Doug też kiwnął głową, szukając gorączkowo słów, które mogłyby ją zatrzymać.

Nic nie przychodziło mu na myśl. Wkurzony odwrócił się do swojej otwartej suszarki. Przegiął, spłoszył ją tym „składaniem nie swojego prania” – skretyniały obwąchiwacz majtek. Co on w ogóle knuje, próbuje wykorzystać emocjonalne rozchwianie tej dziewczyny? Kurwa. Nic, tylko palnąć się piąchą w ten zakuty łeb, ale mogła go obserwować.

Obejrzał się przez ramię. Czytała paperbacka. I

nagle dotarło do niego, że zapomniał zapytać, jak ma na imię! Albo samemu się przedstawić! Taką plamę dać. Nic dziwnego, że zabrała się i poszła.

Zawalił sprawę. Doczekał się swojej szansy, wystarczyło tylko umiejętnie to teraz rozegrać, a on doprowadził do idiotycznej sytuacji: już nie obcy sobie, ale znajomi też nie. Ten numer z przypadkowym spotkaniem trzeci raz nie przejdzie, ona natychmiast zorientowałaby się, co jest grane, i spłoszyła.

Ale może i lepiej, że się tak stało. Ze skończyło się, zanim się zaczęło. No bo jak on to sobie wyobrażał? Zapraszałby ją na drinka do Szpunta na Górkę? Kolacja w Olives, a potem do pierdzielonej opery?

Co tu kryć – nie pasowali do siebie.

I nagle przypomniał sobie jej uśmiech. Nerwowe wykręcanie dłoni... I patrzyła na niego dłużej, niż musiała. Z tym napięciem w oczach, prześwitującym spod wystudiowanej maski wdzięczności. Z czymś mu się to kojarzyło... tak, ze wspomnieniem jej z zawiązanymi oczami, które tak bardzo starał się wymazać z pamięci.

Chyba coś wyczuła, bo podniosła wzrok znad książki, kiedy przechodził na jej stronę przejściem między pralkami.

– To znowu ja – powiedział. – Gamonioваты facet z pralni samoobsługowej.

– Neeee – roześmiała się.

Docisnął czubki palców do pokrywy najbliższej pralki jak pianista szykujący się do odstawienia solówki.

– Pani tu sobie czyta, a ja segreguję tam skarpetki do pary... i myślę, że jak nie podejść i nie spróbuję, to nigdy sobie nie daruję.

Zareagowała na ten niefortunny rym uniesieniem brwi.

– Bo gdybym nie spróbował – brnął dalej, podkreślając tempo – to co najmniej przez cztery najbliższe tygodnie bym się tym zadręczał.

Uśmiechnęła się z udawanym zatroskaniem.

– Pan naprawdę taki dla siebie srogi?

– Nawet pani nie wie jak – wyrzucił z siebie, rozluźniając się troszeczkę. – Zaczęłoby się od częstego walenia się otwartą dłonią w czoło, potem wpadałbym tu po parę razy na dzień prać swoje brudy po jednej skarpetce na raz w nadziei, że pani też wróci i sobie mnie przypomni, i znowu pogawędzimy, a wtedy zastrzelę panią jakąś niewiarygodnie odkrywczą uwagą na temat pogody...

Uśmiechała się już od jakiegoś czasu, ale coś w rodzaju instynktu samozachowawczego sznurowało jej usta.

– No dobrze – odezwała się w końcu – a to, że pan spróbował – zaakcentowała kpiąco to słowo – załatwia sprawę? Wystarczy, żeby darował pan sobie

to zadreczanie się i nie przesiadywał tutaj całymi godzinami?

– O nie. Już nie. Bo widzi pani... pogawędzić pogawędziliśmy. Ale pozostaje jeszcze kwestia godności osobistej. Gdyby mnie pani teraz, że się tak wyrażę, splawiła, znaczyłoby to... znaczyłoby, że coś ze mną nie tak, i całe to zadreczanie się nie dość, że dalej by trwało, to jeszcze by się nasiliło. Bo wyszłoby na to, że nie mam wzięcia u takich osób z klasą jak pani.

Zmrużyła oczy. Uśmiechała się wciąż, ale widać było, że przetrawia jego słowa, że nie bardzo wie, co o nim myśleć. I miała prawo: Doug sam nie wiedział, co o sobie myśleć.

– Z klasą? – powtórzyła, delektując się wydźwiękiem tego określenia, i wyczuł, że się łamie.

– Bezapelacyjnie – zapewnił ją oszołomiony swoim sukcesem. – Z klasą.

MELDOWANIE SIĘ

Wiadomość, którą zostawiła mu na poczcie głosowej, brzmiała:

– „Witam, agencie... Frawley? Claire Keeseey z tej strony, hmm, kierowniczka tego obrabowanego oddziału – no, wie pan, BayBanks przy Kenmore Square. Dzień dobry. Nie mam nic... to znaczy, żadnych konkretnych informacji na temat tych bandytów ani niczego, co by się z tą sprawą wiązało. Dzwonię, żeby panu powiedzieć, że wróciłam do normy – że mam już za sobą ten drobny miniepizod, swoje młodzieńcze załamanie, i czuję się teraz lepiej, naprawdę lepiej. Byłam w pralni samoobsługowej i... nie wiem czemu, ale w pewnej chwili pomyślałam o swoim zakiecie, wie pan, tym który na mnie popruli. I naraz wszystko mi się przypomniało. Wybiegłam stamtąd, zostawiając swoje pranie w suszarce, i teraz zbieram się na odwagę, żeby po nie wrócić. Straszny obciach. W każdym razie... wiem, że mówię nieskładnie i pewnie zabieram panu tylko cenny czas przeznaczony na walkę z bezprawiem, ale kto inny by mnie zrozumiał? I bardzo chcę panu podziękować, bo gdyby mnie pan nie uprzedził, że coś takiego może mi się przytrafić, to... to pomyślałabym, że bez

prozacu się nie obejdzie, a w dalszej perspektywie majaczy mi zakład zamknięty. Tak więc... dziękuję. To wszystko. Do widzenia”.

Frawley odsłuchiwał tę wiadomość dopiero półtora dnia później. Zadzwoił najpierw do banku, potem do niej do domu.

– A, witam. Chwileczkę, dobrze?

Piknięcie zawieszanego połączenia.

Odezwała się znowu po paru sekundach.

– Przepraszam. To moja nadopiekuńcza mama.

– Nie ma sprawy, jak się pani czuje?

Ściszana muzyka.

– Dobrze. Już ze mną lepiej. A właściwie to całkiem nieźle.

– Cieszę się. Odsłuchiwałem właśnie wiadomość od pani.

– O Boże. Sam bełkot, prawda. Bo... tak długo snułam się przybita, żywy trup, że ta odrobina ulgi... wprawiła mnie w euforię.

– Próbowałem złapać panią w pracy.

– Nie... to znaczy owszem, byłam tam dzisiaj, ale krótko. Taki rekonesans, tylko żeby się rozejrzeć. Odnowili mój gabinet. Biurko, krzesło, sufit. Czuję się w nim trochę tak jak w nawiedzonym domu, ale da się wytrzymać. Jutro zaczynam na dobre.

– To się chwali. Najwyższy czas.

– Nie, po prostu urlop mi się kończy. Ale prawdę mówiąc, to przejadło mi się już to siedzenie w domu i

gapienie w telewizor.

– Może się zdarzyć, że coś panią tknie albo nawet dozna pani nagłego przyływu adrenaliny, kiedy do banku wejdzie ktoś przypominający posturą albo zachowaniem któregoś z bandytów. W takim wypadku proszę zapamiętać, co w tej osobie wywołało tę reakcję, i od razu dać mi znać.

Pauza.

– Rozumiem. Ufff, mam nadzieję, że mi się to nie przytrafi.

– Niech się pani tym nie stresuje. Odebrała pani swoje rzeczy?

– Jakie... a, z pralni? – przypomniała sobie. – Boże, jakie to było upokarzające. Tak, odebrałam. Czyste i poskładane.

– Coś takiego. Jakaś nowa usługa świadczona roztargnionym klientom?

– Właśnie. Zgodnie z reklamą w witrynie.

Usłyszał w jej tonie śmiech.

– Pewnie każą sobie za nią dopłacać?

– Nie, dla emocjonalnie rozchwianych mają specjalny rabat. Ale na poważnie... dziwna rzecz.

– Co się stało?

– Jakiś facet zaproponował mi tam randkę. Też klient, ten, który wyjął moje pranie. I je poskładał. Śmiać mi się chciało – zdecydowanie nie wyglądał na takiego, co to z upodobaniem składa babskie fatalaszki.

– No proszę – mruknął Frawley, zaintrygowany wolą współzawodnictwa, jaką ta wiadomość w nim wyzwoliła. – I co mu pani odpowiedziała?

– Zgodziłam się na fali tego dobrego nastroju. Ale zrobił na mnie wrażenie notorycznego podrywacza. Z moją głową chyba nie wszystko jeszcze w porządku. Zawierać znajomości w pralni samoobsługowej? Nie, nie pójdę.

Frawley uśmiechnął się do siebie, czując osobliwy przyływ energii.

– Pękłaby pani ze śmiechu, gdyby mnie teraz zobaczyła.

– Dlaczego? Tak pan śmiesznie wygląda pod tą swoją przykrywką czy jak to tam nazywacie?

– Szyja, policzek i lewa dłoń – wszystko zafarbowane. Saszetka barwiąca eksplodowała mi w twarz.

– Saszetka barwiąca? Żartuje pan.

– Był napad w Brookline, ścigałem sprawcę i wybuchła w momencie, kiedy go już dopadałem. No i oczywiście ten specyfik nie schodzi już po trzech dniach, jak zapewnia producent. W związku z czym wypadam na bliżej nieokreślony czas z obiegu, przynajmniej towarzyskiego. Ale opowiem pani wszystko, jeśli się jeszcze spotkamy.

– Musimy. Ciekawie się zapowiada.

– No to do zobaczenia – powiedział cały w skowronkach. – Aha, i jeszcze jedno, powodzenia

jutro.

– Dziękuję. Będzie dobrze.

Odkładając słuchawkę, usłyszał tuż za sobą głos Dina:

– Kto to był?

Aż podskoczył. Dino siedział na brzegu biurka Flotta w lakevilleskiej zagrodzie.

– Kierowniczka oddziału, ta od Chwały o Poranku.

– Ma coś?

– Nie. Meldowała się tylko.

– Meldowała? Nie wiedziałem, że objąłeś ją dozorem.

– Bo nie objąłem.

– Ahaaa. – Dino się uśmiechnął. – Rozumiem.

Ty lepiej uważaj.

– Nic z tych rzeczy.

– Takie po przejściach lubią mieć gliniarza na podorędziu.

Frawley wzruszył tylko ramionami. Dino trzymał w owłosionych dłoniach kopertę dużego formatu.

– Co to? Wezwanie z Congress Street? Tak szybko? Dane z Nyneksu?

Dino pomachał kopertą, ale zwlekał z oddaniem jej Frawleyowi.

– Jak dzieciak nagabujący Świętego Mikołaja. Powiedz „poproszę”.

Frawley udał, że zniechęcony opuszcza rękę... i

nagle zerwał się z krzesła, wyrwał Dinowi kopertę,
usiadł z powrotem i rozdarł ją z uśmiechem.

– Poproszę.

DOBREJ NOCY, CLAIRE

Doug grał rano w podwórkowego hokeja na sąsiadującej z krytym lodowiskiem ślizgawce, tam gdzie przed skarpą kończy się ślepo Washington Street. Dla okolicy było to wielkie wydarzenie, coś jakby syn tej ziemi, Howie Long, [Howie Long – słynny futbolista pochodzący z Massachusetts] wrócił, by pograć w futbol na Barry Playground. Doug rzadko jeździł teraz na łyżwach, a już pod gołym niebem w ogóle, bo przypomniało mu to o młodości, niespełnionych marzeniach, ojcu. Zakładając łyżwy i ochraniacze, odnosił wrażenie, że cofa się w czasie do szczenięcych lat, a te były totalną porażką. Żeby chciało mu się poślizgać, musiał mieć wyjątkowo dobry nastrój – a dzisiaj był w szampańskim.

Za przeciwnika trafił mu się małolat z Chappie Street wyobrażający sobie, że jest podwórkowym Gretzkym, i dostał szkołę. Doug utarł szczawikowi nosa. Jem, który pasjonował się tą dziadowską namiastką prawdziwego hokeja, zachowywał się dzisiaj podejrzenie spokojnie, pozostawiając dopingowanie Douga Gloansy’emu. Doug zakończył trzecią tercję pasowanym strzałem na bramkę. Mknący nad taflą krążek musnął krok workowatych

portek bramkarza – białego chłopaka o fizjonomii czarnucha z domków na osiedlu Mishawum – natrafił na rozdarcie w siatce i poleciał szerokim łukiem w dół, ku ulicom u stóp skarpy. Doug, pompując pięścią pod przestworem błękitnego nieba, zatoczył tyłem zwycięskie kółko.

Prawie kwadrans po ósmej tego wieczoru Doug MacRay poprawił kartę przystawek, szklaną solniczkę i pieprzniczkę, purpurową petunię w maleńkim czarnym wazoniku. Już dwa razy odprawiał kelnerkę w fartuszkach i teraz czuł, że reszta Szpunta popatruje w jego stronę i ma radochę z widoku wystawionego do wiatru towniackiego bałwana.

Starął się wyglądać na zrelaksowanego, ani trochę wkurzonego, tak jakby wszystko było okay, wszystko układało się zgodnie z planem. Ale po pierwsze: Dlaczego Szpunt? Dlaczego wybrał miejsce, gdzie mógł zostać zdekonspirowany? Po drugie: Dlaczego na Górcę? Kogo, kurwa, próbował udawać? Tych bubków, którymi pogardzał?

Wszystko przez to, że spanikował w pralni. Zgodziła się, a on zdębiał, bo nie miał żadnego przygotowanego na taką okoliczność scenariusza, Górka w Szpuncie pierwsza wpadła mu do głowy.

Idealizował tę randkę w wyobraźni jak małolat. Ona będzie siedziała tutaj, ja tutaj. Powiem coś, a ona się roześmieje. Gówniarz zasrany. I ten pulower w

kolorze owsianki opinający mu barki, który kupił w Galerii tuż przed zamknięciem – po uprzednim gruntownym przetrząśnięciu własnej szafy. Kurwa żeż mać – no weź tylko popatrz na siebie. Czarne spodnie z krokiem wrzynającym się w jaja. Pleciony skórzany pasek, miękkie czarne mokasyny.

Cała ta impreza to jeden wielki błąd. Zajął ten stolik w głębi, żeby nie być na widoku. Od frontu mógłby go przyuważyć jakiś znajomek. Po raz ósmy z rzędu przejrzał to kurewskie menu przystawek. I cały czas obserwował szklane drzwi, w oczach mu się już mgiło.

Zasłużył sobie na to upokorzenie. Zasłużył na puszczenie w trąbę. Błąd od samego początku.

Odczekał jeszcze pięć minut. Potem jeszcze pięć – za karę, żeby uszami poszło, żeby wytarzać się we własnym wstydzie. Masz nauczkę. Jak to powiedział Frank G.? Obok decyzji o omijaniu szerokim łukiem barów to najważniejszy z wyborów, jakich w życiu dokonujesz. No, pięknie. Zawalił na obu frontach.

Dwie możliwości: albo zacząć znowu chlać, ostro, i to od razu – machnąć ręką na te cholerne dwa lata o suchym pysku przez nabzdżianą japiszońską dziwkę – albo wstać, wyjść – no, może po drodze zajrzeć jeszcze kontrolnie do damskiej toalety – i jak zbity pies powlec się w tych pijących w kroku spodniach do domu.

Na szczęście Doug miał w odwodzie coś, na co

zawsze mógł liczyć. Coś, czego nikt mu nie mógł odebrać. Swoją złodziejską naturę. Inni znajdowali może oparcie w żonie albo dzieciach. Mieli gdzie albo u kogo się schronić i czuli się tam jak u Pana Boga za piecem, nie przejmując się upokorzeniami, jakich nie szczędziła im reszta świata. On miał swoją naturę.

Trzeba się będzie sprężyć z tym rozpracowywaniem bankowozów. Skoncentrować się na dużych multikinach – Revere, Fresh Pond, Braintree. Z początkiem maja zaczyna się sezon letnich premier, wystarczy tylko wybrać czas i miejsce.

Za oknami zapadała noc, mrok przecinały światła reflektorów aut przejeżdżających Main Street. Pora wziąć swoje żałosne dupsko w troki i dyskretnie, pod osłoną ciemności, ewakuować się stąd. Wykorzystał moment, kiedy kelnerka była zajęta przy innym stoliku, wstał i ze spuszczoną głową powlókł się do wyjścia. Przed samymi drzwiami musiał się zatrzymać, bo drogę blokowały dwie sikorki grzebiące w koszu z miętówkami na stoliczku hostessy.

I kiedy tak tam stał, do Szpunta wpadła Claire Keeseey. Zerknęła na hostessę w obcisłej spódnicy i szybko przeniosła wzrok na centralny barek za plecami Douga.

Sikorki tarasujące mu drogę wyszły. Poczuł

zapach ulicy i nocy, i ruszył za nimi. Nie miał tu już nic do roboty. Rozerwał ją już w myślach na strzępy – siebie zresztą też – a poza tym ten moment już minął.

– O Boże! Tu pan jest! – Chwyciła go za łokieć.
– Wiem, bardzo się spóźniłam. Wychodził pan? Boże, przepraszam. Myślałam, że już... ale czekał pan, nie mogę uwierzyć.

To uwierz. Albo jeszcze lepiej: Wiesz, ja też nie mogę. Zostaw ją z rozdziawioną gębą i wyjdź, ponieś swój słuszny gniew do domu.

Ale ona patrzyła na niego z rozbijającym uśmiechem, zarumieniona, zdyszana.

– Doug, prawda?

– Prawda.

– W pierwszej chwili cię nie poznałam... jakoś inaczej wyglądasz.

– Naprawdę?

Zmierzyła go wzrokiem.

– Nie wiedziałam... hmmm. – Popatrzyła po sobie krytycznie: biała bawełniana bluzka zapinana na guziki, pasowana w talii, sfatygowane džinsy, czarne buciki.. – Spieszyłam się. Włożyłam, co mi się pod rękę nawinęło...

– Nieważne. Te džinsy chyba składałem.

Spojrzała na nie z uśmiechem.

– Całkiem możliwe.

Mimo wszystko wracał mu dobry humor.

– Przy okazji przeszukałem kieszenie, ale żadnych drobników ani w ogóle niczego nie znalazłem.

Uśmiechnęła się promiennie, nawet oczy jej się roziskrzyły. Uświadomił sobie, że stoi w wejściu do Szpunta, mając pięć kroków za sobą drzwi prowadzące na Dołek. Wskazał głową w głąb sali.

– Może nasz stolik jeszcze się uchował.

Lawirując między stolikami, dotarli pod samą ścianę. Położyła swoją małą czerwoną saszetkę z łańcuszkiem na klucze obok wazonika z kwiatkiem, Doug usiadł naprzeciw niej, plecami do ściany, na wysokim, wyściełanym barowym krzesełku. Niskowatowa lampa nad stolikiem oblewała łagodnym blaskiem jej miodowoblond włosy, reszta sali za jej plecami tonęła w półmroku.

Doug poklepał z uśmiechem blat stolika i odetchnął.

– No – mruknęła. Nachyliła się troszeczkę i lampa utworzyła maskę z cienia wokół jej oczu. Doug odchylił się odruchowo. Nie chciał, żeby zobaczyła go w jakiegokolwiek masce, nawet takiej. – A więc dlaczego spóźniłam się trzydzieści minut? – Odwróciła wzrok, układając odpowiedź, ale rozproszyła ją inna myśl. – Wciąż nie chce mi się wierzyć, że tyle czekałeś. To znaczy... miło mi. I przepraszam. Ale jestem jednocześnie pełna podziwu.

– Bez przesady, prawdziwego czekania było w tym najwyżej piętnaście minut. Przez drugie piętnaście już tylko gotowałem się w sobie i okładałem pięściami po głowie.

– O nie! Uprzedzałeś mnie, że coś takiego cię nachodzi.

– Tak już mam.

– Nie wyglądasz na... chyba już próbowałam ci to powiedzieć w pralni – w każdym razie nie robisz na mnie wrażenia kogoś, kto jest dla siebie taki surowy.

– Wrażliwy jestem.

Uśmiechnęła się, nie widząc jego twarzy, bo skrywał ją cień.

– Zauważyłam. Łatwo cię urazić.

– Chyba za bardzo przejmuję się rolą. Zbyt poważnie biorę niektóre rzeczy.

– No to się pociesz, że masz przed sobą wzorcowy przykład dziewczyny chorobliwie nieuznającej kompromisów, załamującej się z byle powodu.

Podeszła kelnerka, krótkowłosa platynowa blondynka z miedzianym klipsem przy uchu. Uśmiechnęła się do Claire.

– No, jest pani wreszcie.

– Jestem, jestem – przytaknęła uprzejmie Claire.

– Pan bardzo się tu niepokoił – ciągnęła kelnerka, tuląc do piersi oprawiony w skórę bloczek

kelnerski i wskazując ruchem głowy na Douga. –
Prawdę mówiąc, to wychodził z siebie.

– Myślałem, że tego nie widać – bąknął Doug.

– I naprawdę bił się pięściami po głowie? –
spytała Claire.

– Niewiele brakowało. Mam na imię Drea, co
państwu podać?

Claire poprosiła o polecenie dobrego wina i z
wymienionych przez kelnerkę wybrała jakieś włoskie
o nazwie valpolicella.

– Po lampce czy całą butelkę? – spytała Drea,
spoglądając na oboje.

– Butelkę – zdecydował Doug.

– I prawidłowo. – Drea zatrasnęła bloczek.

– A dla mnie woda sodowa, z limonką – dorzucił
Doug, kiedy miała już odejść.

Drea zawahała się na moment, potem kiwnęła
głową, z powrotem otworzyła bloczek i zapisała to
sobie.

– Zaraz wracam. – I już jej nie było.

Claire wpatrywała się w stół, też
zaintrygowana tym zamówieniem.

– Prowadzę – wyjaśnił Doug.

Spojrzała na niego.

– Rozumiem.

– Przez resztę życia.

Claire kiwnęła głową, potem wykonała
nieokreślony gest za oddalającą się kelnerką.

– Ja też nie muszę...

– Nie, nie – wpadł jej w słowo, kołyszając się lekko na krzeselku. – Mnie to nie przeszkadza. Naprawdę.

– To dlaczego zamówiłeś całą butelkę?

– Sam nie wiem – mruknął. To pulsowanie łeb mu zaraz rozsadzi. Jakoś inaczej teraz na niego patrzyła. Pytania mnożą jej się pewnie w głowie jak króliki. – Miałaś mi powiedzieć...

– Ja?

– Dlaczego się...

– Ach, tak. Dlaczego się spóźniłam. – Skrzyżowała przedramiona na blacie, wsparła się na nich, cholerny język ciała. – No więc... prawda jest taka, że wcale nie zamierzałam przyjść.

– Aha. Rozumiem.

– Przemyślałam sprawę i zdecydowałam, że nie przyjdę. Właśnie dlatego się spóźniłam.

Doug kiwnął głową, czekał na dalszy ciąg.

– A co sprawiło, że jednak przyszłaś? – spytał, niedoczekawszy się wyjaśnienia.

Wciągnęła powietrze w płuca, wstrzymała oddech, uśmiechnęła się.

– Pokrętnie to może zabrzmieć, ale chyba... ta decyzja o nieprzyjściu. Innymi słowy, przyszłam, bo nie musiałam. Uzmysłowanie sobie, że niczego nie muszę... zwolniło mnie w jakimś sensie z dotrzymywania wszelkich zobowiązań. Jest jeszcze

drugie, głębsze dno tej historii... miałam ostatnio wiele przykrych doświadczeń, nie będę cię zanudzała szczegółami, ale w ich następstwie zmienił się mój sposób myślenia. Nad wszystkim długo i głęboko się teraz zastanawiam, analizuję dogłębnie swoje życie, mnie samą to wkurza. Bo zdaję sobie sprawę, że całkiem normalne nie jest. No i dzisiaj było tak – nie idę, prawda? Decyzja zapadła. Dochodzi ósma, a ja siedzę w domu, celowo niczym się nie zajmuję, patrzę, jak ta ósma dochodzi, i myślę sobie: Widzisz, Claire, iść też nigdzie nie musisz. Prowadzę ze sobą takie rozmowy. I w pewnej chwili dotarło do mnie, że to przecież nic innego, jak narzucanie samej sobie reguł, arbitralnych reguł, ogradzanie płotami swoich dni, swoich nocy. I że stosuję się do tych reguł, zamiast... no, wiesz, zamiast iść na żywioł. Zamiast robić, co mi się tylko podoba. Być sobą. No więc pomyślałam sobie – kurczę, a właściwie czemu by nie? To zwyczajne spotkanie dwojga ludzi przy drinku, a nie żaden wóz albo przewóz. Prawda?

– Jasne – mruknął. – Najprawdziwsza.

– Ludzie przez cały czas umawiają się na drinka, normalka. Wiem, że plotę bez ładu i składu. To mi się często zdarza. Przepraszam.

– Ja się nie gniewam. Dzięki temu czuję się zwolniony z obowiązku głowienia się, co by tu mądrego powiedzieć.

– Podsumowując, zwlokłam pupę z fotela i

jestem.

Zamilkła znowu, bo wróciła Drea z winem. Drea z profesjonalną gracją odkorkowała butelkę przy biodrze, naląła Claire odrobinę zawartości na dno kieliszka na skosztowanie, popisując się na koniec tym płynnym ruchem nadgarstka, który zapobiega kapaniu. Claire upiła łyżeczek i skinęła głową na znak, że jej smakuje. Doug sięgnął po swoją wodę, a Drea, napełniwszy kieliszek Claire, zapowiedziała rychły powrót po odbiór zamówienia na jakieś potrawy.

Pod koniec tego ceremoniału w głębi pola widzenia Douga zamajaczyli na moment dwaj faceci. Weszli do Szpunta, zasalutowali bramkarzowi i znikli na schodach na Dołek. Jeden z nich miał chyba na sobie za duży blezer Bruinsów, kurza twarz, to mógł być Jem.

– Nie wyłączyłeś żelazka z kontaktu?

– Słucham?

– Taką masz minę.

– Aaa... – Teraz zrozumiał. – Właśnie. I chyba mleko zostawiłem na gazie. No więc jak, zjesz coś?

– Nie jestem głodna, jadłam w domu, zanim jeszcze postanowiłam, że jednak przyjdę.

Spojrzał znowu na drzwi na schody, galopada myśli.

– To może byśmy stąd poszli?

– Ja... co? – Spojrzała na swój kieliszek. – A dokąd?

Dobre pytanie.

– Może gdzieś, skąd jest ładny widok. Na miasto. Chyba że... nie wiem, od ciebie jest widok z okna?

– Mieszkam... – urwała. – Ode mnie?

– Nie, nie, spokojnie, nie to, co myślisz... pytam, bo co ci będę pokazywał miasto, jeśli widzisz je codziennie, kiedy się budzisz.

– Aha. – Chyba nie do końca uwierzyła. Tracił jej zaufanie, i to szybko.

– Bo widzisz – brnął dalej, obrzucając szybkim spojrzeniem sąsiednie stoliki – zaproponowałem ten lokal... no, nie byłem przygotowany na to, że zgodzisz się ze mną umówić, i zaproponowałem ten, bo wydawało mi się, że powinien ci przypasować. Nie wiem, dlaczego tak sobie pomyślałem, bo przecież cię nie znam, nie? No i co, podoba ci się tu?

Uśmiechnęła się zmieszana.

– Nie pijesz...

– Właśnie. Straciłem głowę. No więc jak, idiemy?

Spojrzała na swój kieliszek.

– Ale co z...?

– Zabierz butelkę ze sobą. – Wyciągał już z kieszeni zwitek banknotów ściągnięty czerwoną gumką recepturką.

– Mam ją zabrać?

– Płacę za nią. Kieliszek też weź.

– Tak się nie robi... kieliszek?

Doug rozprostował zwitek. Zrobił to dyskretnie, ale bez przesady, niech widzi, że jest przy forsie. Recepturkę naciągnął sobie na palce, wziął z wierzchu setkę, oparł ją o wazonik Franklinem na zewnątrz, resztę banknotów zwinął z powrotem i schował.

– Uśmiechnij się do bramkarza, jak będziemy wychodzili – powiedział, wstając i zabierając butelkę ze stolika. – Gwarantuję ci, że niczego nie zauważy.

Szli wolnym krokiem pod górę, gawędząc o wszystkim i o niczym, ona z rękami założonymi na piersi, z kieliszkiem wina w jednej. Ich randka wylała się na Town, za każdym rogiem czyhały potencjalne komplikacje. W głowie mu huczało od wywiadu, który w myślach sam ze sobą przeprowadzał. Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz? I odpowiedź powtarzana jak mantra: Tylko ta jedna randka. Tylko ta jedna randka.

– Co możesz o sobie powiedzieć? – spytała. – Mieszkasz tutaj?

– Tak, od urodzenia. A ty, wcześniej?

– Od ukończenia collegeu nigdzie nie zagrzałam dłużej miejsca. A urodziłam się i wychowałam w Canton.

– Canton. To Blue Hills, prawda? Jest tam kryte lodowisko, zaraz przy autostradzie. Ślizgałem się na nim parę razy.

– Jest, chyba nazywa się Ponkapong.

– A więc przedmieścia.

– Tak. Przedmieścia.

Doug podniósł z jezdni przewrócony pojemnik na surowce wtórne i wtoczył go z powrotem do bramy. Starał się robić dobre wrażenie.

– Czym się zajmujesz?

– Pracuję w bankowości – odparła. A zaraz potem: – Kurczę!

– Co? – Doug rozejrzał się za przyczyną tego „kurczę”.

– Nie, nic, tylko jak to zabrzmiało. „Pracuję w bankowości”. Sama nie wiem, czy chciałam ci zaimponować, czy do siebie zniechęcić. Kieruję oddziałem BayBanks. To bardzo przypomina prowadzenie kiosku z prasą, z tą różnicą, że zamiast z gazetami i papierosami mam do czynienia z pieniędzmi. A ty?

– Czym się zajmuję. Hmm, to zależy. Ciągniemy dalej tę grę w kto komu bardziej zaimponuje?

– Oczywiście, twój ruch.

– Jestem odtworzycielem nieba.

– Kurczę – powtórzyła. – Wygrywasz.

– Pracuję w branży minerskiej. Wysadzanie skał, wyburzanie budynków. Nazywam to odtwarzaniem nieba, bo jak zrówna się z ziemią jakieś duże gmaszysko, to od razu poszerzają się horyzonty.

Odtworzony zostaje nagle kawałek nieba.

– Ładnie powiedziane – pochwaliła. – A więc to za twoją sprawą te wszystkie stare hotele i stadiony tak się spektakularnie zapadają w kłębach pyłu i zostaje po nich tylko kupka gruzu? Widziałam w telewizji.

– Nie, nie, ja działałam na skromniejszą skalę. Ze mnie jest bardziej taki Fred z Jaskiniowców, no wiesz, tego serialu. Kiedy odgwizdzą fajrant, zjeżdżam po szyi brontozaura i do domciu.

Wspinając się Bunker Hill Street, dotarli na szczyt wzgórza i przemieścili równocześnie na cyferblacie tykającego charlestownowskiego zegara z dziewiątej na prawie jedenastą. Prowadził ją oświetlonym latarniami deptakiem ku wylotowi Pearl Street, zarysy planu już mu się krystalizowały.

Jeden rzut oka na nadający się do wyburzenia dom matki Jema w połowie opadającej w dół ulicy wybił Dougowi z głowy wszelkie rojenia o przebieraniu się. Dostrzegł poobtłukiwany niebieski trans am Jema, ze szpanerskim błękitnym płomieniem oblizującym maskę i boki.

Caprice classic Douga stał trzy samochody dalej.

– Sekundkę – mruknął Doug, wyciągając kluczyki i otwierając drzwiczki od strony kierowcy.

Stała na chodniku i przyglądała się brudnobiałemu sedanowi z wyblakłym niebieskim składanym dachem.

– To twój samochód?

– Nie, nie – sapnął, sięgając pod welurowy fotel pasażera i potrącając po drodze rękawem pomarańczowy listek zapachowy zwisający z uchwytu zapalniczki. – Pożyczyłem znajomemu parę kompaktów... – Wymacał je pod niebieskim dywanikiem, wysunął się z samochodu, wyprostował i pomachał dwoma pudełkami tak szybko, że nie zdążyła odczytać tytułów.

Wrócili na oświetloną latarniami gazowymi Bunker Hill Street, poszli nią pod górkę na zachód, w kierunku Heights, i zatrzymali się trzy przecznice dalej, nie dochodząc do wznoszącego się na szczycie kościoła Świętego Franciszka.

– No, jesteśmy – powiedział Doug.

Stali przed dwupiętrową kamienicą z jaskrawoczerwonymi skrzynkami na kwiaty w wykuszowych oknach. Dwuskrzydłowe drzwi były czarne, każde skrzydło zaopatrzone w mosiężną kołatkę i gałkę, i obite u spodu blachą. Doug wszedł pierwszy do wyłożonego imitacją marmuru korytarzyka, rozsuwając nowymi butami na boki kartony FedEksu.

– Mieszkasz tutaj? – spytała ostrożnie, stojąc nadal na chodniku i nie kwapiąc się pójść w jego ślady.

– Skąd. – Uniósł rękę i pomacał nad framugą wewnętrznych drzwi. – Kolega tym zarządza. –

Znalazł klucz, pokazał go jej i przekręcił w zamku. – Trzeba się będzie wdrapać schodami. Jak się na to zapatrujesz?

Rozejrzała się nerwowo i z ociąganiem weszła za nim do środka.

Dach był wyłożony papą i nierówny, otoczony ze wszystkich czterech stron wysokim do kolan ceglanym murkiem. Porzucona klatka dla gołębi z drutu i drewna nie zasłaniała im pocztówkowej panoramy Bostonu rysującej się na aksamitnym, granatowoczarnym tle od wież centrum finansowego poprzez Hancock do gmachu Prudential Center, z obejmującą to wszystko migotliwą wstęgą ruchliwej międzystanowej.

Claire stała z pustym już kieliszkiem na południowym krańcu dachu, tym od strony miasta, i patrzyła na resztę Town jak z wysokiego mostu.

– Kurczę.

– Tak, piękna noc – mruknął Doug. Wyciągnął z klatki i rozłożył dwa ogrodowe krzeselka z aluminiowych rurek z rozpiętą na nich wystrzępioną, niebieskobiałą nylonową plecionką. – Stromo tutaj, nie?

Pnące się zboczem płaskie dachy domów po obu stronach przywodziły na myśl stopnie schodów do nieba, na tych, które zaadaptowano na cedrowe tarasy, stały ogrodowe meble i grille. Stare, zjeżone anteny telewizyjne mieszały się z talerzami tych

satelitarnych, przypominających pucołowate oblicza zwrócone z nadzieją ku południowemu zachodowi. Po lewej, patrząc na wschód ponad Flagship Wharf w porcie marynarki wojennej, widać było sunące po niebie jak gwiazdy na sznurku światelka pozycyjne odrzutowca. Inne samoloty oczekiwały na swoją kolej do lądowania, z dołu dolatywały odgłosy Town.

Claire podeszła z ręką w kieszeni dzinsów do krzeselka, obok którego stała odkorkowana butelka wina.

– To niebo to któreś z twoich?

Doug rozejrzał się

– Tak, moje.

– Najbardziej podoba mi się to, co zrobiłeś z tymi gwiazdami w górze.

– Mamy je z importu. A właśnie, zamawiałaś coś kiedyś z telewizji? No wiesz, coś z tych telezakupów, które lecą późnym wieczorem?

– Nie, nigdy.

Doug pokazał jej dwa kompakty.

– A ja to.

W klatce dla gołębi stał radioodtwarzacz – stare sanyo z wyrwaną kieszenią magnetofonu – przypięty do słupka drzwiczek łańcuchem rowerowym. Doug załadował do niego jeden z krążków CD.

– Ojej – zdziwiła się. To była składanka, którą zaczynali Carpentersi.

– Trzeba trochę czasu, żeby ta muzyka zaczęła

na człowieka działać. To dla mnie wielki krok.

– Co, ujawnienie się jako fan Carpentersów?

– Pozwól, że od razu skoryguję. Stanowczo nie jestem fanem Carpentersów. Chodzi mi o brzmienie. To lata siedemdziesiąte, na długo przed nastaniem disco. Nie wszystkie utwory z tej płyty mi podchodzą, niektóre są całkiem do luftu. Na przykład Muskrat Love. Ale podoba mi się radiowy aspekt tej płyty, zupełnie jakby się słuchało na żywo sygnału wysłanego dwadzieścia lat temu, który dopiero teraz do nas dociera.

Wzięła od niego pudełko, usiadła i obejrzała ze wszystkich stron.

– Kurczę – mruknęła zdumiona. – Moja mama słuchała tych piosenek całymi dniami.

– Jasne, stacja WHDH, prawda? – Też usiadł, ale w stosownej odległości trzech stóp od niej, też twarzą do miasta rozpościerającego się przed nimi jak ocean.

– Co rano, szykując się do szkoły...

– Jess Cain.

– Tak. Kurczę. – Jednocząca moc nostalgii. – I funkcjonariusz Bill składający z helikoptera meldunki o sytuacji na drogach.

U matki Douga w kuchni radio grało przez całą dobę na okrągło. Niewiele miał o niej wspomnień, ale to jakoś wryło mu się w pamięć. Jednak z Claire się nim nie podzieli. Mogłoby wywołać lawinę innych pytań o przeszłość, a ta była dla niego prawdziwym

polem minowym, na które lepiej się nie zapuszczać.

Oddała mu pudełko.

– Często tu przychodzisz?

– Nie. Rzadko kiedy.

– To nie przyprowadzasz tutaj dziewczyn, z którymi się umawiasz?

– Przyznam się bez bicia, że trochę cię okłamałem, kiedy tu wchodziliśmy. Tak naprawdę to nie mam pojęcia, kto zarządza tym budynkiem. Wiem tylko, gdzie chowają klucz.

– Aha. – Zamyśliła się, zapatrzona w mrugające do niej światła miasta.

– Chciałem ci pokazać miasto z góry, pomyślałem sobie, że spodoba ci się widok, jaki się stąd roztacza.

Poprawiła się na krzeselku, chyba udobruchana.

– Okay.

Lou Rawls zaintonował Lady Love i Doug zawtórował mu swoim najniższym basem:

– Oh, yeah...

Claire uśmiechnęła się, wyciągnęła przed siebie nogi i pokręciła stopami w kostkach, tak jak to się czasem robi po wyjęciu ich z wody.

– Gdzie mieszkasz?

– Po tamtej stronie wzgórza. – Pokazał za siebie kciukiem. – Wynajmuję. A ty na swoim?

– W banku, w którym pracuję, mam dużą zdolność kredytową. Wykupiłam mieszkanie na

własność, bo to się bardziej kalkuluje. Zamierzasz tu zostać?

– Zapomniałaś chyba dodać: do śmierci, jak większość rodowitych towniaków. Przyznam, że jakieś dwa lata temu byłem zmuszony zmienić czasowo adres, ale wcześniej taka zmiana nawet przez myśl mi nie przeszła.

– No właśnie. Bo ja... ja nie wyobrażam sobie, żebym mogła żyć w miasteczku, w którym się urodziłam i w którym mieszkają moi rodzice. Wykluczone. Co takiego ma w sobie ta dzielnica, że ludzie tak bardzo się do niej przywiązują?

– Pewnie działa na nich ten swoisty klimat. Tutaj wiadomo, co się kryje za każdym rogiem.

– Aha. Nawet jeśli to coś kryjące się za rogiem to... niekoniecznie coś dobrego?

– Mówię, jak było kiedyś, bo jak jest teraz, to, szczerze mówiąc, nie wiem. Przez te ostatnie dwa lata wypadłem z obiegu i czuję się trochę wyobcowany. Ale fajnie było tutaj dorastać. Wszyscy cię znali. Miałaś w Town swoją rolę i odgrywałaś ją.

– Jak w dużej rodzinie.

– A rodziny mogą być dobre albo złe. Dobre i złe. Ja też grałem w Town swoją rolę, byłem chłopakiem Maca. Tak wołali na mojego ojca – Mac. Gdzie tylko poszedłem, za jaki róg skręciłem, sami znajomi. O, chłopak Maca idzie – jaki ojciec, taki syn. A kiedy grasz jakąś rolę wystarczająco długo, to

ona zaczyna się stawać twoją drugą naturą. Ale teraz to się zmienia. Nie ma już tej więzi łączącej wszystkich ze wszystkimi. Nowe twarze na rogu, obcy, ludzie, którzy nie potrafią wyrecytować z pamięci historii całej twojej rodziny pokolenie po pokoleniu.

I jest w tym wolność, przynajmniej ja tak to widzę. Wolność, z której się rezygnowało za cenę tamtej swojskości – jeśli o mnie chodzi, to podoba mi się, że nie jestem teraz na każdym kroku rozpoznawany, że nie każdy wie, że to ja, chłopak Maca.

– Ale jeśli naprawdę panowały tu kiedyś takie stosunki, to według mnie ludzie tym bardziej powinni stąd uciekać. Odcinać się, palić za sobą mosty.

Doug wzruszył ramionami.

– Ty tak zrobiłaś?

– Próbowałam. Nadal próbuję.

– Przedmieścia takie już są. To katapulty. Nasze Town to bardziej fabryka. A my, miejscowi, jesteśmy jej produktem na użytek wewnętrzny i szczycimy się tym na każdym kroku. Zanieczyszcza środowisko, ale to, cholera, nasze zanieczyszczenia, no wiesz, o co mi chodzi? – Nie wyszło mu to tak literacko, jak chciał.

– To pułapka, mówię ci. Jest jak wyspa, od której brzegu trudno odbić.

Upiła łyczek wina, nie zauważył, kiedy go sobie dołała. Skończył się jeden kawałek, zaczął następny.

– Wildfire – westchnęła, zerkając na radio. –
Boże, przepadałam kiedyś za tym.

– Ja też – mruknął.

Słuchali przez chwilę w milczeniu pod
orbitującymi światełkami samolotów.

– Wspominałeś o swoim tacie – odezwała się.

Cholera. Pole minowe.

– Taaa...

– Cała twoja rodzina tu mieszka?

– Nie, właściwie to już nikt.

– Jak to, wynieśli się, a ty zostałeś?

– Coś w tym rodzaju. Moi rodzice... są w
separacji.

– Och. Ale mieszkają gdzieś niedaleko?

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? Co to znaczy?

Bummm! No i urwało mu tę nogę poniżej
kolana.

– Mama zostawiła tatę i mnie, kiedy miałem
sześć lat.

– Och, przepraszam... to znaczy, kurczę,
przepraszam, że spytałam.

– Nie, odeszła, póki jeszcze mogła. I tak długo
wytrzymała. Wiesz, ojciec...

– Nie jesteś z nim blisko?

– Już nie. – Tę minę sprytnie ominął, skacząc na
jednej nodze.

– Mam nadzieję, że nie zadaję zbyt wielu pytań.

– Pierwsza randka – mruknął Doug. – Co innego miałybyś robić?

– Tak, wiem. Ale to zwykle faceci, z którymi się pierwszy raz spotykam, gadają i gadają, ładnie się opakowując i sprzedając. Albo to, albo próbują zasypać mnie pytaniami, co ma być dowodem, jacy to oni mną niby zainteresowani, a tak naprawdę liczą na to, że zajęta opowiadaniem historii swojego życia stracę rachubę drinków, jakie wypiałam.

Kiedy cichła piosenka, z ulicy doleciał pijacki rechot, potem stuknięcie i brzęk tłukącej się butelki, przekleństwa, śmiech i oddalający się tupot nóg.

– No, pięknie – wyburczał Doug.

Potem zagrali Little River Band i od razu zrobiło się przyjemniej.

– Znam to – powiedziała. – Dochodzę teraz do wniosku, że ostatnio słuchałam naprawdę dołującej muzyki.

– Tak? A jakiej?

– Takiej, jaką puszcza studenckie radio. Na przykład starych Cure, Smashing Pumpkins.

– Ho, ho. Pumpkinsi. Poważna sprawa.

Kiwnęła głową.

– Chcesz mi może o czymś powiedzieć? – spytał, siląc się na obojętny ton.

Uniosła pusty kieliszek. Obracała go, trzymając za nóżkę, i przyglądała się plamce pozostawionej na wrętku przez szminkę, odciskom palców na szkle.

– Sama nie wiem. Tak dobrze tego nie wspominać.

– No to załatwione. Nie wspominaliśmy.

Opuściła kieliszek.

– A masz do mnie jakieś pytania?

– No, ze dwieście by się uzbierało. Ale dałaś przed chwilą do zrozumienia, że nie jesteś teraz w nastroju, żeby na nie odpowiadać. Mamy czas. Taka mi przynajmniej przyświeca nadzieja.

Dobre sobie. Powiedział to, bo tak wypadało, na przekór głosowi wewnętrznemu, który przypominał mu: Tylko ta jedna randka.

– A ja mogę zadać ci jeszcze jedno? – spytała.

Doug nie czekał, wybiegł jej z odpowiedzią naprzeciw:

– W młodości nie wylewałem za kołnierz. Ale po wypiciu dostawałem zawsze małego rozumu, dlatego już nie piję.

Uśmiechnęła się nieznacznie, z pewnym zakłopotaniem.

– Nie o to chciałam zapytać.

– Nie piję już od dwóch lat. Chodzę regularnie na mityngi, kilka razy w tygodniu. Lubię je. Uważam siebie za alergika. Jeśli ktoś jest na coś uczulony, to trzyma się od tego czegoś z dala. Ja mam alergię na alkohol. Tyle że reaguję na niego nie wysypką, ale agresją. Nic dodać, nic ująć, na pierwszy rzut oka nie najlepiej to o mnie świadczy, ale muszę z tym jakoś

żyć. – Odetchnął głęboko. – No nic. Przepraszam. O co chciałaś zapytać?

– Hmmm. – Chrząknęła i uśmiechnęła się. – Chciałam zapytać, dlaczego umówiłeś się z dziewczyną, którą widziałeś płaczącą w pralni?

Doug pokiwał refleksyjnie głową.

– Dobre pytanie.

– Wiem.

Międzystanową pełzły światła policyjnego koguta, jasne, błyskające punkciki błękitu.

– Trudno powiedzieć. Chyba... nie, na pewno mnie to zaintrygowało. Ładna dziewczyna z problemami, tego nie widuje się na co dzień.

Tym razem usłyszał plusk wina, którym jakby z poczuciem winy napełniała znowu kieliszek. Z radia popłynęły pierwsze tony Miracles – Jefferson Airplane albo może Jefferson Starship. Zamknął na chwilę oczy i zobaczył stare czarnosrebrne radio matki stojące na lodówce i grające ten sam kawałek.

– A tak szczerze – odezwała się Claire, upiwszy łyczek – ile z tego miałeś zaplanowane?

– Ani sekundy, przysięgam na Boga.

– Idealnie. – Westchnęła. – Nawet nie wiesz jak. Gdybym mogła teraz zatrzymać czas, nie dopuścić do wschodu słońca jutro rano...

– Tak? A co masz przeciwko słońcu?

– Jutro rano wracam do pracy.

– Wracasz? – mruknął Doug, siląc się na

niewinny ton.

Wino plątało jej już trochę język.

– Miałam coś w rodzaju przedłużonego urlopu.

– To sobie odpoczęłaś.

– Nie za bardzo. – Jeszcze jeden łyczek i spojrzała na niego. – Mieszkasz tu od urodzenia, tak?

– Tak.

– A co wiesz o bandytach napadających na banki?

Odchrząknął, powoli, bezgłośnie wypuścił powietrze z płuc.

– Niby co miałbym wiedzieć?

– Podobno bardzo ich tu dużo. Tak sobie myślę... z niektórymi mogłeś się nawet kiedyś kolegować.

– Czy ja wiem... może... tak, niewykluczone.

– Na mój bank, ten, w którym pracuję... dwa tygodnie temu zostaliśmy obrabowani.

– Aha. Rozumiem.

– Dostali się do środka i już tam na nas czekali.

Nie do wiary, że tak błyskawicznie gówniano się poczuł.

– I co, związali was?

– Trzymali nas na muszce. Kazali się położyć. Pościągali nam buty. – Znowu na niego spojrzała. – Czy to nie dziwaczne? Te buty? Nie wiem czemu, ale gnębi mnie to.

Wiesz, jakie to upokarzające? Śni mi się teraz po nocach, że jestem bosa. – Spojrzała na swoje buty na

papie pokrywającej dach. – Nieważne.

– Ale nic wam nie zrobili?

– Tylko Davisowi, mojemu zastępcy. Pobili go.
Bo włączył się cichy alarm.

Teraz już musiał podtrzymać temat.

– Przecież jeśli był cichy, to...?

– Jeden z nich miał radio i w uchu słuchawkę.
Podśluchiwał policję.

– Aha. I pobili tego faceta za to, że uruchomił alarm?

Patrzyła na miasto tak, jakby szukała gdzieś tam prawidłowej odpowiedzi. Czekał na nią, ale się nie doczekał. Zastanawiające.

– Policja już ich złapała? – spytał.

– Nie.

– Ale są na ich tropie?

– Nie wiem. Nie powiedzieli.

– Pewnie cię porządnie wymaglowali na przesłuchaniu?

– Nie było tak źle.

Zostawił to tak. Lepiej nie naciskać.

– I od tamtego czasu nie chodziłaś do pracy?

Pokręciła głową, ściągnęła w zamyśleniu brwi.

– Zabrali mnie ze sobą, kiedy odjeżdżali.

Doug nie był już w stanie podtrzymać tej rozmowy. Krtań miał ściśniętą.

– Spłoszył ich ten alarm. – Śledziła światełka pozycyjne odrzutowca sunące po niebie w kierunku

lotniska, które mieli po lewej. – Wypuścili mnie gdzieś tam. Miałam zawiązane oczy.

W jej głosie było to wszystko, czego wolałby nigdy nie usłyszeć.

– Bałaś się?

Zwlekała z odpowiedzią, trwało to tak długo, że Doug zaczynał się już zastanawiać, czy aby się czymś nie zdradził.

– Nic więcej się nie wydarzyło – powiedziała w końcu.

Przyglądała mu się teraz z dziwną intensywnością.

– Nie, nie, ja nie... – wyjąkał Doug, potykając się o własne słowa.

– Po prostu mnie wypuścili. I tyle. Kiedy się już upewnili, że nikt ich nie ściga, zatrzymali się i mnie wysadzili.

– Jasne – mruknął, kiwając głową. – Oczywiście.

Robiło się coraz chłodniej. Skuliła się i założyła ręce na piersi.

– Od tamtego czasu strasznie się boję. Ten agent FBI, który mnie przesłuchiwał, powiedział, że będę się czuła jak podczas żałoby.

– Agent FBI? – powtórzył Doug jak najspokojniej.

– Ale ja nie wiem. Kiedy umarli moi dziadkowie, było mi smutno, bardzo smutno. Ale czy to była żałoba...?

Doug wciąż kiwał głową.

– I współpracujesz z nimi?

– Z FBI? Kontaktuje się ze mną tylko ten jeden agent. Jest wspaniały.

– Naprawdę? To dobrze. – Cierpliwe oczekiwanie jednego uderzenia serca. – I o co cię na przykład pyta? „Jak wyglądali? Co mówili?”.

– Nie. Na początku tak. Teraz już nie.

– A teraz co? Wydzwania do ciebie? Sprawdza cię?

– Chyba tak. – Zerknęła na niego spod oka, chyba zorientowała się, że zadaje zbyt dużo pytań. – A co?

– Nie, nic, tak się tylko zastanawiam. Próbuję się postawić na jego miejscu. Może myśli: Hej, ktoś z wewnątrz musiał być z nimi w zмовie.

Postawiła oczy w słup.

– Dlaczego miałyby tak myśleć?

– Bo twojego kolegę pobili, a ciebie zabrali na przejażdżkę i wypuścili całą i zdrową.

– Myślisz, że mnie podejrzewa?

– Skąd mam wiedzieć? To tylko przypuszczenie. Tobie nigdy nie przyszło to do głowy?

Siedziała nieruchomo jak ktoś, kto usłyszał w nocy dziwny hałas i nastawia teraz ucha, żeby wyłowić go jeszcze raz.

– Trochę mnie nastraszyłeś.

– Wiesz co? Może powinienem się ograniczyć

do zabierania głosu na tematy, w których jako tako się orientuję.

– Nie – zdecydowała. – Nie, to niemożliwe.

– Prawdopodobnie szukają po omacku.

Ale zasiał w niej ziarno niepewności i to wystarczyło. Siedziała skulona, obejmując się ciasno rękoma.

– Zimno ci? – spytał.

– Tak.

– Następne poleci chyba Muskrat Love. To sygnał dla nas.

Orzekła, że dosyć już wypła, wylał więc resztę wina do rynny, poskładał i odstawił krzeselka, wyłączył odtwarzacz CD w połowie Poetry Man. Wyszli z budynku i omijając krwawą kałużę, którą wino utworzyło na chodniku, zaczęli schodzić Bunker Hill Street w kierunku Monument Square. Widok grupki deskorolkowców śmigających przy schodach u podstawy granitowego obelisku przypomniał Dougowi kumpli, ciarki mu przeszły po plechach. Doszli do zbiegu pięciu ulic w sercu zrewitalizowanej części Charlestown.

– No, jesteśmy – powiedział Doug, zatrzymując się na ceglany chodniku. Jej dom był za najbliższym rogiem, nie dalej jak sto jardów stąd.

– Jesteśmy... – powtórzyła za nim zaskoczona.

Poproś ją o numer telefonu. Żeby nie wyjść na zupełnego chama. A potem zniknij na zawsze. Dla jej

i swojego dobra.

– No więc – bąknęła wyczekująco.

Otarł pot znad górnej wargi. Miała swoją randkę, swój flircik z niebezpieczeństwem, postawiła na swoim, ale starczy tego. Patrzyła na niego, w pustym kieliszku, który wciąż trzymała w ręku, odbijało się światło ulicznej latarni.

– Słuchaj – zaczął. – Mnie chyba wcale nie powinno tutaj z tobą być.

Zareagowała tak, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Dlaczego tak mówisz? Jak mam to rozumieć?

– Sam nie wiem. – Przeształ z nogi na nogę, najchętniej już by się zmył. – Coś niedobrego się ze mną ostatnio dzieje... czuję się jakiś rozbity psychicznie. Przywykłem do porządku, przejrzystości, przewidywalności, a robię rzeczy, których nie rozumiem.

– Ależ to... ja też. – Olśnienie, promienny uśmiech solidarności. – Dokładnie to samo mogę powiedzieć o sobie.

– I muszę... staram się być uczciwy, taką mam zasadę, rozumiesz?

– Zaczekaj. – Przysunęła się bliżej, spojrzała mu w twarz w blasku gazowej latarni. Uniosła rękę, a kiedy nie zaprotestował, dotknęła blizny po rozcięciu łuku brwiowego. – Już w restauracji chciałam o to zapytać.

– Blizna hokejowa. Stare dzieje. Lubisz... lubisz hokej?

Oderwała palec od jego brwi.

– Nie cierpię.

Doug pokiwał głową.

– A co robisz jutro wieczorem?

– Co... jutro? – Była wyraźnie zaskoczona.

– Pewnie ciężki dzień cię czeka, prawda? Pierwszy w pracy po urlopie, będziesz zmęczona. Może pojutrze?

– Czy ja... – Zawahała się. – Nie wiem.

Doug odniósł wrażenie, że ktoś próbuje otworzyć mu parasol w klatce piersiowej.

– W porządku, postawmy sprawę jasno. Chcę się z tobą znowu spotkać. Co ty na to?

– Ja... – Rzut oka na jego twarz. – Chętnie.

– To się cieszę. Okay. A więc oboje jesteśmy zwariowani, i bardzo dobrze. Tym razem twoja kolej. Wybierz miejsce – gdzieś poza granicami Ctown. Czekaj na mnie tutaj, podjadę po ciebie. Podaj mi swoje cztery ostatnie cyfry.

Podawała, a on nie dał jej czasu na pytanie o swoje, odgonił wszelkie myśli o pożegnalnym pocałunku, chciał jak najszybciej się od niej oderwać. Czuł się teraz bardziej pijany niż kiedykolwiek dotąd.

– Powodzenia – powiedział, cofając się. – Jutro.

– Dzięki. – Uniosła kieliszek jak prezent. – Dobranoc, Doug.

– O, kurczę. Zaraz, możesz to dla mnie powtórzyć?

– Dobrej nocy, Doug.

– Dobrej nocy, Claire – powiedział to i o dziwo grom z jasnego nieba nie położył go trupem pośrodku ulicy.

PAPIEŻ ZAPOMNIANEJ WIOSKI

Dez mieszkał w Neck.

Tak jak Charlestown jest peryferią Bostonu, tak Neck jest peryferią Charlestown. Żeby się tam dostać, trzeba wyjechać z Town za wieżę Schraffta przy zachodniej rogatce, zawrócić przy zakładach naprawczych taboru szynowego MBTA na Flats, zanurkować pod dwie kruszące się estakady drogi szybkiego ruchu, a następnie skręcić za betonowym pomnikiem miejskiej brzydoty, jakim jest Sullivan Square Station. Tam właśnie przywarowała ta licząca sześć uliczek na krzyż kolonia starych kolejarskich domków nazywana również Zapomnianą Wioską, broniąca się ostatkiem sił placówka na obrzeżach Charlestown i samego Bostonu, ostatnia osada przed targowiskami brazylijskiej żywności na Cobble Hill w Somerville.

Neck uosabiało townowską psychozę obleganej twierdzy. Matka Deza pomstowała bezustannie na zdrajców, którzy brali od miasta pieniądze na przesiedlenie, po czym ustępowali pola urbanistom i budowlańcom podgryzającym Neck ze wszystkich

stron. Buldożery równały z ziemią całe ulice –

Haverhill, Perkins Place, Sever – odcinały je jak ręce i nogi, ale Neck, stara wiaruska, wciąż dzielnie się trzymała.

Piętrowy, obłożony aluminiowym sidingiem domek matki Deza stał przy Brighton Street między dwoma wyższymi domami, kwadratowe podwóreczko od frontu ogradzała wysoka do pasa druciana siatka. Dorastanie pod ruchliwą arterią sprawiało, że w Desmondzie Eldenie z roku na rok narastało poczucie wyizolowania, marginalizacji... i dumy. Patrząc w górę na rdzewiejące dźwigary – na korodującą Central Artery, od której całymi kawałami odpadał beton – Dez często sobie wyobrażał, że mniej więcej to samo musi widzieć ryba spoglądająca spod wody na nabrzeże.

Dez zarabiał wystarczająco – legalnie, u swojego przybranego ojca, kochanego starego papy Bella – żeby wynieść się stamtąd razem z matką, ale wolał nie poruszać z nią nawet tego tematu. Ma za nic na świecie nie oddałaby terytorium, o które już tyle lat się handryczyła. Nie było najmniejszych szans na wyrwanie jej z tej zakazanej enklawy. Matka Deza nie umiała prowadzić i codzienne pielgrzymki na nabożeństwo były dla niej nie lada wyzwaniem: znojne ćwierć mili wędrówki w skwarze, po rozgrzanym asfalcie latem, a w podmuchach mroźnego, porywistego wiatru od rzeki zimą,

przeprawa z narażeniem życia przez rondo na drodze szybkiego ruchu przez okrągły rok. A była dopiero przy wieży Schraffa i czekała ją jeszcze długa wspinaczka Bunker Hill Street do kościoła na szczycie Heighst. Ale z wizyt u Świętego Franciszka nie zrezygnowałaby tak samo, jak nie zamieniłaby Deza na innego syna. Ta codzienna odyseja stanowiła dla niej integralną część mszy, a zarazem składała się na realia zamieszkiwania w Neck, bycia katoliczką, bycia Irlandką, bycia starzejącą się wdową. Duma bierze się z cierpienia. Są tylko dwa sposoby wykurzenia mnie z Neck, mawiała zawsze Ma, i ten drugi wymaga użycia buldożera.

Dez rozumiał jej stosunek do świata, chociaż sam go już nie podzielał. Jako monter linii telefonicznych spoglądał teraz z góry na sporą część Wielkiego Bostonu, jeżdżąc wiśniowym pikapem po zielonych miasteczkach, takich jak Belmont, Brookline, Arlington, po osiedlach z trawnikami, parkami i niebem, którego nic nie zasłania, gdzie domy stoją daleko od siebie i nie zagląдают jeden drugiemu w okna. Ale dla Ma Neck było całym światem. Było dla niej jak palenie, było dla niej czymś, czego nie da się tłumaczyć samym tylko przyzwyczajeniem i uzależnieniem, było stylem życia.

Papierosy palone namiętnie od czterech dziesięcioleci w końcu i nieodwracalnie robiły swoje.

Włosy – ta falująca ruda grzywa, z której niegdyś słyęła – przerzedziły się i zwisały smętnymi rdzawymi kosmykami. Skórę miała sztywną i poszarzałą jak stara gąbka do naczyń, oczy jak kamyczki, wargi wysychające wraz z urodą, wyparowywało z niej wszystko to, z czego dawniej brała się jej gibkość i powabność. Pomarszczone dłonie drżały, kiedy nie trzymała w nich zapalonego papierosa, nie miętosila paczki albo nie bawiła się zapalniczką, i coraz więcej nocy spędzała samotnie przy kuchennym stole pod lampą ze szklanym kloszem, słuchając gadania w radiu i kopząc jednego po drugim.

Z fajkami rozstawiała się tylko na czas posiłku, który sobie przyrzadziła. Wizyty Douga działały na nią ożywczo. Nareszcie miała towarzystwo. Aż miło było popatrzeć, jak ze ścierką przewieszoną przez ramię krząta się rażno po kuchni, podśpiewując pod nosem, jak to miała w zwyczaju, I ona, i Dez potrzebowali tej odmiany.

– Kotlety, że paluszki lizać, pani Elden – pochwalił pochylony nad talerzem Doug, pałaszując z apetytem.

Jej sekret polegał na ugnieceniu z mielonym mięsem rozkruszonego małego bochenka korzennego chleba, który wcześniej sama upiekła. Coraz ostrzej przyprawiała swoje potrawy, papierosy wyłączały jeden po drugim jej kubki smakowe.

– Kartofelki też, Ma – dorzucił Dez. Zmiliła je w mikserze, dodając cztery łyżki masła.

– No – wymamrotał z pełnymi ustami Doug. – Prawdziwa uczta dla podniebienia.

– Jacy wy obaj dobrze ułożeni – powiedziała zadowolona. – U Deza to normalne. Tak go wychowałam. Ale ty, Douglasie, z tym dzieciństwem, jakie miałeś? Po tych nieszczęściach, jakie na ciebie spadały?

Doug sięgnął po keczup.

– Staram się, bo gotowa mnie pani więcej nie zaprosić.

– Nie opowiadaj głupstw. Dobrze wiesz, że jesteś tu zawsze mile widziany, w świątek i piątek.

Dez zajadał, a fotografia ojca stała przy jego łokciu. Zwykle umieszczano ją po drugiej stronie stołu, ale dzisiaj przesunięto, żeby zrobić miejsce dla gościa. Przedstawiała dwie zamazane sylwetki zakonnic i większą część napisu „Szpital” za plecami zadowolonego mężczyzny bez marynarki, w okularach w grubych czarnych oprawkach, który z ogłupiałą miną gniótł w dłoniach letni kapelusz z wąskim otokiem. Zrobiono ją czwartego lipca 1967 roku, w dzień urodzin Deza, i podobieństwo między ojcem a synem było uderzające, nosili nawet te same okulary. Przez tych szesnaście lat, jakie upłynęło od zamordowania Desmonda seniora, ani Dez, ani Ma nie usiedli do posiłku bez jego fotografii do

towarzystwa.

Linoleum na podłodze było wypuczone i kiedy Doug oparł się łokciem o stół, podskoczyły wszystkie trzy szklanki z pepsi.

– Muszę z tym zrobić porządek – mruknął Dez.

– Co u twojego ojca? – spytała Douga Ma. – Często go odwiedzasz?

– Nie za bardzo – przyznał Doug.

– Jem, znaczy Jimmy Coughlin, mówi, że wszystko u niego w porządku, Ma – wtrącił się Dez.

– Jeździ na widzenia z nim częściej niż Doug.

Doug otarł usta, kiwnął głową.

– Jego stary trzymał z moim sztamę i Jem chyba lubi słuchać wspominków z pierwszej ręki o swoim ojczulku. Tylko to mu zostało.

– Ach, te dzieci Caughlinów – westchnęła Ma, kręcąc głową. Dez stężał. – Wierzyć się nie chce, Douglasie, że mieszkając z tymi ludźmi pod jednym dachem, wyrosłeś na takiego porządnego człowieka. Te wszystkie kłopoty, w jakie się pakowałeś, to przez nich.

– Nie – zaoponował Doug, celując widelcem we własną pierś. – Tu siedzi winowajca.

– Ta kobieta i jej tyrady. Matko Boska. Nakręciła się i dalej latać z ozorem po mieście, obmawiać swoich wrogów. Wiem, że cię przygarnęła, Douglasie, i Bóg jej za to zapłaci. To jej jedyny dobry uczynek. Tak żałuję, że nie mogliśmy cię wtedy do

siebie wziąć, zapewnić ci przyzwoitego domu.

– Miło mi to słyszeć, pani Elden. Ale mama Jimmy’ego starała się, jak mogła. Prawdę mówiąc, to chyba lubiła mnie bardziej niż własne dzieci. Dbała o mnie.

– A ta jej córka...

– Mamo – fuknął Dez.

– Desmondowi nie podoba się, że o tym mówię, ale... – uniosła rękę na znak, żeby jej nie przerywał
– ...ale strasznie się cieszę, że już ze sobą nie chodzicie.

– Jezu, mamo – jęknął Dez – nie po to ci o tym powiedziałem, żebyś teraz...

– Nie, nie, nie – wtrącił się Doug, też unosząc rękę. – Nic się nie stało, naprawdę. Krista jest w porządku, pani Elden. Wyjdzie jeszcze na ludzi. Jest na najlepszej drodze.

Przeżuwali przez chwilę w milczeniu, a to niewinne kłamstewko zawisło w powietrzu.

– Wiem, że kolegowaliście się we czterech w podstawówce, ale nie byłam zadowolona, że Desmond się z tym chłopakiem zadaje. – Spojrzała na swojego syna. – Teraz jest już mężczyzną i sam może sobie wybierać przyjaciół. Odróżnia dobro od zła. Ma na tyle rozumu, żeby nie dać się sprowadzić na manowce.

Dez siedział ze spuszczoną głową i przeżuwał, wpatrzony w talerz.

– Wszystkim mówię, że z nas czterech Dez jest najporządniejszy, pani Elden – powiedział Doug.

Dez ściągnął brwi i spojrzał na niego zawstydzony.

– Daj spokój.

– Po studiach – podchwyciła skwapliwie Ma – dobra posada w firmie telefonicznej. Chłopiec zadbany. Ułożony. Taką mam z niego od lat wyrękę. I popatrz tylko, jaki przystojny. A wciąż bez żony. Ty tak samo.

Dez wycelował w Douga palec.

– No i wywołałeś wilka z lasu.

– Ten wasz kolega, jak mu tam... – Spojrzała w sufit i pstryknęła palcami. – No, ten od Magloanów z Mead Street. Takie piegowate dzieciaki, istny żabi pomiot.

– Gloansy – podpowiedział Dez i wymienili z Dougiem uśmiechy.

– Alfred Magloan – przypomniała sobie i kiwnęła głową. – Desmond mówi, że ma już syna ze swoją dziewczyną. Nie znam jej.

– Joanie Lawler. Z bloków.

– Aha, z bloków, to by wiele wyjaśniało. Ale jakby mnie kto pytał, to ona może sobie teraz narysować, że będzie z niego miała jakąś pociechę, kiedy już otworzyła przed nim sklepik. Za moich czasów nie dałybyśmy takim dwóm jak wy byczyć się dłużej niż do dwudziestego trzeciego roku życia.

Brało się jednego z drugim pod pantofel i załatwione. Dziewczęta znały się wtedy na rzeczy. – Odsunęła od siebie talerz, z którego mało co ubyło, odchyliła się na oparcie krzesła, zapaliła. – Myślałam do tej pory, że to z wami jest coś nie tak, że za bardzo nowocześni jesteście. Ale teraz dochodzę do wniosku, że wina leży po stronie kobiet. Są za ciapowate.

Smrodem papierosowego dymu przesiąkł cały dom, z sypialnią Deza na pięterku włącznie. Watowana kołdra na podwójnym łóżku, na podłodze hantle, jego sprzęt treningowy. Na biurku stosik płyt Uz – studyjnych, koncertowych, pirackich. Dez puścił Strenght grupy The Alarm, podkreślając siłę głosu na tyle, by zapewnić sobie i Dougowi odrobinę prywatności. The Alarm reprezentowali ten sam społecznie wrażliwy, katolicki, zaangażowany nurt co w latach osiemdziesiątych Uz i Simple Minds i Dez identyfikował się z ich muzyką.

Syknął sprężonym powietrzem autobus, wjeżdżający na Sully Square. Tego rodzaju odgłosy rozlegały się tu przez cały dzień i noc – szcęk składów metra, zgrzyt kół pociągów kolei dojazdowej, o dudnieniu ciężarówek na przebiegającej górą drodze szybkiego ruchu już nie wspominając. Ale dla Deza były one namiastką kołysanki. Gdyby te hałasy, uchowaj Boże, któreś

nocy się skończyły i już nie powtórzyły, nie zmrużyłyby więcej oka.

Doug siedzący przed komputerem na małym krzeselku, na którym ledwo się mieścił, i operujący niewprawnie myszką przypominał Dezowi starszuchów usiłujących przeglądać mikrofilm w bibliotece. Dez demonstrował Dougowi szybkość swojej linii ISDN oraz uczył go posługiwania się przeglądarką Alta Vista.

Doug wprowadził z klawiatury hasło Corvette i zagapił się na wykaz stron, które wyświetliły mu się na ekranie.

– No dobra, i co teraz?

– Jeśli interesuje cię któreś ze słów wyświetlanych tutaj w innym kolorze, kliknij na nie.

Na ekranie pojawiła się strona zatytułowana „Borla”, coś o układach wydechowych.

– Twoja mama bardzo lubi Jema, co?

– Przepada za nim – mruknął Dez. – Chcesz wiedzieć, o co poszło? Konkretnie?

– Założę się, że to musiało być coś.

– Znamy się tyle lat, a Jem był u mnie tylko raz, wyobrażasz sobie? Jakiś rok temu. Nie mija jeszcze dziesięć minut, jak tu wszedł – a już sady najwięksi, kurde, kupę w życiu.

Doug parsknął śmiechem.

– Nie zalewaj.

– I tak ją tam zostawia, nawet wody nie spuścił.

Zero kultury.

Doug przesunął dłonią po twarzy, starając się zapanować nad śmiechem.

– Matka przez trzy dni z rzędu paliła świece zapachowe, żeby wyegzorcyzmować stąd ducha tego człowieka – ciągnął Dez. – A dom ma tylko jedną łazienkę!

– Nie musisz mi mówić, mieszkam nad nim.

– Powinien był podpalić łazienkę, jak już zrobił swoje, oszczędziłby nam kłopotu.

– Jakbym tam szedł, to przypomnij mi, żebym spuścił po sobie wodę.

– Ho, ho, ty mógłbyś się odlać na firanki i spuścić na sofę, a mama i tak znalazłaby dla ciebie jakąś okoliczność łagodzącą.

– Nie da się ukryć, ten człowiek to szajbus. Zawsze taki był.

– Tak. Ale coraz z nim gorzej. Kiedy wręcza mi przed robotą pukawkę, to za każdym razem mówi: „Wiem, że i tak jej nie użyjesz”.

Doug kiwnął głową.

– Tak cię podsumowuje. „On nigdy nie strzeli”.

– Przecież jeśli musisz strzelać na robocie z pistoletu, to znaczy, że coś spartoliłeś. No nie jest tak? Dałeś plamę. Pistolet to ostateczność, ostatnia deska ratunku.

– Fakt. Nie otwiera się spadochronu, kiedy siedzi się wciąż w samolocie.

– Właśnie. A dla Jema spartolona robota to taka, podczas której nie zachodzi potrzeba użycia broni.

Doug wywołał następną stronę.

– Jest zdrowo szurnięty.

– A jak się zapatrujesz na ten ślub?

– Sam nie wiem. Nie cierpię, kurwa, ślubów.

Miała to być uroczystość podwójna – zaślubiny Gloansy’ego z Joanie połączone z chrztem ich małego pieguska,

Nicky’ego. Jem był świadkiem Gloansy’ego, Doug ojcem chrzestnym chłopaczka. Dez tylko drużbą. Dez nie miał nigdy ambicji przewodzenia jakimukolwiek zespołowi ani w ogóle pchania się do pierwszego szeregu – ale przykro mu było, że to Gloansy, nie on, uznawany jest za numer trzy w hierarchii ich czteroosobowej grupki. Gamoniowały Gloansy, złodziej samochodów – a przecież gdyby nie on, Dez, to po dziś dzień trudniliby się prymitywnymi rozbojami i nadstawiali karku przy włamach na chama. Dez ciekaw był, czy inni ludzie też się tak przejmują miejscem, jakie zajmują w sercach i umysłach przyjaciół.

Razem chodzili do podstawówki, Jem dołączył do nich po tym, jak w którejś tam klasie został na drugi rok. Jako zgrana już paczka przyjaciół przebrnęli przez szkołę średnią, ale pod koniec Dez zaczął się odsuwać od reszty. A może to oni odsunęli się od niego. Przyczyniały się do tego zajęcia

przygotowawcze, na które uczęszczał przed collegeem, a na dodatek mama kazała mu siedzieć nad książkami i nie wypuszczała go wieczorami z domu. Z Dougiem utrzymywał jeszcze kontakt, ale nie byli już takimi dobrymi kumplami jak dawniej. Wraz z całym Town śledził jego karierę: gwiazda hokeja po prostu skazana na sławę i pieniądze, jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej ściągnięty do młodzieżowej drużyny Bruinsów – niedługo potem wyrzucony w niejasnych okolicznościach z AHL, wraca do Town i po kilku miesiącach zostaje zatrzymany za napad z bronią w ręku. „Wschodząca gwiazda hokeja aresztowana”, pisały gazety. Po zwolnieniu wraca znowu do Town, pije, rozrabia, z młodocianego urki wyrasta powoli na kryminalistę pełną gębą. Potem jeszcze jedna krótka odsiadka i z powrotem na ulicę.

Dez zagrał z nim wtedy kilka razy w hokeja na ślizgawce przy krytym lodowisku, ale poza zdawkowym „Siemasz, jak leci” właściwie nie zamienili słowa. Doug obracał się zawsze w środowisku obwiesiów, którzy na co dzień zachowywali się tak, jak grali – brutalnie, hałaśliwie, po prostaku – i otwarcie pogardzali takimi jak Dez, pracującymi frajerami. Ale po ostatnim pobycie na państwowym wikcie Doug MacRay zmienił się nie do poznania, tak jak to się przytrafia żołnierzom wracającym do kraju z jakiejś zamorskiej wojny:

przestał pić, wyciszył się, stronił od dawnego towarzystwa.

Dez nigdy nie przepadał za hokejem, wolał baseball. Ale któregoś dnia podczas kompletowania drużyn na Washington Street Doug jego pierwszego wybrał do składu swojej. Tydzień później to samo – Doug podał mu nawet kilka razy w sytuacjach podbramkowych, mimo że sam znajdował się na czystej pozycji i mógł z zamkniętymi oczami umieścić krążek w siatce, i zagadywał do niego, ilekroć zjeżdżali na własną połowę po zdobyciu gola. Dez zaczął częściej tam bywać. Pewnego razu wracali razem po meczu, gawędząc, rozmowa zeszła na ojców i Dez doznał wstrząsu. Na dzielnicy obowiązywała zmowa milczenia i do tamtej pory nikt nie rozmawiał nigdy z Dezem na temat jego ojca. Dez wiedział tylko tyle, że pewnej styczniowej nocy 1980 roku, czyli jakieś trzy lata po tym, jak stracił pracę u Edisona, znaleziono go bez koszuli, na śniegu, pośrodku Ferrin Street z dwoma kulkami w piersiach.

Żaden świadek nigdy się nie zgłosił, sprawców nie wykryto. Przed samym zamknięciem trumny dwunastoletni wtedy Dez zdjął ojcu z nosa okulary i schował je do kieszeni.

Matka mówiła tylko o nieutulonym bólu, w jakim pozostaje od jego tragicznej śmierci, a księża, którzy pomagali jej w wychowywaniu Deza i

dopingowali go do podjęcia studiów, nabierali wody w usta, kiedy pytał o ojca. Dopiero od Douga dowiedział się, że ojciec został zabity z powodu jakiejś „paczki”, którą szedł dostarczyć niejakiemu Fergusowi Colnowi: w owym czasie byłemu zawodowemu zapaśnikowi parającym się drobnymi wymuszeniami z ramienia mafii, obecnie przewodniczącemu oddziału PCP w Town, osławionemu Fergie Kwiciarzowi. Dez nie miał wątpliwości, że bez względu na to, w co wplątał się ojciec po zwolnieniu z Edisona, ta „paczka”, którą niósł na Ferrin Street w środku nocy... to nie były paczki.

Z czasem, kiedy ich odnowiona przyjaźń okrzepla, Doug zaczął wypytywać Deza o jego pracę w firmie telekomunikacyjnej. O łącznie po słupach i dłubanie w skrzynkach połączeniowych; o rodzaje zabezpieczeń i zasady działania przełącznic. Powody tego zainteresowania były przejrzyste, ale Dez mało że się nie zraził, to wręcz z zachwytem powitał możliwość wniesienia do tej znajomości czegoś konstruktywnego.

Zaczynał od przygotowywania skoków od strony technicznej – przekierowywanie połączeń, przekładanie wtyków, przecinanie kabli – zdobywając stopniowo zaufanie Douga. Doug odpalał mu godziwą dołę, ale on nie robił tego dla pieniędzy. Zresztą i tak połowa trafiała zawsze w

imieniu Ma do puszki na datki u Świętego Franka. Jemu imponowała przyjaźń Douga, tej legendy dzielnicy, oraz poważanie, jakiego ta przyjaźń przysparzała mu w Town.

Dez zaczął myśleć jak przestępca, w pracy oczy miał otwarte na wszelkie nowinki, podsuwał Dougowi coraz to nowe pomysły. Kiedy Doug potrzebował czwartego do skoku w Watertown, Dez przeszedł wreszcie swój chrzest bojowy. Byli zamaskowani, mieli broń i po powrocie do domu Dez się porzygał, ale potem spojrzął na swoje odbicie w lustrze nad umywalką, poprawił na nosie okulary w grubej oprawie, pamiątkę po ojcu, i coś w nim przeskoczyło.

Przede wszystkim upajało go to poczucie przynależności: to zgranie bandy podczas akcji w Watertown, to rozumienie się bez słów, jak u członków klasowej grupy rockowej. Przyjaźń z natury rzeczy nigdy nie osiąga ideału – nigdy nie będzie perfekcyjna – ale w trakcie skoków nieomal się o tę perfekcyjność ocierała. I o to mu właśnie chodziło. Między skokami nie czuł się z nimi aż tak związany jak oni ze sobą. Nazywali go Monsinior, wykpiwając w ten sposób jego religijność i nienaganne maniery. Dodatkowo ksywka ta, kojarząca się nieodparcie z elitarnością kleru, stanowiła w ich mniemaniu jeszcze jedno usprawiedliwienie dla dystansu, z jakim się do niego

odnosili.

Dezowi sądzone było chyba pozostawanie wiecznie w czyimś cieniu, a ponieważ dawno się z tym pogodził, jego przyjaźń z Dougiem nie tylko trwała, ale też rozkwitała. Cieszył się z niej – oddałby za nią wszystko – chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest tak do końca bezinteresowna: Doug potrzebował jego wiedzy o telekomunikacji, on potrzebował Douga jako przyjaciela. Tego konkretnego wieczoru wybiegał myślą w przyszłość dalej, niż śmiał przyznać.

– Elisabeth Shue – wymruczał Doug. – Jak to się pisze, przez „u” i „e”?

– Chyba tak. – Dez wprawił w ruch swój zestaw czterech kiwających główkami kukiełek wyobrażających muzyków z Uz, który za dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów sprowadził niedawno z Japonii. – Z nią chcesz przyjść na ślub Gloansy’ego?

Doug wstukał dwoma palcami imię i nazwisko, ekran wypełnił się wynikami wyszukiwania.

– Albo z nią, albo z Umą Thurman, nie mogę się zdecydować. – Kręcąc głową, odchylił się na oparcie krzeselka. – Chyba go pojebało z tą żeniączką.

Dez pokiwał głową do taktu ze swoimi kukielkami. Pojawiły się fotosy z filmu Koktajl, przedstawiające Elisabeth Shue w stroju topless pod wodospadem.

– To jest to – mruknął Doug. – Muszę sobie

sprawić komputer.

Przez cały ten wieczór Dez miał wrażenie, że Doug chce mu coś powiedzieć. Osobiste tematy poruszali tylko przy takich jak ta okazjach, kiedy byli sami, przeplatając je typową gadkąszmatką.

– No i teraz będę cię musiał wyswatać. – Doug westchnął. – Twoja mama mnie do tego zobowiązała.

– Mhm – mruknął Dez. – Życzę powodzenia.

Poważna mina Douga – ściągnięte brwi, jakiś taki smutek w oczach – świadczyła, że zebrało mu się na zwierzenia.

– Słuchaj, Dez, zdarzyło ci się kiedyś poznać kogoś i od razu... jak by tu... wiedziałeś od razu, że, pomijając te damskomęskie sprawy, coś jest na rzeczy? Coś prawie namacalnego?

– Szczerze? – spytał Dez. – Zakochuję się średnio ze dwa, trzy razy na dzień. Oglądam się za kobietami w pracy, wszędzie. Nawet mamuśki zaczynają mi się podobać.

– Zauważyłem. Nastawiasz się na prefabrykowaną rodzinę. Samotna mama, ty przychodzisz jak na gotowe...

– Gorąca samotna mama – uściślił Dez, żeby podtrzymać temat.

– Ale na Kristę już nie lecisz, co?

– Nie.

– Bo to byłby problem.

– Wiem, nie jestem z ligi..

– O nie. Według mnie jest odwrotnie. Według mnie to ona nie jest z twojej.

Dez nic z tego nie rozumiał. Coś mu tu nie pasowało.

– Wiem, jak mnie nazywa. Papież Zapomnianej Wioski.

– A tobie się to podoba. Ale ona jest jak wir, Desmondzie. Wiesz coś o wirach?

– No pewnie.

– One nie topią człowieka tak po prostu. One go połykają. Ściągają na dno i obracają tam, obracają całymi dniami, nawet tygodniami – siła wody zrywa mu ubranie, włosy, twarz...

– Spokojnie – wpadł mu w słowo Dez. – Jem nigdy by na to nie pozwolił.

– Chybaby się wściekł. A twoja mama?

– Ho, ho, ona biegałaby po domu, chowając srebra i wszystko, co tylko ma jakąś wartość. – Dez uśmiechnął się, rozbawiła go ta wizja, może nawet za bardzo. – Krista do tej pory nie wyjawiała, kto jest ojcem Shyne, prawda? Powiedziała tylko, że nie ty?

– Tego też nie powiedziała, przynajmniej mnie.

Dez pamiętał ją z tamtego wieczoru w Szpuncie. Kiedy Doug już się ulotnił, podeszła do niego, pogładziła delikatnie po ramieniu i poprosiła, żeby puścił jeszcze raz ten kawałek Cranberries, a potem wyciągnęła z kieszeni džinsów i podała mu, trzymając w dwóch palcach, jednodolarowy banknot.

Powiedział, że on stawia, i odprowadzał wzrokiem jej opięty dzinsami kuperek, kiedy wracała do baru.

Doug obrócił się na krzeselku.

– A może byśmy tak kino zaliczyli?

– Czemu nie – bąknął Dez. – Co grają?

– Nie, nie, mnie chodzi o obrobienie kina. Jak się na to zapatrujesz?

Dez dopiero teraz załapał.

– Nie ma sprawy. Mówisz?

– Chodźmy na jakiś film, rozejrzemy się przy okazji.

Dez kiwnął z podnieceniem głową, sięgnął po kurtkę. Szli na rekonesans.

Ma, kiedy Doug zęgnął się z nią na dole, odsunęła od siebie rękę* w której trzymała zapalonego papierosa, i nadstawiła policzek do pocałunku.

– Uważaj tam na mojego Dezia.

– Zawsze to robię, pani Elden.

Dez, chcąc nie chcąc, też cmoknął matkę na pożegnanie i z posmakiem dymu na wargach odwrócił się do drzwi.

– Idziemy do kina.

– Zapoznajcie jakieś dziewczęta! – zawołała za nimi. – Najlepiej katoliczki.

Kiedy wychodzili pod niską furtką na ulicę, Dez, jak to miał w zwyczaju, poklepał się po kieszeniach, sprawdzając, czy zabrał portfel. Wieczór był chłodny

i bezchmurny. Rozejrzał się po ulicy, na której mieszkał od urodzenia, i jego oko przyciągnął samochód zaparkowany kilka domów dalej. Przeszedł jeszcze kilka kroków za Dougiem, a potem pociągnął go za rękaw skórzanej marynarki. Zatrzymali się.

– Słuchaj, może to głupie, ale... byłem dzisiaj w Chestnut Hill, no wiesz, w tym osiedlu po tamtej stronie drogi ekspresowej, taka rodzinna enklawa dla zamożnych młodych małżeństw z małymi dziećmi. Siedzę na słupie, zdejmuję pomiary i mam stamtąd dobry widok na całą uliczkę – i zwróciło moją uwagę, że co parę minut przejeżdża pode mną ten sam czerwony sedan, chyba chevy cavalier. Tak jakby krążył dookoła kwartału. Jak już wspomniałem, mieszkają tam młode rodziny, wszędzie pełno dzieciarni. No więc mam go na oku. Wiem, że kierowca mnie nie widzi, bo korony drzew mu zasłaniają, a mój pikap stoi zaparkowany za rogiem. I kiedy myślę już sobie, że może wypadałoby coś z tym zrobić, cavalier przestaje się pojawiać. Kończę pomiary, złączę na dół, odjeżdżam.

– Piękna historia, Desmondzie.

Dez pokazał za siebie kciukiem.

– Parę domów od nas, widzisz? Czerwony cavalier zaparkowany po tamtej stronie ulicy. Albo ze mnie paranoik, albo to ten sam.

Wyraz ciemniejących oczu Douga przyprawił

Deza o dreszcz.

– Możemy dojść do Perkins Street – podjął, pokazując ruchem głowy kierunek – zatoczyć koło i na skróty z powro-

Doug był już na jezdni i wyciągniętym krokiem szedł prosto na ciemnego cavaliera.

Zaskoczony Dez wahał się przez moment, potem ruszył za nim, nie schodząc jednak z chodnika.

Kiedy Doug był już w połowie drogi, silnik cavaliera nagle ożył, zabłyśły reflektory i wóz ruszył mu na spotkanie.

Doug zatrzymał się pośrodku wąskiej jezdni, a cavalier zahamował parę cali od jego kolan. Samochód był sfatygowany i zaniedbany, stojący w światłach jego reflektorów Doug rzucał na jezdnię długi cień.

Doug obszedł maskę i kiedy nachylał się do okna od strony kierowcy, wóz wyrwał z piskiem opon z miejsca. Doug zdążył jeszcze rąbnąć pięścią w drzwiczki, a potem pozostało mu tylko odprowadzać go wzrokiem. Na skrzyżowaniu z Perkins rozbłyśły światła stopu, cavalier skręcił ostro w lewo i tyle go widzieli.

Doug puścił się biegiem w przeciwną stronę, w kierunku Cambridge Street, Dez, niewiele się zastanawiając, ruszył za nim. Dopadli do narożnika w momencie, kiedy cavalier wyprysnął z sąsiedniej przecznicy, przemknął obok nich, zanurkował pod

międzystanową, wspiał się na nią ślimakiem i pognał w kierunku Spice Street, z powrotem do Town.

– Kto to, kurwa, był? – wysapał Dez.

Doug patrzył w milczeniu za znikającym w oddali samochodem.

– Gliniarz jakiś? – spróbował Dez.

– Gliniarz by wysiadł i mnie wylegitymował. Nie chowałby się. Nie uciekał.

– To kto?

– Diabli go wiedzą – warknął Doug, wracając na chodnik. Minął ich z sykiem autobus skręcający na Sully Square.

Spojrzeli za nim spowici obłokiem spalin koloru ołowiu.

– Ale jeśli to ci z FBI, to jak... zaraz, za mną do nas trafili?

– Może przegięliśmy z tym majstrowaniem w telefonach. Szlag by to trafił.

– Widziałeś go? Bo ja nie.

– Miał tu takie znamię – burknął Doug, unosząc rękę do policzka. – Chyba rumień to się nazywa.

– Coś jak zaciek po portwajnie?

– Tak. Na dłoni też. – Doug zacisnął swoją w pięść. – Kurwa mać, Dez. Trzeba będzie odpuścić sobie te kina.

– Właśnie – zgodził się z nim Dez. – Jesteś pewien? Doug popatrzył na dom, na starą fabrykę słodocy, na kościół Świętego Franka na szczycie

wzgórza.

– A co ze mną? – podjął Dez. – Namierzyli mnie? Co to wszystko znaczy?

Ze lśniącego czarnego mercedesa jadącego w stronę Somerville buchnął basowy łomot rapu.

– Musimy przywarować – odezwał się Doug. – Pogadam z chłopakami. A ty miej oczy otwarte jak do tej pory. Szczęście, że go przyuważyłeś, dobra robota.

Wyciągnął zaciśniętą pięść do przybicia żółwika i pobiegł ulicą z powrotem do Town. Dez odprowadzał go wzrokiem. Najchętniej pobiegłby za nim, pomógł w wyjaśnianiu tego incydentu, ale mógł być przecież spalony.

Coś podobnego, fedzie na uliczce jego matki. Dez wbił rękę głęboko w kieszenie i wracając z duszą na ramieniu do domu, wypatrywał po drodze czerwonych cavalierów.

Część II

KIEDY MIŁOŚĆ ZAGLĄDA DO TOWN

SPOTKANIE

Szlak Wolności to atrakcja turystyczna, wyłożona cegłą aleja wiodąca śladami „narodzin Ameryki”. Bierze swój początek w śródmieściu, w parku Boston Common, wije się przez miasto na północ, mijając między innymi miejsce Bostońskiej Masakry oraz dom Paula Revere’a w North End, i kończy za mostem Charlestown, u stóp wysokiego na dwieście dwadzieścia jeden stóp granitowego obelisku upamiętniającego bitwę o Bunker Hill.

Przedostatni przystanek na tym szlaku to najstarszy na świecie okręt wojenny wciąż pozostający w gotowości bojowej, USS „Constitution”, nazywany również Old Ironside – Żelaznoburciakiem od opancerzonego, odpornego na armatnie kule kadłuba. W ten ciepły majowy dzień pawilon na południowym skraju starego portu marynarki wojennej przeżywał istny najazd szkolnych wycieczek: nauczyciele w okularach przeciwsłonecznych i szortach do kolan, rodzice-opiekunowie z ogromnymi kubkami mrożonej kawy i piątoklasiści z torebkami na lunch i owiniętymi w folię puszkami wody mineralnej, wszyscy gapili się z zadartymi głowami na flagi zwisające z liny

rozciągniętej od dzioba po rufę między czubkami trzech wysokich masztów historycznego żaglowca.

Doug, Jem i Gloansy przechadzali się po suchym doku między okrętem i poświęconym mu muzeum, wmieszani w te szkolne wycieczki i gromady podeksycytowanych turystów z zagranicy. Doug miał nadzieję, że wywiedzie tym fortem w pole mikrofony paraboliczne, gdyby takie były teraz wycelowane w ich kierunku. Jem profilował pracowicie daszek swojej fartownej czapki Red Soksów, czego nieprzypadkowym efektem ubocznym była gra mięśni ramion. Na nosie miał małe, szpanerskie, mocno przyciemniane okulary przeciwsłoneczne, za eleganckie i za europejskie jak na jego pospolitą fizjonomię amerykańskiego cwaniaczka, i w ogóle wyglądał w nich jak ślepiec. Gloansy z kolei nosił żółte sportowe okulary, za których szklami jego żabie oczka wydawały się jeszcze bardziej wyłupiaste. Jego piegowate jak on całe przedramiona przypominały dwie gomóły sera Hickory Farms.

– Cipa pierdolona – burknął Jem i splunął do oceanu.

Doug spojrział na niego ostro, odrobinę za ostro.

– Kto?

– Kto, kto, ta w dupę jebana kierowniczką oddziału, bo kto inny?

– Co ty chrzaniasz?

– To jak nic ona.

– W jaki sposób? Co ona by im mogła powiedzieć?

– Nie wiem. Coś tam widać mogła.

– No, słucham. Niby co?

Jem nasadził sobie z powrotem na głowę czapkę z daszkiem urobionym już w kształt końskiej podkowy.

– Odwal się, stary. Skąd mam wiedzieć?

Doug powinien był to tak zostawić, ale nie zostawił.

– Wnerwią mnie takie gadanie dla samego gadania. Jak nie masz nic na poparcie, to siedź cicho. Mnie interesują tylko konkrety. Co ona im mogła powiedzieć, no co? Ze czterech nas było? Że mieliśmy furgonetkę?

– Okay. No to jak nas namierzyli?

Doug patrzył ponad portem na pirsy Straży Przybrzeżnej wyrzynające się z North End.

– Możliwości jest od groma. Multum.

– Szliśmy na tę robotę zabezpieczeni od każdej strony. Cholera mnie już brała na to cackanie, ale nie da się ukryć, że wszystko było dopięte na ostatni guzik i szło jak po maśle aż do tego dzwonka.

– Przyznaję bez bicia, że nic z tego nie rozumiem, tak jak ty.

– Elegancko po sobie wybieliliśmy. Policzyłem narzędzia, żadne tam nie zostało.

– Na to mogło się złożyć wiele czynników. Już od dawna mogą nas mieć na warsztacie. Sporo ostatnio działamy.

Gloansy wepchnął jedną rękę do kieszeni i wzruszył ramionami.

– A w ogóle to skąd wiadomo, że jest o co panikować? – prychnął. – Może to jakiś Bogu ducha winny gościu tam sobie parkował, i tyle.

– Właśnie – podchwycił Jem, wymierzając palec w Gloansy’ego – Banjo Boy dobrze mówi. Może to był jakiś Tomcio Podglądacz. Albo ćpun z Somerville, co w żyłę sobie dawał. Skąd masz taką pewność, Duggy?

– Wiem tylko tyle, ile wiem – mruknął Doug.

Przechodziła koło nich jakaś klasa, chłopcy uśmiechali się, pokazując sobie Tshirt Jema ze sloganem Yankees Dziady! na piersi.

– Najbardziej mi się nie podoba, że obwąchują Monsiniora – powiedział Jem, kiedy przeszli.

– Rozmawiałem z nim – mruknął Doug. – Wie, jak się w tej sytuacji zachować.

– Ty wiesz jak. Gloansy wie. Ale w Monsiniora nie wierzę.

– Sytuacja przedstawia się następująco – powiedział Doug, spoglądając po nich. – Dopóki rządziła tutaj banda Booza, mogliśmy spać spokojnie. Przez swoje rozwydrzenie i pazerność ściągali na siebie cały ogień. Praca w ich cieniu to były

wyuczasy na Tahiti. Lepszej przykrywki nie kupi się za żadne pieniądze. Ale teraz już ich nie ma, siedzą, i fedzie szukają sobie na gwałt nowego zajęcia, bo ta maszyna nie znosi bezczynności. Podejrzewam, że z braku laku do nas się teraz biorą.

– Fedzie? – zdziwił się Gloansy.

Doug spojrział na niego z poirytowaniem i ciągnął:

– Nie od dzisiaj o nas wiedzą, ale do niedawna mieli ważniejsze rzeczy na tapecie. Całkiem możliwe, że teraz, kiedy zwolniły się im moce przerobowe, wzięli się do nas na poważnie. Zastanawia mnie tylko, dlaczego na początek czepnęli się właśnie Deza? Jedyne z naszej czwórki, który nie był jeszcze notowany?

Jem oparł o plotek stopę w niezasnurowanym sportowym bucie z wysokim podbiciem i rozejrzał się po porcie jak dziedzic po swoich włościach.

– Znaczący, jesteśmy teraz na topie – zauważył z nutką satysfakcji w głosie.

Doug jemu też rzucił poirytowane spojrzenie.

– Ja bym na ten top tak się nie pchał. Niedobrze znaleźć się na świeczniku, ściągając na siebie uwagę. Najlepiej biec na drugim miejscu, za jakimś idiotą, który wyrywa do przodu, na nic się nie oglądając.

– Na drugim miejscu? – fuknął pogardliwie Jem.

– Do mety jeszcze daleko, stary. A rekompensatą jest to, że spacerujemy sobie teraz jak gdyby nigdy

nic, z gotówką w kieszeni, wolni jak ptaki.

– A ja tam mówię, że co numer jeden, to numer jeden. – Ostentacyjne wzruszenie ramion. – Fakt, chujowo być tym najlepszym, ale coś za coś.

Podszedł do nich jakiś zagraniczny turysta z żoną w kapeluszu safari. Spytał ze śmiesznym akcentem o drogę do Faneuil Hall i Jem odstawił swój ulubiony numer, posyłając ich uprzejmie Chelsea Street w przeciwnym kierunku.

Gloansy zwrócił się tymczasem do Douga:

– Jak myślisz, bardzo depczą nam po piętach?

– Może wcale nie depczą. Może na razie trafili tylko na Deza. A może też być, że mają pod obserwacją domy i samochody każdego z nas, nie wiem. Niewykluczone, że siedzą teraz na którymś z tamtych dachów i stamtąd nas obserwują.

– Na to musieliby chyba mieć nakazy sądowe czy co tam?

– Na początek niczego takiego im nie potrzeba. Żadnego zakładania sprawy, żadnych pozwoleń. Mogą nas bez żadnych ceregieli obwąchiwać wstępnie na własny rachunek, rozeznawać się kto, co i jak, i dopiero kiedy już wiedzą, gdzie i czego szukać, legalizują rzecz, załatwiają sobie papiery i już oficjalnie wkraczają do Town.

Gloansy milczał przez chwilę, pogrążony w myślach, aż żal było na człowieka patrzeć. Potem przysunął się do Douga.

– A, dajmy na to, jakieś ukryte kamery w sypialni i inne takie pierdoły?

Wyobraźnia, wcale o to nieproszona, podsunęła Dougowi migawkową wizję Gloansy’ego rżnącego Joanie.

– Stary, ci ludzie i bez tego robotę mają nie do pozazdroszczenia.

Wrócił Jem zzymający się wciąż na Deza.

– Okularnik pierdolony. Krótkowzroczny Papież. Że też od takiego kutasa musi zależeć nasze być albo nie być. No, szlag mnie zaraz trafi.

– Przecież mówię, że z nim rozmawiałem – przypomniał mu Doug. – Zresztą to on pierwszy przyuważył tamtego gościa.

– Ale ten pomysł z kinem jest dobry – zmienił temat Jem. – Taka zmyłka ze zmianą specjalności zabije kutafonom klina, jeśli faktycznie mają nas od jakiegoś czasu na oku i wiedzą, w czym się specjalizujemy.

– Tak, niezły. – Doug wzruszył ramionami.

– Hej – zachnął się Jem. – Douglas. Nie pękaj, chłopie. Grunt to nie dać się tym popaprańcom zagonić do mysiej dziury.

– Moim zdaniem trzeba na jakiś czas przystopować.

– O nie, za chuja pana.

– Musimy.

– A to niby czemu? Popracujemy jakiś czas bez

Monsiniora. Żeby zrobić konserwę, nie musimy odwalać żadnego szachermacher z telefonami, nie trzeba nam techniki. Załatwimy to po swojemu, w dawnym składzie, w trzech muszkieterów.

Gloansy spojrział pytająco na Douga.

– Na długo?

– Słuchajcie – powiedział Doug – nie mówcie mi tylko, że nie macie nic skitranego na czarną godzinę w szufladzie pod skarpetkami, bo i tak nie uwierzę.

– Tu nie o pazerność idzie – warknął Jem. – Jak czuję, że coś ma ręce i nogi, to od razu biorę to na warsztat.

A co ty możesz czuć ponad to, co ja ci wcześniej pod nos podsunę?

– Coś ty zawsze taki w gorącej wodzie kąpany?

Przechodzący obok przewodnik wycieczek przebrany za Paula Revere'a skinął im głową.

– Chcesz wiedzieć? To dlatego, że już raz zszedłem na dziady i przyrzekłem sobie wtedy, że będę kosił siano, kiedy tylko słońko zaświeci. A w tym wypadku słońko świeci jasno, Duggy, i przygrzewa.

– Tak, aż za bardzo. Tylko że to nie słońko ci przygrzewa, to ich gorący oddech na karku czujesz, oddech federalnych, i zanim zaczniemy coś planować, muszę się we wszystkim rozeznać.

– Co to znaczy? Jak chcesz się rozeznać?

Doug puścił to pytanie mimo uszu.

– Na razie musimy się rozdzielić, i to już teraz – ciągnął. – I nie kontaktujemy się ze sobą na wypadek, gdyby jeszcze nas wszystkich nie ponamierzali. Zresztą jak ponamierzali, to też nie. Żadnych kryminalnokonspiracyjnych wygłupów.

Jem potrząsnął głową, tak jakby miał za chwilę komuś przylutować.

– To był tylko jakiś bubek w samochodzie!

– A mój ślub, Duggy? – zafrasował się Gloansy.
– Joanie małpy dostanie.

– Ślub możesz brać – powiedział Doug. – Zginiemy w tłumie. Byle tylko nie ustawiać się do fotografii, i będzie git. Ale na żadne lody we czterech nie chodzimy, nie pokazujemy się razem na mieście.

– Pierdolona cipa – wywarczał pod nosem Jem.

Doug znowu się zapienił.

– Jeszcze raz z tym wyjedziesz, a nie ręczę za siebie.

– A co ja takiego powiedziałem? Pocięło cię?

– Zresztą temu też zamierzam się bliżej przyjrzeć. – Doug nie miał pewności, czy powiedział tak na odczepnego, czy może chciał w ten sposób chronić swój tyłek.

– Przyjrzeć się czemu? Jak? Znowu chcesz jej wsiąść na ogon?

– Zostaw to mnie. Ja robię swoje, wy też zajmijcie się swoimi sprawami. I zachowywać się. Odstawiajcie przykładnych obywateli. Zakładajcie,

że obserwują każdy wasz krok. Nie przechodźcie przez ulicę na czerwonym, nie śmiećcie. Korzystajcie z wydeptanych ścieżek, nie wychylajcie nosa poza dzielnicę – tutaj się tak łatwo nie zakamuflują. Jeśli przez tydzień, dwa żaden z nas nie zauważy nic podejrzanego, spotykamy się znowu i pchamy dalej ten wózek.

– Tydzień albo i dwa – jęknął Jem. – Jezu, kurwa.

– Traktuj to jak urlop. Wypoczywaj.

– Urlop? Urlop to ja mam, kurwa, na okrągło.

– Duggy ma rację – odezwał się Gloansy, chyba wciąż martwiący się o te kamery w swojej sypialni. – Lepiej przywarować na ja...

Jem pacnął go otwartą dłonią w klatkę piersiową.

– To za filozofowanie, kretynie. „Przywarować”, doradza. Ja tu jestem od decydowania w takich sprawach.

– Dobra, już dobra, niech ci będzie – wystękał Gloansy, masując sobie tors. – Jezusiczku.

– Dwa jak w pysk strzelił tygodnie, Duggy – zadecydował Jem – i ani dnia dłużej. Potem się zobaczy.

DZIEWCZYNA, KTÓRĄ NAPADNIĘTO

Zobaczył ją z daleka. Czekąca pod latarnią u zbiegu pięciu ulic, była w połyskliwej czarnej bluzce z aksamitu albo jedwabiu, wąskiej, turkusowej, wykończonej falbanką spódnicy do kolan, a na nogach miała czarne pantofelki na niskim obcasie. W jednej ręce trzymała czarny sweterek, w drugiej małą czarną torebkę na pasku. Nadjeżdżająca z przeciwka taksówka zwolniła, kierowca polował na wieczornego klienta. Uśmiechnęła się, pokręciła głową i odprawiła go ruchem ręki – i Doug już czuł, że jego rezerwa topnieje.

Zjechał corvetta do krawężnika i zatrzymał się na wysokości jej kolan. Włożył na tę okazję dzinsy Girbaud, te same uwierające w paluchy czarne buty, białą koszulę i czarną marynarkę. Wysiadł z wozu – wynurzenie się z nisko zawieszony vetty zawsze działało na niego dowartościowująco – i obszedł go, żeby otworzyć przed nią drzwiczki.

Zrobiła wielkie oczy na widok szmaragdowozielonej bryki.

– Jejku – wyrwało jej się, uniosła rękę do piersi.

Pomyślał, że to z wrażenia, bo pewnie spodziewała się go w zakurzonej pikapie z

telepiącymi się po pace narzędziami i z nalepką z siusiającym chłopczykiem na szybie. Ale kiedy wsuwała się na fotel pasażera, zauważył na jej twarzy rozbawienie i nagle poczuł się jak skończony bufon. Skonfundowany zaczekał, aż wciągnie nogi do pachnącego irysami wnętrza, zatrzasnął za nią szerokie drzwiczki i w podłym nastroju obszedł wóz od spłaszczonego tyłu. W lśniącym zielonym lakierze widział wydłużone odbicia własnej osoby i pobliskich budynków.

– No – mruknął, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki.
– I co ty na to? Za wielki szpan? – Usiłował robić dobrą minę do złej gry.

Obejrzała się przez ramię. ,
– Nie do wiary, jak tu czystutko.
– To auto dla pasjonatów, ale ja go nie traktuję bałwochwalczo jak niektórzy. Dłubanina pod maską, to lubię. Albo rozebrać go na części i z powrotem złożyć. Nawet rzadko nim jeżdżę. – Gładziła delikatnie tapicerkę, wodziła zaciekawionym wzrokiem po desce rozdzielczej. Planował odstawić dzisiaj pewnego siebie, rzeczowego, nieodgadnionego, ale wystarczyło jedno jej przelotne spojrzenie i te plany wzięły w łeb. – Sam wybierałem kolor lakieru, ale nakładano go fabrycznie. Ludzie często podwijają rękawy i sami przemalowują pojazdy na jakiś nietypowy kolor, a to barbarzyństwo w przypadku takiej jak ta kolekcjonerskiej maszyny.

Co do mnie, to też go podrasowywałem, żeby był niepowtarzalny, ale robiłem to z głową. – Nie odzywała się. Dobijało go to milczenie. – No i co, śmiechu warte?

– Tak – mruknęła, ale z uśmiechem, chyba nie załapała, co miał na myśli. – Rozpędzałeś się nim?

– Parę razy na torze w New Hampshire, żeby zobaczyć, na co go stać.

– I ile wyciąga?

– Sto sześćdziesiąt bez problemu. Rozbijałem go do stu osiemdziesięciu i dałem spokój.

– Kurczę – mruknęła. Wrzucił jedynekę i odbił od krawężnika, potem dwójka i wóz poniosł ich w kierunku City Square jak ślizgacz po spokojnej wodzie. – Jak latającym dywanem.

Doug zerknął na jej nogi wsunięte w głęboką wnękę pod deską rozdzielczą.

– Pasujesz do niego.

Potarła dłońmi skórzane brzegi siedzenia, potrząsnęła głową, czuła się coraz bardziej komfortowo.

– Mój samochód będzie chyba zazdrosny.

– Tak, corvetty i saturny są jak psy i koty.

Zwolnił przed światłami na skrzyżowaniu z Rutherford, wracał mu dobry nastrój.

– Chwileczkę – ożywiła się i spojrzała na niego, kiedy już się zatrzymali – a skąd wiesz, że jeżdżę saturnem?

Doug wpatrywał się intensywnie w czerwone światło.

– Nie od ciebie? Musiałaś coś o tym napomknąć.

– Ja? – Zielone. Doug ścisnął kierownicę i ruszył z piskiem opon w kierunku mostu, a ona znowu spojrzała przed siebie. – Widocznie musiałam.

Tuman.

– Dokąd dzisiaj?

– Myślałam o Chart House, wiesz, gdzie to jest? Miło tam, ale bez przesady. Przy Akwarium na Long Wharf, z widokiem na port. Co ty na to?

– Może być.

– Myślałeś pewnie, że wybiorę jakąś knajpkę na Newbury Street, prawda? Na przykład Sonsie.

– Czy ja wiem – mruknął. O Newbury Street wiedział tylko tyle, że to aleja galerii sztuki i eleganckich butików; o Sonsie pierwsze słyszał.

– Ale najpierw... – znowu się do niego odwróciła
– ...mam do ciebie prośbę.

– Do usług. – Spróbował odczytać coś z jej miny. – Czego tylko sobie życzysz, słucham?

Wjeżdżali rdzewiejącym mostem do miasta.

– Wiem, że to nie najlepszy pomysł na rozpoczęcie tego wieczoru... ale mój znajomy leży w szpitalu, ma jutro rano operację i obiecałam, że wpadnę go odwiedzić.

Doug kiwnął głową. Znajomy.

– I potrzebny ci był ktoś do towarzystwa?

– Obiecuję, że to nie zajmie dużo czasu. Słowo daję.

– Nie ma sprawy. – Znajomy. – Gdzie to?

Podawała adres kliniki okulistycznołaryngologicznej i Doug już wiedział, kim jest ten znajomy.

Kiedy jechali windą, myślami była wyraźnie gdzie indziej i Doug odnosił wrażenie, że jest bardziej niż on niespokojna.

– Wyglądasz, jakby coś cię gnębiło.

Przestała przygryzać wargę, ale na odmianę zaczęła ściągać z palców niewidzialne napastrki.

– To te szpitale – powiedziała. – Nieswojo się w nich czuję. – Patrzyła na zmieniające się na wyświetlaczu numery pięter. – Mój brat zmarł w szpitalu.

– Miałaś brata?

– Rak pęcherza go zabił. Rodzice do tej pory nie mogą dojść do siebie. – Potrząsnęła głową, tak jakby chciała w ten sposób odpędzić od siebie to wspomnienie, i spojrzała na niego. –

Byłeś u fryzjera. – Uniosła rękę i potarła szorstką szczecinę na jego karku. Robiła to delikatnie, ułożoną w muszelkę chłodną dłonią. – Jak czuje się mężczyzna po postrzyżynach?

Doug pomyślał, że chyba nic nie sprawiało mu dotąd większej przyjemności.

– Bo zacznę zaraz mruzczyć.

Kabina zatrzymała się, dał się słyszeć cichy gong i drzwi się rozsunęły. Opuściła rękę. Trafili po strzałkach do kolistego skrzydła szpitala, a tam po numerach pod drzwi właściwej sali.

– Zaczekam tutaj – mruknął Doug.

– Nie, nie. – Pomyślała chyba, że jest zazdrosny.
– Wejdz ze mną.

Wzięła go za rękę i zanim zdążył zaprotestować, wciągnęła za sobą do jednoosobowej sali.

Pacjent siedział na łóżku podparty hałdą poduch. Obrócił się w ich stronę głową i ramionami. Gaza i bandaże zasłaniały mu połowę twarzy, wybrzuszając się nad prawym okiem, ale to, co pozostawało odsłonięte, wystarczyło, żeby Doug rozpoznał w nim zastępcę kierowniczkę oddziału BayBanks przy Kenmore Square, Davisa Bearnsa.

Claire puściła rękę Douga i podbiegła do Bearnsa, Doug zrobił jeszcze dwa kroki i zatrzymał się.

Beams rozpostarł ramiona i Claire, nachyliwszy się i wsunąwszy w nie ostrożnie, cmoknęła go w niezabandażowany policzek.

– Cesc – wycedził Bearns przez zaciśnięte zęby, ledwie poruszając wargami. Szczęką nie mógł, bo była zadrutowana. – Ale se psykleiła – dodał, kiedy zwlekała z oderwaniem się od niego.

Claire wyprostowała się i uśmiechnęła, ocierając

ukradkowo łzę. Obejrzała się na Douga i dokonała prezentacji.

Doug kiwnął Bearnsonowi głową, wykonał ręką nieokreślony gest. Hej.

– Jak ci tu? – spytała. – Szkoda, że nie powiedziałeś, co ci potrzebne. Przyniosłabym.

– Ja cę tyko mec to ju za sobo – te opeacje, to mesce.

– Mówiłeś, że lekarze są dobrej myśli.

– Spróbowowałyby ne byc. Ja jestem. Jak odzyskam piesziesiąt procent wzoku w tym oku, to bedze wielki sukces. Chce tyko mec to juz za sobo – wrócyc do domu, do pracy.

– Naprawdę? – podchwyciła. – Chcesz wrócić do pracy?

– No pewnie. Znudzyły mi se juz te kyszówki z wielkimi lyteramy. Ale to jeszcze nieprętko. Co najmniej pare tygodni bedom mne tu tsymac na tej nyskoswiatłowej diecie.

Kiwnęła głową, wygładziła zmarszczkę na prześcieradle.

– Nie idzie mi w pracy.

– Bo pamientas. Szczesce w nieszczescu, ze ja nie. – Obrócił głowę jeszcze trochę, żeby lepiej ją widzieć. – Chces sie zamienić?

Pokręciła głową na ten wisielczy żarcik, uciekła ze wzrokiem.

– Kiedyś wszystko ci ze szczegółami opowiem.

Obiecuję. Ale nie teraz.

– Pewnie, że nie teraz. Teraz mi lepiej opowiedz o swoich planach na wieczór. Sam się nigdy nie wybieram, to niech chociaż posucham.

Tu wtrącił się Doug:

– To ja zostawię was już samych. Miło było cię poznać, powodzenia.

– Nie będę jej długo tsymał – obiecał Bearn. – Ale o tobie pogadamy.

– Dobrze wiedzieć – mruknął Doug i odwracając się, przypomniał sobie Jema stojącego nad skatowanym Bearnsem z otwartym pojemnikiem wybielacza.

*

Jak dobrze było siedzieć z Claire w Chart House i gawędzić z nią w ciepłej, miłej, wolnej od fałszu atmosferze – wolnej od fałszu dopóty, dopóki Doug nie uzmysłowił sobie, że przecież cała ich znajomość jest podszyta fałszem. Ale nawet po tej konstatacji rozmowa trwała nadal w najlepsze i ponownie dał się omamić złudnemu płomykowi tymczasowej niewinności. Zdumiewała go własna szczerść. Mimo tego nawisu kłamstwa nad głową – a może właśnie dzięki niemu – rozmawiał swobodnie i był z nią bardziej uczciwy i otwarty niż kiedykolwiek z kimkolwiek innym.

Zamówiła bez komentarza kieliszek białego wina. Omówili trzy mecze futbolowe Boston College, na których oboje byli, tyle że osobno. Na stoliku pojawił się jego stek i jej mały. Opowiadała mu o swojej pracy w banku, skarżyła się, że brak jej motywacji, że dwie godziny przerwy na lunch spędza w swoim ogródku w Fens, a potem dręczą ją wyrzuty sumienia.

– BayBanks udziela się społecznie, no wiesz, małpując te małe banki, które zajmują się tym z przekonania. To w zasadzie taki pic na wodę fotomontaż, ale przy wypłacie doliczają po kilka godzin tygodniowo pracownikom, którzy działają gdzieś jako wolontariusze. Ja zaczęłam rok temu w charlestownowskim klubie dla chłopców i dziewcząt.

– Tak, słyszałem o nim.

– Pracuję z młodzieżą w wieku mojego brata. To chyba daje coś do myślenia, prawda? – Uśmiechnęła się smutno, wzruszyła ramionami. – Chodzę z nimi na wycieczki w charakterze opiekunki i tak dalej. To trudna młodzież, ale nie do końca zdeprawowana. Wesoła kompania. Pewnie i ty kiedyś taki byłeś, mam rację?

– Chwali ci się, że to robisz.

– Najlepsze, że to powinny być jakieś trzy godziny w tygodniu, a ja spędzam tam w sumie więcej czasu niż w banku.

– Więcej od ciebie przejmą.

Pokiwiała głową.

– Mam taką cichą nadzieję.

Kelner nie był przyzwyczajony do klientów regulujących rachunki gotówką. Wyszli z lokalu i ruszyli wybrzeżem wzdłuż łańcuchów z poczerńniętego żelaza, rozciągniętych między niskimi słupkami. Wieczorny przybój kołysał łodziami w dokach, fale rozbijały się o pirsy, trzeszczało drewno. Do Douga przyczepił się namolny chudzielec handlujący różami z wiadra na mop. Claire odwinęła oczyszczony z koków kwiat z celofanu i bibułki, powąchała płatki i wzięła Douga pod rękę.

W Columbus Park weszli na rozległy, pusty plac zabaw wysypany miękkimi wiórkami i zatrzymali się przed nieruchomymi, gumowymi huśtawkami. Claire usiadła na jednej, obracając się wraz z nią w miejscu, skręciła łańcuchy, a potem oderwała stopy od ziemi i zaczęła wirować w przeciwnym kierunku z wyciągniętymi przed siebie nogami. Doug, obserwując jej smukłe łydki, wyobrażał sobie, że każde skrzydło schodów, na jakie kiedykolwiek się wspięła, było treningiem przed tą właśnie chwilą, w tym świetle, na jego oczach.

– Wystarczy, w głowie zaczyna mi się kręcić – powiedziała, zatrzymując się. Doug stał w pobliżu jak jej osobisty ochroniarz, grzebiąc czubkiem buta w ubitych wiórkach. Spojrzała w kierunku lotniska na podchodzące do lądowania samoloty. – Dziwna

rzecz, prawda? My dwoje tutaj, rozkoszujemy się pięknym wieczorem, a Davis siedzi tam samotnie w szpitalnej sali i czeka.

Doug obserwował jej oczy. Coś się w nich działo.

– Porządnie oberwał.

Odprowadziła wzrokiem mewę przelatującą nad dokami.

– Tak niewiele trzeba. Skręci człowiek któregoś ranka w niewłaściwą ulicę i w jednej chwili... ląduje, jak Davis, na marginesie życia, i może tylko przyglądać mu się z zewnątrz.

– Miał chłopak pecha.

– Nie – powiedziała cicho, spuszczać wzrok. – Gorzej. – Siedziała przygarbiona między łańcuchami huśtawki, obracała w palcach łodygę róży. – Tak naprawdę to moja wina.

– Jak to twoja? – zachnął się Doug.

– To ja włączyłam alarm podczas napadu. Nie on. Pobili nie tę osobę co trzeba. – Westchnęła, żeby powstrzymać łzy. – A ja na to patrzyłam. Mogłam mu tego zaoszczędzić, mogłam im powiedzieć, że to ja. Ale tylko stałam i nie reagowałam. Stchórzyłam, jak zawsze.

– Nie mów tak. Strach cię paraliżował.

– Jest teraz oszpecony na całe życie, a przecież niczego złego nie zrobił. Niczego, czym by sobie na to zasłużył. Przeze mnie.

– Posłuchaj – powiedział Doug, siadając na sąsiedniej huśtawce. – Musisz się wziąć w garść i skończyć z tym rozpamiętywaniem. To przez FBI, prawda? Wciąż cię nachodzą?

– Ten agent od nich założył na początku, że to Davis włączył alarm. A ja, oczywiście, nie wyprowadziłam go z błędu. Wstyd mi było. – Spojrzała w niebo nad wodą. – Dlaczego taka jestem? Ty byś na moim miejscu nie kłamał.

– Ja? – mruknął Doug. – Ja na twoim miejscu nic bym im nie mówił.

– Jak to nic?

– Nic poza tym, co najważniejsze.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Myślisz, że ten agent mnie podejrzewa?

– Od razu widać, że nie wychowywałaś się w Charlestown. Tacy jak ty ludzie, którzy nie za często mają do czynienia z policją, wierzą święcie w całą tę mowętrawę o dochodzeniu prawdy. Zapominają, że gliniarze, FBI, w ogóle ci wszyscy z odznakami i władzą, to tacy sami ludzie jak reszta. Mają swoje problemy, mają pracę, której nie chcą stracić. No i tak na wszelki wypadek stosują pod byle pretekstem areszt tymczasowy. Byle tylko wykazać się wynikami. Jak nie udaje im się dopaść faktycznego winowajcy, to bywa, że zadowolają się kimś, kto im na takiego najbardziej pasuje. A najczęściej jest to ten najrozmowniejszy.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Poważnie?

– Jak często słyszysz o niesłusznie skazanych, o wymuszaniu zeznań? Tam, skąd pochodzę, wcześniej się uczymy, że z glinami się nie rozmawia. Chyba że w obecności prawnika.

– Chcesz przez to powiedzieć, że powinnam wynająć sobie prawnika?

– Broń cię Panie Boże. Za późno już na to. Podeprzesz się teraz prawnikiem, to masz jak w banku, że wezmą cię pod lupę.

Kiwnęła głową, przekonana logiką jego wywodu.

– Spełniłaś swój obywatelski obowiązek – ciągnął Doug. – I na tym koniec. Nic więcej nie wiesz, tak? – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Tak?

– Tak, nic więcej nie wiem.

Doug kiwnął z zadowoleniem głową. Ulżyło mu, odprężył się.

– I tego się trzymaj. A tak między nami, wydaje mi się, że za bardzo ten napad przeżywasz. Sama to chyba zauważyłaś. Współczuję twojemu znajomemu. Współczuję, rzecz jasna, tobie, ale...

Nie czekała, aż skończy, wpadła mu w słowo.

– Wiem, że to nie wygląda... no dobrze, napad. Zamaskowani mężczyźni, pistolety, furgonetka. Innym gorsze rzeczy się przytrafiają. Wiem. Ale to silniejsze ode mnie. Myślałam, że mnie zamordują,

że zginę tam, na bankowej podłodze... i zegnałam się już z życiem. – Skrzywiła się, zde gustowana własnymi słowami. – Gdybym tak mogła cofnąć się w czasie do tamtego poranka. Albo, tak jak Davis, wymazać go na zawsze z pamięci.

– Coś ci powiem – odezwał się Doug. To on był sprawcą bólu malującego się teraz na jej twarzy, może uda mu się go stamtąd usunąć. – Nie znam się za bardzo na tych rzeczach, przyznaję. Ale jedno mogę ci powiedzieć. W dzieciństwie przez długi czas żyłem z kompleksem chłopaka, którego porzuciła matka. To było moją obsesją, przesłaniało mi cały świat. I w końcu wpędziło w kłopoty. Teraz ciebie dopadła podobna obsesja, kompleks dziewczyny, którą napadnięto.

Wpatrywała się w niego z przejęciem, zasłuchana.

– Tak się złożyło – ciągnął – że poznałem i polubiłem tę dziewczynę, którą napadnięto. Nie mam jej nic do zarzucenia, podoba mi się taka, jaka jest. Ale ona chyba nie jest sobą zachwycona.

Zastanowiła się, kiwnęła głową.

– Masz rację – powiedziała. – Całkowitą.

– Możesz się od tego uwolnić.

– Muszę. Wiem. – Usiadła, rozprostowała ramiona, wiatr od portu przeczesywał jej włosy koloru miodu. – Przepraszam, że cię w to wciągam, przygnębam. Obiecuję, że zaraz wróci mi dobry

nastrój. I że wydorosłeję. Policz do trzech.

– Raz, dwa, trzy.

– Tadam. – Uśmiechnęła się. – Prosimy o przyjemny wyraz twarzy.

Huścili się przez jakiś czas w milczeniu, to przybliżając do siebie, to oddalając.

– Wiesz, co o tobie myślę, Doug? – spytała w pewnej chwili. – Właśnie to sobie uświadomiłam. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Hmmm. – Doug ścisnął mocniej łańcuchy huścawki. – Jezu, nie...

– A właśnie, że tak, i powiem więcej – większość dobrych ludzi jest taka, bo na takich zostali wychowani, wiesz? Na przykład ja – przyzwoici rodzice, dobre maniery, blabląbla. I wszystko pięknie, ładnie, dopóki taki dobry człowiek nie znajdzie się pod jakąś małą presją, bo wtedy kruszy się jak czerstwy chleb. Ale ty, ty w życiu błądziłeś, sam to przyznajesz. Nie jesteś żadnym świętym, ale wiesz, jak po prostu być dobrym. Twoja dobroć jest naturalna, a nie wyuczona.

– Co ty tam o mnie wiesz – mruknął Doug.

Uznała jego zakłopotanie za przejaw skromności.

– Nie widać, że dużo o tobie myślę? – spytała.

– O, naprawdę?

Huściała się przez chwilę w milczeniu, objając lekko biodrem o jego biodro, oczy miała roziskrzzone, wypełnione wdzięcznością.

– Naprawdę.

DEMOLKA

Następujące jedna po drugiej detonacje ładunków założonych u szczytu urwiska przywodziły na myśl kanonadę artyleryjską, wiatr znosił ogony dymu, z góry walił grad pokruszonych skał, które w zderzeniu z ziemią wzbijały tumany pyłu.

Doug i Jem, przyglądający się temu spod przymrużonych powiek, czuli pod podszwami butów drzenie bombardowanego gruntu, nad którym wisiały szare kłęby kurzu. Stali nieopodal obitego srebrnym sidingiem barakowozu i kolejki robotników w kaskach ochronnych, którzy korzystając z przerwy śniadaniowej, zbiegli się tu po winstony i kawę. Doug był w luźnej koszulce z długimi rękawami i napisem Rostbefy Mike'a na piersiach, Jem w białej bluzie z zieloną koniczynką pod wygiętym w łuk komunikatem JESTEM Z TOWN. Ciasny kaptur bluzy, który Jem naciągnął na głowę, sprawiał, że ta wydawała się jeszcze mniejsza, niż była w rzeczywistości. Obaj trzymali pod pachami swoje stare żółte kaski i wyglądali z nimi na zdemobilizowanych lotników.

– Żał patrzeć – burknął Jem.

Doug obserwował robotnika, który z

namaszczeniem położył sobie na ufortiowanej w muszelkę dłoni niebieską tabletkę i wrzucił ją do ust, jak łykaną co rano witaminę. W barakowozie sprzedawano również prochy po trzy dolary sztuka. Doug pamiętał kopa, jakiego dawała amfa zażyta gdzieś o dziesiątej, dziesiątej trzydzięci rano i popita piwem. Robota od razu zaczynała się palić człowiekowi w rękach.

– Na co?

– Na ciebie.

– Bo co?

– Od rana cały jesteś, kurwa, w skowronkach.

Podupczyłeś sobie wczoraj czy jak?

– Marzenie ściętej głowy.

– Znam go? Dogodził ci?

Doug, zapatrzony w snujący się w oddali kurz, uśmiechnął się mimowolnie.

– No to co z tobą? – nie dawał za wygraną Jem.

– Może Jezusa spotkałeś na swej drodze?

– A żebyś wiedział. W jednym domku na Eden Street. Całkiem ładnym domku.

– Tak, słyszałem, że dobry z niego cieśla. A nie było to czasem w Szpuncie?

Douga zmroziło, chociaż słońce przygrzewało.

– Nie rozumiem.

– Barman Chlapacz mówi, że chyba cię tam widział parę wieczorów temu.

– Nie w sobotę, razem z wami?

– Nie, pierdoholiku. Ostatnio.

Obojętne wzruszenie ramion, nawet naturalnie mu to wyszło.

– To musiał być jakiś inny Doug MacRay.

– Rozumiem. Może dawny Doug MacRay, co wrócił do nas jak ten Jezus z Eden Street. Ale dobrze ci radzę, nie popijaj na boku. Za długo już, kurwa, czekam. Na pierwszego drinka po przerwie idziesz ze mną, bo jak nie, to...

Poczucie niewysłowionej ulgi.

– Skoro już o abstynencji mowa, to jak tam z nią u ciebie?

– Ani kropelki.

– Zalewasz.

– Na grób mojej matki.

– No nie, to już nie masz gdzie tego robić?

– Odwalam po dwie pełne serie ćwiczeń na dzień. Pakuję muły.

– Zaraz, kowboju – to co tak tu będziemy bezproduktywnie stali? Bierz mnie na barana, tobie i tak wszystko jedno, co dźwigasz, a ja sobie przynajmniej posiedzę.

Jem spojrział na niego z ukosa, mrużąc w słońcu jedno oko.

– Dupczyłeś, kutafonie. Teraz widzę.

Doug uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Przed tobą nic się nie ukryje.

Odgwizdano zakończenie odpalania ładunków.

Jem wyjął spod pachy swój kask.

– Smarujmy do tego Jebona, chcę to już mieć z głowy.

W oddali brygada wyburzeniowa w kaskach ochronnych, goglach i maskach przeciwpyłowych zmierzała w stronę opadającego kurzu. Doug nawet z tej odległości czuł jego zapach, pamiętał, jak kiedyś zatykał mu pory.

– Nie brakuje ci tego czasem?

Jem swoim dawnym zwyczajem obracał kask w dłoniach – wyblakłe nazwisko J. Coughlin z tyłu, skórzana opaska na głowę wewnątrz, przetarta do pianki.

– Ochujałeś?

– Bo mnie trochę brakuje. Wkurzało mnie tylko to wstawanie z kurami, te dojazdy, fasowanie lunchu z ciężarówki, ten cholerny kurz we włosach.

– Krótko mówiąc, sama rozpierducha cię rajcuje.

– Co ja poradzę, że lubię sobie popatrzeć, jak się coś wali w gruzy.

– A wiesz, że jak się tak dobrze zastanowić, to nawet było coś w tym uderzaniu z łomem na ścianę. Stara dobra ekipa wyburzeniowa, nie? Demolka na cztery fajerki. Młoty, kilofy, oskardy w dłoń i jak ten pluton egzekucyjny maszerujemy w zakurzonych kombinezonach na obiekt do rozwałki.

Doug wzruszył ramionami.

– Ja tylko lubiłem patrzeć, jak się wali.

W baraku nadzoru technicznego musieli zaczekać, aż Billy Bona skończy wymrukiwać do słuchawki telefonu „Aha... tak... no...”, miętosząc przy tym wolną ręką przewód. Przed dziesięcioma laty, podczas jakichś prac rozbiórkowych, spadający pustak zerwał mu na oczach Douga paznokcie z ostatnich trzech palców, jakie mu jeszcze zostały u lewej dłoni. Lekarze powiedzieli, że odrosną, i to dwa razy grubsze, ale wcale nie odrosły. Teraz Billy był brygadzystą w firmie wyburzeniowej swojego ojca i te oskalpowane paluchy służyły mu tylko do wytykania chłopaków i składania parafek.

Odłożył w końcu słuchawkę i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

– Micki [Irlandczyk] kutasicki we własnych osobach.

– Billy Jebona – mruknął Doug.

– Pod co ta niwelka, pod jeszcze jedną pizzderię?
– spytał Jem.

– Pod co jest, pod to jest – burknął Jebona, biorąc z biurka podkładkę z klipsem. – No, co tam się urodziło, bo mam dosłownie dwie minutki.

– Pod autostradę, co? – wrócił do tematu Doug.

Jem bawił się rolodexsem Jebony jak zblazowany małolat, który wpadł z wizytą do gabinetu tatusia.

– W zleceniach się nie przebiera, bierze się, co podleci – burknął Jebona trochę rozkojarzony, bo nie

lubił, kiedy mu ktoś buszował po biurku, na którym tylko dziada z babą brakowało. – No, co was przyniosło? Na kartofle nie macie? Do uczciwej roboty chceta się najać?

– Wypluj te słowa, stary. – Jem się wzdrygnął. – My tu tylko pogadać o naszym dilu.

Jebona ściągnął brwi, zerknął spode łba na Douga.

– Coś się wam, kurwa, odwiedziało?

Jem wziął do ręki firmowy przycisk do papieru Bonafi.de Wyburzenia w kształcie Krzywej Wieży w Pizie.

– Wiesz, co by mi się zamiast tego bardziej tu widziało? – zapytał. – Ten kucharz z kartonów na pizzę, no ten, co podkreca wąsa, jarzysz? W sam raz by był.

– Co jest grane, MacRay? – spytał Jebona, spoglądając na Douga.

– Spokojnie, Billy – powiedział Doug, darowując sobie tym razem tego Jeboneę. Zapomniał już o niechęci, jaką żywił Jem do Jebony, tak dawno to było. – Z naszym układem wszystko w porządku. Najlepszym.

– Bo twój buldog zaraz mi śliną całe biurko zachłapie.

Jem uśmiechnął się jak to on, kiedy przyjmował wyzwanie, obszedł biurko i rozsiadłszy się w wielkim fotelu Jebony, zarzucił na blat nogi w ubłoconych

butach.

– Twardo tu masz, Jebona. Odcisków na dupsku se narobisz.

Jebona ścisnął oburącz podkładkę z klipsem.

– Jak to ma być, kurwa, jakiś szantaż dla ubogich, to możecie mi obydwaj...

– Hola, hola – przerwał mu Doug. – Nie zaperzaj się tak. Chyba mnie znasz?

– Kiedyś znałem cię dobrze, Duggy. Ale to było dawno i nieprawda. No więc o co się, do kurwy nędzy, rozchodzi?

– Wyjdź z za biurka tego pana – powiedział Doug do Jema. Zrobił to tylko pro forma, bez większego przekonania, że Jem posłucha, no i nie posłuchał. – Z umową wszystko w porządku, mucha nie siada – zwrócił się do Jebony. – Ale czujemy wokół siebie jakiś smrodek, że się tak wyrażę, przynajmniej tak nam się wydaje, no więc zawitaliśmy tutaj w ramach upewniania się, czy jesteśmy kryci na wszystkich bazach.

– Z ostrzeżeniem – warknął Jem, wziął z biurka bloczek różowych karteczek przyklejonych i rzucił nim w Jebonę. Jebona nawet nie próbował przechwycić bloczka w locie i ten, odbiwszy się mu od ramienia, upadł na podłogę.

– Zaraz tam ostrzeżenie – prychnął lekceważąco Doug. – Składamy ci po prostu kurtuazyjną wizytę, a przy okazji uprzedzamy, że w najbliższym czasie

możesz mieć gości z odznakami i workiem pytań. To jeszcze nic pewnego, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Jezus, Maria – jęknął Jebona, przejęty perspektywą takich odwiedzin.

– Niezłą kasę przy nas trzepiesz – przypomniał mu zza biurka Jem. – Za samo to, że trzymasz nas w ewidencji, odpalamy ci połowę z tego, co nam płacisz.

– Coś za coś. Dzięki mnie macie udokumentowany dochód, który możecie zgłosić skarbowce do opodatkowania, czyli na dobrą sprawę chronię wasze dupska, bo gdyby nie ja, pewnie już byście siedzieli. – Jebona spojrział znowu na Douga. – I co, alibi?

– Niekoniecznie – mruknął Doug. – Grunt, że mamy zatrudnienie. Że wykazujemy przykładną postawę obywatelską. Coś im się uroiło, nic na nas nie mają. A więc spokojna głowa. Po prostu nie chcieliśmy, żeby ktoś tu wpadł bez zapowiedzi i zaskoczył cię nieprzygotowanego. Wystarczy ci potwierdzić, że jesteśmy twoimi etatowymi pracownikami.

– Najlepszymi, jakich masz – dorzucił od siebie Jem. – Robotnymi, zdyscyplinowanymi chłopakami. Tylko akurat na chorobowym.

– A jak sobie pójdą, dajesz nam znać, że byli. No jak, Billy, stoi?

Jebona kiwnął głową i zerknął na zegar ścienny.

To zerknięcie powiedziało Dougowi, że Jebona jest zajęty, ale przyjął ostrzeżenie do wiadomości i że to dla niego nic wielkiego. Tyle tylko chciał wiedzieć.

– Jebonie musi stać – odezwał się Jem. – Bo innej możliwości, za chuja, nie ma.

Jebona odwrócił się na pięcie i wycelował w Jema jeden z oskalpowanych paluchów dłoni, w której trzymał podkładkę z klipsem.

– Coś ty na mnie zawsze taki cholernie cięty, Jimmy? Masz coś, kurwa, do mnie?

– Skończył z waleniem konia – wyjaśnił Doug.

– Tak? To niech z powrotem zacznie – warknął Jebona doprowadzony do ostateczności. – Mojemu tacie też nigdy nie okazywałeś należytego szacunku, koniowale szajbnięty.

– Szacunku? – prychnął Jem. Siedział nadal z założonymi rękami, spokojny, rozgoszczony. – Tyś mu go za to okazał, tacinsynku. Przejąłeś interes, a starego wykopsałeś na Florydę.

– O tobie też można powiedzieć, żeś przejął interes po tatusiu.

Jem zerwał się na równe nogi i wybiegł z za biurka. Opuszczony przez niego fotel obracał się jeszcze, kiedy on stał już nos w nos z Jeboną. Doug nie interweniował, miał tego po dziurki w nosie.

– Myślisz, że się ciebie boję? – wy warczał Jebona, przyciskając do biodra podkładkę. – No? Tak myślisz? To dobrze, kurwa, myślisz, bo się ciebie

boję, półpsycholu cholerny. – Jebona cofnął się i podniósł z podłogi bloczek karteczek. Cisnął go między papiery zalegające na biurku, trzasnął podkładką o blat z taką siłą, że leżący na nim długopis podskoczył i odbił się od telefonu.

Stał przez chwilę, wpatrzony w swój pusty fotel, ramiona drżały mu z wściekłości.

– Przyszliście mi coś powiedzieć, powiedzieliście, a teraz wynocha, bo mam ważniejsze sprawy na głowie. Ludzi pod sobą, którzy uczciwie zapracowują na swoje pensje, chłopaków, którzy mają rodziny na utrzymaniu i którym wiem, za co płacę.

Popatrzył na nich, nadaremno szukając choćby śladu wstydu na twarzach, a potem wyszedł, trzaskając cienkimi drzwiami barakowozu.

Wsiedli do Palnika, obtłuczonego trans ama Jema, i ruszyli na południe, gdzie za Billerica, na przyautostradowym parkingu pod Wendy's, Doug zostawił swojego caprice. Ani jadąc tutaj, ani teraz, wracając, nie ciągnęli za sobą ogona. Z całą pewnością, bo ostatnio byli na tym punkcie superkurewsko wyczuleni. Ale to, zamiast uspokoić Douga, podsyciło tylko jego obsesję. Zakonotował sobie w pamięci, że obmaca jeszcze raz nadkola, zajrzy pod podwozie i pogrzebie pod maską na okoliczność podczepionych lokalizatorów.

Jem prowadził z ogniem w oku, dając po garach. Włączył magnetofon i z głośników buchnęła piosenka z Ulicy Sezamkowej.

– Kurwa, Jezu – warknął, dźgając palcem przycisk eject. Wyszarpnął kasetę i odrzucił ją za siebie jak gorący kartofel. – Widzisz? To dlatego nie daję jej, kurwa, kluczyków od mojej bryczki. Wierci mi dziurę w brzuchu, żebym zamontował z tyłu na stałe fotelik dla dziecka. Wyobrażasz sobie? Jem jeżdżący po Town z tym kojcem na bachora.

Wjechali na ekspresówkę, promienie ostrego słońca, odbijając się od szpanerskich błękitnych płomieni wymalowanych na masce, raziły Douga w oczy. Klekot kasków telepiących się z tyłu po zaśmieconej podłodze nakładał się na mętlik, jaki miał w głowie.

– No i co z tym Dezem? – spytał Jem.

– Co co?

– Nie podoba mi się ta sytuacja.

– Mhm.

– Z nas czterech on jest najślabszym ogniwem.

– Dez jest w porządku, już ci mówiłem.

– A udowodnił to kiedyś? Nawet, kurwa, za dzieciaka, w sklepiku z cukierkami, nie skitrał gumy do kieszeni, dopóki za nią nie zapłacił. Co robi przyparty do muru, kiedy mu każą sypać kumpli, no co? Pokazał kiedyś, że umie trzymać jęzor za zębami?

Doug nie był aż tak rozkojarzony, żeby nie zgodzić się w duchu z Jemem.

– A co z tą kierowniczką?

– Banku? – mruknął Doug.

– Nie, pralni. Tak, z kierowniczką banku. Powiedziałeś, że się temu przyjrzysz.

– To nie ona. Ślepa uliczka. Szlus.

– Pewny jesteś?

– Jestem. Gwarantuję.

– Na jakiej podstawie?

– Nic o nas nie wie. Zapomnij o niej.

Jem zmienił pas, wciskając się między dwa samochody z zapasem na zaledwie szerokość dłoni z każdego końca.

– Czyli nie ma potrzeby usunięcia jej z równania.

Doug spojrzał na niego. Głupota Jema potrafiła oślepić jak słońce.

– To miał być jakiś durny żart?

– Tak tylko mówię.

– Co tak tylko mówisz? Zdajesz sobie sprawę, coś przed chwilą powiedział? Masz się, kurwa, teraz za płatnego mordercę?

Jem wzruszył ramionami, odstawił twarziela.

– Nie lubię zostawiać luźnych końców.

Doug musiał wziąć głęboki oddech i przepowiedzieć sobie, że to tylko takie gadanie, teksty ze ścieżki dźwiękowej filmu, który leci w głowie Jema przez dwadzieścia cztery godziny na

dobę, jak na kablówce.

– Słuchaj no, De Niro. Ty lepiej wróć do tego brandzlowania. I to, kurwa, jak najszybciej, najlepiej zaraz. Zjedź na pobocze, ja zaczekam. Co w ciebie, kurwa, wstąpiło? Muzyka całymi nocami...

– Co, za głośno?

– On pyta, czy za głośno.

– Dobra, już dobra, zjedź, kurwa, ze mnie.

– Zrób coś z tym bajzlem, który masz we łbie, chłopie. Co ci jest? Wampir cię udukał czy jak?

– Staram się być ostrożny.

– Wystarczy mojej paranoi, dociera? Wystarczy, że ja trzymam rękę na pulsie. Ty sobie odpuść.

– Pierdzielony... w porządku, stary. W porządku.

Umilkli na chwilę, Dougowi szumiało w głowie, Jem opuścił szybę od swojej strony i splunął.

– No i żeni nam się Gloansy, co? – zmienił temat.

– Uhu – burknął Doug.

– Z kim przychodzisz na ślub? Masz już kogoś nagranego?

Doug pokręcił głową.

– Z tym jestem jeszcze w lesie.

– Taaa... – I po chwili: – Krista też nie ma pary.

Doug patrzył przed siebie, nie odzywał się, grał na przeczekanie.

– Co ty w ogóle robisz z wolnym czasem?

– A co ci, kurwa, do tego? Chcesz mnie

kontrolować?

– Ja ciebie? – obruszył się Jem. – Odpiałeś?

– Sam nie wiem... na czym to stało?

– No... chodzi o to, jaki jesteś między jedną robotą a drugą. – Jem pokiwał głową z taką miną, jakby jego zdaniem któremuś z nich odbiło, ale na pewno nie jemu. – Zbijanie bąków nie wychodzi ci, kurwa, na zdrowie, żadnemu z nas nie wychodzi. – Klepnął dłonią w kierownicę, dodał gazu. – A jak już o zbijaniu bąków mowa, to w zeszły weekend Mac o ciebie pytał.

– Tak? – mruknął Doug, zastanawiając się, skąd, u licha, ni stąd, ni zowąd ta informacja. – I co tam u niego.

– Powolutku. Mówi, żebyś kiedyś wpadł.

– Mhm. Nawet miałem taki zamiar.

– Mówi, że nie lubi się napraszać, ale chętnie zobaczyłby twoją gębę. Chyba chce się od ciebie dowiedzieć, co jest grane. Obiecałem, że ci powtórzę.

– Jasne – mruknął Doug, już zachodząc w głowę, jak by się tu wymigać od tego zaproszenia. Na szybie od jego strony słońce ujawniło niewidoczną dotąd plamę: okrągły odcisk małej dłoni, dokładnie pośrodku, i Douga zastanowiło, co, u diabła, robiła Shyne na przednim fotelu, nieprzyięta pasem bezpieczeństwa.

– Wiesz, kurwa – podjął Jem – cholernie lubię twojego tatę.

– Mhm – mruknął Doug. Ty jeden jedyny, dorzucił w myślach, nie odrywając oczu od tłustego duszka dziecięcej niepomarszczonej jeszcze dłoni.

RANDKI Z OFIARĄ

- Ale skąd pan to wiedział? – dociekała Claire.
- Co? – spytał Frawley.
- Ze chodziło o hipotekę albo o chore dziecko, skąd pan o tym wiedział?
- Ach, to. – Frawley potarł policzek. Nabawił się tego odruchu po spryskaniu środkiem barwiącym. Plamy zdążyły już spłowieć, nabrać miedzianopomarańczowego odcienia, można je było teraz uznać za opłakany skutek działania nieumiejętnie nałożonego samoopalacza. – Karteczka pachnąca kawą. Pierwsza nieudolna, popisowo spartaczona próba, jaką podjął. No i wystarczyło na niego spojrzeć, kiedy już leżał twarzą do ziemi na szkolnym boisku. Rozpoznaję takich desperatów na pierwszy rzut oka.

Siedzieli w Warren Tavern, z dala od barku, nad niskoprocentowymi drinkami i przekąskami. Wieczór, środek tygodnia, a lokal pękał w szwach. Frawley zachodził w głowę, jakim cudem ten pub w kolonialnym stylu stał się naraz taki trendy.

Claire była w kremowej bluzce z podciągniętymi rękawami. Sącząc białe wino, słuchała w skupieniu jego opowieści o nieudanym napadzie.

– I za to grozi pięć lat więzienia?

– Wytyczne federalnego wymiaru kar są dosyć restrykcyjne. Od czterdziestu do pięćdziesięciu miesięcy dla tych, którzy po raz pierwszy wchodzą w konflikt z prawem, plus jakieś półtora roku za grożenie bombą. Ale rozmawiałem z zastępcą prokuratora okręgowego i zasugerowałem mu, żeby zarzuty przedstawiono, opierając się na prawie stanowym. To właściwie nie moje zmartwienie, ale kara byłaby wtedy łagodniejsza. I temu patałachowi byłoby się chyba potem łatwiej pozbierać.

– Dobry z pana człowiek – zauważyła.

– To nie to. Po prostu gość nie ma w sobie nic z tych bandziorów, których na co dzień ścigam. Napad za okazaniem kartki z żądaniami i pogrózkami to najgłupsze z przestępstw. Jasny dzień, mnóstwo świadków, a na dokładkę delikwent jest fotografowany w trakcie. Trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby ryzykować cztery do pięciu lat więzienia dla piętnastu tysięcy dolarów. Banki przyciągają takich nieudaczników i desperatów. – Pretekst, by sięgnąć nad stolikiem i dotknąć jej przedramienia. – Miałem na myśli przestępców, nie pracowników.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki za uściślenie.

– Profesjonalna banda nieprzebierająca w środkach, po trupach dążąca do celu – tacy mnie

interesują. Zgnębiony chłopina z Dunkin' Donuts, któremu świat się wali na głowę, to nie moja liga.

Zauważyła, że znowu pociera policzek.

– To swędzi?

– Tylko psychologicznie. Jestem teraz na wpół gliniarzem, na wpół przestępcą. Szkoda, że nie widziała pani spojrzeń, jakie mi posyłają.

Uśmiechnęła się, i Frawleyowi przemknęło przez myśl, że dobrze mu idzie.

– A dlaczego właśnie banki? – spytała. – Czemu akurat nimi pan się zajmuje?

– Widziała pani zajawkę Twistera, no, tego filmu o tornadzie, który na dniach wchodzi do kin?

– No pewnie, tę z krową przelatującą przez ekran?

– Wychowywałem się... ach, gdzie to ja się nie wychowywałem. Moja matka miała szczęście do poznawania mężczyzn, którzy z takich czy innych powodów przenosili się właśnie do innego stanu, i ona, chcąc nie chcąc, jechała za nimi. Zazwyczaj parę miesięcy później dochodziło do zerwania i znowu zostawaliśmy sami wśród obcych, zdani tylko na siebie. Mieliśmy niewiele, a i tak podczas tych przeprowadzek wciąż nam coś ginęło. Matka wozila wszędzie parę drobiazgów, które nazywała swoim skarbem. Kilka swoich fotografii z dzieciństwa, Biblię swojej babci, listy, które przechowywała, moje świadectwo urodzenia, obrączkę ślubną. No i

pierwsza rzecz, jaką robiła w każdym nowym mieście, w jakim rozbijaliśmy namiot, to szła do banku, wynajmowała skrytkę depozytową i składała w niej ten swój skarb. Stało się to rutyną – nowe miasto, nowy bank, nowa skrytka. Kiedy miałem osiem, może dziewięć lat, mieszkaliśmy w Trembull w Dakocie Południowej i uderzyło tornado. Zrównało miasto z ziemią, zabiło osiem osób. Przeczekaliśmy je na podłodze w piwnicy na owoce – ja owinięty w koc, ona odmawiająca na głos Ojcze nasz – a kiedy przeszło, wspięliśmy się po schodach, a góry nie ma. Dachy, ściany, niczego. Gdzie tylko spojrzeć, ludzie wypełzali z piwnic jak te dżdżownice po deszczu spod ziemi. Wszystko zniknęło, zmieniło miejsce albo się przewracało. Powlekliśmy się całą gromadą tą aleją zagłady do centrum miasteczka. Ale tego centrum też już nie było. Zostało po nim pobożowisko połamanego drewna i gruzu – jedyne, co się ostało, to bankowy skarbiec. Sam budynek banku znikł, ale ten srebrzysty skarbiec wciąż stał. Istne wrota do innego wymiaru.

Słuchała ze skupioną miną, pod którą błąkał się jednak uśmiech.

– Nie znoszę ludzi, którzy dokładnie wiedzą, kim są i dlaczego dążą do tego, do czego dążą.

– Następnego dnia zjawił się naczelnik, otworzył go i skarb matki tam był, nietknięty i bezpieczny.

– A gdzie mieszka teraz pana matka?

– W Arizonie. Z czwartym mężem, licytатorem była. Kiedy do nich dzwonię i on odbiera, ni w ząb go nie rozumiem. Ale na trzydzieści pięć stanów, jakie dotąd zaliczyła, Arizona jest pierwszym, w którym zamieszkała po raz drugi. A więc tak sobie myślę... ten facet... może to wreszcie ten.

Claire uśmiechnęła się.

– To by wyjaśniało, dlaczego nie jest pan jeszcze żonaty.

– Czy ja wiem. To raczej przez te częste zmiany miejsca pobytu. I podejrzewam, że wkrótce Biuro znowu mnie gdzieś przeniesie.

– Gdzie?

– Najwięcej pracy dla agenta specjalizującego się w napadach na banki jest w Los Angeles. Boston jest może światową stolicą napadów na opancerzone bankowozy, ale stolica napadów na banki, i to niekwestionowana, to L.A. Na każde cztery obrabowane w całym kraju banki jeden pada ofiarą złodziei właśnie tam. A przy rozbudowanej sieci dróg wykorzystują tam na o wiele większą skalę urządzenia namierzające i rozmaite gadzety. W porównaniu z zachodem metody stosowane tutaj, w Charlestown, są raczej prymitywne.

Claire pokiwała głową, wprawiła w ruch wirowy resztkę wina na dnie kieliszka. Miał cichą nadzieję, że poprosi o jeszcze jedną kolejkę.

– Dziwi mnie, że pani też tu mieszka.

– Podoba mi się tutaj. A mam porównanie, bo często zmieniałam adres. Fajna dzielnica, fajni ludzie. Ta osławiona lokalna przestępcza subkultura to zaledwie łyżeczka dziegciu w beczce miodu.

Dopił swojego sama adamsa.

– Zamówimy jeszcze kolejkę?

Spojrzała na niego sponad kieliszka.

– Coś mi się tu nie zgadza. To spotkanie oficjalne czy randka?

Wzruszył ramionami.

– Nieoficjalne.

– Czyli randka.

– Nazwijmy to wstępem do randki. Przekąski, drinki.

– Bo... – zaczęła – ...może to głupio zabrzmie, ale ktoś mnie pouczył, że nie powinnam z panem więcej rozmawiać bez prawnika.

– Niech zgadnę – ktoś z Charlestown, tak?

– Skąd pan wie?

Zniżył nieco głos.

– Widzi pani, to jeszcze jedna specyfika tego środowiska, tak zwana zmowa milczenia. Narodziła się chyba w dokach, wśród szmuglerów i robotników portowych. Z około pięćdziesięciu morderstw popełnionych w tej dzielnicy, w ciągu ostatnich dwudziestu lat, nierzadko na oczach świadków, wyjaśniono tylko dwanaście. Zasada była prosta: „Rozmawiasz z policją, już nie żyjesz, nie żyje cała

twoja rodzina”. Ale teraz coś jakby drgnęło. Ludzie zaczynają zeznawać jeden przeciwko drugiemu, wyrównują stare rachunki. Wstrętne.

Kiwnęła głową, słuchała tylko jednym uchem.

– Ma mnie pan na liście podejrzanych?

Kto ją tak urabia ?

– Skąd to przypuszczenie?

– Sama nie wiem. Te pytania, które zadawał mi pan u rodziców. Nigdy bym nie pomyślała, że mógłby pan...

– Cóż, na początek miałem uprowadzenie kierowniczkę oddziału, którą potem zwolniono nawet niedrażniętą. Dodać do tego fakt, że mieszkała w Charlestown i... skąd w ogóle przyszło to pani do głowy?

– Znikąd.

Znikąd?

– Czy zaprosiłbym panią tutaj, gdybym ją podejrzewał?

– Nie wiem. Może.

– Na pewno nie po to, żeby ciągnąć panią za język, by zdobyć przekonujący dla sądu dowód.

To ją chyba przekonało. Odchyliła się na oparcie, zamyśliła.

– Mam być szczerą? Żywię cichą nadzieją, że nigdy ich pan nie złapie. Proces, występowanie w charakterze świadka i w ogóle. A ja nie chcę już do tego wracać, chcę znowu normalności.

– Cóż – odparł Frawley – a ja mimo wszystko zamierzam ich złapać. Świadczeniem w sądzie proszę się nie przejmować. Nawet gdybym ich przyskrzynił jutro, to upłynąłby co najmniej rok, a może i dwa lata do wejścia sprawy na wokandę. A jeśli uwzględnić arbitralne dwadzieścia lat, jakie na mocy prawa federalnego dokłada się recydywistom, którzy przy użyciu broni palnej popełniają zbrodnię ze szczególnym okrucieństwem, do kary zasądzonej zazwyczaj za tego rodzaju przestępstwa – wyroki dożywotniego więzienia mają niewyjęte. I proszę mi wierzyć, że kiedy zobaczy pani w sądzie tych bandziorów, zobaczy ich twarze... a właśnie, cholera. – Obszukał kieszenie marynarki. – Byłbym zapomniał. Chwilka pracy dochodzeniowej.

Podał jej kolorową odbitkę zdjęcia zeskanowanego z zaczytanej bibliotecznej książki o historii drużyny Boston Bruins. Przedstawiało dwoje melancholicznych oczu patrzących zza maski bramkarza przyozdobionej ręcznie dorysowanymi szramami.

– To Gerry Cheevers – wyjaśnił. – Bramkarz Bruinsów z czasów Bobby’ego Orra.

Patrzyła na fotografię tak, jakby widziała na niej bandytów.

– Po co te szramy?

Powtórzył wyjaśnienie Dina:

– Kiedy po strzale na bramkę krążek trafiał w

maskę, Cheevers ściągał ją zawsze i zaznaczał powstałe wgłębienie, rysując w tym miejscu zaszytą szramę. Słynął z tego.

Patrzyła jeszcze przez chwilę na zdjęcie, potem oddała mu je, ale rozluźniła się dopiero wtedy, gdy znikło z powrotem w jego kieszeni.

– Nie cierpię hokeja – powiedziała.

– Nie tak głośno – zażartował. – Hokej na lodzie i napadanie na banki to dwie dyscypliny sportu uprawiane w Charlestown przez okrągły rok.

Podszedł do nich kelner.

– Wezmę jeszcze kawę – powiedziała Claire. – Bezkofeinową.

Frawley uniósł dwa palce, z trudem ukrywał rozczarowanie.

– A co by pani powiedziała na próbę randki z prawdziwego zdarzenia? Moglibyśmy pójść na Twistera, coś by się wymyśliło.

Kiwnęła głową.

– Mogłoby być ciekawie.

– No właśnie. – Nie od razu dotarł do niego sens tej odpowiedzi. – Mogłoby?

– Mogło. Byłoby.

– Ahaaa. Gdyby?

– Gdybym nie spotykała się już z kimś innym.

– Rozumiem.

– Pomyślałam, że uczciwiej będzie od razu to panu powiedzieć. – Uśmiechnęła się. Wyglądała na

lekką zmieszana i zakłopotana. – Skąd to powodzenie, którym nagle zaczęłam się cieszyć? Myślałby kto, że na powrót stałam się podlotkiem. Po tym napadzie poznaję dwóch interesujących mężczyzn. Co się stało? Co zmieniło?

– To ten notoryczny podrywacz?

Z jej zdumionego spojrzenia wyczytał, że zapomniała, iż mu o nim opowiadała.

– No, ten facet, którego poznała pani w pralni samoobsługowej. – Frawley uśmiechnął się. – Myślałem, że odprawiła go pani z kwitkiem.

– Co pana tak śmieszy?

– Nic.

– On mi pomaga, jeśli to pana interesuje.

– Chwali mu się. Bardzo się chwali.

– I wcale nie jest notorycznym podrywaczem.

– A gdyby nawet był, to co w tym złego? – Na stoliku pojawiły się zamówione kawy i rachunek. Frawley nie tracił humoru. – Konkurencja to jest to. Podnosi poprzeczkę.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

– Przepisy FBI tego nie zabraniają?

– Umawiania się na randki z ofiarami przestępstw? Nie. Za to ja mam pewną osobistą zasadę, której przestrzegam.

– Jaką?

– Nigdy, ale to nigdy tego nie robić – powiedział, kładąc z uśmiechem kartę kredytową na

stoliku.

Dino jeździł wysłużonym fordem taurusem rocznik 1993. Policyjne lampy błyskowe za atrapą chłodnicy można było zauważyć tylko wtedy, kiedy wiedziało się, gdzie spojrzeć, albo kiedy odbiło się w nich słońce. Nie był to wóz tajniacki, tak jak stateczny biurowy cavalier Frawleya, ale gdyby nie antena biczowa przy bagażniku, można by się nim z powodzeniem poruszać incognito po Town.

Dino z Frawleyem wyjechali spod Tobin Bridge i mijali właśnie dwa sedany Housing Authority stojące bok w bok na końcu Bunker Hill Street, kiedy policyjne radio wytrzeszczało wezwanie do „zapachu gazu” – funkcjonariusz, który je przyjął, nie odpowiedział dyspozytorowi spod 911 utartym odzewem „Udaję się”, ani „Zrozumiałem”, ani nawet wojskowo brzmiącym Over, lecz typowo bostońskim „Biorę to”.

– A mówiłem im – odezwał się Frawley. – Wynajmijcie mi tu mieszkanie, prosiłem, zadajcie sobie ten trud. Byle klitkę – stwórzcie mi warunki, żebym mógł działać wyłącznie na tej mili kwadratowej, dajcie mi czas, dajcie wolną rękę. Pozwólcie, żeby uznali mnie tutaj za swojaka. Stałbym się takim drugim Serpikiem, rozumiesz? Drugim Donniem Brasco. Ta dzielnica, tutejszy klimat – wąziutkie, naćkane uliczki. Widać każdą

zmianę, każdą odchyłkę od normy. Tutaj nie ma mowy o obserwacji jakiegoś domu, nawet jeśli ma się do niej ludzi – nawet jeśli prowadzi się ją z mieszkania naprzeciwko, a obiekt wyznaje religię zakazującą wieszania firanek w oknach – bo tutaj każdy ma oczy i uszy szeroko otwarte. Odkapsluj butelkę piwa, a faceta trzy domy dalej w tym samym momencie zaczyna suszyć. Tutaj trzeba się wtopić w krajobraz.

– Ale nie poszli ci na rękę?

– Boston nie miałyby nic przeciwko. SAC dałoby się przekonać, ale nie Waszyngton. Ludziom nie stąd bardzo trudno przetłumaczyć, jaką wylęgarnią bandytyzmu jest ta dzielnica.

– Wylęgarnia bandytyzmu. – Dino zachichotał. – Dobrze to ująłeś.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu.

– I co masz na tego gościa z telefonów? – podjął Dino.

– Nazywa się Elden. Desmond Elden. Co na niego mam? Nic nie mam, ot co. Mieszka facet z matką, ma stałą pracę, płaci w terminie podatki i ani sekundy swojego życia nie przesiedział w więziennej celi. Cztery, pięć razy w tygodniu chodzi do kościoła.

– A mimo to jesteś przeświadczony...

– Na sto procent.

– Nienotowany – mruknął Dino. – Nie należy i nigdy nie należał do AA. Wskakuje od razu do

ekstraklasy.

– Nie wiem, jak do tego doszło, ale jest, jak jest. A co do zaczynania w tak późnym wieku, to jako przykład A proponuję przypadek jego ojca.

– No, słucham.

– On też był czysty, żadnych zatargów z prawem na koncie, zupełnie nic, kiedy na początku lat osiemdziesiątych znaleziono go na jednej z uliczek, którymi przed chwilą przejeżdżaliśmy, z dwoma dziurami po kulach w piersi. Nie wgłębiałem się w sprawę, ale wszystko wskazuje na to, że był kurierem, nie żołnierzem, kimś w rodzaju pośrednika między ulicą a facetami, dla których zbierał. Takie to było ziółko z tego gościa z czystą kartoteką. Wcześniej czternaście lat przykładowej pracy u Edisona.

– Rozumiem.

– Ten Elden jest chyba ich technikiem. Nienaganny przebieg pracy zawodowej, w tym ani jednej nieusprawiedliwionej nieobecności w pracy, ale na przykład w tamten wtorek po maratonie wziął dzień chorobowego. Następna w prawo.

Dino włączył kierunkowskaz.

– Okay, czyli coś się zaczyna kłuć.

– Co do jego kontaktów, to na razie ustaliłem tylko jeden. Z facetem, którego mamy w naszym albumie w Lakeville. Niejakim Douglasem MacRayem.

– MacRay? – powtórzył Dino.
– Tak, mówi ci to coś?
– Chwila moment. Nie podpowiadaj. Syn Maca MacRaya?

– Bingo.

Dino oblizał wargi, coś mu tu smakowicie zapachniało.

– Okay. Stary Mac kibluje już dobre dziesięć... nie, piętnaście lat. Chyba w Walpole.

– MacRay junior odsiadywał ostatnio dwadzieścia miesięcy za ciężkie pobicie. Niesprowokowany rzucił się na gościa w barze i o mało nie zatłukł go na śmierć. A zatłukłby, gdyby go nie odciągnęli. Obuta stopa to bardzo niebezpieczne narzędzie, do tego awanturowanie się po pijaku w miejscu publicznym i stawianie oporu przy aresztowaniu. Wyszedł jakieś trzy lata temu. Zwróć uwagę, że wątek, który teraz badamy, wykiełkował mniej więcej sześć miesięcy później.

– Czy on czasem nie miał czegoś wspólnego z hokejem?

– Coś tam było.

– Tak, tak, gwiazda szkolnej drużyny hokejowej z Charlestown. MacRay. Chyba ściągnął go potem do siebie jakiś zawodowy klub. Jezu... czy aby nie Bruinsi?

– To Pearl Street, teraz tutaj mieszka.

Skęcili w jednokierunkową, opadającą stromo

uliczkę. Frawley wskazał palcem najgorzej prezentujący się dom w połowie tej zjeżdżalni samobójców. Samochody parkujące po prawej stronie blokowały prawie połowę szerokości jezdni i średniej wielkości taurus ledwie się mieścił między nimi a lewym krawężnikiem.

– Sam teraz widzisz, że nie przesadzałem. Tutaj nie da się prowadzić inwigilacji.

Skoncentrowany na przeciskaniu się wąską jezdnią, Dino zaryzykował zerknięcie na dom.

– Widać, że o niego dba.

– E, tam. To nie jego. Nie wiem dokładnie, czy płaci za wynajem właścicielom, czy dokłada się do czynszu. Dom jest zapisany na dwie osoby, Kristinę Coughlin i Jamesa Coughlina. To rodzeństwo.

– Coughlin... Coughlin...

– Co, odzywa się dzwoneczek?

– Jak w bożonarodzeniowy poranek w Watykanie. Niedaleko padają jabłka od jabłoni, nie? Ależ był model z tego Jackiego Coughlina seniora. Zaraz... zaraz... dokonał chyba żywota, wypadając z okna na czwartym piętrze. Niewykluczone, że kumple go wypchnęli.

Frawleyowi przypomniało się tamto potrącenie w piwnicznym barze Szpunta, pamiętał, jak zamglone, bardziej białe niż błękitne oczy Coughlina skojarzyły mu się od razu z fotografią z lakevillskiego albumu wyrokowców.

– Młody Coughlin zaczął w szczenięcych latach od mandatów za prowadzenie w stanie wskazującym na spożycie i drobnych kradzieży, potem rozwinął skrzydła. Jakimś cudem od trzydziestu miesięcy niczym nie podpadł. Żadnych aresztowań, niczego, za co można by go było cofnąć ze zwolnienia warunkowego. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, jeszcze jako młodociani, napadli z MacRayem na bank. Amatorska robota, Coughlin przeskoczył przez kontuar, MacRay wymachiwał pistoletem do wstrzeliwania kołków.

– O, nieźle.

– Budowlaną armatą kalibru dwadzieścia dwa z pełnym magazynkiem. Ma facet temperament. Dwa miesiące wcześniej wyleciał z hukiem z AHL za poturbowanie innego zawodnika, w wyniku czego tamten wyładował w szpitalu.

– W hokeju takie coś zapisuje się zwykle na plus.

– Pobity chłopak był jego kolegą z drużyny.

Dino skrzywił się i prychnął.

– Przyjemniaczek. A ta siostra Coughlina?

– Siostra? Nie wiem. Jej się nie przyjrzałem.

Zjechali do skrzyżowania z Medford i skręcili w lewo.

– To by już było trzech – powiedział Dino.

– Czwartego staram się wytypować drogą dedukcji. Wiemy – nie, to za dużo powiedziane – przypuszczamy, że samochody potrzebne im do

napadów organizują sobie we własnym zakresie, bo gdyby zlecali to komuś z zewnątrz, dostalibyśmy już raczej cynk, a przynajmniej chodziłyby o tym jakieś słuchy. W dziewięćdziesiątym albo w dziewięćdziesiątym pierwszym Coughlina zatrzymano w towarzystwie niejakiego Alfreda Magloana w skrojonym samochodzie. Tłumaczyli się, że chcieli się tylko przejechać. Magloan to notowany złodziej samochodów i członek Local 25, statystuje czasami w filmach jako kierowca.

– Nieźle, jak na pobieżne przejrzenie akt i trochę dorywczych przeszpiegów, Frawl.

– Depczę im po piętach. I wydaje mi się, że oni to wyczuwają. Dlatego trzymają się z dala od Eldena. Ale ja mam dosyć kłopotu z obserwowaniem jednego, wszystkich czterech nie dam rady. Dlatego jeździmy dzisiaj twoim wozem.

– Mam przez to rozumieć, że cię przejrzeni?

– Ostrożności nigdy za wiele – mruknął wymijająco Frawley. – Złożyłem już w Biurze wniosek o przydział nowego wozu, ale to trochę potrwa.

– Będziesz mnie potrzebował w weekend.

– Mamy nakaz tylko na Eldena, a więc na razie na nim się skoncentruję. Odwali się trochę papierkowej roboty, żeby nie zaczynać od zera, kiedy śledztwo już ruszy.

– A co z tym bankiem, koło którego kręci się

Elden? Tym w Chestnut Hill?

– Nic.

– No, mów.

W polu widzenia pojawił się budynek Schraffa, remiza straży pożarnej, siedziba Local 25.

– To mały osiedlowy oddziałik. Dwa wyjścia – na zapchany parking i na wąską Route 9. Małość, niewiele większe od bankomatu. Żadna atrakcja.

Dino włączył kierunkowskaz i skręcił w Bunker Hill Street. Pięli się z powrotem na Heights, tym razem od drugiej strony.

– To czego on tam szuka?

– Mam nadzieję, że nie próbuje wpuścić nas w maliny.

CZŁOWIEK Z PIASKU

– O Boże! – pisnęła, zrywając się z klęczek i odwracając na pięcie od rabatki, na której sadziła purpurowe kwiaty.

– Cześć – powiedział Doug.

– Aleś mnie przestraszył! Skąd się tu wzięłeś? – Rozejrzała się, jakby sprawdzając, czy jeszcze kogoś ze sobą nie przyprowadził. – Co tu robisz?

Jej uśmiech sprawił, że Doug zapomniał, kim i czym jest, o wszystkim zapomniał.

– Miałem w okolicy coś do załatwienia i pomyślałem, że wpadnę.

Otrzepała odruchowo uwalane ziemią kolana dzinsów.

– Szpiegujesz mnie?

– Może troszeczkę.

– To przestań i wchodź.

Furtka zamknięta była na zwyczajny haczyk. Otworzył ją i ruszył ścieżką w kształcie litery S wysypaną chrzęszczącymi kamyczkami. Powitalne cmoknięcie w policzek wyglądałoby trochę sztucznie i niezręcznie, a przy tym zbyt formalnie. Zatrzymał się przed nią i rozejrzał. Ławeczka, za nią zniszczona otwarta drewniana skrzynia, w skrzyni narzędzia

ogrodnicze, sztuczny nawóz Miracle Grow.

– Ładnie tu – orzekł.

– Tak? Dziękuję... – Też się rozejrzała wsparta pod boki. – Byliny wiecznie mnie frustrują, a rośliny jednoroczne co pół roku rozczarowują. Aha, a mięta dusi floksy.

– Wydawało mi się, że czuję zapach miętusów.

– A, widzisz... witaj na moim spłachetku raj. Sadziłam właśnie trochę niecierpków, żeby było bardziej kolorowo. Zaczekaj z łaski swojej, już kończę.

– Usiądę.

Kilka witek wierzby płaczącej otarło mu się z szelestem o ramię – i już siedział na kamiennej ogrodowej ławeczce. Pierwsze koty za płoty. Poszukał wzrokiem miejsca, z którego zwykł ją dawniej obserwować, ale bez powodzenia.

Kłęcząca plecami do niego na piankowej macie, wtykała jeden po drugim resztę kwiatków we wzruszoną ziemię i uklepywała ją. Spod paska dzinsów wystawał fragment jej liliowych majtek, tych samych, które podniósł kiedyś z podłogi w pralni.

– Zaskoczyłeś mnie – powiedziała.

– Mam trochę czasu do zabicia. Załatwiałem coś w okolicy i przypomniało mi się, jak opowiadałaś o tym ogródku przy kolacji.

– Zgadza się. A teraz szczerze – naprawdę

miałeś coś do załatwienia w okolicy czy przyjechałeś tu specjalnie dla mnie?

– To drugie.

Obejrzała się z uśmiechem przez ramię.

– No właśnie.

– A do tego jestem wielkim miłośnikiem kwiatów.

– To widać. – Powróciła do sadzenia. – A jakie lubisz najbardziej?

– Lilie.

Uklepała ziemię wokół krótkiej łodyżki jak matka opatulająca kocykiem dziecko.

– Widzisz stamtąd moje majtki, prawda?

– W porządku. Mnie to nie przeszkadza.

Nie wyprostowała się, nie podciągnęła dzinsów, w ogóle nie zareagowała. Skończyła, spryskała rabatki wodą z węża ogrodowego, opłukała pobrudzone dłonie, a potem schowała narzędzia z powrotem do skrzyni, poprawiła włosy i zabrała go na spacer po ogródkach.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – zagała, zrywając zielony listek z krzaczka, obok którego przechodzili. – Dopuściłam się wczoraj czegoś straszego.

– Czego?

– Oglądałam operę mydlaną. W college'u ustawiałam sobie pod nie rozkład dnia. W każdym razie była tam typowa beznadziejna scenka, w której

dwoje ludzi stoi po dwóch stronach pokoju i rozmawiają, rozmawiają, rozmawiają, aż w pewnej chwili kobieta odwraca się do okna, zbliżenie na jej twarz, ona wzdycha i pyta: „Dlaczego ja się w tobie zakochałam?”. Było to takie głupie i żałosne, że uśmiechałam się z politowaniem, wyłączając telewizor. Ale potem to pytanie i mnie przyszło do głowy. – Zerknęła na niego. – Dlaczego ja się w tobie zakochałam?

– Ufff – wyrwało mu się, te słowa podziały na niego jak łyk mocnego trunku.

– Zupełnie nie jesteś w moim typie. Opowiadałam o tobie koleżankom i one uważają, że to z mojej strony coś w rodzaju wielkiej ucieczki. A ja... niby od czego miałabym uciekać? Od tego napadu? Czy my... czy aż tak bardzo do siebie nie pasujemy? Naprawdę? Wydaje mi się, że więcej między nami podobieństw niż różnic.

– Też tak myślę.

– Oboje kochamy kwiaty.

Roześmiał się.

– No właśnie.

– W każdym razie moje koleżanki... – Potrząsnęła dłońmi, tak jakby nie wiedziała, jak wyjaśnić, o co jej chodzi. – Czuję, że się od nich coraz bardziej oddalam, i może one do tego piją. Zmieniłam się. Czuję to. One wciąż takie trzpiotowate – czego z jednej strony trochę im

zazdroścę, a z drugiej zaczyna mnie to razić. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl, ale może... no wiesz... już ich nie potrzebuję.

– Tak – mruknął Doug, słuchając tego uważnie – chyba wiem, o co ci chodzi.

Skrećili za narożnik działki o podwójnej szerokości, z wysypanymi żwirem ścieżkami i dużym drzewem bonsai. Bosonoga Azjatka ćwiczyła przy nim powolne ruchy tai chi przywodzące na myśl przepychanie niewidzialnej ściany.

– Ale to... między tobą a mną... za szybko się dzieje – podjęła Claire. – Nie ufam temu. Myślę o tobie i... a to widzę cię oczyma wyobraźni, a to mi znikasz. Mam dziwne wrażenie, że dobrze cię znam, a zarazem prawie wcale nie znam. Zupełnie jakbyś nie był realny – jakbym cię wymyśliła, albo jakbyś ty wymyślił mnie, no, zen się kłania. Jesteś realny, Doug?

– Tak mi się wydaje.

– Bo nie potrafię cię z niczym powiązać, no może z Charlestown, ale to za mało konkretne. Nie mam nawet twojego numeru telefonu. Nie mogę do ciebie zadzwonić. Nie znam nawet adresu – nie mogę podjechać pod twój dom i zadrećzać się tam, zastanawiać: Jest u siebie? Myśli o mnie?

– Chcesz przez to powiedzieć, że oczekujesz ode mnie referencji?

– Tak! Chcę zobaczyć twoje prawo jazdy i jakiś

inny ważny dokument tożsamości. Chcę zobaczyć twoją łazienkę. Chcę zajrzeć do twojej szafy. Chcę mieć pewność, że któregoś dnia nie wyparujesz mi bez śladu.

– Nie mam takiego zamiaru.

– I jeszcze jedno, wiem, że to głupie, że to dopiero dwie randki. Wiem, że robię z siebie idiotkę. Ale nie mogę się oprzeć uczuciu, że ty coś przede mną... – Potrząsnęła głową, odrzuciła listek na gruntową dróżkę. – Jesteś żonaty?

– Żonaty? – zachnął się Doug.

– Nie rozumiesz... sam się prosisz, żebym o to zapytała. Prowokujesz mnie do takich dociekań.

– Żonaty? – powtórzył rozbawiony.

– Muszę wiedzieć, czy w tym basenie jest woda. Chociaż... no dobrze, powiem to... chociaż już skoczyłam. Ale wciąż chcę wiedzieć, czy w tym basenie jest woda, czy jej tam nie ma.

– Jest – mruknął skołowany. – Jest woda w tym basenie.

– A moglibyśmy pojechać do ciebie? Pokazałbyś mi, jak mieszkasz.

Miał na końcu języka stanowcze „nie”.

– Na pięć minut. – Pokazała mu pięć palców, coraz bardziej zapalała się do tego pomysłu. – Żebym mogła zasadzić cię gdzieś w mojej głowie, żebyś przestał być takim... takim człowiekiem z piasku. Poznałam cię w pralni, Dougu MacRay. Nazywasz

się Doug MacRay, prawda?

Nie odzywał się. Zwolniła kroku, opuściła ręce.

– Widzisz, chodzi o to, że... wyobraźnia podsuwa mi różne wizje.

– Ho, ho, na przykład jakie? Ściany oblepione rozkładówkami, brudne skarpetki na żyrandolu?

– To... jeszcze nic.

– Nie mam żony. – Tym razem roześmiał się, wprawiając ją tym w gniew.

– A ja męża – warknęła. – O ile ci wiadomo.

– Moje mieszkanie... – Zawahał się. – Chciałem zwalić wszystko na sąsiadów, ale to by nie była prawda, to ja, cały ja. Widzisz, jestem właśnie w trakcie przemeblowywania swojego życia... – Doug sam w tym momencie się tego dowiadywał – ...a moje mieszkanie... to jeszcze dawny ja. Coś, co próbuję odnowić.

Aż podskoczyła z podniecenia.

– Ale ja chcę zobaczyć...

– Dawnego mnie? Nie, nie pokażę ci. Chciałabyś, żebym myszkował po pokoju, który zajmowałaś w akademiku, żeby się dowiedzieć, jaka jesteś teraz?

– Ale...

– Posłuchaj. Dopiero co wydoroślałem. Całkiem niedawno. Być może w dniu, kiedy się poznaliśmy. Już dosyć złych kart przed tobą odkryłem.

– A ja wciąż tu jestem.

– Tak, wciąż jesteś. A więc proszę cię teraz – daj mi nad sobą popracować, poczekaj, aż będę gotowy zaprezentować ci się w korzystnym dla odmiany świetle. Proszę.

Kiwnęła bez przekonania głową.

Doug udał, że sięga po portfel.

– Mam tu prawo jazdy i kartę Blockbuster.

– Powiedz mi jedno, Doug. – Chwyciła go za nadgarstki. – Powiedz mi, czy popełniam błąd. I tak go popełnię. To nie problem. Ale chcę to wiedzieć już teraz.

– Mówię przecież, że...

– Ochhhh! – Jej okrzyk spłoszył stadko kaczek. Przyciągnęła go do siebie, spojrzała mu w oczy. – Tak czy nie. Popełniam błąd czy nie?

Doug spuścił wzrok na jej dłonie zaciśnięte na jego nadgarstkach. Wiedział, co chce powiedzieć, i wiedział, co ona pragnie usłyszeć. Wystarczyło tylko wydusić to z siebie.

– Nie.

Jeszcze przez chwilę patrzyła mu głęboko w oczy, potem go puściła i wymierzyła palec w jego pierś.

– Trzymam cię za słowo.

– Okay. – Doug kiwnął głową.

Jej oko przyciągnął ptaszek siadający na pobliskiej kratowanej altance. Patrzyła, jak dziobie winorośl, nastrój trochę jej się poprawił.

– Ostatnio tyle wokół mnie zamieszania – powiedziała. – Wciąż coś się dzieje. Ale przy tobie, kiedy jesteśmy sami... zapadają spokój i cisza. Zaprowadzasz je swoją obecnością. – Ptaszek podfrunął na wyższą gałązkę i znikł w gąszczu liści. – Ale i co do nich mam wątpliwości, czy są realne.

– Może się ich pozbędziesz, jeśli przestaniemy o tym rozmawiać. Dzielić włos na czworo.

– Nie domagam się żadnej gwarancji. Chcę tylko wiedzieć, czy spotykasz się ze mną w dobrej wierze.

Doug kiwnął głową, on też czuł się już bardziej rozluźniony.

– Tego możesz być pewna.

Odprężyła się. Wcisnęła jedną rękę w kieszeń dzinsów, drugą w jego dłoń. Zawrócili.

– Myślisz, że to była nasza pierwsza awantura?

– A była?

– Może to pierwsza scena, jaką ci zrobiłam.

Odetchnął w duchu z ulgą.

– Nazwałbym to raczej naszą pierwszą poważną rozmową.

– Tak, to była nasza pierwsza poważna rozmowa. – Rozhuśtała lekko ręce, za które się trzymali. – Zresztą nie chce mi się wierzyć, żeby dwoje ludzi mogło się tak naprawdę pokłócić, dopóki w grę nie wejdzie seks.

– Właśnie – mruknął Doug, ale szybko się zreflektował: – Zaraz, a więc on jest powodem

awantur, a nie...?

– Marzy mi się związek, w którym wszystko zdarza się zawsze po raz pierwszy. Czy to by nie było piękne? Żadnej przeszłości, żadnego rozpamiętywania tego, co było, a nie jest, szkoda na to czasu. Ty i ja któryś raz z rzędu na tamtym dachu, a tak jakbyśmy nigdy wcześniej na nim nie byli. Wszystko jasne i nowe.

– Potrafilibyśmy tak.

– Naprawdę? Każda randka tą pierwszą?

– A czemu by nie? – Puścił jej dłoń. – Cześć, Doug jestem.

Uśmiechnęła się.

– Claire. Miło mi cię poznać.

Uścisnęli sobie ręce, potem Doug spojrział na swoją i wzruszył ramionami.

– No nie. Żadnej chemii.

Odepchnęła go ze śmiechem, potem znowu chwyciła za rękę, otoczyła ramieniem w pasie i przyciągnęła.

W pizzerii-bistro Canestáros na parkowym końcu Peterborough Street było bardzo schludnie, choć skromniej niż w Chart House – stoliki bez obrusów, chleb smarowany masłem, a nie polewany oliwą. Dobrze się tu czuł. Słońce nie skryło się jeszcze za wysoką ścianę budynków mieszkalnych po drugiej stronie ulicy, kiedy zająwszy stolik na

zewnątrz, zamawiali pizze – on pepperoni, ona z kurczakiem i brokułami. Z położonego dwie przecznice dalej Fenway Park dolatywały aż tutaj echa rozgrywanego na stadionie spotkania.

– „Vaughn, pierwsza baza, Vaughn...” – darł się komentator.

Kiedy na stół wjeżdżały zamówione dania, Claire czuła się tu już zupełnie swobodnie i posiłek upłynął w bardzo sympatycznej atmosferze. Prowadzona w jego trakcie konwersacja nie przyniosła jakichś wielkich rewelacji, ujawniła za to sporo wspólnych cech charakteru. Ot, dwoje ludzi sondujących jedno drugie z zaciekawieniem i delikatnością ocierających się o siebie rybek. I w pewnej chwili powiedziała coś, co nim wstrząsnęło.

– Z tego, jak mówisz czasem o odejściu twojej matki, można wysnuć wniosek, że ona od ciebie i twojego ojca uciekła. Właśnie tak, nie porzuciła was, lecz uciekła.

– Tak – mruknął, zaskoczony zarówno niespodziewaną zmianą tematu, jak i samym spostrzeżeniem. Jemu to nigdy przez myśl nie przeszło. – Chyba masz rację.

– Tak uważasz?

– Bo chyba naprawdę tak było.

– Siebie chyba o to nie obwiniasz? Miałeś wtedy sześć lat.

– Wiem.

– Nikt nigdy nie rozmawiał z tobą na ten temat? Musiało ci się coś obić o uszy...

– Nikt mi nigdy nie opowiadał o matce. A już na pewno nie ojciec. Musiała z nim mieć krzyż pański i może dlatego to zrobiła.

– A konkretnie?

Zastanawiał się chwilę, nie zwracając uwagi na przejeżdżające samochody.

– Nie spodoba ci się to – mruknął w końcu.

– Co mi się nie spodoba?

Nie do wiary, naprawdę chciał jej powiedzieć. Zdumiewała go szczerść, do jakiej gotów jest się posunąć, zadziwiało, jaki suchy czuje się pod szerokim parasolem kłamstwa.

– Pamiętasz, jak zapytałaś mnie kiedyś o bankowych złodziei z Charlestown?

Patrzyła na niego w milczeniu. Chyba zrozumiała, ale czekała, mając jeszcze cień nadziei, że wyprowadzi ją z błędu.

– Tak – powiedział Doug, za daleko już zabrnął, żeby się teraz wycofywać. – Nie mówiłem o tym dotąd, bo... No, wiesz.

– Boże. Nigdy nie myślałam... Tak mi przykro...

– Nie, nie – parsknął Doug. – To nie tobie powinno być przykro. Ale mnie to już nie gnębi, przywykłem. Nie mówiłem ze względu na ciebie.

Patrzyła w głąb ulicy, przetrawiała to.

– Dwa lata po tym, jak matka od nas odeszła,

wlepili mu dwadzieścia jeden miesięcy odsiadki, a ja powędrowałem na te dwadzieścia jeden miesięcy do sierocińca. Miałem osiem lat. Nigdy nie zapomnę, jak wyszedł na wolność, jak w aureoli wielkiego bohatera mnie stamtąd odbierał. Miałem szesnaście lat, kiedy znowu trafił za kratki, i tym razem bank odebrał nam dom. Mnie wzięła do siebie matka kolegi, która i tak praktycznie mnie wychowywała. – Wzruszył ramionami, wziął głęboki oddech, spojrzał na swoją pizzę. – I tak wyglądała moja nieusłana różami droga do dorosłości. O matce nikt nigdy ze mną nie rozmawia. Ale użeranie się z ojcem, który był, jaki był, żył jak wyjęty spod prawa, a na dodatek ze mną, jego mniejszą wersją wielkości ulicznego hydrantu... podejrzewam, że to było chyba ponad jej siły. No, wiesz, albo ona, albo my. Widocznie uznała, że nie ma innego wyboru. Zakładam, że wyjechała, założyła gdzieś inną rodzinę i jest tam szczęśliwsza. Nie mam do niej żalu. Ale... porozmawiajmy może o czymś innym.

Takie osobiste zwierzenia odurzały. Odurzały, a jednocześnie oczyszczały.

– Tyle moich koleżanek – zaczęła Claire, odczekawszy stosowną chwilę – wybiera sobie notorycznie niewłaściwych facetów. – Od strony nabitego stadionu doleciał dziki ryk, którego nie powstydziałaby się ruszająca do szturmowania armia wikingów. – Zastanawia mnie, dlaczego tyle

dziewczyn wiąże się uparcie z facetami, o których z góry wiadomo, że je unieszczęśliwią.

– Trudno powiedzieć – mruknął Doug, tutaj wolał być ostrożny. – Albo dlaczego wybierają sobie takich, którym w ich mniemaniu trzeba podać pomocną dłoń? A najlepiej ratować?

Podłubała widelcem w sałatce, nadziała na niego cząstkę pomidora.

– I jak często ta pomoc jest skuteczna? Jaki procent tych ratunkowych misji się udaje? – Odłożyła pomidor na brzeg talerzyka. – I dlaczego nie ma już facetów poszukujących kobiet, które potrzebują ratowania?

Doug wzruszył ramionami.

– Może paru się jeszcze ostało.

Claire popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– Ty mi pomagasz. Niesamowite, że poznaliśmy się właśnie teraz. Zupełnie jakby cię przysłano, żebyś mi pomógł.

Doug kiwnął głową.

– Chcę ci pomagać – oświadczył szczerze, a potem rozłożył ręce, obejmując tym gestem i pizzę, i restaurację, i gasnący dzień. – Sprawia mi to frajdę. Prawdziwą frajdę.

Ściągnęła serwetkę z kolan, rzuciła ją na stolik i odsunęła się z krzesłem.

– No to będziesz za mną tęsknił, kiedy cię na chwilę opuszczę.

Po małym zamieszaniu w drzwiach podczas mijanki z wychodzącą do ogródka kelnerką Claire znikła w środku. Doug rozparł się wygodnie na krześle. Słońce zachodziło właśnie za budynki mieszkalne, ściana cienia pełzła w poprzek jezdni. Od strony stadionu dolatywała organowa muzyka zniekształcana przez echo. Odchylił się z krzesłem tak, że oparcie dotknęło szpikulców płotka z kutego żelaza, i spojrzał w niebo przecięte smugą kondensacyjną przelatującego wysoko odrzutowca. Przeczesał palcami włosy i oddał się myślowej grze w klasy, zastanawiając się leniwie, co będą robili po wyjściu z pizzerii, ile wyniesie rachunek, ile czystej gotówki mu zostało, wspominając Foxwoods i zżymając się, że tak długo trzeba tam jechać, ilekroć musi wyprać kolejną transzę. Ze też nie ma jakiegoś indiańskiego kasyna, w którym człowiek mógłby wyprać duszę.

Postawił przednie nóżki krzesła z powrotem na chodniku i wyciągnął z kieszeni džinsów zwitek banknotów. Kiedy je przeliczał, coś dźgnęło go w kark. W pierwszej chwili uśmiechnął się, pewien, że to Claire, ale zaraz uzmysłowił sobie, że za sobą ma niski płotek i musiał go dźgnąć ktoś z ulicy.

– Kopsaj ten szmal – zakomenderował ściszony głos.

Doug stęzał, przyptyw adrenaliny opóźniła sielska sceneria ulicy, inni konsumenci jedzący jak

gdyby nigdy nic, przejeżdżające samochody.

Napastnik wsunął się w jego pole widzenia. Biała nylonowa kurtka Red Soksów, dzinsy, na nosie błazeńsko małe okulary przeciwsłoneczne o czarnych jak smoła szklach: Jem z figlarnym uśmiechem rozciągającym pobielające wargi.

– Zatkano, skurczysynu.

Doug usiadł prosto, zerknął na drzwi pizzerii. Adrenalina wreszcie dopłynęła i chciał już zerwać się z krzesła, ale w ostatniej chwili się opanował.

– Co tu porabiasz? – spytał Jem, zdejmując okulary i rozejrzawszy się po Peterborough Street, zawiesił je za ramię zauszniaka na górnym guziku koszuli, przelazł przez płotek i usadowił się na krześle Claire naprzeciwko Douga.

– Bo co? – burknął Doug zbity z tropu, ryzykując jeszcze jedno ukradkowe zerknięcie na drzwi.

– O, kurczaczek i brokułki? – Jem zgarnął z talerza napoczęty przez Claire rożek pizzy i zatopił w nim zęby. – No jak, kurwa? Z kim tu biesiadujesz? – Uśmiechał się, miał niezły ubaw.

– Z nikiem – warknął Doug; kretyńskie kłamstwo na bardzo krótkich nóżkach.

– Z nikiem, powiadasz? – powtórzył Jem, sięgając po szklanę z lemoniadą. Wziął w usta słomkę Claire i pociągnął z siorbnięciem. Dougowi na ten widok jakby mróz ściał wnętrzności. – Znaczy, można się przysiąść?

Jem wyglądał na w miarę trzeźwego, w jego oczach nie było tej złowieszczej mgiełki, trzy, cztery piwa góra. Drzwi nadal się nie otwierały. Doug odliczył dwie dwudziestodolarówki, rzucił je na stół i zaczął się podnosić. Później jej wyjaśni.

– To co, spadamy stąd?

Jem, opychający się w najlepsze zdobyczym różkiem pizzy, machnięciem ręki dał mu znak, żeby siedział.

– Zara, nie pali się – wymamrotał, pakując sobie rozek do ust aż po wianuszek podwiniętego z brzegu ciasta. – Kto, do kurwy nędzy, kładzie na pizzę te pierdzielone brokuły?

Drzwi otworzyły się, do ogródka wyszła Claire, i Dougowi odebrało słuch.

Zdziwiona Claire zwolniła kroku. Uśmiechała się do Douga, ale kierowała do swojego krzesła, na którym ktoś siedział.

Nieświadomy niczego Jem żuł pracowicie wianuszek pizzy. Podniósł wzrok. Wstał, nie okazując cienia zmieszania.

Cześć, wyczytał Doug z ruchu warg Claire.

– Siema – rzucił z pełnymi ustami Jem. Był niewiele od niej wyższy, ale masywniejszy, same bary, bicepsy i byczy kark. – Chyba zająłem pani miejsce.

Z przesadną szarmanckością dżentelmena z odzysku wskazał zwolnione przez siebie krzesło. Stał

teraz za nią i uśmiechał się do Douga, szczeka jego małej główki poruszała się miarowo podczas przeżuwania.

To nie było przypadkowe spotkanie. Doug otrząsnął się z osłupienia, wyparł je gniew. Gwałtowna zmiana stanu umysłu zachodząca na tej samej fali przyływu adrenaliny.

Claire też patrzyła na Douga z zakłopotaniem. W końcu, nie doczekawszy się jego reakcji, sama wyciągnęła rękę do Jema, i w tym momencie dźwięk powrócił z rykiem do głowy Douga.

– Jestem Claire – przedstawiła się. – Claire Keeseey.

– Jem. – Uścisnął jej dłoń i potrząsnął nią formalnie.

– Jim?

– Jem – poprawił ją. – Mów mi Jem.

Kiwnęła głową i poszukała wzrokiem wsparcia u Douga.

– Jestem kolegą obecnego tu palanta – wyjaśnił Jem. – Mieszka u mnie. Znaczący, nie ze mną w jednym pokoju, tylko nade mną, piętro wyżej, w moim domu.

– Aha – mruknęła.

Jem z węzowym uśmieszkiem przytrzymał jej krzesło, kiedy siadała. Zająwszy miejsce, Clair spojrzała ponad metalowym stolikiem na milczącego Douga.

Jem odsunął sobie trzecie, wolne krzesło i też usiadł.

– Więc tak, przyjechałem tu sobie na meczyk i co widzę? Koniczynkę zaparkowaną tam, za rogiem. Przejdę się kawałek, myślę sobie, przyfiluję gościa. – Uśmiech. – Rękę trzeba zawsze trzymać na pulsie, nie?

– Koniczynkę? – spytała Claire.

– Jego bryczkę. Straszny skrytus z tego faceta. Słówkiem się nie zająknął. Tajemnic to on potrafi dochowywać.

Claire objęła ich obu wzrokiem.

– Dawno się znacie?

– Gdzie tam, dopiero od drugiej klasy podstawówki – powiedział Jem. – Ale jesteśmy jak bracia, wszyscy tak mówią. Nie, Duggy?

Zderzenie światów. Doug siedział nieruchomo, obecny ciałem, ale nie duchem.

– Przepraszam – podjęła Claire – mówiłeś, że masz na imię Jim czy Gem? [Gem (ang.) – klejnot, wymawia się podobnie jak Jem.]

– I tak, i tak, prawdę powiedziawszy. Pół na pół. Pomyślisz może, że to z racji rodowych klejnotów. Tych wyżej, ma się rozumieć. – Pokazał palcem na uśmiechnięte, błękitnobiałe kamyki swoich oczu. – Ale prawda jest taka – Duggy świadkiem – że tak wołali na mnie belfrowie, podrzucając za kark jeden drugiemu jak trefnego brylanta. I tak przyłgnęła do

mnie ta ksywka.

Słuchała tego z mglistym uśmiechem, jaki gości na wargach ludzi, którzy kogoś oceniają.

– Takie było z ciebie ziółko?

– O, najgorsze. Z czego żyjesz, Claire?

To przypominało film – Claire zasysająca w zwolnionym tempie lemoniadę przez słomkę, którą przed chwilą miał w gębie Jem.

– Pracuję w banku – odparła. – Tu, niedaleko, jedna przecznica stąd. Przy Kenmore Square.

– Chwila moment. W BayBanks? – Jem spojrział na Douga i z powrotem na Claire. Pstryknął palcami.

– Czy to nie tam niedawno był...?

– Tak – przyznała. – Napad.

– Ha. Nie wiem, czemu mi to zapadło w pamięć.

– Zerknął na Douga. – A wy, gołąbki, jak się poznaliście?

Claire spojrzała na Douga, prosząc go wzrokiem, żeby on to powiedział – żeby w ogóle coś powiedział, cokolwiek – ale on nadal milczał.

– W pralni samoobsługowej – mruknęła sfrustrowana.

– W pralni, powiadasz? Znowu tam polazł kraść mosiądz? Nie, poważnie, skarpetki wam się pomieszały? Miłość w oparach wybielacza, co?

Doug wpatrywał się teraz intensywnie w Jema. Nie dostrzegł ani śladu zmieszania na uśmiechniętej facjacie Jema.

– Jak powiedziałem, zamierowałem kupić od konika bilety na jakieś niedrogie miejsca, podopingować naszą kochaną drużynę. Wchodzicie w to? Duggy? No, jak?

Claire spojrzała na Douga, ale ten wciąż nie odrywał oczu od Jema.

– Nie? – spytał Jem. – W porządku. Nie chcę być trzecim kołem u wózka, no wiecie? – Uśmiechnął się do obojga, ułożył dłoń w pistolet, wypalił z niego do Douga. – Nie wierz jednemu jego słowu, Claire. Co ci już zdążył nakłamać?

Claire spojrzała na Douga, ściągając brwi.

– Zaraz – powiedziała. – To znaczy, że on wcale nie jest kosmonautą?

Jem pokazał ją Dougowi.

– Ty, bystra jest, ma refleks. Dobrze to było. Nie, kosmonautą nie jest, ale jesteśmy obaj w programie kosmicznym, a więc jeśli masz koleżanki, które to kręci, najlepiej rude i takie bardziej rozrywkowe, to...

– Przekażę im.

– Naprawdę? Klawo. Równa z niej babka, Duggy. No, to lecę. – Pacnął otwartą dłonią w blat stolika, ale jeszcze nie wstawał. – Nie przyzwyczajaj się do tego tutaj za bardzo, kogutku, laba się kończy. Robota czeka.

– To i pracujecie razem? – spytała Claire.

– Mówiłem, że jesteśmy jak te papużki nierozłączki. I wszystko sobie mówimy.

– Też jesteś odtworzycielem nieba?

– Tak, to właśnie my. Kolejna rozbiórka. Obecny tu Duggy lubi patrzeć, jak się wali.

Uśmiech znikł na moment z jego ust i zaraz pojawił się tam z powrotem. Wstał i przelazł przez płotek na trotuar.

– Uważaj z nim, Claire. Zapamiętaj sobie, co powiedziałem: to cicha woda.

Klepnął Douga z rozmachem w ramię i ruszył truchcikiem ulicą, zakładając w biegu okulary przeciwsłoneczne. Claire odprowadzała go przez chwilę wzrokiem, potem spojrzała na Douga, który wpatrywał się wciąż w puste krzesło.

– Nawet sympatyczny – powiedziała bez entuzjazmu.

– Powiedzmy.

– Co się stało, Doug? Niepokoję się.

– Nie byłem jeszcze gotowy, żeby mu cię przedstawiać.

– To miałeś na myśli, mówiąc o dawnym sobie?

– Tak. – Doug wciąż patrzył na puste krzesło. – Między innymi.

– Co on ma z oczami?

Dougowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź na to pytanie.

– Dobrze się czujesz? – spytała. – Przejdzie ci.

– Jasne – mruknął, odrywając wreszcie oczy od tego nieszczęsnego krzesła. Rozejrzał się, zobaczył

swoje dwudziestki leżące wciąż na stoliku. Claire znowu sięgnęła po lemoniadę, ale tym razem Doug wyjął jej szklankę z dłoni. Znieruchomiała, patrzyła na niego zdumiona.

– Chcesz zostać sam? – spytała.

Był sam. Jem właśnie się o to zatroszczył.

TRENING

Poranek był wilgotny, wschodzące słońce rozpraszało mroki nocy, parowały mokre jezdnie i trotuary. Ze szczytu Sackville Street nurkującej na łeb na szyję ku Mystic, poprzez opadającą wraz z nią do poziomu oczu pajęczynę linii energetycznych i telefonicznych, widać było barkę rozładowywaną przez wysokie, dziobate żurawie portowe. Nad domem matki Douga kłębiło się z wrzaskiem stado rybitw i przechodzenie tamtędy groziło obfajdaniem z powietrza.

Kiedy ojciec stracił ten dom, Doug tak to przeżył, że nie przychodził tutaj przez długi czas, nie zajrzał nawet na Sackville Street. Życie, jakie wówczas prowadził, życie człowieka pijącego, nie przynosiło wielkiej pociechy. Rozpamiętywał na okrągło swoje szczenięce lata, kisił się w tych wspomnieniach i wspominkach, zamiast czerpać z nich siłę. Ale ilekroć podczas odsiadki w zakładzie karnym MCI Norfolk pomyślał o Town, przed oczyma stawał mu dom matki. Nie Monument, nie Pearl Street, nie lodowisko, lecz właśnie ten dom. I ten dom odwiedził w pierwszej kolejności zaraz po wyjściu na wolność. Town było jego matką. Town go

wychowało. Ta posesja była twarzą Town, czuwała nad nim. Te uliczki były jej rękami, którymi tuliła go do siebie.

Impulsywność była znakiem rozpoznawczym Douga w latach, kiedy pił, i nigdy nie wychodziła mu na dobre. Kończyło się zawsze na tym, że kogoś poturbował. Nie myślał wtedy, do czego może go doprowadzić.

To była mentalność hazardzisty: wszystko albo nic, gra o najwyższe stawki. Przez ostatnie trzy lata pracował nad sobą usilnie, żeby pozbyć się tej przywary. Tak jak inni dziedziczą po rodzicach kolor oczu czy rysy twarzy, tak on odziedziczył po Town coś jeszcze: marzenie nałogowego gracza o tej jednej złotej wygranej, która by raz na zawsze wszystko odmieniła.

Przed każdym skokiem na bank wbijał chłopakom do łbów: „Nie jesteśmy pazerni. Nie przeginamy, nie szarżujemy. Wchodzimy, zgarniamy szmal i chodu”. Teraz sam musiał się stosować do tych swoich rad.

Na wspomnienie Jema stojącego za nią w pizzerii – tego migawkowego powidoku ich dwojga przed drzwiami skarbcza na Kenmore Square, wyglądających na parę, która czeka na windę – odniósł wrażenie, że niewidzialne wielkie łapsko ściska mu serce. Było to upostaciowienie zagrożenia, jakie wniósł zarówno w jej, jak i w swoje życie. Jeśli

będzie się trzymał od niej z dala, Jem też zostawi ją w spokoju, a FBI da spokój jemu. Koniec z marzeniami na jawie o wyprowadzaniu Claire Keeseey z psychicznego dołka, a przy okazji oczyszczeniu samego siebie. Teraz będzie najlepiej i dla niej, i dla niego, jeśli uwolni ją od swojej osoby.

Doug wszedł do domu. Zaklekotała szyba w drzwiach frontowych, kiedy je za sobą zatrzasnął. Dopiero na schodach uświadomił sobie, że dudniąca basem muzyka, którą słyszy, nie dolatuje z mieszkania Jema na piętrze, lecz z piwnicy. Zawrócił, wyszedł przed dom i przemaszerował zachwaszczonym odcinkiem spękanego cementu do przybudówki na tyłach.

Omszałą podłogę zawilgoconej kamiennej piwnicy pokrywała warstewka rosy, jej kropelki połyskiwały w rogach pomieszczenia. Szczęk metalu o metal – Jem lubił walić obciążnikami jeden o drugi, w końcu schodził tu narobić hałasu – wygłuszały wilgotne ściany. Był to dysonansowy kontrapunkt do hipnotyzująco jednostajnej linii smyczków i łoskotu Kashmiru Zepów.

Jem leżał na wznak i ćwiczył wyciskanie na starej, przeciążonej maszynie treningowej. Kable poskrzypywały, szyny a dołu były pordzewiałe i obślizgane od wody skapującej z sufitu.

Skończył i usiadł czerwony na twarzy jak burak,

długie, nabrzmiałe żyły jego przedramion przywodziły na myśl niebieskie węże wijące się pod skórą.

– Siemasz – sapnął, zeskakując z ławeczki – mały teścik, właśnie je kupiłem. – Wokół maszyny treningowej, jak aparaty fotograficzne na trójnogach, rozstawione były trzy wielkie kolumny głośnikowe na wysokich do ramienia słupkach. – Bezprzewodowe – dodał z dumą Jem, wodząc dłońmi wokół jednej jak magik demonstrujący sztuczkę lewitacji. – Połączone zdalnie z moją wieżą stereo na górze. Trzy stowy sztuka, ale warte tego. – Dał głośniej, żeby nie być gołosłownym, i zaczął poruszać do taktu osadzoną na byczym karku głową, zapominając albo zwyczajnie nie dbając o to, że wszystkie metalowe elementy głośników zaśnieżą tutaj w ciągu paru tygodni. – Po chuju czad, stary.

Jem był jakiś podminowany. Euforia po wyciskaniu i być może nie tylko to. Przyciszył muzykę i nasunął na sztangę po jednym szerokim pięćdziesięciofuntowym talerzu i jednej dwudziestce z każdej strony.

– Dymaj na górę się przebrać i schodź, polecimy na poważnie. – Rozpoczął serię przysiadów z zarzucaniem sztangi na klatę, twarz znowu nabiegła mu krwią.

Dougowi nie podobało się to powitanie. Jem zachowujący się przyjaźnie, udający, że nic złego się

nie wydarzyło, budził o wiele większy respekt, niż gdyby walił młotem kowalskim w te ściany.

– Co miało znaczyć to wczoraj po południu? – spytał Doug.

– A co, obraziłeś się, kurwa? – spytał Jem, przerywając przysiady i upuszczając sztangę na podłogę. – Pierdzielony Wakefield, jak ja nienawidzę zawodników rzucających podkręcone piłki. Miotacz posyłający piłki proste zaczyna powoli puchnąć gdzieś w szóstym sezonie. To się widzi, już nie ta szybkość, nie ten refleks. A jak kończą gracze krętacze? Wypadają z gry, tak jakby się pod nimi otworzyła kłapa zapadni. Piłka przestaje ich słuchać i taszcza potem kije za zblazowanymi milionerami.

– Kogo ty śledzisz, Jem? Mnie czy ją?

Nadal pokerowa twarz.

– Mówiłem ci, koleś, zobaczyłem na Boylston Koniczynkę zaparkowaną pod BCN. Swoją drogą, kretyński pomysł. Ktoś mógł ci tam lekko buchnąć tę raszplę i przykleić karteczkę z podziękowaniem do parkometru.

– Jak chcesz mi coś powiedzieć, to wal.

Jem uśmiechnął się ponad jego ramieniem do najbliższej kolumny.

– To ci dopiero, stary – powiedział, wyłączając muzykę. – Zupełnie... jakbyś mi to z ust wyjął.

Doug pociągnął nosem, przestąpił z nogi na nogę.

– Mówiłem wam, że prowadzę rozpoznanie. Upewniam się, czy jesteśmy czyści.

– Tak. Może i od tego się zaczęło. – Jem zacisnął mocniej ochraniacze na nadgarstkach. – Ale coś za gorliwie wyrwałeś mi wtedy jej prawko.

– Pieprzysz jak potłuczony.

– Tak? To niezła laska, bez dwóch zdań. Tam, w skarbcu, dupcię jej kontrolnie obmacałem. – Spojrzał w sufit. – Ale ty też się już chyba do niej dobrałeś, nie?

– Co ty pierdolisz?

– Wyluzuj, chcesz se zakisić ogóra? Dobra, kiś. Ja to rozumiem. W całej rozciągłości popieram. Ale jak co innego ci chodzi po głowie, to, że się tak wyrażę, mamy problem.

Doug spróbował przejść do ataku.

– Chyba na mózg ci padło, że się tam do nas przysiadłeś. Durna zagrywka. Co chciałeś przez to osiągnąć – dać mi coś do zrozumienia? Jak coś do mnie miałeś, to trzeba mi to było powiedzieć w cztery oczy. Specjalnie trzymałem ją na dystans od was, a na największy od ciebie, obmacywaczu. Jeśli któregoś z nas zapamiętała, to najprędzej tego, który uparł się zabrać ją wtedy na wycieczkę.

– Najpierw opowiadasz, jakie to prymitywy były z tych chłopaków Booza, jakie zakapiory bez żadnego instynktu samozachowawczego. A potem sam się ślinisz do baby, która jedna jedyna może coś

tam o nas wiedzieć i wkopać nas, jak FBI ją weźmie w obroty. No tak, ale ty wiesz zawsze lepiej, a ja jestem przecież niedouk i tępak. – Uśmiechowi Jema towarzyszyło wzruszenie ramion Jema. – Wielkie dzięki za taką ochronę.

– Nie ma za co.

– Spokojna głowa, chłopakom na razie nie powiem. Szkoda mi ich, bo i bez tego srają ze strachu w portki. A już temu twojemu chłoptasiowi, Monsiniorowi, pikawa by chyba pękła z zazdrości. Zresztą... nie ma o czym, prawda?

– Przecież mówię, że ją już odfajkowałem.

– Tak? I co, dobrze było?

Doug ściągnął brwi.

– Powtarzam, ją mamy już z głowy. Sprawa zamknięta.

Jem zmrużył oczy, żeby go lepiej widzieć.

– A właśnie, dasz wiarę? W zeszłym tygodniu poszliśmy z tym zastępcą kierowniczki na kurwy. Nie mówiłem ci, bo nie chciałem ci zawracać głowy takimi duperelami.

– Jak chciałeś mi wbić szpilę, to ci się, kurwa, udało.

– O, szpil to ci u mnie dostatek, jeź niech się, kurwa, schowa. Martwisz mnie, stary. Kręcić tak z nią na boku, cichcem? To pachnie zdradą, bracie. Decyduj się. Albo ona, albo my.

– Nie chrzań.

– Ja tu nie widzę możliwości pożenienia jednego z drugim. No, powiedz mi, że nie mam racji.

Zwykle Doug, jako jedyny, potrafił utemperować Jema. W ostateczności mógł zawsze wyciągnąć ten wyświechtany frazes o nieprzemijającej braterskiej miłości, a wtedy Jem za każdym razem odpuszczał, potulniał. Teraz wszystko się rozjechało. Teraz to Jem był górą.

– No, dobra – mruknął Jem, nie doczekawszy się odpowiedzi. Kiwnął głową i zgiął muskularne ramiona, prężąc bicepsy. – Czyli ruszamy z tymi kinami.

Według Douga było na to za wcześnie, ale nie mógł się teraz sprzeciwić.

Jem prawidłowo odczytał jego milczenie i skwitował je kpiącym, pobłażliwym uśmiechem.

– Zauważyłeś, żeby ktoś za tobą łąził? Bo ja nie.

– Ktoś obserwował dom Deza.

– Dawno i nieprawda. Według mnie możemy wracać do gry-

– Dez musi na jakiś czas spauzować.

– Nie widzę przeszkód. Na dobrą sprawę, to nasz żenicha też powinien.

– Ale swoją czwartą część dostaje.

Jem zmierzył Douga wzrokiem. Wzruszenie ramion, uśmiech.

– A niech mu, kurwa, będzie na zdrowie. Zresztą i tak wszystko ląduje w puszcze na datki u Świętego

Franka, nie? A na tacę dać nie zaszkodzi, bo się nam jeszcze nie pofarci. Ale pod warunkiem, że z mety z tym koksem ruszamy. Żadnego tam pieprzonego odkładania na zaś. I nie wciskaj mi tylko, że nie wszystko masz jeszcze obmyślane, bo nie uwierzę. Założę się, że już nawet obiekt upatrzyłeś. Cholera

– może nawet cały plan masz już zapięty na ostatni guzik.

Może i miał. Może tego właśnie było mu teraz trzeba, czegoś, czym mógłby zająć myśli. Czegoś, co pozwoli im zewrzeć z powrotem szeregi, sprawi, że wszystko wróci do normy.

ROZPOZNANIE

Braintree to miejscowość na południe od Bostonu, gdzie południowowschodnia wylotówka z miasta rozwidła się na zachód, w kierunku międzystanowej 95 MaineFloryda, i na wschód wzdłuż Route 3, drogi stanowej biegnącej na południe, ku zagiętemu ramieniu Cape Cod. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych Braintree przyciągało młodych bostończyków jednym z pierwszych w regionie zadaszonym centrum handlowym – szybki dojazd autobusem z Quincy Adams, przedostatniego przystanku Czerwonej Linii MBTA. Popularnością cieszyły się tam również sklep modelarski sprzedający eksplodujące rakiety, B. Dalton, gdzie pod stołami na tyłach sklepu piętrzyły się stosy archiwalnych numerów „Playboya”, trafika C.B. Perkinsa handlująca również zapalniczkami i nożami, Recordtown oraz dziewczęta z podbostońskich miasteczek, które grupkami i parami snuły się po centrum – no i stojące na uboczu, dwuekranowe Braintree Cinema, z którym sąsiedował bar szybkiej obsługi sieci Howard Johnson’s.

Forbes Road, przebiegająca przed centrum

handlowym pod postacią wąskiej przelotowej ulicy, okrąży szerokim łukiem podobny do zamczyska Sheraton Tara Hotel i znika z oczu za South Shore Executive Park. Potem, już jako autostrada, pojawia się znowu, odbiegając w dal dnem wąwozu przebitego w skalnym klifie. Jej wąskie, dwupasmowe odgałęzienie, Grandview Road, pnie się stromizną na płaskowyż, gdzie w 1993 roku dawne Braintree Cinema, zmieniając nazwę na The Braintree 10, wznowiło swą działalność jako nowiutki multiplex sieci General Cinemas otoczony kilkoma akrami wylanego asfaltem parkingu.

Skrajem przeciwległego klifu po drugiej stronie ośmiopasmowej autostrady, czyli otuliną rezerwatu Blue Hill, biegnie inna droga, przy której znajdują się zakłady przemysłowe i stoją biurowce. Kino z wielkim neonem przypomina stamtąd świątynię, która góruje nad rwącą przełomem rzeką aut.

Położony na uboczu obiekt. Łatwy dojazd. Dogodny punkt obserwacyjny.

Drugi co do ważności aspekt przygotowań do skoku – zaraz po wybraniu drogi odwrotu – to gruntowne rozpoznanie celu. Kiedy już wie się o nim wszystko, to dopracowanie szczegółów jest drobnostką.

Parkujesz wraz z urzędasami pod szarym biurowcem, skąd masz dobry widok na kino na

szczyt Grandview. Zalesiony stok za budynkiem kina opada łagodnie ku osiedlu domków jednorodzinnych, które sąsiaduje z centrum handlowym. Prowadzi tam również droga pożarowa, ale nie jest używana, wjazd na nią zamykają z obu końców bramy. To będzie twoja trasa awaryjnej ewakuacji. Zapamiętujesz sobie, że w razie gdyby sprawa się rypła, biegniesz do lasu, pozbywasz się tam broni, przebierasz w normalne ciuchy i zanim do akcji wkroczą gliniarze z psami oraz helikoptery policji stanowej, ty siedzisz już w swoim samochodzie, który zaparkowałeś wcześniej pod centrum handlowym.

Twój skaner bearcat 210 trzeszczy pod gazetami, wepchnięty między dwa przednie fotele. W schowku na rękawiczki leży noktowizyjna lornetka połowa oraz przewodnik ornitologa amatora jako usprawiedliwienie, ale nie będziesz ich dzisiaj potrzebował. Stanowisko masz dobre: widzisz parking z boku kina otoczony niskimi krzewami, poranne wrony wydziobują tam okruchy precli i rodzynki.

Na parkingu stoją tylko dwa samochody, oba wyglądają na puste. Po dziesiątej przyjeżdża granatowa cressida i parkuje z boku, nieopodal kontenera na śmieci. Kierownik zamyka wóz i służbowym kluczem otwiera boczne drzwi wejściowe, w górze krążą rozsmakowane w

popcornie rybitwy. Zapamiętujesz godzinę.

Rybitwy i wrony, i tylko one aż do 11.15, kiedy to na parking zajeżdża kilka wysłużonych samochodów zagranicznych marek: personel na dni robocze tygodnia, przeważnie starsi ludzie, pół – i ćwierćetatowcy. Zapamiętujesz godzinę.

Pierwszy seans tego dnia zacznie się o 12.20. Skoku najlepiej dokonać w poniedziałkowe przedpołudnie – mało ludzi, jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo, że trafi się wśród nich jakiś bohaterski obywatel, minimum świadków.

O 11.29 przyjeżdża biały plymouth neon i parkuje przy drewnianej barierce od frontu. Wysiada z niego facet w tenisówkach i z długimi włosami ściągniętymi w kucyk, gramoli się na dach wozu i rozsiada tam po turecku. Odpakuje kanapkę, otwiera jogurt. Je lunch zapatrzony w dziewiczy krajobraz Blue Hills po drugiej stronie autostrady.

O 11.32 nadjeżdża konserwa. Odnotowujesz to, ale tylko w pamięci. Żadnych zapisków na papierze, niczego, co w razie wpadki mogłoby posłużyć za dowód.

Opancerzona furgonetka na wielkich kołach toczy się statecznie przez parking. Rozpoznajesz ją. Należy do Pinnacle. Niebieski z zielonym to barwy Pinnacle.

Dotacza się do budynku kina i zatrzymuje na pasie pożarowym przed samymi frontowymi

schodami prowadzącymi do holu. Stoi zwrócona tylnymi drzwiami do ciebie.

Przez minutę nic się nie dzieje.

Potem otwierają się drzwi od strony pasażera i wysiada uzbrojony konwojent, zwany również kurierem albo ochroniarzem. Jest w rozpiętej pod szyją, niebieskiej policyjnej koszuli, do rogu kołnierzyka ma przypiętą krokodylkiem plakietkę identyfikacyjną, na prawy rękaw koszuli naszyty emblemat Pinnacle, wielką srebrną odznakę przypiętą do kieszonki na piersi. Jego ręka spoczywa na kolbie pistoletu wystającej z kabury u pasa.

Jest w średnim wieku, tęgawy, ale nie ociężały, ma przystrzyżone na szczoteczkę gęste, siwe wąsy. Obchodzi furgonetkę, zmierzając zdecydowanym krokiem do jej tylnych drzwi. Daszek czapki w policyjnym fasonie ma nasunięty głęboko na oczy. Nie nosi kamizelki kuloodpornej. Kamizelki są drogie i Pinnacle nie wyposaża w nie swoich pracowników, nie widzi zresztą takiej potrzeby.

Zwracasz baczność uwagę na jego ruchy. Chłoniesz rutynowe zachowania.

Konwojent puka dwa razy w prawe skrzydło tylnych drzwi. Kierowca naciśnięciem przycisku zwalnia od środka ich blokadę i kurier pociąga za klamkę.

Twój bearcat milczy. Żadnych rozmów na częstotliwościach radiowych Pinnacle. To normalne.

Konwojent wyciąga z przestrzeni ładunkowej dwukółkowy wózek oklejony nalepkami Pinnacle i stawia go obok szerokiego stalowego zderzaka furgonetki. Sięga znowu do wnętrza wozu i wyciąga niebieskozieloną brezentową torbę Pinnacle z długimi uszami.

To zamówiony przez kino bilon. Zwracasz uwagę, że torba nie sprawia wrażenia ciężkiej. Konwojent kładzie ją na dnie wózka i zatrzaskuje tylne drzwi furgonetki. Jego dłoń powraca na kolbę pistoletu, a on, pchając wolną ręką wózek, wspina się równoległym do schodów podjazdem dla niepełnosprawnych. Zbliża się do środkowych drzwi, które nie są zaryglowane, otwiera je i znika w środku.

Zapamiętujesz godzinę. Jest 11.35.

Nie widzisz ich, ale wiesz, że drugie drzwi, te za kasami biletowymi, są z całą pewnością zaryglowane i że czeka za nimi kierownik z kluczem.

Jogurciarz kończy lunch, zsuwa się z dachu swojego wozu na maskę, wyciąga nogi i opiera się o przednią szybę, wystawiając twarz do słońca. Nie wie, że w pewnej odległości za nim stoi furgonetka z forszą, i nic go to nie obchodzi. Biała papierowa torebka turla się przez parking w kierunku pustych samochodów.

Opancerzona furgonetka z pozamykanymi drzwiami czeka, jej silnik pracuje na jałowym biegu.

Furgonetka ma czworo drzwi – jedno od strony kierowcy, jedno od strony pasażera i podwójne tylne – plus małe drzwiczki ładunkowe szesnaście na osiem cali z lewego boku. W przestrzeni ładunkowej oddzielonej od kabiny kierowcy zaryglowanymi drzwiami znajduje się dodatkowe siedzenie, które podczas tego kursu z dwuosobową obsadą pozostaje niezajęte. Wszystkie drzwi furgonetki, jak również drzwiczki pokładowych sejfów czy kasetek zamykane są na specjalne antywłamaniowe zamki kombinacyjne Medeco. Kluczyk do stacyjki jest zwyczajny, ale gdzieś w kabinie kierowcy ukryty jest wyłącznik immobilizera, ewentualnie, żeby silnik dał się uruchomić, trzeba wykonać w określonej sekwencji serię pozornie niezwiązanych z tym czynności (na przykład włączyć odmrażanie, następnie wcisnąć pedał hamulca, potem ponownie włączyć odmrażanie).

Z chwilą przekręcenia kluczyka w stacyjce blokowane są automatycznie wszystkie drzwi. Otwarcie drzwi od strony kierowcy pociąga za sobą automatyczną blokadę tylnych drzwi. Jeśli którekolwiek z drzwi pozostają niezablokowane, na desce rozdzielczej zapala się czerwona lampka ostrzegawcza i blokowane są koła pojazdu, co uniemożliwia ruszenie konserwą z miejsca. Dodatkowo w każdych drzwiach zamontowane są rygle obsługiwane ręcznie.

W razie napadu kierowca blokuje wszystkie drzwi i wzywa przez radio pomoc. Ta dwunastotonowa furgonetka jest prawdziwym mobilnym bunkrem odpornym na atak z zewnątrz, integralność strukturalną zapewnia jej pancierz z nierdzewnej stali. Ze względu na narzucane przepisami ograniczenie stosunku masy pojazdu do ładowności, przestrzeń ładunkowa opancerzona jest o oczko słabiej od kabiny kierowcy; na przykład przestrzeń ładunkowa może mieć certyfikat odporności na ostrzał z AK-47 albo M14, podczas gdy kabiny nie przebije nawet pocisk z M16. Najsłabszy pod względem wytrzymałości element przestrzeni ładunkowej to tylne drzwi, ale nawet one mają kilka cali grubości.

Przednia szyba oraz szyby boczne wykonane są z powlekanego szkłem poliwęglanu o mniejszym niż szkło kuloodporne ciężarze właściwym, dzięki czemu lżejszego, ale równie skutecznego.

Na dachu zamontowane są migacz alarmowy, syrena oraz megafon. W karoserii wycięte są cztery otwory strzelnicze. Masywne zderzaki chronią pojazd przed staranowaniem, a traktorowe opony są nie do przebicia. Podwozie, na oko takie samo jak w każdej normalnej dwutonowej furgonetce, jest wzmocnione, żeby udźwignęło sześć razy większy ciężar: dla przykładu, piętnastocalowy dyferencjał jest gabarytowo co najmniej trzy razy większy niż w

standardowym pojeździe tego typu.

Od tych furgonetek zależy bezpieczeństwo i płynność czołowej gospodarki świata, w trasie są ich bez ustanku dziesiątki tysięcy, przewożą z miejsca na miejsce miliardy dolarów w banknotach i bilonie. Wiesz i przyjmujesz do wiadomości, że nie ma praktycznie sposobu na sforsowanie pancierza bankowozu bez zniszczenia tego, co przewozi. Piętą achillesową konserwy jest jednak jej załoga, czyli tak zwany czynnik ludzki...

O 11.44 konwojent pojawia się znowu na podjeździe dla niepełnosprawnych. Pcha przed sobą załadowany wózek, spędził w środku dziewięć minut. Zapamiętujesz to.

Konwojent kieruje się z wózkiem do tylnych drzwi furgonetki. Wózek jest wypełniony do połowy trzema białymi brezentowymi workami gotówki. Plastikowe tacki pod tymi białymi workami zawierają popakowane w słupki monety. Oryginalną niebieskozieloną brezentową torbę Pinnacle leży na samym wierzchu.

W workach znajdują się torebki depozytowe z gotówką i kwitami. Te czyste plastikowe torebki dostarczane są przez Pinnacle i każda ma naniesiony indywidualny kod kreskowy. Większa część tych dziewięciu minut, jakie konwojent spędził w środku, upłynęła mu na sprawdzaniu, czy torebki nie są

uszkodzone, na oglądaniu pieczęci i porównywaniu zgodności kwot wydrukowanych na paskach depozytowych z kwotami wpisanymi przez kierownika do deklaracji.

Kierowca spędził tych dziewięć minut, obserwując otoczenie. Lusterka bezpieczeństwa rozmieszczone na furgonetce są tak ustawione, żeby widać w nich było najbardziej zagrożoną strefę wokół tylnych drzwi.

Konwojent i kierowca, obaj wyposażeni w miniaturowe słuchawki i mikrofony, pozostają w stałym kontakcie radiowym. Kierowca monitoruje rozmowy konwojenta, reagując na umówione sygnały głosowe ostrzegające o zagrożeniu, gdyby takie wystąpiło, oraz potwierdza jego meldunki, takie jak „Wracam”.

Konwojent zbliża się do konserwy, w małym parabolicznym lusterku wielkości karty do gry zamontowanym w pobliżu klamki tylnych drzwi zobaczy każdego, kto spróbuje wejść w strefę zagrożenia za jego plecami. Puka dwa razy i prawa połowa drzwi zostaje odblokowana. Otwiera ją i szybko wrzuca białe worki do przestrzeni ładunkowej. Wstawia za nimi wózek na kółkach i zatrzaskuje drzwi.

Podchodzi do drzwi od strony pasażera, wyjmując po drodze z ucha miniaturową słuchawkę. Kierowca odblokowuje boczne drzwi i konwojent

wsiada. Jest 11.46.

Furgonetka stoi jeszcze przez cztery minuty, bo kierowca po raz drugi sprawdza kwity depozytowe, wprowadzając kody kreskowe do systemu identyfikacyjnego Pinnacle.

Ty w tym czasie odjeżdżasz ze swojego punktu obserwacyjnego. Załogi opancerzonych furgonetek są bardzo wyczulone na jadące za nimi samochody, i dobrze wyszkolony kierowca, widząc twój ruszający z miejsca wóz, zapamiętałby sobie profilaktycznie jego kolor oraz markę.

Zjeżdżasz z Grandview i wracasz Forbes Street na parking pod hotelem Sheraton Tara. Tam przesiadacie się z twoim współnikiem do samochodu roboczego i czekacie.

Konserwa nadjeżdża, mija Sheratona Tarę, oddala się w kierunku centrum handlowego. Widzisz przez moment kierowcę.

To czarny po pięćdziesiątce. Uspokojony, że od opuszczenia parkingu pod The Braintree 10 nikt za nim nie jechał, zaczyna się rozluźniać, prowadzi spokojnie, zachowuje bezpieczną i rozsądną odległość od innych pojazdów. Przepuszczasz kilka samochodów, włączasz się do ruchu i wsiadasz mu na ogon.

Kabina kierowcy bankowozu jest przestronna, ale zupełnie zwyczajna, takie skrzyżowanie wnętrza policyjnego wozu patrolowego i kabiny ciągnika

siodłowego. Jeśli nie liczyć usypiającego pomruku silnika i okazjonalnych rozmów przez radio, jest w zasadzie dźwiękoszczelna. Pancierz i kuloodporne szyby sprawiają, że jedzie się w niej jak w bąblu próżni. Jak na taki pudełkowaty, masywny, paliwożerny pojazd – opancerzone furgonetki żłopiają galon na trzy, cztery mile – zawieszenie jest wyjątkowo miękkie i kierowca z konwojentem nie czują żadnych nierówności nawierzchni.

Ochroniarze są często emerytowanymi pracownikami MBTA albo Turnpike Authority, zwykle z wojskową przeszłością, zarabiają od sześćdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu tysięcy rocznie. Jazda między klientami z dostawą albo po odbiór gotówki jest najbezpieczniejszym i najmniej stresującym zajęciem ich dnia pracy.

Trzymasz się dwa, trzy samochody za furgonetką, zmieniasz pas ruchu, kiedy to możliwe. Gdy konserwa skręca na parking po kolejny odbiór, nawiązujesz przez radio łączność ze swoim piegowatym kolegą, który jedzie za wami innym skradzionym samochodem, i ten skręca na ten sam parking co przed chwilą konserwa, żeby ją tam obserwować. Jednym z jego nielicznych uzdolnień jest przekonujące udawanie, że śpi.

Teraz twoja kolej, żeby pokrążyć po okolicy i cierpliwie czekać. Twój drugi współnik, ten siedzący obok ciebie, odkręca wieczko pustego słoiczka po

majonezie, który przewidująco zabrałeś ze sobą, i odlewa się do niego. Przemyka ci mimowolnie przez myśl, z jaką skwapliwością wykorzystuje każdy pretekst do pobawienia się na czyichś oczach swoim fiutem i jaki musi być dumny z imponującej długości tego sikania, ze śpiewnego odgłosu, z jakim struga moczu rozpryskuje się o ścianki słoika. Tolerujesz jego westchnienie ulgi.

Odbierasz przez radio zaszyfrowany meldunek od piegowatego kolegi o kierunku, w jakim zmierza teraz konserwa, i ponownie wsiadasz jej na ogon.

Jeszcze pięć przystanków. Część celem przekazania zamówionego bilonu, część celem odbioru utargu.

Kilkanaście kolejnych przystanków. Zostawiacie za sobą Holbrook, wjeżdżacie do Brockton.

Tam jeszcze dziesięć. Dochodzi już czwarta po południu. Po postoju pod supermarketem na przedmieściach Brockton konserwa jedzie przez dłuższy czas na zachód, dziesięć, dwadzieścia minut bez zatrzymywania się. Wiesz, bo takie rzeczy wypada ci wiedzieć, że na tej trasie, w rolniczym Easton, znajduje się otoczona podwójnym ogrodzeniem bezpieczeństwa baza opancerzonych furgonetek Pinnacle. Kończy się twój dzień pracy. Konserwa zmierza wyraźnie w tamtym kierunku, a ty zjeżdżasz na pobocze i zatrzymujesz się.

Dez mało ze skóry nie wyszedł, żeby zgubić ewentualny ogon. Na Sully Square złapał taksówkę i dojechał nią do Harvard Square w Cambridge, tam, w kasach kina Brattle Theater, kupił bilet na przedwieczorny seans, przesiedział na sali pierwsze piętnaście minut projekcji hongkońskiego filmu akcji z napisami, potem wymknął się ze swoim popcornem przez zasłonięte kurtyną drzwi od frontu i w bocznej uliczce odchodzącej od Mifflin Place wsunął się do czekającego tam caprice Douga.

Doug jechał za taksówką Deza od samego Charlestown i nie zauważył, żeby ktoś ich śledził. Teraz na wszelki wypadek kluczył ulicami, zerkając raz po raz w lusterka.

– Albo się ode mnie odczepili – odezwał się Dez – albo noszą czapki niewidki.

– Kręć się dalej koło tego banku w Chestnut Hill – powiedział Doug. – Wchodź co jakiś czas do środka i proś o rozmienienie jakiegoś banknotu na drobne.

– W tym tygodniu parkowałem codziennie moim pikapem po drugiej stronie ulicy i jadłem w nim lunch. A jak tam przygotowania do następnej robótki?

– Pomalutku. Próbuję teraz wybrać weekend z jakimś kasowym filmem. Wertuję „Letni Przegląd Filmowy”, no wiesz, ten dodatek do magazynu „Premiere”, i staram się wytypować z niego

zwycięzcę, tak jak fuksa z programu wyścigów konnych.

– Striptiz – orzekł Dez.

– Słyszałem. Z Demi Moore. Mój kutas już kupił bilet. Ale film wchodzi na ekrany dopiero dwudziestego ósmego czerwca. Za dużo czekania.

– Mission: Impossible. Lejtmotyw przearanżowany przez Adama Claytona i Larryego Mullena.

– Tak, Tom Cruise ma mój głos. Ale premierę zapowiadają na weekend, w który przypada Dzień Pamięci. A Jem chce już, teraz, natychmiast.

– Przecież nie macie noża na gardle.

– Niby nie. Ale z drugiej strony wielkimi krokami zbliża się sezon premier.

– I widoki są tak dobre, jak przewidywałeś?

– Posłuchaj, co wyliczyłem. Główne sale multikina mieszczą jakieś pięćset osób. Dwa seanse popołudniowe, plus te o siódmej i dziesiątej wieczorem, i mamy dwa tysiące widzów w sobotę, dwa w niedzielę, plus tysiąc w piątkowy wieczór. Pięć tysięcy zdrętwiałych zadków na jedno kino. Założmy teraz, że nowości wyświetlają cztery kina na dziesięć. Cztery kina – dwadzieścia tysięcy dupsk i gęb do wykarmienia. Po osiem dolców od dupy wieczorem, po pięć siedemdziesiąt pięć za dnia, a dochodzi jeszcze żarcie. Sam popcorn, pepsi i goobersy to ponad dziesięć dolarów na łebka, a w

holu działa jeszcze pizzeria Uno i Taco Bell, i w pobliżu żadnej knajpy. Pół melona lekko. Na tyle liczymy, Dez. I z tego jedna czwarta dla ciebie, za odciąganie uwagi.

Do Jema należało wyposażenie: broń, kamizelki, ciuchy, maski.

Gloansy załatwiał transport: samochody robocze i samochody na zmianę.

Doug był planistą, architektem, autorem. Był również perfekcjonistą, czyli tym, który doszukuje się dziur w całym, tym przewrażliwionym. Tym trzeźwo myślącym, na którego instynkcie samozachowawczym można polegać.

Przez kilka kolejnych dni zachowywał się superostrożnie, śledząc załogę konserwy na rozmaitych trasach niemających żadnego związku z kinem i wyłapując niuanse ich rutynowych zachowań. Poza tym, ogarnięty obsesją, że fedzie mają ich na celowniku, chciał się również upewnić, czy ci ludzie nie są aby wtykami, podstawionymi agentami FBI, którzy tylko udają ochroniarzy. Musiał mieć pewność, że to autentyczni etatowi pracownicy Pinnacle mający na utrzymaniu rodziny, do których co wieczór wracają. Czatował więc przy drodze z bazy Pinnacle – w bezpiecznej odległości od ich kamer i ogrodzeń; nie było żadną tajemnicą, że przez noc są tam przechowywane ośmiocyfrowe kwoty – i

obserwował przejeżdżające samochody, wypatrując konwojentów wracających po pracy do domu. Raz serce mu stanęło na widok śliwkowego saturna, ale wóz nie miał na zderzaku nalepki

Sztachnij się!

Zobaczył wreszcie siwowąsęgo konwojenta za kierownicą niebieskiego jeepa cherokee i ruszył za nim. Jeep zajechał pod skromny, piętrowy, sąsiadujący ze szkołą podstawową domek w Randolph. Kiedy umundurowany mężczyzna wyjmował korespondencję ze swojej skrzynki pocztowej przy podjeździe, zatrzymała się za nim toyota camry wracającej z pracy żony.

Doug patrzył, jak konwojent ze swoją uszczęśliwioną, szerokobiodrą połowicą idą przez zapuszczony trawnik w stronę niszczonego domku, i naszła go refleksja, że oto widzi jak na dłoni wszystko, co ten człowiek ma do stracenia. Od kiedy poznał Claire Keeseey, zaczął inaczej postrzegać życie. Nękały go ostatnio napady poczucia winy i właśnie jeden z nich, którego teraz doznał, podsunął mu pewien pomysł; już wiedział, jak zrobią ten skok.

Wracając do międzystanowej 1-93, pobłądził i zahaczył o Canton, rodzinne miasteczko Claire. Budynek szkoły średniej, stare drzewa liściaste, domy z wypielęgnowanymi trawnikami na rozległych parcelach, wieczór pełen skojarzeń. Wyjeżdżał z miasteczka z poczuciem, że coś go ściga, chciał jak

najprędzej znaleźć się w domu. Oparł się jednak temu impulsowi i nadłożył drogi, żeby jeszcze raz przyjrzeć się The Braintree 10.

Najpierw okrążył wzgórze, na którym leżał kompleks. U podnóża stały jeszcze dwa niszczące ekrany dawnego kina samochodowego, a sama działka była teraz podzielona między plac manewrowy ośrodka nauki jazdy i parking dla podróżnych odlatujących z lotniska Logana, których zabierały stąd kursujące wahadłowo autobusy. W pobliżu rzędu wiat przystankowych znajdowała się metalowa brama zamknięta na spięty kłódką łańcuch, broniąca wjazdu na pnącą się na szczyt drogę. Doug wrócił na parking przed kinem i znalazł tam wylot tej drogi, również przegrodzony zamkniętą na kłódkę bramą. Niewykorzystywana droga opadała stamtąd zakosami zachwaszczonym stokiem ku wiatom przystankowym na dole, zakreślając wielkie S. Forbes i Grandview były wąskimi, dwupasmowymi uliczkami, w weekendowe wieczory na parking trudno się było dostać i z niego wydostać, ta droga ewakuacyjna bardzo by się przydała. Bezpośredni dojazd, jaki zapewniała, pobudził znowu do działania szare komórki Douga.

Wszedł do kina, kupił bilet jak zwyczajny obywatel i wyłożył jeszcze piątaka na pizzę własnej kompozycji. Spacerując po wielkim holu dla zabicia czasu, który pozostał do rozpoczęcia projekcji,

wyszpiegował drzwi do biura opatrzone napisem „wstęp wzbroniony” i ledwie widoczne za trzyczęściowym tekturowym fotosem z Dnia Niepodległości, na którym płonął i walił się w gruzy Biały Dom. Na jednej ze ścian wisiał portret młodego kierownika kina, pana Cidro Kosaria, uśmiechniętego mężczyzny o chudej szyi, w źle skrojonym garniturze, z jego podpisem w prawym dolnym rogu, a obok tabliczka z mottem sieci General Cinemas „Troska o najwyższą jakość naszą dewizą”, również poświadczonym jego parafką.

Poster zapowiadający Twierdzę – film akcji o niemłodym już człowieku, który uciekł z więzienia – podziałał na Douga jak omen i wypłoszył go z holu do sali. Nieugiętych poprzedzała zapowiedź Twistera. Kiedy widownia radosną wrzawą powitała przelatującą przez ekran krowę i z podnieceniem komentowała nadal tę scenę, kiedy przewijała się już czołówka z napisami właściwego filmu, Doug ujrzał oczyma wyobraźni zbliżający się weekend wielkiej premiery i uśmiechnął się w ciemnościach.

*

New Hampshire to stan, w którym mieszkańcy Massachusetts robią zakupy, żeby uniknąć podatku od wartości dodanej. Jest to również stan, do którego złodzieje samochodów z Massachusetts wyprawiają

się kraść samochody.

Powodem jest Lojack, system wspomagający odszukiwanie skradzionych pojazdów, którego integralną częścią jest transponder instalowany w samochodzie i po uaktywnieniu podpowiadający policji, gdzie auto się aktualnie znajduje. Nie spędza to snu z powiek amatorom doraźnych przejażdżek cudzymi furkami ani dziuplom, które mają zwykle parę godzin na rozebranie wozu na części pierwsze, znalezienie i unieszkodliwienie transpondera. Co innego, jeśli ktoś potrzebuje pojazdu roboczego na dłużej niż jedną noc. Na szybie samochodu, w którym zainstalowany jest Lojack, nie nakleja się kalkomanii ostrzegających przed nim złodziei, a sam transponder wraz z zasilającymi go bateriami jest mniej więcej wielkości puszki sardynek, na tyle mały, że w samochodzie można go ukryć praktycznie wszędzie.

System Lojack funkcjonuje na terytorium stanów Massachusetts, Rhode Island i Connecticut, ale New Hampshire i Vermontu już nie obejmuje. Kradnie się więc samochód w pobliskim New Hampshire, zmienia tablice na parę skrojonych wcześniej w Massachusetts, i szafa gra.

Doug wiózł Gloansy'ego na wycieczkę w teren. Do roboty, którą mieli na oku, potrzebowali w sumie trzech pojazdów i dzisiaj celem był samochód roboczy. Szukali minivana z przyciemnianymi

szybami. Gloansy'emu najbardziej pasowałby dodge caravan, ale zadowoliliby się również plymouthem voyagerem lub podobnym. Nawet fordem windstarem, byle nie był to najnowszy model, ten z 1996 roku. Ford zaczął zatapiać transpondery w plastikowych główkach kluczyków do stacyjki, i choćby się na głowie stawało, układ zapłonowy nie odpali, dopóki w stacyjce nie znajdzie się fabryczny kluczyk. Gloansy zabrał na wszelki wypadek omomierz, ale obejście zabezpieczeń poprzez mierzenie rezystancji między poszczególnymi kabelkami pod deską rozdzielczą i wstawianie odpowiednich oporników zajmowało mu trzydzieści dodatkowych sekund, co podczas kradzieży samochodu w biały dzień jest całą wiecznością.

– Niech się, kurwa ich mać, odpierdolą od mojego źródła utrzymania – wyburczał Gloansy, gmerając przy radiu caprice, bo w miarę jak zapuszczali się coraz dalej na północ, zanikały kolejne stacje. – Było już tak kiedyś, że roboty wykołegowały wiarę z fabryk – teraz mnie próbują posłać w odstawkę.

– I co wtedy pocznie wykwalifikowany złodziej samochodów z rozwojową rodziną na karku? – wymruczał Doug.

– Zajmie się rozbojem. Kierowcę pałą w łeb, kluczyki w kieszeń, a jego do kufra. Właściciele samochodów sami jeszcze będą błagali na kolanach,

żeby nie wpychać im tych cholernych immobilizerów.

– Wszyscy wypadamy powoli z obiegu – stwierdził refleksyjnie Doug. – Weź te druty w górze. – Miał na myśli ciągnące się wzdłuż drogi przewody telefoniczne rozpięte na starych drewnianych słupach telefonicznych. – My tu sobie gadugadu, a nimi tymczasem wali forsa. Pieniądze z kart kredytowych, symbole dolara płyną sobie pod postacią prądu elektrycznego. Musi być jakiś sposób na podpięcie się do tego zerojedynekowego zaciera, na przerobienie go w żywą gotówkę.

Gloansy kupił w wiejskim sklepiku kilka marynowanych pikli i ciamkał je teraz jak banany, wycierając palce w granatowy welur fotela caprice.

– Niby jak?

– Diabli wiedzą. Ale kiedy do tego dojdę, będę wiedział, że jestem ustawiony.

Znaleźli to, czego szukali, na parkingu wielkości stadionu pod WalMartem. Ciemnozielonego caravana z przyciemnianymi szybami z tyłu, zaparkowanego ćwierć mili od sklepu. Nowe caravany miały przesuwne drzwi po obu stronach i wyjmowane tylne siedzenia, czegoś idealniejszego nie mogli sobie wymarzyć.

Fotelik do przewożenia dzieci z tyłu wielu złodziei uważa za przynoszący pecha, ale Gloansy do nich nie należał. Ruszył przez parking w kierunku

caravana, pogwizdując pod nosem i pocierając czubki palców zaschniętą grudką kleju Krazy Glue celem zatarcia linii papilarnych. Na rękawiczki było za ciepło. Wystarczająco podejrzanie wyglądała na początku maja kurtka baseballowa, ale ta była mu potrzebna z uwagi na obszerne rękawy, które służyły za podręczną narzędziownię.

Kilka sekund przy drzwiczkach i już ciągnął za klamkę. Dobrą minutę, długo jak na niego, zmitrężył za kierownicą, zanim uruchomił silnik. Dopiero kiedy odrzucał za siebie czerwony drążek blokady kierownicy typu club, Doug zrozumiał, dlaczego tyle mu to zajęło. Club sam w sobie był w zasadzie nie do sforsowania, ale kierownica, na której zatrzaszkują jego obejmę właściciele, wykonana jest z miękkiej plastikowej rurki, a więc Gloansy nie próbował nawet wojować z clubem, zamiast tego przepiłował kierownicę po obu stronach obejmy. Następnie wyrwał młotkiem udarowym stacyjkę, odpalił caravana i z żabim uśmieszkiem błakającym się po wargach przejechał obok Douga, nawet mu nie pomachawszy.

Gloansy: w sumie poczciwy gość, a jednak było w nim coś śliskiego i spoconego, co od niego odstręczało, pod tą jowialną powierzchownością kryło się coś zimnego i gadziego, jakieś życie wewnętrzne mające na tyle rozsądku, by się nie ujawniać. Douga specjalnie nie zaskoczyło, że

Gloansy jako pierwszy z nich zmajstrował dzieciaka, ale prędyj by się spodziewał, że Monsinior Dez zacznie przepuszczać forszę na dziwki, niż że Gloansy pierwszy z nich się ochajtnie.

Doug stał zgięty wpół na chodniku i sięgając nad lalkowatymi nóżkami siedzącej z tyłu caprice Shyne, usiłował trafić w szczelinę zatrzasku sprzączką wystrzępionego, granatowego pasa bezpieczeństwa przełożonego przez pierś dziewczynki. Na usta cisnęły mu się soczyste przekleństwa, próbował nie zwracać uwagi na jej wlepione w niego tępo oczka, na nieświeży oddech, nawet na to, że głaskała go rączką po policzku, po szyi, po włosach – tak go to wszystko wkurwiało, że za cholere nie mógł utrafić tym pierdzielonym dzyndzlem w szparę.

Siedząca z przodu Krista obejrzała się.

– Łatwiej ci pójdzie, jak uklękniesz. Uklęknij.

Już tylko, kurwa, pół cala dzieliło go od sukcesu, kiedy Shyne wpakowała mu paluszek w ucho. Poderwał odruchowo głowę, wyrznął potylicą o podsufitkę i ryknął tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Nie rozplakała się, w ogóle zero reakcji. Buzia nieruchoma, cera woskowa jak wyglazurowany pestycydami owoc. Tylko jakoś brzydtko, kwaśno od niej zapachniało. Zsiusiała się.

Nie jego dziecko. Nie jego problem.

Przyklął na krawędzi siedzenia, przenosząc na

kolana cały ciężar ciała, zmobilizował się do tego jednego, ostatniego wysiłku i dopiął wreszcie swego. Wysunął się szybko z samochodu i rozprostował plecy, czując te czerwone strzałki, które w telewizyjnych reklamach obrazują zgnięcia bólu. Shyne patrzyła na niego jak na wszystko: tak jakby pierwszy raz w życiu go widziała. Zatrzasnął jej drzwiczki przed nosem. Powieka nawet jej nie drgnęła.

– Gdzie diabli tego Jema ponieśli?

Krista spojrzała na niego ponad opuszczoną szybą.

– Nie mam pojęcia.

Doug, rozglądając się czujnie, obszedł samochód, wsiadł za kierownicę i wyprostował się ostrożnie.

– Naprawdę jestem ci wdzięczna, Duggy – powiedziała siedząca obok Krista. – Shyne zaczęła kaszleć, a w przychodni powiedzieli mi, że lekarz może ją obejrzeć albo zaraz, albo nie wiadomo kiedy. Głupio mi było cię prosić.

Akurat.

– A jak u niej z tymi innymi sprawami? – zaryzykował, zapuszczając silnik. – Miałaś z nią iść na badania.

– Już wszystko dobrze, zaczyna kontaktować. Wychodzi z tej swojej skorupy. Jest tylko nieśmiała. Jak jej mamusia, prawda?

Doug kiwnięciem głowy skwitował ten kiepski żart i ruszył, wyjeżdżając zza parkującego przed nim niebieskiego Jemowego Palnika.

– Jego samochód stoi.

– Widzę – mruknęła. – To ja już nic nie rozumiem. Zresztą i tak jest pewnie na kacu.

– Mówiłaś, że nie ma go w domu.

– Znaczący, gdyby nawet był, to skacowany. – Wyglądała przez okno, skubiąc wąską wargę palcami o obgryzionych do mięsa paznokciach. – Na niego nie można liczyć. Co innego ty.

Doug zjeżdżał szybko ku Medford Street. Nie tracił jeszcze nadziei, że uda mu się przesiedzieć chociaż część tego poranka na parkingu przed The Braintree 10. W lusterku wstecznym widział Shyne wgapiającą się w niego wciąż tym samym osowiałym, mętlookim spojrzeniem.

– Ślub Gloansy’ego coraz bliżej, nie? – zmieniła temat Krista.

I Doug zrozumiał, skąd ta nagła potrzeba wizyty u lekarza. Rozdrażniony skręcił w kierunku nabrzeży i dodał gazu.

– Słyszałam, że masz być chrzestnym Nicky’ego.

– Pstryknęła w zapachowy listek dyndający u uchwytu zapalniczki. – Jem mówi, że nie masz jeszcze pary.

– Tak mówi?

– Joanie powiedziała, że my, druhny, możemy

się ubrać, jak chcemy, byle nie na biało. Kupiłam więc sobie tę suknię, którą widziałam niedawno w śródmieściu, zdjęli ją dla mnie z manekina. Głęboko wycięta na plecach, czarna. Z przodu dekolt gdzieś dotąd. – Pokazała dłonią, ale nie spojrział. – Długie rozcięcia z obu boków. Jak do tańca, ale formalna. Seksowna.

Wjechał pod wiadukt. Mijali Neck, jeszcze kawałek i będą w Somerville, gdzie mieściła się bezpłatna klinika. Starał się nie słuchać. Nie ma praktycznie sposobu na sforsowanie pancierza bankowozu bez zniszczenia tego, co przewozi.

– Suknia koktajlowa – podjęła Krista. – Śmiechu warte, bo nie będę w niej piła żadnych koktajli. Rzuciłam picie, Duggy. – Patrzyła na niego, jej ciało podskakiwało na każdej dziurze w jezdni. – Tym razem na dobre.

Doug myślał: Piętą achillesową konserwy jest jednak jej załoga, czyli tak zwany czynnik ludzki...

WIDZENIE

W Malden Center pachniało jak w wiosce położonej nad brzegiem oceanu świeżo parzonej kawy. Przesiadanie w Dunkin' Donuts, kiedy po sąsiedzku znajdował się skład palonej kawy, było lekką przesadą, mniej więcej taką, jak żucie nikotynowej gumy na plantacji tytoniu. Ale oni tu siedzieli – Frank G. w luźnym czarnym podkoszulku nad filizanką bezkofeinowej, Doug M. trochę nieświeży, w wymiętej szarej koszuli z krótkimi granatowymi rękawkami, wałkując w dłoniach butelkę mountain dew.

– No więc – zagaił Frank G. – co nam się tam urodziło, kolego? Słucham.

Doug wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak jest.

– Wiem, że zaczynam się niepokoić, kiedy delikwent zalicza parę nieobecności z rzędu.

– No... – bąknął Doug, poprawiając się na krześle. – Zarobiony byłem ostatnio.

– Powinieneś się ożenić, poważnie mówię. Mieć na głowie dom i dwoje dzieci, których nigdy nie daje się zapędzić do łóżek. Ja to mam, i znajduję jakoś czas, żeby wpadać tu wieczorami trzy, cztery razy w

tygodniu.

– Fakt – mruknął Doug, kiwając zgodnie głową.

– To przez ten romans?

– Nie, skąd.

– Nie pasuje jej, że nie pijesz?

– Co? Nie, nic z tych rzeczy.

Frank kiwnął głową.

– Czyli z tym już koniec.

– Koniec? – Doug ostatnim razem stanowczo za wiele wypaplał. – Nie do końca koniec.

– No to co?

– Nazwijmy to zawieszeniem.

– Ona się już wycofała, ale ty jeszcze nie wybiłeś jej sobie z głowy.

– Nie. – Doug pokręcił głową. – Na odwrót.

– Okay. Niepokoi mnie, że zamieniasz jedno uzależnienie na inne. Jak nietrafiony zakup w sklepie. Wracasz z rachunkiem do sprzedawcy i mówisz: „Ten alkohol nie za bardzo mi służy. Chcę go wymienić na ładną dziewczynę”. Nie ma sprawy, klient nasz pan. I to nowe uzależnienie – pozytywne, prawda? Bo to przecież miłość. To nowe uzależnienie raz cię uszczęśliwia, raz dołuje, a zostawia po sobie wielką jak garaż dziurę w twoim życiu.

– Jezu, Frank... ja tylko opuściłem parę mityngów. Przepraszam. Ale naprawdę byłem zarżnięty.

– Gównno tam zarżnięty. Tutaj jest serce i dusza

twojego tygodnia. Tu jest olej, który smaruje twój silnik. Bez tego jesteś niczym i powinieneś to już wiedzieć. Bez tego wszystko inne zwyczajnie się zawali.

– Zupełnie jak w tym pieprzonym ogólniaku. Przychodzi człowiek we wtorek, a oni na niego z mordą, że poniedziałek sobie odpuścił.

– To nie ma nic wspólnego ze szkołą. – Gniew Franka G. zaskoczył Douga. – Czy ja wyglądam na wychowawcę rugającego cię za wagarowanie? Nie pojawiasz się na mityngach i moim obowiązkiem jest wyjaśnić z tobą, co jest tego powodem. Tak to już jest urządzone.

Doug, wpatrzony w blat stolika, kiwnął głową. Czekał.

I czekał.

– No nic. – Frank G. spojrział na zegarek. – Będę się streszczał.

Doug podniósł wzrok.

– Z czym?

– Bierzesz się w garść i nadrabiasz te opuszczone mityngi. Będę na nie z tobą przychodził. Jak myślisz, że i tak nie mam nic lepszego do roboty, to się mylisz, bo czas, który chcę ci poświęcić, mógłbym dla odmiany spędzić w domu, z dziećmi.

Doug wzruszył ramionami, uniósł ręce.

– Masz rację, Frank, opuściłem parę tych cholernych mityngów...

– Najpierw obowiązek, potem przyjemności.
– Przyjemności? Przyjemności, powiedziałaś?
Według ciebie siedzenie w Dunkin' Donuts w Malden Center o wpół do dziewiątej wieczorem sprawia mi przyjemność?

Ależ rąbnął, jak chory w kubel. Frank G. popatrzył na niego, potem sięgnął po swoją żółtą wiatrówkę i odsunął się z krzesłem od stolika.

– Frank – powiedział Doug. – Frank, daj spokój, chłopie, żartowałem. To wcale nie tak, jak myślisz.

– Widzimy się w kościele. – Frank G. przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków. – Ja w każdym razie tam będę.

Ruszył w stronę wyjścia.

– Jutro jadę odwiedzić starego – wyrzucił z siebie Doug.

Frank G. się zatrzymał. Ważył w dłoni kluczyki, tak jakby to był sam Doug, rybka, którą albo zatrzyma, albo wrzuci z powrotem do wody. O Macu wiedział tylko tyle, że siedzi w więzieniu.

– Ile to już?

– Szmata czasu. Prosił, żebym przyjechał, bo coś do mnie ma.

– Mhmmm. I z jakim nastawieniem się tam wybierasz?

– Grunt to być dobrej myśli, prawda?

– Wiele zależy od ciebie.

– Jakoś to będzie. Potem on wróci do celi, a ja

będę go miał na rok z głowy. I tyle.

Frank G. kiwnął głową i skierował się do drzwi.

– Na razie.

Myliłby się ten, komu nazwa MCI Cedar Junction kojarzyłaby się z jakąś firmą telekomunikacyjną o międzynarodowym zasięgu albo z koncernem przemysłu drzewnego. Skrót MCI to w rozwinięciu Massachusetts Correctional Institution. [Zakład Karny stanu Massachusetts] Kiedy ojciec Douga zaczynał tu odsiadkę, przybytek nazywał się MCI Walpole, od miasteczka, w którym się mieścił, ale gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych mieszkańcy Walpole zauważyli, że dzielenie nazwy z najcięższym w stanie więzieniem – był tam również blok o zastrzonym rygorze zwany popularnie „Jamą” – wpływa niekorzystnie na wartość ich nieruchomości. Sąd uznał ich racje i MCI Walpole przemianowano na MCI Cedar Junction, zapożyczając tę nazwę od dawno opuszczonej stacji kolejowej.

Kompleks, zbudowany w latach pięćdziesiątych, zastąpił stare więzienie Charlestown. Wchodzącego tam Douga z miejsca zalała fala skojarzeń, a przede wszystkim wspomnień z pobytu w MCI Norfolk, więzieniu oddalonym o kilka mil stąd i nadal zapożyczającym nazwę od miasteczka, w którym się znajdowało. Norfolk, gdzie osiemdziesiąt procent ogółu osadzonych odsiaduje kary za naruszanie

porządku publicznego i rozboje, było zakładem o umiarkowanym rygorze, odpowiadającym poziomowi 4. W Cedar Junction obowiązywał poziom 6.

Do pory odwiedzin pozostało jeszcze trochę czasu i Doug zabijał go, przechadzając się po poczekalni. Był jedynym mężczyzną w sześciuosobowej grupce odwiedzających. Unosząca się tu mieszanina zapachów perfum przywodziła mu nieodparcie na myśl Haymarket w parny sobotni wieczór, walające się po ziemi, gnijące, rozdeptane produkty, które pospadały ze straganów. Trzy tęgie czarne kobiety o przekrwionych oczach i zbolątych spojrzeniach siedziały przygnębione. Dwie białe, wystrojone jak z żurnala, wyglądały kwitnąco. W dzinsach, podkoszulkach i bez biustonoszy nie wolno tu było wchodzić. Ale legginsy i dziergane sweterki z głębokim dekoltem wyraźnie na tej liście odzieżowych zakazów nie figurowały.

Wywieszki na ścianach zakazywały fizycznego kontaktu, a jedna, o treści ZABRANIA SIĘ ŚCIAGANIA MAJTEK, naklejona niedawno na drzwiach, budziła w Dougu pusty śmiech.

Douga odwiedzała w pierdlu, co trzeci weekend, tylko Krista. Ależ był jej wtedy wdzięczny – chociaż głośno nigdy tego nie przyznał – za te krótkie pogaduszki, przynajmniej z początku był. I jakże straciła w jego oczach, od kiedy zaczął się

przekonywać do programu AA i traktować go poważnie.

Wpuszczono ich wreszcie. Doug usiadł we wskazanym boksie i zbierał myśli. Warto było tu przyjechać, choćby dla tego kopa, jakiego dawała świadomość, że zaraz się stąd wyjdzie, jak gdyby nigdy nic wymaszeruje się przez bramę, wsiądzie do samochodu i odjedzie. A w drodze powrotnej zahaczy się jeszcze o stację benzynową i kupi tam wodę mineralną: zwyczajna wolność, marzenia ściętej głowy dla tych, którzy aktualnie w tych murach garują.

Odwiedzanie Maca było jak wizyta u dentysty i wymiana tablic rejestracyjnych w jednym. Próba charakteru. Czymś niemiłym, przez co trzeba przejść. Chociaż w gruncie rzeczy Doug startował tutaj z dobrej pozycji i zdawał sobie z tego sprawę. To on w tym spotkaniu był górą, to jemu dostarczano Maca jak tę zniszczoną i wycofaną z obiegu książkę zamawiającemu ją czytelnikowi w bibliotece.

Padł na niego cień Maca i w Dougu, jak zawsze, kiedy po dłuższej przerwie widział znowu tego starego szachraja, coś drgnęło, jak zawsze ujrzał w ojcu przez moment nie egoistycznego szpanera, któremu szesnaście lat temu powinęła się noga i który od tamtego czasu żył głównie jako głos w jego głowie, lecz bohatera, jakim mu się kiedyś jawił, twardziela, który zwykł go nazywać swoim kolesiem.

Mac odsunął sobie krzesło z chytrym uśmiechem, nadymający się kogut, można by rzec. Ale uwagi Douga nie uszło, że czas odciska powoli na nim swoje piętno: zaokrąglił się w talii, skóra na szyi wiotczała, coraz bardziej zapadały mu się policzki. Te oczka bywalca kasyn śmiące domagać się obdarzenia zaufaniem, mówiące wprost: Graj ze mną dostatecznie długo, a przegrasz. Ten uśmiezek, który zawsze był przeznaczony bardziej dla niego samego niż dla kogokolwiek. I ten jego wielki irlandzki łeb, ta lśniąca łysa pała nakrapiana pomarańczowymi piegami, teraz pokancerowana dodatkowo przez różowe blizny.

Mac usiadł na krześle okrakiem, składając przedramiona na oparciu, żeby z dumą zaprezentować porastające je gęsto włosy, które, kiedyś truskawkowe, tak już spłowiały, że ledwie je było widać. Zawsze zachowywał się tak, jakby spotykali się na równych prawach – jakby w jego mniemaniu coś równoważyło ich pozycje – i Dougowi było go żal, jak każdego schwytanego w sidła stworzenia, sam nie tak dawno takim był. Widywanie Maca raz na rok było jak szybkie przewracanie stronic albumu z jego zdjęciami, na których sukcesywnie rzedną mu włosy, zacierają się rysy, pojawiają starcze plamy. Podobieństwo do ojca, zawsze uderzające, gnębiło teraz Douga szczególnie. Patrząc na niego, odnosił niemiłe wrażenie, że widzi

odbicie w lustrze siebie starszego o dwadzieścia lat. Ślady podobieństwa do matki, których kiedyś na upartego jeszcze się u siebie dopatrywał, dawno uległy zatarciu.

– Co się tak gapisz? – Mac zawsze tak zagajał.

– Cześć, tato – mruknął Doug. Używał tego słowa raz do roku mniej więcej przez dwadzieścia minut. – Co u ciebie?

– A u ciebie?

Doug kiwnął głową.

– Obleci. A u ciebie?

Mac wzruszył ramionami.

– Jak siedziałem, tak siedzę.

– Na to wygląda. Dostajesz pieniądze?

– Pieniądze dobra rzecz. Ułatwiają życie. Chociaż tutaj nie jest tak znowu najgorzej. Wiesz, jakie tu mamy chody.

Ul Cedar Junction zasiedlał zgrany rój towniaków, którzy, przy wsparciu paru zaprzyjaźnionych strażników, opływali niemal we wszystko, co im było do szczęścia potrzebne. W programie zajęciowym więzienia były lepsze i gorsze przydziały, takie jak praca w pralni albo przy produkcji tablic rejestracyjnych, czy czego tam jeszcze, wszystko płatne po siedemdziesiąt trzy centy na godzinę.

Doug, spoglądając na ojca, wskazał wymownym gestem na własną głowę.

– To to?

Mac dotknął blizn ostrożnie, tak jakby parzyły.

– Tak, rak skóry. Wypalają go po kawałku. Wożą mnie co jakiś czas do szpitala, i gitara. Czas szybciej zlatuje.

– Gdzieś ty się tak na słońcu spiekł?

– Dawno i nieprawda. Trzeba mi chyba było częściej czapkę nosić. Ale to nie ten rak. Taki zbuntowany pieg tylko. Dalej jestem silny jak fetor w Chelsea. – Pociągnął nosem powietrze, jakby mu ten fetor aż tutaj zaleciał. – Co, Jem ci powiedział?

– Tak, Jem mi powiedział.

– Z nim się człowiek nigdy nie nudzi. Często tu wpada. Model z niego jak z mało kogo. Zdziorny jak jego ojczulek. Z Coughlinami już tak jest, że przed tymi ich oczkami jak paciorki musi dyndać marchewka. Bo kijem nic nie wskórasz.

– Zauważyłem – mruknął Doug.

Mac, udając, że wydmubuje sobie z zębów resztki jedzenia, przypatrywał się Dougowi, swojemu jedynakowi. Cokolwiek wypatrzył, zatrzymał to dla siebie.

– Powinienem częściej cię odwiedzać – powiedział Doug ot tak, byle coś powiedzieć.

– Daleko masz tu, na wieś, z miasta.

– Zapracowany jestem, rozumiesz. Jak nie jedno, to drugie. Czasu na nic nie starcza.

– Hola. Mnie o braku czasu nie mów. – Patrzył

wciąż na Douga, o jeden rok starszy. – Udałeś mi się, Duggy. Dochodzą mnie słuchy, że dobrze ci się wiedzie.

Doug wzruszył ramionami.

– Jakoś wiązę koniec z końcem.

– Im starszy jestem, tym bardziej się gryzę, że tyle lat zmarnotrawiłem. Chuj by to strzelił.

– Ano – bąknął potakująco Doug, obliczając w pamięci, ile jeszcze tego marnotrawienia staremu zostało.

– Ja chyba wiem, dlaczego wciąż się na mnie boczysz.

Doug poprawił się na krześle.

– Ja? Na ciebie?

Mac założył ręce na piersi spranej niebieskiej koszuli, odwrócił wzrok.

– Nie możesz mi darować, że nie utrzymałem domu twojej matki.

Doug potarł tył głowy.

– Nie, z tym się już pogodziłem.

– Miałem wydatki, Duggy. Kurwa. Ratowałem się przed zapuszkowaniem – urobić świadków, wytłumaczyć jednemu z drugim, żeby zmienił zeznania – tego nie załatwi żaden papuga z urzędu. Nie masz forsy, to już pierwszego dnia procesu możesz się śmiało meldować w pierdłu.

– Chodzi o to... że nigdy nie miałeś nic odłożone na czarną godzinę. A taką kasę kosiłeś. Zupełnie

jakbyś nie brał pod uwagę, że noga może ci się powinać.

Mac bez zmrużenia oka przełknął te słowa krytyki.

– Słyszałem, że paru półgłówków zrobiło skok na Kenmore Square i wzięło zakładniczkę.

– Tak, coś o tym czytałem – mruknął Doug.

– Kretyńska zagrywka. Za zakładników ma się przerypane. Lepiej już dać się capnąć. Sankcja mniejsza, otrzaska się człowiek, wychodzi silniejszy.

A ty wyjdiesz silniejszy? – pomyślał Doug, zerkając na pokancerowaną głowę ojca.

– No – bąknął, świadom obecności nadstawiających ucha strażników – mówię, że o tym czytałem.

– Ale obłowić musieli się nieźle.

– Chyba tak.

– A co tam u starego Booza i jego chłopaków?

– Przeszli do historii. Boozo kibluje w jakimś federalnym mamrze w Kentucky czy gdzieś. Nie to, co tutaj. Żadnych chodów. Żadnego jak u Pana Boga za piecem.

– A ten jego synalek... jak mu tam...?

– Jackie.

– Zupełny debil. Nie to co mój chłopiec.

– Jackie to też już historia i nikt po nim nie płacze.

– RICO, [RICO (Racketeer Influenced and Corrupt Organizations

Act) – Ustawa o organizacjach przestępczych i skorumpowanych] co? Za te wymuszenia go zgarnęli?

– RICO było dwadzieścia lat temu. FBI ma teraz grubszy kij, o wiele cięższy. Ustawę Hobbsa. Na wszystko, co utrudnia międzystanowy obrót gospodarczy. Pod nią podpadł. Teraz już nie muszą udowadniać współuczestnictwa.

– Coraz gorzej się tam za murami robi.

– Fakt. A pamiętasz, żeby kiedyś było lekko?

Mac się uśmiechnął. Patrzył na Douga tak, jakby próbował wyczytać coś z jego twarzy.

– Jem mówi, że się o ciebie martwi.

Doug zaczynał rozumieć, skąd te badawcze spojrzenia.

– Naprawdę?

– Mówi, że pogrywasz... zachowujesz się jakoś tak, że... no, jest zaniepokojony.

– Mhm. To był jego pomysł, żebyśmy się spotkali, czy twój?

– Wspólny.

Doug założył ręce na piersi. Jem skrzyty. Tego jeszcze nie było.

– No to jestem. Poddaję się lustracji, żeby ci pokazać, że wszystko jest w najlepszym porządku, dzięki za troskę. Jaki następny temat?

– On się martwi, że to się może źle dla ciebie skończyć.

– Coś ci powiem. Niech on lepiej zejdzie ze mnie

i zajmie się sobą. Wspominałeś coś przed chwilą o zakładnicze, o ile dobrze pamiętam. Jak myślisz, kto był jedynym odpowiedzialnym za to małe potknięcie?

– Wciąż nie pijesz?

– Pieprzony... następny temat proszę. Co dostałeś pod choinkę?

Mac podrapał się po karku, popatrzył ospale na strażników po obu stronach, potem nachylił się bliżej szyby dzielącej go od Douga.

– Jeszcze szesnaście miesięcy.

Doug kiwnął głową, czekał chwilę na dalszy ciąg.

– I co? Co za te szesnaście miesięcy?

– Szesnaście miesięcy mi zostało. I wychodzę.

– Wychodzisz? Z czego? – Doug siedział teraz prosto jakby kij połknął. – Skąd wychodzisz?

– Stąd, koleś. – Mac pokiwał z uśmiechem głową. – Znowu będziemy razem.

Krew odpłynęła Dougowi z twarzy.

– Jak to?

Dziarskie, radosne wzruszenie ramion.

– Zapierniczałem jakiś czas w warsztacie. Naciskają na komisję zwolnień warunkowych, żeby robiła miejsce dla szczawików z pierwszym wyrokiem, co czekają w kolejce na odsiadkę. No wiesz, albo to, albo trzeba będzie budować no-! we więzienie. A co może nawywijać na wolności stary,

nie-; dzisiejszy złodziej bankowy, który na oczy bankomatu nie widział, no co? – Szeroki uśmiech. – Hej, nawet Jemowi nie mówiłem. Żeby nie zapeszyć.

Wypuszczają go. Mac wychodzi na wolność.

– Dzielnica... dzielniccy już nie ma, tato. Nie ma dawnego Town. Nic z niego nie zostało.

– Chcesz mnie podłamać, co? Żeby mi się odechciało wychodzić? Odbudujemy je, spokojna głowa.

– Co odbudujemy? Nie ma czego... wszystko się pozmieniało, nie rozumiesz? Odeszło i nie wróci.

– Nieźle sobie radzisz z tego, co widzę. Parę małych wpadek, ale w sumie nie jest źle. Teraz rozwiniemy skrzydła.

Doug siedział jak na rozżarzonych węglach. Najchętniej zerwałby się z krzesła, pochodził, ale obowiązujące tu przepisy tego zabraniały, siedział więc dalej spanikowany, tak jakby stary już teraz wychodził.

– Zamiaruję odzyskać dom twojej matki, Duggy.

Doug potrząsnął energicznie głową.

– Ty nic nie wiesz, tato. Nie masz nawet co marzyć, że ci się to uda.

Mac uśmiechnął się po swojemu.

– Odzyskam go.

– Jak to sobie wyobrażasz? Wejdiesz tam i powiesz, że ty tu teraz mieszkasz? Jakbyś dalej był królem złodziei? Tam już nikt się ciebie nie boi, tato.

Paru starszków, co przesiadują pod Foodmasterem, może jeszcze poda ci rękę. Może nawet zdejmą czapki. Nie jest już jak dawniej. Kodeksu ulicy nikt już nie przestrzega. Dawne zwyczaje poszły w zapomnienie, wszystko odeszło. Nie ma tego.

– I pies to trącał, Duggy – powiedział Mac. Do jego oczu powrócił dawny blask, pojawił się w nich nagle, jak te symbole dolara wyskakujące z nienacka w okienkach staroświeckiej kasy. – Teraz będzie lepiej. Niech FBI wywija sobie tymi swoimi kijami. Wy dwaj, ty i Jem, pod moim kierunkiem, no nie...?

Doug wciąż nie mógł w to uwierzyć. Mac wychodzi z więzienia.

Doug gnał na złamanie karku przez noc, okrążając miasto obwodnicą łączącą międzystanowe 95 i 93. Wydawało mu się, że całą złą energię swojej młodości zebrał i uwięził w czterystapięciokonnym, całkowicie aluminiowym silniku V-8. Obserwował światła w lusterku wstecznym i zastanawiał się, czy to FBI za nim jedzie, czy może Jem, a tak naprawdę ścigał go duch ojca. Nie odczepi się nigdy od tego starego przechery.

Mac i wszyscy ci macherzy starej szkoły od napadów na bankowozy i na banki – dzielnicowi Evelowie Knievel. [Evel Knievel – Robert Craig Knievel, ur. w 1938 roku kaskader motocyklowy.] Straceńcy, którzy zamiast przypinać sobie do pleców rakietowe plecaki,

napadali na opancerzone furgony z pieniędzmi. Ryzyko aresztowania było w ich fachu wliczone w koszty – odsiadka ich odpowiednikiem pobytu w szpitalu. Oto co w najbliższej przyszłości czekało Douga: Mac ze swoim więziennym skrzywieniem. Nadciągały ciężkie czasy, a ojciec Douga był ich uosobieniem.

Szesnaście miesięcy. Dla Douga było to równie mało jak szesnaście dni.

Wrócił do miasta, zaparkował caprice nieprzepisowo, w zaułku za Peterborough. Rozproszony blask ulicznych latarni i miejska poświata pomogły mu odnaleźć drogę do ogródka Claire Keeseey. Przeskoczył przez płotek i otworzył drewnianą skrzynię. Łopatką z krótkim styliskiem wykopał we wzruszonej ziemi dół. Na tymczasowy schowek cztery stopy głębokości powinno w zupełności wystarczyć. Teraz do caprice i z powrotem do ogródka z wyciągniętym z bagażnika plastikowym workiem z kilkuset tysiącami popakowanymi w pudełka po częściach zapasowych do samochodu – jeśli w ogóle coś ryzykował, to właśnie teraz. Kopaniem mógł ściągnąć na siebie uwagę któregoś z meneli szwendających się w ciepłe noce po Fens. Na szczęście szum ruchu ulicznego dolatujący od Boylston Street skutecznie zagłuszał głuchy łomot, z jakim ciężkie pudełka lądowały na

dnie dołu. Patrzył przez chwilę na swoją małą fortunę, po czym zasypał ją ziemią. Kiedy kończył, przemknęło mu przez myśl, czy nie należałoby czasem odmówić modlitwy. Nie dopatrywał się żadnego bezpośredniego związku między wizytą u ojca a przeniesieniem swojego skarbu z garażu Nany Seavey do ogródka Claire Keeseey, jednak tam, gdzie w grę wchodziły pieniądze, wołał zawsze słuchać instynktu. Sytuacja się zmieniała. Tyle wiedział na pewno.

Zadzwoń do niej.

Korciło go, żeby to zrobić. Po prawdzie to tutaj – skarb, który zadołował właśnie w jej ogródku – go do tego zobowiązywało. Przetrzęsając kieszenie w poszukiwaniu drobnych na automat, układał sobie już nawet w głowie, co jej powie przez telefon. Może spróbuje umówić się z nią na jutro na wspólne pielenie rabatek. Przyjdzie tu z nią pod rękę. Przyjemnie było o tym pomarzyć w drodze powrotnej do samochodu. Tylko pomarzyć.

WESELE

Doug siedział przygarbiony, z rozwiązaną muszką, nad szklanką mineralnej z limonką i wodził smętnym spojrzeniem za Gloansym i Joanie, młodą parą obchodzącą wspólnie drugi koniec sali. Świeżo upieczona pani Joanie Magloan, z butelką buda lighta w dłoni, ścisnęła i obcalowywała każdego napotkanego, każdy mąż i ojciec na sali potrząsał prawicą Gloansy'ego, dowcipkując przy tym i wybuchając pustym, wesolkowatym śmiechem. Tymczasem malutki Nicky Magloan siedział na kolanach babci przy stole, rozmazując sobie ruchliwymi rączkami po piegowatej buzi krem z weselnochrzcinowego tortu.

Monsinior odsunął z rozmachem wolne krzesło obok Douga i ciężko na nim usiadł.

– Taaak – westchnął – do dupy ta muzyka.

– Desmond – ożywił się Doug.

Zza szkieł tych charakterystycznych okularów w grubych oprawkach patrzyły na niego mętnie oczy Deza. Jem serwował reszcie weselników kolejkę za kolejką samochodówpułapek: pół pinty guinnessa doprawione lufą baileysa z jamesonem.

Dziewczyna, z którą Dez przyszedł – Denise,

Patrice czy jak jej tam – telefonistka z informacji teleadresowej o szczupłej twarzy, za to pulchnych ramionach, podniosła się ze swojego krzesła po drugiej stronie parkietu i skierowała do łazienki.

– Dlaczego zostawiłeś ją tam samą? – spytał Doug.

– Bo ona się tu nie komponuje. Nikogo nie zna, a ludzie... czy tu można przyprowadzić kogoś spoza tej ferajny? No i jeszcze ten cholerny Jem – zaczął jej przygadywać, niby tak dla żartu, że jest puszysta gdzieś tam, tak jakby sama nie wiedziała, że ramiona ma pełne. Dupek jeden. – Dez opatulił się połamami smokingu jak marznący chłopczyk czarnym kocem. – Niepotrzebnie ją tu przyciągnąłem. Ty, jak widzisz, sam?

Doug wzruszył ramionami i poprawił się na krześle. Spróbował sobie wyobrazić, że jest tu z Claire – zaszyci w kącie sali chichoczą, obgadując gości.

– Zazdroszczę ci – ciągnął Dez. – Ona nieszczęśliwa, ja nieszczęśliwy. Wezwałem już dla niej taksówkę.

– Idzie szczęśliwa para – mruknął Doug.

– Aha. Jak ci się widzi ta suknia?

– Ładna. Jeśli się gustuje w moskitierach.

– Ja pytam o dekolt, a ściślej o jego rozmiary.

Joanie należała do dziewcząt, które nie przepuszczają okazji do zaprezentowania swoich

bliźniaczek.

– Odważna jest – orzekł Doug – a to jej wielki dzień.

Joanie zatrzymała się przed nimi i Doug wstał, żeby cmoknąć ją w pokryty czerwonymi żyłkami i trądzikiem policzek, i został za ten trud nagrodzony przytuleniem do obfitego biustu. Po dwóch, trzech piwach Joanie zawsze witała się wylewnie. Podziękowała mu dodatkowo uszczypnięciem w podbródek za to, że został chrzestnym Nickyego.

– Mamy problem, Joanie – powiedział, wskazując ruchem głowy na umazanego tortem bobasa. – Nie mam pewności, czy ten chrzest poskutkował. W piegusku dalej czort siedzi.

Udała, że chce mu dać klapsa, a potem odwróciła się do Deza i o niego też przyjaźnie otarła się cyckami.

– Piękna suknia – pochwalił Dez, poprawiając okulary na nosie. – Aż miło popatrzeć.

– Gryzie jak jasna cholera – wyznała, rozglądając się po sali i poprawiając bliźniaczki. Potem pociągnęła kolejnego łyka i zanim się oddaliła, dorzuciła: – Nie zdejmujcie, chłopaki, tych marynarek i nigdzie nie odchodźcie. Za chwilę będą zdjęcia.

Gloansy został jeszcze i przybił z nimi po zółwiku. Był jakiś otumaniony i rozkojarzony.

– Ja pierdzielę – jęknął.

– Ty, ona mówiła coś o zdjęciach – powiedział Doug.

– Wiem, wiem. Ale to jej wesele, stary. Ja zaraz się urywam na własną imprezę, nie? Twoja żona by ci na to pozwoliła?

– Elizabeth Shue nie będzie miała w tej sprawie absolutnie nic do gadania – zapewnił go Dez.

– Okay, Dez jest napity, ale ty lepiej nie idź w jego ślady. Gdzie Jem?

– A chuj go wie. Pewnie puszcza fajerwerki.

– Postaraj się dopilnować, żeby się nie naprał, dobra?

Doug przybił z Gloansym żółwika i ten powlókł się za swoją żoną. Dougowi nie podobało się, że Joanie wie, czym się parają – zakładając, że wie co najmniej tyle, co Krista od Jema, było to zdecydowanie za dużo. Nie mógł zrozumieć, jak można mówić takie rzeczy dziewczynie, żonie, irlandzkiej bliźniaczce. Czasami zastanawiał się, ile musiała wiedzieć jego matka – co w końcu sprawiło, że nie wytrzymała i odeszła. r

To był jeszcze jeden powód tej ich nieufności wobec ludzi z zewnątrz. Gangsterka to coś, w co trzeba się wrodzić.

– Wrócę lepiej do Patrice – powiedział Dez i ruszył wzdłuż rzędu krzeseł ku drzwiom. Doug usiadł i przyglądał się dwojgu starszych ludzi tańczących samotnie, policzek przy policzku, na parkiecie.

Wokół nich dreptał fotograf i pstrykał zdjęcia w rozbłyskach flesza. Był w tanim smokingu iluzjonisty, złote włosy miał zaczesane do tyłu, przylizane, i w ogóle było w nim coś śliskiego. Był również operatorem kamery wideo, której wścibskiego obiektywu Doug przez cały wieczór starannie unikał.

– Wolne to krzesło?

Jeszcze jeden wścibski obiektyw, którego starał się unikać. Krista usiadła i Doug skoncentrował się znowu na safandułowatych tancerzach. Oboje klaskali teraz, bo swingujący kawałek dobiegł właśnie końca.

Krista ostentacyjnie, tak żeby to widział, upiła łyczek mineralnej z limonką.

– Wiesz może, czemu dziewczyna Deza płacze w łazience?

Doug pokręcił głową.

– Chyba nie czuje się tutaj mile widziana.

– Nic nie mówisz o mojej sukience.

– Ładna – mruknął, chociaż od kiedy usiadła, nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Był w podłym nastroju. To odstraszało zwykle ludzi, ale nie Kristę.

– Powiadają, że to dobrze wróży państwu młodemu, jeśli na weselu druhna spiknie się z drużbą.

Popłynęły ciche tony następnego kawałka, irytujący didżej wybąkał, że puszcza go na czyjeś

tam specjalne życzenie.

– Tak, dla twojej Joanie tylko w dobrych wróżbach teraz nadzieja.

Przyznała mu rację toastem, pociągnęła łyceczek i nachyliła się do niego.

– Wiesz, my chyba nigdy nie robiliśmy tego normalnie. Na trzeźwo, znaczy. Chyba ani razu przez wszystkie te lata nie spojrzeliśmy sobie przed tym tak zwyczajnie w oczy.

W zgodnym ryku wielu gardeł, który doleciał w tym momencie od strony baru, rozpoznał swoje imię, w górę poderwał się w salucie las butelek i szklanic. I teraz uprzytomnił sobie, że zna ten kawałek na specjalne życzenie: With or Without You. Śpiewał go na ślubie Deardena.

Wrzaski, gwizdy, pohukiwania. Doug kiwnął głową, ale jej nie podnosił. Siedział wpatrzony w okruchy i tłuste plamy na obrusie, gotując się ze złości.

Krista trąciła go łokciem w łokieć.

– Zatańczymy?

– Nie jestem w nastroju.

– To wolny kawałek. Nastrój ci się zaraz poprawi, zobaczysz. Zresztą nie musimy tak naprawdę tańczyć. Wystarczy, że pokołyszemy się w miejscu.

Zerknął spode łba na parkiet, zobaczył na nim kilka przestępujących z nogi na nogę par. Czuł się

niemrawy, jak dopalająca się migotliwym płomieniem świeca.

Przykryła ręką grzbiet jego dłoni, zaczęła masować kciukiem nabrzmiące pod skórą żyły.

– Pamiętasz, jak śpiewałeś dla mnie tę piosenkę?

Przekręciła jego dłoń poduszką do góry i położyła na niej swoją. Doug wyłączył się na chwilę i trwał w tym stanie, dopóki nie cofnęła ręki i nie wyprostowała się na krześle.

– Może w takim razie poproszę Deza.

Doug wzruszył ramionami, czuł się wypalony.

– Spróbuj.

Jak na zawołanie na sali pojawił się znowu Dez. Uśmiechnął się do nich z daleka, a potem w odpowiedzi na gest Kristy uniósł pytająco brwi, pokazując palcem na swoją wyżabotowaną pierś, i skrzył w ich kierunku.

– Cześć – powiedział, spoglądając niepewnie na Douga. Nie bardzo wiedział, w co wkracza.

– Poszła? – spytała Krista.

– Ano – westchnął Dez. – Zostałem sam.

Krista wyciągnęła nogi spod stołu, suknia się z nich zsunęła.

– Doug nie chce ze mną zatańczyć. A ja muszę.

Do Deza nie od razu dotarło, że jest proszony do tańca. Spojrzał znowu na Douga, pytając go spojrzeniem, co on na to. Doug sącył obojętnie swoją mineralną.

– Nie gap się na niego tak, jakby był twoim szefem – fuknęła Krista, wstając. – Albo tańczymy, albo nie.

– Jasne – bąknął Dez ośmielony i wziął ją za rękę. Dopiła wodę, z całą premedytacją postawiła pustą szklankę obok szklanki Douga. Doug był przekonany, że patrzyła na niego, odchodząc, ale nie dał jej tej satysfakcji i nie spojrzał za nią. Oto co się dzieje, kiedy ludzie ze sobą zrywają, ale się nie rozstają, pomyślał. Blizny swędzą i aż się proszą, żeby je rozdrapywać. Tworzy się strup, ale rana pod nim się nie goi.

Skrajem parkietu podszedł do niego Jem – to on był centrum układu planetarnego tego nierozstawania, reszta krążyła po orbicie jego nostalgii, jego prymitywnego sentymentalizmu, jego zastraszania i infantylnej wierności prawom rządzącym kiedyś w Town. Był bez marynarki, koszula wylazła mu częściowo ze spodni, w dłoni dzierżył high life’a. Blask uniesienia na twarzy, biały ogień w oczach.

– Chodź do baru. Toast za Gloansy’ego.

Dez z Kristą nie uszli jeszcze daleko. Doug zauważył, że Dez puszcza jej rękę.

– Ty już swój toast wzniosłeś – zauważył Doug.

– To było za tych, co na morzu. – Jem okrążył stół, wziął Douga pod pachę i uniósł z krzesła. Doug czuł buzującą w nim adrenalinę, kiedy ruszali. – Jak

wyglądamy? Wszystko gra?

– Gra.

– Mam spluwy, mam kamizelki... – przyciągnął Douga do siebie i szeptał mu prosto w ucho – ...mam kombinezony tej firmy od serwisowania klimatyzacji z Arlington – mucha nie siada.

– Kupę roboty dzisiejszej nocy mamy. Przeciąć ogrodzenie, znaleźć furgonetkę do skoku. Obiecałeś, że będziesz w formie, pamiętasz?

– Tak, warto by się przekimać... a chuj z tym.

W i tak z natury groźnych oczach Jema pojawił się alarmujący, błękitnobiały błysk. Na zewnątrz padało, ale brązowe jak cent włosy Jema były suche.

– Gdzie cię nosiło? Co robiłeś?

Uśmiech.

– Wesele mamy, stary. Wielka uroczystość. – Wskazał na medale z drugiej wojny światowej pod szkłem za barem. – Mówiłem ci, że mój dziadek był bohaterem wojennym?

– Powtarzasz to tylko wtedy, kiedy pijesz samochody-pułapki.

Roześmiał się.

– Ty... zwidy mam, kurwa, jakieś, czy Monsinior naprawdę trzymał moją siostrę za rękę?

Wokół Gloansy'ego robiło się już zbiegowisko, poruszenie przyciągało coraz więcej gości, w tym nawet kilka pań.

– Tylko bez głupich zagrywek – ostrzegł Jema

Doug – słyszysz?

Jem parsknął śmiechem, oderwał się od Douga i podskoczył do Gloansy'ego, zamierzył się pięścią i wyprowadził w zwolnionym tempie niby to markowany, ale silny cios na szczękę. Gloansy'emu głowa odskoczyła w tył, spomiędzy jego żabich warg na najbliższej stojących trysnęło piwo. Rehot Jema, górujący nad rzeniem opryskanych facetów, skutecznie przepłoszył wszystkie panie, z wyjątkiem Kristy. Stała nadal obok Deza, usiłując ściągnąć na siebie spojrzenie Douga.

– Panowie, jeszcze mamy! – ryknął Jem i przepchnął się przez towarzystwo do baru, gdzie czekała bateria kilkunastu odkapslowanych high life'ow w butelkach o wysmukłych szyjkach.

Rozeszły się w okamgnieniu, rozdawane naokoło jak karabiny z arsenału podczas niespodziewanego ataku. Jedna, zimna i gładka, trafiła do rąk Douga.

– To wielki dzień Gloansy ego – szepnął mu do ucha Jem – nie bądź ciota.

Doug patrzył na butelkę, na ten znajomy, lodowaty kształt pocący się rosą w jego dłoni. Umknęła mu większa część sprośnego toastu – Jem wygłaszał jakąś tyradę sprowadzającą się do tego, że chociaż małżeństwo i ojcostwo zmienia mężczyznę, on nie wątpi, że Gloansy na zawsze pozostanie dumnym, niezłomnym, stuprocentowym gejem. Zwieńczyła ją kolejna eksplozja pijackiego śmiechu i

stary irlandzki toast: Oby nam się!

Butelka Douga stuknęła z brzękiem o butelkę Jema, który następnie wznosił swoją do sufitu i otworzył przelyk, by duszkiem wydudlić do dna jej zawartość. Wszystkie butelki wokół powędrowały w górę i zostały osuszone.

Tak wyglądało teraz życie Douga: piwo, którego nie wolno mu wypić, fortuna, której nie wolno mu przepuścić, dziewczyna, z którą nie wolno mu się umówić.

To nie pragnienie obruszyło tych kilka pierwszych kamyków, od których zaczyna się lawina, uczyniło to zbrzydzenie samym sobą. Poczucie własnej bezwartościowości. I żywotność przyjaciół sprawiająca, że czuł się przy nich jak zamknięty w pudle, w którym się dusi.

Ktoś wyjął mu butelkę z rąk – maślanooki Dez, dudlący już jego piwo, mrugnął porozumiewawczo. Stojąca za Dezem Krista oderwała się właśnie od pustej butelki i ocierała usta. Kiedy była wstawiona, chciała jak najszybciej wytrzeźwieć; trzeźwa – jak najszybciej się wstawić.

Doug był w połowie szerokości School Street, kiedy usłyszał głos Jema. Zatrzymał się i odwrócił.

– Hej! – doleciało go poprzez strugi deszczu. Jem stał u szczytu ceglanych schodków, przytrzymując drzwi budynku, żeby się za nim nie zamknęły. – Co jest? Gdzie cię niesie?

– Nigdzie – odkrzyknął Doug i ruszył dalej. –
Moja sprawa. Do północy.

Wypisana ręcznie, drukowanymi literami karteczka obok przycisku dzwonka informowała: KEESEY, C. Drzwi otworzyły się szeroko, zaraz potem to samo uczyniły jej oczy.

– Cześć – powiedział Doug. – Nie wybrałabyś się na spacer?

Patrzyła na niego, na jego przemoczony smoking. Była boso – w oczy rzuciły mu się polakierowane na różowo paznokcie u stóp – miała na sobie luźne kasztanowe szorty i miękki szary Tshirt, wszystko to ciepłe i suche. Spojrzała ponad jego ramieniem, tak jakby spodziewała się zobaczyć czekającą przy krawężniku limuzynę z pracującym silnikiem.

– Co tu robisz?

– Przechodziłem i pomyślałem sobie, że wpadnę.

Odsunęła się na bok.

– Wchodź.

Począł na białe kafle sieni, trzymając ręce z dala od siebie jak dwie obwisłe, ociekające deszczówką gałęzie.

– Ściągaj buty – zakomenderowała. – Marynarkę powieś w łazience. – Pokazała palcem kierunek.

Przeszedł w mokrych skarpetkach po cytrynowym dywanie w salonie do łazienki

wyłożonej starą czarną glazurą. Ściągnął z siebie marynarkę i powiesił ją na karniszu jasnoróżowej zasłonki prysznic. Zasłonkę wydymało wilgotne powietrze wpływające tu pod uniesionym na kilka cali przesuwным okienkiem z matową szybą, które wychodziło na złączy deszczem zaułek za domem.

Wrócił w mokrym, lgnącym do ciała ubraniu do salonu i rozejrzał się. Reprodukcyjne na ścianie. Jej dyplomy ze szkoły średniej i collegeu. Niezła wieża stereo Sony na półce z metalowej siatki, obok kilka płyt CD. Przy małej kuchence mały stół śniadaniowy, na połowie blatu, zarezerwowanej na korespondencję, książeczka czekowa i ściągnięty gumką plik rachunków w rozciętych kopertach. Pośrodku wielki kieliszek do wina z pływającym w nim małym różowym kwiatkiem. Doug przyjrzał się kieliszкови uważniej, bo przypominał ten, który niedawno wynieśli wspólnie ze Szpunta.

Wróciła ze swojej sypialni z czystym moherowym ręcznikiem. Już miała mu go rzucić, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Ociekał na jej dywan.

– Bo idiota ze mnie. Skończony dureń.

– Łap, skończony durniu. – Rzuciła mu ręcznik.

Ukrywał w nim przez moment twarz, potem zabrał się do wycierania włosów. Osuszanie przemoczonych do suchej nitki spodni miało się z

celem.

– Chyba nie powinienem tu przychodzić.

– Bez zapowiedzi? Zachlapywać mi deszczówką mieszkanie? Nie, chyba nie powinieneś. Ale skoro już jesteś, to siadaj.

– Na pewno?

– Siadaj.

Przycupnął na samym brzeжку obitej beżową skórą sofę ostrożnie, żeby jej zbytnio nie zmoczyć. Usiadła naprzeciwko na okolicznościowym stolyczku, zacisnęła dłonie na krawędziach blatu.

– Sprzed ołtarza uciekłeś?

Uśmiechnął się na myśl o takiej ewentualności.

– Nie, z wesela.

– Swojego?

– Nie.

– Dziewczyna cię kantem puściła.

– Miałaby do tego pełne prawo, gdybym z jakąś na nie przyszedł.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy i chyba uznała, że raczej nie kłamie, ale jeszcze nie do końca dowierzała swojemu wewnętrznemu wariografowi.

– Patrz i podziwiaj, jak szampańsko się bawię w ten niedzielny wieczór. Co to za nowa moda chodzenia na wesela samemu? Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, zerwała się ze stoliczka i wyrzuciła przed siebie ręce, zamykając mu

tym gestem usta.

– Wiesz co? Nic lepiej nie mów. Nieważne. Bo ja wysiadam. Znudziła mi się ta zabawa w umawianie się, w czekanie na telefon. ,

– Ja się w nic nie bawię...

– W końcu zrozumiałam, że życie wydaje mi się takie nieułożone, bo ja nawet nie próbuję go ułożyć. I to się musi zmienić.

– Posłuchaj, nie... mogę ci coś wyznać? Ja tak samo nie mogę dojść ze sobą do ładu. Kiedy stałem teraz pod twoimi drzwiami... nie, za każdym razem, kiedy mam cię znowu zobaczyć, mówię sobie: „Zaraz się przekonasz, że ona wcale nie jest taka ładna, jak ją zapamiętałeś. Taka słodka. Taka wspaniała”. I za każdym razem spotyka mnie miłe zaskoczenie.

Patrząc w podłogę, zdmuchnęła pasemko włosów opadające na oczy.

– Chyba masz prawo, żeby tak o mnie myśleć – powiedziała, podejmując grę.

– Próbuję cię jakoś zdyskredytować w swoich oczach. Nie miej mi tego za złe... to tylko poszukiwanie sposobu na wybicie sobie ciebie z głowy. Przeżywanie rozstania, zanim jeszcze... czy to jakaś odchyłka?

– Nie – mruknęła. – Nie, dobrze to znam.

Odnosił wrażenie, że siedzi w kałuży, nie na sofie.

– Przepraszam, że tak tu wparowałem. To było

nieważne. Jak chcesz, żebym sobie poszedł, to powiedz.

Zastanawiała się przez chwilę, potem sięgnęła po ręcznik. Pomyślał, że daje mu w ten sposób do zrozumienia, że ta chwila właśnie nadeszła, ale ona zarzuciła mu ręcznik na mokre włosy i zaczęła je wycierać z zapamiętaniem. Skończywszy, opadła na sofę obok niego, a on ściągnął sobie ręcznik z głowy na szyję.

– Widziałam cię wczoraj na zdjęciu – powiedziała.

Zamarł. Nie miał pewności, co oznacza ten nikły uśmiezek błakający się po jej wargach.

– Boże, wyglądasz tak, jakbyś się chciał pod ziemię zapaść – zauważyła. – Aż tak źle na tym zdjęciu nie wyszedłeś. Wisi na ścianie w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt. Grasz na nim w hokeja.

A już myślał, że chodzi o jakąś fotografię z policyjnej kartoteki albo pstrykniętą z ukrycia w ramach inwigilacji.

– Jezu. O nie chodzi – wykrztusił z ulgą.
– Mają tam galerię portretów miejscowych sław.
– Daj spokój... – Teraz się krygował.
– Jesteś na tym zdjęciu w kostiumie Bruinsów.
– Bruinsów z Providence. To niższa liga.
– Przyjęli cię do drużyny. Grałeś zawodowo w hokeja?

– Jakiś czas.

Czekała.

– I co?

Czuł teraz klimatyzację, koszula i spodnie robiły się coraz zimniejsze.

– Nie sprawdziłem się.

Odczytała z jego twarzy żal.

– Rozumiem... A to było dla ciebie wszystkim, prawda?

– Szczerze mówiąc, było jeszcze gorzej. Wyleciałem z hukiem. Za bójkę z chłopakiem z mojej drużyny.

– Z własnej drużyny? – Prawie się uśmiechnęła.

– Był ode mnie lepszy. Teraz to przyznaję. Niewiele lepszy... ale nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto miałby większe niż ja wrodzone zdolności. Grał ze mną w ataku, zdobywał bramki, sama finezja, i oczekiwał ode mnie, że będę mu wypracowywał sytuacje strzeleckie. Odwalał za niego czarną robotę, narażał się na ławkę kar, a on będzie tylko strzelał bramki i zbierał laury. A trener temu przyklaskiwał, cała drużyna nastawiana była na granie pod tego chłopaka, żeby zauważyli go ci łowcy młodych talentów z zawodowej ligi. Nie pamiętam już, co konkretnie tak mnie tamtego dnia wyprowadziło z równowagi. To się we mnie zbierało od dłuższego czasu. Podejrzewam, że on jeszcze nigdy nie brał udziału w bijatyce na lodowisku. Dosięgnął mnie tylko jeden raz, kiedy mnie od niego

odciągali. Kopnął mnie łyżwą.

Dotknęła blizny, która przecinała mu łuk brwiowy.

– To stąd ta...? r

– Tak. Naznaczony na całe życie.

Pamiętał, jak następnego dnia przywłókł się skacowany na trening i jak trener podszedł do niego w szatni i powiedział, żeby się nie przebierał. Potem długa wędrówka na górę do gabinetu kierownika, gdzie czekał już jego agent. Z okien gabinetu roztaczał się widok na taflę lodowiska i Doug obsobaczany przez wymachującego nieprzypalonym tiparillo kierownika patrzył, jak drużyna trenuje. Dolary i rozsądek – ile to Doug kosztował klub i jakim brakiem rozsądku się wykazał. Mimo to nie wypieprzą go jeszcze na zbity pysk, dadzą mu ostatnią szansę. „Weź trochę wolnego, młody, i zastanów się nad sobą. Dbaj o formę i nie pakuj się w kłopoty”. Za parę miesięcy przyjmą go z powrotem. Ale Doug wrócił do domu, do Town, rozjuszony, owładnięty wolą autodestrukcji. Spiknęli się z Jemem, zrobili razem ten skok z pistoletem do wbijania kołków. Agent powiadomił go listownie, że nadarza się okazja podpisania kontraktu na grę na Węgrzech albo w Polsce. Doug nawet do faceta nie oddzwonił.

No nic, pomyślał, wspominając teraz tamten epizod swojego życia przy siedzącej obok Claire.

Miałeś nauczkę. Nie przestrel teraz.

– Wiesz – powiedziała – kiedy otworzyłam drzwi i cię zobaczyłam, to w pierwszej chwili pomyślałam, że znowu zacząłeś pić.

Doug uśmiechnął się ze smutkiem, ale i z determinacją, wspominając weselny toast, podczas którego o mało się nie złamał. Pokręcił głową.

– Pić nie. Myśleć.

– I pomyślałeś sobie pewnie, że jak się tu pojawisz, to nagroda cię nie minie.

– Ha! – prychnął. – Jak w ogóle możesz... kurczę. Nieprawda. No, chyba że masz dla mnie jakąś.

Nie usłyszał nawet kurtuazyjnego chichotu. Żartował tylko w siedemdziesięciu procentach, a jej oczy wyraźnie zachęcały te pozostałe trzydzieści do pójścia na całość.

– Po co tu tak naprawdę przyszedłeś? – zapytała. Trudne pytanie, kłopotliwe.

– To przyjęcie weselne, z którego się urwałem, było bardziej przyjęciem pożegnalnym. Moim.

Kiwnęła głową, ale chyba nie zrozumiała. Czekwała na doprecyzowanie.

– Pozwól, że cię o coś spytam – ciągnął. – Czy uważasz mnie za swojego chłopca?

Uśmiechnęła się, słysząc to określenie.

– Chłopca? Nie miałam chłopca od szóstej klasy podstawówki.

– No to za faceta? Mam szansę?

– Nie wiem. – Patrzyła mu prosto w oczy, powieka jej nawet nie drgnęła. – Chcesz spróbować?

To pytanie zawisło między nimi w powietrzu, jej oczy dopingowały go, żeby się odważył. I odważył się. Całował ją tak długo, jak długo mógł wstrzymać oddech, potem się odsunął. Dostał odpowiedź na swoje pytanie.

– Po to właśnie przyszedłem.

INWIGILACJA

Podczas prowadzenia inwigilacji obowiązuje prawo Murphy'ego: niezabranie ze sobą aparatu fotograficznego to gwarancja, że wydarzy się coś wartego sfotografowania.

Siedząc w ten dżdżysty niedzielny wieczór Desmonda Eldena, zapuścili się pod kościół Świętego Franciszka Salezego wznoszący się na szczycie prawdziwego Bunker Hill (słynny monument stoi w rzeczywistości na szczycie Breed's Hill; Dino zapewnił Frawleya, że to długa historia) i trafili tam na majowy ślub z Magloanem, złodziejem samochodów, w roli pana młodego. Frawley uznał, że wchodząc do kościoła, za bardzo by ryzykowali, czekali więc z Dinem na zewnątrz, a kiedy ceremonia dobiegła końca, zjechali za jej uczestnikami ze szczytu pod siedzibę Stowarzyszenia Weteranów Wojen Cudzoziemskich, wolno stojący budynek u stóp wzgórza, na tyłach Foodmastera.

Zaparkowali na School Street i czekali tam w taurusie do przybycia ostatniego z weselników, skryci za jasnoniebieskim escortem z nazwiskiem jakiegoś fotografa naniesionym złotymi literami na bocznej szybie. Mieli stamtąd niezły widok na

wejście, mżawkę z przedniej szyby zgarniały co piętnaście sekund wycieraczki. Za budynkiem stowarzyszenia majaczyła wysoka, szeroka ściana miasta.

– Mówią, że deszcz w dzień ślubu to dobra wróżba – wymruczał Dino.

– A gradobicie jeszcze lepsza.

– Za to najgorzej wróży pięćdziesięcioletnia susza. Wolność ci niemiła, zafunduj sobie małżeńską sielankę.

– Zadzieram kiecę i lecę.

Od tamtej próbnej randki Frawley już kilka razy rozmawiał z Claire Keeseey, raz umówili się nawet na drinka w Rattlesnakeu, ale wieczorny napad na bank Abington – zdesperowany ćpun na takim głodzie i tak przejęty rolą, że w trakcie przeskakiwania przez kontuar obrzygał własny pistolet – zmusił Frawleya do odwołania w ostatniej chwili tego spotkania. Sądząc z jej słów, notoryczny podrywacz usunął się ze sceny.

Wycieraczki wytarły przed chwilą przednią szybę do czysta z kropelek dżdżu, Frawley obserwował przez nią gościa w czerni, który bez parasola i bez płaszcza wyszedł z budynku i zbiegł po schodkach na ulicę.

– Ach, to twoje pokolenie. – Dino westchnął z uśmiechem. – Tak na zimne dmucha. Tak się boi małżeństwa. Ale zaproponować jednemu z drugim

skok ze spadochronem, to oni na to jak na lato.

– Weź machnij jeszcze raz tymi wycieraczkami, Dino – mruknął Frawley.

Dino posłuchał. Gość w smokingu przechodzący przez ulicę zatrzymał się właśnie na środku jezdni, odwrócił i rozmawiał z facetem w samej koszuli, który wyszedł za nim z budynku i stał teraz u szczytu schodków, przytrzymując drzwi.

– To MacRay – powiedział Frawley.

– Który? Ten na jezdni?

– Tak myślę. A ten drugi to Coughlin.

Dino opuścił szybę od swojej strony, ale szum deszczu zagłuszał rozmowę. Nie wyglądało to na kłótnię, ale na pogodną „To na razie” też nie wyglądało. MacRay ruszył dalej, Coughlin patrzył za nim przez kilka chwil, potem wycofał się z powrotem do środka.

– No i co? – spytał Dino.

Frawley obserwował MacRaya skręcającego z głową wciśniętą w ramiona na parking centrum handlowego przed 99 Restaurant.

– Nie wiem. Do domu ma w tamtą stronę. – Pokazał kciukiem wzgórze za nimi.

– Może wyskoczył po fajki? Co my tu w ogóle robimy? Chyba nie urwą się z własnego wesela, żeby wyciąć jakiś numer.

Frawley naciągał swoją czerwoną pelerynę.

– Ty już jesteś wolny, Dean. Ja tu wysiadam.

– Na pewno?

– Kieruje się w stronę portu marynarki wojennej. Zobaczą, dokąd idzie, i wrócę do domu sam.

– Jak chcesz – mruknął Dino.

Frawley wysiadł z taurusa – deszcz zawsze wygląda na bardziej rześisty, niż jest w istocie – i pobiegł w kierunku parkingu przed centrum handlowym. Żałował, że człowiek, za którym podąża, to nie Coughlin, bo ten jasnooki oprych najbardziej pasował mu tutaj na prowodyra. Wystrojonego w smoking MacRaya trudno było stracić z oczu i Frawley, idąc za nim przez parking w kierunku następnej ulicy, a potem wspinając się wąską uliczką przebiegającą obok lodowiska, mógł spokojnie utrzymywać bezpieczną odległość bez obawy, że zgubi faceta.

Kiedy zbliżali się do placyku, gdzie zbiegało się pięć ulic, Frawleyowi zaczęło coś świtać. Odpędzał jednak od siebie to podejrzenie i dopiero na wysokości Packard Street w jego głowie odezwały się dzwoneczki alarmowe. Jednak nadal nie dopuszczał do siebie tej myśli, nawet kiedy MacRay zatrzymał się wreszcie przed jakimiś drzwiami. Frawley obserwował go z narożnika i pod tym kątem nie mógł stwierdzić z całą pewnością, czy to dom, w którym mieszka Claire Keeseey.

Odetchnął z ulgą, kiedy MacRay, przestąpiwszy kilka razy z nogi na nogę, ruszył dalej – ale ten zrobił

tylko parę kroków i zawrócił. Frawley obserwował go, jak spaceruje tam i z powrotem, stojąc pod dziurawą rynną. Spływająca z dachu deszczówka lała mu się za kołnierz.

MacRay ponownie wszedł na ganek i nacisnął guzik dzwonka. Drzwi się otworzyły. Po wymianie paru słów MacRay został wpuszczony do środka i drzwi się zamknęły.

Frawley, nie zważając na kałuże, podbiegł tam chodnikiem, wspiał się na te same trzy kamienne schodki, na płytce z guzikami dzwonek znalazł ten wilgotny, przed chwilą naciskany, i odczytał przypisane mu nazwisko: KEESEY, C.

Stał tam przez chwilę oniemiały. Wpuściła MacRaya – jednego ze złodziei, którzy napadli na jej bank i zabrali ją na przejażdżkę jako zakładniczkę. A on, Frawley, uznał ją za czystą. Wyeliminował z kręgu podejrzanych, z całym przekonaniem. Próbował umawiać się z nią na gruncie towarzyskim.

Dał się wyrolować? Pozwolił się tym skurwielom wyprowadzić w pole? Czy ona – kto jak kto, ale właśnie ona – przez cały czas robi go zwyczajnie w konia?

Notoryczny podrywacz.

Gdyby te drzwi się teraz otworzyły, stanęliby z nim oko w oko. Pragnął tego. Chciał, żeby go zobaczyli, chciał, żeby się dowiedzieli, że on wie, że widział ich razem. A potem...

Nie, wróć to tempo – wcale tego nie chciał.

Złote litery alfabetu nalepione na szybę mieszkania na pierwszym piętrze szeregowca w Brighton układały się w napis: GARY GEORGE ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY, a mniejsze, poniżej, informowały: PROFESJONALNE PORTRETY – ZDJĘCIA PASZPORTOWE – FACHOWO.

Frawley wsunął rękę przez pręty kraty z kutego żelaza zabezpieczającej okno mieszkania w suterenie i zapukał w szybę. Widział przez nią – z lotu ptaka, można by rzec – salon, a w nim Hindusa w spodniach od dresu i Tshircie zwiniętego w kłębek na sofie, wtulonego w swoją przyjaciółkę, wpatzonego w telewizor, w którym leciał mecz piłki nożnej. Spojrzeli z paniką w oczach na odznakę Frawleya, facet zeskokczył z sofy i wdusił przycisk zdalnego otwierania drzwi.

Terakotowa posadzka w sieni była spękana, ale czysta. Kibic piłki nożnej wdrapał się po schodach z sutereny sam, boso, zdenerwowany.

– Wszystko w porządku – uspokoił go Frawley, pokazując jeszcze raz legitymację razem z odznaką i odsyłając z powrotem na dół. – Dziękuję za wpuszczenie, o to mi tylko chodziło.

Wszedł na piętro, odnalazł drzwi z nazwą zakładu, również wyklejoną samoprzylepnymi literkami na skrzynki pocztowe. Zapukał i usłyszał

skradające się kroki zbliżające się do drzwi od tamtej strony.

Przystawił legitymację do wizjera.

– FBI, otwierać.

Drzwi uchyliły się na dwa cale, na długość zabezpieczającego je łańcucha. Skóra dłoni zaciśniętej na gałce od wewnątrz była lśniąca i zaróżowiona, tak jakby fotograf szorował ją przez cały wieczór.

– To jakiś żart...?

Frawley pchnął ramieniem drzwi, łańcuch naprężył się i puścił, jego ogniwa zabrzęczały jak rozsypane dziesięciocentówki, gałka uderzyła o coś z hukiem.

Zbaraniały fotograf zatoczył się do tyłu. Był w kusym niebieskim szlafrocze z aksamitu, pod którym nic nie miał. Frawley wiedział, że nic pod nim nie ma, bo kiedy siła uderzenia odrzucała gościa od drzwi, poły szlafrocza się rozchyliły.

Frawley, wyładowawszy się na drzwiach, trochę się odprężył.

– Zrób coś z tą golizną, Gary – powiedział.

Gary George skwapliwie osłonił połamami swoje wdzięki.

– Nie wolno tu panu wchodzić bez nakazu przeszukania.

– Bez nakazu przeszukania nie wolno mi tylko zabezpieczać dowodów – pouczył go Frawley,

zamykając za sobą drzwi. – Ale żeby wejść, gdzie mi się żywnie podoba, na ogół potrzebuję tylko tego... – pokazał mu legitymację z odznaką – ...i tego... – odchylił połę marynarki, odsłaniając sigsauera w kaburze pod pachą. – To zazwyczaj wystarcza.

Złote włosy, za dnia zaczesane do tyłu i trzymające się na lakierze, teraz opadały Gary’emu George’owi na twarz smętnymi bądylami, łaskocząc końcami policzki. Gary zawiązał na supeł pasek szlafrocza. Frawley wyczuł woń kadzidełek.

– Mam dzisiaj kiepski dzień, Gary – ciągnął – nie przesadzam. Uczciwie cię uprzedzam, żebyś miał to na uwadze i dodatkowo mi go nie pogarszał. Obskakiwałeś dzisiaj wieczorem wesele w Charlestown. Jak się tam wkręciłeś?

– Nie musiałem.

– To kto ci naraił tę chałturę?

– Przyniosłem im kwiaty.

– Kwiaty przyniosłeś.

– Nie od siebie, oddałem komuś przysługę.

Skojarzenie poraziło Frawleya jak grom z jasnego nieba.

Kolana się pod nim ugięły.

– Niech no zgadnę – Fergiemu Kwiciarzowi?

Milczenie Gary’ego George’a mówiło samo za siebie.

– Fergusowi Colnowi, gangsterowi i handlarzowi narkotyków z Charlestown? Fest figura, Gary, komuś

takiemu warto się przysłużyć. – Podszedł bliżej, przyjrzał się źrenicom Gary’ego George’a. – Grzałeś przed chwilą?

Gary był zbyt otumaniony, żeby iść w zaparte.

– Bez komentarza.

– Chcę mieć te zdjęcia, które dzisiaj pstryknałeś. Grupowe fotografie z wesela. Wszystkich smokingowców. Za odbitki zapłacę, a jak wszystko gładko pójdzie, to może nawet dorzucę ze dwa dolce za ten wyrwany łańcuch przy drzwiach. Stoi?

Po chwili zastanowienia Gary George kiwnął głową.

– I tak trzymać, Gary. Na razie dobrze nam idzie. Gdzie masz ciemnię, w łazience?

Frawley spacerował wśród instalacji nastrojowego oświetlenia, kurtyn z paciorków w przejściach między pomieszczeniami i aksamitnych pokrowców na meble, czekając, aż Gary George upora się z powierzonym mu zadaniem. Jedną ze ścian zdobił gigantyczny studyjny portret modela w czarnej, przyszyżonej na pazia peruce, z długim sznurem koralu na szyi i w sukience podlotka. W modelu Frawley rozpoznał, a jakże, samego Gary’ego George’a. W kuchni znalazł cztery kopące laseczki kaczki i wyrzucił je jedną po drugiej przez okno na deszcz. Gniew znowu zaczynał w nim wzbierać, kiedy pomyślał o MacRayu siedzącym sobie teraz wygodnie u Claire Keeseey, podczas gdy on czeka w

tym buduarze kokoty na przyćpanego zboczka, którego rajcują przebieranki w damskie ciuszki.

– Co jest? – warknął, kiedy po półgodzinie Gary George wynurzył się z łazienki z pustymi rękami.

– Mała przerwa na dymka.

Frawley wepchnął go z powrotem do łazienki i zatrzaskał za nim drzwi.

Po jakimś czasie znowu się otworzyły i tym razem Gary George wyszedł z łazienki z izolowanymi gumą szczypcami, w których trzymał ociekające jeszcze wodą odbitki. Frawley przestudiował uważnie upozowane zdjęcie grupowe, na którym kilkoro weselników siedzi przy stole, a za nimi stoją nowożeńcy. Ten ostatni po prawej to Elden. Ten bliżej środka, z oczami jak paciorki i butelką piwa w połowie drogi do ust, to Coughlin. Ale MacRaya ani śladu. Nie było go też na żadnym z pozostałych zdjęć.

– Taki postawny gość – spróbował Frawley. – Trochę przypłaszczony nos, skudlone włosy.

– To wszyscy w smokingach, jakich mam. Towarzystwo nie za bardzo chciało się fotografować.

Frawley jeszcze raz przyjrzał się grupowemu zdjęciu. Ta ciemna blondynka w obcisłej czarnej sukni... Było w niej coś wyzywającego, to pewnie ta siostra Coughlina, która mieszka z nim i MacRayem. Oczy Coughlina.

– Może jest na wideo – podsunął Gary George.

Frawley spojrział na niego i patrzył tak, dopóki Gary

George nie zaskoczył.

Wystartowali równocześnie i przez paciorki w drzwiach wpadli do dużego pokoju. Frawley wyrwał Gary'emu George'owi kamerę wideo z rąk i wysunął z niej nieopisaną jeszcze kasetę VHS.

– Do zwrotu – zastrzegł Gary George.

Frawley wcisnął mu w rękę dwudziestkę i rzucił wszystko, co wygrzebał jeszcze z portfela, na okrągły, przykryty koronkową serwetką stoliczek na przybory do szycia.

– Piśnij komuś słówko, Gary, a wrócę tu z nakazem rewizji pod kątem narkotyków, parą grubych rękawic, i zrobię ci w tym gniazdku taki kipisz, że się nie pozbierasz. Zrozumiano?

Gary George przeliczył banknoty.

– Tu jest tylko trzydzieści siedem dolarów.

Ale Frawley był już na korytarzu i zmierzał wyciągniętym krokiem ku splekanym schodom, a po głowie tłukło mu się tylko jedno: MacRay, MacRay, MacRay...

Część III

ZŁY

POPCORN

Kierownik, Cidro Kosario, przyjechał zakurzoną niebieską cressidą ze szwankującym tłumikiem. Zaparkował tam gdzie zawsze, po zachodniej stronie The Braintree 10, rozłożył na desce rozdzielczej i na tylnej półce srebrne osłony przeciwsłoneczne, zamknął samochód i kręcąc na palcu młynka kluczykami, skierował się spacerowym krokiem ku drzwiom. Kiedy wsuwał klucz w dziurkę, zza kontenera na śmieci wyszedł Doug.

– Cześć, Cidro.

Cidro zamarł. Zobaczył ich upiorne fizjonomie, zobaczył wycelowane w siebie pistolety i oczy stanęły mu w słup.

Do Douga doszłusował już Jem.

– Wpadliśmy na popcorn.

– Wchodzimy – warknął Doug.

Cidro otworzył drzwi, dłoń Douga obleczona w rękawiczkę wepchnęła go do środka. Włączył się świdrujący uszy sygnał ostrzegawczy, na wpuszczonej w ścianę klawiaturze instalacji alarmowej zaczęła migotać lampka. Jem zatrzęsął drzwiami i nachylił się do Cidra.

– Jak chodzi ci teraz po łbie, żeby wstukać kod

alarmu, to nic z tego, bo założę się, że go zapomniałeś.

– I lepiej sobie nie przypominaj – dorzucił Doug.

Cidro nie wyglądał aktualnie na kogoś, kto jest w stanie cokolwiek sobie przypominać. Zaryzykował jeszcze jedno szybkie zerknięcie na ich twarze – tak, to działa się naprawdę – potem wbił wzrok w geometryczny wzór ciemnej wykładziny i wpatrywał się tak w nią przez następne parę godzin.

Gdy byli dziećmi, Doug i jego koledzy uważali Halloween za święto numer jeden. Na Boże Narodzenie dostawało się prezenty, w Dzień Niepodległości były race i sztuczne ognie, ale tylko w Halloween mogli się poczuć przestępcami: nosić maski, szwendać się po nocy, wymuszać okupy.

Gloansy, w swoim legalnym wcieleniu trudniący się dorywczo statystowaniem w charakterze kierowcy w lokalnych produkcjach filmowych, zawsze coś tam z planu podwędził. A to jakiś rekwizyt, a to kabelek, a to kanapkę – co tylko można było skonsumować na miejscu albo bez kłopotu wynieść. Z planu filmu Malice z Alekiem Baldwinem podprowadził kasetę z zestawem do charakteryzacji wyglądającą jak wielkie pudło na przybory wędkarskie, którą Doug uzupełnił potem o cały stojak halloweenowych kostiumów z wyprzedaży.

Jem i Doug, siedząc w skradzionym caravanie, ucharakteryzowali przed lusterkami twarze godzinę

przed przyjazdem Cidra. Zrobili to, żeby nadać sobie wzbudzający grozę wygląd, a przy okazji zabezpieczyć się przed rozpoznaniem. Jem nałożył sobie na nos i policzki aplikację gargulca, przyprawił podbródek staruszka, uwypuklił na wzór stwora Frankensteina łuki brwiowe i przykleił klaunowy czerwony wąsik. Wyglądał jak zmutowany człowiekpies i kiedy odwrócił się do siedzącego z tyłu Douga ciekaw jego opinii, ten jęknął:

– Jezu, brzydszyś dwa razy od gówna. Swoją forszę też ci oddam.

Doug upodobnił się do czegoś pośredniego między ofiarą spalenia a brzydalem cierpiącym na postępującą chorobę skóry. Mieli na sobie niebieskie kombinezony serwisantów naciągnięte na kuloodporne kamizelki, a na głowach czapki od kompletu. Do tego jeszcze błękitne lateksowe rękawiczki i szerokie, lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Doug był uzbrojony w berettę, Jem w glocka 9.

– Wprowadź kod wyłączenia instalacji – zakomenderował Doug, zaciskając dłoń na ramieniu Cidra. – No już.

Kierownik kina wykonał polecenie – pięć liczb, sygnał dźwiękowy obcych z Bliskich spotkań trzeciego stopnia. Sygnał ostrzegawczy pisnął jeszcze dwa razy i ucichł, światelko na klawiaturze zgasło.

Cidro Kosario był mieszkańcem – pół

Portugalczykiem, pół czarnym – ponurym, młodym człowiekiem o krótkich, kręconych włosach, orlim nosie i niemal srebrnej skórze. Podczas napadów porządnie namieszać potrafią dwa typy obywateli – panikarze i bohaterowiekinomani własnego chowu utożsamiający się z filmowymi supermanami. Świadomy tego Doug sprawdził wcześniej Cidra pod kątem przynależności do którejś z tych grup.

– Twój dzidzius, Cidro, to chłopczyk czy dziewczynka?

– Dziewczynka... a... a co? – Niewiele brakowało, a znowu spojrzalby na nich.

Przyjrząwszy się Cidrowi i jego niskiej żonie, spacerującym z dziecięcym wózkiem w okolicach budynku mieszkalnego w Quincy, Doug doszedł do przekonania, że kierownik nie przysporzy im żadnych kłopotów.

– Dziewczynka, też ładnie. – Ciężka dłoń Douga spoczywała nadal na chudym ramieniu mężczyzny. – Ale do rzeczy. To jest napad, okay? Jak wszystko pójdzie gładko, już nas więcej nie zobaczysz. Nic ci się nie stanie – ani im – jeśli będziesz współpracował i robił, co ci się każe.

Doug wyczuł, że mężczyzna zaczął drżeć.

Jem odebrał Cidrowi klucze i mruknął do walkietalkie:

– Jesteśmy w środku.

– Zrozumiałem – odpowiedział mu głos

Gloansy'ego.

Weszli przez wewnętrzne drzwi dla personelu kina do jaśniejszego holu centralnego. Ciche kino za dnia kojarzyło się Dougowi z porankami, na które chodził w dzieciństwie.

– Kiedy przyjeżdża bankowóz po pieniądze? – spytał Doug.

Cidro krzywił się, skręcał, przysiadł.

– Za jakieś półtorej godziny, tak? – odpowiedział sam sobie Doug.

Dziwnie oddychający Cidro spróbował kiwnąć potakująco głową.

– Co, srać ci się zachciało? – domyślił się Doug.

Cidro wstrzymał oddech i zastygł z twarzą wykrzywioną w maskę nieopisanego cierpienia.

– Twoje szczęście, że mamy czas. Dojdiesz?

Doug, z pistoletem wymierzonym w Cidra, czekał pod ścianą naprzeciwko kabiny dla niepełnosprawnych. Cidro miał sraczkę. Siedział ze spodniami opuszczonymi do kostek na sedesie i obejmując rękoma gołe kolana, rznął w muszlę jak chory.

– No, dosyć tego dobrego, podcieraj się – mruknął Doug. Wyraz upokorzenia na twarzy Cidra był autentyczny, chłopięcy. – Już? To teraz zajrzyjmy do biura.

Prąd powietrza odrzucił czekającego pod toaletą

Jema od otwierających się drzwi.

– Uuu! Przeczyściło.

Poprowadzili Cidra za podklejony tekturą tryptyk z Dnia Niepodległości do zamkniętych na klucz drzwi biura kierownika. W biurze znajdował się wpuszczony w podłogę mały sejf wrzutowy z dwoma zamkami przypominającymi oczy nad znudzonym uśmiechem szczeliny na depozyty.

– Skoro już tu jesteśmy, to może dałbyś nam od razu kluczyk od tego sejfiku? – zaproponował Doug.

Cidro wyjął klucz z kasetki na pieniądze pełnej znaczków i czystych kopert, wyciągniętej z głębi szuflady biurka. Kwity złożonych przez weekend depozytów, przyklejone paskami papierowej taśmy klejącej do podkładki na biurko, czekały tylko na wpisanie do leżącego obok formularza kontrolnego i przetelefonowanie. Doug przebiegł wzrokiem widniejące na nich kwoty. Całkiem nieźle.

Ruszył na obchód pomieszczenia, konfiskując po drodze wszystko, co potencjalnie mogłoby posłużyć za broń, a tymczasem Jem wyrywał z gniazdek przewody telefoniczne i ciął je na kawałki.

– O której ściąga do pracy dzienna zmiana?

Cidro zerknął na ścienny zegar i zawahał się. Doug nie dał mu czasu na skłamanie.

– Około jedenastej piętnaście, tak? – spytał, rekwirując kolejno nożyczki – gadżet reklamowy od Edwarda Nożycorękiego – nożyk do przecinania

papieru od Mojej Ameryki, ciężki przycisk do papieru od Jurassic Park. – Dobra, wychodzimy stąd. Ty kładziesz się na dywanie w holu, na brzuchu. Poleserujemy sobie trochę.

Cidro zrobił, co mu kazano. Legł w holu uchem do podłogi, twarzą od nich, z rękoma skrępowanymi w nadgarstkach plastikową opaską.

Doug siedział spokojnie przy kontuarze kiosku z cukierkami, za to Jema nosiło. Snuł się po holu, oglądając afisze i wolno stojące kartonowe postery reklamowe i studiując z bliska twarze gwiazd, tak jakby próbował dociekać, co w nich takiego, czego jemu brakuje. W końcu mu się to znudziło, wziął ze szklanej półki pudełeczko goobersów za dwa i pół dolara, otworzył je i zaczął wrzucać sobie do ust jednego po drugim.

– Pierwszy na horyzoncie – zaskrzeczało radio głosem Gloansyego.

Na zegarku Douga była 11.12.

– Cidro – powiedział, przecinając leathermanem opaskę zaciśniętą na przegubach kierownika. – Wstaniesz teraz i wpuścisz swojego pierwszego pracownika z dziennej zmiany. Leżąc tutaj, miałeś sporo czasu na przemyślenia, i mam nadzieję, że nie marnowałeś go na kombinowanie, jak by tu ostrzec swoich podwładnych albo nawiać nam, kiedy już otworzysz tamte boczne drzwi, tylko poświęciłeś w całości myśleniu o swojej rodzinie i swoim

mieszkań numer jedenaście na czwartym piętrze Livermore Arms.

Cidro wpuścił pierwszego pracownika, potem drugiego, trzeciego, czwartego i piątego – obyło się bez incydentów. Starszy kinooperator chwycił się za serce na widok mutanckiej mordy Jema, ale kiedy położyli go razem z innymi na podłodze i skrupowali, od razu poczuł się lepiej.

– Nie filować mi, kurwa, jeden z drugim w tę stronę! – wyrzaskiwał co parę minut Jem, żeby przypadkiem nie zapomnieli, że to nie przelewki. Doug zaprowadził Cidra do frontowych drzwi wejściowych, żeby je jak zwykle otworzył, potem zamknął z powrotem na klucz te wewnętrzne, odprowadził Cidra w głąb holu, kazał się położyć i czekać.

Jem wykończył goobersy i zabrał się do popcornu.

– Za gładko, kurwa, idzie, stary – syknął do Douga i znowu zaczął krążyć po holu jak tygrys po klatce. Nie chodziło bynajmniej o jakieś złe przeczucia w związku z takim stanem rzeczy. Był po prostu wkurzony, że nie dzieje się nic, co by go rajcowało. Kiedy gładko szło, nie miał z tego żadnej radochy.

Radio zachrypiało znowu o 11.27.

– Jogurciarz.

Doug podszedł do przyciemnianych drzwi holu i

zobaczył w oddali, na samym skraju parkingu, białego neona i Jogurciarza gramolącego się ze swoim lunchem na maskę.

I znowu głos Gloansy'ego:

– Jest. Jedzie w waszą stronę.

Doug ziewnął, wciągając w płuca tlen, żeby nasycić nim krew zasilającą jego serce, jego mózg. Dobrze znany lęk rozkosznie narastał. Jem został przy odpoczywających pracownikach kina, Doug poderwał Cidra na nogi i trzymając go na muszce pistoletu, wyjaśnił, jak to będzie przebiegało.

Usłyszeli zgrzyt hamulców zatrzymującej się przed budynkiem konserwy i podobne do pierdnięcia westchnienie pneumatyki.

Głos Gloansy'ego zmienił się teraz, nabrał soczystości, werwy.

– Jest szlaban. Można zaczynać.

Znaczyło to, że Gloansy zastawił Forbes Road – jedyną drogę, jaką można było stąd wyjechać – pudełkowatą, zieloną ciężarówką dostawczą „Boston Globe”, którą podwędził tego ranka – w pierwszych godzinach swojego miesiąca miodowego – z South Boston.

Doug oddał Cidro klucze, a sam wsunął się za tekturową figurę ze Striptizu.

Do drzwi zbliżył się jakiś cień. Klucz zastukał w szybę.

– Idź – szepnął Doug i Cidro poszedł, zagmerał

kluczem w zamku i wpuścił siwowąsego konwojenta ciągnącego za sobą wózek na kółkach. Plakietka identyfikacyjna przy kołnierzu, emblemat na ramieniu, wielka odznaka przypięta do kieszonki koszuli, pistolet w kaburze, czarne słuchawki w uszach.

– No, jak tam dzisiaj humorek? – spytał konwojent nonszalancko, od niechcienia.

– Dobrze – zapewnił go Cidro bez entuzjazmu.

– To się cieszę.

Cidro wpatrywał się w niego przez chwilę, potem konwojent odstąpił w bok i czekał, aż Cidro zamknie drzwi na klucz.

– W środku, i wszystko w normie – powiedział głośno konwojent. Potem, już mniej mechanicznym tonem, zwrócił się do Cidra: – Ciężki weekend, co?

Cidro znowu tylko na niego patrzył.

– Albo może dzidzius nie dał pospać? Taaa... byliśmy, widzieliśmy.

Cidro kiwnął głową.

– Okay – bąknął i ruszył przodem w kierunku biura.

Doug wysunął się z berettą w dłoni zza tekturowej Demi Moore, zastępując konwojentowi drogę. Konwojent stanął jak wryty, ogarniając wzrokiem wszystko naraz, pistolet, czapkę, okulary, twarz – w głowie świtało mu już NAPAD! – ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć albo chociaż

puścić rączkę wózka, lufa beretty była już przy jego twarzy, jak osa na nosie.

Doug odpiął patkę kabury przy pasie konwojenta, wyrwał z niej trzydziestkęósemkę. Pojawił się Jem i odciągnął Cidra, następnie Doug przekazał Jemowi pistolet konwojenta, a Jem jemu walkietalkie i klucze Cidra.

Adrenalina sprawiła, że głos Douga zabrzmiał donośnie i obco:

– Do Arnolda Washtona – rzucił w kierunku mikrofonu na piersi konwojenta – kierowcy furgonetki. Twoja żona ma na imię Linda. Mieszkacie w Quincy przy Hazer Street trzysta jednaście, macie trzy małe psy. Nie wszczynaj alarmu. Powtarzam – nie wszczynaj alarmu. Powiedz mu, Morton.

Konwojent gapił się na niego zdębiały.

– Morton Harford – wyrecytował Doug – Randolph, Counting Lane dwadzieścia siedem. Zona też ma na imię Linda. Dwoje dorosłych dzieci. Powiedz mu, Morton.

– Są... jest ich dwóch – wykrztusił Morton, z jego głosu wyparowała cała jowialność. – Dwóch widzę. W maskach. Z pistoletami.

– Arnold, weź na wstrzymanie z tym alarmem – powtórzył swój apel Doug. – Obie Lindy przyłączają się do mojej rady, żebyś siedział kołkiem w wozie i niczego nie modził. Właśnie podjeżdża do ciebie inna

furgonetka, kierowca ma na twarzy maskę dinozaura. Prowadzi nasłuch policyjnych częstotliwości radiowych i nic mu nie umknie. Jeśli zrozumiałeś i podejmujesz współpracę, puść teraz kierownicę i unieś obie ręce wysoko, tak żeby kierowca tamtej furgonetki to widział.

Czekali, Doug z krótkofalówką przy ustach.

– Są ręce w górze – zaskrzeczał głos Gloansy’ego zniekształcony dodatkowo przez maskę.

– No. – Doug odstąpił na krok od konwojenta Mortona. – Rozpinaj koszulę, Morton. Potrzebne mi twoje radyjko i słuchawki.

Morton zrobił to, ale powoli, wmawiając sobie zapewne dla uspokojenia sumienia, że opieszałość to też forma stawiania oporu. Trzymany przez Jema na muszce własnego pistoletu odpiął mikrofon od wyciętego w serek dekoltu podkoszulka i oddał go razem ze słuchawkami i czarnym pudełeczkiem Dougowi.

Jem oklepywał Mortona, sprawdzając, czy nie ma gdzieś ukrytej broni, Doug przypiął sobie tymczasem mikrofon i wetknął słuchawki w uszy.

– Arnold, powiedz coś do mnie.

Dwukierunkowy kanał, najmniejszych zakłóceń. Do głowy wlał mu się krystalicznie czysty głos Arnolda:

– Posłuchaj, żadne pieniądze nie są warte tego, żeby komuś...

– Dobra, dobra. Opuść jedną rękę i zgaś silnik, potem z powrotem ją unieś.

Pilnujący konwojenta Jem zaczął świrować. Trzymał jego pistolet na płask, w przekręconej grzbietem do góry dłoni, tak jak to robią na gangsterskich filmach. Doug widział teraz, że zdecydowanie za mało zajęć dla niego przewidział.

Pomruk silnika na zewnątrz ucichł.

– Zgasił – zameldował Gloansy.

– Git – mruknął Doug do krótkofalówki, a potem, do mikrofonu przypiętego teraz do kołnierza kombinezonu, rzucił: – Siedź tam, Arnold. To nie potrwa długo.

Gestem ręki zaprosił Cidra i konwojenta w rozpiętej koszuli do biura. Cidro wszedł pierwszy, za nim Morton, pchając przed sobą wózek. Doug zatrzymał się w progu.

– Wyłóż na biurko wszystko, co masz w torbie.

Konwojent podniósł niebieskozieloną brezentową torbę spoczywającą na tacce ze zrolowanymi monetami na spodzie wózka. Otworzył torbę i wyjął z niej standardowej wielkości pakiet gotówki – dziesięć paczek, każda po sto nowiutkich, równo przyciętych jednodolarowych banknotów, każda ściągnięta niebieską banderolą Banku Rezerwy Federalnej. Następnie opuścił rączki pustej już torby i łypnął spode łba na Douga. Och, żeby nie ten pistolet, mówiła jego mina.

– To już wszystko? – spytał Doug.

Morton udał, że nie dosłyszał. Doug przekrzywił głowę i wyjął z kieszeni pierwszy klucz do sejfu. Rzucił go Cidrowi.

Cidro przechwycił klucz w locie i spojrzał na Mortona.

– Dalej, kolego, rób, co każą.

Pogłębił się mars na twarzy wąsatego konwojenta. Sięgnął jeszcze raz do brezentowej torby i wyjął z niej firmowy klucz do sejfu, który wożą ze sobą kurierzy Pinnacle.

– Na kolana – warknął Doug. – Zdejmij z wózka tackę z moniakami, otwórz sejf i ładuj woreczki.

Byli w trakcie wyciągania woreczków depozytowych z wydrążonej w podłodze studni, kiedy z holu dobiegł suchy trzask wystrzałów. Doug odruchowo przykucnął i obrócił się na piętach, kierując berettę na drzwi biura, ale nic nie zobaczył. Nie wiedział, gdzie w tym momencie znajduje się Jem, a wołał nie wołać go po imieniu. Odwrócił się z powrotem do Cidra i Mortona, mierząc do nich z pistoletu. Obaj leżeli już plackiem na ziemi.

I znowu kanonada w holu.

– Kurwa mać! – wrzasnął Doug wściekły, że nie wie, co się tam dzieje.

– Jezu, nie – rozbrzmiał mu w głowie przerażony jęk Arnolda.

Doug cofał się schylony do drzwi. Za jego

plecami pękało z hukiem i brzęczało sypiące się szkło, pracownicy kina krzyczeli, a on wciąż nie widział, co się tam dzieje.

– Morty? Mort! – darł mu się w głowie Arnold.

Wycofał się w kucki z biura i trzymając wciąż na muszce

Cidra i Mortona, rozejrzał się po holu. Czuł zapach kordytu, szukał wzrokiem Jema. Kolejny brzęk tłukącego się szkła i łupnięcie, po których tym razem dał się słyszeć głos Jema:

– No, jasna cholera! Taki, kurwa, dobrze wstrząśnięty, taki smaczny koktajlik mleczny!

– ZAJEBIE! – ryknął do niego Doug, nadziewając się plecami na sztucznego fikusa.

Jem pojawił się w polu widzenia z trzydziestkąósemką konwojenta w opuszczonej ręce. Raptowny półobrót z jednoczesnym przysiadem i złożeniem się do strzału, dwa naciśnięcia spustu – trzasktrzask – wypisz, wymaluj superbohater z komputerowej strzelanki. Figura Bruce’a Willisa z Ostatniego sprawiedliwego zadygotała.

– Jiiuppikijaj, skurwielu! – zawył Jem. I znowu strzał. – Rewanżu nie będzie! – tym razem w podbródek postaci Stallone’a z Tunelu. – Pozdrów ode mnie moją malutką... – Pacino z zapowiedzi Ludzi miasta oberwał w brzuch.

Pistolet kliknął dwa razy, skończył się magazynek, Beavis i Butthead, dwie animowane

gwiazdy serialu Beavis and Butthead Do America, mieli fart. Jem odrzucił gnata i sięgając prawą ręką po swojego glocka, zauważył Douga siedzącego w kucki za donicą z plastikową rośliną. Chroniona kamizelką pierś Jema ciężko falowała, jego szkaradną gębę przecinał kretyński uśmiech.

– Morty! – darł się Arnold.

– Co jest, kurwa, grane? – wrzeszczał Gloansy z krótkofalówki Douga.

– Arnold! – krzyknął Doug, podnosząc się z kucek, odtrącając łokciem stojącą mu na drodze roślinę i biorąc znowu na cel Mortona i Cidra. – Wszystko w porządku, Arnold.

– Do chuja pana...!

– Nie włączaj tego alarmu, Arnold. Twojemu koledze nic nie jest, wszyscy cali i zdrowi – nikt nie ucierpiał. Zaczekaj... – Doug wpadł roztrzęsiony do biura i poderwał wąsatego konwojenta na klęczki. – Powiedz mu, Morton. No, mów, powiedz mu. r

– Nic mi nie jest, Arnie – wymamrotał Morton.

– Nie jest ranny – dorzucił Doug.

– Nie jestem ranny – mruknął Morton, obmacując się dla pewności, nie do końca o tym przekonany.

– Do kogo oni strzelali, Mort? – spytał Arnold. Z tego wszystkiego zapomniał, że partner już go nie słyszy.

– Nie wszczynaj alarmu, Arnold – powiedział

Doug, pochylając się nad Cidrem i podnosząc go za ramię z podłogi. Dochodził powoli do siebie. – Teraz będzie kierownik. – Wyciągnął Cidra z biura i pokazał mu pracowników leżących nadal twarzami do podłogi i osłaniających rękoma głowy. – Powiedz mu, Cidro.

Cidro rozejrzał się po holu, z którego Jem urządził sobie strzelnicę.

– Ja nie...

– Powiedz mu!

– Nikt nie jest ranny!

– Słyszysz, Arnold? Nikt nie jest ranny – powiedział Doug, wpychając Cidra z powrotem do biura.

– Co tam się wyprawia, do kurwy nędzy? – dopytywał się zdenerwowany Gloansy.

Doug poderwał radio do ust.

– Już w porządku, wszystko gra.

– Wszystko? – nie dowierzał Gloansy.

– Co robi Jogurciarz?

– Nic. Chyba kima.

– Dobra. Siedź tam. Zaraz będziemy.

Po opróżnieniu sejfu Doug kazał Mortonowi wytoczyć wózek do zadymionego holu. Jem poderwał pracowników z podłogi i zapędził wszystkich – Z życiem, cwele, ruszać się, myk, myk! – do pozbawionego okien biura Cidra.

– Jakby który kombinował otworzyć te drzwi i wyjść, to ja tu, kurwa, na niego czekam. – Zatrzasnął drzwi i pobiegł za Dougiem.

Morton pchał wózek przez hol w stronę wyjścia jak lunatyk. Nie poruszał głową, robił wrażenie zatopionego w myślach. Doug zrównał się z nim i zauważył, że oczy Mortona przemiatają hol w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek.

– Za dużo myślisz, Morton.

Morton zeszywniał, zwolnił jeszcze bardziej.

– Nie jestem dla ciebie żaden Morton – wyburczał, poruszając wąsami.

– Jesteś, Morton – powiedział Doug, odświeżając jego znajomość z beretą. – Jesteś teraz na mnie wkurzony, Morton, i ja to rozumiem. Wkurwia cię niemożebnie, że wciągnąłem w to twoją rodzinę. – Z Douga wyłaziły ni z tego, ni z owego Wściekłe psy. – Pamiętaj, że to nie twoje pieniądze, Morton, i pomyśl lepiej, jak miło będzie wrócić wieczorem do domu. Ciebie to też dotyczy, Arnold – ciągnął Doug, zwracając się do swojego kołnierza. – Teraz wychodzimy, a ty siedzisz jak trusia. Obiecuj mi to, Arnold.

– To nie po bożemu – zabrzmiał mu w uchu głos Arnolda.

– Obiecuj mi, Arnold.

– Pan Jezus słucha ciebie teraz razem ze mną.

– Arnold, nie pierdol, tylko mi obiecuj.

– Obiecuje – powiedział Arnold. – Ja tu już swoje zrobiłem i umyvam ręce. Resztę zostawiam Jemu.

– Wychodzimy – poinformował Doug Gloansy ego przez krótkofalówkę.

Otworzył kluczem Cidra przeszklone drzwi. Przeszli wzdłuż imitacji aksamitnych lin między kasami biletowymi po obu stronach. Doug zatrzymał się i otworzył na oścież drzwi zewnętrzne.

– W porządku, Morton? – spytał.

Morton patrzył przed siebie.

Wyszli na cementowy podest schodów. Arnold siedzący z rękami w górze za kierownicą konserwy Pinnacle obserwował ich przez okno.

Zeszli pochylnią dla wózków inwalidzkich – Morton z wózkiem forsy przodem, Doug z Jemem za nim – na chodnik. Obeszli konserwę od tyłu i zatrzymali się za stojącym równolegle do niej caravanem z pracującym silnikiem. Siedzący za jego kierownicą Gloansy w masce dinozaura nie spuszczał oczu z Arnolda.

Jem otworzył tylne drzwi furgonetki i zaczął wrzucać do niej woreczki, Morton patrzył na to nabzdyczony, rozpięta koszula łopotąła na wietrze. Stojący za nim Doug rozglądał się po bezchmurnym niebie, wypatrując helikopterów.

– Arnold – powiedział – dinozaur dalej będzie prowadził nasłuch policyjnych częstotliwości, a ja

będę utrzymywał z tobą kontakt radiowy, dopóki nie znajdziemy się poza zasięgiem, zrozumiałeś? Do tego czasu zachowujesz ciszę w eterze.

Nie czekając na odpowiedź Arnolda, wyszarpnął z uszu słuchawki. Jem zatrzasnął tylne drzwi furgonetki i Doug, prowadząc przed sobą Mortona, ruszył wzdłuż jej prawej burty. Jem wyprzedził ich i otworzył przesuwne drzwi dla Douga, a sam wskoczył na fotel pasażera obok Gloansy'ego i wychyliwszy się przez okno, trzymał Mortona na muszce, dopóki Doug nie wsunął się tyłem do środka i nie zatrzasnął przesuwanych drzwi przed nosem popatrującego wilkiem konwojenta.

Gloansy ruszył z kopyta. Pomknęli przez pusty parking w stronę krawędzi klifu. Kiedy Doug zajęty był przeciąganiem sobie przez pierś pasa bezpieczeństwa, Jem wystawił przez okno rękę z pistoletem, biorąc na muszkę wygrzewającego się na słońcu Jogurciarza.

Nie strzelił. Gloansy skręcił z piskiem opon w drogę ewakuacyjną, staranował bramę – w nocy przecięli kłódkę i łańcuch – i już pędzili z górki na pazurki. Droga opadała stromo, ale nie aż tak jak Pearl Street, i kiedy dojeżdżali do jej końca, Gloansy dodał jeszcze gazu, staranował drugą bramę z przeciętym łańcuchem i wpadli jak pocisk między wiaty przystankowe a plac manewrowy szkoły jazdy.

Gloansy zerwał z twarzy maskę dinozaura i

wdepnął do dechy pedał gazu. Gnali przez splekany parking prosto na ogrodzenie z drucianej siatki oddzielające biegnącą niżej Forbes Road od szerokiej, ruchliwej autostrady. To ogrodzenie też w nocy przecięli i teraz rozpędzona furgonetka, podskoczywszy na krawężniku, przeszła przez nie jak przez masło.

Podskakując na wybojach, przemknęli przez pas wysokiej trawy, zajęchali drogę innemu minivanowi i wypadli na pas awaryjny międzystanowej 1-93 tuż przy skręcie w zjazd numer 6, odbili w lewo i siejąc popłoch, włączyli się na choma do ruchu. Dwa zgubione dekle turlały się za nimi jak wynaturzone ćwierćdolarówki. Samochody hamowały i trąbiły karcąco, Gloansy, przepłaszając klaksonem panikujących użytkowników drogi i zmieniając raz po raz pasy, szukał w tej rzece pojazdów miejsca dla siebie. Znalazł je wreszcie, dostosował prędkość, wtopił się w otoczenie i popłynęli z prądem, by na rozwidleniu skierować się na południe, w kierunku stacji kolejowej, gdzie zostawili samochód, w który się przesiadą. Z tyłu telepały się wypchane żywą gotówką woreczki depozytowe, Jem wył z przodu jak opętany, a Doug ścierał sobie zapamiętałe makijaż z twarzy.

TAŚMY

Frawley stał i przepatrywał sznury mknących autostradą pojazdów w takim skupieniu, jakby poważnie liczył na to, że chociaż jest już parę godzin po fakcie, tamten zielony minivan znowu nadjedzie i zobaczy w nim MacRaya z kumplami w szpetnych maskach, jak pohukują na niego zza szyb, wymachując plikami banknotów.

Ślady opon – dwie bliźniacze bruzdy wyorane w wysokiej trawie – prowadzące poprzez przecięte wcześniej, wysokie na sześć stóp ogrodzenie z drucianej siatki na autostradę. Rozwidlająca się autostrada dawała możliwość wyboru trasy ucieczki... bla bla bla bla bla.

Za Frawleyem stał samotnie stróż pilnujący placu manewrowego i z braku innego zajęcia gapił się na gliniarzy i furgonetkę ekipy technicznej. Frawley szczerze zazdrościł facetowi tego statusu osoby postronnej. Był już zmęczony tym wiecznym głowieniem się nad kryminalnymi zagwozdkami, funkcjonował praktycznie na autopilocie, nie wiedział, z jakiego powodu miałyby się szczególnie przykładać do tego akurat dochodzenia – a jednocześnie czuł, jak narasta w nim złość na tych

bandytów.

Fotograf już skończył, ślady opon zostały obmierzone, ich odlew zdjęty, na wypadek znalezienia narzędzia, którym przecięto ogrodzenie, strażak wycinał teraz jego fragment do badań porównawczych w laboratorium kryminalistycznym. Ale to narzędzie nigdy nie zostanie znalezione. Na pewno rozczłonkowano je, a poszczególne części składowe wrzucano do pojemników na śmiecie na trasie stąd do Charlestown i leżą teraz każda w innym.

Dino mówił coś o szacowanym czasie przecięcia ogrodzenia oraz łańcuchów przy bramach. On wciąż koncentrował się na przestępstwie jako takim; Frawleya bardziej interesowali sprawcy.

Furgonetka dawała cień nadziei. Frawley zlecił już odpowiednim służbom poszukiwanie podejrzanych zielonych furgonetek ze szczególnym uwzględnieniem tych z nalepkami informującymi o niepełnosprawności kierowcy na szybie. Żaden ze świadków nic nie wspominał o takich nalepkach, ale Frawley z Dinem wiedzieli z doświadczenia, że rabusie napadający na bankowozy lubią się nimi posługiwać, bo dzięki nim mogą parkować w pobliżu drzwi służbowych bez zwracania na siebie uwagi.

Żaden z przejeżdżających tędy w krytycznym czasie kierowców, którzy widzieli poszukiwaną furgonetkę i zadzwonili pod 911, nie potrafił określić,

gdzie konkretnie zjechała potem z autostrady. Frawley przypuszczał, że raczej nie przed rozwidleniem, bo bandyci na pewno starali się przedtem odjechać jak najdalej od wszystkich, którzy widzieli, jak forsują ogrodzenie – ale zbyt daleko też pewnie nie odjechali, bo z uwagi na zainstalowane niedawno nad autostradą nowe kamery systemu monitoringu musieli jak najszybciej zmienić samochód.

Górą przelatywał znowu helikopter dziennika telewizyjnego. Był gorący, parny czerwcowy wieczór, burza wisiała w powietrzu. Bokserki kleiły się Frawleyowi do pośladków jak mokre kąpielówki. Paradowanie w taką duchotę w krawacie było z jego strony formą samoumartwiania, ale na dzisiaj starczy. Zdecydowanym szarpnięciem rozplątał węzeł, wywlókł krawat spod kołnierza, zmiął go w kłębek i wepchnął do kieszeni. Upatrywał w tym upale jeszcze jednej przeszkody rzuconej mu pod nogi przez wycofujących się bandytów, jeszcze jednego zagrania mu na nosie.

– To oni – orzekł z całym przekonaniem, kiedy wracali z Dinem do wylotu drogi ewakuacyjnej.

Dino kiwnął głową.

– Na to by wyglądało – mruknął powściągliwie. Nie żeby powątpiewał albo miał na ten temat inne zdanie, chciał tylko sprowokować Frawleya do większego zaangażowania. Podwinięte powyżej

owłosionych przedramion rękawy koszuli Dina były mokre od potu. – Konwojenci, kierownik, wszyscy utrzymują, że było ich tylko trzech.

– Czwarty mógł siedzieć w furgonetce. Albo stać gdzieś na czatach, na przykład pod centrum handlowym, żeby powiadamiać ich z wyprzedzeniem o policyjnych patrolach.

– Ale zrobili ten skok bez żadnego przygotowania technicznego. Ani jednego przeciętego kabelka, nie licząc tego telefonicznego w biurze. Sama siła mięśni i perswazji.

– Przy napadach na bankowozy technika niepotrzebna. I bez niej da się je obrobić. Ale to była z ich strony zmyłka. Zorientowali się, że są na celowniku.

– Powiedzmy. Tylko co z tym Magloanem – idzie na robotę nazajutrz po własnym ślubie?

– To będzie pierwszy argument, z jakim wyjadą ich adwokaci w sądzie. Genialna zagrywka.

– A jeśli się jeszcze okaże, że Elden przez cały dzień był w pracy?

Frawley pokręcił głową, wiedział swoje.

– To oni.

Pogiętej bramy pilnował policjant z Braintree czekający na kogoś, kto zabezpieczy ślady zielonego lakieru pozostawionego na niej przez furgonetkę. Przecięty łańcuch leżał obok na ziemi niczym zdechły wąż. Frawley z Dinem ruszyli drogą pod

górze, w kierunku parkingu.

– Podobno w ten weekend puszczała tu dobry film? – powiedział Dino. – Twister? Naprawdę taki dobry? – Starał się jakoś rozruszać nachmurzonego Frawleya.

Frawley kiwnął głową, nie dał się podejść, dalej pielęgnował swój zły nastrój. Powiew wiatru, który powitał ich na szczycie, był jak fala żaru buchająca z rozgrzanego pieca. Z zabezpieczonego tam przeciętego łańcucha drugiej bramy uniósł się szary obłoczek proszku daktyloskopijnego. Skradziona w South Boston ciężarówka „Globe”, którą przestępcy zablokowali drogę dojazdową, stała na kapciach przerżniętych opon na lawecie, zielone burty miała tak oblepione kurzem, jakby dopadła ją na trasie burza piaskowa.

Frawley zatrzymał się przy sięgającym kolan drewnianym płotku, którym okolony był parking, i spojrzał ponad kanionem autostrady na drogę biegnącą szczytem przeciwległego klifu. Musiał być stamtąd wspaniały widok na kino i jego otoczenie, i to pod najprzeróżniejszymi kątami.

Podeszli przez parking do bankowozu stojącego nadal na drodze pożarowej, przed głównym wejściem do kina. Widok żółtej policyjnej taśmy, którą był otoczony, nie wiedzieć czemu rozsierdził Frawleya. Przerwał ją własnymi rękami, burcząc:

– Furgonetki nawet nie dotknęli.

– Weszli od tyłu. Jak na Kenmore.

– Ale tutaj czekali na zewnątrz, a nie, jak to mają w zwyczaju, już w środku, posilając się przed akcją kanapkami. Mogli też pójść na całość i wziąć na cel samą furgonetkę. Okolica tu ustronna – trudno o ustronniejszą. Wykonalne, ale wiążące się z nieliczą rozpierduchą.

Dino poklepał burtę bankowozu pieszczotliwie, tak jakby widział w nim drzemiącego słonia.

– Wiedzieli, czym to pachnie.

Frawley patrzył zamyślony na policyjną taśmę wijącą się w podmuchach wiatru po nagrzanym nawierzchni parkingu.

– Dobrze wiedzieli, że w konserwie jest więcej pieniędzy, mieli pełny przegląd sytuacji, i odpuścili ją sobie. Zsumować te dni, tygodnie przygotowań, obserwację obiektu, śledzenie wszystkich graczy? Zdecydowana awersja do podejmowania ryzyka. Nadostrożność.

– Dla nas to dobrze – powiedział Dino. – W końcu przegną z tym asekurancem, przekombinują i dadzą dupy.

– Owszem – mruknął Frawley, wstępując na schody prowadzące do głównego wejścia. – Tylko że ja dosyć już mam czekania, aż jej dadzą.

Wchodząc do holu kina, odnieśli wrażenie, że przeskakują z pieca do lodówki. Kierownik przygotował dla policjantów butelkowaną wodę i

tutki z popcornem. Miał nadzieję, że do siódmej tu skończą i wieczorne seanse będą się mogły odbyć.

– Z tym starszym gościem, kinooperatorem, w porządku? – spytał Frawley.

– Bólu w piersiach już nie ma – odparł Dino. – Najadł się, chłopina, strachu.

Obaj konwojenci, mnąc czapki w dłoniach, siedzieli na składanych krzeselkach z przedstawicielem Pinnacle wypełniającym jakieś formularze. Z mętności ich relacji Frawley wywnioskował, że metoda zastraszenia zastosowana przez bandytów – ich znajomość życia prywatnego mężczyzn – wciąż działa. Zarówno Harford, który spędził napad w towarzystwie dwóch uzbrojonych zbirów, jak i Washton, któremu przestępca z radiem wydawał do ucha polecenia, zarzekali się, że nie zdołaliby rozpoznać napastników. Jedyne konkret, jaki udało się Frawleyowi z nich wydobyć, to demoniczna charakterystyka, taka jak we wcześniejszym skoku na bank spółdzielczy w Watertown, o którego dokonanie podejrzewał tych Wałówkowych Bandytów.

Konwojenci zachowywali się tak, jakby zdawali sobie sprawę, że ta rozmowa z przełożonym z Pinnacle to tylko formalność. Dając się śledzić i w godzinach pracy, i w drodze z pracy do domu, wykazali się obaj karygodnym brakiem czujności, co wystarczało do zwolnienia za zaniedbanie

obowiązków służbowych.

W schłodzonym powietrzu wciąż wisiał zapach kordytu. Na wykładzinie podłogowej, w miejscach, gdzie leżały zabezpieczone już mosiężne łuski z pistoletu Harforda, stały małe, ponumerowane pomarańczowe trójkąty. Frawley zatrzymał się przed kartonowym fotosem z Żylety i patrzył na przedziurawione pociskami sutki powiększonych sztucznie walorów Pameli AndersonLee, zestawiając ten akt wandalizmu ze zdyscyplinowaniem, jakiego wymagało pozostawienie na biurku kierownika tysiąca dolarów w nowiutkich, a tym samym trefnych, łatwych do namierzenia banknotach. Przypominało mu to uprowadzenie po Chwale o Poranku – ewidentne przykłady rozdwojenia jaźni.

Może teraz zaczną wydawać zrabowane pieniądze. Ich łupem padły czyste, będące już w obiegu banknoty. Frawley odwrócił się do Dina, żeby podzielić się z nim tym spostrzeżeniem, ale Dina nie było. Frawley wolał nie myśleć, jak długo tak tu stał zadumany.

Dostrzegł kierownika przy bocznych drzwiach, przy których zaskoczyli go rano przestępcy. Pan Kosario kołysał dziecko, żona obejmowała go ciasno w pasie. Była drobną Latynoską z prostowanymi blond włosami, miała na sobie jedwabną bluzkę i czerwoną, obcisłą spódniczkę ze skóry. Tam chudy kierownik kina z gorącą filigranową żonką, a tu agent

specjalny Adam Frawley wciąż niepotrafiący znaleźć sobie pary.

Wszedł do jednej z pustych, ciemnych sal kinowych i usiadł w ostatnim rzędzie. Kiedy zadzwoniono do niego po południu, z początku chciał zignorować wezwanie. Położyć na nim lachę. Zmęczony jestem, tłumaczył sobie, tym uganianiem się za bankowymi złodziejami i innym tałatajstwem.

Teraz ten napad zaczynał go wciągać. Z jednej strony był krokiem do przodu bandy: rabunek w terenie, pokazanie, że nie tylko banki potrafią obrabiać. Z drugiej krokiem wstecz: pewny numer, ucieczka od instytucji finansowych. Naszła go obawa, że może to oznaczać wycofywanie się z gry – ale szybko przypomniał sobie, że tacy jak oni prawie nigdy nie schodzą ze sceny i w końcu wpadają.

Tak czy inaczej, trzeba działać szybko.

Jego stosunek do Claire Keeseey wciąż diametralnie się zmieniał, to z całej duszy nią pogardzał, to znów wielbił ją niczym błędny rycerz. Czy sypiała z wrogiem świadomie, czy robiła to z naiwności panienki z dobrego domu surowo skrzywdzonej przez los? Wstał i spojrzał na biały ekran, ale na ekranie jego wyobraźni, chociaż bardzo się starał tak samo go wybielić, wyświetlał się wciąż film z Claire Keeseey w roli głównej, wpuszczającej MacRaya do swojego mieszkania, do swojej sypialni, między swoje nogi.

W holu nadział się na podnieconego Dina.

– Płonąca furgonetka jakąś milę stąd – wysapał Dino, pokazując kierunek podkładką z klipsem. – Właśnie ją dogaszają. Może nie sfajczy się na węgielek.

*

Frawley pozbywał się tej nocy nadmiaru adrenaliny, krążąc po Charlestown ulicami, przy których mieszkali podejrzeni, przejeżdżając pod ich drzwiami – wyprawiał się nawet pod dom Eldena w zakątku dzielnicy zwanym Neck. Do zderzaka czarnopomarańczowego monte carlo SS Magloana stojącego pod drewnianym szeregowcem przy opadającej w dół Auburn Street były wciąż przywiązane grona puszek po piwie, a przez tylną szybę biegł koślawy napis MŁODA PARA.

Musiał sobie co chwila przypominać, jak blisko nich jest. Kiedy przejeżdżał Main Street obok Szpunta, przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć znowu do Dołka i przepłukać tam gardło piwem. Odpędził od siebie tę pokusę, pojechał na Packard Street, minął dom Claire Keeseey i skręcił w zaułek za nim, szukając tam inspiracji i poobijanego caprice MacRaya.

W domu przyrządził sobie bogaty w białko koktajl mleczny z jajkiem, odgrzał w mikrofalach udko

kurczaka i zjadł je przed telewizorem, oglądając finałowy mecz NBA Bulls–Sonics.

Kartonowe pudło stojące na podłodze ściennej szafy mieściło całą kolekcję mikrokaset z kopiami nagrań wywiadów przeprowadzanych na miejscach przestępstw, które Frawley namiętnie zbierał – takie trochę wstydlive, ocierające się o fetyszyzm, zawodowe skrzywienie. Podłączył magnetofon do radia stereo i na początek rozgrzał się paroma starszymi nagraniami z prowadzonych kiedyś spraw, Największymi Hitami – rozmówcy szlochali, rozpaczliwie szukali u niego odpowiedzi na pytanie: Dlaczego właśnie mnie to spotkało? – żeby umysł mu zaczął pracować. Potem zgasił światło, opuścił żaluzje, położył się na podłodze i wsłuchał w głos Claire Keeseey, który wypełnił pokój, przeniósł go z powrotem do skarbcza banku przy Kenmore Square i odświeżył pragnienie pomszczenia tej skrzywdzonej dziewczyny, jakie go tamtego dnia ogarnęło...

...Ten, który siedział ze mną. Nie przy mnie... na tym samym siedzeniu, na tej kanapie co ja. Ten, który zawiązywał mi oczy. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że... że on na mnie patrzy...

NAZAJUTRZ

Przez całą noc musiał znosić ryczącą na maksa muzykę. Wychodząc skoro świt z domu, niewyspany i zirytowany zatrzymał się po drodze pod drzwiami Jema i załomotał w nie pięścią jak antyterrorysta.

Nic. Żadnej reakcji. Jego walenie zlewało się z dudnieniem basu.

Jeszcze tylko kilka stopni schodów dzieliło go od parteru, kiedy zachrobotał klucz w zamku drzwi zewnętrznych i po chwili wewnętrznymi drzwiami wmaszerowało dwóch facetów. Młodych facetów ostrzyżonych na zapałkę, nieźle umięśnionych, w różnych Tshirtach, ale jednakowych wojskowych spodniach z demobilu i w spadochroniarskich buciorach. Wyglądali jak partyzanci z wyciętego lasu.

Wparadowali jak do siebie, zagrzechotała obluzowana szyba w drzwiach. Doug jakby ich znał z widzenia, mignęli mu już przed oczami gdzieś w Town. A, tak – tamtego wieczoru w Szpuncie, to te dwa szczawiki, z którymi konferował w kącie Jem.

Kiwnęli głowami schodzącemu po schodach Dougowi – bardziej z respektu dla jego postury niż z uprzejmości.

– Siemasz, człowiek, jak leci? – rzucili coś w tym stylu.

– Coście za jedni? – spytał Doug.

– My na górę śmigamy, do...

– Skąd, u diabła, macie klucz? – Był już w sieni i mierzył ich wzrokiem.

– Od Jema, człowiek. Dał nam. – Powiedzieli to tak, jakby w ich mniemaniu magiczne imię Jem wszystko tłumaczyło i załatwiało.

– Jak to dał? Mieszkacie tu czy co?

– Nie, człowiek. – Spojrzeli teraz po sobie jak dwa kocury, wyczuwając kłopoty i zastanawiając się, co robić. – Interes tylko do niego mamy.

– To już nie macie. Nie w tym domu.

Znowu wymiana spojrzeń.

– Słuchaj, człowiek – powiedział jeden konfidencjonalnie – wiemy, kto jesteś. Wiemy...

Doug chwycił go pełną garścią za przód Tshirtu i przyparł do drzwi.

– No, kto jestem? Kto? Co wiecie?

Obluzowanej szybie w drzwiach tego było już za wiele; wyleciała z ramek i rozbiła się o podłogę maleńkiego przedsionka. Doug nie chciał tego, ale też wielce się tym nie przejął. Wypchnął partyzanta do połowy przez otwór po szybie.

– Wyluzuj, człowiek, my tylko...

Za plecami Douga otworzyły się drzwi mieszkania Kristy. Wyszła bosą, w dobrze mu

znanym krótkim, czarnym, jedwabnym szlafrocisku Victoria's Secret.

– Co tu się...? – Urwała, widząc Douga z partyzantem.

Zza Kristy, zwabiony zamieszaniem, naciągając koszulę, wyjrzał Dez. Na widok Douga znieruchomiał na moment, potem przekroczył próg, gotów udzielić mu wsparcia.

Dobiegająca z góry muzyka buchnęła nagle z nową siłą.

– Co jest! – Jem wychylał się przez barierkę i patrzył z góry na okaleczone drzwi. Odwrócił się i zszedł o stopień. Spod rozchyłonego wystrzępionego białego szlafroka hotelowego wyzierały bokserki ze śmieszkiem, na nogach miał grube skarpety, w ręku trzymał kubek z kawą.

Dłoń Kristy naparła na pierś Deza i ten się cofnął.

– Duggy! – zawołał Jem, schodząc jeszcze dwa stopnie niżej. – No co jest, do chuja pana?

Doug puścił wytrzeszczającego oczy szczawika. Obaj partyzanci minęli go wściekli i wstąpili na schody.

Doug poszukał u Jema wzrokiem jakiegoś wyjaśnienia, ale ten, z miną oznaczającą „Później”, odprawił go machnięciem ręki, w której trzymał kubek. Ruszył przed partyzantami na górę, ale po chwili zawrócił i zszedł znowu kilka stopni, jakby

dopiero teraz do niego dotarło, że widział smugę światła wylewającego się z otwartych drzwi mieszkania Kristy.

– Jak tam jest moja siostra, to jej powiedz, że bielizna mi wyszła, mogłaby zrobić przepierkę.

Odwrócił się i wszedł za swoimi kolesiami na podest pierwszego piętra. Drzwi się za nimi zamknęły, muzyka ścichła.

Krista stała nadąsana, Dez patrzył przepraszająco na Douga.

Doug odwrócił się i depcząc z chrzęstem potłuczone szkło, wyszedł frontowymi drzwiami.

TROPY

Frawley z Dinem oglądali w wielkim jak hangar garażu na terenie szrotu w South Quincy wypalony wrak dodge'a caravana rocznik 1995. Żar powysadzał wszystkie szyby. Tył i środek zhajcowały się całkowicie, maska wybrzuszyła nad poczerniałym blokiem silnika, ale deska rozdzielcza jakimś cudem ocalała. Kierownica zdeformowała się, ale nie pękła.

– Wprowadzili trochę innowacji – zauważył Dino, pokazując zwęglony pas przymocowany do uchwyty przyspawanego do ramy wozu nad drzwiami od strony kierowcy. – Rajdowa uprzęż na wypadek pościgu. Kierownicę też zmienili – oryginalna była pewnie zablokowana clubem, więc musieli ją przeciąć. Do podłogi z tyłu były przyklejone taśmą klejącą plastikowe torebki z jakimś dopalaczem i dlatego tam są największe zniszczenia.

Frawley wsunął głowę do środka przez okno od strony kierowcy. Swąd spalenizny mieszał się z ekstratoksycznym smrodem stopionej tapicerki. Kierownica była jednolicie czarna, miała pod spodem wgłębienia antypoślizgowe i założony nielegalny

„wihajster samobójców” umożliwiające szybsze nią obracanie.

– Żadnych odcisków palców – ciągnął Dino. – Washton, ten kierowca z bankowozu, zeznał, że widział rękawiczki samochodowe u człowieka w masce dinozaura.

Magloan. Frawley typował, że tym mrukiem z wąsikami klauna, który strzelał w holu, był Coughlin, a gadułą, tym ze słuchawkami, ucharakteryzowanym na poparzonego, MacRay.

– Skradziony w New Hampshire?

– W zeszły poniedziałek, z parkingu pod WalMartem.

– A tablice?

– Dzień później, z należącego do inwalidy astrovana zaparkowanego pod ośrodkiem rehabilitacyjnym w Conrad.

Frawley zaszedł jeszcze ciepły samochód od szerniałego tyłu.

– Są tam małe plamki lateksu z charakteryzacji i parę zwęglonych strzępków tkaniny – powiedział Dino. – To chyba resztki kombinezonów skradzionych z pralni chemicznej w Arlington. A stopione pudełeczko to radio konwojenta.

Frawley wrócił do drzwiczek od strony kierowcy i znowu zajrzał do środka. Ta zwichrowana kierownica nie dawała mu spokoju.

– Ale kierownica nie jest kradziona?

– Nie. Raczej nowa. Można taką kupić w każdym sklepie z częściami samochodowymi.

– To mówisz, że dinozaur był w rękawiczkach samochodowych?

– Tak.

– Takich z otworami na knykcie?

– Chyba.

– Ci od daktyloskopii szukali odcisków na całej kierownicy czy tylko na obwodzie?

Dino wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy przy temperaturze, jaka tu panowała... ale dobre pytanie.

– Wśród świadków przejeżdżających wtedy autostradą, którzy dzwonili później pod dziewięćset jednaście, była kobieta, która... pamiętasz?

– Tak, powiedziała, że bardzo trąbili na tych, co nie zjeżdżali im z drogi.

Frawley spróbował wczuć się w sytuację.

– Jest podniecony, wpięty w rajdową uprzęż bezpieczeństwa i ma na kierownicy „wihajster samobójców”, dokonał przed chwilą zuchwałego napadu, wieje autostradą, trąbiąc raz po raz...

Uderzył pięścią w środek wyimaginowanej kierownicy.

Zdali w magazynku wypożyczone kaski ochronne, opuścili plac budowy w Billerica i zatrzymali się za bramą, żeby odreagować stek

kłamstw, jakim poczęstował ich przed chwilą Billy Bona, i podsumować, na czym teraz stoją. Dwa razy zawyła syrena, co zgodnie z tabliczkami ostrzegawczymi wywieszonymi na płocie oznaczało, że za chwilę nastąpi odpalenie założonych ładunków.

– Ci faceci, którzy zrobili napad w Weymouth, użyli ładunku kumulacyjnego, jednego z wcześniejszych typów.

Dino kiwnął głową, założył ręce na piersiach i przysiadł na bagażniku taurusa.

– Zastanawia mnie układ, z jakim mamy tutaj do czynienia. Może mają jakiegoś haka na tego Bonę?

Frawley przymrużył oczy przed rażącym słońcem, obiecując sobie, że kiedy to się wyjaśni, osobiście dostarczy Bonie wezwanie do stawienia się przed sądem pod zarzutem pomocnictwa i współudziału.

– Problem w tym – ciągnął Dino – że na papierze oni tu wczoraj byli.

– Aha, byli. I tak się jakoś złożyło, że miał akurat pod ręką ich karty zegarowe.

– Moglibyśmy chodzić od człowieka do człowieka, brać na spytki każdego pracującego tu robola, stracić na to cały dzień albo i dwa, a śmiem wątpić, czy znaleźlibyśmy choć jednego, który widział tu wczoraj tych dwóch nygusów...

– Ciekawe, że dzisiaj ich nie ma. „Jak sięgam pamięcią, pierwszy raz im się to zdarza”, zarzeka się

ten Bona. Okłamywać agenta federalnego. Ma chłop jaja.

– Z tego Eldena też wzór do naśladowania. Cały wczorajszy dzień spędził w pracy, potwierdzone...

– Taaa. Jego szef zeznał, że wczoraj podpisywał przy nim listę obecności – mówi, że to zapamiętał, bo gościu nigdy nie był specjalnie rozmowny, szedł od razu do swojego pikapa, a wczoraj gęba mu się nie zamykała, wypytywał go o zdrowie dzieci, o kondycję firmy.

– Czyli wiedział, co się szykuje. Może wcale nie poszedł w odstawkę. Może nie wzięli go na robotę, bo nie biorąc w niej udziału, miał odsunąć od nich podejrzenia. A Magloan... spójrzmy prawdzie w oczy, na pewno ma już kogoś, kto będzie przysięgał na wszystkie świętości, że był czymś tam przez calutki dzień bardzo zajęty. Podsumowując, wiemy, że to oni, ale nic na żadnego z nich nie mamy. W każdym razie nie tyle, żeby występować o nakaz aresztowania.

– Ja nie odpuszczę.

Dino pokręcił głową.

– To, co mamy, nie wystarcza nawet, żeby chodzić i potrząsać drzewami. Jak wparujemy teraz do Town i zaczniemy na potęgę węszyć, to nawet jeśli odpuścimy Eldenowi z racji jego czyściutkiej kartoteki, prawnicy podniosą od razu larum, że to polowanie na czarownice. Nie mamy podstaw.

– Jakieś by się znalazły.

– Nie wystarczy, żeby dobrać się tym żartownisiom do dupy. Gdybyśmy poszli z tym, co mamy, do biura prokuratora okręgowego, spuściłby nas po schodach. I następnym razem już krzywo by tam na nas patrzyli. A skąd weźmiesz zezwolenie na wgląd w ich zeznania podatkowe z racji zatrudnienia?

– Ten MacRay nie ma żadnych kart kredytowych, niczego na swoje nazwisko. Grat, którym jeździ, caprice classic

z osiemdziesiątego szóstego, jest zarejestrowany na siostrę Coughlina, mieszkającą w tym samym co on domu na parterze. Sprawdziłem ją – okazuje się, że kobitka ma flotę siedmiu samochodów zarejestrowanych i ubezpieczonych na swoje nazwisko. Między innymi luksusową corvette. Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że o żadnym z nich nie wie.

Powietrzem wstrząsnął suchy grzmot, był jak wystrzał

z armaty. Ziemia zadygotała im pod nogami. Samej eksplozji nie widzieli, ale słyszeli jej zamierające echa.

– Moim zdaniem – powiedział Dino – musimy zastosować pressing. Przydałoby się poprosić o wsparcie.

Frawley patrzył na podnoszące się kłęby kurzu.

- Nie ma takiej potrzeby.
- Jeśli te kutafony Czują nasz oddech na karku, a wszystko na to wskazuje, to musimy szerzej rozwinąć front, bardziej ich przycisnąć. A sami nie damy rady.
- Damy.
- Słuchaj – powiedział Dino. – Ty mi lepiej szCzerze powiedz, o co tu, u diabła, chodzi.
- O dorwanie paru zakapiorów.
- Nie, moim zdaniem chodzi o to, że zbyt osobiście do tego podchodzisz. Nie wiem, co tobą kieruje, ale to głupie podejście, a ty przecież taki głupi nie jesteś. Zdajesz sobie doskonale sprawę, że z takim nastawieniem łatwo popełnia się błędy.
- Chcę, żebyśmy doprowadzili rzecz do końca sami.
- Posłuchaj, Frawl... Ja potrafię grać ostro. Nie od dziś jestem detektywem i wiem, jak to się robi. Nie mam nic przeciwko wojnie. Ale muszę mieć dobry powód, żeby na nią pójść.
- Zaraz wojna – mruknął Frawley, spuszczać nieco z tonu. – Boozo i jego ferajna byli jak wielki głaz, który odwaliliśmy, a wtedy na światło dzienne wylazły różne inne pomniejsze gnidy, które pod tym głazem żerowały. Wiemy, kim są MacRay i jego kolesie i gdzie ich szukać. Za długo już dokazują.
- MacRay? – zdziwił się Dino. – Myślałem, że na prowodyra typujesz Coughlina.
- Zmieniłem zdanie. Teraz twierdzę, że jest nim

MacRay.

Dino ściągnął brwi.

– Na jakiej podstawie?

– Nos mi to mówi.

Frawley pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział. Dino, oparty o swój wóz, rozplótł powoli założone na piersi ręce. Frawley czekał w napięciu.

– Co ty mi tu za kit wciskasz? Co to za głodne kawałki o nosach?

– Słuchaj, Dino. Ci faceci to obraza, afront. Śmieją nam się w twarz. Pora popsuć im humorki, pokazać, że nie jesteśmy palcem robieni i że to tylko kwestia czasu, kiedy będą nasi.

Zadzwoiła komórka Dina.

– Dostaliśmy jedną szansę – powiedział do Frawleya. – Jedną. – Wsiadł do wozu, żeby odebrać, i siedział tam z wysoko uniesionym łokciem, rozmawiając z ożywieniem. Rozłączył się i spojrzał na Frawleya dziwnie, jakby z rozczarowaniem. – Miałeś rację z tą kierownicą – mruknął. – Coś na niej jednak jest.

ZATRZYMANIE

Doug wyszedł z kafejki LoriAnńs z wielkim kubkiem herbaty w ręku i zobaczył zaparkowany przy krawężniku policyjny wóz patrolowy z dwoma mundurowymi w środku. Ręka mu zadrżała i mało brakowało, by pod wpływem pierwszego i nie całkiem irracjonalnego impulsu rzucił się do ucieczki. Słabo mu się zrobiło, ścisnęło go w dołku na widok tych dwóch mundurów i kresu wolności, którą reprezentowali. Ale uciekając, popełniłby fatalny błąd, i uświadomienie sobie, jakiej katastrofy o włos uniknął, było jak kubeł lodowatej wody wylany na głowę.

Wszystko inne na dolnej Bunker Street wyglądało jak zawsze o 7.30 – samochody przejeżdżały, ludzie wybierający się do miasta czekali na przystanku autobusu linii 93, na rogu na piłkach do koszykówki siedziało dwóch małych z osiedla. Gdyby chodziło o aresztowanie podejrzanego o napad z bronią w ręku, agenci zamknęliby ulicę jak w dzień parady albo wydelegowali szeryfów federalnych po cywilnemu i z nakazem.

Gliniarze wysiedli z wozu i podeszli.

– Douglas MacRay?

Zdecydował się jechać z nimi zamiast swoim samochodem za nimi. Ze po obszukaniu go dali mu ten wybór, to jeszcze jeden dobry znak. Na porwanym tylnym siedzeniu radiowozu było jak zawsze ciasno, przez co miał kolana pod brodą, za to tym razem go nie skuli, co z nadwyżką rekompensowało niewygodę.

Swoją kopię wezwania położył obok, na posklejanym taśmą siedzeniu, wyjął lukrowanego pączka i wgryzł się w niego, dochodząc powoli do siebie.

– Zamiast przez most Ctown lepiej jechać przez Prison Point – poradził im przez plastikowe przepierzenie – chyba że włączycie koguta.

Nie posłuchali i utknęli w korku na pojękującej stalowej konstrukcji mostu Charlestown. Doug zaczął jeść drugie ciastko – bostońską kremówkę – czytając wezwanie.

Sąd Okręgowy Stanów Zjednoczonych – informował nagłówek. Poniżej: WEZWANIE W CELU ZŁOŻENIA ZEZNAŃ PRZED WIELKĄ ŁAWĄ PRZYSIĘGŁYCH. Pod słowami WEZWANIE DOTYCZY widniały kwadraciki do zakreślenia i X postawiony był w kwadraciku obok DOKUMENTY LUB PRZEDMIOT(Y). Kwadracik przy OSOBA pozostawał niezakreślony.

Strefa A1 to policyjny rejon obejmujący Downtown Boston i Charlestown. Posterunek mieścił

się w dużym, pudełkowatym, narożnym budynku z cegły, sąsiadującym z City Hall Plaza. Wpasowali się między dwa inne radiowozy zaparkowane pod kątem do krawężnika przy Sudbury Street i sprowadzili Douga po schodach do oszklonych drzwi, przez które weszli we trójkę do holu. Odbywała się właśnie rotacja zmian i na korytarzach panował ożywiony ruch. Skręcili w lewo i mijając po drodze pokój zatrzymań dla kobiet, weszli do działu ewidencji. Widać stąd było cele aresztu i aresztantów, którzy w nich drzemali.

Policjant otworzył płaskie pudełko z nasyconą tuszem poduszczką i Doug zlizął z palców lukier po pączku.

– Co jest, koledzy, zapodzialiście gdzieś moje odciski?

Odcisk poduszki dłoni i jej kantu przeciwległego kciukowi też mu zdjęli, potem kazali zacisnąć pięści i zdejmowali po kolei odcisk każdego z dolnych knykci. Na koniec dali mu chusteczkę higieniczną do wytarcia ręki. Dziwne to było i niepokojące, ale Doug przez cały czas trwania tych zabiegów nadrabiał miną.

Zrobili mu zdjęcia en face i z profilu z podziałką wzrostu, ale numeru ewidencyjnego na szyję nie założyli. Pozując do tych zdjęć, Doug ni to się uśmiechał, ni to nie uśmiechał. Proszę bardzo, czemu nie? – mówiła jego mina.

Pobrali od niego wymaz DNA z wewnętrznych powierzchni policzków, i pałeczkę, która do tego posłużyła, umieścili w plastikowej rurce z nakrętką. Potem wyskubali mu z głowy jedenaście włosów.

– Mogę wam jeszcze nasiusiać, chcecie? Po drodze tutaj wypilem dużą herbatę i mam akurat parcie na pęcherz.

Odrzucili jego ofertę, wręczyli mu kartkę z tekstem i kazali odczytać z niej do cyfrowego magnetofonu zapamiętane przez świadków kwestie:

Arnold Washton, Hazer Street trzysta jedenaście, Quincy.

Morton Harford, Counting Lane dwadzieścia siedem, Randolph.

Zdejmij z wózka tackę z moniakami, otwórz sejf i ładuj woreczki.

Pamiętaj, że to nie twoje pieniądze, Morton, i pomyśl lepiej, jak miło będzie wrócić wieczorem do domu.

Rewanżu nie będzie! Pozdrów ode mnie moją malutką.

Wpadliśmy na popcorn, Pyszczku. Taaaa, kumasz?

Tę ostatnią linijkę tekstu kazali mu powtarzać trzy razy, dopóki jej płynnie nie przeczytał. Potem pozwolili mu pójść odlać się do łazienki. Poszedł, chociaż tak naprawdę sikać mu się wcale nie chciało, a kiedy wrócił, zamknęli go w pokoju przesłuchań i

zostawili tam samego prawie na całą godzinę. Ściany wyłożone były miękkim dźwiękochłonnym materiałem. Doug wstał raz, żeby sprawdzić pokrętko termostatu – słyszał, że pod pozorem jego nastawiania śledczy włączają ukryte mikrofony – ale nie mógł niczego stwierdzić bez zdjęcia obudowy. Usiadł z powrotem i z nudów zaczął pogwizdywać The Rose of Tralee dla wyimaginowanej publiczności. Miał nadzieję, że im się podobało.

W końcu do pokoju wszedł facet i przedstawił mu się jako detektyw porucznik Drysler przydzielony do grupy zadaniowej do spraw napadów na banki. Miał długie ręce i garbił się w sposób charakterystyczny dla starzejących się wysokich mężczyzn. Położył na stole podkładkę z klipssem z kartą Douga na wierzchu i wyciągnął okulary do czytania, zginając długie ręce tak, jak składa się nóżki stoliczka do gry w karty.

– Jedna szansa – powiedział. – Daję ci jedną szansę i drugiej już nie będzie.

Doug kiwnął głową, udając, że zamienia się w słuch.

– Jesteś pierwszym doprowadzonym – ciągnął Drysler. – Szczęściarzem, który pierwszy ma okazję się przyznać.

Doug kiwnął głową i nachylił się do niego.

– Dobra, zrobiłem to – wyznał. – Powiedźcie O.J., że macie sprawcę. To ja zamordowałem Nicole

Brown Simpson i Rona Goldmana.

Drysler popatrzył na niego przeciągle, był za stary i zbyt doświadczony, żeby dać się wyprowadzić z równowagi.

– Podobało ci się w więzieniu, MacRay?

– Przyznam, że nieszczególnie.

– Powiadają, że życie składa się z wyborów, MacRay, ale to nie do końca prawda. Życie to rzeczywiście wybieranie, wybieranie i jeszcze raz wybieranie. Co zjeść, w co się ubrać, o której pójść do łóżka, z kim do niego iść. Źle teraz wybierzesz, MacRay, i możesz już nigdy w życiu nie mieć okazji do dokonania żadnego innego wyboru. Idąc do więzienia, możliwość wybierania zostawia się przed bramą.

Doug przełknął z trudem ślinę, słowa detektywa cięły jak brzytwa, uśmiechnął się jednak, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

– Jak da mi pan ten tekst na piśmie, to chętnie zabiorę go do domu, oprawię w ramki i powieszę nad łóżkiem.

Po długiej chwili zastanowienia Drysler kiwnął głową.

– To wszystko, możesz iść.

Wychodząc do holu, Doug minął mężczyznę stojącego przy schładzarce wody. Był, podobnie jak Drysler, bez marynarki, w samej białej koszuli z długimi rękawami, wepchniętej głęboko w beżowe

spodnie, i jednolitym niebieskim krawacie, spod pachy wystawała mu kolba pistoletu tkwiącego w kaburze. Pił wodę z papierowego kubka, obserwując Douga, i kiedy ich spojrzenia się spotkały, Doug dostrzegł w oczach faceta coś znajomego.

Mężczyzna opuścił kubek i przełykając, już otwarcie spojrzął na Douga. Doug minął go i nagle przypomniał sobie, kto to. Zatrzymał się i odwrócił.

– Czołem – powiedział. – Po pokrzywce już ani śladu, jak widzę?

Agent patrzył na niego bez słowa, z miną jestemodciebiecwańszy właściwą wszystkim wyznawcom kultu złotej odznaki. Jedyne, co go wyróżniało spośród do niego podobnych, to włosy – zamiast fryzury na języka, jak u żołnierza, brązowa gęstwa pierścionków i splątanych sprężynek. Doug był o dobre trzy cale wyższy od niego i o co najmniej czterdzieści funtów cięższy.

– Co, zastrzyk z penicyliny załatwił sprawę?

Spojrzenie mężczyzny stwardniało. Nadszedł Drysler, żeby przegonić Douga, który najlepiej by zrobił, gdyby ruszył dalej przez hol ku drzwiom i nie oglądając się za siebie, wyszedł z budynku, ale to było silniejsze od niego. Po kilku krokach zatrzymał się znowu, pstryknął palcami i wymierzył palec w agenta, w jego profesjonalnie beznamiętną twarz.

– Czerwony cavalier, tak?

Bez odpowiedzi. Dłoń opuszczonej ręki agenta

zwinęła się w pięść, próbując zgnieść papierowy kubek w kulkę. Doug uśmiechnął się, odwrócił i pomaszerował przez hol, ale za drzwiami, wstępując na schody prowadzące na chodnik, już się nie uśmiechał.

W Spencer Gifts można było kupić kufle do piwa w kształcie zadka, które pierdziały, kiedy się z nich piło. Sklep mieścił się w centrum handlowym, był głęboki, ciemny i otępiająco głośny, sprzedawca za ladą – wyglądający jak skrzyżowanie ortodoksyjnego rabina z Flea z Red Hot Chilli Peppers – poruszał bezgłośnie ustami, powtarzając za Nine Inch Nails bolesciwy tekst jakiegoś skrzekliwego kawałka i narażając się na posądzenie, że klepie pacierze w miejscu pracy.

Doug głupio się tu czuł, ale sklepik był bezpieczny i dzięki ryczącej muzyce można tu było swobodnie porozmawiać.

Dez się spóźnił. Czarne oprawki jego okularów nabierały tutaj swego rodzaju retropoprawności. Był bardzo zaaferowany. Doug podał mu rękę i wymierzył uspokajającego kuksańca.

– Zgarnęli mnie z parkingu pod pracą – wyrzucił z siebie Dez. – A wcześniej byli u szefa, wypytywali go o mnie.

Doug kiwnął głową, nie spuszczał z oka wejścia do sklepu.

– Spokojnie, stary. Wyluzuj.
– Stracę przez nich pracę. – Dez zniżył głos. –
To federalna wielka lawa przysięgłych.

– Wyluzuj. To tylko grupka zwyczajnych obywateli, którzy zbierają się w jednym pokoju i debatują, czy dowód to dowód.

– Tak? Tylko? – Dziki sarkazm nie pasował do Deza.

– Co powiedziałaś glinom?

– A co im mogłem powiedzieć? Nic im nie powiedziałem! O nic mnie zresztą nie pytali, samo tylko: „Uśmiechnij się do aparatu, otwórz usta”. Nie wiem nawet, czy chodziło o... – Dez spojrzał podejrzliwie na dwóch małych oglądających nieopodal postery z listkami marihuany – ...o to ostatnie, czy o coś innego. Nic mi nie powiedzieli.

– I ty im też nie.

– Chryste, no pewnie, że nie. Jezu. Pobierali ci tę próbkę z ust wacikiem na patyku?

– Pobierali. Odciski dłoni i knykcii też ci zdejmowali?

– Tak. A nie zawsze to robią?

Może furgonetka nie do końca spłonęła? Może Jem zrobił coś bezmyślnego, na przykład ściągnął rękawiczkę, kiedy jadł cukierka przy tamtym szklanym kontuarze? A może to tylko tak na postrach?

– Oni tylko potrząsają drzewami, a nuż coś im

spadnie. Próbują nam zburzyć spokój ducha.

– No... to im się, kurwa, udało!

Doug kiwnął uspokajająco głową.

– W gazetach napisano, że zgarnęli jeszcze piętnastu chłopaków z Town. Wszyscy z przeszłością – tylko ty jeden nie. Jeśli wezwali cię, chociaż nie jesteś notowany za żaden napad z bronią w rękę, to znaczy, że chodzi im o coś innego.

– Ale dlaczego akurat ja? Co o mnie wiedzą?

– Samą wiedzą można się podetrzeć. Trzeba jeszcze mieć dowody.

Doug spojrział na kulę dyskotekową pobłyskującą pod sufitem.

– Wylecę przez nich z pracy...

Doug pokręcił głową, nie mógł uwierzyć, że w tych okolicznościach Dez najbardziej martwi się o swoją pracę. Do sklepu weszły jakieś dwie dziewczynki, łącznie góra trzydzieści lat, włosy postawione w czub, przekłute uszy, więcej metalu niż ciała.

– Jem uważa, że to ta kierowniczka oddziału z Kenmore – powiedział Dez.

Doug zmierzył go twardym spojrzeniem.

– Skąd wiesz? Rozmawiałeś z nim?

– Nie, ostatnio nie. Wcześniej już tak mówił.

– Jakie wcześniej? Co mówił?

Dez wzruszył ramionami.

– No to. Ze ona coś im powiedziała czy że coś

wie – nie mogłem za nim nadażyć. Ale sam chyba przyznasz, że przyniosła nam pecha.

– Jakiego pecha?

– No wiesz, tego, co nas prześladowuje od tamtego czasu. Jedno potknięcie za drugim.

Doug odwrócił wzrok, żeby ukryć irytację. W oczy rzucił mu się poster z Jenny McCarthy, blondyną w stroju topless ściskającą swoje cycki tak, jakby chciała je sobie urwać i mu nimi przygrzać.

– Jem narozrabiał jak pijany zając – zmienił temat. – Szajba mu w tym kinie odbiła i bez żadnego powodu zaczął strzelać w holu z pistoletu jednego z konwojentów.

– A o mnie coś mówi?

– O tobie? Niby co, że niby papla jesteś?

– Nie. Zaraz... to on tak myśli?

– Ho, ho, a skąd ja mam wiedzieć, co myśli Jem, nie widuję się z nim. To o co ci w takim razie chodzi?

Dez otworzył usta, zamknął je, wziął głęboki oddech, spróbował jeszcze raz:

– O Kristę.

Doug nie od razu załapał. Tyle się ostatnio działo, że zupełnie wyleciało mu to z głowy.

– Aha, tu cię boli.

– Wpadłem na nią w Szpuncie tamtej nocy, kiedy wy trzej... no wiesz. – Dez spojrział na Douga z wahaniem, niepewny, czy powinien kontynuować. –

Posiedzieliśmy tam trochę, a potem ona powiedziała, że idzie do domu, bo chce zobaczyć, czy w dzienniku będą coś mówili o napadzie.

Doug dobrze wiedział, jaka staje się Krista, kiedy wypije. Wiedziały to tabuny innych facetów. No, a teraz wiedział i Dez.

– Stary, powiem to tylko raz i nie będę powtarzał. Stałeś się pionkiem w grze. Wciągnęła cię w coś, co w jej mniemaniu jest wielkim przeciąganiem liny między nią a mną. Nie dociera do niej, że ta lina już dawno się przerwała.

– Duggy...

– A na dodatek... – Przed wejściem do sklepu, nie zerkając nawet do środka, przedefilował mężczyzna w koszulce polo i czapeczce baseballowej. Doug stawał się coraz bardziej nerwowy, czuł się coraz bardziej osaczony. – Na dodatek ona załatwia w dzielnicy różne sprawy gościowi, który zabił twojego ojca.

– To jej wujek. Pracuje u niego, księgowość mu prowadzi.

– Bardzo daleki krewny w najlepszym przypadku, piąta woda po kisielu. No i Krista nigdy nie była mocna z rachunków, Dezi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że co ona dla niego robi?

No, szczyt zidiocenia, bomby na nich lecą, a temu tylko Krista we łbie.

– Jezu, weź ty przejrzyj na oczy, człowieku. Chcę przez to powiedzieć, że ona pomaga dorywczo Fergiemu Kwiciarzowi, a obaj wiemy, czym się Fergie trudni. Przetrzyj sobie te swoje cyngle.

– Moje cyngle są czyste, Doug.

– Właśnie, kurwa, widzę. Aha, i jeszcze jedno.

– Co? – spytał urażony.

– Pamiętasz tamtego gościa w cavalierze pod domem twojej mamy? Spotkałem go na posterunku policji.

Dez poczuł panikę.

– Zalewasz.

– I nie miał już tej lipnej pokrzywki. To agent federalny, który nas rozpracowuje. – Doug dźgnął Deza palcem wskazującym w pierś. – Jak ci mało zmartwień, stary, to tym się lepiej martw.

KUPIĘ CI COŚ

Zanim do niej podszedł, przyglądał się przez jakiś czas z pewnej odległości, jak pracuje na klęczkach w ogródku. Dobiegał końca ten długi czerwcowy tydzień, otaczająca ją feeria barw i budzącego się życia sięgała zenitu. Doug uprawianie ogródków uważał zawsze za bezsensowne – ożywiać spłachetek ziemi tylko po to, żeby potem patrzeć, jak z powrotem obumiera, tracić czas na coś, o czym od początku wiadomo, że długo nie przetrwa – ale kiedy patrzył, ile ona serca wkłada w tę beznadziejną pracę, ciepło mu się robiło na duszy.

Wykorzystywał skwapliwie fakt, że jeszcze go nie zauważyła. Patrzył, jak w gasnących, padających ukośnie promieniach zachodzącego słońca klęczy na ciemnym prostokacie ziemi skrywającej jego skarb, rzucając długi cień na swoje zielone sanktuarium.

– Chcę ci coś kupić – powiedział.

Był wczesny wieczór, plac pod kościołem Świętej Trójcy, tłumek spacerowiczów otaczał ulicznego cyrkowca zonglującego dwoma kręglami, kulą do kręgli i parą butów do gry w kręgle. Na zonglera patrzyła tylko Claire – Doug wolał obserwować rozbawienie na jej twarzy. Występ

nagrodzono aplauzem, Claire klaskała w dłonie ułożone jak do modlitwy, uniesione pod samą brodę.

– Co chcesz mi kupić?

– A co byś chciała?

– Hmm. – Bujając się lekko na obcasach, wzięła go znowu za rękę. – Może nowy samochód?

– Jaki?

– Żartowałam. Nie chcę samochodu.

Nie odzywał się, czekał.

– Ty mówisz poważnie – zauważyła.

– To pierwsza rzecz, jaka ci przyszła do głowy.

– Bo żartowałam.

– Gdybyśmy w rozliczeniu oddali twojego saturna, nie wyszłoby drogo.

Uśmiechnęła się. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Nie chcę. Nowego. Samochodu.

– To co chcesz?

Roześmiała się.

– Niczego nie chcę.

– Zastanów się. Coś, czego sama byś sobie nie kupiła. Podjęła grę, robiąc zamyśloną minę.

– Mam. Mrożony jogurt w Emack's.

– Nieźle. Ale może lepiej coś z biżuterii.

– O? – Uśmiechnęła się do trotuaru przed nimi. – Jogurt czy coś z biżuterii. A toś mi zabił klina, teraz przez całą noc nie zmrużę oka.

Kolczyki go nie kręciły. Spojrzał na jej szyję:

wysmukłą, nagą.

– Może łańcuszek? Gdzie sprzedają takie rzeczy?

Przyłożyła sobie wolną dłoń do gardła.

– No... u Tiffany'ego naturalnie.

– Okay. Idziemy do Tiffany'ego.

– Słuchaj, ja wciąż żartuję.

– Wiem, że wcześniej, z tym samochodem, żartowałaś. Ale kiedy zeszło na biżuterię... wydaje mi się, że jakbyś ciutkę spoważniała.

Roześmiała się i uderzyła go lekko w pierś. Potem spojrzała na niego uważniej.

– Co cię dzisiaj napadło?

– Mam taki kaprys – mruknął. – Zrób mi tę przyjemność.

Rozłożysta ekspedientka z kółkiem kluczy do gablot, z którym przypominała więziennego klawisza, kazała się Claire odwrócić i unieść włosy z karku. Potem zapięła zameczek i Claire odwróciła się do stojącego na ladzie lustra w ramkach, otworzyła oczy i spojrzała z zachwytem na brylancik skrzący się w usianym piegami zagłębieniu jej szyi. Oprawny w złoto klejnot uniósł się na fali przetykanej z trudem śliny.

– To wariactwo – wykrztusiła.

– Do twarzy ci z nim.

– Skąd weźmiesz... nie stać cię...

– Jest tańszy od samochodu.

– I trwalszy – dorzuciła z uśmiechem ekspedientka. Claire nie odrywała od brylantu oczu.

– Wolałabym raczej, żeby nie było... – Obróciła głowę, wpatrując się z fascynacją w roziskrzający się kamyk. – Powiedziałam „raczej”, tak?

Ekspedientka kiwnęła głową.

– Karta kredytowa czy czek?

– Gotówka – powiedział Doug, sięgając do kieszeni.

Claire zatrzymała się przed witryną kilka sklepów dalej i przejrzała w szybie, mając tym razem za tło wieczne pióra i scyzoryki. Dotknęła obojczyka w dokładnie taki sam sposób, w jaki robią to kobiety z reklam brylantów.

– Teraz będę musiała do niego dokupić całą szafę nowych ciuchów.

Doug zauważył jej pusty nadgarstek.

– Widziałem tam bransoletkę do kompletu, masz gust.

Podziwiała jeszcze chwilę klejnocik, potem opuściła rękę.

– Nie powinnam się godzić, żebyś mi to kupował.

– Dlaczego?

– Bo nie powinnam. Wystarczała sama intencja. Impuls, który poczułeś... ujął mnie, obojętne, co go wyzwoliło. To była magia. Silniejsza ode mnie

kobieta może by ci to od razu powiedziała. Kobieta z charakterem. Nie musiałeś tego robić.

– Wyrzuty sumienia? – zdumiał się Doug. – Coś takiego.

– A żebyś wiedział – przyznała z bladym uśmiechem. I już się nie uśmiechając, spojrzała na niego.

– Doug... zrobiłam coś dzisiaj, nie zgadniesz.

Fala gorąca uderzyła mu do głowy

– Co takiego?

– Zwolniłam się z pracy.

Doug kiwnął powoli głową.

– Z banku?

– Musiałam. Zresztą było tylko kwestią czasu, kiedy sami mnie wypieprzą. – Uśmiechnęła się, trochę zażenowana użyciem takiego określenia, ale szybko znowu spoważniała.

– Ostatnio bardzo opuściłam się w obowiązkach, nie mieli już tam ze mnie wielkiego pożytku. Od czasu napadu... nie będę cię znowu tym zanudzała, ale nie miałam już serca do tej pracy. Nie, nie z powodu tego, co mnie w niej spotkało. Ze względu na siebie. Zdałam sobie sprawę, że muszę coś zmienić w swoim życiu, i to radykalnie. Nie dociera do mnie jeszcze... nie chce mi się wierzyć, że naprawdę to zrobiłam.

– Nie było to trochę na łapucapu?

– Może. A co?

– Nie, nic, tak sobie tylko myślę, jak na to spojrzysz policja. Kilka tygodni po napadzie... rzucasz pracę w banku.

Poderwała rękę do otwartych ust.

– Ojej.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że muszą zaraz...

– O tym nie pomyślałam. Chyba nie sądzisz, że...

Owszem, tak właśnie sądził. FBI z całą pewnością znowu się nią teraz zainteresuje. A jeśli zaczną ją obserwować, to czy będzie mógł się z nią nadal spotykać, tak żeby tego nie zauważyli? Bo jeśli zobaczą go z Claire...

Coś mu się przypomniało.

– Rozmawiasz jeszcze z tym agentem FBI?

Odjęła dłoń od ust.

– Myślisz, że znowu się do mnie odezwie?

I w tym momencie Douga przeszedł zimny dreszcz. Ze też wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

– Jak on wygląda? Podobny do tych z telewizji?

Ruszyli dalej przez Copley Mall w kierunku schodów ruchomych, Claire z torbą z nadrukiem Tiffany & Company przewieszoną przez rękę.

– Powiedział, że jest agentem od napadów na banki, że tym się zajmuje.

– Jak wygląda, ostrzyżony na języka, w garniturze?

– Niezupełnie. Mieszka gdzieś w porcie.

– W porcie, mówisz?

– Jest mojego wzrostu, no może z cal wyższy. Gęste brązowe włosy, takie falującokędzierzawe. I jeszcze... chyba już znikła, ale miał taką czerwonawą plamę na policzku, bo gonił przestępcę, złodzieja bankowego, który zabrał z kasy paczkę pieniędzy z saszetką barwiącą, i ta saszetka... Wiesz, co to jest saszetka barwiąca?

Zjeżdżali już schodami ruchomymi na dół i całe szczęście, bo Douga sparaliżowało.

To wszystko było za bardzo pogmatwane. Za bardzo zbite, nie mógł tego rozsupłać. Czyżby dał się podejść? Czyżby ten bankowy agent jakimś sposobem wyciągał od Claire informacje o nim?

Zatrzymali się przed obrotowymi drzwiami. Claire przerwała swoją opowieść o przygodzie z saszetką barwiącą, jaką przeżył agent, żeby znowu spojrzeć na swój naszyjnik w lśniącym chromie. Obserwował ją.

Ona nic nie wie. I może ten agent też nic nie wie. Może.

Wyszli z centrum handlowego i ruszyli przez ceglano-kamienny plac. Po ulicy miotły się tłumy ludzi, którzy wysiedli przed chwilą na przystanku Back Bay i usiłowali teraz łapać taksówki. Claire wzięła go za rękę.

– Spóźniony szok pozakupowy?

– Nie – mruknął, otrząsając się z zamyślenia. –

Jakie masz plany?

– Na dzisiejszy wieczór? Bo ja wiem...

– Nie, ja pytam, co będziesz robiła teraz, kiedy nie pracujesz.

– Ach, o to chodzi. Mam trochę oszczędności, taką poduszkę bezpieczeństwa. Co będę robiła? – Spojrzała na szczyty drapaczy chmur. – Trzymała się z dala od bankowości, to na pewno. Nasłucham się od rodziców. Myślałam o uczeniu, ale... te zajęcia, które prowadzę z młodzieżą w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt, to nie jest typowe nauczanie. Praca społeczna też odpada. Z tego nie da się wyżyć. Ale rozmawiałam z dyrektorem, i gdyby znalazł się dla mnie jakiś płatny etat, to jestem pierwsza w kolejce.

Myśli kłębiły mu się w głowie jak te tłumy na placu.

– A co byś powiedziała – spytał – gdybym i ja rzucił pracę.

Roześmiała się.

– Miałabym przynajmniej towarzystwo. A co?

– Ja też mam trochę odłożonych pieniędzy. Taką swoją poduszkę bezpieczeństwa. Cholera, kanapę całą.

Uszli jeszcze kilka kroków pod prąd rzeki przechodniów, potem spojrzała na niego, przypominając sobie o naszyjniku, który jej przed chwilą kupił.

– Całą kanapę?

– I to z pufem do kompletu.

Wszystko wydawało się teraz zagrożone, wszystko się waliło. Odnosił wrażenie, że jego dotychczasowe życie zostało z dnia na dzień zakwalifikowane do rozwałki, ładunki wybuchowe pod wszystkie belki nośne już założone, nadchodzi z łomami i młotami ekipa wyburzeniowa w kaskach ochronnych.

– Zauważyłaś, że każdy ma jakieś upatrzone miejsce, do którego chciałby się przenieść – takie swoje „gdyby tylko” miejsce? No wiesz: „Gdyby tylko mieć pieniądze” albo „Gdyby tylko nadarzyła się okazja”.

Claire kiwnęła głową.

– No pewnie.

– Ja nigdy nie miałem takiego upatrzonego miejsca. Założę się, że ty je masz.

– Marne pół tuzina.

– Sęk w tym... że nikt nigdy do tego swojego „gdyby tylko” miejsca nie dociera.

– To prawda.

– A dlaczego tak się dzieje? Dlaczego my nie mielibyśmy być pierwszymi, którym się to uda?

Uśmiechnęła się, odnajdując w jego twarzy coś nowego, dokonując tam doniosłego odkrycia.

– Wiesz co, Doug? Ty jesteś romantykiem. Od początku cię o to podejrzewałam, ale bardzo dobrze się maskowałeś.

– Moja sytuacja się zmienia, Claire. Zmienia szybko, z godziny na godzinę.

– Jest jeden mały problemik, który może przeszkodzić w realizacji twojego „gdyby tylko” planu.

– Jaki?

Uśmiechnęła się.

– Na całym świecie nie ma drugiego Charlestown.

– Tak – mruknął. – Tak, to jest feler.

I zostawił to tak, zawieszone w powietrzu: taka tam gadkaszmatka. Przed dwudziestu sześciu laty jego matka wyniosła się z Town. Może już pora pójść w jej ślady.

RYSA

Clark Mayors był ślusarzem i prowadził mały zakład dorabiania kluczy na Bromfield Street, jednej z wąskich uliczek odchodzących od brukowanego kocimi łbami bulwaru Downtown Crossing. Bostoński oddział FBI nie miał dobrego fachowca od zamków, współpracował więc z tym sześćdziesięcioletnim kluczorobem, zlecając mu, raz na papierze, innym razem na gębę, rozmaite dorywcze partaninki. Agent z nocnego dyżuru dał Frawleyowi numer pagera Clarka. Clark był statecznym, dobrze zbudowanym czarnym o poczciwej twarzy, załatywało od niego przyjemnym zapachem domowej kuchni, nosił okulary połówki, a policzki pokrywała mu śnieżnobiała szczecina zarostu. Miał sztywną, nienegocjowalną stawkę wynoszącą sto dolarów za godzinę, i Frawley zobowiązał się uregulować należność z własnej kieszeni.

Kilka godzin wcześniej Frawley siedział z tyłu swojego nowego służbowego samochodu – poobijanego, granatowego forda tempo – zaparkowanego pół przecznicy od domu Claire Keeseey i walczył z sennością. Ocucił go głęboki

pomruk silnika corvetty. Patrzył, jak para z przednich foteli żegna się czule, potem ona wysiada i wchodzi do domu sama. Frawley zrezygnował z planu złożenia jej wizyty i ruszył za MacRayem.

Ciemnozielony sportowy wóz kierował się chyba na międzystanową, a tam Frawley nie miałby z nim żadnych szans, ale w ostatniej chwili MacRay skręcił ostro w kierunku wieży Schraffta, przeciął Mystic Street i wpadł w Everett. Z Main Street odbił w ciemną osiedlową uliczkę i Frawley pomyślał, że MacRay zorientował się, iż jest śledzony, ale okrągłe światła hamowania corvetty rozbłysły i wóz skręcił w jakiś podjazd. Frawley wycofał się na Main, zaparkował tam i czekał, zastanawiając się, co dalej. I nagle w aucie, za którym parkował, rozpoznał drugi samochód MacRaya, sfatygowanego, białego caprice classic. Ruszył spod krawężnika, zrobił rundkę wokół domu pogrzebowego i kiedy wrócił, caprice już nie było.

Teraz Frawley, z utrzymującym się od tamtego czasu wysokim poziomem adrenaliny, obserwował Clarka przy pracy nad bocznymi drzwiami szerokiego garażu. Jedyne źródłem światła była rozproszona błękitna poświata rozsiewana przez Madonnę z sąsiedniego podwórka.

Na początek Clark wprowadził pod drzwiami wężyk z minikamerą na końcu, żeby obejrzeć wstępnie zasuwę od wewnątrz, sprawdzić, czy nie ma

alarmu. Jego szarobiały przenośny monitor nie wykrył żadnych pułapek, żadnych chytrych zabezpieczeń. Następnie podciągnął nogawki spodni, ukląkł przed kłódką na złożonej szmacie i zarzucił sobie na głowę i ramiona starą czarną płachtę, żeby osłonić promień latarki, przy której będzie pracował. Frawley, słuchając skrobania i klikania towarzyszących cierpliwym zabiegom Clarka, obserwował czujnie ulicę – okolica wyglądała mu na taką, w której przyłapanym na gorącym uczynku włamywaczom wymierza się sprawiedliwość na miejscu.

Po chwili Clark odrzucił płachtę, dźwignął się z cichym stęknieniem z klęczek, podniósł z ziemi torbę z narzędziami i kiwnął Frawleyowi głową. Frawley ujął gałkę u drzwi dłonią w rękawiczce. Gałka obróciła się lekko, drzwi otworzyły bez najmniejszego zgrzytu czy skrzypnięcia, które zakłóciłoby nocną ciszę. Clark wszedł do środka za nim i Frawley szybko zamknął drzwi.

Clark znowu zapalił latarkę – cienką jak drucik, przyczepioną do okularów – i odszukał ścienny kontakt przykręcony przy drzwiach do belki z surowego drewna. Nacisnął go i blask halogenowych lamp zalał stary garaż. Pośrodku cementowej posadzki stał samochód marzenie, szmaragdowozielony, długi, nisko zawieszony, lśniący klejnot na kołach z pięcioszprychowymi

felgami.

Pod ścianą stał czerwony wózek narzędziowy na rolkach i stół warsztatowy z półkami z płyt wiórowych wypełnionymi małymi częściami zamiennymi oraz starymi i nowymi narzędziami.

– Ładna rzecz – mruknął Clark, wyłączając latarkę.

Frawley podszedł do samochodu i przyłożył dłoń w rękawiczce do gładkiej jak szkło maski, tak jakby spodziewał się, że wyczuje pod nią puls. Musiała być pokryta kilkoma warstwami lakieru. Wsunął palce pod klamkę drzwiczek od strony kierowcy i otworzył je szeroko.

Wnętrze z fotelami obitymi czarną skórą pachniało wciąż jak nowa rękawica baseballowa. Wsunął się za kierownicę, tapicerka zaskrzypiała, ale nie protestacyjnie. Sięgnął do drążka zmiany biegów, położył stopy na pedałach, dotknął obciążonej skórą kierownicy. Musiałby przesunąć fotel o jakiś cal do przodu, żeby poczuć się całkiem komfortowo.

– Handlarz narkotyków, co? – mruknął Clark stojący obok z torbą narzędziową w ręku.

Ani pyłka kurzu na desce rozdzielczej. Frawley sięgnął nad fotelem pasażera do schowka i w tym momencie poczuł zapach Claire Keesey, kosmetyku o zapachu toffi, którego używała. Samochód był zarejestrowany na Kristę Coughlin zamieszkałą przy Pearl Street, Charlestown, Massachusetts. Pod

dowodem rejestracyjnym leżało pudełko na płytę CD z nalepką AM Gold.

Frawley wysiadł, zatrzasnął drzwiczki. Podszedł do stołu warsztatowego, zajrzał do wszystkich szuflad, potem otworzył minilodówkę i wyjął z niej litrową butelkę mountain dew. Odkręcił zakrętkę i wypił duszkiem połowę zawartości. Zajrzał do kartonowego pudła służącego za pojemnik na śmieci, ale znalazł w nim tylko puste butelki po dew i szmaty.

W głębi garażu cementowa posadzka kończyła się progiem ze starych desek, za nim ział głęboki na cztery stopy dół. Frawley skierował promień latarki na rdzewiejące tam narzędzia ogrodnicze, rowery, sanki. Ziemia na dnie wyglądała na ubitą, nie powinna zachować jego śladów. Zeskoczył, wzbijając obłoczek pyłu. Zalegał tu metaliczny zapach trwającego od dziesiątków lat utleniania. Rozejrzał się. Same rupiecie. Ciekawe, co może łączyć MacRaya z właścicielem tej posesji; rano sprawdzi, kto tu mieszka.

Miał już wygramolić się z dołu, kiedy snop światła z latarki padł na obluzowany kamień wielkości głowy wystający z kamiennej obmurówki. Odsunął starą dmuchawę do śniegu i przykucnął przed kamieniem. Wyjął go ostrożnie jak oko z oczodołu i zobaczył wygrzebaną w ziemi jamę. Wsunął do niej rękę, pomacał. Była pusta, nie licząc

kilku plastikowych saszetek z żelem silikonowym, takich, jakie umieszcza się w pudełkach ze sportowym obuwiem, żeby pochłaniały wilgoć. Frawley zajrzał do dziury i zaleciał go zapach starego płótna charakterystyczny dla miejsc, w których przechowywane są papierowe pieniądze.

Wstał, pociągnął łyk mountain dew. MacRay opróżnił niedawno swój schowek. Gdyby tylko wiedział, że on, Frawley depta mu po piętach.

Głośne ziewnięcie Clarka, które dobiegło z góry, przypomniało Frawleyowi, że licznik bije. Wygramolił się z dołu na cementową posadzkę, corvetta połyskiwała dumnie. Spróbował wyobrazić ją sobie spaloną.

– Potrafisz zamknąć z powrotem drzwi od tamtej strony? – spytał Clarka. – Tak żeby nie dało się poznać, że ktoś tu wchodził?

Clark kiwnął głową.

– Nie ma sprawy – wymruczał.

– To gaś światło i zaczekaj na zewnątrz. Zaraz do ciebie dołączę.

Clark zgasił lampy przywieszzone do belki stropowej i wyszedł, zostawiając Frawleya z latarką przy samochodzie. Frawley wyjął z kieszeni kółko z kluczami i porównał je w świetle latarki. Najostrzejsze ząbki miał kluczyk do nowego tempo. Przeszedł do przedniego zderzaka corvetty, wbił kluczyk w miękki lakier i wyorał nim głęboką rysę

od kierunkowskazu, poprzez drzwi od strony kierowcy, aż do bagażnika. Potem cofnął się i sycił oczy swoim dziełem.

W Charlestown można spotkać wyjątkowo ładne drzwi frontowe, ale drzwi Claire Keesey do takich się nie zaliczały. Przy Monument Square i w sąsiedztwie John Harvard Mall wejścia w europejskim stylu nie ustępują w niczym tym w Beacon Hill i w dolnej Back Bay, ale jej były całkiem zwyczajne: żadnego mosiądzu, żadnych szybek z przydymionego szkła, żadnego śmiałego koloru – zwyczajne, podniszczone brązowe drzwi, z których obłaziła płatami farba.

Otworzyła mu w szarych spodenkach gimnastycznych i żebrowanej czarnej koszulce, była boso i bez stanika, mokre, ale uczesane włosy opadały prostymi pasmami. W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, kiedy rozpoznała go za okularami przeciwsłonecznymi – chociaż Frawley dostrzegł w nich również cień rozczarowania.

– Cześć – powiedziała takim tonem, jakim mówi się: „A ty tu czego?”.

– Nie w porę? Spodziewałaś się kogoś innego?

– Nie, nie... wejdź. – Odsunęła się.

Przekroczył wyłożony białą terakotą próg, poprowadziła go krótkim korytarzykiem do salonu. Pod najszerszą ścianą stały kontrastujące ze sobą metalowy regał z drucianymi półkami i skrzynia z

bambusu, toczące zalecany przez feng shui pojedynki. Miękka, obita beżową skórą sofa z Jennifer Convertibles. Z innych sprzętów i elementów wyposażenia wieża CD z Pier One, dywan z Pottery Barn. A na ścianie, ni przypiął, ni przyłatał, kilka starych plakatów ze studenckich czasów. Zupełny miszmasz, efekt dziesięciu lat stopniowego obrastania w rzeczy.

Na stoliczku kawowym leżał plik katalogów mody oraz egzemplarzy „Shape” i „Marie Claire”. Zajrzał do sypialni – kołdra skotłowana, łóżko niepościelone – wszedł do kuchni i spojrzął przez okno na budynki po drugiej stronie zaułka.

– Jak chcesz wysuszyć włosy, to ja zaczekam.

– Nie – powiedziała trochę podirytowana jego wędrówkami po mieszkaniu. – Same wyschną.

Popatrzył na nią przeciągle. W szarej kopercie, którą trzymał pod pachą, miał zdjęcia MacRay'a z kartoteki.

– Słyszałem, że nie pracujesz już w banku.

Iskierka paniki w oczach.

– Tak, to... to już było ponad moje siły.

Próbował zastosować wobec niej przywilej wątpliwości. Potraktować jako nieświadomą niczego ofiarę, która dała się omotać byłemu kryminaliście. Składał jej tego ranka wizytę głównie z myślą o wysondowaniu, co wie o MacRayu, ale również z cichą nadzieją, że zdoła wykrzesać w sobie choć

odrobinę współczucia.

Wszelkie szanse na to rozwiały się jednak, kiedy zobaczył na kuchennym stole płaskie pudełeczko, klasyczne niebieskie etui od Tiffany & Company. Odłożył szarą kopertę na stół, odchylił wieczko i wyjął cienki, lejący się przez palce łańcuszek z brylancikiem jak maleńkie kryształowe oczko.

– Ładne – mruknął.

– To... to prezent.

– Nie od tego notorycznego podrywacza?

Nie odpowiedziała. Frawley sam czuł się zaszachowany. Oto trzymał w ręku część pieniędzy zrabowanych przez MacRaya z kina. Ten bandzior kupował jej za nie biżuterię.

– Mogę zobaczyć, jak ci w tym?

Uniosła obronnym gestem rękę do szyi.

– Nie jestem odpowiednio ubrana...

Ale on odpiął już misterny zameczek i czekał z łańcuszkiem w rękach. Odwróciła się z ociąganiem i uniosła włosy z karku. Frawley zapiął łańcuszek tuż pod ciemniejszymi odrostami i czekał.

Odwróciła się z powrotem twarzą do niego i spuściła oczy, usiłując ukryć zażenowanie. Brylancik połyskiwał tuż nad dekoltem koszulki, jej piersi wypychały czarny materiał. Założyła ręce, żeby zasłonić nabrzmiałe sutki.

– Słyszałaś o kinie w Braintree? – spytał Frawley.

Zamrugnęła zaskoczona tą nagłą zmianą tematu.

– Tak, oczywiście, był tam napad.

Frawley kiwnął głową, cofnął się.

– Ta sama banda. Wszystko na to wskazuje.

– Ta sama? – Jej zaskoczenie było autentyczne.

– Przechwycili utarg, po który przyjechał bankowóz. Ustaliliśmy już, że wszyscy pochodzą z Charlestown.

Znowu szok.

– To pewne?

– Dwóch mamy od jakiegoś czasu pod obserwacją. Sporo już o nich wiemy.

Spuściła znowu wzrok, kiwając głową, tak jakby coś rozważała. Może jakieś niejasne podejrzenie, które ostatnio powzięła. Frawley nie dał jej czasu na pozбиieranie myśli.

– Chłopcy z Town kochają bankowozy – ciągnął.

– Banki i bankowozy to ich żywioł, od zawsze. Najpierw jest inicjacja, prochy i rozboje. Bostońska policja, odbierając alarm z banku, w pierwszej kolejności obstawia most Charlestown i czeka tam na tych ćpunów wracających z łupem do siebie, do swojej dzielnicy. Zwłaszcza zimą – oni kochają śnieg, ten zamęt, jaki się robi, kiedy spadnie, naciągają wtedy maski narciarskie i na włam. Większość tych urków, wyszumiawszy się za młodu, z wiekiem się usatkwuje, ale są wśród nich tacy, którzy... nigdy z tego nie wyrastają. Ci przechodzą na

zawodowstwo. Obrabianie banków staje się ich profesją, powołaniem, ich sposobem na życie. Widzisz, teoria więzienna zawsze wydawała mi się trochę wydumana.

Pokręciła głową, przestawała za nim nadążać.

– Jaka teoria więzienna?

– Zjazd rodzinny, piknik na skraju drogi, mówi ci to coś? Było w Bostonie takie więzienie. Kary odsiadawali w nim między innymi Sacco i Vanzetti, i Malcolm X. W myśl tej teorii rodziny osadzonych z długimi wyrokami osiedlały się tutaj, żeby mieć do nich blisko, i wydawały na świat kolejne pokolenia wykolejenców i bandziorów. Ale ja myślę, że sprawa jest prostsza. Według mojej teorii napadanie na banki jest tu po prostu tradycją. W dawnej Ameryce i Europie były wioski słynące z rzemiosł, jakimi parali się z dziada pradziada ich mieszkańcy. Na przykład z dmuchania szkła, szewstwa albo złotnictwa. Tutaj takim tradycyjnym rzemiosłem było i jest napadanie na banki i opancerzone bankowozy. Techniki z czasem się zmieniają i udoskonalają, ale predyspozycje przekazywane są z pokolenia na pokolenie. No wiesz, przechodzą z ojca na syna.

Claire blada, zapatrzona w przestrzeń, namacała jedną ręką róg sofy, drugą dotknęła machinalnie naszyjnika.

– No i do tego ta mentalność z czasów rewolucji amerykańskiej – ciągnął Frawley. – Przejęli jej mit i

zupelnie go wypaczyli. Ta legenda walki z najeźdźcą – nagięli ją do swoich przestępczych celów. Bankowy rabuś ludowym bohaterem i tym podobne bzdury. A ja wrogiem, tak? Prawo ciemieżcą? – Sięgnął po płytę CD leżącą na wieży stereo i odwrócił się do niej. – Ha. AM Gold. Dobrze to?

Nie słuchała go. Myślami była teraz gdzie indziej.

Frawley odłożył płytę i podjął:

– Ale bez obawy. Ci faceci zawsze znajdują sposób, żeby się podłożyć, nawet najcwańsi z nich. Na przykład za dużo rozprawiają o bankach. Albo wypytują ludzi o FBI. Albo szastają na prawo i lewo gotówką. To zwraca uwagę.

Claire oderwała dłoń od naszyjnika i opuściła rękę.

– A do tego wszystkiego... – ciągnął Frawley, wracając do kuchennego stołu i biorąc z niego szarą kopertę – ...a do tego zostawiają beztrosko fragment odcisku dłoni.

To wyrwało ją z transu.

– Myślałam, że nie wolno ci mówić o takich sprawach.

– Cóż... – Uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami. – To zależy komu, prawda?

Kiwnęła głową, nie patrząc mu w oczy. Naszyjnik wyraźnie zaczynał ją dusić i Frawleyowi przemknęło przez myśl, że mógłby jej współczuć

ignorancji, ale nie losu, który sama sobie zgotowała: zaprosiła na pokład tonącego okrętu, jakim stało się jej życie, tego samego pirata, który wcześniej go splądrował. Frawley mógł ją ochronić, gdyby mu na to pozwoliła. Mógłby jej oszczędzić tego wszystkiego. Teraz jednak była jego atutem w rozgrywce z MacRayem, a tym samym musiał ją wykorzystać. Wsunął zaklejoną kopertę z powrotem pod pachę. Do jego obowiązków należało chwywanie bankowych rabusiów, a nie ratowanie kierowniczek oddziału przed nimi samymi.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytał.

Znowu założyła ręce na piersi i przestępując z nogi na nogę, kiwnęła głową. Widziała ciemne chmury zbierające się na horyzoncie, ale wciąż nie dopuszczała do siebie myśli o burzy, którą zapowiadały.

– Tak. – Frawley westchnął. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdzie, a jemu się nie śpieszyło. – Tak. – Westchnął jeszcze raz. – No cóż. – Założył z powrotem okulary przeciwsłoneczne i dotknął czubkiem palca roziskrzonego małego kamyczka. Dociskał go przez chwilę do zagłębienia między jej piersiami i napawał się dyskomfortem, jaki jej to sprawiało, jej rozdarciem. – Okay – mruknął w końcu i wyszedł.

LODOWISKO

Czterej mężczyźni w denimowych szortach do kolan, Tshirtach, czarnych łyżwach i grubych bawełnianych skarpetach opuszczonych poniżej mięsistych łydek spożywali w środku czerwca lunch na krytym lodowisku. Całe mieli dla siebie. Wentylatory chłodziarek za bandami warczały jak silniki ciężarówek, a oni krążyli wokół dwóch pudełek pizzy Papa Ginos leżących na piedestałach ze skrzynek po mleku.

– No więc tak – zagaił Jem, pociągając łyk heinekena i otwierając to spotkanie na szczycie. – Któryś gdzieś coś spierdolił.

Doug odrzucił do otwartego pudełka skórkę pizzy, wykręcił za plecami Jema ciasne kółeczko i jadąc tyłem, zgarnął z tafla lodowiska butelkę mountain dew.

– A my dalej nie wiemy który i co – ciągnął Jem. – Nie wiem nawet, komu potrącić.

Deza zniósł od pizzy, po którą sięgał, pewniej czuł się na łyżworolkach niż na lodzie.

– Ta furgonetka mogła się lepiej zhajcować – dorzucił Jem.

Gloansy dopił heinekena i wyhamował, żeby

odstawić pustą butelkę do kartonowego sześciopaka.

– Ty tam, kurwa, działałeś – warknął. – Trzeba było dopilnować.

Doug spojrział na trybuny. Pamiętał ten doping i tupanie, i swoje nazwisko wplecione w okrzyk „Hurray!”, i jak zawsze się wtedy wydawało, że zwycięstwo drużyny gospodarzy to za mało, że żądzy krwi tego tłumu nie zaspokoi nic mniej spektakularnego od kuli ognia, w której cała hala wyleci w powietrze.

Widział wciąż tamtego łowcę talentów od Bruinsów, faceta w kapelusiku Beara Bryanta i wełnianych rękawiczkach z jednym palcem, jak siedzi na skraju piątego rzędu, pośrodku trybun, i notuje coś pilnie w notesie ze spiralnym grzbietem, a siostry Martin obok niego wrzeszczą: „Doug, Doug, Doug...”. W swoim raporcie końcowym, który pokazano Dougowi po wciągnięciu go do składu, określił MacRaya jako „twardego gracza z klasą”, skutecznego, o wysokim potencjale obrońcy, łączącego tradycyjną zadziorność lat siedemdziesiątych z nową finezją osiemdziesiątych.

Ale to były już tylko echa. Przyłapał się na tym, że dotyka rozciętego łuku brwiowego, i z irytacją cofnął rękę. Właśnie dlatego nie lubił już wychodzić na tę taflę.

– Robota przebiegła bez zgrzytów – ciągnął Jem – a przynajmniej mnie o żadnych nie wiadomo. No to

jak to jest, że każdy z nas, idąc tu dzisiaj, musiał zmarnować pół poranka na sprawdzanie, czy nie ciągnie za sobą ogona? Skąd ni z gruszki, ni z pietruszki cała ta chryja?

Tego ranka żadni policjanci nie czekali pod LoriAnís na Douga, kiedy wychodził stamtąd z herbatą – ale wszystko jakby się zmieniło. Odnosił wrażenie, że z Town zdjęty został ochronny klosz i teraz gliniarze mogą czekać na niego gdziekolwiek: przy samochodzie, w mieszkaniu, pod domem jego matki.

– To proste – powiedział Doug, podjeżdżając do skrzynek po kolejny kawałek pizzy i wyhamowując przed nimi tak ostro, że spod łyżew sypnął na pudełka mały prysznic wiórków lodu. – Już dawno mają nas na celowniku. A my mimo wszystko zrobiliśmy ten skok.

– Też mi skok – prychnął pogardliwie Jem. – Ale przynajmniej coś się działo, nie daliśmy się gnojkom sterroryzować.

– Nie daliśmy – przyznał Doug. – I to się nam chwali.

– Oho, komplement z ust naszej tęgiej głowy. Dobra, geniuszu, to oświeć nas teraz, gdzie i kiedy sprawa się rypla?

– W tym celu musielibyśmy się cofnąć do pewnego mroźnego dnia na początku grudnia sześćdziesiątego trzeciego.

Jem zjeżył się na to nawiązanie do dnia jego urodzin. Zwrócił się do Deza, który jako jedyny z ich czwórki nie uczestniczył w napadzie na kino:

– Duggy jest na mnie zły, bo sobie trochę podokazywałem.

– Tak? – mruknął Dez. – Ty to nazywasz dokazywaniem?

Jem uśmiechnął się złowieszczo.

– Takiej drętwej roboty nie pamiętam, jak żyję. Żenada.

– Żenada – powtórzył Doug.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Douglas – to było dobre dla cweli. Dla cipek z dobrego domu. Trzeba to sobie jasno powiedzieć.

Doug zwolnił i ponownie podjechał do skrzynek.

– To ja też ci powiem bez owijania w bawełnę. Za gładko szło jak na twój spaczony gust i twój iloraz inteligencji. Zabrakło ci rozpierduchy, bez której żyć nie możesz.

– To nie był żaden skok. To było włamanie do budki z lemoniadą. Trzy baby na naszym miejscu też by dały radę.

– Ale ile zgarnęliśmy, i to z palcem w dupie.

– Dobra, chłopaki, starczy już tego – wtrącił się Gloansy, próbując zdusić płomienie w zarodku.

Ale Jem nie był zainteresowany.

– Nie chodzi o to ile, stary – powiedział, odjeżdżając od podium z pizzą, żeby dogonić Douga.

– Tylko w jakim stylu.

– Chodzi o to, żeby w ogóle było co liczyć. Koniec, kropka – wywarczał Doug. – Za stary już jesteś, żeby umrzeć młodo, Jemmer. Zaspaeś.

– Johnny Filozof się, kurwa, znalazł. Co ty masz takiego do stracenia, że tak się czaisz?

Z miny Jema wynikało, że to aluzja do Claire Keeseey, ale Doug udał, że nie rozumie.

– Bycie profesjonalistą do czegoś zobowiązuje. Jak się już coś robi, to z głową i na chłodno. Oto cała filozofia.

– Nie, Duggy, kochany, to twoja filozofia. Ty jeden bawisz się w obmyślanie planów. A kto... a gdzie jest powiedziane, że ja muszę się kurczowo trzymać tego, coś ty sobie wykoncypował? Co ja jestem, twój wyrobnik? – Jem ujął się pod boki i zbliżył po powolnej trajektorii do Douga. – Widzisz, moja filozofia to wparować na robotę z marszu, z fasonem. Bo ja jestem bandzior i kawał skurwysyna.

Doug przepuścił Jema i ciągnący się za nim odór piwa.

Dez z Gloansym przestali żuć, czekali po przeciwnych stronach piedestału z pizzą jak dzieci przysłuchujące się z przejęciem kłótni rodziców.

– A co wy na to, chłopaki? – zwrócił się do nich Doug. – Wolicie, żebym oszczędzał wam kłopotów czy w nie pakował?

Jem wszedł w nawrót, szybki, ale kontrolowany,

przekładając łyżwę nad łyżwą.

– I co to w ogóle za pieprzenie o kłopotach, bezpieczeństwie? My napadamy na banki, stary. Charakterniaki z nas, nie pękamy, mamy jaja. Na robotę chodzimy z pistoletem, a nie z jakimś pierdzielonym neseserkiem. W tym fachu nie ma się co oglądać na bezpieczeństwo. – Zawrócił, żeby widzieć ich wszystkich, sunął teraz tyłem, wyhamowując. – Duggy, co się z tobą, do chuja pana, porobiło?

– Weźcie już, kurwa, zbastujcie, jak pragnę zdrowia – wyjęczał Gloansy.

– Właśnie – poparł go Dez. – To się robi cholernie nudne.

Gloansy odstawił piwo.

– Zdradź nam naszą szczęśliwą liczbę i spadamy. Jem ruszył znowu tyłem, nabierając prędkości.

– Weźmy to twoje zagranie z konwojentami. Wzięłeś ich na rodziny, żeby się bali kiwnąć palcem. Jakie bezpieczne to było. Jakie kurewsko chytre. A wiesz, co ci powiem? – Przemknął obok Douga i obrócił się w pędzie, trochę ciężkavo, ale czysto. – Ja pierdolę bezpieczeństwo i chytre sztuczki.

– I dlatego pobiłeś zastępcę kierowniczkę na Kenmore – powiedział Doug. – Dlatego uparłeś się, żeby zabrać z nami kierowniczkę. Samo koszenie forsy już ci nie wystarcza. Bo nie gwarantuje, że szybko cię capną.

– Ja właśnie o tym – powiedział Jem, patrząc na Douga, ale zwracając się do sekundantów. – Od kiedy to jesteś za cackaniem się z palantami, co robią nam wbrew?

– Skatowałeś faceta bez żadnego powodu. No chyba że chciałeś, by ostrzej się do nas zabrali. Jeśli tak, dopiąłeś swego. Odczuwamy to na własnej skórze po dziś dzień.

– Zapominasz, że ten rudzielec uruchomił alarm?

– Nie, on tego nie zrobił.

– Nie, on tego nie zrobił – przedrzeźnił gojem. – A właśnie że, kurwa, zro...

– To nie on – wpadł mu w słowo Doug. – To ona.

Jem minął go bez słowa, patrząc tylko.

Gloansy spojrzął na Deza, przeniósł wzrok na Douga.

– Skąd to wiesz, Duggy?

– Skąd wiem? – Doug nawiązał kontakt wzrokowy z krążącym wokół nich Jemem. Powiedzieć im?

Nie masz jaj, rzuciły mu wyzwanie białe oczy Jema.

– Powiedziała mi – wyrzucił z siebie.

Jem wciąż się nie odzywał, patrzył tylko, starając się ocenić Douga.

Teraz już nic na mnie nie masz, powiedział mu Doug wzrokiem.

- Jak to powiedziała? – spytał Dez.
- Sprawdzalem ją po skoku... zawarłem z nią znajomość. Rozmawialiśmy parę razy.
- Dalej z nią, kurwa, kręci – podpowiedział Jem.
- I teraz Jem widzi w niej tajną agentkę FBI czy kogoś takiego. Pewnie chodzą mu po głowie wszystkie rodzaje teorii spiskowych. A dziewczyna próbuje tylko poukładać sobie życie na nowo, i tyle. No. Teraz nie ma już między nami niedopowiedzeń.
- Wciąż się z nią spotykasz – wytknął mu Jem.
- Naprawdę? Co, zamierzasz dalej za mną łązić? Śledzić FBI, które śledzi mnie? Może, kurwa, przemaszerujemy pochodem przez Bunker Hill Street? Transparenty, śmieszne kapelusiki, i tak dalej.
- Doug ruszył z miejsca i okrążył całą trójkę ciasnym, nieśpiesznym kółkiem.

Gloansy obracał się w miejscu, ścigając Douga wzrokiem.

- Kto kogo śledzi? Co tu jest, kurwa, grane?
- Jeszcześ nie skumał? – prychnął Jem. – Nasz tu obecny Duggy kombinuje z tamtą sikorką ze skoku na Kenmore. Tą, która z nami jechała. Ach, chwileczkę – przecież to ja nie mogę się doczekać, kiedy mnie wreszcie przyskrzynią.
- Długo to już trwa, Duggy? – spytał Dez ogłuszony.
- Nie.
- 1... i wciąż się z nią widzujesz?

– To jak, Romeo? – wtrącił Jem. – Kiedy ją tu przyprowadzisz, przedstawisz kolegom?

– Ona nic nie wie – powiedział Doug.

– Chryste panie, Duggy... – jęknął Gloansy – ...lepiej, żeby nie wiedziała.

– Nie wie.

– I założę się, że on z nią jeszcze nie ten tego. – Jem mlasnął, naśladując uderzenie z klepki. – Nie strzelił jej gola.

Doug rzucił Jemowi wymowne spojrzenie. Starczy.

– Wiecie – ciągnął Jem, ignorując ten znak stopu – że ja z tym zastępcą kierowniczką też już sobie raz zabalowałem. Może by tak do niego przedryndać, znowu się umówić. Poszlibyśmy na mleczny koktajl czy co tam. Ciekawe, czy on może już pić przez słomkę? Zaraz, chwila... o jakim to mlecznym koktajlu ja mówiłem?

– Dobra, Jem – warknął Doug, rzucając rękawice na lód. – Sam się o to prosisz. I ostrzegam, będę walił prosto z mostu. Okay? Gotowy?

Wyczekujący uśmiech Jema pełen był smoczego dymu.

– Nie jestem już z twoją siostrą. I nie będę, nigdy, z tym już koniec. Nie pobierzemy się z Kristą. Nigdy. Nie weźmiemy ślubu i nie będziemy żyli wszyscy długo i szczęśliwie w twoim domu, my troje i Shyne. Wybij to sobie z głowy.

Dziki uśmiech Jema przerodził się w gorącą, mroczną pręgę przecinającą mu twarz. Lampion ze zdmuchniętą, dymiącą jeszcze świecą w środku. Zastygł na łodzie w bezruchu.

– A to cię, kurwa, omotała.

– Żebyś wiedział.

– Ty mięczaku pierdzielony.

– Kurwa. – Doug wyprowadził serię prostych w schłodzone powietrze. Nie chciało mu się wierzyć, że to zaszło tak daleko, a zarazem wcale się temu nie dziwił. Mocowali się na skraju urwiska, niewiele brakowało, by runęli z niego obaj na dobre.

– Zmieniasz się na moich oczach w pieprzoną tapiokę. Co ona ci zadała, stary? Tak cię zaślepiło, że nic już nie widzisz?

– Czego nie widzę, Jem?

– Nie widzisz, co ona robi.

– To mi powiedz, Jem. No, powiedz, co ona takiego robi.

Jem pokręcił z politowaniem głową.

– Jeśli nie ufamy jej, stary, to jak mamy ufać tobie?

Doug uśmiechnął się. Tyle się w nim kotłowało, kipiel tłamszonych myśli i gniewu.

– Ciebie już całkiem porąbało, Jemuś. Mnie nie ufasz? Mnie? To znajdź sobie kogoś innego, kto ci będzie nagrywał soczyste robótki. Nie – lepiej sam je sobie nagrywaj. We własnym zakresie. Sam planuj. A

ja będę siedział z założonymi rękami i czekał, aż skończysz, a wtedy wstanę i rozwalę ci całą scenografię, tak dla zgrywu.

– Zawsze jest jeszcze Fergie, stary.

Dougowi głowa odskoczyła jak od uderzenia.

– Ani mi się waż.

Białe oczy Jema jeszcze bardziej pojaśniały, rozbłysła w nich zaczepność.

– Ma na oku parę smacznych kąsków dla smakoszy. Mówił mi.

– Wspaniale. No to jesteś ustawiony, koleś. Nawet mnie nie potrzebujesz. Bo ja nigdy nie będę pracował dla tego pojebanego gnoja. – Doug ruszył tyłem odrzucony siłą swojego wybuchu. Spojrzał na Deza. – A ty, Monsinior? Chcesz pracować dla faceta, który zastrzelił ci tatę?

Dez zionął z ust parą zdecydowania i pokręcił głową.

Doug odwrócił się do Jema plecami. Byli teraz dobrani parami, Doug i Dez przeciwko Jemowi i Gloansy'emu.

– A więc tak to się kończy? – odezwał się Doug.

Gloansy wyrzucił przed siebie ręce, tak jakby chciał zatrzymać zamykające się drzwi windy.

– Hej, zaraz, chwila moment, nie tak prędko.

Jem pokręcił swoją małą główką.

– Nic się nie kończy, stary.

– Nie? – spytał Doug. – Tylko dlatego, że nie

znasz umiaru. Gloansy też, obaj – będziecie chodzili na robotę, dopóki was nie złapią.

Furia wykrzywiła Jemowi twarz, zadygotał.

– Ja się nigdy nie dam złapać.

– Zawsze to wiedziałem, ale nigdy nie widziałem tego tak wyraźnie jak teraz. Ten skok na kino przyniósł nam najwięcej ze wszystkich, jakie do tej pory zrobiliśmy. Ale nie, za mało. Nigdy nie będzie dość.

Jem, podjeżdżając powoli, patrzył na niego ze zdumieniem.

– Mówisz o pieniądzach? A czy my robiliśmy to kiedyś dla pieniędzy? Zawsze robiliśmy to dla siebie. Czterej muszkietierowie przeciwko całemu temu zasyfionemu światu. Wyjęci spod prawa, stary. Nie wiem, jak mogłeś o tym zapomnieć, Duggy. Nie wiem.

– No dobrze. To teraz dla samej ciekawości, bo nikomu z tu obecnych tak naprawdę na dziadźkach nie zależy – ile tam wyszło do podziału?

Jem, nie spuszczać oczu z Douga, jechał na niego kursem na zderzenie.

– Sto czternaście, trzy zero dwa. Na łebka.

– Ja cię kręcę – wystękał stojący obok Douga Dez.

Gloansy, który z zapartym tchem czekał na werdykt, teraz ze śmiechem wypuścił powietrze z płuc.

– I to wszystko czyste? Do przepierdalania od ręki? Od zaraz?

– Ja cię, kurwa, kręcę – sapnął Dez.

Jem nadal patrzył na Douga, a Doug na niego.

– Budka z lemoniadą, czy nie... no, geniusz, kurwa, geniusz! – Gloansy zaniósł się dzikim rechotem, a potem zadarł głowę i zawył tryumfalnie do sklepienia: – Auauauuuu!

– To mniej, niż powinno być – powiedział spokojnie Doug.

Jem się zatrzymał.

Doug na wszelki wypadek zebrał się w sobie, przygotowując na to, co mogło zaraz nastąpić.

– Nawet odliczając te dziesięć procent lizodupnego, które odpalasz wujkowi Fergusowi, powinno być tego więcej. Pula do podziału jest zaniżona.

Gloansy się wyciszył. Dez spojrzał na Jema. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Widziałem rachunki – podjął Doug. – Ale co tam, nie? Przecież tu nie o pieniądze biega.

Jem ruszył na Douga, Doug na Jema, Gloansy i Dez rzucili się, każdy do swojego mentora, żeby ich odciągać, nie dopuścić do zwarcia. Gloansy był na tyle silny, żeby przytrzymać Jema, a Doug, chociaż Dez nie dawał mu rady, tak naprawdę nie chciał się bić. Chciał tylko rozstrzygnąć ten konflikt na swoją korzyść i wyjść.

– Szachrowałeś przy każdym rozliczeniu – powiedział Doug. – A dlaczego powierzyliśmy ci pieczę nad pieniędzmi? Bo ci ufaliśmy? Nie – bo jesteś Jemem. Bo to koszt przyjaźnienia się z tobą.

Jem znowu się szarpnął. Gloansy wbił łyżwy w lód i ze wszystkich sił starał się go utrzymać, przyjmując na siebie część jego ciosów.

Doug ciągnął, krzycząc teraz:

– Szachrowałeś, bo masz mentalność drobnego złodziejaska. Od kiedy cię znam, zawsze musiałeś coś podwędzić. Tu kij baseballowy, tam komiks. Mnie też znikwały różne drobiazgi.

Kolejny sierpowy nie dosięgnął! celu, Jem był coraz bliżej, ślina ściekała mu po brodzie. Doug trzymał się wciąż na dystans, unikając kontaktu.

– Pamiętasz tamto zdjęcie Phila Esposito, którego ci brakowało do skompletowania zbioru i którego nie chciałem z tobą wymienić na inne? Co? Myślałeś, że nie wiem? Dzieciakiem byłeś wtedy, dzieciakiem jesteś teraz. Zgrywus Jem, cwaniura – na tym jechałeś. Ale to przestało być śmieszne. To moje ostatnie rozliczenie, które ty prowadzisz, ostatnie. Zawsze musiałeś mieć więcej od innych, zawsze musiałeś przewodzić.

– I przewodzę, ty skur...

– Nie. – Doug strząsnął z siebie Deza. – Tę górkę możesz sobie zatrzymać, a kiedy będziesz za nią kupował następną parę pieprzonych głośników czy

co ci się tam uwidzi, to wspomnij, jak było kiedyś między nami, czterema kumplami z Town. Jaka zgraną paczkę stanowiliśmy.

Objechał Jema, pozostając tuż poza jego zasięgiem, i wyrywający się Jem przewrócił się na Gloansy'ego. Doug schylił się, żeby podnieść z tafla w locie swoje mountain dew, i skierował się do furtki w bandzie, ścigany obelgami wykrzykiwanymi przez Jema.

Kiedy ściągnął już buty z łyżwami i upychał w nie skarpety, z lodowiska zjechał Dez. Był bardziej przygnębiony niż zwykle, człowiek pełen pytań, bez końca poznający świat wokół siebie i nierozumiejący, co na nim porabia. Chciał coś powiedzieć, ale Doug nie dopuścił go do słowa.

– Zrywasz z Kristą, rozumiesz? Teraz już wiesz, że ona mnie ani ziębi, ani grzeje. Miałeś z nią okoliczność i wystarczy. Ci Coughlinowie cię zabiją. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Wstrząśnięty Dez kiwnął tylko głową.

Gloansy zszedł z tafla i dokuśtykał na łyżwach po wyłożonej twardą gumą podłodze do sznurującego swoje vany Douga. Doug ze zdumieniem stwierdzał, że to Gloansy'emu najbardziej z ich czwórki zależy na utrzymaniu paczki w kupie.

– Duggy, hmmm... przejdzie ci, prawda? Jemu też? Pogodzicie się, co?

Doug słyszał już stukot, z jakim ustawione w

rządek kostki domina przewracają się kolejno od pierwszej do ostatniej, obrazując jego upadek. Ale tłumaczenie tego Gloansy'emu nie miało sensu. Wstał, podniósł z podłogi swoje łyżwy i bez słowa skierował się do wyjścia.

BILLY T.

Frank G. wyglądał ziemiście w żółtym oświetleniu cukierni. Od paru dni się nie golił i przecierał sobie raz po raz dłonią spierzchnięte wargi jak skacowany pijaczyna. Oczy miał podkrążone, ramiona pod koszulką z napisem Malden Little League Coach na piersiach przygarbione.

– No, miło to słyszeć. – Westchnął, wyraźnie roztargniony. – Tak, już dawno trzeba ci było zerwać z tym towarzystwem...

Doug, nie doczekawszy się dalszego ciągu komentarza, wzruszył ramionami.

– Tyle tylko masz mi do powiedzenia? Żadnych fanfar, żadnych chórów anielskich?

Frank G. poprawił się na krześle.

– Widzisz... w zeszłym tygodniu miałem służbę w remizie i przyszło wezwanie do wypadku.

Doug nie wierzył własnym uszom. Pan Anonimowy z zasady nie wspominał nigdy o sobie ani o swojej pracy.

– Remiza – powiedział z naciskiem, żeby zwrócić mu uwagę na to bezwiedne zapewne odstępstwo od zasady.

– Na Fellway ciężarówka potrafiła jakiegoś

faceta. Dobra jest, nic takiego, ubieramy się, jedziemy pomóc tym z pogotowia, rutynowa akcja. Docieramy na miejsce, a tam wielkie zamieszanie. Coś się dzieje. Na środku drogi stoi potężna wywrotka, na skrzyni góra piachu, silnik pracuje na jałowym biegu. Mówią nam, że pod nią leży przygnieciony starszy mężczyzna. Wywrotka ma z tyłu cztery podwójne koła, więc myślę sobie, pewnie zmiądzona stopa, jakiś gapowaty przechodzień przejeździ teraz resztę życia na wózku inwalidzkim. Moje chłopaki wypakowują sprzęt, a ja obchodzę ciężarówkę i natykam się na jej kierowcę. Siedzi na krawężniku wysepki z twarzą w dłoniach i łka. Chłop na schwał, a rozkleił się, szlocha, prosi o księdza. I już wiem, że nie będzie dobrze.

Zachodzę z drugiej strony i oczom nie wierzę. Opona, ta od zewnątrz, stoi na miednicy potrąconego. Miednica zgnieciona na placek. W szparze między kołami jego nogi zmiądzone w kolanach. Ratownik z karetki i młoda policjantka siedzą w kucki przy tym facecie i udzielają mu pierwszej pomocy, a mnie przemyka przez myśl, że to lipa, że kręcą jakiś film i aktor leży w dziurze w drodze, a te nogi między kołami to rekwizyt.

I wtedy stary obraca głowę. Nie do wiary, żyje jeszcze, rusza się. Obraca głowę, spogląda na mnie i usta mu się otwierają jak u dziecka. I teraz już naprawdę nie mogę uwierzyć. Bo ja, kurczę, znam

tego człowieka. To Billy T.

– Zaraz, zaraz. Billy T.? Ten smutas Billy T.?

– Z naszych mityngów. Czapka, którą zawsze nosił, wiesz, ta nadgryziona przez mole, leży obok torby sanitariusza. I widzę w jego oczach, jego załamanych, pozbawionych wyrazu oczkach, że mnie poznaje. Stara się mnie sobie skojarzyć – jestem w czerwonym kasku, w kurtce z fosforyzującymi pasami – ale twarz zna. Pewnie wziął mnie za anioła czy kogoś takiego, no wiesz. U takiego rannego mózg wydziela, no, jak im tam, hormony, opiaty, mniejsza z tym. A przynajmniej mam nadzieję, że je wydziela, kiedy budzi się człowiek pod wywrotką z piaskiem.

Frank G. wpatrywał się w parę uciekającą z trójką w pokrywce filizanki.

– Billy – mówię do niego. Ci, co się nim zajmują, spoglądają na mnie tak, jakby myśleli, że to mój ojciec albo jakiś krewny, skoro wiem, jak ma na imię. Ratownik zrywa się, bierze mnie pod rękę jak kogoś z rodziny, mówi mi, że Billy przechodził przez ruchliwą jezdnię, ciężarówka najechała na niego i wlokła za sobą kawałek, zanim się wreszcie zatrzymała. Mówi, że Billy T. powinien już nie żyć, a nie odszedł jeszcze tylko dlatego, że ciężarówka stoi na nim tak, że hamuje krwawienie, jest teraz jak taka gigantyczna opaska uciskowa.

Tymczasem mój zastęp wsuwa pod wywrotkę

dwudziestopięciotonowy podnośnik hydrauliczny, rozwija dwie wielkie siedemdziesięcotonowe poduszki powietrzne. Widzą chłopaki, jak ratownik coś mi klaruje, i myślą, że może Billy to wujek mojej żony albo ktoś taki, a więc zwijają się jak w ukropie, a ja jestem rozdarty: Zaraz, zaraz, zarazi Podniesiemy z niego tę landarę, to Billy umrze. Zostawimy ją tak, jak stoi, to Billy też umrze – ale wolniej.

Ten ratownik stara się mnie pocieszyć, trajkocze coś o chirurgach, amputacjach na miejscu zdarzenia i czymś tam jeszcze, ale ja, chociaż nie jestem lekarzem, widzę przecież, że tutaj nie ma czego amputować. Chyba że jakiś magik przepiłowałby Billy'ego T. na pół, wyciągnął stamtąd, a potem pstryknął palcami i Billy zrósłby się na nowo. Wychodzi więc na to, że sam będę musiał zdecydować. Najchętniej oddaliłbym się stamtąd, usiadł na krawężniku obok kierowcy wywrotki i czekał na księdza – ale nie mogę, jestem teraz decydem. Nie chcę, ale muszę.

Klękam na jezdni obok Billy'ego. Rozcięli i ściągnęli z niego koszulę, i widzę, jak male serduszko wciąż bije w tej jego zapadniętej starczej piersi, słabo, ale bije. On unosi rękę – nadal może się ruszać – wyciąga ją do mnie, ściskam ją. Te chude paluszki ma gorące, aż parzą. I ta jego twarz. Widzę, że zaczyna poruszać wargami, pochylam się więc nisko. Obiema nogami w grobie, a jeszcze ma siłę szeptać.

„Frank”, mówi. Krzyczę przez ramię, żeby ktoś zgasił silnik tej ciężarówki, bo mi zagłusza. Silnik cichnie, cały świat nieruchomieje.

– Billy – mówię do niego. – Przyjacielu. – W jednej chwili ten stary mazgaj staje się moim przyjacielem, zupełnie jakbyśmy byli żołnierzami na jakimś polu bitwy, towarzyszami broni z tego samego oddziału. Ściągam z głowy kask. – Musimy podnieść tę ciężarówkę, Billy. Zdjąć ją z ciebie. Chcesz coś powiedzieć? – Nie wiem, może ma dzieci, krewnych jakichś. – Przekazać coś komuś, zrobić coś dla ciebie, przyjacielu? – Wciąż nazywam go przyjacielem. – Chcesz mi coś powiedzieć, Billy, masz jakąś prośbę?

Jego dłoń zaciska się ledwo wyczuwalnie na mojej, odwzajemniam ten uścisk, jestem tutaj. Oddech tego na wpół już ducha łaskocze mi twarz, Billy patrzy mi prosto w oczy.

– Frank – szepcze. – Frank.

– No, co, Billy – mówię – co byś chciał?

– Napiłbym się, Frank. Skombinuj coś.

Ratownik obok mnie zrywa się znowu na równe nogi, woła, żeby ktoś przyniósł butelkę wody, ostatnie życzenie umierającego. A ja? Ja klęczę jak skamieniały. Bo znam Billy’ego T. Dobrze znam tego płacznego, starego, krzywonożnego irlandzkiego dziadygę z czosnkowym chuchem. On nie chciał wody. W dupie miał wodę.

Doug domyślał się, czego chciał się napić Billy T., ale nie podzielał wzburzenia Franka G. Frank chyba już skończył swoją opowieść, bo minęła dłuższa chwila, a on się nie odzywał.

– No i co? – ponaglił go Doug.

Frank G. spojrział na Douga tak, jakby ten z choinki się urwał.

– Jak to co? To, co słyszałeś.

– Nie, ja pytam, co z Billym T.?

Frank wzruszył z irytacją ramionami.

– Moje chłopaki zrobiły dla niego, co mogły. Podłożyliśmy pod koła gałęzie, żeby zmniejszyć drgania, podnieśliśmy wywrotkę. Co z Billym T., pytasz? Ano przykryli mu twarz chustą i zabrali. Zmyliśmy szlauchami jezdnię i wróciliśmy do remizy.

Salwa śmiechu od baru – to barmanowi i klientowi Hindusowi dopisywały humory. Doug i Frank G. siedzieli jak dwaj honorowi krwiodawcy świeżo po pobraniu.

– Okay – mruknął Doug.

Frank G. przerwał studiowanie swojej filiżanki i podniósł na niego wzrok.

– Co okay?

– Okay, no i jaki morał z tego wynika?

– Morał? Nie mam dla ciebie żadnych morałów, kolego. Sam jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. Billy T. był na mityngach trudny do zniesienia, ale

odwalał kawał dobrej roboty. Nie pił od dwunastu lat... W głowie mi się nie mieści.

– Co? Że on...

– Że w tej ciężkiej walce, jaką ze sobą toczył... każdy kolejny dzień tych dwunastu długich lat był dla niego kolejnym krokiem przybliżającym go do chwili, kiedy znowu będzie mógł sobie golnąć. On z utęsknieniem wyglądał tej chwili. Tak jakby możliwa była sytuacja, że człowiek jednego dnia wydmuchuje na alkomacie same dziewiątki, wskazanie przez noc mu się zeruje i następnego dnia może zaczynać od nowa. Hulaj dusza, piekła nie ma. A ja chciałbym wiedzieć, czy aby my wszyscy nie jesteśmy tacy. Odliczamy czas, czekamy? Zdarza ci się fantazjować, że może stanie się jakiś cud i znowu będziemy wolni?

Doug kiwnął głową.

– Zdarza, nie powiem.

– Jezu, Doug, nie przyznawaj mi racji. Ja walczę o swoje życie. Co on sobie wyobrażał, no co? Że niebo to otwarta knajpa? Pan Jezus stoi za barem, sięga po pintową szklanicę, stawia ją przed tobą na podstawce. „Czego się napijemy?” – pyta. Tylko to nam w głowie?

– Ten biedaczyna umierał, Frank.

– Chuj mu w dupę. – Frank wyprostował się na krześle. – Chuj w dupę Billy’emu T.

– Wyluzuj, Frank. Spokojnie.

– Wsadź sobie w dupę swoje spokojnie. Nie było cię tam. Jak by ci się podobało, gdybym umierał, ty bierzesz mnie za rękę, a ja cię proszę o jednego głębszego? No? Błagam cię o tę jedną, ostatnią lufę?

– Wcale by mi się nie podobało.

– Wyrzygałbyś się. Zemdliliby cię, kurwa. Przesadziłem? Pieprzy jak potłuczony, pomyślisz sobie i będziesz miał rację. – Opuścił rękę na stół. – Sam to wiem.

– Frank, chłopie... – Doug rozejrzał się, szukając odpowiednich słów. – Nie podobasz mi się w tym wydaniu.

– Posłuchaj, Doug, wciąż jesteś moim podopiecznym, masz mój numer. Ale ja już nie mogę. Wsiadam, przynajmniej na jakiś czas.

– Zaraz, chwila. Co chcesz przez to...

– Chcę przez to powiedzieć, że powinieneś się chyba rozejrzeć za innym sponsorem.

– O nie, Frank, za cholere. Nic z tego. Nie możesz mi tego zrobić.

– Mogę. I zrobię.

Doug przełknął z trudem ślinę.

– Frank... ty byś mi nigdy nie pozwolił.

– Nie? A jak miałbym cię powstrzymać? No? Jak ty zamierzasz powstrzymać mnie?

Doug, nie na żarty wystraszony, przetarł dłonią twarz. Przypomniał mu się incydent z dawnego mitingu, na którym pojawił się Jem – niezaproszony,

spóźniony dwadzieścia minut i w pestkę zalany. Usiadł na składanym krzeselku dwa rzędy za Dougiem i w połowie płacznego wystąpienia Billy'ego T. zaczął nucić StarSpangled Banner. Kiedy w końcu ktoś poprosił go o opuszczenie sali, Jem wybuchnął płaczem i zaczął opowiadać o swoim ojcu, którego właściwie nie znał, i żalić się, że zawsze brakowało mu jego miłości. Dwie osoby podeszły, żeby go pocieszyć, a wtedy Jem zerwał się z miejsca, wrzasnął: „Pedały!”, i przewracając stojące mu na drodze krzesła, rzucił się do drzwi. „Duggy – darł się przez ramię – chodź, starry, sspadamy!”. Frank podszedł potem do Douga i powiedział: „Twoi przyjaciele niepokoją się, że wracasz do zdrowia. Wolą, żebyś pozostał chory”.

– Frank – zaczął Doug, zastanawiając się gorączkowo, jak to rozegrać, za jaką dźwignię pociągnąć, skończyło się na wybuchu irracjonalnego gniewu. – Nie zostawiaj mnie. Jesteś mi potrzebny.

– Przestań. Jeśli mój mały kryzys wiary nie jest ci na rękę, to przepraszam. Przepraszam, ale chyba sam teraz potrzebuję wsparcia.

– Ode mnie... ode mnie się go, kurwa, nie spodziewaj. Nie wiedziałbym nawet jak...

– To uszanuj moją decyzję i zostawmy już to, na miłość boską. – Frank wziął ze stolika swoje kluczyki i zaczął podnosić się z krzeselka, ale zaraz opadł na nie z powrotem. Coś go jeszcze gnębiło. – Nie

chciałem ci tego mówić. Ale był u mnie w twojej sprawie jeden gość.

Doug zmarł.

– Jaki gość?

– Złapał mnie wczoraj w remizie. Pokazał odznakę FBI, spytał, czy znam niejakiego Douga MacRaya. Z początku próbowałem go zwodzić, podając się za kogoś w rodzaju kapłanalekarzaprawnika w jednym, zasłaniając się zasadą poufności, ale nie dał się spławić. Był z tych, co nie odpuszczają. No więc powiedziałem mu w końcu, co wiem. I dodałem, że ten Doug M. przypomina mi mnie samego sprzed piętnastu lat i że starałem się być dla niego kimś w rodzaju przewodnika duchowego, jakiego sam chciałbym mieć. Spytałem go, czy ma przewodnika duchowego, a on mi na to: „Tak. Siebie”. No to mówię mu: „Błądzi pan. Każdy powinien mieć jakiegoś powiernika”, a on: „Mam. Archidiecezję FBI”.

Frawley. Co mógł powiedzieć Frankowi G.? Frankowi, który zawsze go chwalił. Frankowi, który uważał Douga za kogoś.

– Prawdopodobnie... pewnie nasłuchałeś się różnych rzeczy – wydusił z siebie Doug. – Na mój temat... nasłuchałeś się?

Frank puścił to mimo uszu.

– A na odchodnym ten facet mówi do mnie: „Duchowi przewodnicy nie biją swoich żon”.

Doug nie załapał. Co to miało znaczyć?

– Tak – ciągnął Frank, kiwając głową. – Mam nadzieję, że ode mnie pierwszego to słyszysz. Siedzi przed tobą żalosny damski bokser. W pijanym widzie wpadałem w szal i tłukiem swoją pierwszą żonę. Równy gość, nie? Dobry sponsor. W końcu jednej nocy wezwała policję i aresztowali mnie. Ale gdybym poszedł siedzieć, to automatycznie straciłbym pracę w straży pożarnej, nie zarabiałbym i nie miał z czego płacić alimentów, a wniosła już o rozwód. Wycofała więc oskarżenia. Gdyby nie ta jej pazerność, nie wiem, co by teraz ze mną było. – Frank uśmiechnął się gorzko, odetchnął głęboko. – Uniosłem się honorem. Wziąłem w garść. Utemperowałem tego dupka, który we mnie siedzi. – Pokręcił głową. – Cholerny Billy T. – mruknął, wstając. – Gdybyś mnie potrzebował, to numer mojego pagera masz.

Doug podniósł się razem z nim, był wstrząśnięty, nie wiedział, co powiedzieć.

– Frank...

Frank pokręcił głową, nie czuł się na siłach spojrzeć Dougowi w oczy.

– Uważaj przy przechodzeniu przez jezdnię – powiedział i wyszedł.

ZDECYDOWANIE DOBRANOC

Doug obrócił się na krzeselku i rozejrzał po nabitych trybunach za sobą – zobaczył kibiców z puszkowym piwem, z programami i stadionowym jedzeniem w przejściach między rzędami za ostatnią bazą albo opartych o barierkę na koronie. Te zatyczki w uszach to słuchawki przenośnych radylek. Uspokoił się trochę.

– Wypatrujesz kogoś? – spytała siedząca obok Claire.

– Nie – mruknął, odwracając się z powrotem twarzą do boiska. Kiedy w piątej rozgrywce trochę się ochłodziło, kupił jej oficjalną kurtkę klubową Red Soksów ze skórzanymi, trochę przydługimi rękawami. Na szyi skrzył się jej brylancik na łańcuszku. – Patrzę tylko, ile wiary przyszło. Ta atmosfera Fenway. Warta swojej ceny.

Spojrzał znowu ponad szerokimi plecami sędziego bazowego na przygotowującego się do rzutu Rogera Clemensa, asa, dziesiąty sezon w drużynie. Clemens, ukrywając chwyt za rękawicą, czekał tylko na znak. Nagle zwinął się, rzucił, piłka ześliznęła się po kiju i wyszła w aut, uderzając w ekran – dziesięć pierwszych rzędów podskoczyło jak stado główek na

sprężynach.

– Ukrywamy się? – spytała.

Doug spojrział na nią zdziwiony.

– Niby przed kim?

Wzruszyła ramionami pod za obszerną kurtką.

– Nie wiem.

Wyraźnie zaraziła się od niego tą manią prześladowczą. W przejściu pojawił się sprzedawca w żółtej koszuli i Doug zamachał na niego, tak jakby właśnie za tą paczką popcornu tak się cały czas rozglądał.

– No, jest wreszcie.

– Myślałam, że z czasem przejdzie ci to upodobanie do tajemniczości – powiedziała, łagodząc te słowa uśmiechem. – Tak trudno się z tobą skontaktować. Widzisz... to nawet romantyczne, kiedy zostawiasz mi bilet na Red Soksów na ławce w ogródku. Ale nie do końca normalne.

– Doskwiera ci to, tak? Mogę ci dać swój numer telefonu, nie ma sprawy. Tylko że ja rzadko bywam w domu, a automatycznej sekretarki nie mam.

Pokręciła głową na znak, że nic od niego nie chce. Podszedł do nich chłopiec z tacą wielkich paczek cracker jacków i w czapeczce, do której miał przypięte kartonowe kółko z wypisaną ceną \$2.25, i Doug kupił jedno opakowanie. Chłopak guzdrał się z wydawaniem reszty i gruby plik banknotów w jego garści przyciągnął, a jakże, złodziejskie oko Douga.

Miał nadzieję, że wyzbędzie się kiedyś tego nawyku i taki widok nie będzie go automatycznie prowokował do kombinowania, jak by tu się dobrać do zysków drobnych handlowców obracających żywą gotówką.

Aktualnie, po raz pierwszy od dłuższego czasu, a już na pewno po raz pierwszy od odstawienia alkoholu, Doug nie miał niczego na widoku. Nad niczym nie pracował, nie planował żadnego skoku, nie prowadził żadnych przygotowań.

Dezercja Franka G. utwierdziła go ostatecznie w postanowieniu zmiany klimatu. Musiał jeszcze tylko obmyślić jakąś strategię opuszczenia Town z twarzą, jakiś sposób pożegnania się z tymi, którzy tu zostaną.

Claire przyglądała się bez słowa, jak unosi się z krzeselka, żeby schować pieniądze do kieszeni. Przypomniało mu się, że zamilkła również, kiedy wcześniej je wyciągał, żeby zapłacić za kurtkę.

Rozerwał paczkę karmelowego popcornu i chciał ją poczęstować, ale podziękowała.

– Widujesz się ze swoim ojcem? – spytała.

Doug spojrział na murek po lewej stronie boiska, tak jakby to zza niego doleciało to pytanie.

– Od przypadku do przypadku. Bo co?

– I o czym wtedy rozmawiacie?

– Czy ja wiem. O wszystkim i o niczym. – Wsunął dłoń na dno paczki, pod popcorn, i namacał tam niespodziankę. – O, tatuaż z flagą – ucieszył się i chciał go jej podać, ale że dłonie miała skryte w

rękawach, wsunął go jej do kieszeni kurtki.

– Próbuję sobie wyobrazić, jak to jest mieć ojca w więzieniu...

Czemu go nęka tego rodzaju pytaniami?

– Nie jestem taki jak ojciec – mruknął. – Jeśli o to ci chodzi. W dzieciństwie, owszem, patrzyłem w niego jak w obraz – mimo wszystko miałem tylko jego. Trochę to trwało, zanim się na nim poznałem, a wtedy zacząłem dokładać wszelkich starań, żeby nie stać się taki jak on.

Kiwnęła głową, podobało jej się to, co usłyszała. Ale czytał z jej oczu, że czeka na więcej.

Spuścił wzrok. Chwila chyba tak samo dobra jak każda inna.

– Ty potrafisz mnie podejść.

– Słucham?

Odetchnął głęboko i zaczął:

– Siedziałem kiedyś w jednym takim barze. Pięć lat temu to było. Bully's się nazywa, taka towniacka knajpa. Wpadliśmy tam całą paczką, dużo piliśmy, wydurnialiśmy się. Niewiele z tego pamiętam. Wiem, że wszedł tam jakiś gość, starszy od nas, usiadł, zamówił drinka. Siedzi i gapi się na mnie, a mnie to coraz bardziej denerwuje. W pewnej chwili podchodzi i pyta, czy nie jestem czasem synem MacRaya. Mówi, że znał mojego ojca wiele lat temu, blisko z nim współpracował, że jestem do niego podobny i takie tam. Aż w końcu uśmiecha się i

wyjaśnia, po czym mnie poznał. Otóż po tym, że zachowuję się zupełnie jak mój tato, kiedy był pijany.

Nadciągnęła fala, wszyscy zerwali się z miejsc i wyrzucili w górę ręce, wszyscy oprócz Douga i Claire.

– I chyba wtedy się na niego rzuciłem. Mało co z tego pamiętam. Ale gdyby mnie nie odciągnęli, źle by się to skończyło. Szpital, do którego trafił, powiadomił policję i facet mnie wskazał. Teraz jestem mu za to bardzo wdzięczny. Naprawdę wdzięczny.

Przyglądała mu się uważnie. Zupełnie jakby już wcześniej wiedziała albo czegoś w tym stylu się domyślała.

– Poszedłem za to do więzienia. Nie podobało mi się w nim i przyrzekłem sobie, że moja noga nigdy już tam nie postanie. Ale nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło, bo właśnie w więzieniu przystąpiłem do programu. To zmieniło moje życie. Rok temu skończył mi się okres próbny i teraz jestem wolny i czysty. I czuję się wolny i czysty. – Wszystko to było prawdą. Nie powiedział tylko, ile go to kosztowało.

– Coś takiego – wydusiła z siebie.

– Tak, wiem. Skręca mnie za każdym razem, kiedy mówię ci takie rzeczy. – Zaczął wyliczać na palcach. – Alkoholik. Rozbita rodzina. Wyrokowiec. Rodzicom o takiej znajomości lepiej nie opowiadać,

prawda?

Przetrawiała to, co usłyszała, zapatrzona w boisko.

– Powiedziałam rodzicom, że rzuciłam pracę – odezwała się w końcu. – Chcą mnie wysłać do psychiatrii. Prawdę mówiąc, to sama już o tym myślałam, ale... mniejsza z tym.

– Niepotrzebny ci psychiatra.

– Nie? – Rzuciła mu przelotne, gniewne spojrzenie, którego chyba zaraz pożałowała.

Douga przeszedł dreszcz.

– Masz dzisiaj mnóstwo pytań.

– Naprawdę?

– Coś cię gryzie?

Pokręciła głową, zawahała się, potem wyrzuciła z siebie:

– Był u mnie znowu agent Frawley i trochę mnie to wytrąciło z równowagi.

Doug obserwował z udawanym zajęciem miotacza z Milwaukee sprawdzającego formę biegacza z pierwszej bazy i starał się nad sobą zapanować.

– Tak? Czego chciał?

Patrzyła teraz na niego. Kurwa mać, patrzyła. Nie odwzajemnił tego spojrzenia.

– Wiedzą już z całą pewnością, że ci bandyci są z Charlestown.

Doug kiwnął głową.

– Tak powiedział?

– I dodał jeszcze, że paru obserwują. Że sporo już o nich wiedzą.

Wie? Czy mówiłaby mu to, gdyby coś wiedziała? Sprawdza go? Sonduje? Stara się mu pomóc?

– Trochę się niepokoję – dodała.

Może nie wie. Albo wie, akceptuje to i czeka tylko, żeby się przed nią przyznał. Wyłożył karty na stół. Żeby mieli to już za sobą.

Bzdura. Odwrócił się do niej powoli, żeby zdążyła na czas oderwać od niego to badawcze spojrzenie.

– Czym się niepokoisz?

Wzruszyła ramionami pod obszerną kurtką.

– Składaniem zeznań. Że mieszkam z tymi ludźmi w jednej dzielnicy. Takimi rzeczami.

Znowu na niego popatrzyła – badawczo, czy tak mu się tylko wydawało? – i Doug wytrzymał to spojrzenie, zachowując kamienną twarz i zastanawiając się, kto tu kogo okłamuje.

A może Frawley kazał jej go przepytąć? Zdał sobie sprawę, że to głos Jema odezwał mu się w głowie, i w dołku go ścisnęło.

Czy to możliwe, żeby Frawley przysłał ją tu z pluskwą?

– Powiedział mi, że mają jakieś nowe dowody – dorzuciła.

Nie pytaj jakie.

Doug kiwnął głową, śledząc grę, nie odrywając oczu od piłki. Nowe dowody?

Nie. Puść to mimo uszu.

– Takie śledztwo długo się ciągnie – powiedział. Prawie nie czuł, jak te słowa opuszczają jego krtań. – Do końca pewnie jeszcze daleko.

Dlaczego ona kiwa głową? Chce, żeby jeszcze coś powiedział? Podpuszcza go?

Nie rób tego.

To jakaś paranoja.

– Może lepiej nie myśl o tym – powiedział. Czyżby porozumiewali się teraz jakimś szyfrem? Nie myśl o mnie takim, jaki byłem – myśl o mnie tak, jak ja teraz sam o sobie myślę. – Wyrzuc to z głowy. Nie rozpamiętuj, jak nie musisz.

Znowu na niego patrzyła, a on starał się odgadnąć emocje zawarte w tym spojrzeniu. Ulga? Zdziwienie? Wyłapała to, co kryło się pod jego słowami?

Nie pytaj.

Nowe dowody.

Musi wiedzieć jakie. Może ona chce mu to powiedzieć... może próbuje go ostrzec.

A może nic nie wie. Głowa pulsowała mu tak, jakby zamieniła się miejscami z sercem.

Nie rób tego.

Jego słowa doścignęły ją, kiedy już z ulgą

odwracała wzrok.

– A tak z ciekawości – mruknął, wzruszając ramionami, tak jakby mało go to obchodziło. – Co to za nowe dowody?

I znowu na niego spojrzała – badali się nawzajem – i wyczytał z jej oczu, że popełnił katastrofalny błąd.

Pierwsza uciekła ze wzrokiem, wbiła go w czapeczkę' chłopczyka śpiącego na ramieniu ojca, który siedział przed nią.

Został zdemaskowany.

– Odciski palców – powiedziała.

Doug kiwnął głową, gorączkowo starając się odkręcić ten błąd, zagłuszyć jej wątpliwości wymuszonym entuzjazmem.

– Odciski palców, coś takiego. – Czyich. – Nie wiedziałem, że nadal są dowodami w sprawach kryminalnych.

Wzruszyła ramionami.

– Tak czy owak – ciągnął – zdecydowanie nie masz się czym przejmować. A już na pewno nie swoją rolę w tym wszystkim. Naprawdę nie widzę tu powodów do niepokoju.

Milczenie, jakie zapadło, było naładowane emocjami, tocząca się na ich oczach gra już się nie liczyła. Nagle wszystko przestało się liczyć. Nadciągnęła kolejna fala i tej również nie udało się poderwać ich z miejsc. Ledwo przepłynęła, ktoś

klepnął Douga od tyłu w ramię. Doug obejrzał się przekonany, że zobaczy Frawleya i federalnych z odznakami i pistoletami.

Ale to był Zielony Potwór Wally, futrzasta maskotka Fenway Park, z łapą uniesioną do przybicia piątki.

Ludzie pokazywali sobie palcami elektroniczną tablicę wyników nad centralnymi trybunami, na której migotały numery miejsc. Wśród czworga szczęśliwców, którzy wylosowali darmowe naleśnikowe śniadanie w Bickford's, była Claire.

– Jezu, stary, rozchmurz się – powiedział facet przebrany za Wally'ego i Doug przybił z nim tę piątkę, a potem patrzył, jak maskotka oddala się tanecznym krokiem.

Claire była wyraźnie zdezorientowana.

– Wygrałaś darmowe naleśniki – wyjaśnił jej Doug. – Nieźle.

– Aha – mruknęła.

Jeśli miał jeszcze jakieś szanse na uratowanie tego, co się między nimi kłuło, to nie tutaj, na zatłoczonym stadionie, lecz w cztery oczy.

– Chcesz tu jeszcze zostać czy wolisz...?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wracajmy do mnie.

Doug zamrugał.

– Do ciebie?

Wysunęła dłoń z rękawa i wzięła go za rękę.

– Ale pod jednym warunkiem.
– Tak, słucham.
– Nie zostaniesz na noc.
– Zgoda – przystał. Przystałby teraz na każdy warunek.

Po drodze praktycznie się do siebie nie odzywali. Jej rękę puszczał tylko po to, żeby zmienić bieg. Dopiero kiedy byli już w Town i dojeżdżali do Packard Street, spytał:

– Dlaczego nie mogę zostać?

Spojrzała na niego.

– Poranki następnego dnia bywają przykre, a nie chcę przeżywać takiego z tobą. Poranki nastrajają do pytań. Zmęczona jestem pytaniami.

Skreślił w jej ulicę, zatrzymał się przed jej drzwiami, wrzucił luz. Czekał, nie gasząc silnika.

– Nie parkujesz? – spytała.

Doug spojrzał na lampę palącą się nad jej drzwiami wejściowymi.

– O kurczę.

– Co?

Nie mógł tam wejść. Nie tędy droga. Nie mógł z nią sypiać, nie wyznawszy jej wpiernw wszystkiego.

Nie puszczał jej dłoni, choć czuł, że zwiotczała w jego uścisku. Tyle samochodów zaparkowanych jeden za drugim wzdłuż ulicy – detektyw może obserwować dom z każdego z nich.

– Co byś powiedziała, gdybym wrócił jutro z

samego rana? Zjedlibyśmy razem śniadanie, z góry odfajkowali ten przykry „poranek następnego dnia”, żeby już nad nami nie wisiał. Te wszystkie pytania. Jak się na to zapatrujesz?

Niedowierzenie w jej oczach, przemieszane z niepokojem. Końce włosów unoszone przez nawiew z deski rozdzielczej.

Pokusa była potężna i uległ jej na moment.

– A zresztą pies to drapał. Jezu, co mi tam...

Ale szybko przypomniał sobie, jak się czuł na stadionie, kiedy wiele wskazywało, że ją stracił. Teraz miał jeszcze szansę. Nie spieprz i tej.

– Nie – wydusił z siebie. – Nie mogę.

Nastroszyła się trochę.

– Jeśli chodzi o...

Zobaczył to w jej oczach: ona się przestraszyła, że z nią zrywa. Nie wysiadała jeszcze z samochodu, bo chciała odwlec ten moment, побыć z nim jeszcze troszeczkę.

– Słuchaj – powiedział – mamy mnóstwo czasu, prawda? Powiedz mi, że mamy. Bo czeka mnie długa noc w niepewności.

– Chcesz wpaść do mnie jutro rano, a co z pracą?

O co ona go pyta? Pytała w ogóle o coś?

– Rzuciłem – mruknął. – Mówiłem ci, że chcę coś zmienić w swoim życiu. I robię to. A ty?

– Ja?

– Co z twoim „gdyby tylko miejscem”?

Wynosimy się z tej dzielnicy? Razem?

Przesunęła wzrokiem po jego twarzy, sięgnęła do brwi, dotknęła gładkiej blizny.

– Nie wiem.

Jej niezdecydowanie podniosło Douga na duchu. Cokolwiek o nim wiedziała, albo czegokolwiek się domyślała – nic nie powiedziała.

– Na śniadanie może naleśniki – zaproponował.
– Lubisz bekon? Kiełbaska czy bekon?

Spojrzała na ich splecione palce i cofnęła rękę. Otworzyła drzwiczki, wystawiła na zewnątrz jedną nogę, obejrzała się na niego.

– Jeśli odprowadzę cię do drzwi – powiedział – jeśli się do nich zbliżę...

Z tym płomieniem, który teraz w nim buzował, czuł się niespokojny, odsłonięty. Ona zrozumiała to inaczej.

– To dobranoc czy żegnaj?

Chwycił ją za ramię, wciągnął z powrotem do środka. Pocałunek był głęboki, zachłanny i poddała mu się, przywierając do niego mocno. Nie chciała, żeby odchodził. Ani teraz, ani nigdy, może nawet bez względu na wszystko.

– Dobranoc – zapewnił, gładząc ją po włosach. – Zdecydowanie dobranoc.

KURZ

Jem był nabuzowany.

Na pieszym patrolu po Town. Czuje, jak oplatają go prądy roztrącanego piersią powietrza. Gdyby było mglisto i kropelki wilgoci nadawały powietrzu złudnej materialności, to mijani ludzie widzieliby kilwater, który za sobą zostawia, patrzyliby z niemym zachwytem na tego chłopaka stąd ciągnącego za sobą pióropusz z dymu. Wtedy by zrozumieli.

Niektórzy i tak wiedzieli, wyczuwał ich szacunek, ale nie dawał tego po sobie poznać. Te nieśmiałe spojrzenia, odwracany czym prędzej wzrok. Oczy ich bolały od patrzenia.

O respekcie, jaki wzbudza, świadczyło ich milczenie, cisza, która zapadała, kiedy mijał grupki dorosłych i dzieci.

Dźwigał to Town na własnych barkach. Wyteżając do ostatnich granic swój mózg, koncentrował się bez reszty na wspomnianiu Town takim, jakie było kiedyś, i na wizji przywracania mu dawnej chwały.

Pierdolony Doug.

Jem namacał w kieszeni torebeczkę, gładką,

plastikową saszetkę. Idąc, wyobrażał sobie Town w płomieniach. Oczyszczających płomieniach, płomieniach, które budują, niszcząc to, co bez wartości, płomieniach, które wypalają i wykuwają. Z których wyłaniają się szeregowce i trójpokładowce, czyste i nowe.

Na rogu Trenton i Bunker Hill jeszcze jedna nowa pralnia chemiczna. Japiszony mijają go niczego nieświadome. Pralnie chemiczne razem ze swoimi chemikaliami pójdą na pierwszy ogień, szeszną w oczyszczających płomieniach. Potem przez most, jak mrówki z płonącego pnia, drapaka dadzą japiszony. Na papierze są właścicielami posesji, ale ulice wciąż należą do Jema. Tak jak zwierzęta są panami lasu, tak on, Jem, jest panem Town.

Czuł łaskotanie odprysków czerwonej cegły płynących jego żyłami.

Fergie. Jem mógł godzinami słuchać opowieści tego mądrego człowieka o dawnym Town, właśnie wyszedł od niego z chłodnej kwiaciarni. Kwiaciarz wiedział, co to przywiązanie, co to duma. Ten ekszapaśnik i eksbokser miał to wypisane na twarzy, która była jak hartowana szyba – popękana, ale nie stłuczona. Fergie wiedział, jak zwyciężać, i zwyciężał, nie przebierając w środkach.

Pierdolony Doug. Jema zewsząd otacza zdrada i przeniwierstwo. Wszyscy wymiękli, nie przeciwstawiają się już zmianom, postępowi, i tylko

on, Jem, jak ten klajster, w pojedynkę, trzyma wszystko w kupie, żeby do końca się nie rozleciało. Zakleja rysy i pęknięcia. Kiedy Fergiego zabraknie, wszystko to spadnie na niego.

Na pokancerowanym cyferblacie Town – tak samo anachronicznym jak Fergie – Pearl Street dzieliło od północy kilka minut. Sama godzina duchów wypadła dokładnie tam, gdzie Jem się urodził, gdzie żyje i gdzie umrze. Szczycił się tym, że dom popada w ruinę, urągając trójpokładowcom przy tej samej ulicy, odpicowanym jak dziwki, którym kazano odstawiać dziewice. Złamali się i posprzedawali swoje chałupy zdrajcy Kenneyowie, Hayesowie, Phalonowie, O'Brienowie. Za zabytkowe domy z epoki japiszony płaciły j krocie. Te sprzedajne gnojki śpią teraz na forsie, ale chuj im ~ w dupę – judaszom, dezerterom, mięczakom.

Tam gdzie trotuar nurkował jak pierwszy uskok starej diabelskiej kolejki z Nantasket Beach, Jem skręcił w drzwi, j Otwór po szybie, którą wypchnął Duggy, zaślepił arkuszem ' tektury i zakleił taśmą izolacyjną – teraz przynajmniej nie klekotało. U stóp schodów przystanął i spojrzał na drzwi Kristy.] Rozważania o następnym pokoleniu wyzwoliły w nim nie – i przepartą chęć zobaczenia Shyne. Jego oko przyciągnęły stare i fotografie stojące na stoliku w sieni: dom w latach sześćdziesią – j tych; stary gruchot zaparkowany skosem do krawężnika i tato

wyładowujący coś z paki – najprawdopodobniej łup; grupowe zdjęcie ze ślubu rodziców, kotylion kampanii Kennedy/Johnson w butonierce każdego druzby; on i Krista w śpioszkach, na kocu rozpostartym za domem, kiedy rosła tam jeszcze trawa.

Wszedł bez pukania i przemaszerował wyłożonym ciemną boazerią korytarzykiem do salonu. Shyne siedziała jak ! zwykle na wysokim krzeselku, pozostawiona samej sobie przed włączonym telewizorem. Z rączkami, buzią i włosami pomazanymi krwistoczerwonym sosem ravioli, wpatrywała się w tego przekłętego purpurowego dinozaura odstawiającego taniec pogo. W uszach też miała sos.

– Cześć, mała – powiedział. Nie obejrzała się. Dotknął czystego miejsca na jej karku, ale równie dobrze mógłby dotykać lalki. „Uchoch!”, postękiwał purpurowy dinozaur, a ona wpatrywała się w niego, tak jakby odbierała jakiś za – j szyfrowany przekaz, szeroko otwartymi oczami.

Rozległ się szum spuszczonej wody i z łazienki wyszła Krista w Tshircie z Kaczką Daisy i majtkach od bikini.

– Niczego nie upitrasiałaś, co? – Właściwie to nie był głodny, chciał tylko wytknąć jej jeszcze jedną sprawę, w której się nie popisała.

– A skąd miałam, kurwa, wiedzieć, o której i czy

w ogóle raczysz wrócić? – odcięła się.

Ale Jem nie miał ani czasu, ani chęci wdawać się w awantury – i ona to zauważyła. Osobliwy, krótki moment wzajemnego czytania sobie w myślach przez kalendarzowe bliźnięta, i już wiedziała, skąd wraca, z kim się spotkał, co ma w kieszeni szortów. Zupełnie jakby widziała spoczywającą tam małą torebkę. Przez jej twarz przemknął cień – głodu, żądzы – i Jem to zauważył. Wiedziała, że zauważył.

– No, co? – spytał, nie tyle zły, ile rozdrażniony – jeszcze jedna okazja do pokazania, kto tu rządzi.

Zazwyczaj po każdym powolnym wypuszczeniu dymu prosiła: „Nie mów mu, Jem”. Po każdym jednym sztachu. Od pociągu do kurzu silniejsza była obawa, że Duggy się dowie. Każdemu potrzebny jest rodzic albo małżonek, żeby za jego plecami robić coś nagannego. Jak się tak dobrze zastanowić, to Jem też wykręcał za plecami Duggyego rozmaite numery.

Patrzył na swoją upadłą siostrę. Nie dość, że zdzira, to jeszcze upadła? Trzeba nie lada talentu, żeby się tak urządzić.

On jest tobą tak samo zbrzydzone jak ja.

Jem prawie to powiedział. Ale nawet on miał jeszcze nadzieję, że Duggy’emu się odmieni. To się już zdarzało. W głowie Jema formował się już załączek planu.

Może dam radę uratować nawet ciebie, Kris.

Wszystko było w jego mocy. Ale kiedy tak na

nią patrzył, znowu zaczynało go ponosić, wzbierała w nim nienawiść do tego, co kochała. Nachylił się, pocałował czubek umazanej główki Shyne i poczuł smak sosu. Ona nie będzie taką szmatą jak ty, mówił ten pocałunek, i dodawał: Sam potrafię ocalić nas wszystkich.

– Będę u siebie, na górze – powiedział, pewien, że ona wie, co to oznacza, pewien, że będzie siedziała tu, na dole, w tych swoich obwisłych majtkach i patrzyła w poplamiony zaciekami sufit ze świadomością, że on tam jest i odlatuje bez niej. Bo nie potrafiłaś ze swojej strony dotrzymać umowy. Bo nie potrafiłaś zatrzymać przy sobie Duggy’ego i teraz na mnie to spada.

Na górze, w zaduchu swojego pokoju z aparaturą hifi, włączył kobylasty telewizor podpięty po piracku do kablówki, wybrał kanał transmitujący spotkanie Soksów i wyciągnął z kieszeni saszetkę. Z szafki nad kuchennym zlewem wyjął swoją wyprawkę, rozłożył ją na stoliku i rozciął saszetkę scyzorykiem. W literatce podwędzonej przed rokiem z Tully’s wymieszał miligramy magii z taką samą szczyptą oranżady w proszku KoolAid. Potem utoczył w ustach trochę śliny, splunął do szklaneczki i patrzył, jak kurz wsiąka w ślinę i znika, rozpuszcza się w niej.

Przypomniał mu się tamten gościu, którego poznał przed laty w ośrodku przejściowym dla

opuszczających więzienie, były farmaceuta w okularkach, którego później przyłapano na tym, że w czasie wolnym produkuje w swoim pokoju amfę, i odesłano z powrotem za kratki. Jem dowiedział się od niego, że kurz z medycznego punktu widzenia nie jest halucynogenem, że szufladkuje się go jako „deliryk”. Nigdy tego nie zapomni. Deliryk. Ale, kurwa, jaja.

Zakręcił szklaneczką, mieszanina nabrała wiśniowej barwy. Potem wystukał z paczki camela bez filtra, zanurzył czubek w zawieszynie i czekał, aż nią nasiąknie. Przypalił go sobie zapalniczką z irlandzką flagą. Koniuszek papierosa rozjarzył się krwawo, kiedy wziął pierwszego sztacha.

Wciągnął dym głęboko w płuca, tak głęboko, że mogły być potem kłopoty z jego wydalaniem, pierś napęczniała mu jak rozszerzający się wszechświat.

Pokój rozhermetyzował się, atmosfera w nim rozrzedziła, odrzucił w tył głowę, westchnął. Zaszły zmiany. Dźwięki – te z telewizora, bicie jego serca – oddzieliły się od swoich źródeł niczym gondole ewakuacyjne od macierzystych gwiazdołotów i rozprysły na wszystkie strony, koziołkując. Czas się zatrzymał, zgęstniał, nabrał konsystencji towotu, a on się z niego wyśliznął. Komentator obwieścił Homera [Home run (ang.) – obiegnięcie wszystkich baz] i zdobycie punktu przez którąś z drużyn, a dopiero parę minut później Jem zobaczył piłkę wlatującą w zwolnionym tempie

w trybuny.

Cofnąć zegar. Jego słowa, kiedy mówił o Town.
Cofnąć zegar.

Jakiś głos wywrzaskiwał coś z teksaskim akcentem w telewizorze... To Roger Clemens darł się do niego ze środka boiska między jednym rzutem a drugim:

– Ona jest z FBI, durny kutasie!

Nie pierdziel, Rakieto, obruszył się Jem, myślisz, że o tym nie wiem?

– Gdzie ten cholerny Duggy? No gdzie on jest?

Czy ja ci wyglądam na jego niańkę?

– Na zaćpanego barana mi wyglądasz. I nie zbywaj mnie. Bo jak przyjebię piłką w dupsko, to przez rok nie usiądziesz.

Ty byś nawet w tłusty zad Mo Vaughna nie wcelował, miotaczynopartaczyno zdiadziła.

– Nie spartol sprawy, wyskrobku!

No, kurwa twoja mać, złamasie jeden... ożeż ty...

Clemens był teraz wielkim, pluszowym, purpurowym dinozaurem w czapce Red Soksów i stękał „Uchoch!”.

W pokoju jarzył się meduzowaty mózg Jema. Transformacja już się rozpoczęła, jego krew zmieniała się w rtęć. Jem rozebrał się do bokserów i kłapek, i poczłapał do sutereny.

Ostro dawał – zarzucanie sztangi na klatkę piersiową, wyciskanie czterdziestofuntowych

ciężarków – serce łomotało w rytmie ciała zjeżdżającego na tyłku po stopniach niekończącego się skrzydła schodów. W zawilgoconej suterenie pachniało morzem, żelazne pierścienie pobrzękiwały o siebie jak ogniwa kotwicznego łańcucha.

Chłopaki w demobilach. Jego piechota. Od nich się zacznie, od tej rebelianckiej armii, którą kompletuje. Rozbestwione bandy towniackich małolatów odbijające swoje ulice. Patrioci planujący drugą bitwę o Bunker Hill, cofający wskazówki zegara. Czerwień, biel i granat ich przekrwionych oczu.

Zakończył serią przysiadów ze sztangą i wspiał się po schodach z powrotem na górę. Nogi i ramiona bolały, jak boli zginana stal. Zatrzasnął światu przed nosem drzwi swojego mieszkania i stał w chwiejącym się z obu końców korytarzyku. Jem deliryk.

Zapalił lampę nad lustrem, członki miał tak skatowane, że nie robiło już różnicy, czy nimi porusza, czy nie. Jem był cały połamany. Każda cząstka jego ciała nabiegła krwią, obrzmiła.

Każda, co do jednej.

Bokserki opadły. Patrząc na siebie w lustrze pod bujającą się lampą, ścisnął się drugą ręką za pośladek, a trzecią – tak, to musiała być trzecia – szarpnął kierowniczkę banku za włosy, żeby rozbudzić w niej chćicę, żeby sama mu się podłożyła.

Purpurowy dinozaur dobijający się do drzwi rozkojarzył go, kierowniczką banku na moment stała się Kristą, skoncentrował się, wrócił do poprzedniego wątku, ale był już za blisko kleeneksu.

Wytrysk kwasu wypalił kształt znaku zapytania, Jem skończył.

– Do dupy to gówno – orzekł, odstępując.

Pod gorącym prysznicem świński fiut zwisał mu między nogami nabrzmiały i różowiutki. Nadstawił pod główkę natrysku plecy, zamknął oczy – strugi wody wzniecały na jego ramionach pożar, główka, z której tryskały, była jak zionący ogniem palnik spawacza. Pióropuszcami sypały się z niego iskry, błękitny płomień coś z niego kształtował, wykuwał nową istotę, człowieka z żelaza przechodzącego metamorfozę w chrzcie bojowym.

Już wiedział, co robić. Co musi zrobić Człowiek z Żelaza – dawniej Człowiek Klajster.

Ubrał się na czarno i wrócił do sutereny, gdzie pod schodami stał stary kufer dziadka. Ustawił kombinację na zamku szyfrowym i kufer, ze zgrzytem zawiasów, które pod wpływem wilgoci nabawiły się artretyzmu, rozwarł swoją paszczę. Wyjął mundur dziadka, odsłaniając broń i trofea, które staruszek przywiózł z wojny na Pacyfiku – jego karabin, miecze, pół tuzina granatów upchniętych ciasno w starym kartonie po jajkach wraz z kilkoma sztukami broni krótkiej, które podprowadził, i

gotówką. To było ziarno, z którego wykiełkuje wkrótce wielka rebelia. Z dna tego kufra wyciągnął torbę od Foodmastera, opuścił wieko i zatrzasnął szyfrowy zamek swojej skrzyni ze skarbami.

Tak postępują bracia. Jeden osłania drugiego.

Ruszył w ciemność ze swą misją, maszerując przez nocne Town z torbą pod pachą. Od Heights nadleciały kruki i lamentujące pterodaktyle, wrzeszczały teraz nad Bunker Hill Street. Z bram, zaułków i narożników zagadywały go głosy. Niemożliwie stara kobieta, starsza od trotuaru, szepnęła do niego: Zajmij się nią w naszym imieniu, i Jem zapewnił ją telepatycznie: Zajmę się, pszepani.

Przez Monument Square pod granitową iglicą. Nocne stwory krążyły wokół niej bezszelestnie na szeroko rozpostartych skrzydłach – duchy ministrantów wypuszczone z kościelnych attyk – przyciągane do tego wymierzonego w niebo palucha, który był anteną nadawczą radia WTOWN nadającego całą dobę i odbieranego czysto i wyraźnie w głowie Jema.

Doug szykował się do odlotu. Jem go przejrzał, w uszach ryczał mu ocean.

Sercem tej choroby była Packard Street. FBI było rakiem toczącym Town, Jem pieprzonym delirykiem chemioterapeutykiem. Jem grzechożerca, archanioł zemsty.

W zaułku za Packard zobaczył okno jej łazienki

z szybą z matowego szkła, uchylone na kilka cali z myślą o nim, wystarczy. Jem naciągnął rękawiczki, rozejrzał się po zaułku, upchnął torbę za pasek.

Poprosił o niewidzialność. Została mu dana.

Bezszerowo wspiał się na dach jej purpurowego samochodu, stamtąd na szczyt ceglanego murka między posesjami. Namacał chwyt dla dłoni na ceglanej ścianie śpiącego budynku, okno miał teraz na wyciągnięcie ręki. Było starego typu, takie jak te w domu jego matki, chodziło na sznurkowych bloczkach, wystarczy lekko pchnąć, żeby się uniosło.

Poprosił o dary zwinności, widzenia w ciemnościach oraz niesłyszalności, i otrzymał je. Przez chwilę zwisał na dwóch rękach uczepiony drewnianego parapetu, potem podciągnął się, wsunął najpierw głowę do środka i opuścił się na zimną, wyłożoną kafelkami posadzkę.

Łazienka – krocze ciała domu. Kuchnia, jego serce; sypialnia – mózg; jadalnia – żołądek; salon – płuca. Drzwi frontowe to jego twarz; garaż – zadek.

W kroczu było ciemno i chłodno. Monotonne kapanie we wnętrzu porcelanowej misy obok ramienia. Kwiatowy zapach kremów na noc.

Widział dobrze, wyciągnął zza paska papierową torbę tak, żeby nie szeleściła. Wyciągnął z niej maskę z owalnymi otworami na oczy, wstał, nałożył ją, zabezpieczył czarnym paskiem na potylicy.

Jeśli pozbyłeś się masek, nic na nas nie ma.

Pewnie, że się pozbyłem.

Widziałem, jak ci się żal rozstawać z tymi swoimi rękodzielami, więc wołałem się upewnić.

Takiego chuja, Duggy. Kazać to, kurwa, my, ale nie nam.

W lustrze nad umywalką biała maska Cheeversa pływała wokół czarnych dziur na oczy i domalowanych szram.

Wyszedł z krocza do płuc. Na tle ściany pulsują zielone cyfry zegara wieży stereo. Nocna lampka wskazuje mu drogę.

Drzwi do śpiącego mózgu były zamknięte. Dłonią w rękawiczce przekręcił gałkę i wszedł.

Przez okna sączyła się poświata ulicznych latarni. Czerwone cyfry zegara drgające przy łóżku, na którym na niego czekała.

Stojąc nad nią, słuchając jej oddechu, dotknął kolanem brzegu materaca.

Wyczuła jego obecność. Jej nogi poruszyły się pod kołdrą. Odwróciła głowę pod rozrzuconymi po poduszce włosami, spojrzała na otwarte drzwi. Odgarnęła włosy z oczu. I zobaczyła.

Twarz deliryka. Otworzyła usta do krzyku.

PLUSKWA

Doug stawiał się na jej progu w doskonałym nastroju, z plastikową reklamówką od Foodmastera pełną zakupów. Było to szczególne nazajutrz, nacechowane zadowoleniem, że nie uległ pokusie przyjęcia natychmiastowej gratyfikacji, że powściągnął swoje chucie w imię większego projektu. Postąpił w myśl żelaznej zasady Anonimowych Alkoholików i uzmysławiał sobie teraz, że chyba właśnie tak rodzą się nowe religie.

Drzwi były lekko uchylone, co w pierwszej chwili go zaniepokoiło, ale zaraz to sobie racjonalnie wytłumaczył. Mnóstwo ludzi z Town zostawia drzwi swoich domów niedomknięte, kiedy wybiegają szybko coś załatwić. Na stole czeka na niego pewnie karteczka z informacją, że wyskoczyła do sklepu po jajka, a on niech się rozgości.

– Halo?! – zawołał, pukając dla formalności w te otwarte drzwi i wchodząc. – To ja.

Cisza. Ruszył korytarzykiem, wmawiając sobie, że to, co czuje, to nie zagrożenie.

– Claire?

Stała w salonie, po drugiej stronie sofy, między stoliczkiem a wieżą stereo. Była w spłowiałych

niebieskich dżinsach i wyrzuconym na nie żółtym Tshircie, w opuszczonej ręce trzymała bezprzewodowy telefon.

– Cześć – bąknął Doug, zatrzymując się, wyczuwając coś wiszącego w powietrzu. – Wiesz, że masz otwarte drzwi?

Ze spojrzenia, jakim go mierzyła, wyczytał, że wie.

– Dlaczego? – spytała.

Doug zdębiał. Postawił reklamówkę z zakupami na podłodze.

– Co dlaczego?

– To tym się zajmujesz?

Wierzył jeszcze, że zdoła jakoś z tego wybrnąć, chociaż ziemia usuwała mu się spod nóg.

– Mówisz o śniadaniu czy...?

– Niszczaniem kobiet, a potem składaniem ich na nowo?

Podszedł do boku sofy, dalej się nie odważył. Mówił bez sensu, ale chciał podtrzymać w sobie tę wiarę.

– Przyniosłem bekon i...

– Czy raczej chodzi o zakład, którego byłam przedmiotem? Może jeszcze jedną do zaliczenia?

Od wczorajszego wieczoru coś się musiało wydarzyć. Jej wiedza w jakiś sposób się poszerzyła i to uruchomiło jego instynkt samozachowawczy. Ta poza, w jakiej stoi z telefonem w głębi pokoju.

– Kto tu jeszcze jest?

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie ma nikogo – wyrzuciła z siebie. – Już nie ma.

Frawley. Kuchnia była pusta. Doug wszedł do łazienki, odsunął zasłonkę prysznic, spojrzął na szeroko <ptwarte okno. Przeszedł do sypialni, również pustej.

Poczucie porażki wywołało furię.

– Co mu powiedziałaś?

Nie drgnęła nawet, patrzyła na niego.

– Ja jemu nic.

Pułapka. Plan polegał na sprowokowaniu go do usprawiedliwiania się, w trakcie którego odkryje się być może na tyle, by trafić z powrotem za kratki. Mikrofony mogły być gdziekolwiek.

Sięgnął do wieży stereo, włączył odtwarzacz CD, podkręcił głośność. Mieszkanie wypełnił dynamiczny kawałek Smashing Pumpkins – ostra gitara, łomot perkusji.

Oczy jej pociemniały, kiedy się zbliżał.

– Nie podchodź do mnie – ostrzegła, cofając się o krok i wysuwając antenkę telefonu. – Bo dzwonię na policję.

Doug doskoczył, wyrwał jej telefon z ręki, rzucił go przez pokój na sofę.

Zastygła zaskoczona.

Przyparł ją w ryku muzyki do ściany i pokrytą

odciskami dłonią zatkał usta, żeby nie krzyknęła. Obmacał jej przez Tshirt boki, brzuch i talię.

Nie mogła dobyć z siebie głosu, oczy miała szeroko otwarte. Spróbowała go odepchnąć, ale przygniótł jej rękę łokciem do ściany, śpieszył się.

Sięgnął pod Tshirt, przesunął palcami wokół talii dzinsów. Potem po brzuchu do atłasowej tasiemki łączącej miseczkę stanika. Chwyciła go wolną ręką za nadgarstek, żeby przeszkodzić we wsunięciu dłoni pod spód. Wepchnął palce pod pasek i przejechał nimi między jej piersiami, ale na żadną pluskwę nie natrafił.

Wysunął spod Tshirtu rękę, którą Claire ścisnęła wciąż za nadgarstek. Nie powstrzymało go to, był od niej o wiele silniejszy. Sięgnął za jej plecy, pod pasek dzinsów, ale tam też niczego nie wymacał. Przejechał jeszcze dłonią po wewnętrznych stronach obu ud, aż po krok dzinsów.

Nic, żadnych baterii, żadnych kabelków.

Patrzyła mu w oczy, wciąż usiłując powstrzymać jego rękę. Puścił ją, uświadamiając sobie, co przed chwilą zrobił.

– Musiałem sprawdzić, czy nie masz podsłuchu – powiedział. – Musiałem...

Poderwała kolano, trafiając go w udo, mało brakowało, a oberwałby w jądra. Rzuciła się na niego z pięściami. Nie bronił się. Była boso i jej kopniaki nie mogły mu zrobić krzywdy, ale razy spadające na

policzki bolały. Wytrzymał ten atak przez chwilę, w końcu cofnął się kilka kroków.

– Wynoś się do diabła! – wrzasnęła.

– To nie to, co myślisz. – Co miał jej powiedzieć? – Cokolwiek od niego usłyszałaś, to...

– Nienawidzę cię, skurwysynu!

– Nieprawda. – Nie wierzył. Nie przyjmował tego do wiadomości.

Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby w niego rzucić, znalazła płytę AM Gold, którą jej pożyczył, przełamała ją na jego łokciu. Potem doskoczyła do ryczącej wieży stereo. Dopiero za drugim pchnięciem udało jej się zwalić ją na podłogę, a i wtedy muzyka nie przestała grać. Ucichła dopiero wówczas, kiedy wyrwała wtyczkę ze ściennego gniazdka.

– Ten napad... – mówił szybko Doug – ...ten napad, cokolwiek o nim wiesz, to prawda. Ale od tamtego czasu... sam nie wiem, co mi się stało. Potrafię myśleć tylko o tobie.

– Ty towniacki mięśniaku... sukinsynu... wyrokowcu... przebrzydły uliczny śmieciu...

Znosił te obelgi bez protestu.

– Co? – ciągnęła, poprawiając przez koszulkę stanik. – Myślałeś sobie, że przyjdiesz tu rano, zrobisz mi śniadanko, a potem mnie przelecisz? I opowiesz koleżkom, jak było?

Pokręcił głową, zaciskał mocno usta.

– Żal mi ciebie – powiedziała z pogardą.

Tego było już za wiele.

– Żal ci mnie?!

Zaszokowała ją jego wściekłość. Przed chwilą mało] oczu mu nie wydrapała, teraz zanosła się płaczem, ukrywając twarz w dłoniach, na dobrą sprawę wymiotując w nie łzami.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – zawodziła. – Jak można tak komuś zrobić?

Co miał jej powiedzieć? Zakochałem, się w tobie? Chcę się stąd z tobą wyrwać?

– Wiedziałaś to wszystko już wczoraj wieczorem – ode – \ zwał się. – Na stadionie... wiedziałaś. Ale wtedy ci to nie j przeszkadzało. Zapraszałaś mnie do siebie. – Opuścił ręce, rozprostował palce zaciśniętych dotąd w pięści dłoni. – Co się przez tę noc zmieniło?

Wstrzymała oddech, pociągnęła nosem, oderwała dłonie od zaczerwienionej twarzy. Znowu wyzywająca.

– Twój przyjaciel odświeżył mi pamięć.

W Dougu znowu krew zawrzała.

– Tak mnie nazywa ten pieprzony agencina Frawley? j Swoim przyjacielem?

Stała bez ruchu, dysząc ciężko.

– Co?

Doug nie potrafił ukryć żądy mordy, zdradzała go twarz.

– Co jeszcze mówił?

– Frawley? To nie był Frawley. – Uśmiechnęła się zjadliwie. – To był twój przyjaciel w hokejowej masce.

Hokejowa maska. Doug patrzył na nią zbaraniały.

– W czym?!

Claire podeszła do sofy po leżący tam telefon.

Doug potrząsnął głową, ale nie pomogło. Zajrzał do łazienki, w której zostawiła niezamknięte okno. Spojrzał na otwarte drzwi sypialni.

– Jaki przyjaciel?

Hokejowa maska. Otwarte okno.

– Wyjdź – warknęła.

Jem. Doug zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Zrobił ci coś?

Uniosła telefon, przygotowała się do wybierania numeru.

– Ostrzegł mnie, żebym nie powiadamiała policji, ale Bóg mi świadkiem, jeśli nie pójdziesz stąd w cholerę...

Doug pokręcił głową, walczył z ogarniającą go histerią. Wargi Jema na słonce zanurzonej w lemoniadzie.

– Zrobił ci coś?

Znowu miała łzy w oczach, a Doug patrzył na nią jak zahipnotyzowany, znowu zaciskając pięści.

– Wynocha – powiedziała. – Wynocha z mojego

domu. Z mojego życia.

Te słowa odrzuciły go o krok.

– Claire. Zaczekaj...

– Nie waż się więcej wymawiać mojego imienia.

– Wyciągnęła przed siebie rękę z telefonem, kciuk zawisł nad klawiaturą. – Jeśli zmusisz mnie, żebym zadzwoniła, wszystko im powiem.

Cofnął się o jeszcze jeden krok, ten telefon w jej dłoni był jak pistolet.

– Ja chciałem tylko...

Opuściła kciuk na przycisk.

– Dziewięć.

– Nie rób tego.

– Dobrze ci radzę, zjeżdżaj. – Znowu wdusiła przycisk. – Jeden.

Ani myślał posłuchać. Niech się dzieje, co chce.

Nie wytrzymała, wypadła z roli.

– Precz! – wrzasnęła, samą siłą emocji odrzucając go korytarzem do drzwi frontowych... – Precz! – ...i spychając po schodach na Packard Street.

ŁOMOT I SPOTKANIE

Stare drzwi ustąpiły, tak jakby od lat czekały, żeby ktoś potraktował je silnym ramieniem. Doug minął kropielnicę i wiszący nad nią portret kardynała i wszedł do pokoju gier Jema. Wieża stereo była włączona, podkręcona na fuli, ale płyta CD dawno się skończyła i kolumny emitowały jedynie suchy szum. Obita zieloną skórą kanapa była pusta.

Plastikowa saszetka pod szklanym blatem stolika była jak ostatni element puzzli, nad którymi Doug się mozolił, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Gdyby bardziej się przyłożył, to i bez tego ostatniego elementu odgadłby pełny obraz.

Muzyka do późna w noc. Zniknięcia Jema, jego szopi tryb życia. Gówniarze w demobilach. Dole odpalane Fergiemu.

Doug wypadł z powrotem do korytarzyka, pchnął drzwi sypialni Jema i zerwał koce z barłogu, który Jem nazywał swoim łóżkiem. Następny przystanek to frontowy salon z wychodzącymi na Pearl Street łukowatymi oknami, w których wisiały połamane żaluzje. Na starych gazetach rozpostartych na podłodze leżały stolarskie narzędzia Jema, a na stole stał prawie ukończony domek dla lalek. Była to

odtworzona w skali wierna replika trójpokładowca, w którym mieszkali, ale bez zachodniej ściany. Doug unosił już pięść, żeby go rozwalić, ale opamiętał się w ostatniej chwili, bo przemknęło mu przez myśl, że to pewnie prezent dla Shyne. Zamiast tego kopnął stojącą lampę, a kiedy się przewróciła, rozdeptał abażur.

Słyszając znajomy dźwięk podrasowanego silnika, podszedł do środkowego okna. Przy krawężniku zatrzymywał się właśnie Palnik. Doug w mgnieniu oka był na dole.

Na widok wybiegającego mu naprzeciw Douga Jem uśmiechnął się szerokim uśmiechem Jokera, który szybko zgasiły pięść Douga, lądując mu – bez ostrzeżenia, żadne tam markowane rubaszne „siemasz stary” – na podbródku oraz towarzyszący jej okrzyk: „Skurwysynu pierdolony!”. Jem poleciał w tył, odbił się od bagażnika swojego samochodu, upadł i sturlał do rynsztoka. Z torby na zakupy, którą wypuścił z ręki, wysypały się na jezdnię małe pędzelki, tubki modelarskiej farby i kleju do drewna.

– Jezu! – stęknął, gramoląc się na klęczki i dotykając rozkwaszonych, krwawiących warg.

– Nie pozbyłeś się swojej maski, psycholu jebany... – Doug posłał go kopniakiem pod żebra z powrotem na bagażnik samochodu.

– Zaczekaj. Co jest? – Jem klęczał na jednym kolanie. – Zbastuj. Duggy. Zbastuj.

I niespodziewanie rzucił się na Douga z przysiadu, zaprawiając go bykiem w żołądek i spychając przez trotuar na drewnianą ścianę domu.

Doug rąbnął pięścią pochylonego Jema w plecy, opasał go od góry ramionami i próbował dźwignąć, ale Jem spodziewał się tego chwytu i był przygotowany. Wyprostował się gwałtownie, przerzucając Douga przez siebie, i ten, wywinąwszy salto w powietrzu, klapnął tyłkiem na chodnik.

Jem wylądował na nim i z głową wbitą wciąż w brzuch Douga zaczął młócić na oślep rękami. Hokejowa bijatyka, Jem z koszulą naciągniętą przez Douga na głowę, świecący gołymi, piegowatymi plecami.

– Ty chuju przykurzony! – krzyknął Doug. – Jak to możliwe, że się nie przespałeś po weselu, co? Dlaczego zrobiłeś sobie strzelnicę z kina? Zaplanowałem tę robotę... ufff...

Jem zaprawił go w nerkę. Walczył jak w transie, wydawał się o wiele masywniejszy i silniejszy, niż był w istocie, wpelzał na Douga coraz wyżej. Jeszcze trochę i usiadzie mu na klacie, a wtedy Doug ostatecznie przegra tę walkę, Jem wbije go w trotuar.

Doug wcisnął jedną rękę pod Jema i chwycił go za pasek, drugą złapał za ramię. Zmobilizował wszystkie siły i jednym potężnym pchnięciem, wkładając w to cały ładunek swojej słusznej furii, uniósł Jema nad siebie i odrzucił w bok. Jem,

przebierając w powietrzu nogami obutymi w robocze bucior, spadł na plecy, a Doug odtoczył się tymczasem od niego na bezpieczną odległość.

Jem pozbierał się szybko z ziemi, ale Doug był już na nogach i szarżował. Dopadł Jema, chwycił go za koszulkę i szorty, i rąbnął jego głową jak taranem w pikapa sąsiada. Zamroczony i oszołomiony Jem wierzgnął w tył z zamiarem przykopania Dougowi w jaja, ale Doug chwycił go za nogę, obrócił twarzą do siebie, złapał za przód koszulki, ustawił sobie do ciosu i wyprowadził potężne uderzenie w nos.

Jemowi krew trysnęła z nozdrzy, odrzucony siłą ciosu na maskę samochodu zsunął się z niej bezwładnie po reflektorze na jezdnię.

Leżał na brzuchu, podrygując i trzymając się rękami za twarz. Doug stanął nad nim, w głowie mu huczało od szaleństwa bójki i wcześniejszego upadku na chodnik. Ta wilgoć w oczach... to były łzy.

– Wstawaj.

Jem, krzywiąc się z bólu, przekręcił się na plecy. Z brody zwisały mu gilowate sopelki krzepnącej krwi, skórę nad nosem miał głęboko rozciętą, zakrwawiony policzek oblepiony ulicznym piaskiem.

– La cebe to srobyłem – wyjęczał.

– Wstawaj.

– La cebe. – W kącikach ust pęczniały mu i pękały pęcherzyki krwawej śliny. – La nas wsystkich. Lacego ona, stary? Tyle tego towaru na swiecie.

Lacego?

– Wstawaj, Jem, bo chcę ci jeszcze raz przypierdolić!

– Komu psypiedolić? Mnie?

Jem dźwignął się z trudem na klęczki. Wystarczyło. Doug prawym podbródkowym posłał go z powrotem na ziemię.

Jem leżał na jezdni i uśmiechał się teraz, szczerząc pokryte krwią zęby.

– Nawe jej nie knąłem, sary. Oszczegem tyko. La jej dobra.

– Twoje szczęście. Bobyś nie żył.

Jem chciał usiąść, ale żebra mu na to nie pozwoliły. Przekręcił się na bok, ale z tej pozycji też nie mógł się podnieść, dał więc za wygraną i legł na wznak, uśmiechając się do nieba.

Dougowi nie było jeszcze dosyć. Schylił się, chwycił Jema za przód zakrwawionej koszulki i podniósł z ziemi. Jem przewrócił białymi oczami, uśmiechając się teraz do pięści Douga.

– Lacego sobie ne psyłozys – wymamrotał. – No, psyłóz, kuwa, sobie.

Doug chciał go jeszcze raz walnąć. Bardzo chciał. Ale zamarkował najpierw cios i Jemowi nawet powieka nie drgnęła, oczy miał mętne jak pomyje.

Doug puścił go i Jem osunął się na ziemię. Leżał zakrwawiony, kaszląc i chichocząc.

– I żyli poem dugo i sześliwie – wybełkotał.

Doug odwrócił się i ruszył przed siebie z poczuciem niedosytu, był jak czarna chmura naładowana elektrycznością, która musi się wyładować, bo ją rozsadzi.

Krista wyszła przed dom i patrzyła, jak Doug spuszcza jej bratu irlandzki łomot – i stała tam nadal, kiedy Jem leżał na jezdni, mamląc i chichocząc. Poszukała wzrokiem Douga – ale ten oddalał się już ulicą obolały, z rykiem w uszach, na wpół oślepiony rozpaczą.

Frawleyowi wynajęto mieszkanie z miejscem parkingowym w podziemnym garażu przy Pierwszej Alei, głównej ulicy przecinającej dawny port marynarki wojennej Charlestown. Wzdłuż Pierwszej, od strony lądu, ciągnęły się stare ceglane zabudowania stoczni, między innymi długi na ćwierć mili, opuszczony budynek wytwórni olinowania. Od strony wody i nabrzeży stały wzniesione z cegły magazyny portowe, które zaadaptowano na budynki mieszkalne z dwusypialniowymi mieszkankami. Przeprojektowany port był bardziej kampusem niż osiedlem mieszkaniowym, bo większość mieszkańców stanowili tu samotni, dobrze sytuowani profesjonaliści. Frawley wyobrażał już sobie miny dawnych dokerów i robotników portowych, którzy powstają z grobów i stwierdzają, że na ich terenie zagnieździła się społeczność młodych wykształciuchów, którzy pracą fizyczną nigdy się nie

splamili.

Po półtoragodzinnej podróży z Lakeville do domu Frawleyowi ścierpło siedzenie, stał więc z rękami na dachu niewygodnego tempo, czekając, aż mrowienie przejdzie. Wpatrywał się w wyblakły granatowy lakier, licząc przypominające pleśń szare plamki rozsiane po dachu, i naraz usłyszał za sobą zbliżające się kroki, ciężkie, dudniące. Zanim się odwrócił, odruchowo wsunął rękę pod marynarkę.

MacRay zbliżał się szybko z pustymi rękami, był nieogolony, wyglądał na skacowanego, miał na sobie spłowiały szary Tshirt i džinsy.

Frawley ścisnął kolbę sigsauera, ale nie wyciągał go. MacRay zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od niego, oddychał ciężko, oczy płonęły mu żądzą mordy.

Frawley próbował ukryć swoje zaskoczenie. Zbłąźniłby się, dobywając teraz pistolet. Zamiast tego wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki swoją legitymację i rozłożył ją.

– Agent specjalny Frawley, FB...

MacRay bezceremonialnie wytrącił mu legitymację z rąk. Odfrunęła, trzepocząc okładkami jak zraniony ptaszek, i spadła na beton kilka kroków od nich.

Frawleyowi serce zabiło mocniej. Wzburzenie pomogło mu pokryć strach.

– Nie rób głupstw, MacRay – powiedział. – Chcę

cię przymknąć, ale nie za to.

MacRay patrzył tylko, kontrolował się lepiej, niż się Frawleyowi w pierwszej chwili wydawało. Spojrzał ponad ramieniem Frawleya i skrzywił się z niesmakiem eksperta.

– Awansowali na tempo, co? W porzo bryczka.

Frawley stłumił cisnące mu się na usta pytanie: Od jak dawna MacRay wie, że jest przez niego rozpracowywany? Skąd wiedział, że go tu znajdzie?

– Wiesz, co mi się przytrafiło? – ciągnął MacRay. – Jakiś chuj złamany zarysował mi moją vetę. Dajesz wiarę?

Frawley spojrzał na szmaragdowozielony samochód zaparkowany pod ścianą, zobaczył długą srebrną ryse.

– Tak skancerować człowiekowi furę, jak nic robota jakiegoś zasranego cykora, nie uważasz? – ciągnął MacRay. – No jak nazwać kogoś, kto wycina taki numer, co? Gnojkiem? Piździelcem?

– Pogoniła cię, jak rozumiem – zauważył Frawley.

– Chuj ci do tego.

Frawley zdobył się na uśmiech.

– A jak długo, według ciebie, to miało się ciągnąć? Coś ty sobie wyobrażał, MacRay?

– Nie twoja broszka.

– Przypominają mi się tutaj ci niedorobieni złodzieje bankomatowi. Zdobędzie taki tajny kod i

wydaje mu się, że może wiecznie korzystać z karty. – Frawleyowi rzuciły się teraz w oczy dłonie MacRay’a. Knykcie były pokaleczone, spuchnięte jak parówki. – Jeśli ją tkniesz...

– Daj se siana – wpadł mu w słowo MacRay, zbywając go machnięciem ręki. Było to dosyć przekonujące, ale nie od rzeczy będzie zajrzeć do Claire Keeseey i upewnić się.

MacRay cofnął się i zaczął krążyć nerwowo w kółko jak tygrys w klatce, Frawley stał spokojnie.

– Weźmy tego twojego sponsora – powiedział, przejmując inicjatywę. – Strażak Frank Geary. Damski bokser, próbował mnie pouczać. Wy, nawróceni pijacy, jesteście najgorsi.

MacRay zatrzymał się i wymierzył w niego palec.

– Słuchaj no! Od niego się odpieprz, zrozumiano? Chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć? Masz mnie tutaj. Pytaj.

Frawley nie dał się zbić z pantałyku.

– Nie mam do ciebie żadnych pytań.

– No jasne. Ty wolisz węszyć naokoło, rozmawiać ze wszystkimi, tylko nie ze mną. Kto tu komu odważył się spojrzeć w oczy? Żałosny pieprzony łaps.

– Przyszedłeś obrzucać mnie wyzwiskami, MacRay?

– Pomyślałem sobie, że wypada zajrzeć tu

osobiście i przedstawić się.

– Miło poznać sąsiada.

– Dajmy sobie spokój z tymi podchodami. Z tym tańcem.

– Ja nie tańczę – burknął Frawley.

– Tak? Ja też nie. – MacRay spojrział w stronę oświetlonej Pierwszej Alei. – Wydaje ci się, że jesteś tu pod przykrywką? Wydaje ci się, że mieszkasz w Charlestown? Ten port to nie jest Charlestown. Nie masz o niczym pojęcia.

– Dużo wiem.

MacRay spojrział na Frawleya spod przymrużonych powiek, taksująco.

– Na przykład co? To o niej?

Frawley ściągnął brwi.

– O banku.

– Aha. – MacRay odwrócił się i podjął swój spacer w kółko. – No jasne.

– O kinie też.

– O kinie? – MacRay przekrzywił głowę, tak jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Spieprzyliście sprawę, MacRay. Ty i twoi kolesie.

MacRay krąży} dalej.

– Z tym kinem to mnie zastrzeliłeś.

– Nie obrobić otwartego bankowozu. Taka czysta robota. Nie powiem, dało mi to do myślenia. Może unikasz używania broni. Może trochę bardziej

boisz się, że cię dopadnę, niż jesteś to skłonny przyznać.

MacRay przyśpieszył kroku, słowa Frawleya rozsadzały mu głowę, zaraz oszaleje.

– Pomyślałem sobie – ciągnął Frawley – że może tę robotę odstawił ktoś, kto zamierza się wycofać. Na dobre. Może z miłości do jakiejś uczciwej kobiety. Niewykluczone, że przyszedłeś tu dzisiaj, żeby się ze mną pożegnać.

MacRay zwolnił, wbrew oczekiwaniom Frawleya nie eksplodował.

– Ona ciebie nie chce, człowieku – powiedział. – I nic tego nie zmieni, choćbyś na głowie stawał.

Frawley pokrył uśmiechem dreszcz, jaki go przeszedł.

– Tak, jest Heleną Trojańską. Jest Mona Lizą. Chcę przez to powiedzieć, że jest ładna, MacRay, niczego sobie. Ma wszystko, co trzeba, na miejscu. Ale dlaczego właśnie ona? Taki ostrożny facet jak ty. Ofiara jednego z popełnionych przez ciebie przestępstw. Co cię skłoniło do przekroczenia tej granicy?

MacRay milczał, patrzył tylko.

– Zaraz... czyżby miłość? Tak, MacRay? – Urażliwy uśmiech Frawleya zakwitł i obumarł. – Skąd u ciebie nadzieja, że to się mogło udać?

– A kto powiedział, że to już skończone?

Frawley uśmiechnął się szeroko zadowolony ze

swojego blefu.

– O, a nie?

– Nic się nie skończyło – warknął MacRay.

Frawley znowu się uśmiechnął.

– Co cię tak bawi, łapsie?

– Co? – Frawley wzruszył ramionami. – Ze tu stoimy. Gawędzimy sobie.

To stanie i gawędzenie za długo już trwało, coraz bardziej niepokoiło Frawleya.

– Są takie filmy, gdzie gliniarz i złodziej starają się przechytrzyć jeden drugiego, a na koniec nabierają do siebie szacunku. Nabierasz do mnie szacunku?

– Ani trochę – powiedział Frawley.

– To się dobrze składa. Bo ja do ciebie też nie. Nie chciałem tylko, żebyś się spodziewał, że na koniec tego wszystkiego wyciągniemy do siebie ręce.

Frawley pokręcił głową.

– Ty chyba tylko do założenia kajdanek.

MacRay znowu otaksował go spojrzeniem.

– Jeśli znaleźliście gdzieś odcisk palca... to nie mój.

Ostrzegła go. Frawley płonął.

– To ślepa uliczka, MacRay. Może powinieneś się wycofać, póki jeszcze czas, skoro tak się obawiasz konfrontacji ze mną.

MacRay zbliżył się do niego i uśmiechnął z przymusem, i Frawley był już pewien, że go ma, ale

kiedy MacRay odwrócił się, ruszył w kierunku swojego samochodu, ta pewność zniknęła.

– Jeszcze się spotkamy! – zawołał za nim.

– Tak! – odkrzyknął MacRay, otwierając drzwiczki i wsuwając się za kierownicę. – Tak, niewykluczone.

Część IV

Jakby w domu

EXCALIBUR STREET

Pani Keeseey otworzyła ubrana w markowy dres – podomkę a la Round Table Estates. Drzwi z siatką przeciw komarom należały do tych nielicznych, które nie skrzypiały.

– Dziękuję pani, pani Keeseey, że przyjęła mnie pani tak w środku dnia – powiedział Frawley, wchodząc do chłodnego przedpokoju.

– Nie ma za co – odparła pani Keeseey, zerkając na jego zaśnieżone tempo zaparkowane na Excalibur Street, po czym zamknęła masywne drzwi. Podeszła do balustrady, gdzie między białymi kolumnienkami czekały zatknięte wyciągi bankowe i prospekty funduszków inwestycyjnych.

– Claire! – zawołała śpiewnie, po czym posłała Frawleyowi wymuszony uśmiech. – Wróciła do nas. Nie wiem, z jakiego powodu.

Zmierzyła podejrzliwym wzrokiem trzymaną przez niego szarą kopertę, jakby ta zawierała informacje na jej temat. Woń whiskey w jej oddechu była jak zapowiedź przedwczesnego zgonu.

– Napije się pan wody mineralnej? – zapytała wyszukany, formalnym tonem, jak aktorka znudzona odgrywaną od zawsze rolą żony i

gospodyni.

– Nie, dziękuję.

Claire Keeseey zeszła po schodach w białym Tshircie i jeszcze bielszych spodniach od dresu, i przywitała Frawleya beznamiętnie – pani Keeseey właśnie zniknęła w kuchni.

Claire poprowadziła go w przeciwną stronę – jej białe skarpety szeleściły na gładkiej podłodze z klonu – przez drzwi balkonowe do gabinetu ojca, tak jak poprzednio. Tym razem Claire usiadła za biurkiem, miała oczy opuchnięte od płaczu, ale nie dostrzegł siniaków czy śladów pobicia. Łapy MacRaya kogoś skatowały – ale nie ją.

Frawley usiadł na fotelu bujanym z emblematem uczelni, i kiedy mierzył Claire wzrokiem, burzyły się w nim emocje, z których nie był dumny. Triumf. Satysfakcja. Również żal.

– Popęłniła pani błąd – zawyrokował tonem zwycięzcy. – Przeliczyła się pani.

Zaczęła skubać palce, zawstydzona i przygnębiona.

– Przykro mi, że musiała pani przez to przejść – powiedział, nawet szczerze. – I żałuję, że to jeszcze nie koniec.

Frawley otworzył skrzydełko koperty, wysunął cztery zdjęcia policyjne i rozłożył je na podkładce na biurku niczym zwycięski zestaw kart. Zdziorna czarnobiała twarz MacRaya była na górze z prawej

strony. Zranione spojrzenie Claire przylgnęło do zdjęcia.

– A więc – zagaił Frawley. – Zna pani któregoś z pozostałych?

Przyjrzała im się po kolei, zatrzymując na chwilę wzrok na wrednym spojrzeniu i pyszałkowatym uśmiešku Coughlina.

– Nie? – upewnił się Frawley. Wyciągnął z koperty i położył przed nią kolejne zdjęcie. Była to powiększona klatka z filmu nakręconego na weselu przez Gary'ego George'a: ujęcie z boku przedstawiało Kristinę Coughlin w czarnej sukience; siedziała obok w białego w smoking MacRaya przy pustym – pomijając drinki – stole. – A ona?

Oszołomienie we wzroku Claire ustąpiło miejsca wyzywającej pustce. Nie zadała żadnego pytania. Nie pokręciła nawet głową.

Frawley próbował dalej. Położył niewyraźne, podretuszowane, zrobione z ukrycia zdjęcie Fergus Colna – Kwiaciarz miał naciągnięty na głowę ciemny kaptur bluzy sportowej i chyba pokazywał na obiektyw.

– A ten mężczyzna?

Wyteńczyła wzrok, wpatrzyła się w niewyraźną postać, ale od razu zaprzeczyła.

– Była pani kiedyś u MacRaya? – zapytał Frawley.

Pomimo braku odpowiedzi wywnioskował, że

nie.

– Obracał przy pani dużymi kwotami? Mówił coś o kryjówce? Prosił, żeby pani coś dla niego schowała albo przechowała?

Jej milczenie mówiło, że nie.

– Czy kiedyś do czegoś się przed panią przyznał albo jakoś zdradził? W jaki sposób w końcu go pani przejrzała?

Tym razem pod krnąbrnym milczeniem kryło się coś więcej.

– Proszę posłuchać – zaczął Frawley. Sięgnął nad biurkiem i ścisnął jej dłoń dla otuchy. – Rozumiem, że ta sprawa mocno nadwerżyła pani ufność.

Claire spojrzała na jego dłoń i wyciągnęła spod niej swoją.

– Od kiedy pan wie?

Frawley cofnął rękę.

– Od niedawna.

– Czyżby? – mruknęła. – Kiedy przyszedł pan do mnie wtedy... miał pan ze sobą tę samą kopertę.

Frawley wzruszył ramionami.

– Owszem, mogłem mieć jakąś kopertę.

– To miała być... kara?

– Proszę sobie nie żartować.

– Chciał mnie pan upokorzyć? Bo wybrałam jego, a nie pana? To dlatego mi pan nie powiedział?

Frawley pokręcił stanowczo głową – nie

zaprzeczał, przechodził do kontrataku.

– Nic z tego. I proszę na mnie nie patrzeć tak, jakbym to ja panią uwiódł i zdradził. Jakbym to ja się pani kosztem zabawił.

Claire zamilkła i Frawley zrozumiał, że przeholował. Spuścił z tonu.

– Jest pani wzburzona – powiedział. – Czuje się zdradzona. Wszystko to rozumiem. Ale proszę nie odgrywać się na mnie. Chciałem pani pomóc. Może to nic wielkiego, ale miała pani moje wsparcie. Dokonała pani niewłaściwego wyboru. Zdarza się, ludzie popełniają błędy. A teraz już wszystko jest jasne.

Spuściła wzrok – nie patrzyła na zdjęcia ani na niego.

– Teraz musi pani – ciągnął – skierować swój gniew na nich, bo to oni na niego zasłużyli. – Postukał w podkładkę ze zdjęciami. – Z pani pomocą możemy wpakować tych gnojków za kraty na bardzo długo.

Sięgnęła do kieszeni spodni od dresu, wyciągnęła i wręczyła mu wizytówkę. Frawleyowi w pierwszej kolejności wpadła w oko waga – symbol sprawiedliwości nadrukowany w lewym dolnym rogu.

– To moja prawniczka – wyjaśniła Claire. – Jak będzie się chciał pan ze mną jeszcze kiedyś skontaktować, to za jej pośrednictwem.

Położyła nacisk na „jej”. Frawley przeczytał treść wizytówki raz, potem drugi, czując, jak ślina w jego ustach nabiera coraz bardziej gorzkiego smaku.

– Ma pani szczęście – poinformował ją, zbierając powoli zdjęcia z podkładki – Ma pani szczęście, że już pani nie potrzebuję, bo mogłoby się nam tu zrobić bardzo niemiło. – Fotografię MacRaya wziął na końcu; przed schowaniem jej do koperty jeszcze raz zmierzył wzrokiem zadziorną twarz mężczyzny. – Dlaczego nie powiedziałem pani, że przystawia się do pani facet, który panią porwał? Bo chciałem mieć MacRaya na oku. Bo to dochodzenie federalne, a nie do kurwy nędzy zabawa w trzy serca.

– Może pan już wyjść.

– Oto jak się mają sprawy, panno Keesey. MacRay jeszcze do pani wróci.

– Nie wróci...

– A kiedy wróci – wpadł jej w słowo Frawley – a kiedy wróci: z każdego waszego spotkania, z każdej, ale to absolutnie każdej rozmowy, będzie mi pani zdawać relację. Osobiście czy za pośrednictwem tej swojej... prawniczki – pstryknął w wizytówkę – albo wytoczmy pani sprawę karną. I to nie jest pogrożka, tylko obietnica. Prowadzę dochodzenie w sprawie ciężkiego przestępstwa i zatajanie kontaktu z podejrzanym podpada pod paragraf.

Wstał, schował do kieszeni wizytówkę prawniczki, ciągle wkurzony.

– Czuje się pani upokorzona? A co by pani powiedziała na zarzut pomocnictwa w napadzie z bronią w rękę? A może by tak nagłośnić nieco tę całą sprawę? „Romans pracownicy banku i kasiarza” – co pani na to? Lubi panii szmatławce? Chce pani poczytać w którymś o sobie?

Zatrzymał się, rozsuwając drzwi balkonowe.

– Rozumiem, że to boli, ale sama się o to pani prosiła. Nie pomogę pani, jeżeli mi pani na to nie pozwoli. MacRay jeszcze do pani przyjdzie. I kiedy przyjdzie, to pani mi o tym powie.

LINGER

Jakie to uczucie być pod wodą.

Krista nareszcie tam się znalazła. Dołek Szpunta zamienił się w akwarium z cegieł, od stężenia burbona we krwi wyrosły jej skrzela.

Wszystko wolniej. Dźwięki docierały do niej z opóźnieniem, rozciągnięte na tyle, żeby mogła je kontemplować albo puścić z prądem. Życie płynne, rozwlekłe. Sięgnęła do lady i napotkała opór wody, gest wywołał falę. Każdy ruch zaburzał nurt i zostawiał ślad. Skręt głową zmącił równowagę pomieszczenia, wszystko się uniosło, po czym z powrotem osiadło na swoim miejscu, dźwięki docierały z lekkim opóźnieniem. Wszystko tak pięknie przepływało jedno w drugie.

Sama przy barze w środku płynnego wszechświata. I pies cię jebał, pani Joanie Magloan. Joanie – jeszcze niedawno Lawler – zawsze uwielbiała mówić: „I co ty sobie, kurde, wyobrażasz, że będę jedną z tych żonek, co siedzą cały czas w domu?”. To było, zanim pocałowała upstrzonego piegami żabiego księcia Magloana i za sprawą magii zamieniła się w gospochę. Przedwczoraj wieczorem Krista do niej zadzwoniła: Przepraszam, Kris, nie

dam rady. Tak więc dziś Krista nawet nie zwracała sobie głowy. Przekręci do niej jutro – a jak! – i nie omieszka napomknąć, że wybrała się do Szpunta bez niej, rozegra to psychologicznie. Jak sobie pomyśli, co straciła, to następnym razem ruszy dupsko. Krista nie będzie musiała robić za niesparowaną żebraczkę.

Muzyka zawodziła sympatycznie. Dziś nie było Monsinora, więc nie było także Uz – jej Papież, jej wdzięczny Papież. Trzy razy zapał mu kogucik – i to jak wdzięcznie – każde pienie przyprawiło rogi Duggy’emu. Teraz jednak nie mogła się do niego dodzwonić. Zaszył się gdzieś w Zapomnianej Wiosce, tym swoim Watykanie.

Banknot jednodolarowy w kieszeni dzinsów – ostatni. Wił się jej w dłoni jak falujący wodorost. Jej buty dotknęły ziemi, jak stopy pływaczki idącej po kolorowych skałach na dnie podświetlonego w nocy akwarium Szpunta w stronę ściany raf koralowych z cegły, szafa grająca niczym skrzynia skarbów, spod której uchylonego wieka uciekają bąbelki. Trzy bąbelki za dolara. Wcisnęła ten sam kod trzy razy, The Cranberries, Linger.

W drodze powrotnej udała, że ignoruje faceta, który gapił się na nią cały wieczór. No to się napatrz, pomyślała, poruszając się powoli, pozwalając się obejrzeć ze wszystkich stron. W kwestii drinka zawsze można było liczyć na Chlapacza, ale lubiła

wiedzieć, że nie straciła władzy, zwłaszcza teraz, kiedy poczuła, jak ta zaczyna zanikać. Mówi się, że śmierć zaczyna się pierwszego dnia życia twojego dziecka – jeżeli to prawda, to ona zaczęła konać dwadzieścia jeden miesięcy temu.

Dwadzieścia jeden miesięcy – tyle statystycznie wytrzymuje w obiegu jednodolarowy banknot (przypomniała sobie, jak Duggy jej to tłumaczył – pamiętała wszystko, co jej mówił). Pięćdziesiątki i setki wytrzymywały najdłużej.

Pożądamy mnie. Mam wzięcie. Był z niej świeży, porządny banknot, może już nie tak szeleszczący, ale ciągle legalny środek płatniczy. Może już nie setka, ale co najmniej pięćdziesiątka.

Wróciła na stołek, poczekała, aż fale się rozpląną, a wzrok ustabilizuje. Mężczyzna właśnie wstawał. Zgarnął buda za szyjkę i podryfował ku niej, niesiony nurtem.

Pięć dych, jak ulał do twojej kieszeni, palancie.

Poczuła napór chybotliwej fali, kiedy wdrapywał się na wolny stołek po jej prawej stronie. Siedział z rozchylonymi nogami, bezczelny, czekając, aż na niego spojrzy. Dopłynęły do niej jego słowa.

– Żeśmy się sobie trochę poprzyglądali.

– Taaa? – spytała Krista. Ten wyraz wymknął jej się z ust niby miękka bańka. Od razu wiedziała, że nie jest tutejszy. Jego twarz nie wzbudzała zaufania. Konik morski z oczami barakudy.

– I chyba nieźle mi szło – dodał.

– Nie da się ukryć – przytaknęła.

– To twój kawałek?

Potrwało chwilę, zanim zarejestrowała muzykę.

– Mój. Cały i w ogóle.

– Smutny, nie?

Dopiła drinka, patrząc mu w oczy.

– Zależy, jak spojrzeć.

Jakby ją sondował. Czuła się trochę niewyraźnie, ale wytrzymała. Porcja burbona dotarła do jej skrzeli, za chwilę fala zneutralizowała sytuację.

– Pewnej nocy w knajpie – powiedział, nachylając się do niej – pewien koleś zaczepiał damy i opowiadał, że jest sędzią w Konkursie Przytulania i czyby nie chciały spróbować. I zazwyczaj, pewnie w to nie uwierzysz, babki się nabierały, więc się do nich lepił, masował im płecki, włazidupiec. W końcu wkurzyło mnie to i wyprowadziłem łebka na dwór. Powiedziałem mu, że sędziuję w Konkursie Lania Po Ryju.

Krista uśmiechnęła się niesiona falą.

– Gdyby ktoś tak mnie chciał podejść, tobym sama mu dała w pysk.

Wzniósł toast budem, wypił do dna, odstawił pustą butelkę na bar.

– A propos – powiedział. – Jestem tu dziś w jury Konkursu Ruchania.

Szum wody dokoła, prąd powrotny odrywa o tak

późnej porze ciała od baru, Krista uśmiecha się, oblizuje wargi. No dobra, cwaniaczku.

– A może byś mi tak postawił drinka?

Wyciągnął z kieszeni dwudziestkę i położył ją na barze wizerunkiem Jacksona do góry.

I o to chodzi, pomyślała. Czas popłynąć.

Zamówił dwie porcje tego, co piła wcześniej; miała nadzieję, że nie zauważył znaczącego mrugnięcia, które posłał jej Chlapacz. Koleś nawijał i był niczego sobie. Przystojniaczek, choć nie w jej typie. Duggy był w jej typie. Ten był kolejnym z długiej listy nieDuggych.

Czy on wspominał coś o dzieciach?

– Mam córkę.

To dało mu pretekst, żeby ponownie zmierzyć ją wzrokiem.

– I ty ją urodziłaś? – zapytał. – Sama?

– Dwadzieścia jeden miesięcy temu.

Gryzło ją tylko trochę, że nie sprawdził, czy ma obrączkę. Ze niby co, nie dam rady złapać męża?

Na samym początku wspomniał swoje imię. Wyleciało jej z głowy, bo nie brzmiało „Doug”. Miał kształtne, silne dłonie. Kształtne, silne dłonie zamówiły dwa kolejne drinki.

Powiedział coś o cenach nieruchomości w Town.

– Mieszkam na swoim – wyjaśniła.

– Masz własne mieszkanie?

– Własny dom – poprawiła go, a niedowierzanie

w jego głosie zarazem irytowało ją i jej schlebiało. – Trójkładowiec. Odziedziczyłam po matce.

– Wow. Tylko ty?

– Zgadza się. – Bez skrupułów, i nie bez satysfakcji, wydziedziczyła brata.

– Muszę zadać to pytanie. Kobieta z własnym domem. Siedzi tak sobie na tyłeczku, reszta stołków zielenieje z zazdrości. Co ty tu robisz taka samotna w weekend?

Kiwnęła enigmatycznie głową, jakby знаła odpowiedź, ale nie zamierzała się nią podzielić.

– Moczę stopy – wyjaśniła, falując drinkiem. – Dryfuję z prądem.

Znowu przypił do niej.

– Pomyślnych wiatrów.

– A ty mieszkasz w porcie, tak?

– To widać?

– Zawsze. I co tu porabiasz? Zwiedzasz?

– Jakbyś zgadła.

– Szukasz taniej sztuki? Pikantnej zakąski z Town?

– Jestem tu raczej służbowo.

– Służbowo? A, bym zapomniała. Konkurs Ruchania.

– Mniej więcej. Jestem z FBI.

Odrzuciła głowę roześmiana, coraz bardziej jej się podobał.

– Od miesiąca tak się nie uśmiełam.

– Naprawdę?
– Równiacha z ciebie. Co nie znaczy, że dam ci się zabrać na chatę, nic z tych rzeczy. Nie myśl, że będziesz mnie posuwał na balkonie, zachwyconą widokami.

– Nie mam balkonu.

– Nie? Szkoda.

– Siedzę w wynajętej norze i za sześć tygodni idę na bruk. Wypijmy, Krista. Wypijmy za bezbalkonowca.

– Czemu nie. – Chyba musiała mu się przedstawić, kiedy...

– Nie widzę dziś twojego brata.

– Mojego brata? – Kim jest ten fagas? – Znasz Jema?

– Wpadamy na siebie co jakiś czas.

Myślała, że nie jest z Town.

– Miałam cię za gościa z klasą.

– Kręciłaś swego czasu z Dougiem MacRayem, prawda? Teraz wlepiła w niego wzrok.

– Skąd znasz Duggy'ego?

– Można powiedzieć, że razem pracujemy.

– Aha – skomentowała, czując, że ją testuje. – W rozbiórkach.

Błysk rozbawienia we wzroku typka.

– Nie, nie.

Sytuacja się zmieniła. Temperatura wody spadła o parę stopni. Krista spięła się odruchowo, jak

zawsze przy obcych.

Facet wyciągnął jedną dwudziestkę, potem drugą, trzecią, czwartą, piątą, i ułożył je na sobie na blacie baru.

– Jesteś dobra w ocenie rozmiaru?

– Zależy – odparła. – Rozmiaru czego?

Podniósł jeden z banknotów.

– Jaki jest długi twoim zdaniem?

– Jeżeli to jakaś gra salonowa, to ja się...

– Ile ma? Sześć cali? Tak na oko. Więcej czy mniej? Zmrużyła oczy.

– Mniej. r

– Nie. Sześć i czternaście setnych cala. A teraz w drugą stronę.

– Zaczynasz dziwaczyć.

– Szerokość. Zdaniem niektórych jest ważniejsza. Strzelaj.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Dwa i sześćdziesiąt jeden setnych cala. Wiem wszystko o pieniądzach. Grubość banknotu? Czterdzieści trzy dziesięciotysięczne cala. Tu nie ma się czym podniecać. Ciężar? Około jednego grama. Z czego wynika, że taka dwudziestka jest prawie warta swojej wagi w, dajmy na to, kurzu.

Wlepiała w niego wzrok. On w nią. Martwa cisza na morzu.

– No to jak to się odbywa? – zapytał. – Ktoś dzwoni do barmana, ten podaje ci adres? Odbierasz

przesyłkę w punkcie A, dostarczasz do punktu B, a Kwiaciarz płaci ci za to w punkcie C? Zgadza się? ABC – prosta sprawa.

Woda zaczyna ściekać, ktoś wyciągnął korek, z odpływu dochodzi paskudny odgłos zasysania.

– Chodzi ci teraz po głowie, żeby mi się ulotnić – powiedział. – Tylko że widzisz, to nie takie proste. Jak zacznę pobłyskiwać tutaj tą złotą odznaką – otworzył ją i położył na chwilę obok dwudziestek – to pojawi się mnóstwo pytań do ciebie. Więc może zrobmy tak. Postawię ci kolejnego drinka, po czym udamy się we dwoje w drugi koniec sali, na stronę, i utniemy sobie pogawędkę.

Drzwi były blisko, ale po wydeptanych gumowych schodkach długo by się wchodziło, a ona nie odzyskała jeszcze władzy w nogach. Nie zrób nic głupiego.

– Nie chcę już drinka.

Wziął ją za rękę, ścisnął, nachylił się. Federalny błysk w uśmiechniętym spojrzeniu.

– Zgoda. To załatwimy sprawę tutaj, tu też będzie nam miło i przytulnie. Jak parze kochanków. – Wcisnął jej w dłoń pięć zmiętych dwudziestek jak kupkę śmieci. – Płacę ci teraz stówę, żebyś dostarczyła mi przesyłkę. A ta przesyłka to informacja.

Nie musiała się rozglądać, żeby sprawdzić, czy ktoś ich słyszy, gdy zaraz każe temu kutasowi spadać

na drzewo.

– Nie wiem...

– Nic nie wiesz, jasne. Rozumiem. Jest tylko jeden problem. Ja wiem, że coś wiesz, okay? ABC. Pójdzie gładko: raz, dwa, trzy. Ja, ty, my.

Tak zimno, kiedy woda odpłynie. Kiedy suche powietrze osacza cię jak sumienie. Zerknęła w stronę Chlapacza, szukając pomocy, ale już go nie było.

– Nie jestem wcale takim kutasem, jasne? – powiedział facet, ściskając jej dłoń z pieniędzmi. Wilgotna woń wody kolońskiej. – Masz szczęście, bo nie jestem z tych gliniarzy, którzy skaczą ci na głowę buciorami, grożą, że odbiorą córkę, snują opowieści o rodzinach zastępczych i tym paskudnym ponurym gównie. To nie w moim stylu.

Umysł jej dygotał.

– I nawet mnie nie obchodzi, że kurierowałaś dla Fergiego. Handel narkotykami, wymuszanie okupu, współudział – jesteś płotką. Dziewczynką na posyłki. Ale porządna miotła wszystko zbiera, a ja zasuвам tu na miotle jak się patrzy. Na miotle podgrzanej, kurwa, dynamitem. Nie chcę cię tam wysyłać na podsłuchu. Nie chcę cię w ten sposób wykorzystać, stawiać cię w sytuacji zagrożenia. Chcę przez to przebrnąć na pełnym pozytywie. Ile masz samochodów, Krista?

– Ja? – Jego twarz była na odległość splunięcia.
– Żadnego.

– Siedem. Jesteś właścicielką siedmiu samochodów. Nie zapłaciłaś za żaden z nich, ale wszystkie są zarejestrowane na ciebie. Doug MacRay i twój brat się tym zajęli, zadbali

488 o swoje interesy. Widziałaś kiedyś corvette Douga, tę zieloną? Podoba ci się? Jest twoja, Krista. W sensie prawnym. Dał ci kiedyś coś do podpisania, wysłał cię do urzędu, zgadza się? Jak Dougowi się coś przytrafi – auto nie zostanie włączone w poczet zasądzonej grzywny, zadośćuczynienia za, dajmy na to, napad na bank. I założę się, że nie masz nawet pojęcia, gdzie je trzyma.

Nic nie mów. Nic po sobie nie pokazuj.

– A ty tymczasem kurierujesz za psie pieniądze. Psie pieniądze. Dla córki, prawda? Oczywiście. Ale żeby prowadzić takie życie. Czy masz w ogóle pojęcie, ile szmalu zgarnęli po tej akcji w kinie? I nie da się namierzyć nawet centa. Wszystko do natychmiastowej konsumpcji.

– Nie wiem, o czym...

– Mówię, jasne. Jesteś lojalna, oczywiście, że jesteś. Rodzina. Tylko że teraz posłuchaj. Oni wszyscy idą siedzieć. i to bardzo niedługo – to pewne. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Sprawiasz wrażenie pragmatycznej dziewczynki, zaradnej. Musiałaś brać pod uwagę nadejście tego dnia. Oni do pierdla – a ty? Nie chcesz zostać z ręką w nocniku. Samochody są na ciebie – wszystko

pięknie i ładnie, bezpieczna zagrywka. Ale zaczekaj. Twój dom. Tak się składa, że twój brat jest współwłaścicielem. Wiem o tym. I to ci zabierzemy, jego połowę domu. A jeżeli nie zaczniesz ze mną tu pragmatycznie współpracować, to w rzeczy samej może ci się oberwać za współudział – oprócz zarzutów o narkotyki – a w takim wypadku kładziemy łapę na wszystkim, a ty się wprowadzasz do nowego domu, zwanego zakładem karnym Framigham. A twoja córeczka? – Frawley pokręcił głową. – Ale to wersja pesymistyczna. To wszystko gdybanie. A ja nie chcę tu nawet rozmawiać o tym, co by było gdyby. To strata czasu, kiedy mamy tyle okoliczności, które przemawiają na twoją korzyść. Po pierwsze, twój dom, który musimy ocalić. Wiesz, ile jest teraz wart na rynku taki wolno stojący dom na Pearl Street? Gotowy do odrestaurowania trójpokładowiec w Charlestown? Masz w łapie niezły kawałek dolara – i to legalnego – a mimo to siedzisz i czekasz na sygnał do przerwania kurzu, podwalasz się do obcych facetów, żeby postawili ci drinka. Sprzedaż domu ustawiłaby i ciebie, i twoją córeczkę. Ale żeby do tego doszło, musimy podjąć współpracę – ty i ja. Muszę mieć dobry powód, żeby zatroszczyć się o twój interes.

Kiedy wody nie ma, zostaje tylko smród. Zatęchła pustka.

– Gówna prawda, chcesz mnie nastraszyć. Chcę

prawnika.

– Dobrze. Znajdź sobie prawnika. Tu przecież chodzi o ochronę interesów. I to nawet nie twoich – twojej córki. Zastanów się, Krista.

– Jej do tego nie mieszaj.

– Nie mogę jej nie mieszać, tak jak i ty nie możesz. Rolują cię od lat. Trzymali cię na smyczy – i po co? Żeby cię przystopować. Żebyś zawsze była od nich zależna, jak narkomanka zdana na czyjąś dobrą wolę. Żeby cię mieć pod ręką. Kiedy powinni byli sowicie ci wynagrodzić to, jak lojalnie strzeżesz dla nich tych wszystkich tajemnic. – Nachylił się, żeby spojrzeć jej w oczy. – A twój brat? Hej. Przecież tak naprawdę to nawet nie chodzi mi o niego.

– Nie?

Wychwycił błysk w jej spojrzeniu. Przyjrzał mu się, nasycił się nim.

– Chyba że chcesz, żebym się nim zajął.

Duggy. Chciał się dobrać do Duggy'ego.

– A z tym MacRayem – mówił dalej człowiek z FBI – to od jak dawna już się zadajesz?

Jego nazwisko w ustach feda było jak wiadomość o śmierci Duggyego; serce jej się ścisnęło.

– Ile musiałaś się za nim nachodzić i nażebrać? A jeżeli nawet do mnie to dotarło, to całe Town musi o tym wiedzieć.

Położyła łokieć na barze, złapała i wykręciła

sobie garść włosów.

– Ten rzewny kawałek – powiedział, pokazując na szafę grającą. – Będiesz go słuchać w kółko do końca życia?

Idź do domu i opowiedz o tym facecie Duggy'emu. Prosto do niego. Będzie taki wdzięczny.

– Jeszcze jedno pytanie. Jak długo z nim byłaś?

Nos Kristy prawie dotykał blatu.

– Całe życie.

– To pozwól, że cię zapytam: przez te wszystkie lata, kiedy byliście razem, ile ci kupił brylantowych naszyjników u Tiffanyego?

Powietrze bez grama wody, głośnie kapanie suchego świata.

– O czym ty gadasz, jakie znowu brylantowe naszyjniki?

Facet z FBI zaproponował:

– Odpowiedz na moje pytanie, a ja odpowiem na twoje.

LIST OD MACA

Czerwiec 1996

Hej Mały!

Ale żeś sie zdziwił. Znależć to z moim pismem i adresem Walpole w skszynce. Żebym mógł widzieć twoją minę. I czego tam znowu chce stary pierdziel? Nie pisze żeby cie o coś prosić. To nie w moim stylu. Nigdy w życiu żem o nic nikogo nie prosił. Com chciał, tom sobie brał, a jak było trza tom brał sprawy we własne rence. I wiem, Duggy, żeś taki sam.

Nie pisze za często i wiem, żem nigdy wcześniej do ciebie nie pisał. Ale ciężko cie tu ściongnąć a po ostatnim razie czułem, że żeśmy nie skończyli. Jak jest czas na spotkanie, to tyle jest spraw do omuwienia że się nie zdąża powiedzieć wszystkiego. Tyle mi się kłębmi w głowie. A potem zaraz cie nie ma i kolejny rok tylko sobie myślę co u ciebie.

Jak wyjdę to nie dam rady naprawić tego, com ci winien. Jesteś facetem i zrozumiesz. Błendy się naprawia z x dłużej niż robi. Dlatego nie można rozpamientywać. OK można rozpamientywać, ale nie można odkrencić. Czeba iść do przodu.

O domie twojej matki. Poznałem twoją matkę koło pomnika w listopadzie 63ego. Kennedy dopiero co zginął – strzał w głowę – i całe miasto było w żałobie i Coffy i ja i cała reszta żeśmy mieli dosyć ślimaczenia i żeśmy poszli szukać guza. Żeśmy się szwendali pszy schodkach i naraz wychodzi pszewodniczka – taka mała pszewodniczka z rudymi włosami – była młodsza ale nas spizgała jak dzieciaki. Krongłości gdzie trza, czarna opaska na mundurku i nas zaczyna opitalać, a potem nagle beczy przez Kennedy ego. Żeśmy mieli ubaw ale następnego dnia żeśmy pszyszedł już sam. Posłuchałem jej wykładu dla turystów i mnie zobaczyła. Na plakietce pisało Pam. Żeśmy tam wracał 6 dni z rzędu, i dopiero się wtedy uśmiechnęła. Nie wiem co we mnie widziała. Nie wiedziałem, o co mi chodzi, oprócz tego, żeby ją zabrać na randkę. Jednego wieczoru wymkła się bez koleżanek i poszliśmy na kręgle.

Żeśmy się musieli ożenić Duggy. Jej starzy wiedzieli że nie miałem żadnej przyszłości. Mniej niż zero i nigdy mnie nie lubili ale ją zawsze kochali. Dali nam pierwszą rate na dom w Sackville, kiedyś ty nam się pojawił. Ale ja zawszem płacił każdemu rate. Dom był mój.

Tamtego dnia cośmy grali w kręgle jej

obiecałem że nigdy więcej nie będzie pszeze mnie płakać i tyśionc razy złamałem obietnice. Robiła różne rzeczy żeby zrobić mi na złość. Dużo mnie nie było i za często zostawiała cie u swojej matki. \$\$ co jej dawałem na jedzenie wynosiła na ulice. Pszegoniłem całe jej towarzystwo hipisów ale potem i tak to robiła tylko że sama.

Nie mówię ci tego bo ze mnie huj. Muwie ci to bo nie jestem huj.

Nie robiła tego naumyślnie. W latach 60ych modne było próbować nowych rzeczy i chodzić po ksienżycu i mieć otwarty umysł. Tylko że jej umysł zrobił się za otwarty. Kiedyś wruciłem do domu i żeś spał przed TV a ona była w łazience ze strzykawką. Żem cie z miejsca zabrał do sonsiadów. Jak żeś sie rano zbudził i zaczołeś o nią wypytywać to co miałem powiedzieć? Co można powiedzieć 6latkowi. Twoja matka nas zostawiła. Sobie poszła. I chyba już nie wruci.

Chciałeś jej szukać tośmy jej szukali. Jej rodzice urządzili cichy pogrzeb ale ja cie zabrałem po okolicy szukać jej aż żeś tak płakał, żeś nie mógł chodzić. Zobaczyłeś taki jeden program o zaginionym psie i chciałeś wywieszać plakaty z numerem telefonu, to i żeśmy wywiesili plakaty. Żeś chciał żeby sie paliło

światło na ganku dla niej, to i co miesiąc żem zmieniał żarufkę. Żeś nie mógł zasnąć jak żeś nie widział światła z łóżka.

Powiedziałem, że sobie poszła i nikt z Town nie mógł powiedzieć co innego. Moja prawda była najprawdziwszejša. Ale żem sie nie spodziewał, że zrobi sie z niej taka wielka sprawa a ja zamiast Tatom bende dla ciebie nikim. Wiele żeś sam osiognoł. To ci przyznam. Zawsze cie w tobie widzę. Ale robiłem co mogłem. Nauczyłem cie wszystko co umiałem.

Tak czy siak niedługo wychodzę. Znowu bedzie nas dwuch. Żeś sie popszytykał z Jemem ale tszeba to wyprostować. Tszeba nam lojalności. Tego sie nie kupi.

Może zawsze o niej wiedziałeś albo domyślałeś sie albo nie chciałeś pytać. Jak nie bendziesz chciał o tym wiencej gadać to nie ma sprawy.

To najdłuższy list com w życiu napisał.

Przy okazji. Stary wuj G. mnie odwiedził. Ale do niego nie wyszedłem.

Nie wiem jak to skończyć Duggy. Nie wiem nawet czy to wyśle.

Mac

PS. Twoja matka nigdy nie wróciła Duggy. Ja wracam.

URODZINY

Doug jechał powoli alejką między zadbanymi domkami, sprawdzał adresy, dotarł do rzędu zaparkowanych aut i nadmuchiwanego zamku na podjeździe. Balon zamku podrygiwał i trzął się niczym żołądek pełen wydzierających się, niestrawnych dzieci. Doug zwolnił przy srebrzystej skrzynce na listy udekorowanej balonikami urodzinowymi. Numer domu się zgadzał.

Zaparkował na końcu rzędu samochodów i wysiadł z caprice. Dom był w stylu gray Cape, dzieciaki ganiały się po ogródku z pistoletami na wodę, rodzice gawędzili na podjeździe. Doug miał już wsiąść z powrotem do swojego samochodu, kiedy zobaczył Franka G., który odłączył się od grupki nieopodal zasilacza zamku i do niego zamachał. Frank – w koszuli z kołnierzem i krótkimi rękawami, długich szortach i converse'ach – szedł podjazdem, żeby się z nim przywitać.

– Znalazłeś nas.

Doug zdjął okulary przeciwsłoneczne i przyjrzał się imprezie.

– Frank, stary, trzeba było mnie uprzedzić.

– Mówiłeś, że to zajmie tylko chwilę, nie?

Chodź.

Frank poprowadził go obok rozwrzeszczanego zamku do otwartego garażu pełnego krzesłek i rozkładanych stolików z jedzeniem. Bliźniaczki w okularach z różowymi oprawkami do kompletu siedziały obok siebie na trawniku, wsuwały roztopiające się kawałki ciasta z lodami, obok wylądowali trzej plastikowi żołnierze wyrzuceni z okna sypialni, za nimi wszedł w korkociąg samolot z balsy. Potem minął ich chłopczyk z ręką na niebieskim temblaku, posyłając im obu w brzuch serię z zielonego pistoletu na wodę i salwę śmiechu:

– Ha, ha, wujku Frank!

Frank wyciągnął z kieszeni pasteloworóżową spluwę i wygarnął do piszczącego malucha, który czmychnął zygzakiem jak na filmie wojennym, aż mężczyźnie skończyła się woda.

– Do środka – powiedział. – Muszę przeładować.

Zrobił to nad zlewem w kuchni pełnej kobiet zawijających porcje ziti, lazanii i zimnych mięs na wynos. Prowadzony przez Franka Doug minął w korytarzu dwóch ojców rozmawiających o pracy, kobietę przemawiającą pieszczotliwie do niemowlęcia w trakcie zmiany pieluchy na podłodze w pokoju stołowym: w pokoju dziennym leciała transmisja z meczu Soksów. Zamieszanie na piętrze skłoniło Franka do zmiany trasy. Skręcili w boczne drzwiczki i zeszli po drewnianych schodkach do

chłodnej piwnicy.

Pomieszczenie było w połowie wykończone, na wyłożonych boazerią ścianach wisiały plakaty z Michaelem Jordanem, Rayem Bourque i Mo Vaugh. Wszędzie walały się piłki Koosh, ze starych pudeł UHaul wysypywały się akcesoria sportowe, z tyłu prezentował się tor wyścigowy o wymyślnej konstrukcji. Na środku lampa do bilardu oświetlała stół do air hockeya.

– Co tam słyhać? – zapytał Frank.

Doug wzruszył ramionami. Przyjęcie urodzinowe pokrzyżowało mu szyki, nie wiedział, od czego zacząć.

– A u ciebie?

– U mnie? – Frank przeszedł na drugą stronę stołowego lodowiska. – Dużo lepiej. Poprzednim razem źle trafiłeś. Dałem się gościowi sprowokować, nie wiem właściwie, jak do tego doszło. Nie wszyscy są tacy. Ja w każdym razie taki nie jestem.

– To dobrze. Dobrze to słyheć. – Doug grał na czas; zakłopotany, jakby przyszedł prosić o pieniądze.

Frank włączył stół, dysze wypchnęły powietrze przez otwory w pulpicie.

– Chodzę na mityngi, byłem już na paru. – Krażek zadygotał, dysk z czerwonego plastiku przesunął się na bok jakby niesiony niewidzialną dłonią. Frank popchnął go z powrotem na drugą

stronę – odruchowo, to nie było zaproszenie do rozgrywki. – A u ciebie?

Doug przebiegł energicznie dłonią po przyciętych włosach.

– Mityngi? Ja nie. Ostatni raz przed naszą rozmową.

Nad głowami przebiegło im stado słońi.

– Niedobrze – skomentował Frank. – Masz wypisane na twarzy załamanie, to widać. Dobrze, że dałeś mi sygnał. Posłuchaj, ona nie jest tego warta.

– Kto? Niewarta czego?

– Tego drinka, którego jeszcze nie wypiliśmy. Ta twoja dziewczyna nie jest tego warta.

– Nie, Frank...

– „Chyba kogoś poznałem...”. Pamiętasz? – Frank mocniej popchnął teraz cienki krążek, który odbił się z kliknięciem od bandy, chybcząc się na gładkiej powierzchni. – Gdy mi pierwszy raz o niej opowiadałeś – wiedziałem. Doug, ta dziewczyna to twoja choroba.

Doug rozłożył ręce. r

– Frank – choć nigdy wcześniej ci tego nie powiedziałem – nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Ta dziewczyna... jeżeli już, to jest moją trzeźwością.

– A teraz jej nie ma.

– Nie ma – przyznał Doug.

– A ciebie suszy. Masz to wypisane na twarzy.

Ale jeżeli uda ci się ją odzyskać, to będzie lekarstwo na wszystko, zgadza się?

– Frank, słuchaj. Ta druga, moja poprzednia dziewczyna – ona jest moim alkoholizmem. Jak zły, kurwa, duch torpeduje wszystkie moje próby wyjścia na prostą. Ale ta dziewczyna – nie. Jest dla mnie za dobra. Jest...

– Wszystkim, czego pragniesz – i nieosiągalna. Pokładasz wszystkie nadzieje w kimś, kto nie może być z tobą – zgadza się? Jest za dobra. Ty w ogóle słyszysz, jak to brzmi? Sam sobie wmówiłeś tę nieosiągalność.

– To nie tak.

– Może od samego początku tak to sobie wykoncypowałeś. Długi, powolny wślizg w powrót do picia, ona jako pretekst. Tyle wali mi się na głowę, kto by się nie złamał? – Dysk zaklekotał w bramce jak moneta wpadająca do skarbonki. – To jest właśnie ta parszywa zmora, z którą musisz walczyć. To twój demon.

Doug chodził z rękami założonymi za głowę.

– Kiedy to się tak skomplikowało? – zapytał. – Przecież to tylko piwo. Albo się je pije, albo nie.

– Tak było kiedyś – odparł Frank, wyłączył stół i wyszedł z za niego. – Spójrz prawdzie w oczy, Doug. Musisz zezreć to, co cię zżera. Nie zapijesz tego. Już próbowałeś. Nie poskutkowało.

Doug zastanowił się, jak by smakowało to, co go

zżera.

Drzwi otworzyły się i mimo imprezowych hałasów dobiegł ich głos kobiety:

– Frank?

– Jestem na dole, kotku.

Letnie sandały z odsłoniętymi palcami zatrzymały się dwa schodki niżej

– Steve i Pauline właśnie wyszli, nie mogli cię znaleźć.

– Wącham klej z kumplem. Zaczekaj.

Frank podreptał po schodkach, chwilę poszeptali. Sandały poczłapały, Frank za nimi.

– Nancy Geary – przedstawiła się kobieta, wyciągając małą dłoń, jej uścisk był szybki i konkretny – nie nieprzyjazny, ale też bez obłudnej słodyczy. Doug był gościem w jej domu, więc się z nim witała.

– Masz piękny dom – powiedział Doug, bo tak wypadło i była to prawda.

Była małą, twardą kobietą z Town.

– Miałeś okazję się czymś poczęstować?

– Nie ma mnie na liście gości. Frank nie powiedział mi, że macie... – Wskazał dłonią tumult na górze.

– Weź sobie parę kanapek do domu, dobrze?

– Chętnie. Dziękuję.

Zbierała się do powrotu. Pewnie nigdy nie była piękna, ale niczego jej nie brakowało, jej uroda nie

zależała od makijażu. Nie pragnęła zrobić na kimś wrażenia, miała dom, rodzinę i przyjęcie urodzinowe, którego musiała dopilnować.

Drzwi się za nią zamknęły i Doug spojrział na Franka.

– Po to mnie tu zaprosiłeś? – spytał. – Żeby zobaczyć dom, żonę, dzieci.

– To nie jest nieosiągalne. Trzeba tylko mieć fart. Doug, ta dziewczyna – ludzie się schodzą i rozchodzą. Z rozmaitych powodów. Takie jest życie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Doug pokręcił głową: Frank tak bardzo się mylił.

– Jeszcze jak ma.

Frank mu się przyjrzał.

– To dlatego odsuwasz się od przyjaciół?

Doug poczuł znajome dławienie.

– Nie, to zupełnie inna sprawa.

– Tak mówisz.

– Frank, słuchaj, jestem zdecydowany. Nic tu po mnie. Tak ustawiam sprawę, żeby spalić za sobą mosty. Ale najpierw... najpierw mam jeszcze coś do załatwienia.

– Nie podoba mi się, jak to zabrzmiało. Jakbyś ratował ich na siłę.

– Nie o to chodzi. Naprawdę. Chodzi o to, żeby wiedzieć, co z nimi będzie po moim zniknięciu, o to, żeby dać im jeszcze jedną szansę.

– Szansę na co?

Doug wzruszył ramionami.

– Chyba na życie.

– Naprawdę tak uważasz? Myślisz, że to tylko dzięki tobie dawali sobie radę przez te wszystkie lata? Pan etatowy abstynentkierowca?

Doug zastanowił się.

– Zgadza się. Właśnie tak.

Weszli razem po schodach. Frank złapał za ramię rozpędzonego chłopca, kiedy ten mijał ich, wymachując plastikowym mieczem.

– Mikey, gdzie Kev?

– Tu jestem, tato. – Z drzwi do kuchni wyjrzał niższy, jasnowłosy chłopiec trzymający kij hokejowy z wielką niebieską kokardą.

– Chodź no tu, Roscoe – polecił Frank, prowadząc chłopców do jadalni obok wielkiej tacy z okruchami. Frank stanął z jedną dłonią na ramieniu rycerza i drugą na blond włosach niższego chłopca. – Michael, Kevin, to jest ten pan, o którym wam opowiadałem. Doug MacRay.

Doug spojrzał na Franka; choć zaskoczony, zaczynał rozumieć. Frank G. zawsze miał jego numer.

– Ten człowiek najszybciej jeździ na łyżwach do tyłu, w życiu czegoś takiego nie widziałem, nawet wśród zawodowców – wyjaśnił Frank.

Doug stał przed chłopcami i miał poczucie, jakby to on był dzieckiem, a oni byli dorośli.

– Kev skończył dzisiaj siedem lat – oznajmił Frank, mierzwiąc chłopcu włosy, a duma i miłość rozchodziły się od niego fałami.

– Wczoraj – poprawił go Kevin.

– Zgadza się. Przepraszam. Urodziny wczoraj, przyjęcie dziś.

Brazowowłosy Michael spojrział na Douga rzeczowymi oczami matki.

– Byłeś w składzie Bruinsów?

– Tak – bąknął Doug.

Zmierzyli go wzrokiem, obcego w ich jadalni, była gwiazdę hokeja, z niewiadomych przyczyn znajomego ich ojca.

Kevin, solenizant, wzruszył ramionami.

– No i czemu już nie jesteś?

Doug kiwnął głową, nie potrafił się zdobyć, żeby spojrzeć w ich dziecięce oczy, wydusił tylko:

– Zawaliłem sprawę.

OSTATNIE ŚNIADANIE

Śniadanie w domu matki, bez śniadania. Od kilku dni nic nie jadł i wydawało mu się, że już nigdy nie zje.

Moja matka to dom.

Po co tu teraz przyszedł? Żeby ją opłakiwać? Czyż nie przychodził tu zawsze, żeby ją opłakiwać?

Moja matka nie żyje.

Nie. Zawsze przychodził tu opłakiwać siebie. Siebie, sierotę.

Musiał pożegnać się z fantazjowaniem o jej brawurowej ucieczce z Town pod osłoną nocy, o tym, jak uwalnia się od jego ojca i zaczyna nowe, szczęśliwe życie gdzieś w szerokim świecie, przez cały czas hołubiąc w sercu tęsknotę za synem, którego zmuszona była porzucić.

Te wszystkie kąpiele w porcelanowej wannie, z której wychodził bosy, rozdygotany, ociekając wodnymi łzami na kafelki, na których dokonała żywota.

Chciał uwierzyć w jej chorobę, w jej cierpienie. Jej heroiczną, sugestywną agonię. Wszystko, było nie ten banał z ćpunką w locie na oślep ku samozagładzie.

Tej nocy śniło mu się, że przy jednokierunkowych ulicach Town stoją nie domy, lecz głowy, olbrzymie, ogorzałe twarze starych matek, które mówią do niego, kiedy pędzi do pustej działki przy Sackville Street, a usta po obu stronach cmokają z dezaprobatą.

Town strzegło swoich tajemnic, hołubiło je jak swoje dzieci. Na myśl o tym poczuł irracjonalną falę paniki – Krista, Shyne – którą zaraz stłumił.

Doug nie zauważył, jak mężczyzna wychodzi z domu. Był tak pogrążony w myślach, że zobaczył właściciela mieszkania na parterze dopiero, kiedy ten podchodził już z kluczami w dłoni do swojego czerwonego saaba. Ciemne włosy, zapięta marynarka, krawat, mokasyny. Na widok Douga mężczyzna zwolnił, a Doug nie potrafił nawet wykrzesać z siebie tyle energii, żeby udać, że robi co innego, niż robi: siedzi oparty o niski murek z cegieł i obserwuje jego dom.

Mężczyzna wrzucił aktówkę na tylne siedzenie, potem zamknął drzwiczki, rozważając, czy podejść do Douga i coś mu powiedzieć.

– Hej. – Mężczyzna podjął decyzję, przechodząc powoli przez jednokierunkową ulicę. – Zauważyłem, że niekiedy siedzisz tu rano. Praktycznie każdego ranka.

– Tak? – odparł Doug bez ikry, bez pomysłu. – Czekam na kogoś.

Mężczyzna kiwnął głową i zatrzymał się przy przednim zderzaku caprice.

– Często cię tu widzimy... znaczy widzę. – Zerknął na dom. – Wygląda, jakbyś obserwował nasz dom. Chyba że...

– Dawno temu tu mieszkałem – wyjaśnił Doug, zaskoczony swoją szczerością, podszytą zmęczeniem. – To wszystko.

– Aha. – Mężczyzna nadal był zdezorientowany.

– Nie martw się, wszystko gra – dodał Doug. – Już więcej tu nie przyjdę.

Mężczyzna kiwnął głową, układając odpowiedź, potem odwrócił się i ruszył do samochodu. Zatrzymał się, coś go gryzło.

– A może... chciałbyś wejść? Nie wiem, ostatni raz zobaczyć, jak wygląda?

Doug nie spodziewał się, że mężczyzna tak porządnie się zachowa. Zobaczył teraz panią domu, która spoglądała na nich zza zasłony w salonie. Wyobraził sobie ich razem, parę nieufnych japiszonów przyglądających się, jak stukilowy bamber z Town rozckliwia im się w łazience.

Propozycja była kusząca, ale dom był jego matką, a jego matka już od dawna nie żyła.

– Macie córeczkę, prawda? – ni to spytał, ni stwierdził.

– Mamy – przytaknął mężczyzna, z początku rozpromieniony, potem podejrzliwy.

– Śpi w narożnym pokoju?

Mężczyzna spojrział na okno z wyblakłym wspomnieniem po nalepce wskazującej strażakom położenie sypialni dziecka – nie wiedział, jak i czy w ogóle odpowiedzieć.

– Te zasłonki z delfinami – Doug wskazał, o czym mówi – trzeba co noc zaciągać. Jak przejeżdża samochód, to światła odbijają się na suficie i wyglądają jak przelatujące duchy. Mogą wystraszyć małą.

Mężczyzna przytaknął z rozdziawionymi ustami.

– Na pewno się tym zajmę.

Doug wsiadł do caprice i ruszył stromym spadkiem.

Pukanie do drzwi zaskoczyło Kristę, była w koszulce na ramiączkach, nylonowych legginsach i kapciach z Tweetym. Wyprostowała się na widok Douga, zerkając mu za plecy, jakby spodziewała się, że będzie miał towarzystwo.

– Co jest?

Doug wzruszył ramionami, sam nie do końca pewny.

– Właściwie to nic.

Odsunęła się i wszedł. Uwięziona na lepkim krzeselku w salonie Shyne rozdzielała nić sera na białe witki. W popielniczce na stole dopalał się zgnieciony pet.

– Coś bym zjadł – przyznał Doug.

Krista zniknęła w kuchni i Doug opadł na krzesło przy stole, wycieńczony o dziewiątej rano. Popatrzył na uwijające się wokół sera paluszki Shyne, tępą koncentrację w jej blisko osadzonych oczach, płaską linię rozchylonych ust. Szum kuchenki mikrofalowej trwał około minuty, potem urwał się po piknięciu.

– Zwijam się – rzucił w stronę kuchni.

Cisza, potem znowu usłyszał szuranie kapci Kristy, otwieranie i zamykanie kuchenki.

– Coś się dzieje?

Doug pokręcił głową, mimo że go nie widziała.

– Nic ponad to, co zawsze.

Otwieranie szuflady, pobrzękiwanie sztućców.

– Chodzi o tę nagonkę w Town? – Wracała już do pokoju.

Wkurzył go jej poziom wtajemniczenia. Jem za dużo jej wypaplał.

– Co o tym wiesz?

Postawiła przed nim talerz z parującym kurczakiem a la king, nóż i widelec. Gęsty kremowy sos z kawałkami białego mięsa. Nie trzeba było wiele, żeby uznał posiłek za królewskie danie.

Krista podniosła z tacki Shyne nitkę sera i pomachała nią przed buzią córki, jak ptak karmiący młode białą glistą. Kiedy Shyne się nie skusiła, Krista spróbowała wcisnąć ser małej między wargi – upadł z powrotem na tacę.

Poddała się i usiadła naprzeciwko Douga, podwijając nogę pod siebie.

– Kiedy wracasz?

Dzieliła ich unosząca się z talerza para. Doug pokręcił głową.

Przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

– Chodzi o ten kwas między tobą i Jemem?

Shyne za jej plecami prawie wyartykułowała wtedy to słowo, zabrzmiało jak Szemmmem.

– W pewnym sensie – mruknął Doug.

– On wie?

– Chyba tak. – Doug podniósł widelec, sprawdził, czy jest czysty. – Zrobię z nim ten ostatni numer, na który tak się napalił. Możesz mu to przekazać.

Kiwnęła głową.

– A potem?

Cienka drewniana rączka noża była pęknięta, zardzewiałe ostrze się ruszało.

– Wiesz, że zawsze go pilnowałem.

– Tylko ty dawałeś sobie z nim radę.

– Dla mnie z tym koniec. Jem chce się przymierzyć do dużego skoku i mu pomogę. Od niego zależy, czy na tym zakończy.

Zmrużyła oczy, dotarło do niej, że nie żartuje.

– Dokąd się zmywasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Z nią?

Doug znieruchomiał z widelcem przy ustach. Odłożył go i zmierzył się z jej oskarżycielskim spojrzeniem. Kiedy Shyne upuszczała jedna po drugiej nitki sera na brudną podłogę, wzrok Kristy podszedł agresją, przeszedł w niemy krzyk wzgardzonej kochanki.

KWIACIARZ

Do Gloansy'ego dotarło, z czym kojarzyła mu się chłodnia Kwiaciarza – ze skarbcem. Pomieszczenie w pomieszczeniu, grube drzwi z zapadką i ciche wnętrze. Tylko na półkach bukiety zamiast banknotów.

Dlaczego akurat kwiaciarnia? Gloansy po raz pierwszy się teraz nad tym zastanowił. Dlaczego nie sklep z artykułami tytoniowymi albo delikatesy? Lokal był na Main Street od zawsze, a Fergie od zawsze był szefem. Pewnie przejął sklep w ramach dawnego długu, a potem – pewnie nieświadomie – zrobił z niego najbrzydszą kwiaciarnię w dziejach świata. Róże po dwa dolary zdejmował z wystawy dopiero, kiedy płatki zbrązowiały i pomarszczyły się jak chipsy na dnie torebki. Nigdy niezmieniana woda w wazonach była ciemnozielona i pokryta szumowiną jak w porcie i nie było drugiej takiej kwiaciarni, która wabiłaby przechodniów plastikowymi pnączami i roślinami z jedwabiu.

Fergie nieźle zarabiał na paradach z okazji rocznic bitwy o Bunker Hill. Obsługiwał zwycięskie rundy na wyścigach w Suffolk Downs, dostarczał wieńce na co grubsze zawody. Chodziły słuchy, że

niekiedy Fergie wysyłał rachunek do właściciela zwycięzcy dzień przed wyścigiem. Pogrzeby – tu było go pełno. Śmierć – do niej Fergie miał dryg. Snuła się za nim zamiast sumienia, stracił dwóch synów, jednego przez kurz, którym hadlował, córkę zastrzelili w pułapce zastawionej na drugiego. A Fergie zawsze wychodził bez szwanku, wracał do pracowni i drutował wieńce. Ze szpul na stole zwisały czarnożłote języki wstążek: CÓRKA; MATKA; ŻONA; SYN.

Siedzieli na składanych krzeselkach z miękkimi siedzeniami jak żałobnicy na pogrzebie, cała czwórka twarzą do Fergiego. Rzadko to się zdarzało. Wiódł teraz żywot samotnika, za czym stała albo paranoja, albo podsycanie legendy Kwiciarza. Procesy zmowy milczenia wyeliminowały wszystkich jego kompanów, ale on dzielnie się trzymał. Mieszkał gdzieś nieopodal dawnego arsenału, ale podobno miał mety rozsiane po całym Town, był w ciągłym ruchu, jak władca na wygnaniu.

Mówiono o nim także Fergie Kancera, bo taką właśnie miał twarz: pokancerowaną, za sprawą młodzieńczej kariery we wrestlingu – niektóre z jego wyczynów pokazywano w telewizji pod koniec lat pięćdziesiątych – i zwycięskiej passy na ringach Revere i Brockton. Miał krzywy nos, zmęczone oczy kundla, cerę woskową jak skórka plastikowych owoców. Wargi miał tak cienkie, że prawie

niewidoczne, a kalafiorowate uszka były żywcem wyjęte z dziecięcego rysunku. Mówiono, że za czasów, kiedy robił dla mafii, serca truchlały na wieść o jego reputacji – i na widok jego twarzy. Ręce też miał nie takie jak trzeba, pokrzywione palce wyglądały, jakby każdy rząd knykci po kolei miażdżyła mu szuflada, paznokcie były płaskie i srebrzyste jak monety.

Zawsze towarzyszył mu byczkowaty ochroniarz, niejaki Rusty, podobno żołnierz – lub były żołnierz – IRA, który miał szlaban na powrót do ojczyzny. Rusty miał wyblakłe siwe włosy, bladą irlandzką cerę i lubił chodzić w czarnych dresach, jakby był na wakacjach. Innymi słowy, nic w wyglądzie Rusty’ego nie tłumaczyło rdzawego odcienia z jego przydomka. Chyba że „zardzewiały” odnosiło się do tego, że wolno kojarzył. Nigdy nie odzywał się słowem. Był jak zombi, które chodzi za Fergiem jak cień – choć tego ciepłego popołudnia w chłodni go nie było, co stanowiło gest wielkiego zaufania wobec ekipy. Paranoik Fergie nigdy nie uczestniczył w spotkaniach bez ochrony.

Siedział przed nimi na krzeselku jak pięściarz w narożniku między gongami w końcowej fazie pojedynku. Miał szeroko rozstawione nogi, jakby prowokował odważniaka, który spróbowałby kopnąć go w jaja. Był w białym, poplamionym bezrękawniku, czarnych panterkach i odwróconej tył

na przód czapeczce nad pokancerowaną twarzą.

Zazwyczaj Fergiego na ulicach Town można było rozpoznać po ulubionych obcisłych bluzach od dresu i twarzy osłoniętej kapturem. Nie przypadkiem Jem skopiował tego dnia wygląd Fergiego; zbratał się z nim także w materii pokancerowanej twarzy, ciągle miał gazę na nosie i policzku, lewe oko podbiegłe krwią, wargi napuchnięte i popękane.

Duggy siedział w milczeniu po drugiej stronie Gloansy'ego. Był ponury od czasu bójki, można by pomyśleć, że to on oberwał.

To duma Duggy'ego dostawała baty. Gloansy znał nastawienie Douga do Kwiaciarza. Kiedy przyszli, u Fergiego było kilku szczeniaków z blokowiska w panterkach i Doug o mało co się do nich nie przyczepił.

Ale liczyło się, że byli znowu wszyscy razem. Doug i Jem zawarli niepisany rozejm. Prawdę mówiąc, to Deza trzeba było mieć na oku: siedział po drugiej stronie Duggy'ego wpatrzony bezczelnie w Fergiego, watażkę, który podobno – „podobno” w miejscowym znaczeniu – skasował mu ojca. Gloansy nie wierzył, że Dez w ogóle się pojawi.

– Wygląda teraz jak ja – skomentował Fergie, wskazując Jema. Miał chrapliwy, szarpany głos. – Mała scysja, co? – Przeskakiwał wzrokiem między Jemem a Duggym, starzejące się mięśnie zwisały mu u rąk jak powrósła. – Parę szwów braciom nie

zaszkodzi. Wyjdzie na zdrowie. Oczyszcza atmosferę.

Jem wzruszył ramionami. Gloansy nie dostrzegł, żeby Doug jakoś na to zareagował.

– Pomieszczenie jest czyste, tak a propos, pełna gwarancja. Nikt nie wchodzi tu beze mnie, nigdy, i zainstalowałem jeden z tych rtęciowych cudów, żebym wiedział, czy ktoś się dobierał do zamka. Więc możemy rozmawiać bez obaw.

Sięgnął po ciętego żonkila, obrócił go sobie w dłoni, potem zanurzył zaokrąglone opuszki palców między płatki i nagonił sobie do nosa pyłek, zostawiając na górnej wardze ślad koloru siarki. Facet był przyrodniczym zboczeńcem.

– Od dawna nam się zbierało – powiedział. – Tak sobie myślałem, kiedy mi się chłopcy zameldujecie.

– No – odparł Jem półgębkiem. – Mieliśmy trochę roboty. Żeby pokazać, że się nadajemy.

Podryg pokierszowanej brody Fergiego robił za uśmiech.

– W każdym jednym widzę twarz ojca. – Zatrzymał wzrok na Dezie, który wytrzymał to spojrzenie. – Co mi przypomina, że po tylu latach dalej radzę sobie na ringu. Jakoś się trzymam. Rękawice w górze, jacyś chętni? I dalej wszystkich punktuje.

– Jesteśmy w sam raz do twojego narożnika – powiedział Jem. – Na tyle starzy, żeby pamiętać

dawne Town, na tyle młodzi, żeby postarać się, żeby wróciły tamte czasy.

Gloansy słuchał uważnie, bez wyrazu, jak uczeń, który boi się wywołania do tablicy.

– Dobrzy z was złodzieje – oznajmił Fergie. – Tylko ta nieszczęsna dziesięcina. – Wzruszył ramionami, jakby sama wzmianka była nieprzyjemna. – Dziesięć procent to jak napiwek dla wkurzającego kelnera. O co chodzi? Nie lubicie mnie?

Zabawnie było patrzeć, jak Jema skręca. Doug skrzyżował ręce i Gloansy był przekonany, że w ogóle nie zamierza się odzywać. Zostawi to Jemowi.

Fergie mówił dalej:

– Ale ja się przyglądałem waszej czwórce. Nieźle sobie poradziliście ostatnim razem. I podoba mi się wasz styl. Dyskrecja, nie wychylacie się. Moja ostatnia ekipa się pogubiła. Zjebali niezłą fuchę. Wasz kwartecik działa już razem od jakiegoś czasu. A czego oczekujecie ode mnie?

– Chcemy zaistnieć – wyjaśnił Jem. – Zasłużyliśmy na grubszy skok.

Fergie położył łodygę na kolanach i otrzepał sobie dłonie.

– Los to zabawny koleś. Zeście sobie chłopcy podciągnęli portki i w samą porę mi się tu pojawiliście. W samiuteńką. Bo tak się składa, że coś mi tu wypłynęło, i to takie coś, że trzeba się tym

zająć na dniach. Numer jest z niewąskich. Tak niewąski, że tylko dla najlepszych. Mam wtykę, gościa, który mi coś wisi.

Jem kiwnął głową.

– Jesteśmy zainteresowani.

– A pewnie, że jesteście. Kto by nie był zainteresowany taką fuzką? Ale czy jesteście gotowi się wkupić? Bo żeby wejść do gry, trzeba postawić, tak to się u mnie robi. Wpisowe z góry za samą opowieść. To oprócz mojej działki ze skoku, a działka jest z tych dużych. Ale bez mojej wtyki nie macie szans. A jak dobrze się spiszecie, to zostanie aż nadto do podziału.

– Ile tego wpisowego?

– Zwykła fucha, waga średnia – między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt pięć koła, z góry.

Jem kiwnął głową i czekał na dalszy ciąg.

– A ta?

– Dwa razy tyle, przynajmniej.

Gloansy usiłował stłumić reakcję, wyprostował się i ścisnął dłonie. Sto pięćdziesiąt? Czy mu się nie przesłyszało? Podzielone na czterech?

Fergie mówił dalej:

– Kolega na mnie patrzy, że niby tyle nie macie. Nie zapominajcie tylko, że mój księgowy od dziesięciny zdał mi relację z waszych przychodów. I nie myślcie, że szukam ekipy, bo sam bym tego nie udźwignął. Narajam wam fuchę, bo jesteście

zawodowcami. A że jestem szczodry, to lubię co jakiś czas rozparcelować przychody po Town, żeby wszystkim się wiodło. Przychodzicie oświadczyć, żeście gotowi do pierwszej ligi? Ta fucha jest grubsza niż wszystkie poprzednie, i jest do wzięcia tu i teraz, zaraz.

Gloansy zerknął na Jema, potem na Douga, który się nie ruszył, a potem na Deza, który też się nie ruszył. Wtedy Gloansy pożałował, że sam zaczął się wiercić.

– Kto wie? – rzucił Fergie w ciszę i bezruch. – Możecie wcale nie tacy gotowi, jak wam się wydawało? – Podniósł żonkil z kolan i Gloansy’ego zastanowiło, jak kwiat mógł nie zmarnieć od samego dotyku.

– Ten oto kwiat. Kto go ma? Ja, zgadza się? Nie. Nie mam go. Nie jest mój, nie stworzyłem go. Ktoś gdzieś wyciągnął go z ziemi. Ktoś z tych, którzy biorą. Kontra ci, którzy nie potrafią utrzymać. Ktoś spróbuje odebrać mi ten kwiat bez zapłaty, to mu wyłożę ten mechanizm bardzo precyzyjnie. Dorwę ich i to ja im coś zabiorę. Dłoń. Stopę. Wasza dłoń, wasza stopa – myślicie, że należą do was, myślicie, że to wasza własność? Wasze życie? – Tu odczekał, choć nie znalazł się chętny, żeby odpowiedzieć. – Nie, jeżeli mogę wam to odebrać. Nie, jeżeli nie potraficie tego utrzymać. – Obrócił kwiat w palcach, potem rzucił go przed nich na ziemię. – Ja jestem z

tych, co biorą. Po toście do mnie przyszli, zgadza się? Nie żeby podziwiać moją piękną buźkę. Musicie sobie to chłopcy przemyśleć. Jesteście z tych, co marzą, czy z tych, co biorą?

– Wchodzimy – odezwał się Duggy.

Gloansy odwrócił się do niego, tak samo Dez. Dźwięk jego głosu był dla nich szokiem – nie mówiąc o tym, że zgadzał się na warunki Kwiciarza. Gloansy zauważył, że tylko Jem nie spojrzał.

– Za sto koła, równo – dodał Doug, wcinając się w zadowolone skinienie Fergiego. – Dwadzieścia pięć od łebka. Jeżeli fucha jest taka piękna i jeszcze nikomu jej nie sprzedałeś, to znaczy, że nie masz chętnych.

Wzrok Fergiego przypomniał Gloansy’emu spojrzenie nieżyjącego ojca – świeć Panie nad jego duszą – i jego oczy, które mówiły: „Pamiętaj, stoisz tu dziś przede mną tylko dlatego, że wczoraj cię nie zabiłem – i że od tego, jak sobie poradzisz, zależy, czy staniesz przede mną jutro”.

Ale Fergie trafił na godnego przeciwnika, na pierwsze lustro, które nie pękło pod jego spojrzeniem. Doug był teraz nietykalny, a po pokiereszowanej twarzy Fergiego przebiegł nerwowy grymas, niczym cień przelatującej wrony.

– Jaja jego starego zaliczymy na poczet – oznajmił w końcu Fergie, podkreślając odzyskany animusz królewskim skinieniem. – Dostaniecie ode

mnie prezent i zgodzę się na zaproponowaną cenę.
Niepowtarzalna okazja.

Oparł się majestatycznie, ale jak para ich oddechów w powietrzu unosiła się świadomość, że Fergie Kwiciarz ugiął się pod czyjąś wolą.

– Nie zawiedziemy cię – podkreślił Jem.

– Nie zawiedziecie – zgodził się Fergie. – Do tej pory żeście byli niczym ministranci chadzający po prośbie. Ale to, co mi się tu wykroiło, to nie jest wiejski kościółek, chłoptasie. To rzymska, kurwa, katedra.

BAZA

Frawley i Dino ociągali się przy wodotrysku, aż czarny grubasek wtoczył się z tornistrem do klasy i ostatecznie drzwi na korytarzu się zamknęły. Byli na ostatnim piętrze jednego z budynków Bunker Hill College wzniesionego na miejscu zlikwidowanego dawno temu więzienia.

Na drzwiach na końcu korytarza widniał napis: Promieniowanie. Zakaz wstępu.

Frawley zapukał. Otworzył mu mężczyzna o wyglądzie studenta; przez uchylone nieznacznie drzwi widać było jego okulary i mikrobródkę pod dolną wargą.

– Witam – powiedział agent Grantin na widok Frawleya, wpuścił ich do środka i zamknął drzwi.

Drugi agent ze słuchawkami na uszach siedział przy oknie. Dino przyłożył sobie pięść do nosa.

– Chryste – jęknął.

Grantin kiwnął głową.

– Może by któryś z was łaskawie poprosił mojego kolegę, Billy’ego Drifta, żeby sobie odpuścił falafele podczas prowadzenia inwigilacji z pomieszczenia, w którym nie otwierają się okna.

Agent Drift zdjął słuchawki i wyszedł skruszony

zza ławki.

– Przecież przeprosiłem, stary. Mała niestrawność.

W ciasnej salce stało kilka ławek i stół z jasnego drewna, a na nim magnetofon Nagra, komputer i kolorowa drukarka, ładująca się komórka i monitor podłączony do kamery na statywie z obiektywem wymierzonym we wschodnie okno. Na ekranie wysokiej rozdzielczości widać było przechodniów mijających wystawę sklepu Kwiaciarza na Main Street.

Frawley wyjrzał przez okno, przez chwilę orientował się w położeniu i polu widzenia kamery. Wypatrzył centrum handlowe Bunker Hill i cmentarz, stamtąd pobiegł wzrokiem na zachód. Przedstawił Dina agentom z wydziału przestępczości zorganizowanej.

– Prowadzimy dwunastogodzinne sesje na zmianę z parą kolegów z narkotyków – wyjaśnił Grantin, zdejmując okulary i odklejając zarost, swój kunsztowny kamuflaż. – Przeglądałem ich nagrania z ostatnich kilku dni – pamiętasz, jak przyszedłeś pytać o Kwiaciarza i przyniosłeś zdjęcia tamtych gości od banku? Chyba ich mamy.

Podał cztery opatrzone kodem czasowym, wydrukowane na papierze fotograficznym ujęcia z nagrania. Na pierwszym Frawley od razu rozpoznał Magloana, z profilu, wchodzącego frontowymi

drzwiami z mężczyzną w bluzie z kapturem i zabandażowaną twarzą.

– To oni – potwierdził Frawley, podając zdjęcie Dinowi.

Następne ujęcie zostało zrobione dwie minuty później:

Elden w czapeczce bejsbolowej, z jedną ręką w kieszeni, drugą na kłance, odwrócony lustrował wzrokiem ulicę.

Na ostatnim był MacRay, z ćwierćprofilu, wchodzący do sklepu sześć minut po Eldenie. Ujęcie wystarczyłoby do identyfikacji przed ławą przysięgłych.

– Nasiadówka u Kwiaciarza – skomentował Frawley. – Ile to trwało?

– Jakies dwadzieścia minut. Wyszli każdy osobno – mamy to na taśmie, tylko nie zdążyłem zrobić odbitek.

Dino oddał zdjęcia Frawleyowi.

– Kto to jest, ten w bandażach? – zapytał Dino.

– To pewnie Coughlin – wyjaśnił Frawley, przypominając sobie opuchnięte dłonie MacRaya, choć nie mógł się tą wiedzą podzielić z Dinem. Przejrzał zdjęcia przypadkowych przechodniów. – Mocno siedzicie w jego sklepie?

– Tak sobie. Mamy podsłuch, ale bez przerwy puszcza irlandzką muzykę. W kwestii twojej ekipy wychwyciliśmy tylko dzwonek przy otwieraniu drzwi

i „Jak leci?”. Miałem nadzieję, że wy jesteście lepiej zainstalowani i możemy liczyć na waszą pomoc.

Frawley kiwnął głową.

– Siedzimy im na samochodach. Sama wizja, bez fonii. W tym mieście to nie przejdzie.

– Pewnie – powiedział Drift, pokazując na okno i panoramę Charlestown od strony Bostonu. – Patrz, dokąd zaszliśmy.

– Mamy pluskwy pod zderzakami ich aut, dzięki czemu możemy oszczędzić roboty ogonom i wywiadowcom z operacji specjalnych. Udało nam się podłożyć T-4 w samochodzie Magloana, ale jeździ sam i cały czas słucha badziewia na JAM’N 94.5.

– Mało tego – wtrącił Dino. – Sam podśpiewuje.

– Siedzimy im na telefonach, ale z nich nie korzystają. Wycwanili się, bo mają kolesia w Nyneksie – chociaż udało nam się podczepić transponder na jego służbowej furgonetce.

– Tak – powiedział Grantin, spoglądając na Town. – Coś się szykuje.

Frawley wyciągnął ujęcie Kristy Coughlin w szortach, bluzie na ramiączkach i w japonkach, wprowadzającej do kwiaciarni wózek z budką.

– A co tam ostatnio u Kwiaciarza?

– To co zwykle. Nie spuszcza z tonu. Odstawia gangstera.

– Kiedy go zgarniecie?

Grantin wzruszył ramionami.

– Kiedy ktoś z jego szajki sypnie. Ze starej gwardii został już tylko on. To pełnoetatowy pojeb. Ci z narkotyków chcą go bardziej od nas.

Frawley podniósł zdjęcia.

– Mogę sobie zatrzymać?

– Cała przyjemność po naszej stronie.

Frawley udał się do bostońskiego oddziału terenowego na One Center Plaza tylko po to, żeby dowiedzieć się, że sędzia odrzucił jego drugi wniosek o zezwolenie na podsłuch klasy T-3 i o nakaz inwigilacji mieszkania Claire Keeseey w Charlestown, złożony za pośrednictwem prokuratury. Sędzia uzasadnił odrzucenie wniosku lukami w materiale dowodowym i ponownie orzekł, że nie ma przesłanek do uznania jej za podejrzaną w sprawie napadu z bronią w rękę na bank na Kenmore Square.

Po powrocie do siebie Frawley odczekał z Dinem, aż program przetrawi koordynaty GPS z transponderów na zderzakach i wyrzuci w zamian dane w postaci adresów ulic i czekających na rozszyfrowanie konfiguracji punktów na mapie.

– A to co? – zdziwił się Dino. – Czyżby MacRay dwa dni temu faktycznie wybrał się do pracy?

W każdym razie pojechał na teren firmy wyburzeniowej Bonafide Demolition w Billerica i parkował tam przez osiem godzin. Później tamtego wieczoru, następnego ranka i znowu wieczorem

jeździł po zarysie rekiniej płetwy Allston, stał dosyć długo w okolicy Cambridge Street, nieopodal warsztatów Conrail. Po porównaniu z danymi z samochodu Magloana okazało się, że ten również kręcił się w tamtej okolicy, a koło południa czatowała tam jakąś godzinę służbowa furgonetka Eldena.

– Cambridge Street? – powiedział Dino. – Jezu. Co tam jest, Dunbar?

– Nie – odparł Frawley, sięgając po kurtkę. – Magellan.

Dokąd jadą po dniu pracy opancerzone furgonetki i skąd wyruszają rankiem? Nocują w niepozornych budynkach za pilnie strzeżonymi ogrodzeniami i elektrycznymi bramami, w głębi dzielnic przemysłowych albo wciśniętych między budynki kompleksów biurowych – ich lokalizacja należy do najlepiej strzeżonych tajemnic branży przewozu kosztownych ładunków. W środku, pod okiem systemów inwigilacji, których nie powstydzilaby się większość kasyn, kasjerzy w fartuchach bez kieszeni uwijają się w boksach o szklanych ścianach, przeliczając, sortując według nominału, układając i banderolując każdej nocy setki tysięcy dolarów, w banknotach i monetach.

Na przykład dwudziestego siódmego grudnia 1992 roku złodzieje splądrowali biurowiec bez okien na terenach przemysłowych Brooklynu w Nowym

Jorku i zbiegli z ponad ośmioma milionami dolarów – zostawiając dwadzieścia cztery miliony, których nie zdołali unieść.

Od południowej strony Cambridge Street, zanim ulica ta przeprawi się przez Charles River do Cambridge, w cieniu estakady Mass Turnpike, stała piętrowa budowla bez nazwy, otoczona podwójnym dwunastostopowym płotem z siatki zwieńczonym drutem kolczastym. Ta strona ulicy była pusta, nie miała nawet chodnika, a budynek wyglądał na niepozorny magazyn po bankructwie właściciela.

Elektryczna brama na tyłach bazy furgonetek opancerzonych była niewidoczna z ulicy. Frawley obserwował ją z zakurzonego parkingu, przytrzymując krawat, kiedy przejeżdżały samochody.

– Nie jeden zjazd – powiedział Dino, wskazując podkładką z klipsem na drogę szybkiego ruchu. – Nie dwa. Trzy duże zjazdy, wszystkie w promieniu dwustu jardów od miejsca, gdzie stoimy.

Frawley zmrużył oczy przed falą piasku i pyłu.

– Nie obejdzie się bez ciężkiej artylerii. Wychodzą poza schemat.

– Zwracając się do Kwiaciarza, też wyszli. Musi mieć kogoś wewnątrz.

– To nasz punkt zaczepienia. Ale nie chcę jeszcze odsłaniać kart. – Frawley spojrział na kamery na rogach dachu. – Czyli mówisz, że MacRay

pojechał do pracy, tak?

– Myślisz o materiałach wybuchowych? Ze chcą ich użyć podczas skoku?

– Albo urządzić jakąś rozpierzuchę dla odwrócenia uwagi.

Frawley nie złożył raportu 302 ze swojego spotkania z MacRayem. Nie chciał, żeby to trafiło do akt, przynajmniej jeszcze nie teraz. Złożył za to raport o pozyskaniu tajnego współpracownika i wypełnił formularz 209 z wnioskiem o przydzielenie Kriście Coughlin sześciocyfrowego kodu informatora. Chciał w ten sposób zabezpieczyć siebie i dobro dochodzenia, na wypadek gdyby puściła farbę. Na przykład doniosła, kiedy konkretnie MacRay i spółka zamierzają przypuścić szturm na bazę furgonetek opancerzonych Magellan.

Czarny wóz z napędem na cztery koła zatrzymał się na poboczu, Frawley i Dino odsunęli się, mrużąc oczy w tumanie pyłu, jaki wzbił. Z pojazdu wysiadł mężczyzna w mundurze strażnika przemysłowego. Miał odznakę i plaketkę identyfikacyjną, choć nigdzie nie widniała nazwa „Magellan”.

– Zgubili się panowie? – zapytał, zwracając się do nich grzecznie, ale stanowczo. – Pomóc w czymś?

Frawley nie wyciągnął odznaki. Nie wiedział, kto tu jest wtyczką.

– Dzięki, nie trzeba – odparł. – Już się stąd zmywamy.

ROZPOZNANIE STADIONU

Większość ludzi – z większością przestępców napadających na banki włącznie – myśli, że najtrudniejszą fazą skoku jest dotarcie do pieniędzy, ale to podczas ucieczki okazuje się, kto jest zawodowcem, a kto amatorem.

Doug wsiadł w roboczej koszuli Deza do furgonetki Nyneksu na rogu Boylston i Park, i przybił z Monsiniorem żółwika.

– Masz ten pokój w hotelu? – zapytał Dez.

– Istny apartament.

– Na długo?

– Na czas nieokreślony. W książce meldunkowej figuruję jako „Charles”.

– „Charles”?

– W rozwinięciu „Charles Town”.

– Aha.

Doug sprawdził w lusterkach, czy nie mają ogona.

– Wzięłeś urlop na przyszły wtorek?

– Z powodów osobistych, wszystko załatwione.

Ale kupa zachodu z całą tą maskaradą.

– Poskarż się fedom. Mam nadzieję, że podmieniłeś furgonetki.

– Wyciek z chłodnicy – cholerny pech. Masz. Założ.

Doug zapiął wokół talii skórzany pas montera, taki sam, jaki nosił Dez, z podczepionym czerwonopomarańczowym plastikowym aparatem firmy telekomunikacyjnej.

Dez zaparkował centralnie na drugiego na Yawkey Way, idealnie naprzeciwko bramy D, wysiadł ze służbową podkładką i otworzył jednym szarpnięciem tylne drzwi furgonetki. Obladował Douga stertą sprzętu, potem przeszli przez ulicę i poskarżyli się na upał dziewczynie w czerwonej koszuli przy bramie. Zajrzała do swojego notatnika.

– Jesteście na liście?

– Powinniśmy – odparł Dez. – Ja w każdym razie mam na swojej liście ciebie. Wysyłają, to człowiek jedzie.

Jej czerwona koszula oznaczała, że jest z personelu stadionowego, nie z ochrony.

– A chodzi o...?

– Upgrade systemu. Na razie przyjechałem tylko rozeznaczyć się w sytuacji, to usprawni robotę później, bo będziemy wiedzieli, czego nam trzeba. Mówili nam, że trzeba się uwinąć z robotą, kiedy będą grali na wyjeździe. Góra dwadzieścia minut to zajmie.

– Mogę zobaczyć wasze dokumenty?

Dez pokazał legitymację. Obejrzała ją i wypełniła dla niego przepustkę.

Doug udał, że ugina się pod ciężarem sprzętu, kiedy kończyła.

– Praktykant – wyjaśnił Dez.

– Jasne – powiedziała i wypełniła drugą przepustkę, nie prosząc Douga o dokumenty.

Hale i tunele pod trybunami Fenway, strefa koncesjonowana – tam dawał znać o sobie wiek tego najstarszego stadionu pierwszej ligi. Pracownicy branży spożywczej pchali półki z zapakowanymi bułkami do hot dogów w stronę stoisk szykujących się do wieczornego meczu. Przed drzwiami windy zastąpił im drogę młody chłopak w niebieskiej koszuli, świeżo po college’u, identyfikator wisiał mu na szyi, przy pasku miał krótkofalówkę. Był niski, barczysty, napakowany. Dez machnął mu przed nosem przepustkami.

– Panowie dokąd?

– Loża prasowa – odparł Dez.

Niebieski wszedł do windy i wcisnął piątkę. Doug stał między czarnobiałymi przedwojennymi zdjęciami Teda Williama opartego na kijku i rozpromienionego Carla Yastrzemskiego – zdobywcy Triple Crown.

– Chyba nie w tym roku, nie? – powiedział Dez.

– Nie zanoszą się – odparł niebieski.

Kiedy winda się zatrzymała, Dez zapytał:

– Chyba ci się nie zdarzyło, żeby ktoś z tobą jechał i nie wypowiedział tej formułki?

– Jakbyś zgadł.

Drzwi otworzyły się, odsłaniając nasłonecznioną płaszczyznę kładki dla kibiców. Niebieski poprowadził ich przez przeszklone wejście obok pustego stanowiska ochrony, potem obok stykających się stołówek – jednej dla pracowników stadionu, drugiej dla przedstawicieli mediów – a potem białym korytarzem pełnym drzwi do stanowisk komentatorów. Koniec korytarza rozwidłał się na dwa długie rzędy stanowisk, oba dla prasy, które przypominały główną trybunę w Suffolk Downs. Przez szklaną ścianę widać było bazę domową, boisko zielonej jak na czerwiec przystało murawy, kakaowe ścieżki i pole autowe, trzydzieści cztery tysiące wąskich krzesełek i miasto ze szkła i stali w tle.

– Fabryka wrzasków – skomentował Dez, odciążając Douga.

Pokręcili się trochę na pokaz, włączyli to i owo, opukali ściany, niebieski wytrzymał może trzy minuty.

– Dacie tu sobie radę?

– Pewnie – mruknął zajęty Dez.

– To ja za chwilę wracam.

Dez pomachał, nie odwracając się.

– Nie ma pośpiechu.

Kiedy kroki ucichły, Dez wsunął sobie do ucha słuchawkę i zaczął przeszukiwać częstotliwości

ochrony stadionu. Doug przyczepił sobie przepustkę do wilgotnej od potu koszuli, kiwnął głową Dezowi i ze słuchawką w ręku ruszył szybko korytarzem z powrotem do kładki pod gołym niebem.

Zszedł jedną kondygnację, kiwając głową pracownikom w białych fartuchach na przerwie śniadaniowej, skręcił w pierwsze otwarte drzwi i znalazł się w przeszklonym 600 Club. Przeszedł pewnym krokiem przez salę, mijając tylko sprzątacza i pomocnika barmana, wyszedł ni trybuny i roztoczyła się przed nim panorama stadionu. Zjechał windą jeszcze jedno piętro do hali położonej nad miejscami za trzecią bazą, przeszedł przez trybunę główną i loże, i zaczął zbiegać pierwszą pochylnią.

Zapracowani pracownicy Fenway w czerwonych koszulach przechodzili pod trybunami, nie zwracając na niego uwagi. Na stadionie panowała cisza, okienka były pozamykane i Dougowi przypomniały się czasy, kiedy pracował przy wyburzeniach – przeczesywanie piwnic skazanego na rozwałkę budynku tuż przed egzekucją stalową babą. Pochyła kamienna nawierzchnia była marzeniem skateboardzisty, żelazne słupki podtrzymywały stadion jak rdzewiejące dźwigary, które dźwigały nad Town autostradę międzystanową.

Doug minął wejście D, przy którym siedziała na chodniku, tyłem do niego, dziewczyna w czerwonej koszuli, popijając wodę z butelki. Minął szeroką

budkę z pamiątkami zamkniętą na Cztery spustycznym archaiczny kiosk z gazetami, zerknął na otwarte Czerwone drzwi za nią. Tabliczka na ich wewnętrznej stronie głosiła: „Wstęp tylko dla pracowników”. Mijając je, Doug przyjrzał się uważnie: krótki korytarz za nimi prowadził do drugich drzwi z kwadratowym okienkiem.

Za nimi mieścił się skarbiec. Podczas meczu ktoś ich zawsze pilnował, teraz tylko kamery. Według wtyczki Kwiciarza prace związane z systemem monitoringu podczas przerwy wyjazdowej miały objąć kamery przemysłowe, co znaczyło, że centralna sieć monitoringu stadionu będzie przez kilka dni ślepa. To było uzasadnienie wąskiego okienka czasowego na akcję.

Drzwi do skarbcza chronił elektroniczny zamek szyfrowy. Doug miał kod, ale nie zamierzał go używać. Chciał pochwyć łup po drodze ze skarbcza do konserwy, spakowany i gotowy do transportu.

Kłopot w tym, że przekazanie gotówki odbywało się na zamkniętym parkingu. Furgonetka wjeżdżała przez bramę dla karetek od Van Ness Street, a załadunek miał miejsce przy ambulatorium. Co znaczyło, że musieli odbić kasę pod trybunami.

Przeszedł tunelem od drzwi skarbcza do punktu opatrunkowego – w kontekście boiska droga ta odpowiadała odległości między bazą domową i kawałkiem zapola za pierwszą bazą – korytarzem

pełnym reklam na ścianach z cegieł i z niskim pochyłym daszkiem. Tędy konwojenci wieźli gotówkę na wózku elektrycznym. Po załadunku wjazd dla karetek się otwierał i furgonetka wyjeżdżała, po czym jechała prosto do bazy Providentu na Kendall Square.

Doug zatrzymał się w pustym punkcie opatrunkowym – budce w hali – mierząc wzrokiem odstęp między żelaznymi dźwigarami, obliczając w myślach, ile będą mieli miejsca. Potem wrócił do skarbca, zwracając uwagę na pole widzenia. Przystanął tam i zastanawiał się, czy nie utkną czasem na stadionie, kiedy drzwi się otworzyły.

Doug odwrócił się i ruszył szybko tunelem z powrotem do ambulatorium, markując, że zabłądził. Ktoś go zawołał, ale Doug się nie zatrzymał, manipulując z przejęciem przy aparacie na pasku.

Wołanie się powtórzyło i rozeszło echem po tunelu, na tyle głośno, żeby zwrócić czyjąś uwagę. Doug zatrzymał się kilka kroków od punktu opatrunkowego, obrócił się nieznacznie, ciągle starając się nie ujawniać twarzy.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał idący za nim mężczyzna. Niebieska koszula, ochrona, rzadkie włosy i mocna opalenizna, krótkofalówka przy pasku.

– Nie, wszystko gra – odpowiedział Doug, nie przestając grzebać przy urządzeniu. – Chyba się

trochę pogubiłem.

– Zaczekaj.

Ochroniarz podszedł, zmierzył wzrokiem Douga, jego przepustkę, jego pas montera i buty. Mężczyzna był starszy, miał około pięćdziesiątki. Mógł być szefem ochrony.

– Chodź ze mną.

Minał Douga i ten, chcąc nie chcąc, ruszył za nim, rozważając plan działania. Skręcili w lewo, pierwszą rampą wyszli na zewnątrz, przeszli dołem obok boksów przy samym boisku do ławki Red Soksów za pierwszą bazą. Obok ławki rezerwowych znajdowało się niskie przejście na boisko. Na zapole pracownicy stadionu spryskiwali murawę i grabili pole autowe.

– Tego szukałeś? – zapytał ochroniarz.

Uśmiechnął się znacząco i Doug zrozumiał, że mężczyzna chce wyświadczyć mu przysługę. Pozwolić mu poczuć dreszczyk emocji, sprawić prezent koledze po fachu. Widząc, że Doug się waha, mężczyzna powiedział:

– Jeżeli nie potrafisz rzucić piłki z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę albo złapać rzuconej z taką prędkością, to to będzie twoja jedyna szansa, żeby tam wyjść.

Doug wyszedł na zakurzone pole autowe, wykonując ostrożny krok pasażera statku stawiającego stopę na lądzie. Przeszedł przez trawę,

omijając świeżo wysypaną linię faulu, jak to mają w zwyczaju przesądni trenerzy, i skierował się ku wewnętrznej części boiska. Zatrzymał się przed stanowiskiem miotacza, po czym na nie wszedł i stanął przy gumowym krawężniku.

Spojrzał w stronę bazy domowej i poczuł zawrót głowy kibica. Wysoko po prawej zobaczył łożę prasową, a w niej Deza stojącego w panoramicznym oknie i uśmiechającego się z uznaniem. Pewnie myślał sobie: „Stary cwaniak Duggy, wkręcił się na boisko”.

Doug spojrział na wgniecioną blachę Zielonego Potwora, potem wyżej, na wznoszące się nad Kenmore Square logo Citgo. Widok tego znaku zawsze będzie mu się kojarzył z porażką, ze stratą – skok na bank, Claire – to miasto było cmentarzyskiem wspomnień, kolejny dobry powód, żeby stąd zniknąć.

Wrócił do ławki drużyny gospodarzy jak miotacz idący pod prysznic. Ochroniarz stał z założonymi rękami, oparty o pierwszy rząd krzesełek, delektując się swoim podarkiem bardziej niż Doug. –

– Ciągle pamiętam swoje pierwsze wyjście.

– Dzięki – wymamrotał Doug, zaniepokojony, że mężczyzna zapamięta jego twarz. Patrzył, jak strażnik zamyka przejście na murawę, zobaczył na małym palcu sygnet z kamieniem. Zwrócił uwagę na starannie przycięte paznokcie, na promienną

wakacyjną opaleniznę z Florydy. Szef ochrony, pomyślał, kojarząc fakty.

– Lubisz obstawiać? – zapytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami; pytanie było osobiste, ale nie wścibskie.

– Czasami. Głównie konie. A co?

– Ile wisisz Kwiaciarzowi?

Mina mu zrzędała. Beztroska szczodrość przeszła w paniczne przerażenie. Rozejrzył się.

– Mamy się nie kontaktować – powiedział cicho.

– W poniedziałek rano nie zmieniaj rozkładu dnia – polecił mu Doug. – Ani odrobinę.

Mężczyzna zerknął na pracowników stadionu, obejrzał się na puste trybuny.

– Miałeś się ze mną nie kontaktować.

– Gliny się z tobą skontaktują. Po skoku skontaktują się ze wszystkimi. Jesteś gotowy na wykrywacz kłamstw?

Mężczyzna wpatrywał się w Douga: dumny, spanikowany, zadłużony po uszy u Kwiaciarza, życie było jego ostatnią kartą przetargową. Odwrócił się i odszedł pod trybunami, a Doug nie miał już wątpliwości, że Kwiaciarz sprzątnie go zaraz po skoku.

Pokój 224 znajdował się na tyłach, w środkowej części jednopiętrowego hotelu Howard Johnson, który ciągnął się przez całą przecznicę. Nie

dochodziło tu słońce, nie było wygod – tylko szum telewizora, krzesło i stół nie od kompletu, sztywny dywanik z przędzy, prysznic wielkości kabiny telefonicznej i skrzypiące dwuosobowe łóżko – pokój na piętrze był marzeniem samobójcy. Doug odsunął sztywną, złachaną zasłonę i wyjrzał przez mozaikowe okno – jedna szybka była różowa – popatrzył przez Van Ness Street na ceglany mur ogradzający od południa stadion Fenway Park.

Od tej strony Fenway wyglądał jak fabryka, długa ściana z czerwonej cegły i stali z kwadratowymi okienkami ze szkła mętnego jak kawałki lodu. Wzdłuż tego muru rozmieszczonych było sześć starych bram, każda pomalowana na zielono, wszystkie bez oznakowań oprócz jednej, tej naprzeciwko okna pokoju Douga, ostatniej przed wyłożonym płótnem ogrodzeniem parkingu dla zawodników. Pod lampą z czerwoną ostrzegawczą żarówką wysprayowane na biało literki na zielonej bramie układały się w napis KARETKA.

Doug zdjął koszulę Deza, włożył inną, wyszedł z hotelu i przeciął ruchliwą Boylston Street – hotel stał w równej odległości od stadionu i Ogródków Fenwayowskich.

Podszedł powoli do furtki Claire. Żywotność letnich kwiatów kontrastowała z pociętymi łodygami, które zaśmiecały podłogę kostnicy Kwiaciarza. Chwasty zaczynały zarastać zaniedbane rabatki.

Doug patrzył na niecierpki posadzone obok zakopanych pieniędzy, nierówne i spragnione, zagrożone panoszącą się miętą, i zastanawiał się, kiedy Claire tu wróci.

Doug spędził wieczór w pokoju samobójcy, obserwując wchodzących przed meczem na stadion i wychodzących. Czerwona żarówka zapaliła się dwie godziny przed pierwszym rzutem, brama się uniosła i karetka wjechała przez nią ostrożnie tyłem. W ósmej rundzie podniosły się wszystkie bramy i wkrótce potem usatysfakcjonowany zwycięskim meczem tłum wyłał się na Van Ness, powoli się rozpraszając. Karetka wyjechała zaraz po tym, jak blazerami i infiniti odjechali spod stadionu ostatni gracze, i czerwona lampa zgasła. Reflektory nad stadionem wyłączono jakieś pół godziny później; potem kręcili się tu już tylko zbierający puszki bezdomni popychający apatycznie swoje wózki.

Tej nocy śniło mu się, że przygniotły go tylne koła opancerzonej furgonetki, że dwadzieścia ton przecina go na pół. Ale to nie Frank G. zdjął hełm strażacki i wziął Douga za rękę – zrobił to ten bankowy detektyw, Frawley, a w jego policyjnych oczach czaił się uśmiech.

Rano obudził go ryk klaksonu przejeżdżającej

ciężarówki – leżał w poprzek poślanego łóżka, ciągle we wczorajszym ubraniu. Spojrzał na budzik, wstał, odlał się, potem przysunął sobie krzesło do okna, usiadł i czekał.

O 9-17 zapaliła się czerwona lampa. Brama dla karetki podniosła się i nadjechał srebrzysty opancerzony furgon Provident Armored z podwójnymi tylnymi drzwiami, wykręcił, zatrzymał się i wjechał tyłem w wąską bramę. Doug zobaczył w szoferce dwóch konwojentów, ale był pewien, że biorąc pod uwagę wartość przesyłki, trzeci siedzi z tyłu na odchylanym siedzeniu. Zwrócił uwagę na inny ważny szczegół – a z okna na pierwszym piętrze miał dobry widok na ich twarze, ramiona i torsy – w uchu żadnego z konwojentów nie zauważył słuchawki. Wywnioskował z tego, że ich nie potrzebują, bo załadunek odbywa się za zamkniętą bramą.

Furgonetka wjechała tyłem i brama się zamknęła. Czerwone światło nad nią nie zgasło.

Drugi samochód, czarny suburban, zaparkował przy krawężniku Van Ness, nieco na prawo od zamkniętego wjazdu, i czekał, nie gasząc silnika. Doug widział, że kierowca jest najwyraźniej sam i mówi coś do krótkofalówki.

Obstawa. Sprawa się komplikowała.

O 9.31 brama dla karetki podniosła się, furgonetka wyjechała, skręciła w stornę Yawkey i

zniknęła. Kiedy brama zaczynała się opuszczać, czarny suburban ruszył spod krawężnika za furgonetką i kiedy przejeżdżał pod oknem, Doug odsunął się w głąb pokoju. Czerwona lampa nad zamkniętym wjazdem zgasła w tym samym momencie, kiedy zapaliła się lampka w przestępczym umyśle Douga, naświetlając szczegóły skoku.

PRAGNIENIE

Doug dojechał pomarańczową linią do przystanku Community College i ruszył pieszo pod górę w stronę Pearl. Niszczący dom na pochyłości zdawał się postarzeć o sto lat, od kiedy ostatnio go widział. Stały przed nim jego caprice i niebieski Palnik Jema.

Wszedł do środka nienaprawionymi frontowymi drzwiami. Przede wszystkim zależało mu na uniknięciu spotkania z Kristą. Na górze, u siebie, zakrzętnął się, napychając starą torbę ojca swoimi ubraniami. Jedyne czarne buty, jakie posiadał, te cisnące, które kupił specjalnie na pierwszą randkę z Claire, też tam wrzucił. Kiedy dotarło do niego, że już nigdy nie wróci do tego domu, jeszcze raz się rozejrzał – na koniec. Rzeczy osobiste kryminalisty – nieliczne, przesiąknięte znaczeniem – nabierały totemicznej aury, ale Doug z upływem czasu zredukował swój zbiór totemicznych symboli do jednego. Z dolnej szuflady biurka wyciągnął na koniec list z informacją o przyjęciu do drużyny, napisany na maszynie na papierze z nagłówkiem Boston Bruins i wsunięty w przezroczystą plastikową koszulkę, i włożył go do torby.

Schodząc po schodach, zatrzymał się poniżej podestu pierwszego piętra. Zamek w drzwiach mieszkania Jema był nadał wyłamany, framuga pokancerowana. Doug wrócił na podest, postawił torbę na podłodze i zapukał.

– Otwarte – usłyszał i wszedł, kierując się zwyczajowo do pokoju gier, ale zawrócił go z drogi głos Jema: – Tutaj! – dobiegający z widnego frontowego salonu.

Jem w przepoconym pod pachami podkoszulku z dekoltem w serek i czarnożółtych bokserkach z symbolem uśmiechniętej buzi pracował przy domku dla lalek – trójpokładowcu. Teraz zajmował się wykańczaniem wnętrza, wykleił go od środka ścinkami starych gazet imitującymi tapetę, zawiesił firaneczki w oknach, urządzał go w miniaturze, posadził nawet chudą drewnianą lalkę – Kristę – przy stole w jadalni na parterze. Jeśli nie liczyć pustego drugiego piętra, domek dla lalek był wierną repliką oryginału – i z zewnątrz, i od środka.

Jem skończył już wieżę i głośniki – wszystko skrupulatnie odtworzone: marka, paski korektora, maleńkie pokrętła – i wykańczał teraz telewizor do swojego miniaturowego centrum rozrywki.

– Słyszałem, jak się tam na górze tłuczesz – powiedział, nie oglądając się.

– Tak – potwierdził Doug. – Wpadłem po rzeczy. Na stole stała odkapslowana butelka budweysera,

w zniszczony dębowy blat wsiąkało kolejne mokre kółko.

– Gdzie cię nosi?

– Pracuję nad tym nowym numerem – wyjaśnił Doug, odrywając wzrok od buda. – Wszystko zaczyna się pomalutku zazębiać.

– Dobrze to słyszeć. Odprowadzasz wieczorami do domu gości z bankowozu?

– Nie – powiedział Doug. – Już tego nie robię.

Jem odstawił telewizorek, żeby wysechł.

– Sprzęt gotowy – dodał, układając kciuk i palec wskazujący w pistolet. – Mam broń. Maski do mundurów niepotrzebne.

– Gloansy uprosił już Joanie, żeby je wyprała?

Latem 1993 roku Gloansy był kierowcą na planie jednego z najgorszych filmów w dziejach kina, opowiadającej o bostońskiej brygadzie antyterrorystycznej Eksplozji. W trakcie zdjęć ten kleptoman poszedł na całość i zwędził z przyczepy-przebieralni cztery mundury policyjne, z odznakami, pasami i czapkami do kompletu. Wszystko oprócz butów. Kostiumy były tak łudząco podobne do autentycznych mundurów, że następnego dnia o kradzieży pisały gazety i Gloansy ego – tak jak resztę ekipy filmowców – przesłuchano. Ukrył mundury na strychu u przyszłej teściowej, gdzie aż do tego tygodnia spokojnie przeleżały.

– Twój mam tutaj – powiedział Jem. – Jego

kobita trochę je poprawiła, więc lepiej sprawdź, czy twoim portkom nie wyrosła trzecia nogawka. I wciąż czeka na decyzję, jaki wóz będzie nam potrzebny do tej roboty.

– Powiedz mu, że już się tym zająłem.
Organiczna całość.

Jem kiwnął głową, nie wchodząc w szczegóły. Potem zamilkli, rozważając, każdy po cichu, prowizoryczny rozejm.

– Słyszałem, że zamierujesz zmienić klimat.

– Może. No.

Jem kiwnął głową.

– Tak pytam, bo muszę wiedzieć, czy mam dla ciebie trzymać to drugie piętro, czy nie. Wiesz, chodzi o Shyne – nie chcę, żeby się dzieciak zastanawiał, co to za gościu się tam zagnieździł na górze w mieszkaniu wujka Duggy’ego.

Jem umieścił nawet na dachu repliki przewodów, którymi podpinał się do kablówki Douga.

– Jestem na wylocie – przyznał Doug. – A jeśli ta fucha pójdzie tak, jak powinna, to ty też powinieneś się wycofać. Taka wcześniejsza emeryturka.

Jem rozważał to, nie odrywając wzroku od domku.

– Może masz i rację.

– Stary, wszystko się zmienia. To żaden obciach.

– Pewnie, że nie.

– Mieliśmy kurewsko dobrą passę.
Dorównaliśmy najlepszym.

– Nie, to my jesteśmy najlepsi.

– Jak się za bardzo skumasz z Kwiciarzem...
chłopie, to zwyczajny alfons. Będzie na tobie jeździł
jak na łysej kobyle, aż w końcu noga ci się powinie, i
dupa blada.

Jem ściągnął brwi i Doug zrozumiał, że Jem go
podpuszcza.

– A tak na marginesie, w kontekście stawki, z
jaką mamy do czynienia i wszystkich zmiennych,
jakie tu wchodzi w grę – lepiej spakuj spadochron.
Wszystkim nam by się przydał. Na wypadek obsuwy.

– E tam – obruszył się Jem. – Pójdzie jak po
maśle.

– Jasne. Ale lepiej na zimne dmuchać.

Jem pokręcił głową.

– Ja się stąd nigdzie nie ruszam. Jak będzie
trzeba na jakiś czas przystopować, poczekać, aż
sprawa przyschnie, to czemu nie. Ale z Town się nie
ruszę.

Doug odwrócił się do okien, niepokoiła go wiara
Jema w niezmienną przyszłość. Gdyby mógł,
zbudowałby makietę całego Town, siedział w swoim
pokoju i do końca świata przestawiał na niej ludziki.

– Dalej tam są? – zapytał Jem.

Doug spojrział na zaparkowany na wzgórzu, kilka
domków dalej, szary furgon z podwójnymi antenami

i przyciemnionymi szybami.

– Są.

– Głupie chuje – prychnął Jem, sięgnął po piwo i pociągnął sążniste łyka. – Pójdzie zajebiście, stary. Zajekurwa-biście.

Okolice pierwszoligowego stadionu to pole minowe dla alkoholika na odwyku. W hotelu Douga, od frontu, był barek o baseballowym wystroju i Doug siedział tam teraz sam, przy stoliku pod przyciemnionym oknem, i przyglądał się alkoholowej rozgrzewce kibiców na dwie godziny przed meczem. Na ścianie obok wisiało zgaszone logo Bud Mana, superpiwosza lat siedemdziesiątych. Kiedy podeszła kelnerka, Doug rzucił: – Beczkowego buda.

Poczuł się jak kulturysta przęający mięśnie na plaży. Zobaczmy, jaki jestem twardy.

Frank G. mawiał zawsze: „Nigdy nie wchodzi do knajpy ani monopolowego, a zwłaszcza nie wchodzi tam sam”. Ale czasami aż się prosiło, żeby skusić los. Czasami trzeba było podejść na skraj przepaści, choćby po to, żeby przypomnieć sobie, jakie to uczucie leżeć tam, na dnie.

Piwo przyniesiono mu w niskiej szklance, na koktajlowej serwetce, jak petenta na modlitewnej macie. Doug spojrział na cienką pianę, odbył ze sobą krótką naradę, po czym skreślił przeciwnika jako niegodnego siebie. Wartość złożonego ślubu mierzy

się siłą pokusy, jaka jest w stanie go złamać, ta była za słaba. Rzucił na stół trzy wymięte jednodolarówki i z czystym sumieniem wyszedł we wszechwiedne, wszytkowidzące światło dnia.

Znowu przeszedł przez ulicę do ogródków. Podeszedł do jej furtki i stwierdził, że ciągle jeszcze jej tu nie było. Kilka liści leżało teraz wokół jej poletka, niczym martwe myśli w pustym umyśle. Coś małego podzerało pracowicie jej rośliny.

Tego ranka, po rozstaniu się z Jemem, poszedł z torbą pełną brudów na drugą stronę wzgórza pod Klub dla Chłopców i Dziewcząt, żeby spróbować szczęścia. Nie zobaczył jej tam jednak i nie wchodził. Zatrzymał taksówkę i pojechał ostatni raz na uliczkę za Packard Street. Śliwkowy saturn z nalepką Sztachnij się! na zderzaku wrócił na swoje miejsce parkingowe. Kiedy taksówka wyjeżdżała na City Square, Doug ostatni raz się obejrzał – decyzja o bezpowrotnym opuszczeniu Town została podjęta.

W piątek wieczorem Doug i Dez wybrali się na przechadzkę po salach z żelaza i kamienia pod trybunami, gdzie tym razem kłębiły się rzesze głodnych kibiców z parciem na pęcherz.

Znudzony wartownik stał w krótkim przejściu między drzwiami z napisem „Wstęp tylko dla pracowników” i tymi masywniejszymi do skarbcza. Doug i Dez zrobili jakieś pięć rundek wmieszani w

snujące się tłumy, oswajając się z rozkładem – nic nowego nie wpadło im w oko.

Karetka stała za zamkniętą bramą pod ambulatorium, dwójka sanitariuszy siedziała na metalowym schodku z tyłu pojazdu zajęta podrywaniem dwóch dziewczyn. Wzrok Douga podążył wzdłuż szyn, po których brama podjeżdżała do góry, i zlokalizował ręczny wyłącznik czerwonej lampy na zewnątrz.

Ponaddziesięcioosobowe kolejki do kas ciągnęły się do pojemników z jedzeniem i wodotrysków, plamy przypraw na kamiennej posadzce przypominały łajno nietoperzy. Gdzie tylko spojrzeć, pieniądze zmieniały właściciela i Doug powinien być w siódmym niebie. Dziewczyny z twarzami przysłoniętymi czerwonymi daszkami podawały precle w serwetkach i nakładały z maszyn lody waniliowe do limitowanej edycji kubka w kształcie czapeczki odbijającego, dzieciaki skakały z proporczykami, plakatami i zdjęciami zespołów z nadrukowanymi autografami, nagabywani ojcowie wyciągali z portfeli zielone. Ubrani na żółto sprzedawcy przekąsek pchali puste półki na napoje i skrzynki po hot dogach do tętniącego życiem pomieszczenia przy wejściu D, z którego za chwilę wychodzili objuczeni towarem, by pomaszerować z powrotem na trybuny. A tego wieczoru było gorąco, trzydzieści stopni, i wysoka wilgotność przez cały

weekend, co fani Red Soksów zwali żarową, marzenie sprzedawców lodów i coli.

Jednak Doug patrzył na to wielkie żarcie i szastanie forszą przez pryzmat obrzydzenia. Świniaki i szaflik. Ominął kupę serowych nachos, która wyglądała, jakby ktoś ją tam faktycznie wysrał, i zatrzymał się dopiero w męskiej toalecie, przed podłużnym urynałem. Stadion jawił mu się teraz jako fabryka gówna, szczyn i szmalu. W gruncie rzeczy branża baseballowa była nie lepsza i nie różniła się właściwie od filmowej czy kościelnej: przygotować widowisko, obiecać ludziom coś transcendentalnego, a potem wydoić frajerów do czysta.

Usiedli z powrotem na swoich miejscach w szóstym rzędzie, tuż za palikiem prawego pola. Odbita nieczysto piłka poszybowała im wysoko nad głowy, zwolniła w apogeum jak fajerwerk czekający na wybuch, rozbłysk, rozerwanie, po czym znikła za zadaszonymi trybunami, spadając na Van Ness. Kibice wydali z siebie zbiorowy jęk zawodu i usiedli, wszyscy prócz Douga i Deza, którzy się nawet nie podnieśli.

Doug siedział przygarbiony nad torebką orzeszków ziemnych, które wsuwał jednego za drugim. Jakiś pajac dwa rzędy za nimi rozlał piwo, które spływało teraz pod krzeselko Douga, przywodząc na myśl szczyny. Upuszczał w nie łupiny, żeby wchłonęły płyn, tak jak same orzeszki

absorbowały nadprodukcję śliny w ustach. Nigdy by się nie skusił na piwo z Fenway.

Myślenie o piciu było teraz jak fantazjowanie o zbrodni doskonałej. Jak by jej dokonał – gdyby miał dokonać.

Przepełnęła przez nich anemiczna fala, kibice dokoła wstawali i siadali, ale Doug i Dez i tym razem nie ruszyli się z miejsc.

– A ja myślałem, że najbardziej działa mi na nerwy siatkówka plażowa – powiedział Dez.

– Jebane bezmózgowce – wymamrotał Doug.

Dez zerknął na niego.

– Co z tobą? Cały wieczór jesteś jakiś nie w sosie.

Doug zmarszczył brwi, otrząsnął się.

– Myślałem, że wpadnę w trans przed akcją, ale nic z tego. Przed skokiem zawsze nerwy mnie zżerają.

– A poza tym?

Doug strzaskał kolejną łupinę.

– Żeby mieć to już za sobą.

– Duggy, zawsze powtarzałeś, żebyśmy nie przeginali.

– Fakt – przytaknął Doug.

– I żebyśmy nie byli pazerni.

– Zgadza się.

Dez zmierzył go wzrokiem.

– Chodzi o tę dziewczynę?

Doug pokręcił głową.

– Z dziewczyną już koniec.

– O tym właśnie mówię.

– Chodzi o Kwiciarza, o FBI, o, kurwa, wszystko.

Dez patrzył, jak Doug wtrącała orzeszki.

– Spokojnie, w środku nie ma losów.

Doug rozłożył ręce i widząc stertę łupin między butami, roztrącił ją kopniakiem, jak kupę śmieci – swoje życie. Woń cienkiego piwa nacierała na niego ze wszystkich stron, ale zwłaszcza od siedzącego obok faceta w nowiutkiej czapeczce Soksów.

– Dezi, stary, słuchaj. Sporo o tym myślałem i ta akcja nie jest dla ciebie. Nie ma tu nic do roboty przy instalacjach, żadnej specjalistycznej dłubaniny. Wchodzimy od frontu z gnatami. Jak coś się rypnie, to może być gorąco. Mówię serio.

Dez spojrzał na niego.

– Myślisz, że nie umiem...

– Co do tamtych dwóch, to nie ma mowy, żebym ich zniechęcił. Szkoda strzępić język. Dziś rano powiedziałem Jemowi, żeby się spakował, tak na wszelki wypadek, nawet mnie nie słuchał. Ale ty. Ty jesteś mądrzejszy. I to ja cię w to wciągnąłem. Dez, wiesz, że cię wykorzystałem, nie? Znaczący, na samym początku.

– Pewnie.

– Bo kawał ze mnie skurwysyna. Bo wtedy liczył

się tylko udany skok, reszta gównem mnie obchodziła. Ale teraz jestem za ciebie odpowiedzialny i nie chcę cię mieć na sumieniu, jasne? Bo to końcówka. A ty z Kwiciarzem zadawać się nie chcesz. Pomyśl o ojcu.

Dez spojrzał na boisko.

– Dużo o nim myślę. Chyba nawet za dużo.

– Chuj w dupę Kwiciarzowi. To dinozaur. A jak on pójdzie na dno, to za nim całe Town. Skończy się pewna epoka.

– Ktoś musi się nim zająć – powiedział Dez zapatrzony w boisko.

– Nawet o tym nie myśl. Hej. – Doug trącił go w ramię. – Nie chcę słyszeć takich rzeczy.

Dez pokręcił głową.

– Duggy, ja się nie wycofam. Nawet gdybym chciał. A nie chcę. Poza tym nie dacie rady we trójkę.

– Spokojna głowa.

– Kłamiesz. Kłamiesz w żywe oczy, i to mi się, Duggy, nie podoba. Jesteś zdesperowany. A sam mnie uczyłeś, że w takim stanie nie można iść na robotę.

– To na nią nie idź. Zostań w domu.

– Zgoda. Ale tylko jeśli ty też nie pójdziesz.

– Skończ z tym pieprzeniem kotka za pomocą młotka.

Doug strzaskał ostatnią łupinę, potem zmiął pustą torebkę i cisnął ją na ziemię.

– Zgadza się, jestem zdesperowany. Moje życie

to – a jebać to. Jeszcze dwa, trzy tygodnie temu mogłem się wycofać, odpuścić sobie. Ale teraz muszę to zrobić. Rzygać mi się chce na samą myśl o tym wszystkim – Fergie, federalni – pies ich wszystkich jebał. Ale nie odejdę z pustymi rękami. Myślałem, że ten ostatni wielki skok pozwoli nam wszystkim przejść na zasłużony odpoczynek, teraz widzę, że Jem z tym nie skończy. Gloansy też nie. Marzenie ściętej głowy. Ale ty – ty masz po co żyć, masz pracę, mamę, którą trzeba się zająć.

– Jest w tej robocie coś, czego mi nie mówisz?

– Mówię ci, że powinieneś ją sobie odpuścić. Możesz to zrobić z czystym sumieniem. Ja? Ja puściłem szmatę i nie mam teraz innego wyjścia, muszę wyciągnąć piłkę z siatki i postawić wszystko na jedną kartę. Muszę kupić sobie prawo do wycofania się z interesu. Innego wyjścia nie ma.

Tłum znowu zafalował, ludzie zrywali się z miejsc, odskakując przed spadającym rykoszetem.

– Kurwa!

Coś chlusnęło Dougowi na kolana. Chłód przesiąkł przez koszulę na piersi, spłynął w dół po rękach.

Mężczyzna obok wyprostował się, wstał, z pustego kubka kapłała resztką piwa.

– Jezu! – krzyknął, przy czapeczce dyndał mu hologram MLB. – Cholera, przepraszam. Dam panu serwetki, coś za to kupię...

Doug wstał i przylutował facetowi w twarz. Gość poleciał na rząd siedzeń za nimi, nowiutka czapeczka spadła mu z głowy.

Doug skoczył za nim i bił dalej, aż ktoś – Dez – złapał go od tyłu za ramiona i praktycznie wlaźł na plecy, żeby go uspokoić. Wszyscy wrzeszczeli bez składu i ładu, Doug był gotów odwrócić się i Dezowi też przyłożyć.

Powstrzymał go widok chłopca, śmiertelnie przerażonego ośmiolatka siedzącego krzeselko dalej. Też w nowej czapeczce. Synka mężczyzny.

Odepchnął Deza i przemknął obok struchlałego malca do przejścia, i kiedy na miejscu incydentu pojawiły się niebieskie koszule ochroniarzy, on zbiegał już po rampie do podziemi. Wyszedł przez pierwszą otwartą bramę i puścił się biegiem ulicą – uciekał przed unoszącym się z niego fetorem piwnych sików, od którego łzawiły mu oczy.

PLAN UCIECZKI

Po meczu dwa pokoje dalej odbywała się impreza. Doug leżał na łóżku, słuchając chcąc nie chcąc muzyki, śmiechów z korytarza, nocnych plusków z hotelowego basenu. Zajął umysł kombinowaniem, jak by tu zrobić Kwiciarza w skok, a jednocześnie nie odpalić mu działki. Taki przekręt skazałaby całą ich czwórkę na dożywotnią banicję z Town – zbawienne rozwiązanie. Był to plan i mściwy, i heroiczny, ale zmęczyło go dopracowywanie szczegółów i zasnął szczęśliwy. Kiedy obudził się w sobotę rano, logika projektu rozlazła się jak mokra chusteczka higieniczna.

We śnie, który zapamiętał, oglądał losowanie w hotelowym telewizorze, Claire Keeseey w połyskującej sukience wyciągnęła z maszyny losującej cztery zera z rzędu, co odpowiadało wydrukowi na kuponie, który Doug trzymał w dłoni.

Zaczął krążyć po pokoju, żeby nie ciągnęło go na zewnątrz, do kłopotów. Przez cały czas chodził mu po głowie żałosny basebalowy barek na parterze hotelu. Ciągle jeszcze było tyle rzeczy do dopięcia. Plan ucieczki, który obmyślił, był dobry, może nawet genialny – ale ciągle nie miał planu ucieczki dla

siebie. Z Town nie dało się ot tak sobie zwiać.

Wymknął się tylnym wyjściem na końcu korytarza i zrobił rundkę dookoła stadionu. Mijając Boston Beer Works, Uno's, Bill's Bar, Jillian's, wmawiał sobie, że to tylko mały rekonesans. Wszystko dałoby się znieść, pomyślał, gdyby tylko finał był do przewidzenia. Teraz potrzebował – a nie miał – wizji przyszłości, dla której warto być twardym. I nagle dotarło do niego, dlaczego tak kiepsko mu idzie z przygotowywaniem własnej ucieczki.

Wracając po raz trzeci lub czwarty w ciągu tyłuż dni do ogródków, słyszał nazwiska graczy wywoływane przez głośniki Fenway. Jej działka wyglądała na pustą, prawie mu ulżyło, kiedy się odwracał, ale wtedy kątem oka wychwycił poruszenie. Spojrzał i zobaczył ją – stała na środku swojego poletka.

Nie dał sobie czasu, żeby stchórzyć ani myśleć. Serce kołatało mu w piersi, kiedy zbliżał się do furtki, nakazując mu tam podejść, zagłuszając głos rozsądku, który mu to odradzał.

Odwróciła się, kiedy furтка zaskrzypiała. Słomiany kapelusz z opadającym rondem przysłonił szok na jej twarzy, odsłonięte ręce i nogi lśniły w popołudniowym słońcu. Biały Tshirt i dżinsowe szorty, para nożyc ogrodniczych w osłoniętych rękawicami dłoniach. Utyłane kolana.

– Pozwól mi coś powiedzieć.

Zrobiła krok w tył, sekator wypadł jej z dłoni. Była speszona, przestraszona – tak reagowała teraz na jego widok.

– Nie daję rady – dodał.

Patrzyła na niego jak na kogoś, kogo zamordowała, a on wraca teraz z zaświatów.

– Poradzimy sobie – powiedział. – Damy radę, wiem, że damy. Odbudujemy to. Jeżeli tylko chcesz. Chcesz?

– Idź sobie, proszę.

– Poznaliśmy się w pralni. Płakałaś...

– Poznaliśmy się w banku, na który napadłeś...

– Poznaliśmy się w pralni. To będzie prawda, jeżeli w nią uwierzysz. Ja wierzę. Pamiętasz tamten pierwszy wieczór na dachu? Jesteśmy tymi samymi ludźmi.

– Nie jesteśmy.

– Wykorzystałem cię. Przyznaję. I zrobiłbym to samo, dokładnie to samo, gdyby to była moja jedyna szansa, żeby się do ciebie zbliżyć. Gdybym ci teraz powiedział, że żałuję, tobym skłamał.

Kręciła głową.

– Chcesz kontrolować swoje życie. Sama to powiedziałaś. Chcesz nad nim panować. A ja chcę ci dać panowanie nad losem nas obojga. Wszystko, co się nas tyczy, jest w twoich rękach.

Słowa same wypadały mu z ust. Słuchała. Doug

pokazał na reflektory nad stadionem.

– W poniedziałek – powiedział. – Za dwa dni. Opancerzony furgon wjedzie na teren stadionu po utarg z weekendowych meczów. Ja tam będę.

Patrzyła. Bez ruchu. Przerazona.

– Jest mi już wszystko jedno – przyznał Doug. – Na niczym mi już nie zależy, z wyjątkiem ciebie. Po tym skoku kończę z tym. Znikam.

– Po co mi to mówisz? – Dłonie na końcu opuszczonych wzdłuż ciała rąk zwinęły się w pięści. – Dlaczego mi to robisz?

– Frawley pewnie ci powiedział, co... żeby przekazywać mu wszystko, co ode mnie usłyszysz? Okay. Tym, co ci teraz powiedziałem, możesz mnie usadzić na zawsze. Jeżeli mnie nienawidzisz, jeżeli chcesz się mnie pozbyć, to tak będzie najprościej.

Stanowczo pokręciła głową. Nie wiedział, czy to znaczy, że na niego nie doniesie, czy że nie chce, żeby pozostawiano jej ten wybór, czy że nie chce go już więcej słuchać.

– Ale jeśli tego nie zrobisz – mówił dalej – to ucieknij ze mną. Po wszystkim. O to przyszedłem cię prosić.

Była zbyt zszokowana, żeby się odezwać.

– Odczekamy razem, aż obejmie mnie przedawnienie. Gdzie tylko zechcesz. W twoim „gdyby tylko”.

Przerwało im parsknięcie konia. Doug usłyszał

tętent kopyt i zobaczył, jak wzrok Claire ucieka w lewo, jak jej oczy się powiększają. W ich stronę kłusował ścieżką policjant na koniu.

– Decyzja należy do ciebie – powiedział Doug, cofając się do furtki. – Moja przyszłość, nasza przyszłość – wszystko zależy od ciebie.

Był już poza jej działką, stukot kopyt zbliżał się.

– Doug... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Mieszkam w hotelu Howard Johnson po drugiej stronie ulicy. – Podał jej numer pokoju i nazwisko. – Albo na mnie donieś, albo ze mną ucieknij – powiedział, po czym ruszył w stronę stadionu, z powrotem do swojej roboty.

NOCNE MARKI

Sobotni wieczór zastał Frawleya w furgonetce do inwigilacji niepodal bazy Magellan z młodym agentem o imieniu Cray wypożyczonym z wydziału przestępstw gospodarczych. Dino zwinął się o siódmej, kiedy w bazie zrobiło się ciemno, ruch na płatnej autostradzie nad nimi był najmniejszy od tygodnia, przez który Frawley siedział już na czatach, Cambridge Street zdominowały nocne marki miotające się między Allston i Cambridge, z knajpy na imprezę, do klubu. Cray, podobnie jak Frawley kawaler – żonaci w weekend brali zazwyczaj wolne – przez jakiś czas prowadził w radiu nocny program zatytułowany X Night, nadawany na żywo i bez reklam z jednej z dyskotek przy Landsdowne Street.

Aktywność szajki w okolicy bazy praktycznie zamarła. Magloan był tu wczoraj przez dwie godziny w ciemnych okularach, pluskwa w jego samochodzie zarejestrowała chrapanie. Coughlin objechał bazę dokładnie raz, choć ekipa z Pearl Street donosiła o sporej aktywności pod jego domem. Tylko Elden ich nie zawiódł, zatrzymywał się tu codziennie na lunch – nawet tamtego dnia, kiedy uwolnił się od mikrofonu, podmieniając furgonetki.

Frawleya najbardziej jednak niepokoiło, że znaku życia nie daje MacRay. Od kilku dni nie widziano go w okolicach bazy, a jego caprice od tygodnia nie ruszył się z miejsca parkingowego na Pearl Street. Frawley pognał do Charlestown, kiedy oddział z Pearl Street zauważył, jak MacRay wychodzi z domu z czymś, co wyglądało na rzeczy do prania, ale mężczyzna ulotnił się przed jego przybyciem.

Spodziewał się, że przed samym skokiem banda będzie się trzymała na dystans, ale powinien widzieć większą aktywność w okolicy celu – zwłaszcza że za trzy dni Eldenowi wypadał dzień wolny.

Krista Coughlin już dwa razy rzuciła słuchawkę po jego telefonie. Martwił się, czy nie przedobrzył, czy po tamtej pierwszej próbie zwerbowania nie poszła do MacRaya, może go spłoszyła.

Cray stukał ołówkiem w deskę rozdzielczą do rytmu muzyki techno, siedzenie pasażera służyło mu za biurko, na którym czytał akta.

- Materiały wybuchowe?
- To tylko hipoteza – wyjaśnił Frawley.
- Trzy zjazdy z autostrady. Jak na zamówienie.

Frawley kiwnął głową, potem zamyślił się, oparty o ścianę furgonetki. Nie odzywał się ani nie ruszał tak długo, że Cray przestał stukać i spojrzał na niego.

- Grałeś kiedyś w hokeja? – zapytał Frawley.

– Żartujesz? Wychowałem się w północnej Minnesocie, bliżej Winnipeg niż Minneapolis. A ty?

– Biegałem. Grałem trochę w kosza. A że nie jestem za wysoki, musiałem sporo chachmęcić. W hokeju dużo się chachmęci?

– Jeszcze jak, ciągle. – Cray poruszał ołówkiem po teczce jak kijem hokejowym. – Powiedzmy, że wrywasz się do przodu. Jesteś sam na sam z bramkarzem. Wchodzisz ostro, on ustawia się na środku bramki, kij na lodzie, rozstawione łokcie. Bierzesz zamach, pozorujesz mocny strzał. Bramkarz się rzuca. Masz go jak na dłoni. Wbijasz mu krążek od niechcienia tuż obok łyżwy... i kibicom gospodarzy opadają szczęki.

Frawley kiwnął w zamyśleniu głową. Po chwili otworzył pchnięciem tylne drzwi wozu i wysiadł na żwirowe pobocze. Spojrzał na otoczoną podwójnym ogrodzeniem bazę furgonetek opancerzonych Magellan, potem na autostradę nad nimi, na samochody pędzące do miasta i pomyślał: I kibicom gospodarzy opadają szczęki.

POKÓJ SAMOBÓJCÓW

Trzydzieści cztery tysiące krzesełek. Razy trzy wyprzedane do ostatniego miejsca mecze.

Równa się sto tysięcy gąb.

W sobotę i niedzielę poranne mecze, mnóstwo dzieci na trybunach: multum napojów gazowanych, piw, lodów; nie licząc już programów, Tshirtów, czapeczek, upominków.

Po zaokrągleniu... powiedzmy dwadzieścia pięć dolarów na łebka. Razy sto tysięcy.

Dwa i pół miliona dolarów.

Plus bilety kupione w okienku w dniu meczu, minus bilon – mniej więcej się równoważy.

Odjąć od tego lichwiarskie czterdzieści procent Fergiego, podzielić na cztery.

Siedem minut pracy równa się mniej więcej czterysta patyków na głowę.

W niedzielę wyszedł z pokoju tylko raz, około południa. Przechadzka wokół stadionu przed meczem była niezbędnym minimum przed samym skokiem, starał się nie spoglądać na knajpy, końcówkę skrócił i zameldował się z powrotem pod numerem 224, przekonany, że Claire będzie tam już na niego czekała. A przynajmniej zastanie sygnalizujące

wiadomość od niej migotanie światełka na telefonie.

Nic. Na wszelki wypadek podniósł słuchawkę, upewnił się, że aparat działa, potem poszedł do recepcji zapytać, czy nie ma dla niego wiadomości, wrócił biegiem do pokoju zaniepokojony, czy akurat do niego nie dzwoni.

W okolicy trzeciej rundy zaczął sobie wmawiać, że się nie denerwuje. Otworzył jedyne ruchome skrzydło okna i wsłuchiwał się w uliczne hałasy na Van Ness, mecz leciał w telewizorze z wyłączonym dźwiękiem. Pospacerował po pokoju. W pewnej chwili zobaczył przez okno policjantkę na chodniku i zaciągnął zasłony, potem przyglądał się ukradkiem, jak przechodzi obok czerwonego światła nad zamkniętym wjazdem dla karetek. Zniknęła za rogiem i już nie wróciła, a Doug powiedział sobie, że to nic ponad to, co widział: policjantka na rutynowym patrolu. Żadna tam agentka obserwująca jego pokój.

Claire nigdy by go nie wydała FBI. Podsunał jej tę myśl tylko dlatego, że wiedział, że tego nie robi.

To ten pokój w nią wątpił. Nędzny pokoik samobójców, który podszeptował mu, że otworzenie się przed Claire było błędem. Na co Doug odpowiadał: „Spierdalaj”.

W kółko wracał myślami do ich spotkania w jej ogródku. Gdyby tylko kazała mu się wycofać. Odpuść sobie, zrób to dla mnie. To on by to zrobił.

Odwołałby swój udział w skoku i wyjechał bez cienia żalu. Za daleko zaszedł, żeby ryzykować ich wspólną przyszłość dla tego ostatniego skoku. Jego ostatnim skokiem była Claire Keeseey. I wystarczyłoby mu, gdyby do niego wróciła.

Uczepił się ze wszystkich sił tej wyidealizowanej wizji, ale z upływem godzin jego wiara zaczynała słabnąć. Usłyszał hałas dobiegający z ulicy i przykucnął przy oknie. Ale to był tylko koniec meczu. Podnosząc się, czuł się – zasłużenie – jak idiota, potem zaczął krążyć po pokoju, wokół telefonu, a popołudnie dobiegało końca.

Okolo szóstej Doug przymierzył mundur przed lustrem na drzwiach łazienki. Ze swoim wzrostem i fryzurą wyglądał jak prawdziwy gliniarz. Aż za bardzo – glina z lustra przyglądał się Dougowi tak, jakby chciał mu powiedzieć, że popełnia gruby błąd.

Doug zdjął mundur i przespacerował się po pokoju w samej bieliźnie. Czy Claire mogła zapomnieć nazwisko, pod jakim się zameldował? Czy mogła pomylić hotele?

Odruch, żeby do niej zadzwonić, był równie silny jak zwodniczy. Nawet z budki; na sto procent mieli ją na podsłuchu.

Nie wiadomo który już raz zerknął przez pokojowego judasza, mając przed oczyma wyobraźni Frawleya i antyterrorystów opróżniających hotel,

przeszukujących pokój po pokoju.

Uznał, że posiłek dobrze mu zrobi, ale kiedy po ósmej pojawił się rozwoziciel pizzy z Domino, Doug był już na skraju paranoi, dopatrywał się w mężczyźnie tajniaka, szybko mu zapłacił i spławił. Położył pudełko z pizzą na telewizorze i nawet nie uniósł wieka.

O dziesiątej brał gorący prysznic, usiłując przegonić czarne myśli, kiedy wydało mu się, że słyszy pukanie. Zakręcił kurek i stał kilka bezcennych sekund wsłuchany w skapującą wodę, potem wziął ręcznik, podszedł mokry do drzwi i otworzył.

Na środku korytarza trzy pokoje dalej stała kobieta, która odwróciła się szybko na dźwięk otwieranych drzwi. To nie była Claire, lecz Krista, z Shyne wiszącą jej przy biodrze.

Doug miał zbyt wielką pustkę w głowie, żeby coś powiedzieć. Nie ruszył się od drzwi, Krista do niego podeszła, zerknęła mu przez ramię do pokoju, Shyne zamrugła jej na piersi ociężale.

– Masz sok albo mleko? – Wskazała pustą butelkę Shyne. – Skończyło mi się.

Wycofał się do pokoju i wszedł do łazienki, żeby wciągnąć spodnie. Kiedy wyszedł, Shyne siedziała po turecku na podłodze, ssła duży smoczek z różową rączką i ścisnęła swój plecaczek pełen zielonego

mountain dew, zapatrzona w program lecący na HBO. Krista stała w nogach łóżka i przyglądała się wiszącemu na drzwiach mundurowi policjanta.

– Dez mi powiedział, że tu jesteś.

– Czego chcesz, Kris?

– Zobaczyć cię, zanim znikniesz.

Doug uniósł ręce i je opuścił.

– No to zobaczyłaś.

– Dać ci ostatnią szansę.

– Kris – powiedział. Już wiedział, jak to się skończy: Claire przychodzi do niego spóźniona, spakowana, widzi Kristę i Shyne.

Usiadła na skraju łóżka.

– Wiesz, że ten mój brat, kutas jeden, nie dał mi nawet samochodu?

– Nie możesz tu zostać. Za parę godzin mamy tu zbiórkę.

– Jakbym była jego niewolnicą. On i to jego mantykowanie, mam go potąd.

– Auta są uziemione, wiesz przecież. Jak tu przyjechałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Nie miałam innego wyjścia.

Doug podszedł do okna, zobaczył swojego caprice zaparkowanego skosem na parkingu przed hotelem. FBI będzie miało jak na dłoni jego wóz przy Fenway noc przed skokiem.

– Ukradłaś mój wóz.

– Według dowodu rejestracyjnego pożyczylam swój samochód.

Spojrzał na nią.

– Co tu jest grane?

– Też jestem gotowa, żeby stąd spadać. Podjęłam decyzję. Potrzebna mi jest odmiana, tak jak tobie. Myślę, że z dala od Town mogłabym być inną osobą. Z dala od niego. – Zerknęła na masakrę w telewizorze, ludzi wybiegających z płonącego budynku. – Wiesz, jak twój wyjazd go wpienił. Myśli, że tu się przed nim ukrywasz. Powiedziałam mu, że chowasz się przede mną. – Odwzajemniła jego spojrzenie. – Przed kim się chowasz?

– Nie chowam się.

– Dzisiaj przykurzył. Usmażył się. Może to cię zainteresuje.

Doug odchylił się na piętach, pięści same mu się zacisnęły.

– Wiesz, co go czeka, kiedy stąd wyjedziesz. Bez ciebie zginie, położą łapę na jego połówce domu, i co wtedy będzie ze mrtwą?

– Nie mogą zabrać domu.

– Akurat. A co z moim zabezpieczeniem? Dlaczego muszę was prosić o samochód i prac Jemowi jego zaszranie gacie?

– To sprawa między tobą a...

– To nie dla niego czekałam. Nie dla niego byłam tyle lat tak kurewsko cierpliwa. Znosiłam jego

fochy tylko dlatego, bo wierzyłam, że kiedyś przyjdzie mój czas. Nasz czas. Duggy, całe moje życie jest uzależnione od ciebie. Czy nie byłam ci wierna?

– Co ma wspólnego wierność z...

– Ma wiele wspólnego z uczciwością. Ma wiele wspólnego z tym, żebyś mnie traktował tak, jak na to zasługuję. Byłam tu od samego początku – przed Dezem, i na długo przed Joanie. Byłam wierna i cierpliwa. Ale nie dam się odrzucić. Nie zasługuję na to, żebyś mnie zostawił.

– Kris – zaczął, ale nie miał jej nic do powiedzenia, nie wiedział, co się kryje za jej tyradą.
– O co ci, kurwa, chodzi? Chcesz stąd wyjechać? No to wyjeżdżaj, tak jak ja. Żadne z nas nie jest przykute do Town łańcuchem. Tak samo jak nie jesteśmy skuci ze sobą nawzajem.

– I tu się mylisz. – Jej uśmiech zupełnie tu nie pasował. –

I tu się mylisz.

– Musisz sobie odpuścić. Każdy dzień w tym samym domu, spacer po tych samych ulicach, ten sam skrawek nieba nad głową – tak to się kończy. Za mocno się tego uczepiłaś, przeświadczona, że wszystko będzie wiecznie takie samo.

– Tylko dlatego, że trochę się posprzeczailiśmy, tylko dlatego, że przechodzisz tę fazę...

– To nie jest żadna faza – przerwał jej Doug,

chcąc zakończyć rozmowę. – Wyjeżdżam. Wyjeżdżam z inną kobietą.

Czuł się parszywie, mówiąc to, bo sam tak bardzo chciał w to uwierzyć. Nie dlatego, że to zraniło Kristę. Krista przyszła tu po to, żeby ją zranił. Przyszła zmusić go, żeby ją zranił, a potem wziąć go na litość, żeby został. Dlatego przytaszczyła ze sobą Shyne.

– Kris – powiedział Doug, zerkając ponownie na głuchy telefon. – Wychowaliśmy się razem. Jesteśmy jak brat i siostra...

– Tylko mi tu nie wciskaj żadnych, kurwa, cukierkowych historyjek.

– I powinno było tak zostać. Żałuję, że tak nie zostało. Za bardzo się do siebie zbliżyliśmy. To nie było w porządku.

Wstała i podeszła do niego. Sięgnęła do odsłoniętego brzucha, jego mięśnie naprężyły się, był przyciśnięty do okna. Jej dłonie ujęły go po bokach i wtuliła się w niego. Z tego klinczu nie mógł się wydostać po dobroci. Pozwolił jej się tulić, ale nie odwzajemnił tego. Nic do niej nie czuł. Patrzył, jak Shyne mieni się w niebieskozielonej poświacie telewizora, jak jej ciało rzuca mały, migotliwy cień. Potem spojrział na drzwi, do których miała zapukać Claire, świadomy, że Krista zniszczyłaby wszystko, gdyby tylko jej na to pozwolił.

Puściła go, na twarz wróciła jej cwana mina.

– Nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdę?

– Wyczułaś.

– Czemu jej tu teraz nie ma? Jeżeli to ją ze sobą zabierasz. – Krista rozejrzała się po pokoju. – Taki zapomniały kącik do ruchania. Po naszyjniku od Tiffany’ego spodziewałabym się pokoju w Ritzu.

– Coś ty powiedziała? – Doug szybko do niej podszedł. – Od kogo to wiesz?

Uśmiechnęła się: udało jej się go przyciągnąć.

– Chodzą takie słuchy.

Doug chwycił ją za ramiona.

– Kto ci powiedział?

Uśmiechnęła się szerzej w jego uścisku. Potrząsnął nią, ale uśmiech nie zniknął.

– Zawsze cię kręciła przemoc.

– Co wiesz o naszyjniku?

– Wiem, że go nie ma u mnie na szyi. Najchętniej zamiast klejnotów zobaczyłbyś tam stryczek.

– Bzdury wygadujesz – burknął i odepchnął ją, żeby jej nie przyłożyć.

– Lepiej uważaj. Pomiać tak kobietą w ciąży.

Doug zamarł. Spojrzała na swój płaski brzuch, przyglądając mu się, jakby był nową częścią jej ciała, położyła na nim z dumą dłoń gestem ciężarnej.

– To Deza – wyjaśniła.

Doug poderwał ręce do czoła. Ucisnął nasadami

dłoni oczy.

– Ach – skomentowała. – Jaki przejęty losem przyjaciela. Zazwyczaj w tym miejscu składa się gratulacje.

Doug uniósł twarz ku sufitowi, nadal z zasłoniętymi oczami, z łokciami wymierzonymi w kąty pokoju. Uciskał gałki oczne, aż zobaczył gwiazdy. Dez.

– Myślisz, że Monsinior zachowa się jak trzeba?

– I sprowadzi cię na drogę uczciwości? – zapytał Doug. Potem opuścił ręce; kiedy wrócił mu wzrok, zobaczył jej przekorną minę. – Wy, Coughlinowie.

Miała zadziorne, złośliwe ogniki w oczach.

– Jego matka chyba za mną nie przepada.

– Czego chcesz? O co ci chodzi? Czy dasz Dezowi spokój, jeśli zgodzę się zostać?

Stała przed nim, oparła dłonie na jego klatce piersiowej, jej palce muskały go niczym muchy.

– Weź mnie ze sobą. Usunę ciążę. Duggy, za tobą poszłabym do piekła. – Jej dłoń zatrzymała się w okolicy jego serca. – Tylko mnie nie zostawiaj.

Doug wpatrywał się w nią z obrzydzeniem zarezerwowanym zazwyczaj dla lustra o poranku.

– Chyba faktycznie jesteśmy sobie warci – powiedział, odpychając od piersi jej dłonie. – Ale ja się z tego wypisuję. Koniec z łataniem spraw, łagodzeniem sytuacji. Niańczeniem Jema. Mówiłem Dezowi, żeby się w to nie mieszał, żeby trzymał się z

dala, ostrzegałem go.

Wyminął Kristę, zgarnął Shyne i jej plecaczek; kiedy ją wynosił, miała wzrok przyklejony do ekranu telewizora.

– Największy, kurwa, problem – mówił dalej – to ja. To ja za tym wszystkim stoję. To ja staram się utrzymać wszystko w kupie, kiedy aż się prosi, żeby to rzucić w diabły. – Pomaszerował do drzwi z Shyne pod pachą, otworzył je, odwrócił się. – Wszystkim wyjdzie na zdrowie, kiedy stąd zniknę.

Krista poszła za nim kawałek, do rogu łóżka.

– Duggy, nie rób tego.

– Bo co? Urodzisz? Tak jak ją? – Smutna Shyne zwisała mu bezwładnie spod pachy, wzdłuż boku. – Kto jest jej ojcem, Krista? No? Skoro już się nam tak zebrało na szczerłość. No kto? Jem?

Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Jem?

– To kto?

Jej „Wal się, Duggy” zabrzmiało od serca, ale on już jej nie ufał. Tak czy siak nie miało to żadnego znaczenia.

– Wiesz co? – zaczął. – Gdybym miał kogoś ze sobą zabrać, to zabrałbym ją. – Doug posadził Shyne ostrożnie na podłodze w pustym korytarzu, potem wrócił do pokoju.

Krista nie dawała za wygraną.

– Pójdziemy z tobą.

– Masz stąd zniknąć. I to już.

– Duggy. Nie odpędzaj mnie. Dobrze się zastanów, Douglasie MacRay. Lepiej, żebyś to sobie dobrze przemyślał...

Złapał ją za rękę. Zaczęła się z nim szarpać – „Nie!” – tłuc go w tors, odpychać podbródek, wbijać paznokcie w tchawicę, gdy ciągnął ją nieubłaganie do drzwi. Kopnęła, wrzasnęła i wyrwała mu się, po czym sama przeszła tych kilka ostatnich kroków na korytarz, jak gdyby zależało jej na zachowaniu resztek godności.

Za drzwiami odwróciła się; na jej twarzy wściekły uśmiech zmagął się z opanowaniem.

– Nawet nie wiesz, co właśnie...

Doug zamknął drzwi, przesunął zasuwkę. Spodziewał się łomotania, wrzasków; wiedział, że ta bezwstydną kobieta wymusi na nim, by ją wpuścił, zanim goście zaczną się skarżyć i ktoś zadzwoni na policję.

Jednak nic takiego się nie stało. Kiedy zerknął później przez wizjer, spodziewając się zobaczyć ją z Shyne pod drzwiami, już jej tam nie było.

CYNK

Telefon zadzwonił, kiedy Frawley posypywał jajecznicę tartym serem. Deszcz znad oceanu smagał okno wychodzące na płatny most. Zegar mikrofalówki wskazywał 7.45.

Dzwonił sierżant Jakiśtam z izby przyjęć Mass General.

– Agent Frawley? Mamy tu poszkodowaną w wypadku spowodowanym w stanie wskazującym. Przygrzmociła samochodem w tę wielką kotwicę wystawioną przed suchym dokiem w porcie marynarki wojennej.

Pierwsze, co przyszło Frawleyowi do głowy, to Claire Keeney.

– Nazwisko?

– Coughlin, Kristina. Według dowodu rejestracyjnego. Biały caprice classic. Miała ze sobą dziecko. Małej nic się nie stało, matka jest trochę pokiereszowana i stawia się. Twierdzi, że dla pana pracuje – trochę to naciągane, ale miała pana wizytówkę z tym numerem na odwrocie. Wydział spraw socjalnych już tu był i zabrali dziewczynkę. Panna Coughlin idzie do aresztu, ale upiera się, że najpierw musi się z panem skontaktować.

Frawley wysypał świeżą jajecznicę do kosza.

–Już tam jadę.

By dojść do samochodu w deszczu, w godzinach szczytu – potrzebował pół godziny. Teraz siedł korytarzem Mass General w przemoczonych butach, legitymacja otworzyła mu drogę do szerokiej sali w izbie przyjęć, która wyglądała jak punkt wyborczy oświetlony jak kostnica, z pozasłanianymi łózkami ustawionymi wzdłuż ścian.

– Witam – powiedział, zatrzymując się przy stanowisku pielęgniarek. – Szukam...

Wtedy usłyszał jej głos przeszywający pomieszczenie: – Jak ty se założysz ten fartuszek z wyciętym tyłkiem, Denzel, to i ja to zrobię – i ruszył w tę stronę. Przystojny czarnoskóry lekarz odciągnął podenerwowany bladożółtą zasłonę.

– Coughlin? – spytał Frawley, mijając go.

Ale udręczony doktor go przytrzymał.

– Proszę posłuchać. Musi ją obejrzeć nasz chirurg plastik. Jeżeli może pan na nią jakoś wpłynąć, proszę to podkreślić. Rany szarpane są zbyt głębokie na zwykłe zszycie, zostaną jej blizny na całe życie.

– Jasne, postaram się. – Frawley usiłował go wyminąć, ale lekarz wziął go pod ramię.

– Twierdzi, że jest w ciąży – powiedział. – Ale test był negatywny, nie ma też śladów poronienia.

Frawley odsunął jego rękę.

- Nie jestem z rodziny, nie muszę tego wiedzieć.
- Podeszedł do łóżka, odciągnął zasłonę.

Krista siedziała na wyściełanym krzeselku dla odwiedzających, na czole miała gazę, w okolicy lewego oka jaskrawoczerwoną plamę, ślady krwi na sportowej bluzie i džinsach.

- A, jest pan przystojniak – burknęła.

Frawley skinął do sierżanta Jakiegoś tam, starszy gliniarz przewrócił oczami i wycofał się za zasłonę.

- Pięć minut – powiedział mu na odchodnym Frawley.

Krista zawołała za nim: – Dla mnie z mlekiem i trzy kostki! – Uśmiechnęła się, kiedy Frawley zaciągał zasłonę. Jego wizytówka leżała na łóżku, na wierzchu złożonej szpitalnej koszuli, której nie chciała włożyć. Pstrykała paznokciami i kiwała niestrudzenie stopą – czarny pantofel ze złamanym obcasem, stopy założone jedna na drugą. – Właśnie jechałam do ciebie w odwiedzinach.

- To ciekawe – odparł Frawley – biorąc pod uwagę, że nie znasz adresu.

- Mieszkasz w porcie. Znalazłabym cię.

Jedno spojrzenie wystarczyło Frawleyowi, żeby stwierdzić, że jest naćpana. Wtedy nieco spuścił z tonu.

- Co się stało?

– Sama nie wiem. Chyba ktoś zostawił kotwicę na środku drogi. – Wzruszyła ramionami i

wyszczrzyła zęby w uśmiechu osoby, dla której życie jest takim pasmem absurdów, że ten wypadek to tylko dobry początek tygodnia. W uśmiechu, jakim go obdarzyła, Frawley wychwycił ślady aroganckiej pogardy jej brata.

Zobaczył w kącie fotelik – niebieski, w szkocką kratę, okruchy, plamy mleka – którego pustka była jak złożone do krzyku usta.

Krista zauważyła jego spojrzenie, przełknęła uśmiech.

– Nic się jej nie stało – wyjaśniła z dumą. – Ani draśnięcia.

– No to chyba czeka cię nominacja na Matkę Roku – skomentował, nie mogąc się powstrzymać.

– A czy ty wiesz, co ja mam na głowie? Patrzcie go. Ludzie czasami popełniają błędy – a kim ty niby jesteś, panie wyższość moralna po studiach? Wyłapywaczem omyłek? Pan przewodniczący klasy z odznaką, co ty możesz wiedzieć o takich jak ja? Ja jestem prawdziwą osobą. Jestem samotną matką.

– Twoja córka jest teraz na tylnym siedzeniu stanowej furgonetki, a obcy człowiek wiezie ją do domu opieki społecznej. Długo chcesz mi się tu teraz zwierzać?

Krista patrzyła na niego, oczy zachodziły jej łzami. Frawley był okrutny, ale poskutkowało.

– Po co do mnie jechałaś? Szukałaś niańki? Dwa razy do ciebie dzwoniłem, za każdym odkładałaś

słuchawkę.

Popatrzyła spode łba na woskową zasłonę, uspokoiła rozgrzane narkotykiem emocje.

– Opieka zajmie się nią tylko przez chwilę. Muszą przeprowadzić wywiad. Do wywiadu nic nie postanowią.

– No to może bardziej ci się tu przyda adwokat. Nie FBI.

Spojrzała na niego znowu, wręcz zaskoczona.

– Jak to się dzieje, że każdy facet, jakiego poznaję, chce mnie wykorzystać?

– Kto cię wykorzystał? Kto do kogo zadzwonił? Kto prosi o pomoc – ja? Dam głowę, że znalazłem się tu, bo chcesz odzyskać córkę. Bo możesz wykorzystać mnie, żeby ci ją oddali.

– Prawdziwi ludzie popełniają prawdziwe błędy...

Wpadł jej w słowo:

– Tu już nie chodzi o ciebie, chodzi o twoją córkę. Popatrz na ten pusty fotelik.

Popatrzyła; kiedy mrugała, miała łzy w oczach.

Frawley ciągnął:

– Żeby nie stracić opieki nad córką, będzie ci potrzebna karta przetargowa.

Szybko podniosła wzrok.

– I dom. Chcę mieć od ciebie tę gwarancję.

– Chwila, moment. Nie było mowy o żadnej gwarancji. Powiedziałem, że mogę spróbować.

– Mówiłeś...

– Mówiłem, że mogę spróbować. I to właśnie zrobię, Krista, masz moje słowo, jeżeli tylko zagrasz ze mną w otwarte karty. A jeżeli ci to nie odpowiada, to możesz poczekać na lepszą ofertę. Ile jeszcze masz przy sobie takich kart przetargowych? Może twój brat cię z tego wyciągnie? MacRay? Kto jeszcze? Fergie?

Przy tym ostatnim imieniu błysnęło jej w oku.

– Czyli to Fergie cię sponsoruje, tak? Dlaczego handlujący kurzem degenerat miałby ci pomagać w odzyskaniu córki?

Jej posępny wzrok był bez wyrazu – to przeciągłość spojrzenia ją zdradziła.

Frawleyowi zbierało się na mdłości.

– Jezu.

Nie spuściła wzroku: najpierw patrzyła zadziornie, potem zaczęła się łamać.

– Ty i Kwiaciarz... – Frawley musiał się przypilnować, żeby w tym miejscu urwać. Wyobraził sobie unoszącą się nad Kristą pokancerowaną twarz gangstera wykrzywioną spazmem dzikiej rozkoszy.

Zaczął jej drzeć podbródek. Załamanie twardej kobiety – to nie był przyjemny widok.

– I czemu musisz się na mnie tak wyżywać? Czemu zawsze muszę o wszystko zebrać? Mnie się traktuje, jakbym była zerem, nikiem. Wszyscy tacy jesteście.

Frawley podsycił gniew wspomnieniem spotkania z MacRayem na parkingu, żeby zrównoważyć współczucie dla siostry Coughlina.

– Chciałaś, żebym przyjechał. Czyli masz dla mnie coś na wymianę.

Spuściła wzrok, oddychała głęboko, nerwowo.

– Duggy po tym się z nią zmywa.

– Z nią? – Frawley podszedł bliżej. – Z jaką nią?

Krista spojrzała na niego. Dostrzegła w jego oczach pożądanie, gniew i zapytała:

– To ty też?

Stracił panowanie nad emocjami.

– Co to znaczy: z nią?

Krista oniemiała.

– O co z nią właściwie chodzi? Co w niej takiego, Jezu, jest, żeście wszyscy, kurwa, powariowali na jej punkcie?

Frawley opamiętał się, odsunął.

– Powiedziałaś „po tym”. Po tym się z nią zmywa. Po czym?

Krista odwróciła się i spojrzała na zegar – Frawleyowi zawrzało w żyłach.

– Dziś? – zapytał, wychytując spojrzenie. – Nie we wtorek, tylko dziś? Gdzie? Kiedy?

Jej broda dygotała jak mający odpaść od fasady tynk.

– Moja córka...

– Krista, musisz to rozsądnie rozegrać. Całe

życie podejmowałaś złe decyzje, ta jedna może wszystko odkręcić. Ale ich goni ten sam czas co ciebie.

– Moja córka – powiedziała Krista, złamana. – Jest upośledzona.

Frawleyowi zapało dech w piersi. Nie ruszał się.

Krista zaczęła szlochać, jej twarz wykrzywiły rozpacz i porażka.

– Będą jej potrzebne różne rzeczy... specjalne rzeczy... specjalne szkoły...

– Jasne – wyszeptał. – No więc?

Podniosła wzrok, twarz miała zmęczoną, załzawioną.

– Dla niej to robię. Nie dla siebie.

– Zgadza się – potwierdził Frawley, ponownie zerkając ukradkiem na zegar. 8.25. – Oczywiście, że dla niej.

– Nie dla siebie... Nie dla siebie...

O PORANKU

Stali we czwórkę w pokoju hotelowym, wszyscy w mundurach policjantów, broń i złożone czarne brezentowe torby na łóżku.

Za zasłoniętym oknem lało jak z cebra. Ulewny deszcz był prawie tak samo dobry na skok jak śnieżyca. Robiło się ciemniej, ginęły w nim hałasy, zniechęcał ludzi do wychodzenia z domów, miasto się korkowało. Dzień wcześniej Gloansy kupił w sklepie z militariami cztery jaskrawopomarańczowe peleryny. Dobrze zakrywały kamizelki kuloodporne wypychające im mundury.

– Dobrze, że pada – mamrotał Jem, podchodząc co chwila do zaciągniętych zasłon. – Dobrze, że pada. Dobrze, że pada. Dobrze, że pada.

Doug spojrział na telefon. Był nieobecny duchem, szum ulewy był jak odgłos kołaczących mu się po głowie myśli. Odpowiadał na pytania i ruszał się, kiedy było trzeba, ale wszystko wydawało mu się odległe i teatralne, działo się obok niego, a on był tylko widzem. Każdy z ich czwórki pograżył się w osobistym rytuale przed robotą. Dougowi z trudem przychodziło umiejscowienie się w czasie, zorientowanie się, co do czego prowadzi i jak to się

właściwie stało, że znalazł się w pokoju na końcu świata przebrany za bostońskiego gliniarza.

Dez sklął lustro w łazience, miał kłopot ze sztywnymi szklami kontaktowymi, które wkładał na skok. Bez okularów jego twarz była obnażona, oczy krótkowidza małe i zagubione. „Co jest?” – zapytał w drzwiach Dez, ostatni z przybyłych. „Nic” – odparł Doug, który jeszcze niedawno łudził się, że Dez się wycofa.

Gloansy wszamał dwa zawinięte kawałki zimnej pizzy z Domino, a nerwowe chodzenie, mamrotanie i strzelanie stawami Jema graniczyło z paranoją. Gdzie się podziały żarty i błaznowanie, które niegdyś tak działało Dougowi na nerwy? Po szaleńczej radości nie było śladu.

Czy fedzi pozwolą im w ogóle wyjść z hotelu? Czy poczekają, aż wejdą na stadion, i dopiero tam ich zgarną, spakowanych i obładowanych, wzorcowa akcja na pierwsze strony gazet? Czy agenci będą czekać w środku, w mundurach konwojentów z bankowozu – odwrotna wersja Chwały o Poranku?

Gorsza od poczucia nadciągającej zguby była świadomość, że tylko on o niej wiedział. Skończony dupek. Zakochał się w wytworze swojej wyobraźni, w tej dziewczynie, która wszystko wybaczy, która wszystko ukoi – tym magicznym, zwycięskim kuponie loterii. Ufał jej. Potrzebował jej. Jakaś jego część pragnęła dać się pochłonąć dziewczynie po

przejsiach. Gdyby teraz zadzwonił telefon, to mogliby to być tylko federalni, informacja z recepcji, że budynek jest otoczony, że mają wychodzić pojedynczo z rękami za głową.

Nie było jeszcze za późno. Mógł powiedzieć chłopakom, co zrobił. Mogli się wszyscy przebrać z powrotem w cywilne ciuchy, wyrzucić mundury, spluwy i wycofać się z czystym kontem – oni trzej z powrotem do Town, Doug w przeciwną stronę. Miał trochę oszczędności, dałby sobie radę. Przynajmniej przez jakiś czas.

Ale coś w nim nie pozwalało zgasnąć płomykowi nadziei. Coś mu mówiło, że gdyby mieli ich zgarnąć, już by to zrobili, w hotelu. Fedzi nie chcieliby rozprawiać się z nimi na ulicy, bo byli uzbrojeni i nieobliczalni. Może Claire nic im nie powiedziała. Z każdą odliczaną do startu sekundą Doug coraz bardziej wierzył w szczęśliwy finał.

Przetarł szafkę i stół alkoholem, usuwając z pokoju odciski. Mokre palce i gonitwa myśli. Bulgot wybielacza w umywalce i pod prysznicem, oczyszczanie rur, usuwanie DNA. Unicestwienie każdego śladu swojego istnienia. Paka banknotów zakopana płytko w ogródku dziewczyny, która go nienawidzi, i ubrania upchnięte do starej wojskowej torby Maca przy drzwiach: to wszystko, co mu na świecie zostało. I jeszcze tych trzech.

Gloansy i Dez przybili żółwika, włożyli

pomarańczowe płaszcze i wymknęli się pojedynczo schodami do tylnego wyjścia. Doug przyglądał się im z okna, dudniący deszcz robił za całkiem przyzwoitą osłonę dwóch świecących na pomarańczowo gliniarzy biegnących do skradzionego auta. Ruszali wcześniej, żeby przed powrotem na stadion zwiększyć poranne korki. Doug patrzył, jak znikają za rogiem, i wyobraził sobie, jak gliniarze mierzą do nich przy blokadzie na Boylston Street tuż za parkingiem. Zaciągnął zasłony, tak jakby przez okno miały zaraz wpaść granaty z gazem łzawiącym, wypełniając pokój dymem.

Jem mierzył do Douga z pistoletu kalibru dziewięć milimetrów. Doug zamarł, na chwilę stracił głowę, Jem tylko stał i szczyrzył zęby – potem wsadził broń z powrotem do kabury i zapiął skórzaną patkę.

– Chcesz teca dziewiątkę?

– Wszystko mi jedno – odparł Doug wytracony z równowagi. – Byle tylko poczuć w dłoni gnata.

Jem rzucił mu berette, Doug złapał ją oburącz. Jem podziwiał teca w dłoni, duży pistolet z magazynkiem przed spustem.

– To jest to – skomentował, po czym odłożył go na łóżko i zaczął maszerować po pokoju z kciukami zatkniętymi za pas z kaburą. – Te lata oglądania Glin wreszcie się na coś przydadzą. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie, ruszając szczęką jak naćpany. –

Byłby ze mnie dobry gliniarz. Zamożny gliniarz. – Zatrzymał się i poleciał na próbę: – Prawo jazdy i karta wozu, psze pani. – Spodobało mu się, dalej paradował po pokoju policyjnym krokiem. – Będzie się, kurwa, działo. I ty się chciałeś z tego wypisać?

Doug nie widział żadnego wyjścia. Iść czy zostać. Spojrzał na broń w dłoni. Nie jestem już tym samym człowiekiem. A jednak był.

– A tak przy okazji – powiedział Jem. – Jednak cię wstawiłem.

Doug pokręcił głową.

– Gdzie mnie wstawiłeś?

– Na drugie piętro. Do domku dla lalek Shyne. Zaryzykowałem. Może zmienisz zdanie. Już kiedyś odszedłeś, ale za jakiś czas wróciłeś.

Frawley stał w korku w centrum, zmagał się z telefonem w samochodzie, wycieraczki rozbryzgiwały deszczówkę. Nie mógł uzyskać od informacji żadnego numeru na Fenway Park. W oddziale w Lakeville nie było jeszcze nikogo z grupy zadaniowej, więc terenówka dzwoniła do Nowego Jorku pod numer centrali Provident Armored. Udało mu się za to złapać Dina w domu i zatrzymać go, zanim ruszył do Lakeville. Teraz Dino do niego oddzwonił.

– Szef popchnął sprawę do samego komendanta. Rozumiem, że teraz masz pewność.

- Frawley napał na klakson.
- Jego siostra puściła farbę.
 - Siostra Coughlina?
 - Idą na całego. Bełkotała coś o ostatnim skoku, po którym MacRay ma się ulotnić. To wszystko, co wiem.
 - Orientujesz się, jak wygląda ochrona na Fenway?
 - Nie, ale Dean: za wszelką cenę trzymaj z daleka radiowozy.
 - W radiu ani mrumru.
 - I żeby jakiś helikopter mi ich nie przepłoszył.
 - Spokojnie, Frawl. W tej chwili oddział do zadań specjalnych – nasi antyterrorysty – właśnie się zbroi. Są na szyfrowanej częstotliwości. Wiadomo, skąd przypuszczają szarżę nasi podopieczni?
 - Wiem tylko, o której wszystko się zacznie. – Frawley zerknął na zegar w radiu. – I jest, kurwa, ósma czterdzieści pięć! Co z tymi zatorami?
 - To przez ten deszcz, a słyszę o jeszcze dwóch dużych korkach, jeden na Storrow w kierunku zachodnim, drugi na Kenmore Square.
 - Na Kenmore Square? – powtórzył Frawley i przyładował z piąchy w cienki sufit tempa. – To nasi!
 - Półciężarówka rozkraczyła się na skrzyżowaniu. Na Storrow duża wypożyczona furgonetka zaklinowała się pod mostem z ograniczeniem wysokości. Obaj kierowcy zostawili

auta na chodzie, zamknęli je i się ulotnili.

– W dupę jebani... Dean, to oni!

Frawley rozłączył się i rzucił telefonem, nie mógł znieść myśli, że mogą mu się wymknąć. Ze nie uda mu się dorwać MacRaya.

Pierdzielony oddział terenowy. Frawley zjechał na chodnik, tempo podskoczyło, zaszurało o krawężnik podwoziem i wpadło w jedną z bocznych uliczek pnących się pod Beacon Hill i prowadzących prosto na Fenway.

Doug siedział obok Jema na tylnym siedzeniu dużego thunderbirda zaparkowanego na rogu Yawkey i Van Ness. Gloansy zajął miejsce z przodu za wyrwaną stacyjką, Dez koło niego. Dudnił deszcz, wszystkie okna były uchylone, żeby nie zaparowały. Doug widział wszędzie fedów, na ociekających dachach, w okolicznych oknach, w każdym mijanym aucie.

Konserwa miała trzy minuty spóźnienia; spiker w radiu podniecał się korkami. Jem dudnił czarnymi butami o podłogę, maszerując w miejscu na siedząco: odgłos przypominał kołatanie serca.

– Nie wiem, co o tym myśleć – mruknął Doug, odchodząc w duchu od zmysłów. – No, nie wiem.

– Utknął w korku z całą resztą – powiedział Gloansy.

– Nie wiem.

Dez obejrzał się.

– Czego nie wiesz?

Doug próbował dać im przynajmniej szansę.

– Coś mi tu nie gra.

– Wszystko gra – burknął Jem. – Damy radę.

– Coś się chyba kroi.

– Patrz. – Jem odpiął guziki płaszcza. Oprócz glocka w kaburze i półautomatycznego teca 9 pod pachą, miał jeszcze cztery spore owalne granaty z drugiej wojny światowej – przyczepił je sobie do pasa czarną taśmą izolacyjną. – Po dziadku – wyjaśnił. – To był dopiero bohater, kurwa, wojenny. – Pstryknął paznokciem małe metalowe zawlecзки.

– Zdatne do użytku? – zapytał Dez.

– Jezu – jęknął Gloansy. – Jeszcze nas tu wszystkich wysadzisz.

– To ubezpieczenie, trzęsidupy. Myślicie, że pozwolą, żeby coś się stało historycznemu Fenway? To nasze bilety powrotne. Po jednym na łebka.

Dez zerknął nad oparciem na Douga, Doug sycił się dezaprobatą swojego ministranta.

Jem zapiął płaszcz, w jego białobłękitnych oczach połyskiwała podsyciona kurzem arogancja.

– Damy radę. Damy radę.

Błyskawica rozświetliła ulicę; Doug był pewien, że to ładunek oślepiający, że fedzi właśnie się do nich dobierają. Czekał na grzmot. Nie doczekał się go.

Nie mógł wysiedzieć nawet chwili dłużej.

Otworzył drzwiczki po swojej stronie i wysiadł z thunderbirda, odcinając się trzaśnięciem od pytań, i ruszył przez ulewę.

Skreślił w Boylston, dzwonek nad drzwiami obwieścił jego wejście do monopolowego. Zakreśliło mu się w głowie od świateł, kolorowych ofert – tak dawno go tu nie było. Przeciął długą alejkę z winami, szedł prosto na lodówkę w głębi sklepu. Na półce czekały na niego dwa sześciopaki high life'a w wysokich butelkach. Wziął oba i zaniósł do kasy.

Czekał tam na niego gliniarz: Dez, z którego ciekło na podłogę.

– Co ty wyprawiasz?

Doug nie miał pieniędzy w kieszeniach munduru.

– Daj mi forszę.

– Odstaw to – powiedział Dez. – Wychodzimy...

– Stul, kurwa, dziób. – Doug zwrócił się do kasjera: – Na rachunek policji. – Nie czekając na reakcję, wyminął Deza i wyszedł.

Dez dogonił go na skąpanym w deszczu chodniku.

– Duggy! Co z tobą? Nie wolno ci tego...

Doug odepchnął Deza łokciem.

– Mówiłem ci, kurwa, żebyś nie szedł.

Doug wrócił pierwszy do samochodu; kiedy wsiadał, mokry płaszcz skrzypiał na nim.

– Co to, kurwa, miało znaczyć? – warknął Jem i

dopiero teraz zobaczył podwójny zestaw browarów.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli dotrzymać mi towarzystwa przy tym pierwszym po dłuższej przerwie – wyjaśnił Doug.

Uśmiech Jema był teraz szeroki, promienny, wszechogarniający.

– Duggy Mac wrócił.

Kiedy Doug podawał jeden sześciopak na przód Gloansy emu, Dez wsiadł do samochodu, nie ściągając pomarańczowego kaptura. Doug sięgnął po swojego leathermana, ale go nie znalazł. Rozbłysk paniki, kiedy wyobraził sobie, jak narzędzie, które było z nim na każdym skoku, leży teraz zapomniane na kredensie.

Mniejsza z tym. Sztuka, kiedy nie ma otwieracza, polega na użyciu jednego piwa jako dźwigni – trzeba je odwrócić, zahaczyć o kapsel otwieranego, wykręcić i odciągnąć górną butelkę, jakby się łamało kijek. Doug otworzył jedno dla siebie i jedno dla Jema.

Z cienkiej szyjki uleciał dym niczym dzinn z lampy. Dougowi serce waliło w piersiach.

Jem odczekał, aż Gloansy otworzy dwa, po czym oznajmił z namaszczeniem:

– Za Town.

Jem przybił żółwika z Dougiem, żaden nie uronił przy tym kropli.

– Tak się to robi – powiedział Doug.

Przyłożył szyjkę do ust, piwo chlusnęło mu mocno na tył podniebienia, z początku nie poczuł smaku, wchodziło jak woda morska. Potem iskra, gorycz. Grdyka pompowała alkohol, aż pusta butelka stała się nieważka, smak wsiąkał mu w język jak piana fali w piasek.

Pierwsze beknięcie było echem z czarnej otchłani. Otworzył kolejną butelkę i zerknął na Deza, sączącego powoli pierwszy browar – zgarbione plecy niedwuznacznie wyrażały rozczarowanie i dezaprobatę. Doug pił teraz jeszcze zacieklej.

Wychodziło z niego drugie oblicze. Stary Doug MacRay, ten pogodzony ze swoim losem. Jego własna wersja Jema, która wie, że jest skazana. Nigdy więcej do więzienia. To był teraz jego jedyny cel.

Jakby nie było jutra: o to chodziło Billy emu T. Nie ma konsekwencji, nie ma kogo rozczarować, Deza, Franka G., nawet jego samego. Nic nie mogło go teraz ruszyć.

Jem odkapslował trzecie, przed Dougiem, co znaczyło, że Doug nie miał już czym otworzyć swojego. Gmeral przy kapslu zakłajstrowanymi paluchami, kiedy Jem wydał okrzyk bojowy.

Zapaliło się czerwone światło nad wjazdem dla karetek na Van Ness.

Srebrzysta furgonetka Providentu skręciła z Ipswich, podjechała, zwolniła przy podnoszącej się

bramie. Wykręciła, zatrzymała się i zaczęła wjeżdżać tyłem.

Kiedy brama się zamknęła, przy krawężniku pod Fenway zatrzymał się czarny suburban.

Jem upuścił pustą butelkę na podłogę, otworzył kopniakiem drzwi.

Doug wysiadł na chodnik, strugi deszczu tłukły głośno o kaptur. Dez wyszedł i stanął przed Dougiem, nie patrzył na niego, czekał na Gloansy'ego. Obaj ruszyli Van Ness w stronę suburbana, a Doug ramię w ramię z Jemem przeszli przez jezdnię w niesionych wiatrem ścianach deszczu, kierując się w stronę wejścia D. Doug wypatrywał federalnych w każdej spadającej kropli, a po głowie tłukło mu się uporczywie: zasadzka, zasadzka, zasadzka.

OSTATNI SKOK

Jem szarpnął mocno kilka razy zamkniętą na łańcuch bramkę.

Facet w czerwonej koszuli, który niezmoknięty i zadowolony siedział w środku na składanym krzeselku, spojrzął znad gazety, na widok policjantów odłożył ją i podszedł do wejścia.

– To pan dzwonił? – spytał Jem.

Młody gość, cynamonowa cera, pyzaty, może Samończyk, ale mikry.

– Co?

– Ktoś dzwonił pod dziewięć jeden jeden. Proszę otworzyć.

– Ja nie... To nie ja...

– Zgłoszenie napadu. Kto tu jeszcze jest?

– Napadu? – Rozejrzał się spanikowany.

– Nikogo więcej nie ma?

– No, są, ale...

– Ten, kto dzwonił, twierdził, że jest pan zakładnikiem. Przed chwilą.

– W takim razie muszę zadzwonić do ochrony.

– Może pan dzwonić, do kogo się panu żywnie podoba, ale najpierw musimy wejść i zrobić, co do nas należy. Potem może pan dzwonić.

Kiwnął głową, odpiął łańcuch i wpuścił Douga z Jemem.

Doug usztywnił się, żeby zamaskować zdenerwowanie.

– Proszę zamknąć, jeżeli pan musi.

Kiedy facet w czerwonej koszuli wykonał polecenie, Doug i Jem odpięli dolną część płaszczy, odsłaniając kabury. Przez deszcz i słabe oświetlenie było tu ciemniej niż podczas wieczornego meczu.

– Gdzie reszta? – zapytał Jem, ruszając po kładce.

– Część za rogiem. Mogę...

– Jak panu na imię?

– Erie.

– Dobra, Erie, zaprowadź mnie we właściwe miejsce. Upewnijmy się, że wszyscy są bezpieczni, potem sobie usiadzimy i podzwonimy, gdzie trzeba.

Erie pokiwał posłusznie głową i sprowadził ich po kładce za róg. Doug dostrzegł drzwi z napisem „Tylko dla pracowników”, a dalej szerszy wylot tunelu.

Elektryczny wózek załadowany grubymi zafoliowanymi plikami banknotów był w połowie drogi do ambulatorium na końcu tunelu. Jeden ubrany na czarno i szaro konwojent z Providentu kierował wózkiem, drugi osłaniał go z dłonią na kaburze. Doug jeszcze raz przyjrzał się ich uszom, nie mieli słuchawek.

Jem ruszył w ich stronę, jego głos rozszedł się echem po tunelu:

– Kto dzwonił pod dziewięćset jedenaście?

Konwojenci zatrzymali się, odwrócili szybko przestraszeni.

– Kto dzwonił? – powtórzył Jem z ręką przy pasie, między majtającymi się połami płaszcza. Doug kazał Ericowi położyć się na ziemi i leżeć nieruchomo.

Konwojenci spojrzeli po sobie z dłońmi na kaburach.

W głosie Douga słysząc było niepokój, kiedy mówił za Jemem:

– Odebraliśmy zgłoszenie alarmowe. Kto dzwonił? Konwojenci byli między Jemem, Dougiem i wózkiem pieniędzy. J

– My nigdzie nie dzwoniliśmy.

– Kto dzwonił? – powtórzył Jem, zbliżając się.

– Stać – polecił jeden z konwojentów, unosząc wolną dłoń.

– Dokumenty! – warknął Jem, nie zatrzymując się. – Okażcie dokumenty! Obaj!

– Spokojnie, spokojnie – powiedział konwojent, przykucając w obronnym odruchu.

– Hola, hola! – krzyknął Jem.

– Nie rób tego! – polecił Doug.

– My nigdzie nie dzwoniliśmy! – powtórzył jeden z konwojentów.

– Mamy tu transport! – dodał drugi.

Dwóch ochroniarzy z Fenway w niebieskich koszulach pojawiło się w wejściu do tunelu za nimi.

– Co jest...

– Na ziemię! – zakomenderował Doug.

Podnieśli ręce, tak jakby to było jedno wielkie nieporozumienie.

– Wszystko gra! – krzyknęli. – Oni są w porządku! Doug wyciągnął berettę i trzymał ją nisko, przy biodrze, lufą do dołu.

– Wszyscy na ziemię, ale już!

– Dla naszego bezpieczeństwa! – wyjaśnił Jem, również wyciągając broń. – Wszyscy mają się wylegitymować!

Dwadzieścia jardów dalej Doug powtarzał:

– Na ziemię!

– Chwila, zaczekajcie! – oponowali konwojenci.

– Na ziemię! – wrzasnął Jem.

Faceci w niebieskich koszulach położyli się twarzą do ziemi.

Spanikowany konwojent wyszarpnął broń z kabury. Doug podniósł berettę, oparł o przedramię i wycelował.

– Broń! – wrzasnął. – Broń!

– Rzuć broń! – wydarł się Jem, podrywając glocka. – Rzuć w tej chwili!

– Nie, nie! – zawołał drugi konwojent, zakrywając sobie głowę i cofając się.

Jem i Doug natarli na nich z wymierzonymi pistoletami, z nieudawaną nerwowością.

– Rzućcie broń! Był telefon! Odłóż broń!

– Nigdzie nie dzwoniśmy! – wrzasnął konwojent.

Doug zatrzymał się w odległości dziesięciu jardów.

Czwórka mężczyzn wydierała się z wyciągniętą bronią, aż wycofujący się konwojent przykląkł, oderwał dłoń od kabury i położył się na brzuchu z rozłożonymi rękami.

– Nie stawiaj oporu! – wrzasnęli na drugiego. – Na ziemię! Na ziemię!

Przeklinając, spanikowany drugi konwojent ustąpił, położył się z rozłożonymi rękami, z pistoletem w dłoni.

Doug i Jem natarli błyskawicznie, Jem przydeptał nadgarstek uzbrojonego konwojenta, pilnując obu, Doug poszedł do niebieskich koszul za wózkiem z forszą, zebrał im dłonie i skrępował za plecami opaskami zaciskowymi. Furgon stał z włączonym silnikiem za rogiem przy wjeździe do tunelu, tyłem do nich – kierowca nic nie widział ani nie słyszał.

Doug zabrał niebieskim koszulom krótkofalówki i odrzucił je.

– Nie ruszać się – polecił i wrócił do Jema, schował do kieszeni pistolet drugiego konwojenta i

pociągnął mu sztywne ręce za plecy.

– Jezu – warknął szorstko do Douga czerwony na twarzy konwojent. – Co wy, do chuja pana, wyprawiacie? Ochroniamy gotówkę!

– Był telefon – powtórzył Doug, krępując strażnikowi nadgarstki. Potem naciągnął sobie na twarz zawiązaną wokół szyi czarną bandanę, zasłaniając nią usta i nos tak, że było widać tylko oczy. Jem zrobił to samo, kiedy Doug odwróciwszy się, ruszył z powrotem do Erica.

Pyzaty chłopak zdążył tymczasem usiąść. Na początku na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie – zmierzał do niego zamaskowany gliniarz z uniesioną bronią – potem zerwał się na nogi i, sunąc jedną dłonią na ścianie tunelu, popędził przed siebie ile sił w nogach.

Doug wrzasnął za nim, żeby się zatrzymał, i usłyszał świst pocisku. Huk wystrzału rozniósł się echem po tunelu i Erie obejrzał się w biegu, jego cynamonowe dłonie skierowały się do dzinsów na biodrze, jakby próbował złapać kulę, która przed chwilą go trafiła. Przebiegł tak jeszcze kilka kroków i padł – bardziej z szoku niż z powodu rany.

Doug odwrócił się, zobaczył Jema z uniesioną dziewiątką, z kolaniem i drugą ręką na plecach wijących się konwojentów.

Doug podbiegł do przerażonego Erica, który trzymał się za szerokie biodro. Ale wszystkie cztery

kończyny miał sprawne i nie brakowało mu sadła, które wchłonęło energię pocisku. Doug miał nadzieję, że tak samo deszcz pochłonał huk.

Odciągnął dłoń Erica od niewielkiej rany, potem odciągnął drugą, skrępował mu je na plecach.

– Niedługo przyjedzie karetka – pocieszył go, opierając mu się na ramieniu dla podkreślenia swoich słów. – Leż i dziób na kłódkę.

Wrócił biegiem do Jema, spiorunował go wzrokiem, potem poderwał z ziemi swojego konwojenta. Mężczyzna szarpał się i opierał, aż w końcu Doug oszołomił go, uderzając nim o ścianę, a potem zawlókł za róg.

Zobaczył stamtąd srebrny furgon, dumne logo Providentu w kształcie medalionu pod tylnymi oknami. Posadził konwojenta pod murem i podszedł do szoferki od strony pasażera, żeby ściągnąć na siebie uwagę kierowcy.

Nie spodziewał się kobiety. Miała mocno kręcone włosy i pociągłą twarz. Douga na chwilę zamurowało.

Pobladła, usiadła prosto, sięgnęła do kluczyka w stacyjce, odpaliła silnik, dym z diesla buchnął do hali. Doug usłyszał trzask blokujących się automatycznie zamków i patrzył, jak po wyzwoleniu trybu blokady zaczyna się obracać żółty kogut na dachu. Jako że brama wjazdowa była zamknięta, a z tyłu znajdowały się żelazne przesłania, wóz nie miał

dokąd odjechać.

Jem przywłókł ochroniarzy z Fenway do oszołomionych konwojentów i posadził ich obok siebie pod ścianą. Kobieta spojrzała przez okno od strony pasażera, mówiła coś szybko do mikrofonu zamontowanej przy suficie radiostacji.

– Dupy wołowe zawały sprawę – prychnął jeden z konwojentów. – Sandy się zatrzasnęła. Wzywa posiłki.

Doug podszedł do panelu i wyłączył lampę na zewnątrz. Zerknął na pilnującego czterech zakładników Jema, któremu bandana wydymała się i opadała na ustach w rytm oddechu, potem minął uwięziony furgon i przeszedł do sąsiedniej bramy, wdusił przycisk na przyczepionej do ramienia policyjnej motoroli.

– Gotów?

– Gotów – odpowiedział z drżącym głosem Dez.
– Tutaj czysto.

Doug wcisnął klawisz i druga brama uniosła się pod sufit, odsłaniając ulewny deszcz oraz Deza w pomarańczowym policyjnym płaszczu i w czarnej bandanie, trzymającego na muszce kierowcę obstawy: ogorzałego osiłka w koszuli z kołnierzykiem i džinsach, z rękami skrępowanymi za plecami, wkurzonego. Dez wprowadził go do środka, za nimi wjechał tyłem duży czarny suburban. Mokra opony ślizgały się podczas hamowania na zjeździe,

Gloansy w bandanie wysiadł i Doug zamknął przełącznikiem bramę.

Gloansy zajął się kierowcą z obstawy, zaprowadził go do reszty przy furgonie Providentu, a Dez dotknął przewodu wsadzonej do ucha słuchawki. Zamrugał, przeczesując wszystkie częstotliwości policyjne plus sieć ochrony stadionu, mamrocząc coś o szklach kontaktowych.

– Jest – oznajmił. – Zgłoszenie alarmowe.

Kobieta w szoferce zrobiła, co trzeba – wezwała pomoc.

Podbiegli truchtem do furgonu przy ambulatorium, gdzie pyskаты konwojent nie chciał sobie odpuścić.

– Dwadzieścia dwa lata odsłużyłem w straży więziennej w Walpole, mam tam kumpli. Oni już dopilnują, żeby wam tam do usranej śmierci ryli tyłki.

Jem w niego wymierzył i facet się przymknął.

Gloansy i Dez zostali z piątką zakładników – dwoma konwojentami w mundurach, dwoma ochroniarzami z Fenway w niebieskich koszulach i kierowcą suburba – podczas gdy Jem i Doug popchali dalej wózek, Doug sterował nim za pomocą przycisków na hydraulicznej ręczce, omijając od tyłu bankowóz i kierując się do otwartych tylnych drzwi suburba. Gotówka była w szczelnie zafoliowanych paczuszkach rozmiaru mniej więcej czterech

bochenków chleba ułożonych obok siebie. Jem zepchnął papiery z góry ładunku i zrzucił dwie ciężkie półki z bilonem; z porozrywanych tub na ziemię wysypały się pięć – i dziesięciocentówki. Wyciągnęli z kieszeni płaszczy złożone brezentowe torby, po czym Doug rozłożył je z tyłu suburbana.

Jem robił za bagażowego, rzucał paczki z pieniędzmi do Douga tak szybko, jak Doug był w stanie je pakować, sześć paczek na torbę. Byli przy piątej czy szóstej torbie, kiedy Dez zawołał:

– Ile jeszcze?

Jem nie przerywał rzucania.

– Bo co?

– Coś się dzieje na szyfrowanym kanale.

Jem zastygł. Doug odwrócił się, zobaczył Deza z dłonią przy uchu w migającym żółtym świetle koguta bankowozu.

– Za wcześnie od zgłoszenia alarmu – zawyrokował Dez. – To nie może być o nas. Może coś innego gdzieś się dzieje.

Doug struchlał.

– Zbadam to – powiedział.

– Nie – rzucił Jem, ruszając z miejsca. Doug patrzył, jak rozgarnia poły płaszcza, pod którym miał teca-9, i wchodzi do tunelu.

Doug wrócił do paczek z pieniędzmi i spakował tak szybko, jak potrafił, ostatnią torbę.

Frawley zaparkował pod fasadą z napisem „1912 Fenway Park” przy bramie A, pierwotnym wejściu na stadion, na drugim końcu Yawkey Way. Przed deszczem chroniła go tylko niebieska kurtka nautica, którą zabrał, kiedy gnał rano do szpitala. Otworzył bagażnik i narzucił sobie na ramiona nylonową kamizelkę FBI, służącą wyłącznie do celów identyfikacyjnych – agenci zajmujący się bankami nie noszą kamizelek kuloodpornych – i starą pomarańczową czapkę Syracuse na głowę. Zgarnął wszystko, co było, wsadził sobie do kieszeni spodni dwa dodatkowe magazynki do noszonego na szelkach pod pachą półautomatycznego sauera, przesypał do zapinanych na suwak kieszeni kurtki zawartość pudełka naboju do strzelby i wyciągnął z wyściełanej kabury remingtona 870 kalibru dwanaście.

Taurus Dina zaparkował chwilę później przy przeciwległym krawężniku. Dino wysiadł, zapinając kurtkę dla ochrony przed ulewą.

– Zrobiłem rundkę po przecznicy – powiedział z niepokojem w głosie. – Spokój. Wygląda na to, że wszystko w normie. Żadnych furgonetek ani samochodów z rejestracją dla niepełnosprawnych.

Frawley chwycił daszek czapki, poprawił ją jedną ręką, zaklął. Jeśli się pomylił, to jest skończony. Żegnaj, Los Angeles. Witaj, Glasgow w stanie Montana

– Może jesteśmy za wcześnie... albo za późno.

Odwrócili się do niebieskiej furgonetki bostońskiej policji, która właśnie podjechała: mobilne centrum dowodzenia specoddziału zaparkowało przed zamkniętym sklepikiem z upominkami. Dwie pary ubranych na czarno komandosów w kominiarkach, hełmach i kamizelkach z inicjałami EAT na plecach przechadzały się po Yawkey Way, jak po Alei Snajperów w centrum Sarajewa, jedna dwójka szła do pobliskiej kasy, druga w stronę wejścia D.

Przejeżdżająca srebrna honda accord zwolniła, blondynka z dzieckiem chłonęła widowisko, chłopiec na tylnym siedzeniu pomachał.

– Musimy zamknąć ulice – skonstatował Dino.

Frawley był przemoczony i pełen obaw, kiedy zobaczył, jak para antyterrorystów rusza sprintem spod kasy na Yawkey w stronę Van Ness. Dino zajrzał do otwartej furgonetki.

– Co jest?

Dwóch taktycznych koordynowało akcję.

– Głos ze środka, męski. Zgłasza, że został postrzelony.

Frawley zobaczył, jak antyterrorysty wchodzą przez bramę. Kiedy puszczał się biegiem, przemknęło mu przez myśl, że może jednak zdążył.

Doug zostawił otwarte tylne drzwi suburbana z

wypchanymi gotówką torbami w środku i ruszył w stronę tunelu. Jem, który szedł powoli, był już w połowie drogi. Doug widział, jak na drugim końcu Erie wierzga na ziemi grubymi nogami i jęczy:

– Dostałem, dostałem.

Doug miał już zawołać Jema, kiedy ten gwałtownie przykucnął.

Doug też to zobaczył – błysk za wijącym się Erikiem. Lusterko na tyczce wysuwające się w poprzek tunelu.

Jem otworzył ogień, rozbił lusterko, tyczka upadła z brzękiem na kamienną posadzkę. Huk wystrzału rozniósł się po tunelu potężnym echem, Doug na chwilę ogłuchł, skrzywił się i zaczął wycofywać, wyciągając berettę. Jem posłał w kierunku wejścia kolejną serię, potem odwrócił się i podbiegł do Douga, ostrzeliwując się do tyłu.

Tunel wypełnił się ognistymi punkcikami. Bardzo jaskrawe, ale niegroźne serie starflash odbijały się rykoszetami od ścian, miały ich dezorientować. Jem przedarł się przez rój iskier do Douga, kiedy ten otwierał ogień, osłaniając go strzałami w promienie latarek. Za twardo wyregulował spust, beretta szarpała mu się w dłoni, odgłos przypominał sztuczne ognie w kotle. Jem przebiegł skulony obok niego i razem skryli się za narożnikiem.

Jem wyszarpnął pusty magazynek i przeładował,

miotając przekleństwa.

– Co jest, do kurwy nędzy! – zapytał spanikowany Gloansy, odsuwając się od konwojentów.

– Ktoś nas zakapował! – zawyrokował Jem, wychylił się, ostrzelał tunel, schował się z dymiącym tekciem w dłoni. – Zakapował, kurwa mać! Skurwysyny!

Trzy wystrzały huknęły z innej strony, Gloansy wrzasnął i skręcił się, dostał, zwałił się na twarz na kamienną posadzkę.

Doug skulił się, rozejrzał rozpaczliwie, złapał Gloansy'ego za kostkę i przywłókł go do burty bankowozu, do prawego tylnego koła. Cała piątka zakładników szarpała się, wrzeszczała i zasłaniała głowy. To nie oni strzelali. Gloansy oberwał w plecy. Doug, stojąc tyłem do suburba, wychylił się zza bankowozu. Nikogo nie widział.

Gloansy usiadł, przeklinając, sięgnął do krzyża. Kamizelka go uratowała, ale bolało jak cholera.

Kolejne pociski przeleciały im nad głowami. Jem puścił serię w stronę furgonu, zmarnował tylko amunicję, odbite rykoszetem pociski zryły ziemię koło Douga. Doug wrzasnął na Jema, ale teraz przynajmniej wiedział, skąd do nich strzelano.

Kobieta z konserwy. Bezpieczna w opancerzonym wnętrzu grzała do nich przez otwory strzelnicze. Doug i Gloansy byli poza zasięgiem –

przyciśnięci do karoserii – ale nie mogli się ruszyć.

Doug zajrzał pod wóz i zobaczył po drugiej stronie nogi Deza. Wrzasnął, ale Dez nie zareagował, złapał więc krótkofalówkę i cisnął nią pod furgonem, trafiając Deza w but.

– Brama! – wrzasnął do niego. – Otwórz bramę!

Dez podczołgał się na przód bankowozu i wychylił, żeby wdusić czerwony przycisk; wrota zaczęły się unosić.

– Co ty, kurwa, robisz?! – zawył Jem z kąta nieopodal wejścia do tunelu, gdzie był uwięziony.

Ale Doug dobrze kombinował: kobieta była spanikowana i gdy tylko zobaczyła, że brama się unosi, wskoczyła za kierownicę i wyrwała z kopyta, porysowała bok furgonetki o okalające wjazd cegły, przeskoczyła nad krawężnikiem i wyprysnęła na Van Ness.

Doug wstał w pustej teraz hali i walnął przycisk, zamykając bramę. Wyciągnął z kieszeni pistolet konwojenta i dołączył do Jema, wystawił rękę za róg tunelu i puścił serię pocisków kalibru .32.

– Zjeżdżamy! – wrzasnął, przekrzykując strzały.
– I to już!

– Nie ma, kurwa, mowy! – odparł Jem. – Forsa załadowana i gotowa do wywózki!

– Zostaw ją! – powiedział Doug, zagłuszony przez serię z tunelu. – Spadamy!

Gloansy był z powrotem na nogach, skulony, ale

na chodzie. Wymierzył w głąb tunelu i posłał na ślepo serię, potem ściągnął sobie bandanę, odsłaniając twarz.

– Pojadę!

– Nie! – krzyknął Doug.

Ale Gloansy już kuśtykał do suburbana, a przez ostrzał z tunelu Doug nie miał jak go zatrzymać. Gloansy był obolały, oszołomiony, złakniony pozornego bezpieczeństwa wewnątrz pojazdu ze szkła i metalu.

– Do zobaczenia na przesiadce! – wrzasnął.

Dez był bliżej suburbana, wahał się, czy zostać, czy urwać się z Gloansym.

– Kurwa! – mruknął pod nosem, patrząc, jak Gloansy zatrzaskuje tylne drzwi. Potem wrócił do Douga.

Jem wychylił się z bojowym okrzykiem zza rogu i zasypał tunel nawałą ognia i huk.

Frawley zbliżał się, kiedy przez szum deszczu i plaskanie własnych kroków usłyszał strzały. Zobaczył błyski z bramy D i doleciało go echo krzyków.

Wtedy ktoś na ulicy obok niego wrzasnął:

– Wyjeżdżają!

Podbiegł z Dinem i resztą na róg Van Ness. Srebrzysta pancerna furgonetka z migającym na żółto kogutem wypadła z bramy, szurając bokiem o ścianę

z cegieł, i popędziła ku nim przez deszcz. Dwóch sierżantów mało roztropnie wyskoczyło na chodnik i ostrzelało przednią szybę i kratownicę wozu.

Frawleya martwiły otwory strzelnicze. Próbował dojrzeć kierowcę, ale przy wyłączonych wycieraczkach widział tylko rozmazaną plamę kręconych włosów – może nieudolna charakterystyka. Ktokolwiek prowadził, na kilometr zalatywało od niego strachem.

Dino wrzasnął, żeby się cofnęli. Bankowóz minął ich z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Ostro skręcił w prawo i wszedł w poślizg na mokrej jezdni, kierowca próbował wyprostować oś, na chwilę odzyskał panowanie nad kierownicą, potem przedobrzył w drugą stronę, wóz skręcił na chodnik naprzeciwko stadionu i wbił się czołowo w zaparkowaną tam furgonetkę policyjną.

Zderzenie było potężne, coś najgłośniejszego i najpaskudniejszego, co Frawley w życiu widział i słyszał, samochód policyjny ugiął się na obręczach kół, wszystkie cztery opony eksplodowały, ryjąc w asfalcie, sunął jeszcze jakieś czterdzieści stóp, po czym zatrzymał się, ściąwszy po drodze hydrant. Policjanci wypełzali ze zmiażdżonej furgonetki, wypadali ranni na mokry chodnik i usiłowali odczołgać się od fontanny, która wystrzeliła w deszcz z otworu po hydrancie.

Dino i reszta funkcjonariuszy podbiegli do

bankowozu, huk zwrócił też uwagę dwóch antyterrorystów z bramy D. Srebrzysty furgon był nietknięty, kierowca zmieniał bieg, wciąż chciał uciekać. Dino ostrzegał kolegów, żeby uważali na otwory strzelnicze.

Zbliżające się wycie syren zwabiło Frawleya w drugą stronę, z powrotem na Van Ness – i właśnie wtedy drugi pojazd, duży czarny suburban, wyprysnął z bramy stadionu.

Skreślił w drugą stronę, ale pisk opon radiowozów zmusił go do korekty planu i wszedł w kontrolowany poślizg, po którym furgonetka znalazła się przodem do Frawleya i ruszyła w jego stronę.

Frawley nie widział z tej odległości kierowcy. Wiedział tylko, że ktoś próbuje zbiec po strzelaninie. Zszedł na lewo, na chodnik, przeładowując strzelbę i celując nisko, w opony – bum! – pierwszy chybiony strzał skrzeszał iskry na asfalcie, Frawley przeładował, przymierzył – bum! – przednia prawa opona poszła, przeładował – bum! – eksplodowała tylna. Guma zdarła się z obręczy, z jezdni wystrzelił snop wilgotnych iskier. Kierowca, zmagający się jeszcze z kierownicą, stracił panowanie na zakręcie, poleciał w drugą stronę, przeskoczył krawężnik i wbił się w zaparkowanego na rogu thunderbirda.

Frawley ominął szerokim łukiem tył suburbana, zakładając, że cała czwórka jest za przyciemnianymi oknami. Para komandosów nadbiegła z pistoletami

maszynowymi MP5 podwieszonymi pod pachą i Frawley się wycofał, pozwalając im dokończyć dzieła.

*

Usłyszeli radiowozy ścigające Gloansyego w suburbanie. Wystrzały strzelby w deszczu. Paskudny odgłos szkła pękającego przy uderzeniu.

– Dopadli go – powiedział Dez z rękami na głowie. – Kurwa jebana mać, mają Gloansyego.

Jem odwrócił się i wrzasnął, zasypując wylot tunelu wściekłą serią pocisków.

– Kto nas kurwa wsypał? – zawył. – Ja go, kurwa, zabiję!

Doug przełknął z trudem ślinę, podbiegł do dwóch konwojentów w mundurach i postawił ich na nogi, popchnął w stronę tunelu.

Jem kolejny raz przeładowywał, zrozpaczony ścisnął broń.

– Gloansy, ty jebany ćwoku...

Oczy nad bandaną Deza wyrażały tępy szok, broń zwisała mu w dłoni. Doug ocucił go, popychając do niego konwojentów, zmuszając go, żeby ich przypilnował.

Sam pobiegł przez halę, uderzając przyciski i otwierając pozostałe cztery bramy, później popędził z powrotem.

Przy elektrycznym wózku została jeszcze jedna pusta torba i Jem nad nią kucał, upychając gotówkę, tec dyndał mu na pasku pod pachą.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Doug. Jem nie przerywał pakowania. – Co ty, kurwa, wyprawiasz? Zostaw to! Spadamy!

Kiedy Doug chciał go złapać, Jem uniósł teca.

Douga zdradziło poczucie winy, kiedy się cofał. Jem je wyczuł, wstał, chłonał je jak rekin, który smakuje krew, w oku załśnił mu błysk zrozumienia.

– To ty – oznajmił. – Tyś nas, kurwa, wystawił. Ty to, kurwa, zrobiłeś?

– Barany, ruszajcie się! – krzyknął z tyłu Dez.

Jem patrzył z niedowierzaniem. Trzymał Douga na muszce, kucając i zasuwając torbę, potem ściągnął bandanę z twarzy, na której malowało się oszołomienie.

– Stary, dlaczego?

Dez nie wiedział, w kogo mierzyć, w konwojentów czy w Jema.

– Duggy, powiedz mu, że to nie ty!

Kolejne syreny, twarz Jema sposepniała. Zarzucił sobie torbę na ramię i nie spuszczał wzroku ani lufy z Douga, zaczął wycofywać się po kładce do otwartej bramy, gdzie zatrzymał się przed wyjściem na ulewę.

Doug czekał na kulkę Jema.

Jem, z beznamiętnym wyrazem twarzy, opuścił

teca i schował go pod płaszczem, potem spuścił głowę i ruszył z czarną torbą w deszcz.

Kierowca suburbana, kimkolwiek był, co najmniej stracił przytomność. Obserwator widział przez przednią szybę ruch ramion, ale głowa spoczywała na kierownicy. To mogło wymagać pierwszej pomocy, ale obserwator nie mógł dojrzeć tylnego siedzenia ani ładowni. Statusu pozostałej trójki – od ich obecności poczynając – nie dało się zweryfikować.

Kordon policyjny otoczył miejsce zderzenia – tego mniejszego na Yawkey – jeden z funkcjonariuszy nakłaniał przez megafon pasażerów do opuszczenia pojazdu.

Frawley kucnął ze strzelbą na kolanach za radiowozem stojącym w poprzek skrzyżowania. Buciorzy obok należały do komandosa ze słuchawką, który stał z pistoletem maszynowym opartym o wstrząsany waleniem deszczu dach wozu, z lufą wymierzoną w suburbana. Niesiony falą adrenaliny Frawley nie czuł uległości. Agent Kurwa Specjalny Steve McQueen. Właśnie przestrelili opony jadącego auta.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem Dina. Musiał się tym z kimś podzielić.

Nadciągały kolejne syreny, zewsząd przybywało niebieskich błysków. Frawleyowi podobał się ten

odgłos nadjeżdżającej z odsieczą kawalerii. Ale nagle przypomniał sobie dwa ' radiowozy, które przepłoszyły suburbaną. Kto je wezwał tak szybko?

„W eterze nic nie będzie – tłumaczył mu wtedy Dino – są na szyfrowanym kanale”.

Frawley podniósł się i naprawdę zaczął rozglądać się za Dinem; zobaczył go pod pożyczonym parasolem na rogu ogrodzenia, rozmawiającego z szefem. Frawley wszedł między nich i przerwał im nakręcony – nieświadomie – adrenaliną.

– Skąd się wzięły te radiowozy?

Kapitan spojrzał na litery FBI na piersi Frawleya.

– No cóż – zaczął wyjaśniać pod tłućącym w parasol deszczem – kiedy tata radiowóz i mama radiowóz bardzo, ale to bardzo się kochają...

Dino położył dłoń na piersi kapitana.

– To mój człowiek, kapitanie, Frawley, od napadów na banki. Porządny gliniarz.

Kapitan spojrzał na Frawleya, przeprosił go niechętnym skinieniem głowy.

– Odebraliśmy zgłoszenie pod dziewięćset jednaście. Alarm z wnętrza bankowozu.

Frawley odwrócił się i spojrzał na srebrzysty wóz Providentu stojący obok wraku teraz już pustej furgonetki policyjnej – wyobraził sobie wezwanie pomocy.

– Dean – zaczął i Dino w lot zrozumiał, do czego

zmierza.

Ta banda nigdy nie zostawiała takich spraw losowi. Oni omijali alarmy.

– Włączony celowo? – zastanowił się Dino. – Ale po co?

Frawley cofnął się, żeby ogarnąć wzrokiem wraki samochodów na Yawkey, przy których roilo się od policjantów w pomarańczowych płaszczach. Odwrócił się i spojrzał wzdłuż Van Ness – tam też pomarańczowi.

– Chcieli, żeby było dużo policji.

Zauważył, jak jeden z funkcjonariuszy przechodzi przez ulicę z czarną torbą – oddalał się od stadionu, jego chód był zanadto opanowany.

Doug stał i patrzył, jak Jem wychodzi. Kolejny radiowóz przejechał na sygnale, potem Dez zaczął się na niego wydzierać. Odwróciwszy się, Doug zobaczył, że Dez nadal trzyma konwojentów na muszce. Latarki i kroki w głębi tunelu.

Doug wyciągnął berettę i wyjął magazynek. Zostały dwa naboje. Schował go i wyciągnął zza paska świeży, wsadził, wprowadził nabój do komory. Przejął od Deza konwojenta i zapędził wszystkich do ostatniej bramy, tej najdalej od tunelu, na końcu Van Ness.

Tam położył konwojenta twarzą do ziemi, schował pistolet do kabury i rozwiązał bandanę.

Konwojent błagał o życie, przeświadczony, że czeka go egzekucja. Knebel z bandany uciszył jego skomlenie.

Dez zrobił to samo ze swoim, potem wstał, ciągle przecierając oczy; chciał skorygować mruganiem ustawienie szkieł kontaktowych.

– Damy radę? – zapytał.

Doug wyjrzał przez bramę na deszcz.

– Kurwa – wymamrotał, rozważając szanse, po czym odwrócił się do Deza. – Dla mnie to dożywocie – nie mam wyjścia. Ale ty dostaniesz góra parę lat. Idź na układ, wytarguj, ile się da. Jak się wydostanę, to i tak stąd znikam.

Dez patrzył na niego z niepewną miną.

– Gloansy jest ranny – ciągnął Doug. – Poddaj się. Ja na twoim miejscu bym to zrobił.

Dez zamrugał, bolały go oczy.

– Nie wierzę.

Doug wychylił się z bramy i zobaczył nadciągających z obu stron policjantów, byli już niedaleko. Wyszedł prosto na deszcz i szybko pomachał do najbliższej pary.

Przybiegli chodnikiem w pomarańczowych pelerynach z bronią u boku. Doug upewnił się, że widzą jego puste dłonie, potem skierował ich za róg, gdzie Dez stał nad związanymi i zakneblowanymi konwojentami.

Gliniarze z miejsca ruszyli do akcji, jeden

przykleknął mocno na plecach konwojenta, drugi podał przez radio swoje położenie.

– Nieźleście ich urządzili – przyznał ten, który klęczał.

Konwojenci zaczęli się szarpać, występując zaprzeczenia, usiłując wyrazić prawdę wzrokiem.

– Zabierzcie tych dwóch – polecił Doug. – My gonimy trzeciego.

Doug i Dez ruszyli ulicą: szli zwawo, ale nie biegli. Doug rozejrzał się po Yawkey, gdzie na rogu utknął suburban po wbiciu się w ich ukradzionego thunderbirda, dokoła roiło się od pomarańczowych. Przy drzwiczkach od strony kierowcy sanitariusz opatrywał Gloansy’ego, Douga przeszedł dreszcz.

Na lewo, za parą pustych radiowozów, była Landsdowne Street. Przed nimi Ipswich Street, mieniąca się pomarańczowo od policji; w tamtą stronę poszedł Jem.

– Chodź – syknął Dez i skręcił w lewo, szykując się do opuszczenia rejonu blokady.

Z Ipswich dobiegł ich huk strzałów. Doug poczuł je w piersi, tak jak czuje się grzmot albo kobiecy krzyk.

– Kurwa mać – skomentował Dez.

– Znikaj – polecił Doug, po czym ruszył sam za Jemem.

Policjant dotarł na koniec Ipswich, tam, gdzie ta

krzyżowała się z Boylston, szedł ulicą wzdłuż zaparkowanego po lewej stronie szeregu aut.

– Przepraszam! – powiedział Frawley, podchodząc do niego od tyłu. – Proszę się zatrzymać.

Gliniarz stanął, torba zwisała mu ciężko w dłoni, tuż nad ziemią. Po lewej stronie miał stację benzynową, jeszcze jedną po drugiej stronie Boylston, po prawej sklep z artykułami biurowymi Staples. Czteropasmową Boylston przejeżdżały, jak co dzień, samochody.

Z początku gliniarz się nie odwracał, tył gładkiej peleryny zmarszczył się, kiedy sięgnął pod nią wolną dłonią. Za to kiedy już się odwrócił, jego ręka wykonała szeroki zamach i seria z pistoletu rozszarpałaby Frawleya od stóp po pachwinę, agent poniósłby z pewnością śmierć na miejscu. Ale Frawley schował się wcześniej za małą złotą hondę civic hatchbacka, i ta przyjęła na siebie ogień gliniarza.

Dwóch pobliskich policjantów też znalazło się pod ostrzałem, wypuścili niesione niebieskie policyjne kozły, a Frawley odważył się spojrzeć na napastnika przez rozbite szkło samochodowej szyby.

Dostrzegł tylko plamę dzikiej połyskującej białkami oczu twarzy, obscenicznej na tle policyjnego granatu, zupełnie jakby ludożerca włożył fartuch kucharza. James Coughlin. Wycofywał się, ostrzeliwując z przejętym uśmiechem nastolatka,

który patrzy, jak spełniają się jego brutalne wizje.

Frawley usiłował oprzeć strzelbę o dach auta, ale za Coughlinem rozpięzchali się przechodnie, samochody czekały na zielone światło. Wtedy bandyta się odwrócił, podwieszony pod pachą pistolet szturmowy – nielegalny intratec-9 – roztrzaskał szyby w aucie.

Do Frawleya dopiero wtedy dotarło, że ktoś do niego naprawdę strzela, i mocno się skulił, przylegając ramieniem do tylnej części wozu. Wiele pocisków przeleciało na wylot, wybijając dziury w dachu i wbijając się w drewniany płot za Frawleyem.

Ostrzał ustał. Frawley mocno ścisnął strzelbę, spodziewając się jakiegoś fortelu.

Zamiast tego usłyszał turkot jakby kamienia toczącego się po ulicy. Przedmiot odbił się od krawężnika i kiedy Frawley zajrzał pod wóz, zobaczył, jak przestaje podskakiwać.

Wyglądał na stary granat. Frawley nie mógł uwierzyć własnym oczom. Za chwilę, oczywiście, uwierzył – i rzucił się, pognął, wrzeszcząc do nadbiegających gliniarzy, żeby spierdalali.

Granat wybuchł, a z nim zbiornik paliwa hondy. Frawley poleciał na ziemię razem ze swoją strzelbą. Obrócił się na mokrym asfalcie i zobaczył przewrócone małe auto z importu z podwoziem w płomieniach. Podmuch roztrzaskał wystawę Staples, Boylston Street była pełna ludzi, którzy wyskakiwali

z aut i uciekali. Po Coughlinie nie było śladu.

Frawley podniósł się na nogi, wkurzony. Ten parszywiec chciał go zabić. A ktoś, kto otwiera ogień do agenta federalnego, otworzy ogień do każdego.

Frawley podniósł z ziemi remingtona i ruszył za bandziorem.

Doug zobaczył płonący samochód, z którego w deszcz buchały kłęby cuchnącego dymu.

Granaty. Doug nie mógł uwierzyć.

– Jak nic pojebany – powiedział ktoś za nim.

Doug odwrócił się i zobaczył Deza.

– Wynoś się stąd...

– Hej, wy tam! – krzyknął ktoś z boku.

Minęło ich biegiem dwóch policjantów. Ten, który do nich krzyczał, był wyższy rangą.

– Bierzcie lewą stronę! Przeczeszemy Boylston i zamykamy od tego końca!

Doug kiwnął głową i zrobił, co mu kazano – wyciągnął berettę i przeszedł na przeciwległy chodnik, lawirując między porzuconymi samochodami i spanikowanymi przechodniami odpełzającymi w deszczu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Dez, dołączając do niego z boku. – Jak chcesz mu pomóc?

– Desmond – odparł wściekły Doug. – Zjeżdżaj, zostaw mnie.

Wtedy zobaczył, jak Jem w rozwianej

pomarańczowej pelerynie, z torbą w jednej dłoni i gnatem w drugiej, ucieka z parkingu Howarda Johnsona pół przecznicy dalej. W odległości czterech, pięciu aut za Jemem zobaczył ubranego po cywilnemu faceta ze strzelbą i w nylonowej kamizelce z napisem FBI. Agent ruszył za Jemem.

Coughlin chciał przebić się do McDonalda, biegł w tamtą stronę, pewnie chciał wziąć zakładników.

Frawley nie mógł do tego dopuścić. Zaszedł go od lewej i kiedy Coughlin dotarł do chodnika po drugiej stronie, Frawley przyłożył strzelbę do ramienia i oddał bardzo niecelny strzał – gdzieś między Coughlinem a barem. Budkę z ofertami mieszkaniowymi rozerwało na kawałki. Przeładował, znowu strzelił – bum! – tym razem skasował kiosk „Boston Herald”.

Coughlin odskoczył od wybuchających stoisk. Wykonał półobrót i oddał serię po ulicy, zlokalizował Frawleya, ale nie dość szybko. Frawley dał nura między zaparkowane samochody, zdzierając sobie skórę na łokciach i kolanach. Usłyszał, jak w bok ciężarówki wbijają się pociski – toktoktok – i pomyślał: Biorę udział w kurewskiej strzelaninie. Podniósł nogi w obawie przed rykoszetami, siedział na przednim zderzaku ciężarówki i trzymał stopy na bagażniku auta zaparkowanego obok. Sięgnął do kieszeni kurtki i załadował strzelbę, rozsypując część

nabojów.

Z tyłu doszedł go terkot broni małego kalibru, tu wystrzał, tam wystrzał. Potem tylko szum deszczu. Frawley wychylił się z jednej strony, omiół wzrokiem chodnik koło McDonalda, ludzie wylewali się tylnym wyjściem z dziećmi na rękach. Front budynku był przeszklony – zerknął między wymalowanymi na szybach Burmistrzem McSerem i Hamburgeradą – Coughlina nie dostrzegł w środku.

Wysunął głowę z drugiej strony, przyjrzał się sieczonej deszczem ulicy pełnej pustych aut z włączonymi wycieraczkami. Tam też go nie było.

Wycofał się powoli, przekonany, że Coughlin czeka tylko na jego ruch, żeby go skosić. Podczas wymiany ognia ktoś mógł oberwać. Na pomoc, jego stroną ulicy, szło mu dwóch policjantów, byli jeszcze pół przecznicy od niego. Byli pomarańczowi, tak jak Coughlin, przyglądał im się uważnie przez chwilę, przypomniawszy sobie, że MacRay jest ciągle na wolności.

Znowu pociski uderzyły w bok ciężarówki, Frawley wyskoczył skulony z drugiej strony i pognął chodnikiem. Chciał za wszelką cenę zatrzymać Coughlina na środku Boylston i zepchnąć go na zachód.

Doug skojarzył strzelbę FBI z Frawleyem – detektywem, który opierał się o przedni zderzak

furgonetki UPS i przeładowywał.

Dez przecierał oczy, usiłując dojrzeć, co się dzieje.

– Będziesz strzelał do glin?

– Dez, odpierdol się od mnie.

– Jak chcesz go uratować? No jak?

Doug mógł zdjąć Frawleya. Gdyby chciał go zabić, mógł to zrobić tu i teraz.

– Doug, nic mu nie jesteś winien. Nie możesz mu już pomóc, możesz tylko zginąć razem z nim.

Zaterkotała broń, pociski odbiły się od zaparkowanego obok samochodu, roztrzaskały szyby, rozchlapały kałuże.

Jem był pół przecznicy dalej i właśnie do nich – do glin – strzelał. Dez schylił się, przeklinając.

– Duggy. Utkniemy tu. Musimy spadać, i to zaraz.

Doug patrzył, jak Frawley wychyla się zza furgonetki.

Czasami sama świadomość, że coś można zrobić, wystarczy. Dał się odciągnąć Dezowi i ruszyli razem Boylston w kierunku czarnego dymu wydobywającego się z wraku.

Czy to pod wpływem paniki, czy zwykłej głupoty, Coughlin ruszył przez skrzyżowanie, gdzie Boylston spotyka się z końcem Yawkey. Nadział się na gliniarzy, pociski dziobały kamizelkę

kuloodporną, obracały Coughlinem, zapraszały go do tańca, trafiły go w nogę i rękę z pistoletem. Mimo to odwrócił się i strzelał, uciszył służbowe pistolety, ale nie ogień z broni maszynowej. Parę celnych strzałów zachwiało Coughlinem, który trzymał przed sobą torbę z pieniędzmi jak tarczę i wycofywał się za róg przed drugstore'em Osco.

Zakrwawiony i z pogardliwym uśmieszkiem pokuśtykał podjazdem dla niepełnosprawnych do drugstoreu, w którym ktoś, wykazując się przytomnością umysłu, zamknął drzwi na klucz. Seria pocisków roztrzaskała szkło tuż przed ostatnim głuchym kasznięciem intrateca. Przyciśnięty do ściany na parkingu Frawley usłyszał, jak pistolet uderza z brzękiem o ziemię, nasłuchiwał przemieszanych ze śmiechem przekleństw i szurania zranionej stopy.

Coughlin wyszedł z za rogu i Frawley czekał na niego z remingtonem. Coughlin wyszczerzył zęby, jakby się znali, a może to litery na piersi Frawleya tak go rozśmieszyły. Frawley zaczął do niego wrzeszczeć. Nie wiedział, co mówi, i prawdopodobnie Coughlin i tak tego nie usłyszał.

Coughlin zaśmiał się, pistolet w jego zakrwawionej dłoni zaczął się unosić i Frawley oddał jeden strzał nisko – bum! – przeładował i – bum! – drugi wyżej.

Coughlina odrzuciło do tyłu, szaleństwo

utrzymywało go na nogach niczym sterowaną obłądem kukłę, wycofywał się, aż spadł z mokrego chodnika i uderzył mocno o jezdnię.

Frawley nie ruszał się, zamarł w pozycji strzeleckiej, ciągle czując szarpnięcie odrzutu. Zakrwawiony pistolet leżał na chodniku, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał Coughlin.

Coughlin przeturlał się po jezdni i zaczął się czołgać. Włókł się, nie wypuszczając z dłoni czarnej torby, w kierunku podwójnej żółtej linii. Zupełnie jakby wspinał się na dach wysokiego budynku.

Frawley w końcu oprzytomniał, trzymał się na dystans od Coughlina, świadomy, że go zabił i że teraz to tylko kwestia czasu. Nadbiegli antyterrorysty, zatrzymali się przy Frawleyu z bronią wymierzoną w jaskrawopomarańczowy mokry cel, wszyscy czekali.

Coughlin zatrzymał się, roześmiał, plując krwią, obrócił się i spojrzał w lejące się na niego niebo, pierś mu podskoczyła, usta wykrzywiły w uśmiechu, pomimo że zaczynał się dusić.

*

Doug patrzył, jak pomarańczowa plama wypełza na środek szerokiej jezdni, zatrzymuje się i przewraca na plecy.

Policjanci byli coraz bliżej.

– Doug – syknął Dez.

Doug wycofał się, odwrócił, ruszył szybkim krokiem z Dezem u boku. Zaraz puszcza się biegiem. Samochód z ubraniami na zmianę diabli wzięli, ale Ogródki Fenwayowskie były zaraz za rogiem. Wykopią pieniądze Douga, pójdą do pierwszego lepszego odzieżowego, potem złapią taksówkę, pojedą na długoterminowy parking w Logan, włamią się do jakiegoś samochodu – wybiorą starszy model – znikną ze stanu. Później się zastanowią, co zrobić z resztą życia.

Wszystkie te myśli kotłowały się w głowie Douga, aż dotarło do niego, że jest sam. Odwrócił się i zobaczył, jak Dez wraca na środek ulicy, patrzy wzdłuż podwójnej żółtej linii na Jema. Dez chciał dojrzeć przez deszcz, co się dzieje, dłubał przy szklach kontaktowych jak człowiek, który nie wierzy własnym oczom.

Frawley w kamizelce i kilku komandosów zbliżało się do Jema powoli. Doug z początku nie rozumiał, o co chodzi Dezowi – po chwili go olśniło.

Granaty przy pasku Jema.

– Hej! – krzyknął Dez.

Antyterrorysty nie usłyszą go w szumie ulewy.

– Dez! – zawołał do niego Doug. Od strony płonącego samochodu nadchodzili policjanci.

Dez podbiegł kilka kroków, zamachał. Jego akcja, oprócz uratowania życia gliniarzom, miała na celu pokrzyżowanie planu Jemowi – planu

triumfalnego zejścia z pola bitwy, zabrania ze sobą na tamten świat kilku wrogów.

Dez wyciągnął pistolet i pierwszy raz tego ranka wystrzelił, do góry, prosto w deszcz, potem oddał kilka niskich strzałów w nawierzchnię koło Jema. Zdziałało, to był jedyny sposób, żeby z tej odległości przepłoszyć policjantów.

Eksplozja była jak wybuch miny, Jema rozerwało na strzępy. Torba wypluła pieniądze w powietrze, banknoty trzepotały jak wystrzelone z armaty konfetti, opadały powoli na mokrą jezdnię.

Gliniarze oderwali się od dymiącej hondy i zbliżali do Deza, pokrzykując. Pełna dezorientacja w zacinającej ulewie, Dez nic nie widział, miał podrażnione oczy, podnosił ręce do twarzy.

Pierwszy strzał go obrócił. Drugi szarpnął nim w przeciwną stronę, z bliska kamizelka go nie ochroniła, Dez padł z płaskiem na asfalt.

Doug wyciągnął broń i ruszył ku niemu. Ale pół tuzina pomarańczowych peleryn już zacieśniało krąg wokół leżącego Deza.

„Będziesz strzelał do glin?” – Doug patrzył, jak Dez wije się na ziemi, dopóki policjanci nie zasłonili mu widoku. Dez dostał. Gloansyego złapali. Jem nie żył.

Wtedy coś spłynęło z Douga razem z deszczem. Schował broń do kabury, odwrócił się i odszedł.

Dzwonienie w uszach – to krzyczał umysł podnoszącego się z mokrej jezdni Frawleya. Pokuśtykał do szczątków Coughlina. Pieniądze spadały z nieba, a on szedł z pistoletem przez śnieżycę gotówki do podwójnej żółtej linii.

Kamizelka kuloodporna Coughlina była rozerwana jak zakrwawione truchło. Skurwiel, wysadzając się, chciał zabrać ze sobą Frawleya i całą resztę.

Frawley spojrział na drogę w stronę, z której padły strzały; kotłowanina myśli była zbyt agresywna, żeby postawić jakąkolwiek hipotezę. Kogoś tam złapali. Frawley mógł mieć tylko nadzieję, że MacRaya.

*

Doug usiadł na jej kamiennej ławeczce. Łzy wierzby ściekały do jej ogródka, a on starał się pojąć, co właściwie czuje, aż w końcu do niego dotarło – nie czuł nic.

Ukląkł w błocie. Deszcz bombardował purpurowe niecierpki, kiedy wbijał ręce po nadgarstki w glebę, jak gdyby mógł w ten sposób dosięgnąć pieniędzy, zabrać je i zniknąć. Jak gdyby miał do czego uciekać. Jak gdyby miał po co uciekać.

Nie zostało mu nic – oprócz zemsty. Syreny wyły na Boylston, a on wstał, zdjął pomarańczową

pelerynę i ruszył z powrotem do Town.

DOM

Doug skręcił przy przystanku Community College i przeszedł po kładce na drugą stronę Rutherford Avenue, chłonąc widok skąpanego w deszczu Town, jego ramion w postaci bliźniaczych wzgórz, którymi wzruszało na przekór ulewie.

Szedł Austin Street między lodowiskiem a placzykiem przed Foodmasterem w stronę Main Street, ludzie pod parasolami pozdrawiali kiwnięciami głów przemokniętego gliniarza z drogówki, który mijał ich na chodniku, a dzieci w pelerynkach i kaloszach wpatrywały się w ubranego na granatowo mężczyznę. Doug nic nie widział. Oprócz cegieł pod stopami rejestrował tylko odgłos helikoptera policji stanowej, który przedzierał się przez deszcz nad miastem na drugą stronę rzeki, żeby go tam szukać.

Dzwoneczek nad drzwiami zachichotał, kiedy wchodził do kwiaciarni. Usłyszał utwór na skrzypce i harfę, A Little Bit of Heaven – serenada dla spragnionych wody roślin i przycupniętych kamiennych gargulców. Doug stał przez chwilę sam między bladymi kwiatami, wstrzymując powietrze, aż Rusty, ochroniarz Kwiaciarza, wyszedł wreszcie

zza zawieszanej nad drzwiami czarnej zasłony za ladą w głębi sklepu.

Był w zielonym dresie i jadł opakowaną w folię kanapkę z sałatą. Zrazu wziął przemokniętego granatowego glinarza za klienta, potem rozpoznał twarz.

Przez chwilę wydawało się, że Doug nie będzie musiał zastrzelić byłego żołnierza IRA. Rusty nie miał żadnej broni – oprócz, ewentualnie, tej kanapki z sałatą – i Doug myślał, że mężczyzna ugnie się pod naporem czasu i przemocy, i ustąpi.

Jednak rzut oka na puste dłonie Douga wystarczył – duma Rustyego przeważała. Ochroniarz Kwiciarza wypuścił kanapkę i rzucił się po coś ukrytego pod ladą.

Doug wyciągnął broń z kabury i oddał dwa strzały, siwego Irlandczyka rzuciło na ścianę, osunął się po niej na podłogę. Kiedy Doug, zmierzając na zaplecze, wymijał ladę, Rusty leżał twarzą do ziemi i charczał.

Doug przeszedł za czarną zasłonę z gotowym do strzału pistoletem. Irlandzka muzyka była tu głośniejsza, wydobywała się z trudem ze starego gramofonu. Chłodnia z przeszklonymi drzwiami była pusta, stół roboczy Fergiego stał na środku pokoju.

Doug usłyszał spuszczaną wodę. Odwrócił się do zamykanych na haczyk drzwi, kiedy te się otwierały.

Fergie wyszedł. Był w obcisłej bluzie z

kapturem, długich roboczych spodniach i kapciach z rdzawoczerwonego zamszu, w rękę trzymał gazetę. Ujrzał gliniarza z bronią w dłoni i z początku tylko się zirytował. Potem zdjął okulary do czytania, żeby lepiej się przyjrzeć twarzy intruza. Opadły mu na pierś.

Wypowiedział imię Douga i Doug sprawił, że powietrze zaszło dymem. Doug nie przestał strzelać, dopóki Fergus Coin nie znieruchomiał pod stołem, bosi pośród końcówek łodyg, pod rozwiniętymi paskami wstęg żałobnych.

Dopiero po chwili do uszu Douga ponownie dobiegła irlandzka muzyka. Nie usłyszał dzwoneczka nad drzwiami do sklepu.

Dwa pociski trafiły wysoko w tył kamizelki. Kolejny wgryzł mu się w górę lewego uda, czwarty musnął go w ramię i rozorał szyję.

Doug okręcił się i padł na podłogę, stamtąd strzelał, celując przez zasłonę, do sklepu. Usłyszał upadek, potem chichot dzwonka.

Podniósł się na nogi. Ołów w nodze piekł; po przodzie koszuli, po podrobionej srebrnoniebieskiej odznace ciekła mu krew. Czuł ciepłą, pulsującą dziurę w szyi. Zakrył ją poduszką dłoni, przycisnął mocno, dokuśtykał do drzwi i zerwał z nich czarną zasłonę.

Rusty nie ruszał się, skonał tam, gdzie padł. Pośród donic podłogowych od frontu sklepu leżało na

boku ciało młodego chłopaka, który dygotał, czarne buciory tłukły o posadzkę. Dziura w Tshircie na plecach, tuż nad paskiem panterek, nabiegła krwią. Doug dokuśtykał do niego, tamując lewą dłonią krew lejącą mu się z szyi, w prawej ściskając pistolet.

Jeden z gówniarzy Jema. Świergot dzwonka oznaczał ucieczkę drugiego.

Doug stał nad nim i czekał, ale chłopak nie chciał na niego spojrzeć, leżał i trząsał się w kałuży brudnej wody z przewróconej donicy.

Doug schował broń do kabury i wyszedł, zostawiając podrygującego chłopaka na podłodze.

Frawley siedział w McDonalddie, wciąż usiłując zliczyć wszystkie oddane strzały. Czekąco go dochodzenie FBI, jak również postępowanie cywilne; będzie musiał wytłumaczyć się z każdego wystrzelonego pocisku. Oddał już remingtona do laboratorium balistycznego.

– Wywałą mnie – mruknął.

Dino pił obok truskawkowego shake’a.

– Spokojnie.

– Tylko tam wyjrzyj. – Ulica roiła się od uzbrojonych w parasole funkcjonariuszy szczebla miejskiego, stanowego i federalnego, koronerów hrabstwa Suffolk, prawników z ratusza i ekip dziennikarskich napierających na barierki bostońskiej policji. – Strzelanina na Fenway Park. Samochód

wysadzony granatem. – Frawley odchylił się na oparcie krzeselka. – Zabiłem człowieka na ulicy.

– Nieźle go podziurawiłeś, ale formalnie rzecz biorąc, to własne granaty wysłały porąbańca na tamten świat.

Przed Frawleyem leżała pomarszczona kamizelka FBI.

– Nie mogą mnie skasować z marszu. To by źle wyglądało. Muszą poczekać na przebieg dochodzenia. Na razie ześlą mnie do zimnych krajów.

– Chcesz wiedzieć, co się okazało w sprawie tego drugiego gościa z ulicy?

Frawley skrzywił się.

– No?

– To był Elden. Suburbana prowadził Magloan – w bagażniku był cały łup, odjąć to, co wysadził razem ze sobą Coughlin.

Frawley czekał.

– A MacRay?

– Znajdziemy go. Sprowadzamy oddział z psami tropiącymi do przeczesania stadionu.

Frawley spojrział na niedojedzone śniadania zostawione na stolikach przy oknach, na puste krzeselka dla dzieci, rozłożone gazety.

– Dean – powiedział, unikając wzroku młodszego kolegi. – Po drodze narobiłem trochę głupot. Zrobiłem parę rzeczy, które powinienem był

chyba najpierw uzgodnić z tobą.

Dino spojrział na niego, bez słowa, może odliczał w myślach do dziesięciu.

– Nic nielegalnego – podkreślił Frawley. – Ale przegiąłem. Wziąłem to sobie za punkt honoru. Za mocno się zaangażowałem.

Dino pociągnął długi łyk shake'a, potem odstawił kubek. Wstał.

– Frawl, jesteś w szoku. Minie parę godzin, to pogadamy. A raczej ty będziesz gadał.

Dino odszedł, Frawley wyglądał przez okno, myślał o zimnych krajach. Miał jeszcze dyplom prawa. Może w tym McDonalddie przyjmują do pracy.

Patrzył, jak dwóch detektywów wsiada do nieoznakowanego grand marquisa i wyjeżdża szybko z parkingu.

Na twarzach reszty policjantów Frawley dostrzegał ekscytację. Wziął się w garść i wyszedł. Zapytał najmłodszego na oko mundurowego, co jest grane.

– Sklep Kwiaciarza w Charlestown – wyjaśnił glina. – Jatka, porachunki mafijne. Chyba ktoś ukatrupił Fergiego.

Umysł Frawleya stęzał niczym zaciśnięta pięść. Podczas gdy on siedział na dupie w McDonalddie i użalał się nad sobą...

Claire Keeseey.

Rzucił się biegiem przez ulicę w stronę wozu.

Doug jeszcze raz nacisnął dzwonek i zwiesił głowę tak nisko, że znaczek na czapce wypełnił wizjer.

Claire otworzyła drzwi policjantowi. Zobaczyła twarz Douga, zakrwawioną rękę na szyi i zakryła sobie usta dłonią, oczy o mało nie wyszły jej z orbit.

Pierwszy krok Douga przez próg był normalny. Przy drugim zachwiał się, przy trzecim przewrócił.

Claire krzyknęła.

Nie mógł oderwać dłoni od szyi. Tylko tętno utrzymywało go przy życiu. Powolne pulsowanie, które wyczuwał pod tą dłonią, odliczało upływ czasu.

Usiadł i odepchnął się wolną ręką i piętami od otwartych drzwi. Na deszczu myślał tylko o tym, żeby dotrzeć do jej domu. Teraz chciał się tu zagnieździć. Dotarł do stolika przed kuchnią i oparł się o nogi krzesła.

Na chwilę odszedł. Potem wrócił.

– Udało się – powiedział. Strasznie chciało mu się ziewać, ale mu nie wychodziło.

Claire podeszła. Niewiarygodnie wysoka, zasłaniała sobie usta dłońmi, jej oczy wypełniały łzy.

Doug przełknął z wysiłkiem.

– Dlaczego?

Chciała przykucnąć, zawahała się, została jednak na stojąco.

– W ogródku. – Mówił urywanymi zdaniami. – Tamten ostatni raz. Chciałem, żebyś... zabroniła mi iść. Chciałem, żebyś mnie zatrzymała.

Pokręciła przerażona głową.

– Chciałem, żebyś... dała mi powód.

– Ale cokolwiek bym powiedziała...

Nadal go nie rozumiała.

– Zrobiłbym dla ciebie... wszystko. Nawet bym siebie ocalił.

Kucnęła, usiadła na piętach zdezorientowana.

– Dlaczego? Dlaczego chciałeś zrzucić to na mnie?

I wtedy w jej zagubieniu rozpoznał istotę swojego wielkiego błędu. Oddał się Claire, tak jak Krista oddała się jemu.

Ktoś, na kogo się zdajesz z nadzieją, że cię ocali, może cię również zniszczyć. O to chodziło Frankowi G. – nie oddawać się we władanie drugiej osoby.

Jakiś mężczyzna szedł w jego stronę z wyciągniętym pistoletem. Ten detektyw, Frawley. Doug przycisnął mocniej bok szyi.

Frawley wszedł przez otwarte drzwi, na widok śladów krwi i deszczu wyciągnął spod pachy sigsauera. MacRay był w mundurze policyjnym, siedział na podłodze oparty o krzesło, Claire klęczała przed nim.

Broń MacRaya tkwiła w kaburze. Jedna dłoń

była lepka, czerwona i dociskała ranę na szyi, krew ściekała ze zgiętego łokcia na cytrynową wykładzinę. Przy pasie nie miał granatów.

Umierający MacRay zmarszczył brwi najpierw na widok pistoletu, potem samego Frawleya.

Frawley podszedł do MacRaya z wymierzoną bronią, poczuł zapach krwi, schylił się i wyciągnął z kabury policyjnej berettę. MacRay siedział i przyglądał się temu. Frawley wycofał się za Claire, opuścił lufę, schował berettę do tylnej kieszeni. Zobaczył na stole telefon, podszedł do niego, podniósł słuchawkę.

– Nie.

Głos MacRaya był tak samo bezbarwny jak jego twarz. Frawley odłożył słuchawkę, wrócił na linię wzroku MacRaya.

Claire odwróciła głowę i spojrzała przez łzy na Frawleya.

– Ty to zrobiłeś?

Jej słowa go zabolowały. Pytała: „Czy zrobiłeś to przeze mnie?”.

MacRay mówił z jeszcze większym trudem, niż oddychał.

– To ona mnie wydała?

Chyba znał już prawdę. r

– Zgadza się – mruknął Frawley.

MacRay przełknął ślinę z wysiłkiem. Patrzył długo na Claire, potem zamrugał i spojrzał znowu na

Frawleya.

– Dlaczego tyle czekaliście? Dlaczego nie zgarnęliście... w hotelu?

– W jakim hotelu? – zapytał Frawley. – Dowiedziałem się o wszystkim na godzinę przed.

MacRay znowu spojrzał na Claire. Coś tu nie grało.

– Mówimy o siostrze Coughlina, prawda? – dodał Frawley. MacRay przeniósł wzrok z powrotem na Frawleya. Jego spojrzenie było tak nieruchome i puste, że Frawley pomyślał, iż to już koniec. Wtedy MacRay kiwnął głową. Chyba mu ulżyło. Serce Frawleya waliło za ich obu.

– Skasowałeś Kwiciarza.

MacRay zamrugał.

– Powiedz Dezowi, że to za niego. Za Town.

Frawley wolałby nic nie czuć do tego bandyty, ale będąc w jednym pokoju z umierającym, człowiek sam też trochę umiera.

– Sam mu to powiesz.

Jedyną reakcją był błysk w oczach MacRaya.

– Pieniądze – powiedział Frawley. – Gdzie schowałeś resztę?

MacRay zapadał się w sobie.

– Gdzie są pieniądze? – naciskał Frawley.

– Daj mu spokój – szepnęła Claire.

MacRay umierał. Frawley odsunął się ociężałym krokiem. Podniósł słuchawkę i wybrał 911.

Przysunęła się i wzięła jego pustą dłoń, przytrzymała ją czule w swojej, jakby to sama ręka umierała.

– Nigdy nie chciałaś wyjechać – wykrztusił Doug. – Ze mną. Prawda.

Wytrzymała jego spojrzenie. Jej zapłakana twarz mówiła: nie.

Poczuł, jak miłość przebiega z jego dłoni na jej dłoń niczym prąd elektryczny.

Znajdzie je na wiosnę. Pieniądze, które zakopał jak straconą nadzieję w jej ogródku. Jak wiadomość, którą dla niej zostawił. Może skorzysta z nich, żeby jakoś wesprzeć klub. Może z czasem zmieni o nim zdanie.

Lewa dłoń odpadła od szyi i skoncentrował się na jej twarzy. Chciał, żeby to była ostatnia rzecz, którą będzie mu dane widzieć na tym świecie.

Nawet jeżeli jakaś wizja jest skazana na porażkę – zawsze jest chwila absurdalnej nadziei, która usprawiedliwia rzucenie wszystkiego na szalę, chwila, w której nie ma wątpliwości, że było warto.

Claire poraził bezwład dłoni, z której uszło życie. Wypuściła ją ze strachu, dopiero później dopadł ją wstyd, że nie towarzyszyła mu do końca. Teraz na podłodze w jej domu leżał martwy człowiek i jej umysł sobie z tym nie radził.

Dlaczego przyszedł umrzeć do niej? Wcisnął się do jej kuchni, tak jak kiedyś wcisnął się do jej życia. Gardziła nim za bałagan, jak zostawił, krew na podłodze była jak plama na jej duszy. A mimo to... A mimo to, kiedy przyglądała mu się teraz, nie mogła wyprzeć się uczucia do tego chłopca bez matki. Do Adama Frawleya też, tego zawistnika, który teraz szeptał coś do słuchawki – do obu spragnionych miłości synów, między których zaplątała się ona. Ale dla mężczyzn, na jakich wyrosła, miała tylko pogardę.

Przypomniała jej się opowieść o kobiecie, która wypadła za burtę zacumowanego wycieczkowca. Przeżyła upadek i udało jej się wypłynąć na powierzchnię, ale była uwięziona między ścianą nabrzeża a kadłubem, spychanym przez przyływ. Czekają ją zmiżdzenie, ale kobieta wyplątała się z sukni wieczorowej, pozbyła się szpilek i popłynęła w jądro ciemności, po omacku szukała drogi głęboko pod kilem, udało jej się przedostać i wypłynęła, wierzgając rozpaczliwie, na wpół uduszona, po drugiej stronie, naga i żywa.

Czy Claire przedostała się na drugą stronę? Czy wypływała właśnie, żeby zaczerpnąć powietrza?

Policja była w przedpokoju i Claire ostatni raz wzięła dłoń Douga, zanim rozdzielono ich na zawsze. Jego ciało przylgnęło do krzesła, dłoń ciążyła niewiarygodnie. Zauważyła czarne obwódki ziemi

pod paznokciami i od razu pomyślała o ogródku. Nie przychodził jej do głowy powód, dla którego miałby tam pójść – i nie wiedziała, czemu nie ma wątpliwości, że właśnie tak zrobił.

„Idź w stronę wody, aż poczujesz ją palcami stóp. Potem zdejmij opaskę”.

Miała to samo uczucie przemijania co wtedy, kiedy patrzyła na śmierć młodszego brata: coś zamieniało się w nic, owszem, ale zarazem zachodziło przekazanie odpowiedzialności, przymierze zawarte między martwym a żywym.

Claire zdejmowała właśnie opaskę. Spojrzała głęboko w zamglone oczy Douga, które przywodziły jej zawsze na myśl ogniki paleniska, i teraz, nawet po tym, jak płomień zgasł, węgielki ciągle dawały żar. Zastanowiła się, co widział Doug MacRay, kiedy jego życie dogasało. Zastanawiała się, co w sercu złodzieja umarło ostatecznie.

POCZĄTEK KOŃCA

– Nie mogę – powiedział Jem. – No, kurwa, nie mogę. Flaki mi się od tego wywracają. Zamówiliśmy kanapki kiedy – dwanaście godzin temu? Magloan, nie mogłeś zamówić zimnych mięs, tak jak my? A tak siedzisz z tą rozmoczoną podróbą steku, z tymi sflaczałymi papryczkami.

– Nie mówiąc już o tym, że grzebie się w tym żarciu od dobrych trzech godzin – powiedział Dez.

– To już nie jest jedzenie – skomentował Jem – tylko akt miłosny. On kopuluje z produktem stekopodobnym. Niech ktoś mi lepiej zasłoni oczęta, bo się zgorszę.

– Fakt faktem: Joanie chodzi zawsze uśmiechnięta – rzucił Dez.

– Gloansy bez dwóch zdań umie pracować językiem. Za to sam mogę ręczyć.

Doug uciszył ich rehotliwy śmiech; choć niespecjalnie przejmował się czujkami dźwięku w systemie monitoringu skarbcza, trzeba było uważać. Siedzieli we czwórkę na podłodze za kontuarem kasjera w przybrudzonych granatowych kombinezonach, wewnątrz banku rozświetlał brzask poranka, na Kenmore Square hałasowały ciężarówki i

samochody osobowe.

I

– Wiecie, co by się nam przydało? – zapytał Gloansy, nadal przeżuwając. – Zestawy słuchawkowe, jak na filmach. Żebyśmy mogli rozmawiać, kiedy jesteśmy w innych pokojach.

– Zestawy słuchawkowe są dla ciot – skonstatował Jem. – Będziesz wyglądał jak dziewczynka składająca spodnie w Gapie. Walkietalkie – to jest urządzenie dla prawdziwych facetów.

– Ale byś miał wolne ręce – wyjaśnił Gloansy. – Gnat w jednej, torba z forszą w drugiej, kapewu?

– Nie mów „kapewu”. Brzmisz jak jakaś pipcia. – Jem wstał, przeciągnął się. – To jest za bardzo jak jakiś, kurwa, piknik. To nie jest napad na bank. Coś takiego moglibyśmy uprawiać u mnie na chacie. Dlatego właśnie kinderniespodzianka jest do dupy. Całą noc wycinanie dziury w jebanym suficie. Jakbyśmy chodzili do roboty.

– Kinderniespodzianka jest sprytna – powiedział Doug.

– Kinderniespodzianka jest dla dzieci – warknął Jem.

Doug spojrzął na ścienny zegar.

– Chcesz, stary, z przytupem, za dziesięć minut będziesz miał z przytupem. Dobra, czas posprzątać ten bajzel.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem jeść –
zaoponował Gloansy.

Jem wyrwał mu jedzenie z rąk, zmiął tackę i wrzucił ją do torby na śmieci.

– No to już skończyłeś? Bo bank, kurwa, czeka, żeby na niego napaść.

Doug sprawdził magazynek colta i schował go z powrotem do kieszeni. Wiedział, że prędzej przyłoży komuś kolbą w łeb, niż wystrzeli. Przy całej drobiazgowości, z jaką opracowywał skoki, wolał nic nie wiedzieć o dostawcy broni Jema. Czy był to faktycznie Kwiciarz, czy jeden z jego chłopaczków z doszczętnie przeżartym przez narkotyki mózgiem, Douga mogłoby to tylko wpienić.

Wstając, Gloansy zapomniał o puszcze po swoim mountain dew.

– Jak zamierzasz zostawić napój, to może przy okazji zapiszesz jeszcze krwią na ścianie nazwisko i numer ubezpieczenia – rzucił Doug.

– Jasne, jasne – odparł Gloansy, wsadzając puszkę do otwartej torby roboczej stojącej obok kanistrów z wybielaczem.

Jeszcze kilka cennych minut przed akcją zeszło im na przekomarzaniu się i przyglądając się temu z boku, Doug doszedł do wniosku, że ta faza roboty podobała mu się najbardziej. Te strzępki czasu, kiedy byli z powrotem dziećmi, czterema szczawikami z Town, tak perfekcyjnie niegrzecznymi. Zdał sobie

sprawę, że nigdy nie czuł się bezpieczniej, nigdy nie był spokojniejszy, ani bardziej opanowany niż wtedy, podczas oczekiwania w banku, który mieli obrobić. Nic nie mogło ich tutaj dosięgnąć. Tylko sami mogli tu sobie zrobić krzywdę.

– Złe wieści, Monsinior – powiedział Jem. – Zdaniem „Rolling Stone’a” następna płyta Uz to disco.

Dez potarł oczy, poprawiając szkła kontaktowe.

– Nie wierzę.

– Zdarza się, mały. Nic nie trwa wiecznie. Wszystko się kiedyś kończy.

– Zobaczymy – odparł Dez, wkładając sobie do ucha słuchawkę, by kontrolować kanały policyjne. – Zobaczymy.

Jem wyciągnął z torby papierową torbę od Foodmastera.

– Bużki meczowe – oznajmił, rozdając czarne maski narciarskie.

– To to? – zapytał Gloansy, naciągając wełnianą maskę. –

I to była ta wielka tajemnica?

Jem wyszczerzył zęby i sięgnął do torby.

– Nacieszcie oczy, dziewczynki.

Doug dostał maskę bramkarza i obejrzał ją – owalne otwory na oczy, postrzępione, czarne, dorysowane ręcznie szwami.

– Wykapany Gerry Cheevers – orzekł Gloansy,

pod wrażeniem, naciągając swoją na maskę narciarską.

Jem wyciągnął broń dłonią w niebieskiej rękawicze i powiedział:

– Czas skroić jakiś, kurwa, bank.

Pozostałe maski przytaknęły, wszyscy przybili po żółwiku, Doug rozejrzał się po pozszywanych twarzach przyjaciół. Dez poszedł zająć pozycję za przyciemnioną szybą od frontu, Gloansy został w boksie kasjera.

Doug minął skarbiec, idąc za Jemem krótkim korytarzem do tylnego wejścia. Stanęli przy nim twarzą w twarz, w cieniu, po obu stronach, bez słowa i bez ruchu. Doug nie miał żadnych złych przeczuc, kiedy brał w dłoń czarną trzydziestkęósemkę. Żal mu było tylko, że najprzyjemniejsza część już się skończyła.

Przed bankiem zatrzymał się samochód, drzwiczki otworzyły się i zatrzasnęły.

– Jak w zegarku, kurwa – syknął Jem.

Claire Keesey. Tak nazywała się kierowniczka oddziału. Jeździła śliwkowym saturnem coupe ze szpanerskim tylnym spojlerem i nalepką na zderzak z propozycją Sztachnij się! Nie miała faceta, z tego, co Doug wiedział, ciekawe dlaczego. To zadziwiające, ile można się dowiedzieć o kimś na odległość, jak konkretną człowiek wyrabia sobie opinię. Tak długo ją śledził, obserwował z oddali, a zamiast odpowiedzi

pojawiły się tylko nowe pytania. Zaintrygowała go. Zastanawiał się, trochę od niechcienia, tak jak faceci, gdy myślą o dziewczynach, jak będzie wyglądała z bliska.

PODZIĘKOWANIA

Jestem dłużnikiem: Charlotte, za nieustrudzone wsparcie; mojego ojca, źródła siły i inspiracji; mojej Melanie i mojego Declana; niesamowitych NewGents; Richarda Abate'a, Księcia Agentów; Colina Harrisona, który wzbogacił tę książkę w rekordowym czasie; Kevina Smitha z Pocket; Sary Knight i wszystkich ze Scribnera; Nan Graham i Susan Moldow.